

# Lee Child

## Jutro możesz zniknąć

Z angielskiego przełożył ANDRZEJ SZULC

Tytuł oryginału: GONE TOMORROW

Copyright © Lee Child 2009 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2011

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-198-8

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. k.-a. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz. t./f.

22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009 [www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe [www.empik.com](http://www.empik.com) [www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.gandalf.com.pl](http://www.gandalf.com.pl) [www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl) [www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ Wiktorii Wiedeńskiej 7/24,

02-954 Warszawa

2011. Wydanie I Druk: Opolgraf S.A., Opole

Jack Reacher: CV

Imiona i nazwisko:

Jack Reacher (drugiego imienia nie ma)

Narodowość:

Amerykańska

Urodzony:

29 października 1960 roku

Charakterystyczne dane:

195 cm; 99-110 kg; 127 cm w klatce piersiowej

Ubranie:

Kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie:

Szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie;

Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby:

13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych; w 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

Odznaczenia służbowe: Wysokie:

Srebrna Gwiazda, za Wzorową Służbę Service Medal, Legia Zasługi Ze środkowej półki:

Soldier's Medal, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce Z dolnej półki: „Junk awards”

Matka:

Josephine Moutier Reacher, ur. 1930 we Francji, zm. 1990

Ojciec:

Żołnierz zawodowy, korpus piechoty morskiej, służył w Korei i Wietnamie

Brat:

Joe, ur. 1958, zm. 1997; 5 lat w wywiadzie armii Stanów Zjednoczonych; Departament Skarbu

Ostatni adres:

Nieznany

Czego nie ma:

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego; zwrotu nadpłaconego podatku; dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

1

Zamachowców-samobójców łatwo rozpoznać. Zdradzają ich różne oznaki. Głównie to, że są zdenerwowani. Z samej definicji są nowicjuszami.

Izraelski kontrwywiad sporządził specjalny instruktaż. Mówią tam, czego wypatrywać. Na podstawie obserwacji oraz badań psychologicznych sporządzili listę behawioralnych wskazówek. Przedstawił mi ją dwadzieścia lat wcześniej izraelski kapitan. Wierzył, że jest prawdziwa. Ja też w nią uwierzyłem, ponieważ w trakcie mojej trzytygodniowej misji nie oddalałem się od niego na krok, w autobusach, w sklepach i na zatłoczonych chodnikach, w samym Izraelu, w Jerozolimie, na Zachodnim Brzegu, w Libanie, czasami w Syrii i niekiedy w Jordanii. Miałem oczy szeroko otwarte i stale przebiegałem myślami poszczególne punkty listy.

Dwadzieścia lat później nadal ją pamiętałem. I nadal miałem szeroko otwarte oczy. Z czystego przyzwyczajenia. Ktoś nauczył mnie innej mantry: Miej szeroko otwarte oczy, ale nie patrz, miej nadstawione uszy, ale nie słuchaj. Im bardziej się angażujesz, tym dłużej pożyjesz.

Lista miała dwanaście punktów, jeśli podejrzany był mężczyzną. Jedenaście, jeśli był kobietą. Dodatkowy „męski” punkt dotyczył ogolonych policzków. Mężczyźni golą przed zamachem

9

brody. Pomaga im to wtopić się w tłum. W rezultacie mają bledszą dolną połowę twarzy, ponieważ do niedawna nie była wystawiona na słońce.

Kwestia golenia była jednak w tym wypadku nieistotna.

Sprawdzałem jedenaście punktów.

Obserwowałem kobietę.

Jechałem nowojorskim metrem. Linią numer sześć, wzdłuż Lexington Avenue, na północ, o drugiej w nocy. Wsiadłem na stacji Bleecker Street, na południowym krańcu peronu, do wagonu, w którym było tylko pięć osób. Wagony metra wydają się małe i przytulne, kiedy są pełne. Kiedy są puste, robią wrażenie wielkich i przestronnych. Człowiek czuje się w nich samotny. Lampy w nocy wydają się jaśniejsze i gorętsze, mimo że to te same lampy, które palą się w dzień. W nocy dają światło jedynie one. Siedziałem na dwumiejscowej ławce na północ od ostatnich drzwi, po lewej stronie wagonu. Pięcioro innych pasażerów siedziało na południe ode mnie, każdy osobno, na długich ławkach, troje po lewej, dwoje po prawej stronie. Byli odwróceny do mnie profilem i wpatrywali się prosto przed siebie.

Wagon miał numer 7622. Przejechałem kiedyś osiem przystanków linią numer sześć z pewnym zapaleńcem, który opowiadał o zajmowanym przez nas wagonie z entuzjazmem, jaki mężczyźni rezerwują na ogół dla kobiet i dyscyplin sportowych. Dlatego wiedziałem, że wagon numer 7622 jest typu R142A, należy do najnowszych w nowojorskim metrze i wyprodukowano go w fabryce Kawasaki w Kobe w Japonii, przetransportowano statkiem i koleją do zajezdni przy Dwudziestej Siódmej Ulicy, a następnie ustawiono na torach, odholowano do Sto Osiemdziesiątej Ulicy i przetestowano. Wiedziałem, że może przejechać dwieście tysięcy mil bez głównego przeglądu i że instrukcje są wygłaszane głosem męskim, a informacje kobiecym, co jak twierdzono, wynikało z przypadku, lecz w rzeczywistości było celowe, ponieważ szefowie transportu miejskiego uznali, że taki podział pracy jest

psychologicznie uzasadniony. Wiedziałem, że są to głosy ludzi z telewizji Bloomberg, jednak nagrano je kilka

10

lat wcześniej, zanim Michael został burmistrzem. Wiedziałem, że w metrze jeździ sześćset wagonów typu R142A i każdy ma trochę ponad pięćdziesiąt jeden stóp długości i trochę ponad osiem stóp szerokości. Wiedziałem, że w niemającym kabiny maszynisty wagonie, którym jechaliśmy wtedy i którym jechałem teraz, znajduje się czterdzieści miejsc siedzących i do stu czterdziestu ośmiu stojących. Mój zapalniczek był absolutnie pewien tych wszystkich danych. Mogłem się sam przekonać, że siedzenia są z niebieskiego plastiku w tym samym odcieniu co mundur brytyjskich sił powietrznych albo niebo pod koniec lata. Wiedziałem, że ścianki są zrobione z odpornego na graffiti włókna szklanego. Wiedziałem dwa paski ogłoszeń w miejscu, gdzie panele ściennie stykały się z sufitem: małe kolorowe plakaty reklamujące programy telewizyjne, kursy językowe, proste sposoby uzyskania dyplomu wyższej uczelni oraz okazje na szybki zarobek.

Zobaczyłem również oficjalne obwieszczenie. „Jeśli coś widzisz, daj znać”, radziła policja. Najbliżej mnie była nieduża Latynoska. Siedziała po drugiej stronie wagonu, na lewo ode mnie, sama na ławce przeznaczonej dla ośmiu osób, bliżej jej skraju. Robiła wrażenie bardzo zgrzanej i wyczerpanej i mogła mieć od trzydziestu do pięćdziesięciu lat. Na nadgarstku trzymała porządnie zużyta torbę z supermarketu i wpatrywała się w puste miejsce przed sobą oczyma, które były zbyt zmęczone, żeby cokolwiek zobaczyć.

Może cztery stopy dalej po drugiej stronie na ośmiomiejscowej ławce siedział mężczyzna. Mógł pochodzić z Bałkanów albo znad Morza Czarnego. Ciemne włosy, poryta zmarszczkami skóra. Muskularny i ogorzały od pracy na świeżym powietrzu, szeroko rozstawił stopy i pochylał się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Nie spał, ale był bliski zaśnięcia. Zwolnione procesy życiowe, ciało kołyszące się w rytmie pociągu. Mniej więcej pięćdziesięcioletni, ubrany był w rzeczy, jakie noszą zwykle ludzie o wiele od niego młodszy: workowate džinsy sięgające mu do łydek, i za dużą bluzę NBA z nazwiskiem zawodnika, którego nie znałem.

11

Trzecia była kobieta. Mogła pochodzić z zachodniej Afryki. Zmęczona i nieruchoma siedziała po lewej stronie, na południe od środkowych drzwi. Jarzeniówki i znużenie sprawiały, że jej czarna skóra wydawała się przykurzona i poszarzała. Miała na sobie kolorową batikową sukienkę i pasującą do niej chustkę. Jej oczy były zamknięte. Znam Nowy Jork w miarę nieźle. Uważam się za obywatela świata, a Nowy Jork jest dla mnie jego stolicą, więc orientuję się w tym mieście tak samo dobrze jak Brytyjczyk orientuje się w Londynie, a Francuz w Paryżu. Znam jego obyczaje nieźle, lecz nie od podszewki. Mimo to łatwo było zgadnąć, że trzy dowolne osoby jadące nocnym metrem linii sześć na północ są sprzątaczkami wracającymi do domu po wieczornej zmianie w okolicy City Hall względnie pomywaczami z restauracji położonych w Chinatown albo Little Italy. Zmierzali prawdopodobnie do Hunts Point w Bronksie, a może aż do Pelham Bay, żeby się szybko zdrzemnąć i być gotowym na wezwanie w kolejnym dniu.

Pasażerowie numer cztery i pięć byli inni.

Piąty był mężczyzną. Mniej więcej w moim wieku, siedział bokiem na dwuosobowej ławce w drugim końcu wagonu, dokładnie po mojej przekątnej. Płóciennie spodnie i golfowa koszulka, które miał na sobie, były utrzymane w swobodnym stylu, ale kosztowały sporo forsy. Patrzył przed siebie. Bez przerwy mrużył i otwierał szerzej oczy, jakby coś kombinował.

Przypominały mi oczy futbolisty. Widać w nich było spryt i chłodne wyrachowanie.

Przed wszystkim jednak obserwowałem pasażerkę numer cztery.

Jeżeli coś zobaczysz, daj znać.

Siedziała po prawej stronie wagonu, sama na ostatniej ośmio-osobowej ławce, mniej więcej w połowie drogi między zmęczoną kobietą z zachodniej Afryki i facetem o oczach futbolisty, siedzącymi po drugiej stronie. Biała, około czterdziestki. Zwyczajna. Czarne włosy, za ciemne, żeby to mógł być ich naturalny kolor, schludnie, lecz niezbyt modnie przycięte. Cała ubrana na

12

czarno. Facet siedzący najbliżej mnie nadal pochylał się do przodu i widziałem ją dość dobrze w trójkącie między jego zgiętymi plecami i ścianą wagonu.

Widok nie był idealny, bo zasłaniały go częściowo uchwyty z nierdzewnej stali, wystarczył jednak, bym stwierdził występowanie prawie wszystkich punktów z izraelskiej listy. Zapalały się niczym wisienki w automacie z Las Vegas.

Według izraelskiego kontrwywiadu patrzyłem na zamachowca--samobójcę.

2

Natychmiast odsunąłem od siebie tę myśl. Nie z powodu jej rasy. Białe kobiety są tak samo podatne na obłąd jak ktokolwiek inny. Odsunąłem od siebie tę myśl z powodu taktycznego nieprawdopodobieństwa. To nie była odpowiednia pora. Nowojorskie metro jest znakomitym celem samobójczego zamachu, a pociąg linii numer sześć chyba najlepszym z możliwych. Zatrzymuje się pod dworcem Grand Central. O ósmej rano względnie o szóstej wieczorem w wagonie z czterdziestoma osobami siedzącymi i stu czterdziestoma ośmioma stojącymi wystarczy zaczekać, aż otworzą się drzwi na zatłoczony peron, i nacisnąć guzik. Stu zabitych, kilkuset rannych, poważne szkody w infrastrukturze, możliwy pożar, główny węzeł komunikacyjny zamknięty na kilka dni albo tygodni, być może na zawsze nadszarpnięte zaufanie. Duży sukces dla ludzi, których umysły funkcjonują w sposób nie do końca dla nas zrozumiały.

Ale nie o drugiej w nocy.

Nie w wagonie, w którym jest tylko sześć osób. Nie, kiedy na peronach stacji metra Grand Central hulają śmieci i puste filiżanki, a na ławkach siedzi dwóch bezdomnych.

Pociąg zatrzymał się na stacji Astor Place. Drzwi otworzyły się z sykem. Nikt nie wsiadł. Nikt nie wysiadł. Drzwi się zamknęły, silniki zawyły i pociąg ruszył dalej.

14

Wszystkie punkty nadal się zgadzały.

Pierwszy był dość oczywisty: nieodpowiedni strój. Pasy z materiałami wybuchowymi są stale udoskonalane podobnie jak baseballowe rękawice. Bierze się mający trzy na dwie stopy odcinek ciężkiego płótna, składa go wzdłuż i otrzymuje długą kieszeń o głębokości jednej stopy. Owija się zamachowca płótnem i zszywa je na jego plecach. Zamek błyskawiczny albo spinki mogą sprawić, że zacznie się zastanawiać. Do kieszeni wkłada się wszędzie naokoło laski dynamitu, łączy przewodami, wciska w szpary gwoździe albo łożyska kulkowe, zszywa górę kieszeni, dodaje proste pasy na ramiona, żeby utrzymały ciężar. Skuteczne, ale zabiera dużo miejsca. Jedynym praktycznym sposobem, żeby to zamaskować, jest obszerne ubranie, na przykład zimowa puchowa kurtka. Nigdy niestanowiąca odpowiedniego ubioru na Bliskim Wschodzie. W Nowym Jorku dopuszczalna przez trzy na dwanaście miesięcy.

Mieliśmy jednak dopiero wrzesień, było ciepło jak w lecie, a w metrze dziesięć stopni cieplej. Ja byłem ubrany w T-shirt. Pasażerka numer cztery siedziała w długiej kurtce North Face, czarnej, grubej, błyszczącej, trochę zbyt dużej i zapiętej pod samą szyją.

Jeśli coś zobaczysz, daj znać.

Darowałem sobie drugi z jedenastu punktów. Nie miał bezpośredniego zastosowania. W drugim punkcie mówi się o chodzie przypominającym robota. To jest istotne w punkcie kontrolnym, na zatłoczonym targu, przed kościołem albo meczetem, ale nie, gdy osoba siedzi w środkach transportu publicznego. Zamachowcy stąpają jak roboty nie dlatego, że wpadają w ekstazę na myśl o rychłym męczeństwie, lecz ponieważ nie nawykli do dźwigania

dodatkowych czterdziestu funtów zawieszonych na wrzynających im się w ramiona pasach i znajdują się pod działaniem narkotyków. Perspektywa męczeństwa jest umiarkowanie pociągająca. Większość zamachowców to zastraszeni prostytutki z kostką surowej pasty opiumowej między dziąsłami i policzkiem. Wiemy o tym, ponieważ pasy wypełnione dynamitem eksplodują z cha-

15

rakterystyczną, przypominającą kształtem paczek falą ciśnieniową, która w ułamku nanosekundy zwija tors w górę i odrywa głowę. Ludzka głowa nie jest przyśrubowana do karku. Spoczywa na nim, trzymając się na skórze, mięśniach, ścięgnach oraz więzadłach, ale te wiotkie biologiczne kotwice na niewiele się zdają w obliczu gwałtownej reakcji chemicznej. Mój izraelski mentor powiedział, że najłatwiejszym sposobem ustalenia, czy wybuch spowodował samobójca, czy też bomba pozostawiona w samochodzie lub paczce, jest sprawdzenie, czy w promieniu dziewięćdziesięciu stóp od wybuchu nie ma oderwanej ludzkiej głowy, w dziwny sposób nienaruszonej i nieuszkodzonej, niekiedy nawet z kostką pasty opiumowej między dziąsłami i policzkiem.

Pociąg zatrzymał się na Union Square. Nikt nie wszedł. Nikt nie wysiadł. Gorące powietrze wpadło do wnętrza wagonu i zderzyło się z klimatyzowanym. A potem drzwi ponownie się zamknęły i ruszyliśmy dalej.

Punkty od trzeciego do szóstego są wariacjami na jeden temat. Dotyczą drażliwości, pocenia się, tików oraz nerwowego zachowania. Moim zdaniem pocenie się wynika w równym stopniu z wysokiej temperatury jak z nerwów. Wpływ ma na to także niewłaściwy ubiór i dynamit, który jest miazgą drzewną nasączoną nitrogliceryną i uformowaną w laski wielkości batoników. Miazga drzewna jest dobrym izolatorem ciepła. Dlatego zamachowiec się poci. Tak czy inaczej drażliwość, tiki oraz nerwowe zachowanie to wartościowe wskazówki. Ci ludzie znajdują się w ostatnim, dziwnym momencie swojego życia, są załknięci, otumanieni narkotykami, przerażeni czekającym ich bólem. Irracjonalni z samej definicji. Wierząc, nie do końca wierząc, bądź też w ogóle nie wierząc w raj, rzeki mlekiem i miodem płynące, bujne pastwiska i czekające tam na nich hurysy, są poddani ideologicznej presji albo starają się spełnić oczekiwania znajomych i rodziny. I nagle wchodzą w to zbyt głęboko i nie mogą się już cofnąć. Przechwalanie się na tajnych zebraniach to jedno, sam zamach coś całkiem innego. Stąd widoczne oznaki tłumionej paniki.

16

Pasażerka numer cztery zdradzała je wszystkie. Wyglądała dokładnie jak kobieta, której życie dobiega końca, i było to tak samo pewne i oczywiste jak to, że pociąg zmierzał do końcowej stacji.

Z tego względu zwróciłam uwagę na punkt siódmy: oddech.

Kobieta dyszała cicho i w kontrolowany sposób. Wdech, wydech, wdech, wydech.

Przypominało to technikę, która ma zmniejszyć ból podczas porodu, objawy głębokiego szoku bądź też ostatnią desperacką próbę, żeby nie wrzeszczeć ze strachu i przerażenia.

Wdech, wydech, wdech, wydech.

Punkt ósmy: zamachowcy-samobójcy, którzy mają zamiar się wysadzić, patrzą wprost przed siebie. Nikt nie wie dlaczego, ale poświadczają to zapisy z kamer wideo i zeznania ocalałych świadków. Zamachowcy patrzą prosto przed siebie. Może czują, że znaleźli się w impasie, i boją się interwencji. Może podobnie jak psy i dzieci uważają, że jeśli nie widzą nikogo, nikt ich nie widzi. Może resztki sumienia nie pozwalają im patrzeć na tych, których mają zamiar zlikwidować. Nikt nie wie dlaczego, ale wszyscy to robią.

Pasażerka numer cztery też to robiła. Z całą pewnością. Wpatrywała się w szybę naprzeciwko tak intensywnie, że mogłaby wypalić w niej dziurę.

Punkty od jednego do ósmego zaliczone. Siedząc na ławce, pochyliłem się do przodu.

I znieruchomiałem. Pomysł był taktycznie rzecz biorąc absurdalny. Zła pora.

A potem ponownie na nią spojrzełam. I ponownie się pochylałem. Ponieważ zgadzały się również punkty dziewiąty, dziesiąty i jedenasty, które były najważniejsze ze wszystkich.

3

Punkt dziewiąty: odmawiane pod nosem modlitwy. Do tej pory wszystkie znane ataki były inspirowane albo uzasadniane względami religijnymi, prawie wyłącznie względami islamu, a muzułmanie przywykli do tego, by publicznie się modlić. Ocalali świadkowie mówią o długich inkantacjach powtarzanych bez końca mniej lub bardziej głośno i o wyraźnie poruszających się wargach. Pasażerka numer cztery robiła to z naprawdę dużą determinacją. Wpatrzona w jeden punkt poruszała ustami, recytując rytualną frazę, która powtarzała się mniej więcej co dwadzieścia sekund. Może przedstawiała się bóstwu, które spodziewała się spotkać w zaświatach. Może przekonywała samą siebie, że naprawdę jest jakieś bóstwo i jakieś zaświaty.

Pociąg zatrzymał się na stacji przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Drzwi się otworzyły. Nikt nie wysiadł. Nikt nie wsiadł. Przeczytałem zawieszony nad peronem czerwone napisy, które wskazywały drogę do wyjścia: Dwudziesta Druga Ulica i północno--wschodni róg Park Avenue, Dwudziesta Trzecia i południowo--wschodni róg Park Avenue. Niczym się niewyróżniający fragment Manhattanu, który nagle stał się atrakcyjny.

Pozostałem na swoim miejscu. Drzwi się zamknęły. Pociąg ruszył dalej.

Punkt dziesiąty: duża torba.

18

Dynamit jest stabilnym materiałem wybuchowym, póki jest świeży. Nie wybuchą przypadkiem. Trzeba go zdetonować przy użyciu zapalników. Te z kolei są połączone lontem detonacyjnym ze źródłem energii oraz ze stykami. Wielkie wajchy ze starych westernów łączyły ze sobą te dwie funkcje. Ich przesunięcie ładowało dynamo podobnie jak to się dzieje w polowym telefonie. Następnie włączane były styki. Rozwiązanie niezbyt praktyczne, gdy materiał wybuchowy jest przenoszony. Wtedy potrzebna jest bateria. Do lontu długości jednego jarda musi mieć trochę więcej woltów i amperów. Małe baterijki „paluszki” dają słabe półtora wolta. Według powszechnego przekonania to za mało. Lepsza jest bateria dziewięciowoltowa, ale żeby naprawdę kopnęło, trzeba użyć dużej kwadratowej, wielkości puszeki po zupie, takiej, jaką wkłada się do silnych latarek. Jest zbyt duża i ciężka, by schować ją do kieszeni, stąd torba. Baterię wkładamy na dno torby, przewody łączą ją ze stykami, a potem wychodzą przez dyskretne przecięcie w torbie i biegną pod skraj nieodpowiedniego ubioru.

Pasażerka numer cztery miała czarną brezentową torbę kurierską w stylu miejskim, którą przewiesiła przez ramię i położyła sobie na kolanach. Sposób, w jaki wybrzuszał się i marszczył sztywny materiał, wskazywał, że jest w niej tylko jeden ciężki przedmiot.

Pociąg zatrzymał się przy Dwudziestej Ósmej Ulicy. Drzwi się otworzyły. Nikt nie wysiadł. Nikt nie wsiadł. Drzwi zamknęły się i ruszyliśmy dalej.

Punkt jedenasty: ręce schowane w torbie.

Dwadzieścia lat temu punkt jedenasty był nowością na liście. Wcześniej lista kończyła się na punkcie dziesiątym. Ale świat się zmienia. Akcja wywołuje reakcję. Izraelskie siły bezpieczeństwa, a także niektórzy odważni obywatele przyjęli nową taktykę. Jeśli nabrałeś podejrzeń, nie uciekałeś. Tak naprawdę nie miało to sensu. Nie sposób uciec przed szrapnelem. Zamiast tego łapałeś podejrzanego w desperacki niedźwiedzi uścisk. Przyciskałeś mu ręce do boków. Nie pozwalałeś mu nacisnąć guzika.

19

Udaremniono w ten sposób kilka zamachów. Ocalono wiele istnień ludzkich. Niestety, zamachowcy też się czegoś nauczyli. Teraz instruowano ich, żeby trzymali przez cały czas palec na guziku. W takiej sytuacji niedźwiedzi uścisk nic nie daje. Guzik jest w torbie, przy baterii. Dlatego zamachowiec trzyma ręce w torbie.

Pasażerka numer cztery trzymała obie ręce w torbie. Klapa wyginała się i marszczyła między jej nadgarstkami.

Pociąg zatrzymał się przy Trzydziestej Trzeciej Ulicy. Nikt nie wysiadł. Stojąca na peronie samotna pasażerka zawahała się, a potem przeszła kilka kroków w prawo i wsiadła do sąsiedniego wagonu. Odwróciłem się, zerknąłem przez małe okienko za moją głowę i zobaczyłem, że usiadła blisko mnie. Dzieliły nas dwie ścianki z nierdzewnej stali i przestrzeń nad sprzęgiem. Chciałem jej dać znak, żeby odeszła. W drugim końcu wagonu miała szansę przeżyć. Ale nie zrobiłem tego. Nie mieliśmy kontaktu wzrokowego, a ona i tak by mnie zignorowała. Znam Nowy Jork. Wariackie gesty w nocnym metrze nie robią na nikim wrażenia.

Drzwi pozostały otwarte trochę dłużej niż zwykle. Przez krótką szaloną sekundę zastanawiałem się, czy nie wygonić wszystkich z wagonu. Nie zrobiłem tego. To byłaby komedia. Zaskoczenie, niezrozumienie, być może bariery językowe. Nie wiedziałem, jak jest po hiszpańsku bomba. Chyba tak samo. A może „bomba” po hiszpańsku oznaczała żarówkę? Szalencie krzyczący coś o żarówkach niewiele by działał.

Nie, żarówka po hiszpańsku to bombilla.

Chyba.

Być może.

Z pewnością jednak nie znałem żadnego z języków bałkańskich. I żadnego z zachodnioafrykańskich dialektów. Chociaż kobieta w sukni mogła mówić po francusku. Część krajów w zachodniej Afryce jest francuskojęzyczna. A ja mówię po francusku. Une bombe. La femme la-bas a une bombe sous son manteau. Ta kobieta ma bombę pod kurtką. Afrykanka w sukience mogłaby mnie zrozumieć. Albo w jakiś pozajęzykowy sposób pojąć, o co chodzi, i po prostu pójść w nasze ślady.

20

Jeżeli zdąży się obudzić. Jeżeli otworzy oczy.

W końcu jednak nie ruszyłem się z miejsca.

Drzwi się zamknęły.

Pociąg ruszył dalej.

Wpatrywałem się w pasażerkę numer cztery. Wyobraziłem sobie jej smukły błądy kciuk spoczywający na ukrytym przycisku kupionym prawdopodobnie w sklepie Radio Shack. Niewinny element do montażu, dla hobbystów. Kosztujący pewnie półtora dolara. Wyobraziłem sobie płataninę przewodów, czerwonych i czarnych, owiniętych taśmą, odizolowanych i podłączonych. Gruby lont detonacyjny wychodzący z torby, wciśnięty pod jej kurtkę, łączący dwanaście albo dwadzieścia zapalników w długą, zabójczą, równoległą drabinę. Prąd elektryczny płynie prawie tak samo szybko jak światło. Dynamit jest niesamowicie silny. W zamkniętym pomieszczeniu, jakim jest wagon metra, samo ciśnienie mogło sprasować nas na miazgę. Gwoździe i łożyska kulkowe były kompletnie zbędne. To tak jakby ktoś strzelał do lodów. Bardzo niewiele by z nas pozostało. Fragmenty kości wielkości pestek winogron. Nienaruszone mogłyby przetrwać kowadełko i strzemiączko z ucha wewnętrznego. Są najmniejszymi kośćmi w ludzkim ciele i z tego względu najmniej narażonymi na trafienie przez grad szrapneli.

Patrzyłem na kobietę. Nie było jak do niej podejść. Dzieliło nas trzydzieści stóp. Jej kciuk spoczywał na przycisku. Tanie mosiężne blaszki były oddalone o może jedną ósmą cala i ten niewielki odstęp zwiężał się pewnie i rozszerzał w rytmie wyznaczanym przez bicie jej serca i drżenie ręki.

Była gotowa zginąć. Ja nie.

Pociąg toczył się do przodu z charakterystyczną symfonią dźwięków. Szumem wypchanego z tunelu powietrza, klekotem złączy kompensacyjnych, które stukały o żelazne krawędzie,

chrobotem odbieraka o trzecią szynę, zawrozcieniem silników, skrzypleniem wagonów, które przechylały się jeden po drugim na łagodnie nachylonych zakrętach.

Dokąd ona jechała? Którędy wiodła trasa linii numer sześć?

21

Czy zamachowiec-samobójca może wysadzić cały budynek? Chyba nie. Gdzie po drugiej w nocy może zgromadzić się duży tłum? Niewiele było takich miejsc. Może w nocnych klubach, ale większość z nich zostawiliśmy już za sobą, a i tak nie wpuszczono by jej do środka.

Wpatrywałem się w nią.

Zbyt intensywnie.

Wyczuła to.

Obróciła głowę powoli i gładko, jakby zaprogramowała sobie wcześniej ten ruch.

Spojrzała prosto na mnie.

Nasze oczy się spotkały.

Wyraz jej twarzy się zmienił.

Domyśliła się, że wiem.

4

Patrzyliśmy na siebie prawie przez dziesięć sekund. A potem wstałem z ławki. "Rozstawiłem szeroko stopy, dostosowując się do ruchu pociągu i dałem krok do przodu. Nie było wątpliwości, że siedząc trzydzieści stóp od niej, zginę. Podchodząc bliżej, nie narażałem się ani trochę bardziej. Minąłem siedzącą po lewej stronie Latynoskę. Siedzącego po prawej faceta w koszuli NBA. Siedzącą po lewej kobietę z zachodniej Afryki. Nadal miała zamknięte oczy. Idąc, łapałem się na zmianę uchwytów po lewej i prawej stronie. Pasażerka numer cztery nie spuszczała mnie z oczu. Przerażona i zdyszana mamrotała coś pod nosem. Nie wyjęła ręk z torby.

Zatrzymałem się sześć stóp od niej.

— Naprawdę chcę się w tej sprawie mylić — powiedziałem.

Nie odpowiedziała. Jej usta się poruszały. Jej ręce przesunęły się pod grubym czarnym brezentem. Duży obiekt w torbie zmienił położenie.

— Chciałbym zobaczyć pani ręce.

Milczała.

— Jestem gliniarzem — skłamałem. — Mogę pani pomóc.

Milczała.

Możemy porozmawiać — powiedziałem.

Nadal nie odezwała się ani słowem.

23

Puściłem uchwyt i opuściłem rękę, dzięki czemu mogłem wydać się mniejszy. Mniej groźny. Stałem na tyle nieruchomo, na ile pozwalał mi jadący pociąg. Nic nie robiłem. Nie miałem wyboru. Jej potrzebny był ułamek sekundy. Mnie trochę więcej czasu. Tyle że właściwie nie mogłem nic zrobić. Mógłbym złapać jej torbę i próbować ją wyrwać. Ale pasek, na którym ją zawiesiła, był szeroki i zrobiony ze splecionej ciasno bawełny. W podobny sposób jak wąż strażacki. Został fabrycznie sprany i postarzony, lecz mimo to był nadal bardzo mocny. W najlepszym razie udałoby mi się ściągnąć ją z siedzenia na podłogę.

Tyle że chyba nie zdążyłbym się do niej zbliżyć. Wcisnęłaby przycisk, zanim moja ręką znalazłaby się w połowie drogi.

Mógłbym spróbować szarpnąć torbę do góry i złapać drugą ręką przewody, żeby wyrwać lont detonacyjny. Tyle że ze względu na konieczność zapewnienia jej swobody ruchu, lont mógł być długi. Moja ręką musiałaby zatoczyć łuk o długości półtorej stopy, zanim napotkałbym jakiś opór. Tymczasem ona mogłaby nacisnąć przycisk nawet pod wpływem mimowolnego szoku.



Mógłbym złapać za jej kurtkę i spróbować wyrwać inne przewody. Dzieliła mnie jednak od nich gruba warstwa gęsiego puchu. I śliska nylonowa powłoka. Nie zdołałbym przez nią nic wyczuć.

Żadnej nadziei.

Mógłbym spróbować ją unieszkodliwić. Uderzyć mocno w głowę, znokautować jednym szybkim ciosem. Ale mimo że nadal jestem dość szybki, zadanie ciosu z odległości sześciu stóp musiałyby trwać prawie pół sekundy. Tymczasem ona musiała tylko przesunąć kciuk o trzy milimetry.

Zdążyłaby pierwsza.

— Mogę usiąść? — zapytałem. — Obok pani?

— Nie — odparła. — Niech pan się do mnie nie zbliża.

Neutralny, bezbarwny głos. Brak wyraźnego akcentu. Amerykanka, ale mogła być z każdej części kraju. Z bliska nie wydawała się wcale szalona lub niepoczytalna. Robiła po prostu wrażenie zrezygnowanej, przestraszonej i zmęczonej. Wpatrywała

24

się we mnie z taką samą intensywnością jak przedtem w okno. Robiła wrażenie czujnej i w pełni świadomej. Bacznie mnie obserwowała. Nie mogłem się poruszyć. Nie mogłem nic zrobić.

— Jest późno — powiedziałem. — Powinna pani poczekać na godzinę szczytu.

Milczała.

— Za sześć godzin — dodałem. — Będzie o wiele lepszy efekt.

Jej ręce poruszyły się w środku torby.

— Nie teraz — powiedziałem.

Nie odezwała się.

— Tylko jedną. Niech mi pani pokaże jedną rękę. Nie potrzebuje pani obu.

Pociąg ostro zahamował. Zatoczyłem się lekko do tyłu, po czym dałem krok do przodu i podniosłem rękę, żeby złapać uchwyt pod sufitem. Miałem wilgotne ręce. Stał wydawała się gorąca. Grand Central, pomyślałem. Ale myliłem się. Wyjrzałem przez okno, spodziewając się, że zobaczę światła i białe ściany, lecz ujrzałem tylko słaby blask niebieskiej lampy.

Stawaliśmy w tunelu. Przerwa techniczna albo semafor.

Odwrociłem się z powrotem.

— Niech mi pani pokaże jedną rękę — powtórzyłem.

Kobieta milczała. Patrzyła na mój brzuch. Kiedy podniosłem rękę, T-shirt podjechał w górę, odsłaniając bliznę tuż nad paskiem spodni. Gruzłowata biała skóra. Prymitywne wielkie szwy jak w kreskówce. Ślad po odłamku bomby umieszczonej w ciężarówce w Bejrucie, dawno temu. Znajdowałem się sto jardów od miejsca eksplozji.

Byłem dziewięćdziesiąt osiem jardów bliżej kobiety siedzącej na ławce.

— Niech mi pani pokaże jedną rękę — powtórzyłem.

— Po co? — zapytała.

Nie potrzebuje tam pani obu.

Więc co panu z tego przyjdzie?

Nie wiem — odparłem.

25

Tak naprawdę nie miałem pojęcia, co robię. Nie jestem wykwalifikowanym negocjatorem. Mówiłem po prostu, żeby coś mówić. Co jest dla mnie nietypowe. Na ogół jestem milczkiem. Statystycznie jest bardzo mało prawdopodobne, żebym zginął w połowie zdania.

Może dlatego z nią rozmawiałem.

Kobieta poruszyła rękoma. Zobaczyłem, że przekłada coś w torbie do prawej ręki i powoli wyjmuje z niej lewą. Miała niedużą bladą dłoń, na której widać było żyły i ścięgna. Dłoń osoby w średnim wieku. Zwyczajne, przycięte krótko paznokcie. Żadnych pierścionków.

Niezameżna i niezareczona. Obróciła dłoń i pokazała mi jej wnętrze, puste i czerwone, bo było jej gorąco.

— Dziękuję — powiedziałem.

Położyła rękę dłonią w dół na siedzeniu obok, jakby nie miała z nią nic wspólnego. Co w tym momencie było prawdą. Pociąg zatrzymał się w ciemności. Opuściłem ręce. Skraj podkoszulka wrócił na swoje miejsce.

— Teraz niech mi pani pokaże, co jest w torbie.

— Dlaczego?

— Po prostu chcę to zobaczyć. Cokolwiek to jest.

Milczała.

Nie poruszyła się.

— Nie będę próbował pani tego zabrać. Obiecuję. Chcę to tylko zobaczyć. Na pewno pani to rozumie.

Pociąg ruszył z miejsca. Bez szarpnięć, powoli. Potoczył się w stronę następnej stacji. Od której dzieliło nas chyba nie więcej niż dwieście jardów.

— Mam prawo przynajmniej to zobaczyć — powiedziałem. — Chyba się pani ze mną zgodzi?

Wykrzywiła wargi, jakby tego nie zrozumiała.

— Nie rozumiem, dlaczego miałby pan do tego prawo — odparła.

— Bo biorę w tym udział. I mógłbym sprawdzić, czy jest dobrze zmontowane. Na później. Bo musi pani to zrobić później. Nie teraz.

26

— Mówił pan, że jest gliniarzem.

— Możemy to załatwić — powiedziałem. — Mogę pani pomóc.

Obejrzałem się przez ramię. Pociąg włókł się jak żółw. Przed nami były białe światła.

Odwróciłem się z powrotem. Prawa ręka kobiety poruszała się. Zaciskała ją na czymś mocniej i jednocześnie powoli wysuwała z torby.

Obserwowałem ją. Prawa ręka zaczepiła się o coś w środku torby i kobieta pomogła sobie lewą, żeby ją wyciągnąć.

Nie trzymała w niej baterii. Przewodów. Styku. Ani wajchy.

Trzymała w niej coś zupełnie innego.

5

Kobieta ścisnęła w rękę rewolwer. Celowała z niego prosto we mnie. Nisko w brzuch, gdzieś między kroczeniem a pępkiem. Jest tam cała masa potrzebnych rzeczy. Rdzeń kręgowy, wnętrzości, tętnice, żyły. Rewolwer, duży stary Ruger Speed Six, kalibru .357 magnum, mógł zrobić we mnie dziurę dość dużą, by widać było przez nią światło dnia.

W zasadzie byłem jednak lepszej myśli niż sekundę wcześniej. Z wielu powodów. Bomby zabijają wszystkich ludzi od razu, rewolwery tylko jednego człowieka naraz. W

przeciwieństwie do bomb rewolwery wymagają celowania. Załadowany speed six waży

ponad dwa funty. To duże obciążenie dla szczupłego nadgarstka. Poza tym, kiedy strzela się

pociskami magnum, ma się do czynienia z dużą siłą odrzutu i płomieniem wylotowym. Jeśli

używała tego rewolweru wcześniej, powinna o tym wiedzieć. Na ułamek sekundy przed

pociągnięciem za spust powinna wyprostować ramię, zamknąć oczy i odwrócić głowę.

Miałem sporą szansę, że chybi, nawet z odległości sześciu stóp. Z broni krótkiej na ogół się

chybia. Może nie na strzelnicy, ze słuchawkami na uszach i osłoną na oczy, kiedy ma się

spokój i dużo czasu, i nic się nie ryzykuje. Ale w realnym świecie, kiedy weźmie się pod

uwagę panikę, stres, drżenie ręki i walące wściekle serce, strzał z broni krótkiej to loteria. W której mogła wygrać albo ona, albo ja.

28

Gdyby chybiła, nie miałyby okazji oddać drugiego strzału.

— Spokojnie — mruknąłem. Po prostu, żeby coś powiedzieć. Jej palec na spuście był sinobiały, na razie jednak spoczywał nieruchomo. Speed six jest rewolwerem podwójnego działania, co oznacza, że naciskając spust do połowy, przesuujemy kurek do tyłu i obracamy bębenek. Kiedy naciskamy spust dalej, kurek opada i oddajemy strzał. Skomplikowana mechanika, która zajmuje trochę czasu. Obserwowałem jej palec. Wyczułem, że patrzy na nas facet o oczach futbolisty. Domyśliłem się, że zasłaniam plecami widok innym pasażerom.

— Nic pani do mnie nie ma — powiedziałem. — Nawet pani mnie nie zna. Niech pani odłoży broń, to porozmawiamy.

Nie odpowiedziała. Może coś było widać na jej twarzy, ale ja jej nie obserwowałem. Obserwowałem jej palec. To była jedyna część jej ciała, która mnie interesowała. I koncentrowałem się na wibracjach, które czułem pod stopami. Czekałem, aż wagon się zatrzyma. Mój stuknięty współpasażer poinformował mnie wcześniej, że R142A waży trzydzieści pięć ton i może jechać z szybkością sześćdziesięciu dwóch mil na godzinę. Z tego względu ma bardzo mocne hamulce. Zbyt mocne, by maszynista mógł ich użyć z finezją. Hamowanie jest ostre, wagonem szarpie, koła zgrzytają. Wagony często pokonują ostatnie jardy z zablokowanymi kołami. Stąd charakterystyczny jazgot, kiedy się zatrzymują. Uznałem, że tak samo będzie to wyglądać nawet przy naszej niedużej prędkości. Może będzie nawet bardziej odczuwalne. Rewolwer był w gruncie rzeczy ciężarkiem na końcu wahadła. Długie wąskie ramię, dwa funty stali. Kiedy zacisną się hamulce, siła pędu sprawi, że broń przesunie się do przodu. Na północ. Zasada dynamiki Newtona. Byłem gotów odepchnąć się i skoczyć do tyłu. Jeżeli broń przesunie się pięć cali na północ, a ja pięć cali na południe, zejść z linii strzału.

Może wystarczą nawet cztery cale.

Powiedzmy, że cztery i pół.

Skąd pan ma tę bliznę? — zapytała kobieta.

29

Nie odpowiedziałem.

— Ktoś do pana strzelał?

— To była bomba — odparłem.

Przesunęła lufę w swoją lewą i moją prawą stronę. Celowała teraz w miejsce, gdzie pod podkoszulkiem znajdowała się blizna.

Pociąg wjechał na stację. Niesamowicie wolno. Niemal z prędkością pieszego. Perony na Grand Central są długie. Pierwszy wagon dojechał do samego końca. Czekałem, aż zazgrzytają hamulce. Spodziewałem się, że nieźle nami szarpnie.

Nie doczekałem się tego.

Kobieta wycelowała ponownie w środek mojego brzucha, a potem lufa rewolweru pojechała w górę. Przez ułamek sekundy myślałem, że kobieta chce się poddać, lecz lufa podnosiła się coraz wyżej. Kobieta zadarła w górę brodę w dumnym wyzywającym geście, wbiła lufę w miękkie ciało pod spodem i wcisnęła spust do połowy. Bębenek obrócił się i odwiedziony kurek dotknął nylonowej powłoki kurtki.

A potem nacisnęła spust mocniej i strzeliła sobie w głowę.

6

Drzwi bardzo długo się nie otwierały. Może ktoś skorzystał z awaryjnego telefonu, może konduktor usłyszał strzał. Tak czy inaczej system zablokował wszystkie drzwi. To było niewątpliwie coś, co wcześniej przewidziano. I procedura była całkiem sensowna. Lepiej, żeby napastnik tkwił zamknięty w jednym wagonie, niż biegał po całym mieście.

Ale czekanie nie było przyjemne. Pocisk magnum .357 został wynaleziony w roku 1935.

Magnum znaczy po łacinie duży. Cięższy pocisk i o wiele większy ładunek miotający.

Technicznie rzecz biorąc, ładunek miotający nie wybucha, lecz ulega chemicznemu

procesowi deflagracji, która jest czymś pośrednim między spalaniem i eksplozją. Chodzi o stworzenie wielkiego bąbla gorącego gazu, który wyrzuca pocisk z lufy niczym napięta sprężyna. Normalnie gaz wylatuje w ślad za pociskiem z lufy i zapala tlen w otaczającym ją powietrzu. Stąd płomień wylotowy. Jednak przy strzale oddanym z niedużej odległości w głowę, jaki wybrała pasażerka numer cztery, pocisk robi dziurę w skórze i gaz wpada tam zaraz za nim. Następnie rozszerza się gwałtownie pod skórą i albo rozrywa ją, tworząc wielką ranę wylotową w kształcie gwiazdy, albo odrywa całe ciało i skórę od kości i otwiera czaszkę, tak jakby obierał od góry banana.

Tak właśnie stało się w tym wypadku. Twarz kobiety została

31

zredukowana do krwawych strzępów zwisających z roztrzaskanych kości. Pocisk przeleciał pionowo przez jej usta i wytracił całą okazałą energię kinetyczną w jej mózgowcaszce. Ciśnienie rozerwało ją w miejscu, gdzie w dzieciństwie płaty czaszki zrosły się na ciemieniu. Kilka kawałków kości przylepiło się do ściany nad nią i za nią. Tak czy inaczej głowa kobiety w zasadzie zniknęła. Odporne na graffiti włókno szklane spełniło jednak swoje zadanie. Białe kości, ciemna krew i szare komórki spływały po śliskiej powierzchni, nie przylegając do niej, zostawiając tylko mokry ślad. Ciało kobiety opadło w skurczonej pozycji na ławkę. Palec wskazujący jej prawej ręki wciąż był zaciśnięty na spuście. Rewolwer odbił się od jej uda i upadł na sąsiednie siedzenie.

Nadal dzwonił mi w uszach huk wystrzału. Za sobą słyszałem stłumione hałasy. Czułem zapach krwi kobiety. Pochyliłem się do przodu i zajrzałem do jej torby. Była pusta. Rozpiąłem i rozchyliłem jej kurtkę. Nic pod nią nie było. Tylko biała bawełniana bluzka i smród oddanego moczu i stolca.

Znalazłem telefon awaryjny i sam zadzwoniłem do konduktora.

— Samobójstwo z broni palnej — powiedziałem. — Przedostatni wagon. Już po wszystkim. Jesteśmy bezpieczni. Nie ma żadnego zagrożenia.

Nie chciałem czekać, aż nowojorska policja zbierze antyter-rorystów, którzy wkroczą na stację w pełnym rynsztunku. To mogło zabrać sporo czasu.

Nie doczekałem się żadnej odpowiedzi od konduktora, ale minutę później w głośnikach zabrzmiał jego głos.

— Informujemy pasażerów, że przez kilka minut drzwi pozostaną zamknięte w związku z zaistniałym incydentem — powiedział powoli. Czytał prawdopodobnie z kartki. Jego głos drżał i bardzo się różnił od melodyjnych głosów ludzi z Bloomberga.

Rozejrzałem się po raz ostami po wagonie, po czym usiadłem trzy stopy od bezgłowego ciała i czekałem.

32

Zanim pojawili się prawdziwi gliniarze, można było obejrzeć kilka odcinków policyjnego serialu. Można było wyekstrahować i zanalizować DNA, odkryć na jego podstawie sprawcę, dopaść go, osądzić i skazać. W końcu jednak po schodach zeszło sześciu funkcjonariuszy. Mieli na głowach czapki i trzymali w rękach broń. Nowojorscy policjanci, najprawdopodobniej z czternastego posterunku przy Zachodniej Trzydziestej Piątej, słynnego Midtown South. Przebiegli wzdłuż peronu i zaczęli sprawdzać pociąg od przodu. Ponownie wstałem i popatrzyłem przez okienka nad sprzęgami, wzdłuż całej długości pociągu, tak jakbym spoglądał w głąb długiego oświetlonego tunelu z nierdzewnej stali. Dalej widok robił się ciemniejszy wskutek brudu i zielonych zanieczyszczeń w szkle. Widziałem jednak, jak gliniarze otwierają wagon po wagonie, sprawdzają go, wypuszczają pasażerów i kierują ich na górę, na ulicę. Nocnym metrem podróżowało niewiele osób i dotarcie do nas nie zajęło im wiele czasu. Zajrzeli przez okna, zobaczyli zwłoki oraz rewolwer i sprężyli się. Drzwi otworzyły się z sykiem i wskoczyli do środka, po dwóch przez każde drzwi. Odruchowo podnieśliśmy wszyscy ręce.

Trzej gliniarze zablokowali drzwi, a trzej pozostali podeszli prosto do martwej kobiety i zatrzymali się mniej więcej sześć stóp od niej. Nie sprawdzili jej pulsu ani innych oznak życia. Nie podetknęli lusterka pod nos, żeby zobaczyć, czy oddycha. Nie zrobili tego wszystkiego, ponieważ było jasne, że nie oddycha, a poza tym nie miała nosa. Chrzątka oderwała się, zostawiając poszarpane kostne drzazgi między oczodołami, przez które ciśnienie wewnątrz wypchnęło gałki oczne.

Wielki gliniarz z naszywkami sierżanta odwrócił się. Miał lekko pobladłą twarz, ale poza tym całkiem nieźle udawał, że to dla niego nie pierwszyna.

Kto widział, co się tu stało? — zapytał.

W przedniej części wagonu zapadła cisza. Latynoska, mężczyzna w bluzie NBA oraz Afrykanka siedzieli bez ruchu i nie odzywali się. Punkt ósmy: gapią się wprost przed siebie.

Wszyscy

33

to robili. Jeśli ja cię nie widzę, ty nie widzisz mnie. Facet w golfowej koszulce też nic nie powiedział.

— Wyjęła broń z torby — oświadczyłem — i zabiła się.

— Tak po prostu?

— Mniej więcej.

— Dlaczego?

— Skąd mam wiedzieć?

— Gdzie i kiedy?

— W tunelu, którym podjeżdżaliśmy do stacji. Kiedy podjeżdżaliśmy.

Facet przeanalizował tę informację. Samobójstwo z broni palnej. Incydentami w metrze zajmowała się policja Nowego Jorku. Strefa hamowania między Czterdziestą Pierwszą i Czterdziestą Drugą podpadała pod jurysdykcję czternastego posterunku. Sierżant pokiwiał głową. Mógł zająć się tą sprawą. Nie było co do tego wątpliwości.

— Proszę, żeby wszyscy wyszli z wagonu i poczekał na peronie — powiedział. —

Będziemy chcieli spisać wasze nazwiska, adresy i zeznania.

Następnie włączył mikrofon przy kołnierzyku i usłyszeliśmy głośny szum krótkofalówki.

Odpowiedział na niego ciągiem zaszyfrowanych liczb. Domyśliłem się, że wzywa sanitariuszy i ambulans. Personel metra będzie później musiał odczepić wagon, wyczyścić go i oddać z powrotem do użytku. Do porannej godziny szczytu zostało wiele godzin.

Dołączyliśmy do gromadzącego się na peronie tłumu. Byli tam funkcjonariusze policji transportowej, kolejni gliniarze, pracownicy metra i kolejarze z Grand Central. Pięć minut później po schodach zbiegła załoga ambulansu z noszami na wózku. Minęli barierkę, weszli do wagonu i gliniarze z grupy interwencyjnej odsunęli się na bok. Nie zobaczyłem, co stało się później, ponieważ policjanci weszli w tłum, rozglądając się i szukając pasażerów, których mogliby przesłuchać. Duży sierżant podszedł do mnie. Odpowiedziałem na jego pytania w pociągu, więc uznał, że będę pierwszy. Zaprowadził mnie w głąb stacji, do

34

gorącego, dusznego, wyłożonego białymi kafelkami pomieszczenia, które mogło należeć do policji transportowej. Posadził mnie na drewnianym krześle i zapytał o nazwisko.

— Jack Reacher — powiedziałem.

Zapisał je i więcej się nie odezwał. Po prostu stał w progu i gapił się na mnie. Czekał, jak się domyślałem, na detektywa.

7

Detektywem okazała się kobieta. Przyszła sama. Miała na sobie spodnie i szarą bluzkę z krótkimi rękawami. Może jedwabną, może z włókna sztucznego. W każdym razie błyszcząca. Nie wsadziła jej w spodnie i domyśliłem się, że chowa pod połamami pistolet, kajdanki i co tam jeszcze miała. Drobna i szczupła, miała niedużą owalną twarz i związane z tyłu ciemne włosy.

Żadnej biżuterii. Nawet obrączki ślubnej. Dobiegała czterdziestki. Atrakcyjna kobieta. Od razu ją polubiłem. Wydawała się odprężona i przyjaźnie nastawiona. Pokazała mi swoją złotą odznakę i wręczyła wizytówkę. Były na niej numery jej telefonu służbowego i komórki oraz adres e-mailowy policji Nowego Jorku. Przeczytała mi na głos swoje nazwisko, które brzmiało Theresa Lee, z literami t i h wymawianymi łącznie jak w wyrazach theme albo therapy. Theresa. Nie była Azjatką. Może Lee było nazwiskiem jej byłego męża, a może zapisaną na wyspie Ellis wersją Leigh lub innego dłuższego i bardziej skomplikowanego nazwiska. A może była potomkinią Roberta Erwina Lee.

— Może mi pan dokładnie opowiedzieć, co się stało? — powiedziała.

Mówiła cicho, unosząc brwi, i w jej chropawym głosie brzmiała troska i rozważa, jakby najbardziej martwiło ją, czy nie doznałem stresu posttraumatycznego. Może mi pan opowiedzieć? Naprawdę

36

pan może? Da pan radę przeżyć to na nowo? Uśmiechnąłem się lekko. Na posterunku Midtown South mieli niską, jednocyfrową liczbę zabójstw w ciągu roku i nawet gdyby zajmowała się nimi wszystkimi od pierwszego dnia, gdy zaczęła tam pracować, i tak widziałem więcej trupów od niej. O wiele więcej. Kobieta w metrze nie przedstawiała sobą najprzyjemniejszego widoku, ale daleko jej było do najgorszego.

Przedstawiłem detektyw dokładnie, co się stało, zaczynając od Bleecker Street i jedenastopunktowej listy, aż do mojej interwencji, urywanej rozmowy, rewolweru i samobójstwa.

Theresa Lee chciała porozmawiać o liście.

— Mamy jej kopię — stwierdziła. — Podobno jest tajna.

— Funkcjonuje na całym świecie od dwudziestu lat — powiedziałem. — Każdy ma kopię. Trudno ją uznać za tajną.

— Gdzie pan ją widział?

— W Izraelu — odparłem. — Krótco po tym, jak została sporządzona.

— Dlaczego ją panu pokazano? — zapytała.

Przedstawiłem jej więc swój życiorys. Skróconą wersję. Armia Stanów Zjednoczonych, trzynaście lat kariery żandarma, elitarna sto dziesiąta jednostka śledcza, służba w bazach na całym świecie plus misje tu i tam. A potem upadek imperium sowieckiego, pokojowa dywidenda, mniejszy budżet obrony, nagła wolność.

— Był pan oficerem czy żołnierzem kontraktowym?

— Odszedłem z wojska w randze majora.

— A teraz?

Teraz jestem na emeryturze.

Za młody pan na emeryturę.

Uznałem, że powinienem się nią nacieszyć, póki mogę.

I dobrze się panu żyje?

Lepiej niż kiedykolwiek.

Co pan robił dziś wieczór? Na południu w Village?

Muzyka — odpowiedziałem. — Te bluesowe kluby przy Bleecker Street.

Dokąd pan jechał metrem linii sześć?

37

— Zamierzałem wynająć gdzieś pokój albo dojechać do dworca przy Zarządzie Portu i wsiąść do autobusu.

— Jadącego dokąd?

— Dokądkolwiek.

— Krótka wizyta?

- Takie są najlepsze.
- Gdzie pan mieszka?
- Nigdzie. Mój rok składa się z szeregu krótkich wizyt.
- Gdzie jest pański bagaż?
- Nie mam żadnego.

Większość ludzi zadaje mi w tym momencie dodatkowe pytania. Theresa Lee tego nie zrobiła.

- Nie podoba mi się, że lista się nie sprawdziła — powiedziała zamiast tego, odwracając wzrok. — Sądziłam, że można na niej polegać. — Rozmawiała ze mną jak gliniarz z gliniarzem, jakby moja dawna praca miała dla niej znaczenie.
- Okazała się tylko w połowie błędna — odparłem. — Sprawdziła się w kwestii samobójstwa.
- Chyba tak — zgodziła się. — Symptomy byłyby pewnie takie same. Jednak w tym wypadku doprowadziły do błędu pierwszego rodzaju.
- To lepsze niż błąd drugiego rodzaju.
- Chyba tak — powtórzyła.
- Czy wiemy, kim była? — zapytałem.
- Jeszcze nie. Ale dowiemy się. Powiedzieli mi, że znaleźli przy niej klucze i portfel. To prawdopodobnie wystarczy. Dlaczego miała na sobie zimową kurtkę?
- Nie mam pojęcia — odparłem.

Policjantka przez chwilę milczała, jakby była głęboko rozczarowana.

- Takie sprawy trzeba zawsze traktować dynamicznie — powiedziałem. — Osobiście uważam, że powinniśmy dodać dwunasty punkt do listy dotyczącej kobiet. Jeśli terrorystka zdejmie zasłonę z twarzy, powinniśmy zauważyć brak opalenizny, tak samo jak u mężczyzn.

38

\_ Trafoa uwaga — stwierdziła.

\_ Czytałem też książkę, w której wyjaśniano, że fragment

0 hurysach jest źle przetłumaczony. To słowo ma wiele znaczeń. Występuje w miejscu, gdzie mowa jest o jedzeniu. O mleku

1 miodzie. Oznacza chyba rodzyнки. Pulchne i prawdopodobnie kandyzowane lub słodzone.

- Zabijają się dla rodzynek?
- Chciałbym zobaczyć ich miny.
- Jest pan lingwistą?
- Mówię po angielsku — odpowiedziałem. — I po francusku. A swoją drogą, dlaczego zamachowczynie miałyby marzyć o hurysach? Wiele świętych tekstów jest źle przetłumaczonych. Zwłaszcza gdy mowa o dziewicach. Z Nowym Testamentem jest chyba podobnie. Niektórzy mówią, że Maria była pierworódką. Takie jest znaczenie tego hebrajskiego słowa. Nie oznacza dziewicy. Ten, kto to napisał, śmiały się widząc, co z tego zrobiliśmy.

Theresa Lee w ogóle tego nie skomentowała.

- Dobrze się pan czuje? — zapytała zamiast tego. Zrozumiałem, że chce się dowiedzieć, czy nie jestem wstrząśnięty. I czy nie powinna mi zaproponować opieki psychologa. Może dlatego, że wzięła mnie za milczka, który zaczął nagle za dużo gadać. Okazało się jednak, że byłem w błędzie.
- Nic mi nie jest — odparłem i trochę ją to zdziwiło.
- Na pana miejscu żałowałabym, że do niej podeszłam — powiedziała. — Tam w metrze. Moim zdaniem doprowadził ją pan do ostateczności. Być może kilka stacji dalej wzięłaby się

w garść i przestała przejmować tym, co ją tak zdenerwowało.

•••

Po tych słowach siedzieliśmy przez minutę w milczeniu. Do Pokoju zajrzał w końcu duży sierżant i dał Lee znak, żeby wyszła

2       nim na korytarz. Usłyszałem krótką prowadzoną szeptem rozmowę, a potem Lee wróciła i poprosiła, żebym pojechał z nią na Zachodnią Trzydziestą Piątą. Na posterunek.

39

—       Po co? — zapytałem.

Theresa Lee zawahała się.

—       To formalność. Żebyśmy mogli spisać pańskie zeznania i zamknąć sprawę.

—       Czy mam jakiś wybór w tej kwestii? — zapytałem.

—       Niech pan nie idzie tą drogą. Chodzi o izraelską listę — powiedziała. — Moglibyśmy uznać, że cała sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Jest pan ważnym świadkiem, możemy pana trzymać, aż pan się zestarzeje i umrze. Lepiej niech pan się zachowuje jak porządny obywatel.

Wzruszyłem więc ramionami i wyszedłem razem z nią z Grand Central na Vanderbilt Avenue, gdzie zaparkowała samochód. Nieoznakowany ford crown victoria był poobijany i brudny, ale dojechaliśmy nim bez problemów na Trzydziestą Piątą. Weszliśmy na posterunek przez okazałą starą bramę i Theresa Lee zaprowadziła mnie na górę do pokoju przesłuchań. Puściła mnie przodem, następnie zaś zatrasnęła drzwi i zamknęła je na klucz z drugiej strony.

8

Theresa Lee wróciła do mnie dwadzieścia minut później z teczką i drugim policjantem. Położyła teczkę na stole i przedstawiła faceta jako swojego partnera. Powiedziała, że nazywa się Docherty i ma kilka pytań, które powinny chyba zostać zadane i na które powinienem odpowiedzieć na samym początku.

—       Co to za pytania? — zapytałem.

Najpierw zaproponowała mi kawę i wizytę w toalecie. Zgodziłem się na jedno i drugie. Docherty zaprowadził mnie korytarzem do łazienki, a kiedy wróciliśmy, na stole obok teczki stały trzy styropianowe kubki. Dwie kawy, jedna herbata. Wziąłem kawę i spróbowałem jej. Była w porządku. Lee wzięła herbatę, Docherty drugą kawę.

—       Niech pan opowie jeszcze raz, jak to było — powiedział.

Opowiedziałem mu więc, gołe fakty, a on podobnie jak wcześniej Lee zdziwił się, że punkty z izraelskiej listy doprowadziły mnie do popełnienia błędu pierwszego rodzaju. Powiedziałem mu to samo co Lee: że błąd pierwszego rodzaju jest lepszy niż błąd drugiego rodzaju i że jeśli spojrzymy na to z punktu widzenia martwej kobiety, nie ma większego znaczenia, czy chciała zginąć sama, czy pociągnąć za sobą tłum. Sygnały byłyby takie same. Na P1(?c minut atmosfera zrobiła się akademicka: byliśmy trojgiem specjalistów omawiających ciekawe zjawisko.

41

Potem ton rozmowy się zmienił.

—       Jak pan się czuł? — zadał pytanie Docherty.

—       Kiedy?

—       Kiedy się zabijała?

—       Cieszyłem się, że nie zabija mnie.

—       To jest wydział zabójstw — oświadczył Docherty. — Musimy dokładnie zbadać wszystkie nagłe zgony. Rozumie pan, prawda? Po prostu na wszelki wypadek.

—       Na wypadek czego? — zapytałem.

—       Na wypadek gdyby to nie było to, na co wygląda.

—       Nie ma tu żadnego drugiego dna. Ta kobieta się zastrzeliła.



- To pan tak mówi.
- Nikt nie mówi, że było inaczej. Bo to właśnie się wydarzyło.
- Zawsze są jakieś inne scenariusze.
- Naprawdę?
- Może to pan ją zastrzelił — powiedział Docherty.

Theresa Lee posłała mi współczujące spojrzenie.

- Nie zrobiłem tego — odparłem.
- Może to był pański rewolwer — ciągnął Docherty.
- Nie był. Ważył całe dwa funty. Nie noszę żadnej torby.
- Jest pan dużym facetem. Duże spodnie. Duże kieszenie.

Theresa Lee znowu spojrzała na mnie ze współczuciem. Jakby chciała mnie przeprosić.

- Co to ma być? — zapytałem. — Dobry policjant, głupi policjant?
- Uważa pan, że jestem głupi?
- Właśnie pan to udowodnił. Gdybym zastrzelił ją z magnum kalibru trzysta pięćdziesiąt siedem, miałbym resztki prochu aż do łokcia. Mimo to stał pan przed chwilą na korytarzu, kiedy myłem ręce w łazience. Opowiada pan bzdury. Nie zdjął mi pan odcisków palców ani nie pouczył o przysługujących mi prawach. Błefuje pan.
- Musimy się upewnić.
- Co mówi lekarz sądowy?

42

\_Jeszcze tego nie wiemy.

\_Byli przecież świadkowie.

Lee potrząsnęła głową.

\_ To na nic. Nic nie widzieli.

— Musieli widzieć.

\_Zasłaniał pan im widok plecami. Poza tym nie patrzyli, byli śpiący i nie mówią zbyt dobrze po angielsku. Nie mieli nic do zaoferowania. Ogólnie chyba chcieli się zmyć, zanim zaczniemy ich pytać o zielone karty.

— A ten drugi facet? Siedział przede mną. Nie był wcale śpiący. Wyglądał na amerykańskiego obywatela i kogoś, kto mówi po angielsku.

— Jaki drugi facet?

— Piąty pasażer. W lnianych spodniach i golfowej koszulce.

Lee otworzyła teczkę i potrząsnęła głową.

— Było tylko czworo pasażerów plus ta kobieta.

9

Wyjęła z teczki kartkę, obróciła ją i przesunęła do mnie po stole. Była na niej lista świadków. Cztery nazwiska. Moje, a także Rodriguez, Frujlov i Mbele.

— Czworo pasażerów — powtórzyła.

— Byłem w tym pociągu. Potrafię liczyć. Wiem, ilu tam było pasażerów.

Odtworzyłem całą scenę w pamięci. Wyjście z pociągu, oczekiwanie w niewielkiej grupce przemieszczających się ludzi. Przybycie ekipy z ambulansu. Gliniarze, którzy wychodzili kolejno z pociągu, przeciskali się między ludźmi, brali pod łokieć świadków, prowadzili ich do oddzielnych pomieszczeń. Ja byłem pierwszy, podszedł do mnie wielki sierżant. Trudno powiedzieć, czy naszym śladem ruszyło czterech, czy tylko trzech gliniarzy.

— Musiał się wymknąć — powiedziałem.

— Co to za facet? — zapytał Docherty.

— Zwyczajny. Czujny, ale niczym się niewyróżniający. W moim wieku, nie wyglądał na biednego.

— Czy coś zaszło między nim i kobietą?

- Z tego, co widziałem, nie.
- Czy on ją zastrzelił?
- Sama się zastrzeliła.

44

Docherty wzruszył ramionami.

\_Więc facet nie chciał po prostu składać zeznań. Nie chce, by wydało się, że o drugiej w nocy był poza domem. Prawdopodobnie zdradza żonę. Stale mamy z tym do czynienia.

\_Uciekł. A wy go wypuściliście i zamiast tego przesłuchujecie mnie.

\_ Sam pan zeznał, że tamten nie był zamieszany.

- Ja też nie byłem zamieszany.
- To pan tak mówi.
- Wierzycie mi w kwestii tamtego faceta, ale nie kiedy mówię o sobie?
- Dlaczego miałby pan kłamać w kwestii tamtego faceta?
- To strata czasu — stwierdziłem.

Ponieważ była to strata czasu. Tak monstrualna i głupia, że uświadomiłem sobie nagle, iż nie mówią serio. Wszystko to było wyreżyserowane. Zdałem sobie sprawę, że w gruncie rzeczy Lee i Docherty wyświadczają mi drobną przysługę.

To nie jest to, na co wygląda.

- Kim była? — zapytałem.
- Dlaczego miałyby kimś być? — odparł Docherty.
- Ponieważ kiedy ją zidentyfikowaliście, komputery rozświeciły się jak choinka. Ktoś zadzwonił do was i kazał zatrzymać mnie tutaj do swojego przyjazdu. Nie chcieliście, żeby w moich aktach znalazł się wpis o aresztowaniu, więc przetrzymujecie mnie, zawracając głowę tymi bzdurami.

Mamy w nosie pańskie akta. Nie chce nam się po prostu odwalać papierkowej roboty.

- Więc kim była?

~ Najwyraźniej pracowała dla rządu. Funkcjonariusze federalni są w drodze, żeby zadać panu kilka pytań. Nie wolno nam zdradzić, z jakiej są agencji.

•••

Zostawili mnie samego i zamknęli drzwi na klucz. Pokój był Porządku. Brudny, gorący, pozbawiony okien, z wiszącymi na

45

ścianach starymi plakatami o zapobieganiu przestępczości oraz unoszącymi się w powietrzu zapachami potu, nerwów i przypa. lonej kawy. Stały w nim stół i trzy krzesła. Dwa dla detektywów, jeden dla podejrzanego. Dawniej podejrzanym brał być może po pysku i był zrzucany z krzesła. Niewykluczone, że teraz też. Trudno powiedzieć, co się dzieje, kiedy pokój nie ma okien.

Obliczałem w pamięci, ile trwa zwłoka. Od rozmowy, którą Theresa Lee przeprowadziła szeptem na korytarzu Grand Central, minęła już godzina. Dlatego wiedziałem, że to nie FBI. Ich biuro terenowe w Nowym Jorku jest największe w całym kraju i mieści się przy Federal Plaza, niedaleko ratusza. Dziesięć minut na reakcję, dziesięć minut na zorganizowanie ekipy, dziesięć minut na dojazd z włączonymi syrenami i światłami. Agenci FBI przybyliby dawno temu. To pozostawiało na placu boju parą innych trzyliterowych agencji. Założyłem się sam ze sobą, że ktokolwiek złoży mi wizytę, skrót będzie się kończył na IA. CIA, DIA. Centralna Agencja Wywiadowcza, Agencja Wywiadu Obronnego. Może jakaś inna, niedawno utworzona i z tego względu nieznaną. Panika w środku nocy była jak najbardziej w ich stylu. Po dwóch godzinach doszedłem do wniosku, że muszą jechać z Waszyngtonu.

Wskazywałoby to na jakąś małą wyspecjalizowaną instytucję. Wszyscy inni mieli swoje biura

terenowe bliżej. Przestałem spekulować, przechyliłem krzesło do tyłu, położyłem stopy na stole i zasnąłem.

•••

Nie dowiedziałem się, kim dokładnie są. Nie wtedy. Nie powiedzieli mi. O piątej rano do środka wparowali trzej faceci w garniturach i mnie obudzili. Byli grzeczni i rzeczowi. Mieli czyste garnitury, uprasowane i średnio drogie. Oczy jasne, włosy umyte i krótko ostrzyżone. Twarze różowe i rumiane. Sylwetki przysadziste, ale wysportowane. Wyglądali, jakby mogli przebiec pół maratonu bez większego trudu, ale też bez specjalnej frajdy—Od razu odniosłem wrażenie, że w cywilu są od niedawna-

46

Gorliwi sztabowcy zatrudnieni w jednym z budynków z piaskowca po wewnętrznej stronie Beltway. Pełni zaangażowania wykonujący ważną pracę. Poprosiłem, żeby pokazali mi swoje legitymacje, oni jednak zacytowali Ustawę Patriotyczną i oznajmili, że nie są zobowiązani się przedstawiać. Prawdopodobnie nie mijali się z prawdą i widać było, że sprawia im to sporą frajdę. Zastanawiałem się, czy nie zrewanżować im się, odmawiając zeznań, ale domyślili się tego i zacytowali kolejne przepisy tej ustawy, z których niedwuznacznie wynikało, że idąc tą drogą, ściągnę sobie na głowę kłopoty. Boję się niewieleu rzeczy, ale w zasadzie lepiej nie zadzierać z dzisiejszymi służbami bezpieczeństwa. Franz Kafka i George Orwell daliby mi tę samą radę. Wzruszyłem więc ramionami i poprosiłem, żeby zadawali swoje pytania. Zaczęli od tego, że znają przebieg mojej służby wojskowej i odnoszą się do niej z wielkim szacunkiem, co mogło być albo pozbawionym wszelkiego znaczenia frazesem, albo świadectwem, że sami pracowali w żandarmerii. Nikt nie szanuje wojskowych policjantów z wyjątkiem samych wojskowych policjantów. Następnie dodali, że zamierzają mnie pilnie obserwować i będą wiedzieli, kiedy mówię prawdę, a kiedy kłamię. Co było wierutną bzdurą, ponieważ tylko najlepsi z nas potrafią to robić, a ci faceci nie byli najlepsi — gdyby byli, zajmowałiby bardzo wysokie stanowiska i w związku z tym spaliby w tym momencie smacznie we własnym domu gdzieś na peryferiach Waszyngtonu, a nie pędzili w środku nocy międzystanową 1-95.

Nie miałem jednak nic do ukrycia i poprosiłem ich jeszcze raz, żeby zadali mi pytania. Interesowały ich głównie trzy sprawy. Po pierwsze: Czy znałem obietę, która zabiła się w metrze? Czy kiedykolwiek wcześniej ją spotkałem?

Nie — odpowiedziałem. Krótko i węzłowato, niezbyt głośno, lecz stanowczo.

Nie wracali do tego. Co zasugerowało mi z grubsza, kim są

C0 r°bią- Byli czyjąś drużyną B, wysłaną na północ, żeby

47

zamknąć otwarte dochodzenie. Chcieli je zakończyć, zakopać wykreślić to, co wzbudziło w kimś bliżej nieokreślone podej. rzenia. Chcieli otrzymać negatywną odpowiedź na każde pytanie, żeby można było zamknąć akta i odłożyć je na półkę. Nie chcieli, aby w tej sprawie pozostał choć jeden znak zapytania, i nie zamierzali się na niej zbyt koncentrować, robić z niej wielkiej afery. Pragnęli ruszyć z powrotem w drogę i o wszystkim zapomnieć.

Drugie pytanie: Czy znam niejaką Lilę Hoth?

— Nie — odpowiedziałem, ponieważ jej nie znałem. Wtedy jeszcze nie.

Trzecie pytanie przypominało bardziej dialog. Rozpoczął go agent prowadzący. Główny facet. Był trochę starszy i trochę mniejszy od pozostałych dwóch. Może także nieco bystrzejszy.

— Podszedł pan do tej kobiety w metrze — oznajmił.

Nie odezwałem się. Miałem odpowiadać na pytania, a nie komentować stwierdzenia.

— Jak blisko niej pan się znalazł? — zapytał facet.

— Jakies sześć stóp — odparłem. — Mniej więcej.

- Dość blisko, żeby jej dotknąć?
- Nie.
- Czy gdyby wyciągnął pan rękę, a ona wyciągnęła swoją, moglibyście się dotknąć?
- Niewykluczone.
- To znaczy tak czy nie?
- To znaczy niewykluczone. Wiem, jakiej długości mam rękę. Nie wiem, jak długie miała ona.
- Czy coś panu podała?
- Nie.
- Czy wziął pan coś od niej?
- Nie.
- Czy zabrał pan jej coś, kiedy była już martwa?
- Nie.
- Czy zrobił to ktoś inny?
- Nie widziałem.

48

\_ Czy widział pan, żeby coś wypadło jej z ręki, z torby albo z ubrania?

- Nie.
- Czy coś panu powiedziała?
- Nic istotnego.

\_ Czy rozmawiała z kimś innym?

- Nie.
- Czy mógłby pan opróżnić kieszenie? — poprosił facet.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem nic do ukrycia. Opróżniłem kolejno wszystkie kieszenie, wykładając ich zawartość na poobijany stół. Zwinięty plik banknotów i kilka monet. Stary paszport. Kartę do bankomatu. Kieszonkową szczoteczkę do zębów. Nowojorską kartę miejską, dzięki której znalazłem się w metrze. Oraz wizytówkę Theresy Lee.

Facet popfzesuwał moje rzeczy wyciągniętym palcem i skinął na jednego ze swoich podwładnych, który podszedł bliżej, żeby mnie obmacać. Zrobił to w miarę fachowo, nie znalazł nic więcej i potrząsnął głową.

— Dziękuję, panie Reacher — rzekł szef grupy, po czym wyszli tak samo szybko, jak się pojawili. Byłem trochę zaskoczony, ale raczej zadowolony. Schowałem z powrotem do kieszeni swoje rzeczy, poczekałem, aż agentów nie będzie na korytarzu, i opuściłem pokój przesłuchań. Na zewnątrz było cicho. Zobaczyłem, że Theresa Lee siedzi za biurkiem, a Docherty prowadzi jakiegoś faceta do boksu na tyłach sali odpraw. Facet był zużyтым czterdziestokilkulatkiem średniej postury. Miał na sobie pognieciony szary T-shirt i czerwone spodnie od dresu. Wychodząc z domu, zapomniał uczesać włosy. To nie ulegało wątpliwości. Były siwe i każdy sterczał w inną stronę.

Członek rodziny — powiedziała Theresa Lee, widząc, że 8° obserwuję,

~~ Tej kobiety?

Lee pokiwała głową. ^ Miała w portfelu jego dane. To jej brat. Też jest policjantem. mafym miasteczku w New Jersey. Od razu tu przyjechał.

49

- Biedaczysko.
  - Wiem. Nie prosiliśmy go, żeby dokonał formalnej identyfikacji. Jest zbyt rozbity. Poinformowaliśmy go, że w drodze jest zamknięta trumna. Zrozumiał aluzję.
  - Ale wiecie na pewno, że to ona?
- Lee ponownie pokiwała głową.
- Po odciskach palców.

— Kim była?  
— Nie wolno mi tego powiedzieć.  
— To wszystko?  
— Federalni skończyli pana przesłuchiwać?  
— Na to wygląda.  
— Więc do widzenia. To wszystko — powiedziała i ruszyłem w stronę schodów. — Nie mówiłam serio o tym, że doprowadził ją pan do ostateczności! — zawołała, kiedy zacząłem po nich schodzić.

— Owszem, mówiła pani serio — odparłem. — I niewykluczone, że miała pani rację. Wyszedłem na zewnątrz, skręciłem w lewo w Trzydziestą Piątą i ruszyłem na wschód. Ranek był chłodny. Theresa Lee powiedziała, że to wszystko. Ale to nie było wszystko. Na rogu czekali, żeby ze mną pogadać, kolejni czterej faceci. Podobni do tych, którzy rozmawiali ze mną wcześniej, lecz niebędący agentami federalnymi. Mieli zbyt drogie garnitury.

10

Świat wszędzie jest taką samą dżunglą, ale Nowy Jork jest jej kwintesencją. To, co gdzie indziej jest przydatne, tutaj po prostu niezbędne. Widząc czterech czekających na ciebie na rogu facetów, możesz albo bez wahania dać nogę w przeciwnym kierunku, albo iść dalej, nie przyspieszając, nie zwalniając i nie myląc kroku. Możesz patrzeć obojętnie przed siebie, przyjrzeć się ich twarzom i odwrócić wzrok, jakbyś chciał powiedzieć: „To wszystko, na co was stać?”.

Prawdę mówiąc, sprytniej jest uciec. Najlepszą bójką jest ta, w której nie wzięłeś udziału. Ale nigdy nie twierdziłem, że jestem sprytny. Raczej uparty i czasami w złym humorze. Niektórzy ludzie uciekają i wyładowują się na innych. Ja idę dalej.

Garnitury facetów były granatowe i wyglądały, jakby kupiono je w sklepie z cudzoziemskim nazwiskiem na szyldzie. Odziani w me m<?żczyźni wydawali się sprawni fizycznie. Tak jak sprawni są Podoficerowie. Obeznani z tym, jak funkcjonuje świat, dumni z tego, że potrafią zrobić to, co do nich należy. Byli z pewnością e swojskowymi, ekspolicjantami albo eks jednymi i drugimi. 0 f.eze 1 ludzi, którzy wspięli się szczebel wyżej, jeśli chodzi zasad 1 ZCSZ^ szczebel niżej, jeśli chodzi o przestrzeganie i przepisów, i oba te fakty uważali za coś pozytywnego, y miałem do nich cztery kroki, rozdzielili się na dwie

51

pary. Zostawili mi miejsce, gdybym chciał przejść, ale pierwszy facet po lewej stronie podniósł obie dłonie, wykonując gest, który oznaczał jednocześnie dwie rzeczy: „proszę się zatrzymać” i „nie stanowimy zagrożenia”. Robiąc następny krok, musiałem się zdecydować. Nie można stanąć pośrodku czterech facetów. Trzeba albo się wcześniej zatrzymać, albo się między nimi precyzyjnie przycisnąć. W tym momencie mogłem jeszcze dokonać wyboru. Łatwo było się zatrzymać, łatwo iść dalej. Gdyby próbowali zewrzeć szyki, kiedy byłem w ruchu, odpadliby ode mnie jak kręgle. Ważę dwieście pięćdziesiąt funtów i poruszałem się z szybkością czterech mil na godzinę.

— Możemy porozmawiać? — zapytał facet, kiedy zostały mi do nich tylko dwa kroki. Stałem w miejscu.

— O czym? — zapytałem.

— Jest pan świadkiem, tak?

— A wy kim jesteście?

Facet odpowiedział, odchylając powoli i najwyraźniej bez złych zamiarów poję marynarki i nie pokazując mi niczego poza czerwoną satynową podszewką i koszulą. Nie zobaczyłem broni, kabury ani pasa. Wsadził palce prawej dłoni do wewnętrznej kieszeni i wyjął z niej wizytówkę. Pochylił się do przodu i poda! mi ją. Wizytówka należała do tych tanich.

PEWNOŚĆ I PRZEKONANIE SA, brzmiała pierwsza linijka. Ochrona, czynności

dochodzeniowe, interwencje, widniało w drugiej. W trzeciej linijce był numer telefonu zaczynający się od prefiksu 212. Manhattan.

— Punkty ksero to wspaniałe miejsce — powiedziałem. — Może każę tam sobie wydrukować wizytówki z napisem John Smith, Król Świata.

— Karta jest prawdziwa — odparł facet. — I my jesteśmy prawdziwi.

— Dla kogo pracujecie?

— Nie możemy powiedzieć.

— W takim razie nie mogę wam pomóc.

52

— Lepiej, żeby pan porozmawiał z nami niż z naszym klientem. My możemy to załatwić w cywilizowany sposób. — Teraz naprawdę się boję.

— Tylko parę pytań. To wszystko. Niech pan nam pomoże.

Jesteśmy zwykłymi ludźmi pracy próbującymi zarobić na chleb. Tak jak pan.

— Ja nie jestem człowiekiem pracy. Prowadzę próżniacze życie.

— Więc niech pan na nas spojrzy z góry i się ulituje.

— Co to za pytania?

— Czy ona coś panu dała?

— Kto?

— Wie pan kto. Czy coś pan od niej wziął?

— I? Jakie jest następne pytanie?

— Czy coś-powiedziała?

— Mówiła bardzo dużo. Mówiła przez całą drogę z Bleeker Street do Grand Central.

— Co mówiła?

— Niewiele z tego słyszałem.

— Jakież informacje?

— Możliwe.

— Czy wymieniła jakieś nazwiska?

— Niewykluczone.

— Czy wspominała o Liii Hoth?

— Nie słyszałem.

— Czy wspominała o Johnie Sansomie? Nie odpowiedziałem.

Co? — zapytał facet.

Słyszałem już gdzieś to nazwisko — powiedziałem.

— Od niej?

— Nie.

Czy coś panu dała? Co konkretnie? Cokolwiek. ~ Powiedzcie, dlaczego to takie ważne.

53

— Nasz klient chce to wiedzieć.

— Powiedzcie mu, żeby przyszedł i sam mnie zapytał.

— Lepiej, żeby pan porozmawiał z nami.

Uśmiechnąłem się i ruszyłem dalej przejściem, które utworzyli,

ale jeden z facetów próbował mnie zatrzymać. Odsunąłem go z drogi, lecz on nie dawał za wygraną, więc zatrzymałem się, zrobiłem unik w prawo i w lewo, okrążyłem go i pchnąłem tak mocno, że stracił równowagę. Jego marynarka miała pojedyncze środkowe rozcięcie.

Francuski krój. Brytyjczycy wolą dwa rozcięcia, Włosi nie robią żadnych. Pochyliłem się, złapałem każdą połą jedną ręką, po czym rozdarłem szew na całej długości i ponownie go pchnąłem. Poleciał głową do przodu i zatoczył się w prawo. Marynarka wisiła na nim teraz na samym kołnierzu. Rozpięta z przodu i rozdarta z tyłu niczym szpitalny fartuch.

Następnie przebiegłem trzy kroki do przodu, zatrzymałem się i odwróciłem. Zachowałbym się z większą godnością, idąc dalej wolnym krokiem, jednak byłoby to również o wiele głupsze. Luzactwo jest w porządku, lecz lepiej być zwartym i gotowym. Cała czwórka przez chwilę autentycznie się wahała. Chcieli mi spuścić łomot. To nie ulegało wątpliwości. Staliśmy jednak na Zachodniej Trzydziestej Piątej, o brzasku. O tej porze można tu spotkać prawie wyłącznie gliniarzy. Więc ostatecznie faceci zmierzli mnie tylko groźnym wzrokiem i odeszli. Przecięli gęsiego Trzydziestą Piątą Ulicę i na rogu skęcili na południe.

To wszystko.

Ale to nie było wszystko. Kiedy się odwróciłem, z posterunku wyszedł facet i pobiegł za mną. Pognieciony T-shirt, czerwone spodnie od dresu, siwe włosy sterczące każdy w inną stronę. Członek rodziny. Brat. Małomiasteczkowy gliniarz z New Jersey. Dogonił mnie, złapał pod łokieć kościstymi palcami i po\* wiedział, że widział mnie w komisariacie i domyślił się, że jestem świadkiem. Następnie oznajmił, że jego siostra nie po\* pełniła samobójstwa.

11

Zabrałem go do kafejki przy Ósmej Alei. Dawno temu wysłano mnie na jednodniowe policyjne seminarium w Fort Rucker, abym nauczył się traktować delikatnie ludzi pograżonych w żałobie. Żandarm musi czasami przekazać złe wiadomości krewnym. Nazywaliśmy je hiobowymi wieściami. Panowała powszechna opinia, że moje predyspozycje w tym kierunku są niewystarczające. Wchodziłem po prostu do ludzi i mówiłem im, jak się rzeczy mają. Uważałem, że na tym polega przekazywanie wiadomości. Najwyraźniej jednak się myliłem. Dlatego wysłano mnie do Rucker. Nauczyłem się tam pożytecznych rzeczy. Nauczyłem się, że emocje trzeba traktować serio. Przede wszystkim jednak dowiedziałem się, że dobrym miejscem do przekazywania złych wiadomości jest kawiarnia albo restauracja. Publiczna atmosfera zmniejsza prawdopodobieństwo, że bliscy zmarłego kompletnie się załamią, a cała procedura zamawiania i popijania spowalnia przepływ informacji, dzięki czemu stają się łatwiejsze do przełknięcia.

Usiedliśmy w boksie przy lustrze. To też pomaga. Można patrzeć na odbicie tej drugiej osoby. Jest się z nią twarzą w twarz, e niezupełnie. Lokal był mniej więcej w połowie pełny.

Gliniarze z komisariatu, taksówkarze w drodze do bazy w West 1 e. Zamówiliśmy kawę. Chciałem także zamówić coś do

55

jedzenia, ale nie zamierzałem jeść, jeśli on nie miał na to ochoty. Okazałbym w ten sposób brak szacunku. Facet oświadczył, że nie jest głodny. Milczałem i czekałem. Trzeba dać im się wygadać, tak mówili psychologowie w Rucker.

Powiedział, że nazywa się Jacob Mark. W czasach jego dziadka, kiedy greckie nazwiska nie były dobrze widziane, chyba że prowadziło się delikatesy, rodzina nazywała się Markakis. Dziadek pracował w branży budowlanej. Stąd zmiana. Jacob powiedział, że mogę do niego mówić Jake. Odparłem, że może do mnie mówić Reacher. Powiedział, że jest gliniarzem. Odparłem, że też nim kiedyś byłem, w wojsku. Powiedział, że nie ma żony i mieszka sam. Odparłem, że to samo można powiedzieć o mnie. Szukajcie tego, co was łączy, mówili nauczyciele w Rucker. Pomijając potargane włosy i niedbały strój, z bliska sprawiał wrażenie dobrze zorganizowanego. Dostrzegłem w nim coś ze znużonego gliniarza, lecz pod spodem był normalnym facetem z przedmieścia. Gdyby trafił na innego doradcę zawodowego, mógłby zostać nauczycielem fizyki, dentystą albo sprzedawcą części samochodowych. W wieku czterdziestu lat kompletnie osiwiiał, miał jednak młodzieńczą gładką twarz. Ciemne oczy były szeroko otwarte i wytrzeszczone, ale to chwilowe. Przed kilkoma godzinami, kiedy kładł się spać, musiał być przystojnym mężczyzną. Z miejsca go polubiłem i zrobiło mi się go żal.

Wziął głęboki oddech i powiedział, że jego siostra nazywała się Susan Mark. Po ślubie zmieniła nazwisko na Susan Molina, jednak przed wielu laty rozwiodła się i wróciła do

panieńskiego. Teraz mieszkała sama. Mówił o niej w czasie teraźniejszym. Widziałem, że długo potrwa, zanim pogodzi się z jej śmiercią-

— Nie mogła się zabić — oświadczył. — To po prostu niemożliwe.

— Byłem tam, Jake — powiedziałem.

Kelnerka przyniosła nam kawę i przez chwilę popijaliśmy ją w milczeniu. Czekałem, aż to wszystko do niego dotrze. Psychologowie w Rucker byli w tej kwestii zgodni: ludzie, którym nagle zginął ktoś bliski, mają iloraz inteligencji labradora. Ujęli to

56

mało delikatnie, ponieważ byli wojskowymi, ale trafnie, ponieważ byli psychologami.

\_Opowiedz mi, jak to się stało — poprosił Jake.

— Skąd jesteś? — zapytałem.

Wymienił nazwę małego miasteczka na północy New Jersey, wchodzącego w skład metropolii Nowego Jorku, prosperującego, bezpiecznego i szczęśliwego, zamieszkanego przez dojeżdżających do pracy facetów i mamusię wożące swoje pociechy na treningi. Powiedział, że tamtejsza policja ma odpowiednie fundusze, jest dobrze wyposażona i w zasadzie się nie przepracowuje. Zapytałem, czy mają tam kopię izraelskiej listy. Odparł, że po ataku na World Trade Center wszystkie komisariaty zostały zarzucone tonami papieru i każdy funkcjonariusz musiał się nauczyć wszystkich punktów na pamięć.

— Twoja siostra dziwnie się zachowywała, Jake — powiedziałem. — Potwierdzały się wszystkie punkty. Wyglądała jak zamachowiec-samobójca.

— Bzdura — obruszył się, jak zrobiłby to każdy dobry brat.

— To oczywiste, że nim nie była — zgodziłem się. — Ale pomyślałbyś to samo co ja.

Musiałbyś, bo tak cię wyszkolono.

— W takim razie lista dotyczy bardziej samobójcy niż zamachowca.

— Najwyraźniej.

— Nie była nieszczęśliwa.

— Musiała być.

Nie odpowiedział. Popijaliśmy przez chwilę kawę. Ludzie wchodzili i wychodzili. Płacono rachunki, zostawiano napiwki. Ruch na Ósmej robił się coraz gęstszy.

Opowiedz mi o niej — poprosiłem.

— Jakiej użyła broni? — zapytał.

Starego rugera speed six.

To rewolwer naszego taty. Dostała go w spadku.

— Gdzie mieszkała? Tu, w Nowym Jorku?

Jake potrząsnął głową.

— W Annandale w Wirginii.

57

— Wiedziałaś, że tu się wybiera?

Ponownie potrząsnął głową.

— Po co przyjechała?

— Nie wiem.

— Dlaczego miała na sobie zimową kurtkę?

— Nie wiem.

— Jacyś agenci federalni przyjechali, żeby zadać mi kilka pytań — powiedziałem. — A potem, tuż zanim wyszedłem z posterunku, zaczęli mnie prywatni detektywi. Mówili o k<y biecie, która nazywa się Lila Hoth. Słyszałeś kiedykolwiek to nazwisko od swojej siostry?

— Nie.

— A Sansom, John Sansom?

— To kongresmen z Karoliny Północnej. Chce zostać senatorem. Jakiś dupek.



Pokiwałem głową. Z grubsza go sobie przypomniałem. Trwali kampania wyborcza. Widziałem coś w gazetach i telewizji Sansom dość późno zaczął karierę polityczną i był wschodzącą gwiazdą. Uważano go za twardego i bezkompromisowego. I ambitnego. Dobrze radził sobie w biznesie, a przedtem dobra radził sobie w wojsku. Wspominał, że służył w siłach specjalnych bez wdawania się w szczegóły. Służba w siłach specjalnych przydaje się w takich momentach. Większość tego, co robią, jest tajna albo może być uznana za tajną.

— Czy twoja siostra kiedykolwiek wspominała o Sanso-mie? — zapytałem.

— Nie sędzę.

— Znała go? — zapytałem.

— Nie mam pojęcia, skąd mogłaby go znać.

— Jak zarabiała na życie? — zapytałem.

Nie chciał mi powiedzieć.

12

Nie musiał mi mówić. Wiedziałem dosyć, żeby się tego domyślić. Jej odciski palców były w bazie danych i trzej byli sztabowcy przypędzili autostradą, żeby po kilku minutach odjechać. To oznaczało, że Susan Mark pracowała w resorcie obrony, co prawda na niezbyt wysokim stanowisku. I mieszkała w Annandale w Wirginii. Na południowy zachód od Arlington. Miasteczko pewnie się zmieniło, odkąd tam ostatnio byłem, ale nadal żyło się tam chyba całkiem nieźle, w bezpośredniej bliskości największego na świecie budynku biurowego, przy drodze numer 244.

— Pracowała w Pentagonie — powiedziałem.

Nie wolno jej było mówić, gdzie pracuje — mruknął Jake. Potrząsnąłem głową.

Gdyby to była naprawdę tajemnica, powiedziałaaby ci, że pracuje w Wal-Marcie.

Nie odpowiedział.

Miałem kiedyś gabinet w Pentagonie — rzekłem. — Znam dobrze to miejsce. Chcesz się przekonać?

Po chwili wzruszył ramionami.

cywilną urzędniczką — odparł po jakimś czasie. —

JeJ opowieściach wydawało się to ekscytujące. Pracowała w dziale, która nazywa się CGUSAHRC. Nigdy mi o tym za

59

dużo nie mówiła. Dawała do zrozumienia, że to ściśle tajne. p0 World Trade Center ludziom nie wolno już tyle mówić.

— To nie jest dział — stwierdziłem. — To facet. Skrót oznacza Commanding General, United States Army, Human Resources Command. Generał dowodzący, Armia Stanów Zjednoczonych, dowództwo zasobów ludzkich. I w tym, co robi, nie ma nic ekscytującego. To dział kadr. Papierkowa robota i akta osobowe.

Jake nie odpowiedział. Uświadomiłem sobie, że uraziłem go, pomniejszając znaczenie tego, co robiła jego siostra. Może na tym seminarium w Rucker za mało mnie nauczyli. Może powinienem bardziej uważać. Cisza trwała odrobinę za długo i po-czułem się niezręcznie.

— Czy w ogóle cokolwiek ci o tym mówiła? — zapytałem.

— Niezupełnie. Może tak naprawdę nie było o czym mówić — stwierdził to z nutką goryczy, jakby złapano jego siostrę na kłamstwie.

— Ludzie koloryzują różne rzeczy, Jake. Taka jest ludzka natura. I na ogół nie ma w tym nic złego. Może wiedząc, że jesteś policjantem, chciała z tobą konkurować.

— Nie byliśmy ze sobą blisko.

— Ale należała do rodziny.

— No tak.

— Lubiała swoją pracę?

— Chyba tak. Musiała jej pasować. Miała odpowiednie predyspozycje do pracy w archiwum. Świetna pamięć, pedanteria, dryg do komputerów.  
Znowu umilkliśmy. Pomyślałem o Annandale. Przyjemne, ale dość banalne miasteczko. W zasadzie sypialnia. W tych konkretnych okolicznościach moją uwagę zwracała jedna rzecz. Annandale leżało bardzo daleko od Nowego Jorku.

Nie była nieszczęśliwa.

— Co jest? — zapytał Jake.

— Nic — odparłem. — To nie moja sprawa.

— Ale co?

— Po prostu myślę.

60

— O czym?

To nie jest to, na co wygląda.

\_Od jak dawna jesteś policjantem? — zapytałem.

\_Od osiemnastu lat.

\_Cały czas w tym samym miejscu?

\_Odbywałem staż w drogówce. Potem mnie przenieśli.

\_Widziałeś w Jersey dużo samobójstw?

— Może jedno albo dwa w ciągu roku.

— Czy ktoś się ich spodziewał?

— Raczej nie. Na ogół to wielkie zaskoczenie.

— Podobnie jak to.

— Masz rację.

— Ale za każdym z nich musiał stać jakiś powód.

— Zawsze. Finansowy, miłosny, jakiś sekret, który mógł wyjść na jaw.

— Więc twoja siostra musiała mieć powód.

— Nie wiem jaki — odparł.

Znowu umilkłem.

— Po prostu to z siebie wyduś. Powiedz mi — mruknął Jake.

— To nie jest moja rola.

— Byłeś gliniarzem. Coś dostrzegłeś.

Pokiwałem głową.

— Zgaduję, że na dziesięć samobójstw, które widziałeś, siedem zostało popełnionych w domu. A w trzech przypadkach samobójca jechał gdzieś blisko i zakładał szlauch na rurę wydechową.

Mniej więcej.

~ Ale zawsze w jakimś znanym mu miejscu. Spokojnym, gdzie będzie sam. Samobójca zawsze udaje się w jakieś określone miejsce. Dojeżdża tam, mobilizuje się i robi to.

Co chcesz powiedzieć? . ~~ Chcę powiedzieć, że nigdy nie słyszałem, żeby ktoś od-<sup>^j</sup>™ kilkaset mil od domu i popełnił samobójstwo w trakcie

— Mówiłem ci.

61

— Mówiłeś, że nie popełniła samobójstwa. Ale ona je popełniła. Widziałem, jak to zrobiła. Twierdzą tylko, że zrobiła to w bardzo niekonwencjonalny sposób. Szczerze mówiąc, chyba nie słyszałem, żeby ktoś popełnił kiedykolwiek samobójstwo w wagonie metra.

Owszem, pod kołami wagonu, ale nie w środku. Słyszałeś, żeby ktoś popełnił samobójstwo w środkach transportu publicznego, podczas jazdy?

— I co z tego?

— Nic. Po prostu pytam.

— Dlaczego?

— Dlatego. Myśl jak gliniarz, Jake. Nie jak brat. Co się robi, kiedy coś odbiega od normy?

— Draży się głębiej.

— Więc zrób to.

— To mi jej nie zwróci.

— Ale kiedy człowiek rozumie, co jest grane, bardzo mu to pomaga. — Tego również nauczyli mnie w Fort Rucker, choć nie na zajęciach z psychologii.

Kelnerka dołała mi kawy, a Jacob Mark wziął do ręki paczuszkę z cukrem i zaczął obracać ją w palcach, przesypując zawartość z jednego końca w drugi, jakby to była klepsydra.

Widziałem, że jego umysł pracuje jak umysł gliniarza, a serce jak serce brata. Widać to było na jego twarzy.

Draż głębiej. To mi jej nie zwróci.

— Co jeszcze? — zapytał.

— Był pewien pasażer, który zmył się, zanim dobrała się do niego policja.

— Kto to był?

— Zwykły facet. Gliniarze uważają, że nie chciał, by wypłynęło jego nazwisko. Uważają, że pewnie zdradzał żonę.

— To możliwe.

— Tak, to możliwe — zgodziłem się.

— Co jeszcze?

62

\_Zarówno agenci federalni, jak i prywatni detektywi pytali mnie, czy twoja siostra czegoś mi nie dała.

\_Czego konkretnie?

\_Nie powiedzieli. Domyślam się, że chodzi o coś małego.

\_Kim byli federalni?

— Nie powiedzieli.

— Kim byli ci prywatni faceci?

Uniosłem się odrobinę i wyjąłem wizytówkę z tylnej kieszeni. Tani papier zdążył się już pognieść i zabarwić na niebiesko od moich dżinsów. Nowe spodnie, świeża farba. Położyłem wizytówkę na stole, obróciłem ją i przesunąłem w jego stronę. Jake przeczytał ją powoli, może ze dwa razy. PEWNOŚĆ I PRZEKONANIE, SA. Numer telefonu. Wyjął komórkę i wybrał numer. Usłyszałem świergotliwy trzytonowy sygnał i nagraną wiadomość. Jake zaniknął klapkę.

— Nie ma połączenia. Fałszywy numer — powiedział.

13

Poprosiłem o drugą dolewkę kawy. Jake wpatrywał się w kelnerkę, jakby nigdy nie słyszał, że coś takiego jest możliwe. W końcu przestała się nami interesować i odeszła. Jake przesunął z powrotem wizytówkę w moją stronę.

— Nie podoba mi się to — stwierdził.

— Mnie też się nie podoba — powiedziałem.

— Powinniśmy wrócić do komisariatu i porozmawiać z policją.

— Ona się zabiła, Jake. To wszystko, co chcą wiedzieć. Nie obchodzi ich jak, gdzie i dlaczego.

— Powinno ich obchodzić.

— Może powinno. Ale nie obchodzi. Ciebie by obchodziło'

— Pewnie nie. — Zobaczyłem, że w jego oczach pojawia się pustka. Może odtwarzał w pamięci dawne sprawy. Wielkie domy usłane liśćmi drogi, adwokaci żyjący na wysokiej stopie 0 pieniądze powierzone im przez klientów, bojący się skandalu wstydu, wyrzucenia z palestry. Nauczyciele, których uczennic' zaszyły z nimi w ciążę. Ojcowie rodzin mający

kochanko' w Chelsea lub West Village. Miejscowi gliniarze starający się postępować z taktem i okazać szorstkie współczucie, poruszają się niczym słonie w tych cichych eleganckich wnętrzach, r°z' gładający się, ustalający fakty, piszący raporty, zapominają

64

I

zajmujący się innymi sprawami, niedbający o to jak, gdzie i dlaczego. — Masz jakąś teorię? — zapytał.

— Za wcześnie na teorię. Na razie mamy wyłącznie fakty — odparłem.

— Jakie fakty?

— Pentagon nie bardzo ufał twojej siostrze.

— To ciężkie oskarżenie.

— Była na liście osób obserwowanych, Jake. Musiała być.

Kiedy tylko wypłynęło jej nazwisko, trzech federalni osiodłali konie. Cała trójka. To wynikało z procedury.

— Nie zabawili tu długo. Pokiwałem głową.

— To oznacza, że nie byli zbyt podejrzliwi. Wyłącznie ostrożni. Może chodziło o jakąś drobną wątpliwość, w którą tak naprawę nie wierzyli. Przyjechali, żeby ją wykluczyć.

— Jakiego rodzaju drobną wątpliwość?

— Dotyczącą informacji — odparłem. — Tym właśnie dysponuje dział zasobów ludzkich.

— Podejrzewali, że Susan przekazuje informacje?

— Chcieli to wykluczyć.

— To znaczy, że w pewnym momencie uznali to za możliwe. Ponownie pokiwałem głową.

Może widzieli ją w innym gabinecie, jak otwierała cudze szafki. Albo doszli do wniosku, że sprawa jest do wyjaśnienia, jednak chcieli się upewnić. A może coś zginęło i nie wiedzieli, kogo obserwować, więc obserwowali wszystkich.

— Jakiego rodzaju informacje? ~ Nie mam pojęcia.

Jakieś skopiowane akta?

Coś mniejszego — powiedziałem. — Złożona kartka, nośnik ęci. Coś, co można podać z ręki do ręki w wagonie metra. — Była Patriotką. Kochała swój kraj. Nie zrobiłaby tego.

— r°mU nicze8° nie podała. więc nic nie mamy.

65

— Mamę twoją siostrę w odległości kilkuset kilometrów od domu z nabitym rewolwerem.

— Przestraszona — dodał Jake.

— Ubrana w zimową kurtkę, kiedy na dworze jest pl^ trzydzieści dwa stopnie.

— I mamy dwa nazwiska, które wypływają przy okazji tej sprawy — powiedział. — John Sansom i Lila Hoth, kimkolwiek, do diabła, jest. Hoth brzmi cudzoziemsko.

— Podobnie jak kiedyś Markakis.

Jake znowu umilkł, a ja sączyłem kawę. Jadące Ósmą Aleją samochody poruszały się coraz wolniej. Zaczynała się poranna godzina szczytu. Na południowym wschodzie wschodziło słońce, Jego promienie nie padały równoległe do ulic. Były niskie i rzucały długie ukośne cienie.

— Podsuń mi coś na początek — poprosił Jake.

— Za mało wiemy — odparłem.

— Pospekuluj.

— Nie mogę. Mógłbym wymyślić jakąś historię, ale byłoby w niej pełno dziur. I przede wszystkim mogłaby być kompletnie nieprawdziwa.

— Spróbuj. Daj mi cokolwiek. Zrobmy coś w rodzaju burzy mózgow.  
Wzruszyłem ramionami.

— Znasz jakichś byłych żołnierzy sił specjalnych?—zapytałem

— Dwóch albo trzech. Może czterech lub pięciu, wliczając w to funkcjonariuszy drogówki.

— Podejrzewam, że to nie są ludzie z sił specjalnych. Więk' szość z nich w ogóle tam nie służyła. To tak jak z ludźmi, którzy twierdzą, że byli na Woodstock. Gdyby im wszystkim uwierzyć, tłum musiałby liczyć z milion osób. Albo jak z nowojorczykami którzy widzieli, jak samoloty trafiają w wieże. Kiedy ich słuchasz wszyscy to widzieli. Żaden nie spojrział w złą stronę. Ludzi' twierdzący, że służyli w siłach specjalnych, chrzanią na og^ głupoty. Większość nie opuściła szeregów piechoty. Niektórz) nie służyli w ogóle w wojsku. Ludzie koloryzują.

66

\_\_ Tak jak moja siostra.

\_\_ Taka jest ludzka natura.

\_\_ Do czego zmierzasz?

\_\_ Opieram się na tym, co wiemy. Mamy dwa przypadkowe nazwiska, początek kampanii wyborczej i fakt, że twoja siostra pracowała w dziale zasobów ludzkich.

\_Myślisz, że John Sansom kłamie na temat swojej przeszłości?

\_Pewnie nie — odparłem. — Ale wszyscy chcą dodać sobie ważności. A polityka to bagno. Możesz być pewien, że ktoś w tej chwili bierze na celownik pralnię chemiczną, do której Sansom nosił przed dwudziestu laty swoje rzeczy, i sprawdza, czy prowadzący ją facet miał zieloną kartę. Więc nie trzeba mędrca, by zgadnąć, że ludzie sprawdzają jego biografię. To narodowy sport.

— Więc może ta Lila Hoth jest dziennikarką? Albo resear-cherką. Reporterką z kablówki. Albo z jakiejś stacji radiowej.

— Może jest przeciwniczką Sansoma.

— Nie z takim nazwiskiem. Nie w Karolinie Północnej.

— No dobrze, powiedzmy, że jest dziennikarką albo resear-cherką. Może próbowała usidlić jakiegoś urzędnika z działu zasobów ludzkich? I padło na twoją siostrę.

Czym mogłaby ją szantażować?

To pierwsza wielka luka w całej historii — odparłem. I rzeczywiście tak było. Susan Mark była zdesperowana i przerażona. Trudno sobie wyobrazić, żeby doprowadziła ją do tego dziennikarka. Dziennikarze potrafią być przekonującymi manipulatorami, ale nikt się ich specjalnie nie boi. — Czy Susan angażowała się politycznie? — zapytałem.

— Dlaczego pytasz?

głosił n'e lubiła Sansoma. Nie podobało jej się to, co

■ Może nawiązała współpracę z własnej woli.

\_\_ dlaczego była taka przerażona? jej d łamała PraW0 ~ Powiedziałem. — Żołądek podchodził

67

— I dlaczego zabrała ze sobą broń?

— Normalnie jej nie nosiła?

— Nigdy. Dostała ją w spadku. Trzymała ją w komodzie jak inni.

Wzruszyłem ramionami. Rewolwer był drugą wielką luką w tej historii. Ludzie wyjmują broń z szuflady z wielu możliwych powodów. Żeby się bronić, żeby kogoś zaatakować. Ale nigdy żeby mieć ją na wszelki wypadek, kiedy pod wpływem chwili uznają, że powinni ze sobą skończyć.

— Susan nie była raczej zaangażowana politycznie — stwierdził Jake.

— W porządku.  
— Z tego względu nic nie mogło jej łączyć z Sansmem.  
— Więc dlaczego wypłynęło jego nazwisko?  
— Nie wiem.  
— Musiała tu przyjechać autem — zauważyłem. — Nie można wnieść broni na pokład samolotu. W tym momencie odholowują pewnie jej samochód. Musiała przejechać przez Holland Tunnel i zaparkować gdzieś w śródmieściu.  
Jake nie odpowiedział. Moja kawa ostygła. Kelnerka przestała mi dolewać. Nasz stolik był niedochodowy. Reszta klienteli zdążyła się już dwa razy zmienić. Ciężko tyrający ludzie, w wiecznym pośpiechu, posilający się przed pracowitym dniem. Wyobraziłem sobie, jak dwanaście godzin wcześniej Susan Mark szykuje się do pracowitej nocy. Jak się ubiera. Odnajduje rewolwer ojca ładuje go i chowa do czarnej torby. Wsiada do samochodu dojeżdża drogą numer 236 do obwodnicy Beltway, jedzie nią zgodnie ze wskazówkami zegara, być może tankuje i skręca na północ w 1-95, zdesperowanie wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi oczyma.  
Posppekuluj, powiedział Jake. Nagle straciłem na to ochotę? Bo przypomniałem sobie słowa Theresy Lee. Tej detektyw Doprowadził ją pan do ostateczności. Jake zobaczył, że zastanawiam.

— Co jest? — zapytał.

68

— Przypuśćmy, że ktoś ją szantażował — powiedziałem. — I że było to coś śmiertelnie poważnego. Przypuśćmy, że Susan jechała, żeby przekazać informację, którą kazano jej przekazać. I przypuśćmy, że miała do czynienia ze złymi ludźmi. Nie wierzyła\* że przestaną ją szantażować. Myślała pewnie, że podniosą stawkę i zażądają czegoś więcej. Wpłatała się w to i nie wiedziała, jak się wyplatać. I przede wszystkim bardzo się ich bała. Była zdesperowana. Dlatego zabrała broń. Myślała, że może uda jej się jakoś wybronić, ale raczej na to nie liczyła. W gruncie rzeczy podejrzewała, że to się źle skończy.

— I co dalej?

— Miała sprawę do załatwienia. Dotarła już prawie do celu. W ogóle nie miała zamiaru się zastrzelić.

— Ale jak się do tego ma ta lista? Jej zachowanie?

— Nie ma wielkiej różnicy — odparłem. — Spodziewała się, że tam, dokąd jedzie, ktoś może zakończyć jej życie, dosłownie lub w przenośni.

14

— To nie wyjaśnia kwestii kurtki — stwierdził Jacob Mark  
Jednak moim zdaniem nie miał racji. Uważam, że wyjaśniało to dość trafnie kwestię kurtki. A także fakt, że zaparkowała w śródmieściu i ruszyła dalej metrem. Chciała zaskoczyć osobę, z którą się spotykała, pojawiając się z nieoczekiwanej strony, jakby wyłoniła się spod ziemi: uzbrojona, ubrana na czarno, gotowa do walki w ciemności. Może zimowa parka była jedynym czarnym ubraniem, jakie miała.  
I to wyjaśniało całą resztę. Lęk, poczucie, że jest zgubiona Pewnie mamrocząc pod nosem, powtarzała prośby, wyjaśnienia, argumenty, może nawet groźby, które zamierzała wysunąć. Może dzięki temu, że je powtarzała, wydawały jej się bardziej przekonujące. Wiarygodne. Krzepiące.

— Nie mogła jechać, żeby coś przekazać — powiedz-Jake — bo nic przy sobie nie miała.

— Mogła coś mieć — odparłem. — W głowie. Mówiłeś, że miała świetną pamięć. Dane dotyczące jednostek wojskowych^ daty, ramy czasowe, cokolwiek chcieli od niej uzyskać.

Próbował znaleźć jakiś argument, żeby się ze mną nie zgodzi  
Nie udało mu się.

— Tajne informacje... — mruknął. — Wojskowe sekre^i Jezu, nie mogę w to uwierzyć.

— Była pod presją, Jake.

— Swoją drogą, jakiego rodzaju wielkie tajemnice mają w dziale kadr, że warto zabić, by je zdobyć?

Nie odpowiedziałem, bo nie miałem pojęcia. Za moich czasów dowództwo zasobów ludzkich, HRC, nazywało się dowództwem kadr, PERSCOM. Przepracowałem trzynaście lat, w ogóle o nim nie myśląc. Ani razu. Papierkowa robota i archiwa. Wszystkie interesujące informacje znajdowały się gdzie indziej.

Jake poruszył się, przeczesał palcami nieumyte włosy, zacisnął dłonie na uszach i przesunął głowę przez utworzoną w ten sposób obręcz, jakby chciał się pozbyć sztywności w karku albo rozładować wewnętrzne napięcie, które kazało mu zatoczyć pełne koło, wrócić do podstawowego pytania.

— Więc dlaczego? Dlaczego zabiła się, zanim dotarła tam, dokąd się wybierała? — zapytał.

Przez chwilę milczałem. Dokoła słychać było odgłosy kafejki. Skrzypienie tenisówek na linoleum, szcęk sztucców, wiadomości z zawieszonych wysoko telewizorów, brzęk dzwonka sygnalizującego, że trzeba odebrać zamówienie.

— Naruszyła prawo i wszelkiego rodzaju zawodowe zobowiązania — odpowiedziałem.

— Nadużyła zaufania, jakim ją obdarzono. I musiała podejrzewać, że jest obserwowana. Może nawet ją ostrzeżono. Więc była spięta od chwili, kiedy wsiadła do samochodu. Przez cały czas wypatrywała czerwonych świateł w lusterku. Każdy gliniarz w każdym punkcie poboru opłat stanowił potencjalne zagrożenie. Każdy facet w garniturze mógł być agentem federalnym. Każdy z pasażerów w metrze mógł ją zaatakować.

Jake się nie odezwał.

- W tym momencie do niej podszedłem — dodałem.

— I co?

I Pękła. Doszła do wniosku, że chce ją aresztować. W tym momencie gra była skończona. Dotarła do kresu drogi. Była Nie na' 8dyby to zrobiła, i zgubiona, gdyby tego nie zrobiła, niogła iść dalej, nie mogła się cofnąć. Znalazła się w pułapce.

71

To, czym ją straszono, miało się spełnić, a ona miała trafić \$ kratki.

— Dlaczego pomyślała, że chcesz ją aresztować?

— Musiała dojść do wniosku, że jestem gliniarzem.

— Dlaczego doszła do takiego wniosku?

Jestem gliniarzem, powiedziałem. Mogę pani pomóc. Możemy porozmawiać.

— Zachowywała się paranoicznie — wyjaśniłem. — Co było zrozumiałe.

— Ale ty nie wyglądasz na gliniarza. Wyglądasz na meneli Prędzej pomyślałaby, że chcesz jej zabrać drobne.

— Może pomyślała, że działam pod przykrywką.

— Sam powiedziałeś, że była archivistką. Nie miała pojęcia jak wyglądają gliniarze pracujący pod przykrywką.

— Jake, przykro mi, ale sam jej powiedziałem, że jestem gliniarzem.

— Dlaczego?

— Myślałem, że jest terrorystką. Chciałem przeżyć następne trzy sekundy, zanim naciśnie guzik. Byłem gotów powiedzieć wszystko.

— Co dokładnie jej powiedziałeś? — zapytał i zrelacjonowałem mu. — Jezu, to brzmi jak gadka, którą wstawiają ci w wydziale spraw wewnętrznych — mruknął.

Moim zdaniem doprowadził ją pan do ostateczności.

— Przykro mi — powtórzyłem.

Przez następnych kilka minut obrywałem z każdej (możliwej) strony. Jacob Mark piorunował mnie wzrokiem, ponieważ zabił jego siostrę. Kelnerka była wściekła, ponieważ mogłaby sprzedać osiem śniadań w czasie, gdy my sączyliśmy dwie filiżanki kawy. Wyjąłem dwudziestodolarowy banknot i wsunąłem go pod spódniczkę. Zobaczyła, że to robię. Miała tam napiwek wart osiem śniadań. To rozwiązało problem kelnerki. Problem z Jacobem i Markiem był trudniejszy. Siedział bez ruchu, zjezony i milczący \*

72

Zauważyłem, że dwa razy zerknął w bok. Dojrzywał do tego, żeby dać za wygraną.

— Muszę już iść — oświadczył w końcu. — Mam do załatwienia kilka rzeczy. Muszę pomyśleć, jak zawiadomić rodzinę.

— Rodzinę? — zapytałem.

— Jej byłego męża, Molinę. Mają syna, Petera. To mój siostrzeniec.

— Susan miała syna? — zdziwiłem się.

— A co to cię obchodzi? Iloraz inteligencji labradora.

— Jake, siedzimy tu i rozmawiamy o możliwym szantażu, a ty nie wspominałeś, że Susan miała dziecko?

Przez chwilę milczał.

— On nie jest dzieckiem — odparł wreszcie. — Ma dwadzieścia dwa lata. Kończy studia na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Gra w futbol. I nie jest związany z matką. Po rozwodzie mieszkał z ojcem.

— Zadzwoń do niego — powiedziałem.

— W Kalifornii jest teraz czwarta rano.

— Zadzwoń do niego teraz.

— Obudzę go.

— Mam taką nadzieję.

— Trzeba go do tego przygotować.

— Najpierw musi odebrać telefon.

Jake ponownie wyjął komórkę i zaczął przewijać książkę adresową. W końcu wcisnął zielony przycisk przy nazwisku dość daleko na liście. Była w porządku alfabetycznym. P jak Peter. Przyciskając telefon do ucha, miał zatroskaną minę w trakcie Pierwszych pięciu sygnałów. Po szóstym nadal był zatroskany, e inaczej. Poczekał jeszcze chwilę, a potem opuścił powoli komórkę. ~ Odezwała się poczta głosowa — poinformował mnie.

15

— Idź do pracy — powiedziałem. — Zadzwoń na policję w Los Angeles albo do gliniarzy z kampusu i poproś, żeby wyświadczyli ci przysługę. Jak policjant policjantowi. Nieci ktoś do niego pojedzie i sprawdzi, czy chłopak jest w domu.

— Wyśmieją mnie. Mamy do czynienia z futbolistą, który nie odbiera telefonu o czwartej rano.

— Zrób to.

— Chodź ze mną.

Potrząsałem głową.

— Zostanę tutaj. Chcę znowu pogadać z tymi prywatnymi detektywami.

— Nigdy ich nie znajdziesz.

— Oni znajdą mnie. Nie odpowiedziałem im na pytanie, czy Susan coś mi dała. Będą chyba chcieli mnie o to pono zapytać.

•••



Umówiliśmy się za pięć godzin w tej samej kafejce. Popa" rzyłem, jak odchodzi do swojego samochodu, po czym ruszył na południe Ósmą Aleją, powoli, jakbym nie miał specjalnie me do roboty, co było prawdą. Byłem zmęczony i niewyspany, aW jednocześnie nabuzowany kawą. Generalnie oznaczało to, że n'{'

74

stem w najlepszej formie. Podejrzałem, że to samo można owiedzieć o prywatnych detektywach. Wszyscy mieliśmy za sobą nieprzespaną noc. To sprawiło, że zacząłem się zastanawiać nad problemem czasu. Druga w nocy była niewłaściwą porą nie tylko na samobójczy zamach, lecz również na spotkanie i przekazywanie komuś informacji. Stałem więc przy stojaku z gazetami obok delikatesów i przekartkowałem tabloidy. Znalazłem to, czego się spodziewałem, w samym środku „Daily News”, poprzedniego wieczoru autostrada New Jersey Turnpike była przez cztery godziny zablokowana w kierunku północnym. Kolidacja z cysterną we mgle. Wyciek kwasu. Liczne ofiary.

Wyobraziłem sobie Susan Mark uwięzioną między zjazdami. Czterogodzinny korek. Cztery godziny czekania. Niedowierzenie. Rosnące napięcie. Nie można jechać do przodu, nie można się wycofać. Między młotem i kowadłem. Upływający czas. Zbliżający się ostateczny termin. Świadomość, że już minął. Groźby, sankcje i cena, jaką trzeba będzie zapłacić. Pociąg linii metra wydawał mi się szybki. Dla niej musiał być potwornie wolny. Doprowadził ją pan do ostateczności. Może i tak, ale nie musiałem się zbytnio starać.

Odłożyłem gazety, żeby można je było sprzedać, i ruszyłem dalej. Uznałem, że facet w podartej marynarce poszedł się przebrać, ale pozostała trójka zapewne krąży w pobliżu. Obserwowali mnie, kiedy wszedłem do kafejki, i widzieli, kiedy wyszedłem. Nie dostrzegłem ich na ulicy, ale tak naprawdę wcale ich nie wypatrywałem. Ne ma sensu wypatrywać kogoś, kiedy wiadomo, że jest w pobliżu.

Osma Aleja była kiedyś niebezpiecznym miejscem. Rozbite latarnie, niezabudowane działki, zdewastowane sklepy, crack, prostytutki, bandziory. Widziałem tutaj wszystko. Nigdy nieostałem napadnięty. Nic w tym dziwnego. Abym stał się potencjalną ofiarą, ludność świata musiałaby zostać zredukowana do OK r1111!6 i do bandziora, a i tak bym wygrał.

Pełn°n'e ^ ^Smej tak samo bezpiecznie jak gdzie indziej.

0 tu było sklepów i kręciło się mnóstwo ludzi. W związku

75

z czym nie obchodziło mnie, w którym miejscu podejda do mnie trzech faceci. Nie zależało mi, żebyśmy spotkali się w miejscu, które sam wybiorę. Po prostu szedłem przed siebie. Decyzja należała do nich. Dzień zmieniał się z ciepłego w gorący i zapachy z chodnika unosiły się wokół mnie niczym prymitywny kalendarz; śmieci śmierdzą latem, nie zimą.

Podeszli do mnie w odległości jednej przecznicy na południe od Madison Square Garden i starego wielkiego urzędu pocztowego. Obok znajdował się plac budowy, który piesi musieli obejść jezdnią. Przejście było ogrodzone. Kiedy się tam znalazłem, jeden facet wyprzedził mnie, drugi ustawił się z tyłu, a ich szef zrównał się ze mną. Sprytnie to wymyślili.

— Jesteśmy gotowi zapomnieć o podartej marynarce — powiedział szef.

— To dobrze, bo ja już o niej zapomniałem — odparłem.

— Ale musimy wiedzieć, czy nie ma pan czegoś, co do nas należy.

— Do was?

— Do naszego klienta.

— Kim jesteście, panowie?

— Daliśmy panu naszą wizytówkę.

— Iz początku zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Pod względem arytmetycznym to

prawdziwe dzieło sztuki. Istnieją ponad trzy miliony możliwych kombinacji

siedmiocyfrowego numeru telefonu. Ale wy nie wybraliście cyfr na chybił trafił. Wybraliście numer, który nie jest podłączony. Wydawało mi się to trudne. Dlatego byłem pod wrażeniem.

Ale potem zdałem sobie sprawę, że przy populacji Manhattanu to praktycznie niemożliwe. Kiedy ktoś umiera albo się wyprowadza, jego numer szybko trafia do kogoś innego. Uświadomiłem sobie, że mieliście dostęp do listy numerów, które nigdy nie działają. Firmy telefoniczne dają je filmowcom, kiedy trzeba pokazać jakiś numer na ekranie. Nie mogą pokazać prawdziwych, bo abonenci dostaliby świra. A 10

76

oznacza, że znacie ludzi z branży filmowej i telewizyjnej, prawdopodobnie dlatego, że wynajmują was jako ochroniarzy, kiedy kręcą coś na mieście. Dlatego waszym głównym zadaniem jest odganianie łowców autografów. Co musi być dla was sporym rozczarowaniem. Na pewno nie tak to sobie wyobrażaliście, kiedy zakładaliście interes. Co gorsza, to oznacza pewną erozję sprawności. Wskutek braku praktyki. Toteż teraz przejmuję się wami jeszcze mniej. I uważam, że wizytówka była błędem, jeśli chodzi o kwestie wizerunkowe.

— Możemy panu fundnąć filiżankę kawy? — zapytał facet.

Nigdy nie odmawiam filiżanki kawy, ale miałem dosyć siedzenia, więc zgodziłem się na kawę na wynos. Mogliśmy popijać ją i rozmawiać, idąc. Zatrzymaliśmy się przy następnym Starbucksie, do którego, jak to się dzieje w większości miast, mieliśmy pół przecznicy. Zignorowałem wymyślne napary i zamówiłem firmową mieszankę w wysokim kubku, czarną, bez mleczka. Coś, co zawsze piję w Starbucksie. Smakuje całkiem nieźle. Nie żebym o to dbał. Dla mnie najważniejsza jest kofeina, nie smak.

Wyszliśmy na zewnątrz i ruszyliśmy dalej Ósmą Aleją. Trudno jest jednak iść i rozmawiać w czteroosobowej grupce, a poza tym przeszkadzał nam uliczny hałas, więc w końcu skręciliśmy w boczną uliczkę i przeszliśmy nią jakieś dziesięć jardów. Oparłem się o balustradę w cieniu, a oni stanęli naprzeciwko mnie w słońcu i nachylili ku mnie, jakby chcieli coś udowodnić. Z leżącej u naszych stóp pękniętej torby ze śmieciami wystawały kolorowe sekcje niedzielnej gazety.

Poważnie nas pan nie docenia, ale nie chcemy brać udziału w konkursie sikania na odległość — oświadczył ten, który był Ic" ręcznikiem.

- No dobrze — mruknąłem.

~ Służył pan w wojsku, tak?

W piechocie.

77

— To nadal widać.

— Po was też. Siły specjalne?

— Nie. Nie zawędrowaliśmy tak wysoko.

Uśmiechnąłem się. Szczęry facet.

— Wynajęto nas, żebyśmy wspierali lokalnie pewną tym. czasową operację — oświadczył. — Kobieta, która nie żyje, miała przy sobie przedmiot o dużej wartości. Mamy go odzyskać.

— Jaki przedmiot? Jakiej wartości?

— Chodzi o informacje.

— Nie mogę wam pomóc — odparłem.

— Nasz klient uważa, że to dane zmagazynowane w formie cyfrowej na jakimś nośniku pamięci w rodzaju pendrive'a. Odpowiedzieliśmy, że nie, coś takiego zbyt trudno byłoby wynieść z Pentagonu. Naszym zdaniem informacja miała formę ustną. Została przeczytana i zapamiętana.

Nie odezwałem się. Wróciłem myślami do Susan Mark w metrze. Przypomniałem sobie, jak mamrotała. Może układała w myślach prośby, tłumaczenia lub groźby. A może powtarzała informacje, które miała przekazać, po wielokroć, żeby ich nie zapomnieć i nie pomylić pod wpływem stresu i paniki. Uczyła się ich na pamięć. Mówiąc sobie: jestem posłuszna, jestem

posłuszna, jestem posłuszna. Dodając sobie otuchy. Mając nadzieję, że wszystko się dobrze skończy.

— Kim jest wasz klient? — zapytałem.

— Nie możemy tego powiedzieć.

— Czym ją szantażował?

— Nie wiemy. I nie chcemy wiedzieć.

Upiłem łyk kawy. Nic nie powiedziałem.

— Ta kobieta rozmawiała z panem w metrze — oświadczył facet.

— Tak, rozmawiała.

— Więc można teraz założyć, że wie pan to samo co ona

— Można założyć.

— Nasz klient jest o tym przekonany. To nastęrcza pewi problem. Z danymi na nośniku pamięci nie ma większy

78

kłopotów. Możemy walnąć pana w głowę i sprawdzić, co pan ma w kieszeniach. Coś, co pan ma w głowie, trzeba z niej wyciągnąć w inny sposób. Kie odezwałem się.

— Dlatego naprawdę musi pan nam powiedzieć, co wie.

— Żebyście sprawiali wrażenie kompetentnych?

Facet potrząsnął głową.

— Żeby pozostał pan zdrow i cały. Pociągnąłem kolejny łyk kawy.

— Zwracam się do pana jak mężczyzna do mężczyzny — rzekł facet. — Jak żołnierz do żołnierza. Nie chodzi o nas. Możemy oczywiście wrócić z pustymi rękoma i zostaniemy zwolnieni. Trudno, w poniedziałek rano będziemy pracować dla kogoś innego. Ale jeżeli się usuniemy, pan zostanie ujawniony. Nasz klient sprowadził całą ekipę. W tej chwili są trzymeni na smyczy, bo tu nie pasują. Kiedy my się wycofamy, spuści ich ze smyczy. Nie ma innego wyjścia. A pan naprawdę wołałby z nimi nie gadać.

— Nie chcę z nikim gadać. Ani z nimi, ani z wami. Nie lubię gadać.

— To nie są żarty.

— Ma pan rację. Zginęła kobieta. Samobójstwo to nie zbrodnia.

- Ale zbrodnią może być doprowadzenie do samobójstwa. Ta kobieta pracowała w Pentagonie. Te sprawy dotyczą bezpieczeństwa narodowego. Powinniście to ujawnić.

Powinniście z tym pójść na policję. Facet potrząsnął głową.

1 a~- Wołałbym raczej pójść do więzienia, niż narazić się tym om- Rozumie pan, co mam na myśli? Rozumiem — odparłem. — Za bardzo przywykliście do aszych łowców autografów. docen"0'1111^ Z Panem J3^ z dzieckiem. Powinien pan to "" z nikim się nie pieścicie.

79

— Gdzie dokładnie pan służył?

— W żandarmerii — odparłem.

— W takim razie już pan nie żyje. Nie spotkał się pan z czym, takim.

— Kto to jest?

Facet potrząsnął po prostu głową.

— Ilu ich jest?

Facet znowu potrząsnął głową.

— Niech pan uchyli rąbka tajemnicy — powiedziałem.

— Nie słuchał mnie pan uważnie. Skoro nie chciałem mówić z policją, dlaczego miałbym gadać z panem?

Wzruszyłem ramionami, dopiłem do końca kawę i odsunąłem się od balustrady. Przeszedłem trzy kroki i wrzuciłem kubek do kosza.

— Zadzwońcie do swojego klienta i powiedzcie mu, że mii rację, a wy się myliliście.

Powiedzcie, że cała informacja jest na nośniku pamięci, który mam w tej chwili w kieszeni. A

potem zakomunikujcie mu przez telefon, że nie wykonacie tego zlecenia. Wróćcie do domu i zjedźcie mi, do cholery, z drogi.

Przebiegłem ulicę między dwoma jadącymi samochodami i ruszyłem w stronę Ósmej Alei. Główny facet zawołał mnie głośno po nazwisku. Odwróciłem się i zobaczyłem, że trzyma w wyciągniętej ręce komórkę. Celował z niej we mnie, patrząc na wyświetlacz. A potem opuścił ją i zanim zorientowałem się, i zostałem sfotografowany, przejechała między nami biała ciężarówka i trzech facetów zniknęli mi z pola widzenia.

16

Sklepy Radio Shack są dziesięć razy mniej popularne od kawiarni Starbucks-, ale i tak można na nie trafić co kilka przecznicy. I wcześniej je otwierają. Wszedłem do pierwszego, który zobaczyłem, i facet z subkontynentu indyjskiego podszedł, żeby mi pomóc. Robił wrażenie chętnego. Może byłem pierwszym klientem tego dnia. Zapytałem go o telefony z wbudowanym aparatem fotograficznym. Powiedział, że praktycznie wszystkie teraz mają coś takiego. Niektórymi można nawet nagrywać filmy. Powiedziałem, że chcę zobaczyć, jak dobre są zrobione nimi zdjęcia. Facet wziął pierwszy lepszy telefon, a ja stanąłem przy tylnej ścianie i mnie sfotografował. Zdjęcie było niewielkie 10 niskiej rozdzielczości. Rysy mojej twarzy niewyraźne, ale moje rozmiary, kształt i postura oddane dość wiernie. W wystarczającym stopniu, by stanowiło to problem. Prawdę mówiąc, moja twarz jest zwyczajna. Bardzo łatwo ją zapomnieć. Mam wrażenie, że większość ludzi rozpoznaje mnie po gabarytach,

ale nie są zwyczajne. Powiedziałem facetowi, że nie chcę telefonu. Próbował zamiast sprzedać mi aparat fotograficzny, który miał mnóstwo

• Aparatu też nie chciałem, lecz kupiłem u niego Pamięć USB 1GB, a także kilka komputerowych pendrive. O najmniejszej pojemności, jaką mieli, za najniższą cenę. To miał być tylko

81

rekwizyt i nie chciałem wydawać na niego fortuny. Sam pendrive (był mały, ale sprzedawali go w wielkim opakowaniu z twardego plastiku. Kazałem facetowi otworzyć je nożyczkami. Można sobie połamać zęby na czymś takim. Pendrive miał nasady z miękkiego neoprenu, do wyboru niebieską albo różową, ty. brałem tę drugą. Susan Mark nie zrobiła raczej na mnie wrażenia] kobiety preferującej różowy kolor, ale ludzie widzą, co chcą zobaczyć. Różowa nasadka bardziej pasuje do czegoś, co ma kobieciarstwo. Włożyłem pamięć USB do kieszeni obok składanej szczoteczki do zębów, podziękowałem facetowi za pomoc i » stawiłem mu do wyrzucenia opakowanie.

Przeszedłem dwie i pół przecznicy na wschód Dwudziestą Ósmą Ulicą. Przez cały czas podążało za mną mnóstwo ludzi ale żadnego z nich nie znałem i oni też mnie chyba nie znali. Zszedłem do metra na Broadwayu i wsunąłem do czytnika kartę miejską. Następnie przepuściłem dziewięć jadących na południe pociągów. Siedziałem po prostu na drewnianej ławce i patrzyłem jak zatrzymują się i odjeżdżają. Częściowo, żeby odpocząć częściowo, żeby zabić czas, zanim otworzą inne sklepy, a częściej ciowo, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie śledzi. Dziewięć razy; na peronie zbierali się i odjeżdżali pasażerowie i dziewięć razy; byłem przez kilka sekund sam. Nikt się mną w najmniejszy stopniu nie zainteresował. Kiedy znudziło mi się wypatrywanie ludzi, zacząłem wypatrywać szczurów. Lubię szczury. Istnieje na ich temat wiele mitów. Widuje się je rzadziej, niż sądziłoby się. Szczury są nieśmiałe. Te, które widzimy, są na ogół młode, chore albo wygłodzone. Nie gryzą w twarz śpiących dzieci dla samej przyjemności. Kuszą je po prostu resztki jedzenia. Jeśli umyje się dziecku twarz przed położeniem go spać, nic mu nie będzie. I nie ma olbrzymich szczurów wielko-kotów.

Wszystkie są tych samych rozmiarów.

Nie zobaczyłem żadnych szczurów i w końcu znudziło mi się siedzenie na ławce. Wstałem, odwróciłem się plecami do torów

i przyjrzałem wiszącym na ścianie plakatom. Na jednym była „iapa wszystkich linii metra. Dwa reklamowały broadwayowskie musicale. Kolejny był oficjalnym obwieszczeniem zabraniającym czegoś, co nazywano „surfowaniem w metrze”. Na plakacie narysowany był facet rozplaszczony niczym rozgwiazda na drzwiach wagonu po zewnętrznej stronie. Starsze wagony nowojorskiego metra mają pod drzwiami niewielkie progi, których zadaniem jest skrócenie odstępów między pociągiem i peronem, a także wąskie rynienki nad drzwiami, które mają nie dopuścić do tego, by woda kapała do środka. Mój stuknięty współpasażer powiedział mi, że w nowych wagonach typu R142A nie ma ani progów, ani rynienek. Ale kiedy w składzie są starsze wagony, można poczekać na peronie, aż zamkną się drzwi, po czym oprzeć palce stóp na progu, złapać się palcami rąk za rynienkę, przytulić do wagonu i przejechać się tunelem, wisząc na zewnątrz. Surfowanie w metrze. Niektórym sprawiało to z pewnością niesamowitą frajdę, lecz teraz zostało zakazane.

Odwróciłem się twarzą do torów i wsiałem do dziesiątego pociągu, który wjechał na stację. To był pociąg linii R, z progami i rynienkami. Ale jechałem w środku i wysiałem dwa przystanki dalej, na dużej stacji przy Union Square.

Wyszedłem ze stacji przy północno-zachodnim rogu placu 1 i zajrzałem do wielkiej księgarni, która, jak pamiętałem, mieściła S1? przy Siedemnastej Ulicy. Politycy biorący udział w wyborach publikują na ogół swoje autobiografie przed rozpoczęciem kampanii i czasopisma poświęcają im zawsze sporo uwagi. Zamiast sięgarni mógłbym poszukać kafejki internetowej, ale nie jestem już technologicznie zaawansowany, a poza tym kafejek internetowych nie ma już tak dużo jak kiedyś. Teraz każdy ma przy sobie niałe elektroniczne cacko opatrzone nazwą owocu lub Ufzewa. Kafejki internetowe czeka ten sam los co budki telefo-^ e- zostaną wyparte przez nowe bezprzewodowe wynalazki, parterze księgarni stały stoły uginające się pod ciężarem

82

83

nowości. W dziale literatury faktu nie znalazłem nic, co by mnie interesowało. Historia, biografie, ekonomia, ale nic z dziedziny polityki. Ruszyłem dalej i znalazłem to, czego szukałem, ^ drugiej stronie drugiego stołu. Komentarze i opinie pisane przez lewicowców i prawicowców plus pisane przez ghost writerów autobiografie z kolorowymi obwolutami i wyretuszowanymi fotografiami. Autobiografia Johna Sansoma miała pół cala grubości i tytuł Misja, która trwa. Wziąłem ją i pojechałem schodami ruchomymi na trzecie piętro do działu czasopism. Wziąłem z półek wszystkie opiniotwórcze tygodniki i ruszyłem z nimi oraz z biografią Sansoma do działu historii wojskowości. Zajrzawszy do kilku publikacji, przekonałem się, że moje podejrzenia są słuszne: dział zasobów ludzkich nie robi niczego, czego nie robiłby wcześniej dział kadr. Zmieniła się tylko nazwa. Papierkowa robota i akta osobowe, jak zawsze.

Następnie usiałem na parapecie i przeczytałem rzeczy, które ze sobą przyniosłem. W plecy było mi gorąco od świeżącego za oknem słońca, w przód zimno od umieszczonego dokładnie nade mną nawiewu klimatyzacji. Kiedyś krępowiałem się czytać w księgarniach rzeczy, których nie miałem zamiaru kupić. Samym księgarzom najwyraźniej jednak to nie przeszkadzało. Nawet do tego zachęcali. W niektórych księgarniach stawiano w tym celu fotele. Najwyraźniej taki był nowy model biznesowy. I wszyscy to robili. Księgarnię dopiero co otwarto, ale wyglądała jak ośrodek dla uchodźców. Na podłodze wszędzie wokół mnie siedzieli albo leżeli ludzie ze stosami lektur o wiele większymi od mojego.

We wszystkich tygodnikach były relacje z kampanii wyborczej wciśnięte między ogłoszenia i doniesienia o odkryciach medycznych i rozwoju technologii. Większość tekstów dotyczyła wyścig" do najwyższego urzędu, ale kilka linijek poświęcono również! wyborom do Izby Reprezentantów i do Senatu. Do samy^ wyborów zostały cztery miesiące i niektórzy kandydaci odpafli w przedbiegach, ale Sansom radził sobie całkiem nieźle. Wypad@ dobrze w

sondażach na terenie całego stanu, zebrał sporo pif niędzy, jego bezpośredni styl bycia uważano za odświeżają"

84

wojskowa przeszłość kwalifikowała faceta niemal na każde stanowisko. Chociaż według mnie z równym prawdopodobieństwem można by twierdzić, że na burmistrza nadaje się pracownik zakładu oczyszczania miasta. Może tak, może nie. Takie twierdzenia nie mają większego sensu. Większość dziennikarzy najwyraźniej jednak polubiła Sansoma. I przewidywali, że zajdzie

0 wiele wyżej. Widziano w nim potencjalnego kandydata na urząd prezydenta za osiem lat albo za cztery. Jeden z autorów wskazywał nawet, że już w tych wyborach może stać się kandydatem swojej partii na stanowisko wiceprezydenta. Stał się swego rodzaju celebrytą. Okładkajego książki była stylowa. Widniało tam jego nazwisko, tytuł oraz dwie fotografie. Większa była niewyraźnym, ziarnistym zdjęciem z akcji, powiększonym tak, żeby tworzyć tło. Widać było na nim młodego człowieka w sfatygowanym, rozpiętym połowym mundurze, z farbą kamuflażową na twarzy. Nałożono na nie nowszy portret tego samego faceta w garniturze. Sansom wczoraj

1 dziś. Jego całe przesłanie wyrażone w formie prostego obrazu.

Nowsze zdjęcie było dobrze oświetlone, wyraźne i upozowane i pokazywało niedużego szczupłego mężczyznę mającego jakieś pięć stóp dziewięć cali wzrostu i ważącego sto pięćdziesiąt funtów. Podobnego bardziej do charta lub teriera niż do pit bulla: wytrwałego, odpornego i żylastego jak większość żołnierzy sił specjalnych. Chociaż starsze zdjęcie zrobiono pewnie w czasach, kiedy służył w regularnym wojsku. Być może w rangersach. Wiem z doświadczenia, że żołnierze Deltę z jego rocznika preferowali brody, okulary słoneczne i zawiązane pod szyją arafatki. Częściowo dlatego, że mieli służyć tam, gdzie tak się ubierano, a częściowo dlatego, że lubili anonimowość i różne przebrania, co z kolei po części wynikało z konieczności, a po części z fantazji. Zdjęcie na okładkę wybrał prawdopodobnie zef kampanii wyborczej Sansoma, godząc się na mniej elitarną ostkę w zamian za coś, co było rozpoznawalne i typowo j^erykańskie. Może ludzie, którzy wyglądali jak dziwni pales-Scy hipisi, nie znaleźliby uznania w Karolinie Północnej.

83

Na skrzydełku okładki było pełne nazwisko i stopień wojs. kowy: emerytowany major armii Stanów Zjednoczonych Johj T. Sansom. A także informacja, że otrzymał Krzyż za Wybitną Służbę, i Medal za Wybitną Służbę oraz dwie Srebrne Gwiazdy I że jest dyrektorem generalnym odnoszącej sukcesy firmy Sansom Consulting. Znowu cały życiorys w pigułce. Zastana-wiałem się, po co jest reszta książki.

Przekartkowałem ją i odkryłem, że dzieli się na pięć głównych części, które przedstawiały kolejno jego dzieciństwo i młodość, czas spędzony w wojsku, małżeństwo i życie rodzinne, działalność biznesową oraz polityczną wizję przyszłości. Pierwsza część była utrzymana w konwencji gatunku. Ciężkie dzieciństwo, matka opoką rodziny, ojciec tyrający na dwóch etatach, żeby związać koniec z końcem. Prawie na pewno podretuszowane. Jeśli uzna się startujących w wyborach kandydatów za reprezentatywny próbkę, Stany Zjednoczone wyglądają jak kraj Trzeciego Świata. Wszyscy dorastali w biedzie, bieżąca woda była luksusem, buty rzadkością, porządnie jadało się tylko od wielkiego święta.

Przeskoczyłem do miejsca, w którym poznał przyszłą żonę Była wspaniała, dzieciaki cudowne. Koniec kropka. Nie zrozumiałem wiele z części na temat biznesu. Sansom Consulting zatrudniała konsultantów, co wydawało się logiczne, ale nit wiadomo było dokładnie, co robili. Ogólnie doradzali firmom których akcje następnie wykupywali. Po jakimś czasie sprzedawali akcje na giełdzie i bogacili się. Sansom określał to; zarobił, mianem fortuny. Nie byłem pewien, jaką sumę miał »s myśli. Ja czułem się całkiem dobrze,

mając w kieszeni kilkaset dolców. Podejrzywałem, że ma trochę więcej, ale nie zdrad<sup>o</sup> dokładnie ile. Więcej o cztery zera? Pięć? Sześć?

Zajrzałem do części, w której przedstawił swoją wizję p0'1' tyczną. Nie znalazłem tam wiele ponad to, co wyczytałem wcześniej w tygodnikach. Sprowadzała się w gruncie rzeczy obiecywania wyborcom wszystkiego, czego chcieli. Niskie ] datki, proszę bardzo.

Zwiększone wydatki na usługi public: czemu nie. Nie miało to dla mnie sensu. W zasadzie je>

rawiał wrażenie porządnego faceta. Czułem, że będzie się starał czynić dobrze, na tyle, na ile każdy z nich może to robić. Czułem, że przyświecają mu szlachetne ideały.

W książce znajdowało się trochę fotografii. Z wyjątkiem jednej wszystkie były nieciekawymi fotkami ilustrującymi życie Sansoma od chwili, kiedy miał trzy miesiące, aż po dzień dzisiejszy. Coś takiego każdy może chyba wygrzebać ze schowanego na pawlaczu pudełka po butach. Rodzice, dzieciństwo, szkoła, służba w wojsku, przyszła żona, dzieci, zdjęcia zrobione na potrzeby firmy. Normalka, którą można znaleźć w biografii dowolnego kandydata.

Ale fotografia, która nie mieściła się w tym schemacie, była dziwna.

17

Zdjęcie różniące się od innych było fotografią prasową, którą widziałem już wcześniej. Przedstawiało Donalda Rumsfelda w Bagdadzie w roku 1983 ściskającego rękę irackiego dyktatora) Saddama Husajna. Donald Rumsfeld pełnił dwa razy funkcji, sekretarza stanu, jednak w tamtym okresie był specjalnym wysłannikiem Ronalda Reagana. Pojechał pocałować w tyłek Saddama, poklepać go po plecach i wręczyć parę ostróg z czystego złota na znak wieczystej wdzięczności Ameryki. Osiem la później nie całowaliśmy już Saddama w tyłek, ale mu ff skopaliśmy. A po kolejnych piętnastu latach zabiliśmy dyktatora „Czasami nasi przyjaciele stają się naszymi wrogami, a nasi wrogowie naszymi przyjaciółmi”, podpisał to zdjęcie Sansom. Był to, jak sądzę, polityczny komentarz. Albo biznesowa homilia s0wana. Odniosłem wrażenie, że dobrze się czuł w wojsku. Jego opowieść była spójna. Opisał wiernie wstępne szkolenie, szkołę oficerską i pierwszy okres spędzony w piechocie. Nie krył wcale, że miał duże ambicje. Zdobywał wszelkie możliwe kwalifikacje i przeniósł się najpierw do rangersów, a potem do powstającej właśnie Delta Force. Jak zwykle przedstawił w dramatycznych barwach proces przyjmowania do Delty, piekielne tygodnie, nacisk, jaki kładzie się tam na wytrzymałość i odporność na zmęczenie. Jak zwykle nie krytykował jego niekompletności. W Delcie jest mnóstwo facetów, którzy potrafią nie spać przez tydzień, przejść na piechotę sto mil i odstrzelić jaja musze tse-tse, ale nie ma prawie takich, którzy robią to wszystko, a potem umieją powiedzieć, jaka jest różnica między szytą i tym, co wydalają z siebie w latrynie.

Ogólnie jednak Sansom sprawiał na mnie wrażenie uczciwego faceta. Prawda jest taka, że większość misji Delty jest odwoływana, zanim do nich dojdzie, a większość tych, do których dochodzi, kończy się niepowodzeniem. Są żołnierze, którzy nie biorą udziału w żadnej akcji. Sansom nie koloryzował. Pisał szczerze o dreszczu emocji i szczerze o klęskach. Co ważniejsze, nie wspomniał ani razu o stadach kóz. W większości raportów sił specjalnych winę za niepowodzenie ponoszą wędrowni pasterze. Żołnierze zrzucani są na obszar, który jest podobno niegościnnie i prawie niezamieszkały, i natychmiast otaczają ich lokalni wieśniacy wypasający wielkie stada kóz. Statystycznie mało prawdopodobne. Pod względem hodowlany również,

nie znalazłem jednak wzmianki o tym epizodzie w samym tekście biorąc pod uwagę kamienisty teren. Kozy muszą coś jeść. Może

raz takiego się zdarzyło, ale teraz stało się czymś w rodzaju

szyfru. O wiele łatwiej jest powiedzieć: „musieliśmy się kryć

^Przeagalopowało po nas stado kóz" niż „daliśmy dupy". Jednak

, SOn ani razu nie wspomniał o parzystokopytnych i do-  
ającym ich personelu rolniczym, co można było zapisać mu na piUs  
Przv gr?nC'6 rzeczy nie wspominał o niczym. Z pewnością nie a się do wielu sukcesów. Było  
tam trochę opisów ruty-  
Wróciłem do części opisującej jego służbę wojskową, mają zamiar gruntownie ją  
przestudiować. Była to w końcu dzie< na której się znałem. Sansom wstąpił do armii w roku  
19^ dziewięć lat przede mną, i odszedł z niej w 1992, pięć lat prze mną. Służył siedemnaście  
lat, cztery lata dłużej ode W porównaniu z innymi okresami była to w zasadzie dot epoka.  
Skończył się wietnamski paroksyzm i nowa zawodov armia funkcjonowała w miarę sprawnie  
i była dobrze fm\*

89 83

nowych akcji w zachodniej Afryce i Panamie oraz polowań scudy podczas pierwszej wojny w  
Zatoce w 1991 roku. Po2s tym nic. Wyłącznie szkolenie i pozostawanie w gotowości, ^  
którym następowało przejście do odvodu i kolejne szkolenie To, co czytałem, było chyba  
pierwszym znanym mi pamiętnikiem żołnierza sił specjalnych, w którym autor nie  
koloryzował tego, co przeżył. Powiem więcej. Nie tylko nie koloryzował. Sansom starał się  
chwilami pomniejszać, minimalizować, pozbawiać znaczenia swoje zasługi.

To obudziło moją ciekawość.

18

Zachowując wszelkie środki ostrożności, wróciłem do kafejki przy Ósmej Alei. Nasz klient  
sprowadził całą ekipę. Poza tym wszyscy wiedzieli teraz z grubsza, jak wyglądam. Facet z  
Radio Shack poinformował mnie, że zdjęcia można przysyłać z jednego telefonu do drugiego.  
Ja ze swojej strony nie miałem pojęcia, jak wyglądają moi przeciwnicy, ale jeżeli ich  
pryncypał zmuszony był wynająć facetów w eleganckich garniturach, żeby nie rzucali się w  
oczy, jego ekipa musiała się jakoś wyróżniać. W innym wypadku me miało to sensu.  
Zobaczyłem mnóstwo wyróżniających się wyglądem ludzi. Może kilkaset tysięcy. W Nowym  
Jorku zawsze się ich widzi. Żaden jednak się mną nie interesował. Zresztą nikomu tego  
specjalnie nie ułatwiałem. Pojechałem linią numer cztery na Grand Central, obszedłem dwa  
razy całą stację, stamtąd udałem się linią S na Times Square, a potem, zataczając bezsen-dok^  
P<?tłę'dotarłem na Pychotę do Dziewiętej Alei i doszedłem alejki °d zachodu, mijając po  
drodze czternasty posterunek, acob Mark już na mnie czekał. Siedział w boksie w głębi i era '  
Umyty i uczesany, w ciemnych spodniach, białej koszuli «glinj W'atr°wce- Mógł sobie  
wytatuować na czole napis Przeraż Robił wrażenie przygnębnego, ale nie  
neg0' Usiadłem naprzeciwko niego bokiem, żeby móc  
°nserwować pr2ez okno

91

— Rozmawiałaś z Peterem? — zapytałem.

Potrząsnął głową.

— Myślę, że wszystko u niego w porządku — odparł.

— Myślisz czy wiesz?

Nie odpowiedział, bo podeszła do nas kelnerka. Ta sama q rano. Byłem zbyt głodny, żeby  
przejmować się tym, czy J^ zamierza coś zjeść. Zamówiłem duży półmisek sałatki z tui  
czykiem i inne rzeczy. Plus kawę. Jake wziął ze mnie przyklj i poprosił o grillowanego  
sandwicza z serem i wodę.

— Powiedz, co się stało — poprosiłem.

— Pomogli mi gliniarze z kampusu. Z chęcią. Peter jes gwiazdą futbolu. Nie było go w  
domu. Przycisnęli trochę jeg kumpli i wyciągnęli z nich całą historię. Wygląda na to, że Peta  
jest z panienką.

— Jaką panienką?



— Dziewczyną z baru. Peter z chłopakami wybrali się czter dni temu na miasto. Dziewczyna była w barze, do którego zajrzeli. Peter wyszedł z nią. Milczałem.

— Co jest? — mruknął.

— Kto kogo poderwał? — zapytałem.

— To właśnie mnie uspokaja — odparł, kiwając głową. To była od początku do końca jego inicjatywa. Kumpel mówił że trwało to cztery godziny. Musiał dać z siebie wszystko. ^ w meczu o mistrzostwo. Więc nie mamy do czynienia z Ma" Hari czy kimś w tym rodzaju.

— Rysopis?

— Prawdziwa seksbomba. I to mówią futboliści, więc f żartują. Trochę od nich starsza, ale niewiele. Może dwudziestf pięcioletnia. Kiedy jesteś na ostatnim roku, to wyzwanie, któreś musisz sprostać.

— Nazwisko?

Jake potrząsnął głową.

— Inni trzymali się z boku. To kwestia etykiety.

— Czy to był jeden z barów, do których regularnie zagiać

93

— Jeden z kilku. \_j0 była dziwka? Przynęta?

— Niemożliwe. Ci faceci znają życie. Nie są głupi. Potrafią to rozpoznać. I Peter przez cały czas był tym, kto przejawia inicjatywę. To trwało cztery godziny, próbował wszystkiego, czego się nauczył. — Gdyby tego chciała, wystarczyłyby cztery minuty — odparłem. Jake znowu pokiwał głową.

— Wierz mi, przerabiałem to setki razy. Gdyby było w tym jakieś drugie dno, wystarczyłaby godzina, żeby druga strona pozbyła się wszelkich podejrzeń. Góra dwie. Nikt nie ciągnąłby tego przez cztery godziny. Więc wszystko jest w porządku. Z punktu widzenia Petera więcej niż w porządku. Cztery dni z niesamowitą laską. Co robiłeś, kiedy miałeś dwadzieścia dwa lata?

— Rozumiem cię — odparłem. — W wieku dwudziestu dwóch lat miałem podobne priorytety. Chociaż czterodniowy związek wydawałby mi się długi. Prawie jak zaręczyny albo małżeństwo.

— Ale? — zapytał Jake.

— Susan utkwiała w czterogodzinnym korku na autostradzie

New Jersey Turnpike. Zastanawiam się, co takiego wydarzyło

S1? po minięciu ostatecznego terminu, że matka postanowiła się zabić.

7 Peterowi nic się nie stało. Nie martw się o niego. Wkrótce Wroci do domu, na miękkich

nogach, ale szczęśliwy. Nie powiedziałem nic więcej. Kelnerka przyszła z jedzeniem,

ygłądało zachęcająco i było go dużo. Czy znaleźli cię ci prywatni faceci? Kiwałem głową i jedząc tuńczyka, zrelacjonowałem mu

e spotkanie.

^ twoje nazwisko? To niedobrze.

z Si, 16 Jest t0 idealna sytuacja. I wiedzą, że rozmawiałem n w metrze.

83

— Skąd?

— To ekspliniarze. Nadal mają znajomych w służbie. Nie m, innego wyjaśnienia.

— Lee i Docherty?

— Może. Albo jakiś facet, który pracuje w dzień i przeczytał akta.

— Zrobili ci zdjęcie? To też niedobrze.

— Nie jest to idealna sytuacja — powtórzyłem.

— Trafiłeś na ślad tej drugiej ekipy, o której mówili? -zapytał.

— Na razie nie — odparłem, wyglądając przez okno.

— Co jeszcze?

— John Sansom nie koloryzuje, mówiąc o swojej karierze. Wygląda na to, że nie ma większych osiągnięć. A tego rodzaju stwierdzenia nie warto podważać.

— A więc to ślepa uliczka.

— Niekoniecznie — odparłem. — Był majorem. To oznacza jeden awans z automatu i dwa za zasługi. Musiał zrobić coś, co im się spodobało. Ja też byłem majorem. Wiem, jak to funkcjonuje.

— Co takiego zrobiłeś, że im się spodobało?

— Coś, czego później prawdopodobnie żalowali.

— Chodzi o długą służbę — powiedział Jake. — Dostajesz awans za wysługę lat. Pokręciłem głową.

— To nie funkcjonuje w ten sposób. Poza tym facet zdobył trzy z najważniejszych czterech odznaczeń, które były w zasięgu, jedno z nich dwa razy. Więc musiał zrobić coś szczerf gólnego. W rzeczywistości cztery razy zrobił coś szczególnego

— Wszyscy dostają medale.

— Nie te. Ja też dostałem Srebrną Gwiazdę, która dla faceta jest zwykłą blaszką, a wiem, że nie trzymają ich w pu: z płatkami śniadaniowymi. I dostałem Purpurowe Serce, któí Sansom najwyraźniej nie dostał. Nie wspomina o tym w swOl książce. Zaden polityk nie zapomniaby o ranie odniesi

94

w akcji- Nawet za milion lat. Ale stosunkowo rzadko dostaje się medal za odwagę, jeśli nie odniesie się żadnej rany. Normalnie te dwie rzeczy są ze sobą powiązane.

\_Więc może facet blaguje na temat swoich medali.

Potrząsałem ponownie głową.

— To niemożliwe. Dałoby się to może zrobić, gdyby chodziło o jakąś odznakę z Wietnamu. Ale to są najwyższe odznaczenia. Facet ma wszystko z wyjątkiem Medalu Honoru.

— Co z tego wynika?

— Wynika z tego, że moim zdaniem facet nie mówi prawdy na temat swojej kariery. Tyle że na odwrót. Bardziej ukrywa pewne rzeczy, niż koloryzuje.

— Po co miałby to robić?

— Ponieważ uczestniczył w co najmniej czterech tajnych misjach i nadal nie mogę o nich mówić. Co świadczy, że były naprawdę bardzo tajne, ponieważ facet bierze udział w kampanii wyborczej i aż go korci, żeby o nich opowiedzieć.

— Jakiego rodzaju tajne misje?

— To mogło być wszystko. Czarne operacje, zakulisowe akcje, przeciwko komukolwiek.

— Więc może Susan została poproszona o szczegóły?

— Niemożliwe — odparłem. — Rozkazy Delt, dzienniki operacyjne i raporty nigdy nie trafiają do działu zasobów ludzkich. Są niszczone albo zamykane na sześćdziesiąt lat w Fort Bragg. Bez obrazy, ale twoja siostra nie miałaby do nich dostępu i za milion lat.

— Więc co z tego dla nas wynika?

77 że nie mogło chodzić o karierę bojową Sansoma.

1 Jest w to zamieszany, to w zupełnie innym charakterze.

~~ A jest zamieszany?

Po co w innym razie wymieniano by jego nazwisko?

W jakim charakterze?

°zyłem widelec i dopiłem do końca kawę.

Nie chcę tu dłużej siedzieć — powiedziałem. — Dla tamtej

J ekipy to punkt zerowy. Pierwsze miejsce, które sprawdzą.

95

Zostawiłem na stole napiwek i ruszyłem do kasy. Tym razem kasjerka była zadowolona. Uwinęliśmy się w rekordowym czasie

•••

Manhattan jest jednocześnie najlepszym i najgorszym miastem dla ściganego. Najlepszym, bo roi się tu od ludzi i wszędzie jest pełno ewentualnych świadków. Najgorszym, bo roi się tu od ludzi i na wszelki wypadek trzeba na wszystkich uważać. Jest to męczące, frustrujące i nużące, i doprowadza w końcu człowieka do obłędu, względnie osłabia czujność. Żeby tego uniknąć, wróciliśmy na Zachodnią Trzydziestą Piątą i chodziliśmy tam i z powrotem ocienioną stroną ulicy, naprzeciwko rzędu zaparkowanych radiowozów, po najbezpieczniejszym, jak się wydawało, kawałku chodnika w mieście.

— W jakim charakterze jest zamieszany? — powtórzył Jake.

— Co mi powiedziałeś o przyczynach samobójstw, które widziałeś w Jersey?

— Finansowe albo miłosne.

— A Sansom nie zarobił swoich pieniędzy w wojsku.

— Myślisz, że miał romans z Susan?

— To niewykluczone — odparłem. — Mógł się z nią spotykać w pracy. Jest facetem, który stale wchodzi i wychodzi. Żeby dać okazję do zrobienia zdjęcia.

— Facet jest żonaty.

— No właśnie. A mamy właśnie sezon wyborczy.

— Nie wydaje mi się. Susan nie była taka. Więc załóżmy, nie miał z nią romansu.

— W takim razie może miał romans z kimś innym z dzi zasobów ludzkich, a Susan była świadkiem.

— Nadal nie bardzo w to wierzę.

— Ja też — przyznałem. — Bo nie widzę, w jaki sposób Jj informacja miałaby zostać wykorzystana. Informacja to wie słowo. Romans to prosta sprawa.

— Może Susan współpracowała z Sansomem. Nie przeci niemu. Może Sansom chciał skompromitować kogoś innego-

96

— W takim razie po co jechała do Nowego Jorku, a nie do Waszyngtonu albo do Karoliny Północnej?

— Nie wiem — odparł Jake.

— I w ogóle dlaczego Sansom miałby o cokolwiek prosić Susan? Miał mnóstwo innych informatorów, lepszych od urzędniczki z zasobów ludzkich, której nie znał.

— Więc jaki tu jest związek?

— Może Sansom miał romans dawno temu, z kimś innym, kiedy jeszcze służył w wojsku.

— Nie był wtedy żonaty.

— Ale obowiązywały pewne zasady. Może posuwał jakąś podwładną. To może mu teraz politycznie zaszkodzić.

— To się zdarza?

— Bez przerwy.

— Tobie też się zdarzało?

— Bardzo często. W obu kierunkach. Czasami byłem podwładnym.

— Miałeś z tego powodu kłopoty?

— Wtedy nie. Ale gdybym ubiegał się teraz o jakieś ważne stanowisko, pojawiłyby się pytania.

— Więc myślisz, że krążą jakieś plotki na temat Sansoma i poproszono Susan, żeby je sprawdziła?

Nie mogła sprawdzić plotek na temat jego zachowania. Tego rodzaju rzeczy są w innych aktach osobowych. Ale była w stanie potwierdzić, że osoba A i osoba B służyły w tym samym czasie w tym samym miejscu. Do tego właśnie przydaje się dział zasobów ludzkich.

Może w wojsku służyła z nim Lila Hoth. Może ktoś usiłuje Powiązać te dwa nazwiska, żeby wywołać skandal.

Nie wiem — odrzekłem. — To brzmi przekonująco. Ale ni miejscowych twardzieli, którzy boją się rozmawiać z no-gro' h ^ P°d moim adresem wysuwane są bezpośrednie ktoś ^ ',S\*yszę 0 jakiejś ekipie barbarzyńców, którą za chwilę brudnP? SC1 26 Smyczy-Polityka to brudna rzecz, ale czy aż tak

97

Jake nie odpowiedział.

— I nie wiemy, gdzie jest Peter — dodałem.

— Nie martw się o Petera. Jest dorosły. Na boisku jest obrońcy Będzie grał w NFL.

Trzysta funtów samych mięśni. Potraf o siebie zadbać. Zapamiętaj to nazwisko. Peter Molina. Niedługo przeczytasz o nim w gazetach.

— Mam nadzieję, że nie za parę dni.

— Odręż się.

— Więc co chcesz teraz robić? — zapytałem.

Jake wzruszył ramionami i przez chwilę chodził tam i z powrotem po chodniku — niezbyt elokwentny facet dodatko ' zablokowany przez targające nim emocje. W końcu oparł się o ścianę, dokładnie naprzeciwko czternastego posterunku i spo rzał na stojące po drugiej stronie ulicy auta, na impale, oznak: wane i nieoznakowane ford crown victoria i na dziwne małt pojazdy, którymi jeżdżą parkingowi kontrolerzy.

— Susan nie żyje — powiedział. — Nic jej nie wróci.

Nie odezwałem się.

— Dlatego zadzwonię do zakładu pogrzebowego.

— A potem?

— Potem nic. Zastrzeliła się. Nawet jeśli poznamy przyczynę nic nam to nie pomoże. W większości wypadków i tak nie zfl się przyczyny. Nawet jeśli komuś wydaje się, że ją zna.

— Ja chcę poznać przyczynę — stwierdziłem.

— Dlaczego? To moja siostra, nie twoja.

— Nie widziałeś, jak to wyglądało.

Jake się nie odezwał. Gapił się po prostu na zaparkowane pl drugiej stronie ulicy samochody. Zobaczyłem samochód, z rego korzystała Theresa Lee. Stał czwarty po lewej. Zaparkow trochę dalej nieoznakowany ford crown victoria był nowszy pozostałych. Bardziej wypucowany. Lśnił w słońcu. PomaloW na czarno miał na pokrywie bagażnika dwie krótkie, cie anteny podobne do igieł. Należał chyba do federalnych, jakiejś dysponującym dużym budżetem agencji, która wybie najlepsze środki lokomocji. I najlepsze środki łączności.

98

\_Mam zamiar zawiadomić jej rodziną — powiedział Jake. —

pochowamy ją i będziemy żyć dalej. Życie jest podłe, a potem się umiera. Może istniał jakiś powód, dla którego to stało się tam j wtedy. Lepiej tego nie wiedzieć. Nie wyjdzie z tego nic dobrego. Tylko dodatkowy ból. Coś, co wywoła aferę.

— Twój wybór — odparłem.

Jake pokiwał głową, nie powiedział nic więcej, uściśnął mi dłoń i odszedł. Widziałem, jak wchodzi na parking na zachód od Dziewiątej Alei, i cztery minuty później zobaczyłem wyjeżdżającą z niego małą zieloną terenówkę Toyoty. Domyśliłem się, że jedzie do domu, w

stronę Lincoln Tunnel. Zastanawiałem się, kiedy go znowu zobaczę. Po trzech dniach albo tygodniu, pomyślałem.

Myliłem się.

19

Wciąż stałem po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko drzwi czternastego posterunku, kiedy Theresa Lee wyszła przez nie z dwoma facetami w granatowych garniturach i białych koszulach z przypinanymi kołnierzykami. Wydawała się zmęczona. Dostała telefon o drugiej w nocy, co oznaczało, że była na nocnej zmianie. Powinna ją skończyć o siódmej rano i być w domu w łóżku o ósmej. Przepracowała sześć godzin więcej. Co było dobre wyłącznie dla jej konta w banku. Stojąc w słońcu, zamrugła, przeciągnęła się i zobaczyła mnie po drugiej stronie ulicy. Wzdrygnęła się, trąciła stojącego obok niej faceta, powiedziała coś i wskazała mnie. Stałem zbyt daleko, by ją usłyszeć, ale język jej ciała mówił: Kurczę, to właśnie on, z wielkim wykrzyknikiem podkreślonym przez gest ręki.

Faceci w garniturach spojrzeli machinalnie w lewo, co wskazywało, że są z Nowego Jorku. Nieparzystymi ulicami jeździ się ze wschodu na zachód, parzystymi z zachodu na wschód. Mieli to zakodowane. Dlatego musieli być stąd. Tak czy inaczej częściej jeździli, niż chodzili po mieście, bo nie sprawdzili, czy z przeciwnej strony nie pedałuje żaden kurier na rowerze. Przebiegli p° prostu przez ulicę, wymijając w pośpiechu pędzące samochody i zachodząc mnie z obu stron, co wskazywało, że przeszli podstawowe szkolenie. Domyśliłem się, że crown victoria z cien-

100

Iarni antenami należy do nich. Stałem w cieniu i czekałem na nich. Mieli czarne buty, niebieskie krawaty i pod ich białymi koszulami widać było białe podkoszulki. Z lewej strony ich marynarki wyrzyszały się bardziej niż z prawej. Praworęczni agenci z kaburami pod pachą. Zbliżali się do czterdziestki albo ją przekroczyli. W najlepszym wieku. Nienowicjusze i nieemeryci.

Upewniwszy się, że nigdzie się nie wybieram, zwolnili trochę i podeszli do mnie szybkim krokiem. FBI, pomyślałem. Bardziej gliniarze niż wojskowi. Nie pokazali swoich legitymacji. Zakładali, że wiem, kim są.

— Musimy z panem porozmawiać — odezwał się facet z lewej.

— Wiem — odparłem.

— Skąd?

— Bo ryzykowaliście, że coś was przejedzie, żeby tu podejść.

— Wie pan dlaczego?

— Nie mam pojęcia. Może chcecie mi zaproponować poradę w związku z moimi traumatycznymi przeżyciami.

Facet skrzywił się niecierpliwie, jakby chciał skarcić mnie za sarkastyczne podejście. A potem wyraz jego twarzy zmienił się i ukazał się na niej cierpki uśmiech.

— Dobrze, oto moja porada. Niech pan odpowie na kilka pytań, a potem w ogóle zapomni, że jechał tym metrem.

— Jakim metrem?

Facet chciał odpowiedzieć, a potem zdał sobie sprawę, że go podpuściłem, i zrobiło mu się głupio.

Co to za pytania? — zainteresowałem się.

Jaki jest pana numer telefonu? — zapytał.

Nie mam numeru telefonu — odpowiedziałem.

— Nawet komórki?

~~ Zwłaszcza komórki — odparłem. Naprawdę?

~ Jestem tym facetem. Gratulacje. Znaleźliście mnie.

— Jakim facetem?

~ Jedynym facetem na świecie, który nie ma komórki.

101

- Jest pan Kanadyjczykiem?
- Dlaczego miałbym być Kanadyjczykiem?
- Policjantka powiedziała nam, że mówi pan po francusku.
- Mnóstwo osób mówi po francusku. W Europie jest cały kraj, gdzie mówią tym językiem.
- Jest pan Francuzem?
- Moja matka była Francuzką.
- Kiedy był pan ostatnio w Kanadzie?
- Nie pamiętam. Chyba przed wielu laty.
- Na pewno?
- Raczej tak.
- Ma pan w Kanadzie jakichś znajomych albo wspólników?
- Nie.

Facet umilkł. Theresa Lee nadal stała na chodniku przed drzwiami komisariatu. Stała w słońcu i obserwowała nas z drugiej strony ulicy.

- To było zwykłe samobójstwo w metrze — powiedział drugi facet. — Smutne, ale niczym się niewyróżniające. Jasne?
- To wszystko? — zapytałem.
- Dała panu coś?
- Nie.
- Na pewno?
- Absolutnie. To wszystko?
- Ma pan jakieś plany? — zapytał facet.
- Wyjeżdżam z miasta.
- Dokąd?
- W jakieś inne miejsce.

Facet pokiwał głową.

- Okay, to wszystko. A teraz niech pan spada.

Nie ruszyłem się z miejsca. Pozwoliłem im odejść do swojego samochodu. Wsiadli do niego, zaczekali, aż ktoś ich puści, po czym włączyli się do ruchu i odjechali. Domyśliłem się, że skręcą w West Side Highway i wrócą do swojego biura.

Theresa Lee nadal stała na chodniku. Przeszedłem przez ulicę, przecisnąłem się między dwoma niebiesko-białymi radiowozami

102

i stanąłem przy niej na krawężniku, twarzą do budynku, żeby słońce nie raziło mnie w oczy.

Dość daleko, by się nie narzucać, dość blisko, by mnie usłyszała.

\_O co im chodziło? — zapytałem.

\_Znaleźli samochód Susan Mark zaparkowany w SoHo.

Odholowali go dziś rano.

- I co?
- Oczywiście go przeszukali.
- Dlaczego to takie oczywiste? Robią wielką aferę ze sprawy, która według nich nie ma większego znaczenia.
- Nie tłumaczą się z tego, co robią. W każdym razie nie nam.
- Co w nim było?
- Karteczka, na której ich zdaniem jest numer telefonu. Nagryzmołony długopisem. Kartka jest zmięta, jakby chciała ją wyrzucić. „
- Co to za numer?

— Zaczyna się od prefiksu sześćset, który ich zdaniem należy do kanadyjskiego operatora komórkowego. Jakaś specjalna sieć. Potem numer, a potem litera D, która może być inicjałem.

— Nic mi to nie mówi.

— Mnie też. Tyle że moim zdaniem to nie jest numer telefonu. Nie jest poprzedzony żadnym prefiksem, a potem jest o jedną cyfrę za dużo.

— Więc co to jest?

Zamiast odpowiedzieć Theresa Lee wyjęła z tylnej kieszeni mały notes. Nie dostała go z firmy. Miał sztywne czarne okładki, pasek, który go zamykał, i był cały wygięty, jakby spędził za dużo czasu w Jej kieszeni. Odpięła pasek, otworzyła notes i pokazała mi zapisany eleganckim charakterem pisma na żółtej kartce numer 600-82219-D. Zgadywałem, że to jej pismo. I że mam przed sobą Przepisaną informację, a nie dokładną kopię nagryzmołonej notatki. 600-82219-D.

- Mówi to coś panu? — zapytała.

Może kanadyjskie komórki mają dłuższe numery — podziałem.

103

Wiedziałem, że firmy telefoniczne na całym świecie martwią się, że zabraknie im numerów. Dodanie jednej cyfry dziesięciokrotnie zwiększa ich liczbę na danym obszarze. Trzydzieści zamiast trzech milionów. Ale Kanada ma niewiele ludności. To olbrzymia powierzchnia w większości niezamieszкана. Razem żyje tam jakieś trzydzieści trzy miliony ludzi. Mniej niż w Kalifornii. A Kalifornii wystarcza normalna liczba cyfr.

— To nie jest numer telefonu — stwierdziła Lee. — To coś innego. Wygląda mi na szyfr albo numer seryjny. Albo numer akt. Ci faceci tracą czas.

— Może to nie ma związku ze sprawą. Znaleziony w samochodzie śmieć może znaczyć cokolwiek.

— To nie mój problem

— Był tam jakiś bagaż? — zapytałem.

— Nie. Nic oprócz normalnych rzeczy, które trzyma się w samochodzie.

— Więc to miała być szybka podróż. Tam i z powrotem.

Lee nie odpowiedziała. Ziewnęła. Była zmęczona.

— Czy ci faceci rozmawiali z bratem Susan? — zapytałem.

— Nie wiem.

— Mark chce to najwyraźniej zamieść pod dywan.

— To zrozumiałe — odparła. — Zawsze jest jakiś powód i nigdy nie jest zbyt atrakcyjny.

Tyle w każdym razie wiem z własnego doświadczenia.

— Zamyka pani sprawę?

— Już jest zamknięta.

— Jest pani zadowolona?

— Dlaczego miałabym nie być?

— Statystyka — odparłem. — Osiemdziesiąt procent samobójstw popełniają mężczyźni.

Popełnia się je rzadziej na Wschodzie niż na Zachodzie. I zrobiła to w dziwnym miejscu.

— Ale zrobiła. Sam pan widział. Nie ma co do tego wątpliwości. Nie ma sporu. To nie było sprytnie upozorowane zabójstwo.

— Może ktoś ją do tego doprowadził. Może to było zabójstwo na odległość.

104

— W takim razie wszystkie samobójstwa są zabójstwami na odległość.

Lee zerknęła w górę i w dół ulicy, chcąc odejść. Była zbyt grzeczna, żeby mi to oznajmić wprost. — No cóż, miło było panią poznać — powiedziałem.

— Wyjeżdża pan z miasta? Pokiwałem głową.

— Jadę do Waszyngtonu — odparłem.

20

Pojechałem pociągiem z Penn Station. Kolejny środek transportu publicznego. Dotarcie tam kosztowało mnie trochę nerwów. Miałem do pokonania zaledwie trzy przecznice, ale przez cały czas wypatrywałem ludzi zerkających na wyświetlacze swoich komórek, i wydawało mi się, że wszyscy trzymają w rękach jakiś włączony elektroniczny gadżet. W końcu jednak dotarłem na dworzec i kupiłem bilet za gotówkę.

Pociąg był pełny i zupełnie inny niż metro. Wszyscy pasażerowie siedzieli przodem do kierunku jazdy i byli schowani za wysokimi oparciami foteli. Widziałem tylko te osoby, które siedziały w tym samym co ja rzędzie. Kobiętę obok mnie i dwóch facetów po drugiej stronie przejścia. Doszedłem do wniosku, że wszyscy troje są adwokatami. Nie z pierwszej, ale pewnie z drugiej i trzeciej ligi, starszymi wspólnikami prowadzącymi aktywne życie. Nie wyglądali na zamachowców-samobójców. Dwaj mężczyźni byli świeżo ogoleni i wszyscy troje wydawali się poirytowani, ale poza tym nic się nie zgadzało. Zresztą jadący do Waszyngtonu Amtrak i tak nie znieciłby żadnego zamachowca--samobójcy. Nadawał się raczej idealnie do podłożenia bomby walizkowej. Na Penn Station podaje się numer toru w ostatniej chwili. Odjeżdżający kręcą się po hali, a potem biegną na odpowiedni peron. Nie ma żadnej kontroli bezpieczeństwa. Na

106

półkach na bagaż kładzione są identyczne walizki na kółkach. Terrorysta może bez trudu wysiąść w Filadelfii, nie zabierając swojej walizki, a potem zdetonować ją przez komórkę, kiedy pociąg będzie wjeżdżał bez niego na Union Station, w samym środku stolicy.

Dojechaliśmy tam jednak bez przeszkód i dotarłem zdrów i cały na Delaware Avenue. W Waszyngtonie było tak samo gorąco jak w Nowym Jorku, tyle że jeszcze wilgotniej. Na chodnikach roiło się od turystów. W większości były to rodziny, przybyłe z całego świata. Sumienni rodzice, ponure dzieciaki, wszyscy w kolorowych szortach i T-shirtach, z mapami w rękę i z gotowymi do strzału aparatami. Sam też nie byłem elegancko ubrany, poza tym niezbyt często odwiedzałem te strony. Pracowałem dawniej w tej okolicy, ale zawsze na lewym brzegu rzeki. Wiedziałem jednak, dokąd idę. Cel, do którego zmierzałem, był oczywisty i leżał wprost przede mną. Kapitol Stanów Zjednoczonych. Zbudowano go, żeby robił wrażenie. W pierwszych dniach istnienia republiki zagraniczni dyplomaci mieli składać tu wizytę i wychodzić z przekonaniem, że nowe państwo jest ważnym graczem. Budynek spełnił swoje zadanie. Za nim, po drugiej stronie Independence Avenue, znajdowały się biura parlamentu. W swoim czasie orientowałem się nieco w polityce Kongresu. Dochodzenia sięgały czasami komisji parlamentarnych. Wiedziałem, że w Rayburn Building siedzą stare wygi, które w Waszyngtonie są od zawsze. Uznałem, że stosunkowo nowemu parlamentarzystcie pokroju Sansoma zaproponują biuro w Cannon Building. Miejsce prestiżowe, ale nie z najwyższej półki.

Mieszczący się na rogu Independence i Pierwszej Ulicy Cannon Building przycupnął naprzeciwko Kapitolu, jakby składał mu hołd albo skrycie groził. Przy drzwiach obowiązywały wszelkiego rodzaju środki bezpieczeństwa. Zapytałem faceta w mundurze, Czy pan Sansom z Karoliny Północnej jest w gmachu. Facet sprawdził coś na liście i odparł, że owszem, jest. Zapytałem, czy mógłbym przesłać wiadomość do jego biura. Facet odparł, że

107

owszem, mógłbym. Dał mi ołówek, firmowy papier i kopertę. Zaadresowałem kopertę „emerytowany major armii Stanów Zjednoczonych John T. Sansom” i dopisałem datę oraz godzinę. „Dzisiaj wczesnym rankiem widziałem śmierć kobiety. Zginęła z pańskim nazwiskiem na ustach”, napisałem na firmowym papierze. Nie była to do końca prawda, ale niewiele się z nią mijałem. „Za godzinę, na stopniach Biblioteki Kongresu. Emerytowany major armii Stanów Zjednoczonych Jack (bez drugiego imienia) Reacher”, dopisałem. Na



dole była rubryka z pytaniem „Czy jesteś moim wyborcą?”. Postawiłem w niej ptaszka. Nie była to do końca prawda. Nie mieszkałem w dystrykcie Sansoma, ale nie byłem również stałym mieszkańcem pozostałych czterystu trzydziestu czterech dystryktów. I trzy razy służyłem w Karolinie Północnej. Więc czułem się uprawniony. Zakleiliśmy kopertą, oddałem ją i wyszedłem poczekać na zewnątrz.

21

Idąc w upale wzdłuż Independence Avenue, dotarłem do Muzeum Aeronautyki i Astronautyki, a potem zrobiłem w tył zwrot i ruszyłem w stronę biblioteki. Kiedy do końca godziny zostało dziesięć minut, siadłem na jej stopniach. Kamienny schodek był ciepły. Wyżej przy drzwiach stali mężczyźni w mundurach, ale żaden się mną nie zainteresował. Na liście obiektów zagrożonych biblioteka musiała znajdować się na dalekim miejscu. Czekałem. Nie spodziewałem się, że pojawi się sam Sansom. Oczekiwałem raczej jego podwładnych. Być może ochotników pracujących przy kampanii. Nie wiedziałem, ilu ich będzie i w jakim wieku. Pewnie od jednej do czterech osób, zaraz po studiach względnie doświadczonych zawodowców. To było dość ważne. Pojedynczy młodzieńca oznaczałby, że Sansom nie wziął sobie mojego listu do serca. Cztery starsze osoby będą świadczyć, że sprawa jest Poważna. I być może kongresmen ma coś do ukrycia.

Sześćdziesięciminutowy termin minął. Nie doczekałem się nikogo z podwładnych i nikogo z ochotników. Nikogo starego i młodego. Zamiast tego pojawiła się żona Sansoma oraz jego ochrony. Dziesięć minut po upływie godziny zobaczyłem niedobrą parę, która wysiadła z lincolna town car i rozejrzała się dokoła. Żonę rozpoznałem ze zdjęcia, które widziałem

109

w książce Sansoma. Na żywo wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać żona milionera. Dobrze zbudowana i wysportowana, miała elegancką fryzurę i była chyba o dwa cale wyższa od męża. O cztery w obcasach. Towarzyszący jej facet wyglądał na weterana Deltę, był w garniturze. Nieduży, ale twardy i zyłasty. Reprezentował ten sam fizyczny typ co Sansom, robił jednak wrażenie mniej od niego okrzęszonego. Jego uszyty z dobrego materiału garnitur miał konserwatywny krój, ale był pognieciony i pomarszczony niczym znoszony mundur.

Oboje stanęli i przyjrzeni się ludziom będącym w pobliżu. Kiedy wyeliminowali całą resztę i zostałem im tylko ja, podniosłem rękę w geście powitania. Nie wstałem. Domyśliłem się, że podejść do mnie i stanąć niżej. Gdybym wstał, bardzo bym nad nimi górował. Poza tym na siedząco nie stwarza się atmosfery zagrożenia. Łatwiej prowadzić rozmowę. I zużywa się mniej energii. Byłem zmęczony.

Ruszyli pod górę w moją stronę. Pani Sansom w porządnym butach, stawiając precyzyjnie kroki, facet z Deltę dostosowując się do niej. Zatrzymali się dwa schodki niżej i przedstawili. Pani Sansom przedstawiła się jako Elspeth, a facet jako Browning, dodając, że jego nazwisko pisze się tak samo jak nazwa karabinu, co miało mnie pewnie onieśmielić. Był dla mnie kimś nowym. Nie znalazłem o nim wzmianki w książce Sansoma. Przedstawił mi całą listę swoich zasług, które zaczynały się od tego, że służył u boku Sansoma w wojsku, następnie pracował jako szef ochrony w jego firmie oraz szef ochrony podczas jego kadencji w Izbie Reprezentantów, i spodziewał się pełnić przy nim tę samą funkcję w Senacie i później. Cała prezentacja kładła nacisk na lojalność. Żona i wierny sługa. Miałem pozbyć się wszelkich wątpliwości w kwestii, gdzie leżą ich interesy. Raz na zawsze. Chociaż czułem, że wysłanie żony już na samym wstępie było z politycznego punktu widzenia sprytnym posunięciem. Większość skandali wybucha, kiedy facet próbuje uporać się z czymś, o czym jego żona nie ma pojęcia. Zaangażowanie jej o czymś świadczyło.

— Wygraliśmy w wielu wyborach i wygramy w wielu kolej'

110

nych — oświadczyła. — Ludzie próbowali już nieraz robić to samo co pan. Nie udało im się i panu też się nie uda.

\_Niczego nie próbują — odparłem. — I nie obchodzi mnie, kto wygra wybory. Zginęła kobieta, a ja chcę się po prostu dowiedzieć dlaczego.

— Jaka kobieta?

— Urzędniczka Pentagonu. Strzeliła sobie w głowę wczoraj w nocy w nowojorskim metrze.

Elspeth Sansom spojrzała na Browninga, który pokiwał głową.

— Czytałem o tym w Internecie — powiedział. — Na stronach „New York Timesa” i „Washington Post”. Incydent zdarzył się zbyt późno, żeby umieścili to w papierowych wydaniach.

— Co pana z tym wiąże? — zapytała Elspeth Sansom, ponownie zaszczycając mnie spojrzeniem.

— Byłem świadkiem.

— I wymieniła nazwisko mojego męża?

— To jest coś, co chciałbym z nim przedyskutować. Względnie z ludźmi z „New York Timesa” albo „Washington Post”.

— Czy to jest groźba? — zapytał Browning.

— Chyba tak — odpowiedziałem. — Co zamierzacie w związku z tym zrobić?

— Niech pan pamięta — rzekł — że nie robi się takich rzeczy, jakie robił w swoim życiu John Sansom, jeśli jest się mięczakiem. Ja też nie jestem miękki. Podobnie jak pani Sansom.

— Dla mnie bomba — odparłem. — Ustaliliśmy właśnie, że n'kt z nas nie jest miękki. Jak się okazuje, wszyscy jesteśmy twardzi jak skała. W związku z tym pytam, kiedy będę mógł się spotkać z waszym szefem?

Dziś o siódmej wieczorem — odparła Elspeth Sansom

wymieniła nazwę restauracji mieszczącej się, jak się domyśliłem, przy Dupont Circle. — Mój mąż poświęci panu pięć minut- I niech pan nie przychodzi tak ubrany, bo pana nie Wpuszczą — dodała, ponownie mi się przyjrzawszy.

•••

111

Wsiedli z powrotem do lincolna i odjechali. Miałem trzy wolne godziny. Pojechałem taksówką na róg Osiemnastej Ulicy i Mass Avenue i znalazłem sklep, w którym kupiłem granatowe spodnie oraz koszulę w niebieską kratę. Następnie ruszyłem w stronę hotelu, który zobaczyłem dwie przecznice na południe od Osiemnastej Ulicy. Był całkiem duży i elegancki, a w dużych eleganckich hotelach najłatwiej jest załatwić coś na boku. Skinąłem głową recepcjonistce, wjechałem windą na przypadkowe piętro i znalazłem pokojówkę sprzątającą pusty pokój. Minęła już czwarta po południu. Ludzie wprowadzają się o drugiej. Dlatego pokój miał prawdopodobnie pozostać pusty przez całą noc. Duże hotele rzadko kiedy mają stuprocentowe obłożenie. I nigdy nie traktują dobrze swoich pokojówek. Dlatego kobieta chętnie wzięła trzydzieści dolarów gotówką i zrobiła sobie trzydziestominutową przerwę. Domyśliłem się, że przeszła do następnego pokoju, który miała na liście, żeby wrócić do mojego później.

Nie sprzątnęła jeszcze łazienki, ale na wieszaku wisiały tam nadal dwa czyste ręczniki. Nikt nie jest w stanie użyć wszystkich ręczników, które zapewnia duży hotel. Na umywalce leżała zapakowana kostka mydła i wypełniony w połowie flakonik szamponu. Umyłem zęby i wziąłem długi prysznic. Następnie wytarłem się i ubrałem w nowe spodnie i koszulę. Opróżniłem kieszenie i wyrzuciłem stare ubranie do kosza w łazience. Taniej niż w łaźni. I szybciej. Po dwudziestu ośmiu minutach byłem z powrotem na ulicy.

•••

Dotarłem do Dupont Circle i przyjrzałem się restauracji-Afgańska kuchnia, stoliki w ogródku i stoliki wewnątrz, za drewnianymi drzwiami. Lokal wyglądał na odpowiednie miejsce dla waśniaków pragnących wydać dwadzieścia dolców na przekąskę, za którą zapłaciliby dwadzieścia centów na ulicach Kabulu-Jedzenie nawet mi odpowiadało, ale nie ceny. Uznałem, że pogadam z Sansomem, a potem pójdę coś zjeść gdzie indziej.

112

Przespacerowałem się po P Street do Rock Creek Park i zszedłem w pobliże stawu. Usiadłem na szerokim płaskim kamieniu i przez jakiś czas słuchałem płynącego za mną strumienia. Uliczny hałas robił się stopniowo coraz głośniejszy, a szum wody coraz cichszy. Kiedy zegar w mojej głowie wskazał za pięć siódmą, wróciłem do restauracji.

22

O siódmej wieczorem w Waszyngtonie robiło się ciemno i we wszystkich lokalach przy Dupont paliły się światła. W ogródku afgańskiej knajpy wisały papierowe lampiony. Przy krawężniku stały limuzyny. Większość stolików była zajęta. Nie było tam jednak Sansoma i jego gości. Widziałem wyłącznie młodych mężczyzn w garniturach i młode kobiety w spódniczkach. Siedzieli po dwie, trzy i cztery osoby przy stoliku, rozmawiając, dzwoniąc przez komórki, czytając e-maile z podręcznych urządzeń, wyjmując papiery z teczek i wypychając je z powrotem. Domyśliłem się, że Sansom jest w środku, za drewnianymi drzwiami.

Przy wejściu było stanowisko hostessy, ale zanim do niej dotarłem, Browning precyzyjnie się przez grupkę ludzi, stanął przede mną i wskazał głową stojącego dwadzieścia jardów dalej czarnego lincolna town car.

— Chodźmy — powiedział.

— Dokąd? — odparłem. — Myślałem, że Sansom tu jest.

— Niech pan pomyśli... Nie jadłby w takim lokalu. Nie pozwolilibyśmy mu, nawet gdyby miał ochotę. Niewłaściwe pod względem demograficznym otoczenie, słabe zabezpieczenia.

— Więc po co mnie tu ściągnęliście?

— Musieliśmy pana gdzieś ściągnąć.

Stał tam, jakby było mu kompletnie wszystko jedno, czy z ni<sup>o</sup> pojedę, czy sobie pójdę.

— Więc gdzie on jest? — zapytałem.

114

— Niedaleko. Ma spotkanie. Może panu poświęcić pięć minut, zanim się zacznie.

— Dobrze — odparłem. — Jedźmy.

W lincolnie siedział kierowca. Silnik był na chodzie. Kiedy Browning i ja usiedliśmy z tyłu, objechaliśmy większą część ronda i skręciliśmy na południowy zachód w New Hampshire Avenue. Minęliśmy Towarzystwo Historyczne. Z tego, co pamiętałem, przy New Hampshire było kilka hoteli, a potem Uniwersytet Jerzego Waszyngtona.

Nie zatrzymaliśmy się jednak przed żadnym z hoteli. Nie zatrzymaliśmy się przy Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. Zamiast tego skręciliśmy szybko w Virginia Avenue, przejechaliśmy kilkaset jardów i wjechaliśmy do Watergate. Słynny stary kompleks. Miejsce przestępstwa. Pokoje hotelowe, apartamenty, biura, a z drugiej strony toczący powoli swoje ciemne wody Potomac. Kierowca zatrzymał się przed budynkiem biurowym. Browning nie ruszył się z miejsca.

— Oto zasady, których będziemy się trzymać — powiedział. — Zabiorę pana na górę. Wejdzie pan sam. Ale ja będę stał za drzwiami. Czy to jasne?

Pokiwałem głową. Wszystko było jasne. Wyszliśmy. Za biurkiem przy wejściu siedział strażnik w mundurze, ale nie zwrócił na nas uwagi. Wszedliśmy do windy. Browning wcisnął czwórkę. Pojechaliśmy w milczeniu na górę. Po wyjściu z windy przeszliśmy siedem jardów po szarej wykładzinie dywanowej do gabinetu z tabliczką Badania uniwersalne. Nic niemówiący napis, nierzucające się w oczy drewniane drzwi. Browning otworzył je 1 Puścił

mnie przodem. Zobaczyłem niezbyt drogo umeblowaną Poczekalnię. Puste biurko, cztery niskie skórzane fotele, gabinety Po lewej i prawej stronie. Browning wskazał drzwi po lewej. ' Niech pan zapuka i wejdzie. Zaczekam tu na pana.

Podszedłem do drzwi po lewej stronie, zapukałem i wszedłem do środka. y gabinecie czekali na mnie trzej mężczyźni.

Żaden z nich nie był Sansomem.

23

Gabinet był prostym, skąpo umeblowanym pomieszczeniem. Trzej mężczyźni byli trzema agentami federalnymi, którzy przyjechali w nocy na czternasty posterunek w Nowym Jorku. Nie ucieszyli się na mój widok. Z początku w ogóle się nie odzywali. Zamiast tego ich szef wyciągnął z kieszeni srebrny przedmiot. Dyktafon. Cyfrowy. Sprzęt do użytku biurowego wyprodukowany przez firmę Olympus. Facet wcisnął przycisk i po krótkiej przerwie usłyszałem jego głos. „Czy coś panu powiedziała?”. Nagranie było niewyraźne i zniekształcone przez pogłos, ale rozpoznałem je. Pytanie padło podczas naszej rozmowy o piątej rano, kiedy siedziałem zaspany na krześle, oni stali w pełnej gotowości, a w powietrzu unosił się zapach potu, nerwów i przypalanej kawy.

Usłyszałem, jak mówię „nic istotnego”.

Facet nacisnął inny przycisk i zatrzymał nagranie. Schował urządzenie do kieszeni, sięgnął do innej i wyciągnął z niej złożoną kartkę. Rozpoznałem ją. To był firmowy papier, który strażnik Kapitolu dał mi przy wejściu do Cannon Building. Facet rozłożył go.

— „Dzisiaj wczesnym rankiem widziałem śmierć kobiety-Zginęła z pańskim nazwiskiem na ustach” — przeczytał na głos i przesunął kartkę, żebym mógł zobaczyć własny charakter pisma-

116

\_ Powiedziała panu coś istotnego — oświadczył. — Okłamał pan federalnych śledczych. Ludzie idą za to do więzienia.

— Ja nie idę — odparłem.

— Tak pan sądzi? A co czyni z pana kogoś wyjątkowego?

— Nic nie czyni ze mnie kogoś wyjątkowego. A co czyni z was federalnych śledczych? Facet nie odpowiedział.

— Nie można mieć i jednego, i drugiego — powiedziałem. — Skąd mam wiedzieć, kim jesteście, skoro robicie z tego wielką tajemnicę i nie pokazujecie swoich legitymacji? Może jesteście cywilnymi urzędnikami nowojorskiej policji, którzy przyszli wcześniej do roboty i chcieli się czymś zająć. I nie wsadzają do mamra za okłamywanie cywilów. W przeciwnym razie wszyscy wasi szefowie trafiliby za kratki.

— Powiedzieliśmy panu, kim jesteśmy.

— Ludzie opowiadają różne rzeczy.

— Czy wyglądamy na cywilnych urzędników?

— Jak najbardziej. A poza tym może was wcale nie okłamałem. Może okłamałem Sansoma.

— Więc kogo pan okłamał?

— To moja sprawa. Nadal nie widzę waszych legitymacji.

— Co dokładnie pan robi tu w Waszyngtonie? Czego pan chce od Sansoma?

— To też jest moja sprawa.

— Chce pan mu zadać pytania?

— Macie paragraf zabraniający ludziom zadawać pytania?

Był pan świadkiem. Teraz prowadzi pan własne śledztwo?

To wolny kraj — odpowiedziałem.

Sansom nie jest w stanie nic panu powiedzieć.

Może nie jest, a może jest.

pacet przez chwilę milczał.

Lubi pan tenis? — zapytał w końcu.

— Nie.

w Słyszał pan o Jimmym Connorsie? Bj ornii Borgu? Johnie McEnroe?

117

— Grali w tenisa, dawno temu — odparłem.

— Co by było, gdyby zagrali w przyszłym roku w U.S. Open?

— Nie mam pojęcia.

— Przeciwnicy roznieśli ich na korcie. Ich głowy podano by widzom na talerzu.

Pobiłyby ich nawet kobiety. W swoim czasie byli mistrzami, ale teraz są starymi facetami i pochodzą z zupełnie innej epoki. Czasy się zmieniają. Gra się zmienia. Rozumie pan, o co mi chodzi?

— Nie — odrzekłem.

— Widzieliśmy pańskie akta. Dawno temu był z pana ostry zawodnik. Ale to prehistoria.

Mamy teraz zupełnie nowy świat. Kompletnie się pan w nim gubi.

Odwrociłem się i spojrzałem w stronę drzwi.

— Czy Browning nadal tam jest? Czy się na mnie wypiął?

— Kim jest Browning?

— Mówię o facecie, który mnie tu przywiózł. Ochroniarzu Sansoma.

— Nie ma go już. I wcale nie nazywa się Browning. Jest pan dzieckiem we mgle.

Nie odpowiedziałem. Usłyszawszy słowo „dziecko”, pomyślałem o Jacobie Marku i jego siostrzeńcu Peterze. On nie jest dzieckiem. Wyszedł z dziewczyną z baru. Prawdziwa seksbomba.

— Ma pan zapomnieć, że był pan kiedykolwiek śledczym. Jasne? — powiedział jeden z dwóch pozostałych facetów. — Chcemy, żeby pan był świadkiem. Chcemy wiedzieć, w jaki sposób nazwisko Sansoma wiąże się z martwą kobietą. Nie wyjdzie pan z tego pokoju, dopóki się tego nie dowiemy.

— Wyjdę z tego pokoju dokładnie wtedy, kiedy zdecyduję się wyjść — odparłem. — Trzej urzędnicy to za mało, żeby zatrzymać mnie w miejscu, w którym nie mam ochoty przebywać.

— Przechwałki.

— Zresztą nazwisko Sansoma wypłynęło już wcześniej — dodałem. — Usłyszałem je od prywatnych detektywów w Nowy® Jorku.

— Co to za jedni?

118

— Czterej faceci z fałszywymi wizytówkami.

— Nie stać pana na nic więcej? Bardzo mało przekonująca historia. Moim zdaniem usłyszał pan to nazwisko od samej Susan Mark.

— Dlaczego tak się tym przejmujecie? Jakie informacje, do których ma dostęp urzędniczka zasobów ludzkich, mogłyby zaszkodzić Sansomowi?

Nikt się nie odezwał, ale milczenie, które zapadło, miało w sobie coś dziwnego. Słysząc w nim było niewypowiedziane słowa, które unosiły się coraz wyżej i zataczały coraz szersze kręgi. Nie chodzi tylko o Sansoma, mówiły ich twarze, ale o całą armię i o całe wojsko. O przeszłość i przyszłość, o rząd, o kraj, o cały świat, o cały ten cholerny wszechświat.

— Kim jesteście? — zapytałem.

Bez odpowiedzi. ,

— Co, u licha, robił Sansom w tamtym czasie?

— W jakim czasie?

— Podczas siedemnastu lat służby.

— A co, pana zdaniem, robił?

— Brał udział w czterech tajnych misjach.

W pokoju znowu zapadła cisza.

— Skąd pan wie o misjach Sansoma? — zapytał główny agent.

— Czytałem jego książkę — odparłem.

— Nie ma w niej o nich mowy.

— Ale jest mowa o awansach i medalach. Bez wyjaśnienia, za co je otrzymał.

Nikt się nie odezwał.

- Susan Mark nic nie wiedziała — oświadczyłem. — Nie mogła wiedzieć. To po prostu niemożliwe. Mogłaby przewrócić cały dział zasobów ludzkich do góry nogami, a i tak nic by nie znalazła.

Ale ktoś się do niej zwrócił.

I co z tego? Nikomu nie stało się nic złego. „, Chcemy po prostu wiedzieć, kto to był. Chcemy uważnie Sled/lć takie sprawy.

119

— Nie wiem, kto to był.

— Ale wyraźnie chce się pan dowiedzieć. Po co w innym razie by pan tu przyjeżdżał?

— Widziałem, jak się zastrzeliła. To nie był przyjemny widok.

— Nigdy nie jest. Ale to nie powód, żeby dać się ponieść emocjom. Albo wpaść w tarapaty.

— Martwicie się o mnie?

Żaden z nich nie odpowiedział.

— Czy może raczej martwicie się, że coś odkryję?

— Dlaczego sądzi pan, że te dwa zmartwienia nie łączą się ze sobą? Może chodzi o to samo. Jeśli pan coś odkryje, trafi pan do końca życia za kratki. Albo znajdzie się w ogniu krzyżowym.

Nie odpowiedziałem. Znowu zapadła cisza.

— To pana ostatnia szansa — powiedział główny agent. — Niech pan się trzyma roli świadka. Czy kobieta wymieniła, czy nie wymieniła nazwisko Sansoma?

— Nie wymieniła — odparłem.

— Ale i tak wypłynęło.

— Zgadza się. Wypłynęło.

— I nie wie pan, kto o niego pytał.

— Nie. Nie wiem.

— No dobrze — powiedział facet. — Teraz niech pan o tym wszystkim zapomni. Nie mamy ochoty komplikować panu życia.

— Ale...?

— Ale zrobimy to, jeśli będziemy musieli. Pamięta pan, ile kłopotów mógł pan przysporzyć ludziom, służąc w sto dziesiątej? Teraz jest o wiele gorzej. Sto razy gorzej. Więc niech pan nie będzie głupi. Jeśli chce pan grać, niech pan gra z seniorami. A od tej sprawy niech pan trzyma się z daleka. Zmieniły się zasady gry.

Wypuścili mnie. Zjechałem na dół windą, minąłem faceta przy drzwiach, wyszedłem na szeroki brukowany dziedziniec i spojrzałem na powoli płynącą rzekę. Odbite światła kołysały się

120

^jaz z falami. Pomyślałem o Elspeth Sansom. Zaimponowała Ojj Niech pan nie przychodzi tak ubrany, bo pana nie wpuszczą. Idealna zmyłka. Zrobiła ze mnie balona. Kupiłem koszulę, której nie potrzebowałem ani nie chciałem.

Żona Sansoma nie była miękka.

Z całą pewnością.

Noc była ciepła, powietrze ciężkie i pachniało morzem. Ruszyłem z powrotem w stronę Dupont Circle. Oceniałem, że mam do przejścia milę z okładem. Dwadzieścia minut piechotą. Albo mniej.

24

Kolacje w waszyngtońskich restauracjach rzadko kiedy trwają krócej niż godzinę i rzadko kiedy dłużej niż dwie. Wiedziałem to z doświadczenia. Spodziewałem się więc, że Sansom będzie kończył przekąski albo zamawiał deser. Ewentualnie pił kawę i zastanawiał się nad cygarem.

W restauracji mniej więcej przy połowie stolików zmieniła się klientela. Pojawili się nowi chłopcy w garniturach i nowe dziewczęta w spódniczkach. Teraz było tam więcej par niż trójkątów i czworokątów i atmosfera zrobiła się bardziej romantyczna. Więcej inteligentnych odzywek, które miały zrobić wrażenie, i mniej wpatrywania się w elektroniczne cuda.

— Ja do kongresmena! — zawołałem, mijając hostessę, po czym pchnąłem drzwi i omiotłem wzrokiem długą, prostokątną, spowitą w półmroku salę, którą wypełniał zapach ostrych przypraw, głośne rozmowy i wybuchający od czasu do czasu śmiech.

Sansoma w niej nie było. Nie było jego ani jego żony, nie było śladu faceta, który przedstawił się jako Browning, nie było personelu ani społecznych asystentów. Wycofałem się. Kobieta przy wejściu posłała mi pytający wzrok.

— Kogo pan szukał? — zapytała.

— Johna Sansoma — odparłem.

— Nie ma go tutaj.

122

— Na to wygląda.

— Z czternastego okręgu Karoliny Północnej? — zapytał

młodziwiec siedzący przy moim łokciu. — Wyjechał z miasta. Jutro rano będzie zbierał fundusze na śniadaniu w Greensboro. Banki i ubezpieczenia, bez firm tytoniowych.

Słyszałem, jak mówił o tym mojemu facetowi. — To ostatnie zdanie było zaadresowane do jego dziewczyny, nie do mnie. Być może nawet cała przemowa. Mojemu facetowi.

Najwyraźniej chłopak był cholernie ważnym graczem albo chciał nim być.

Po wyjściu z restauracji przez chwilę stałem bez ruchu, a potem wyruszyłem do Greensboro w Karolinie Północnej.

•••

Złapałem nocny autobus, który miał pierwszy przystanek w Richmond w Wirginii, a następne w Raleigh, Durham i Burlington. Nie śledziłem trasy. Przespałem całą drogę. Autobus przyjechał do Greensboro przed czwartą rano. Minąłem biura poręczycieli sądowych, zamknięte na głucho lombardy i kilka jadłodajni, w końcu znalazłem odpowiedni rodzaj baru.

Nie chodziło mi o to, co można w nim zjeść. Wszystkie barowe potrawy nie różnią się dla

mnie smakiem. Szukałem knajpy, w której byłyby darmowe lokalne gazety i książki

telefoniczne, i musiałem przejść kawał drogi, zanim taką znalazłem. Lokal, który wybrałem,

właśnie otworzyli. Facet czyścił blachę do pieczenia. Kawa kapała do termosu. Zamknąłem

się w budce telefonicznej i przejrzałem żółte strony, szukając hoteli. W Greensboro mieli ich sporo. Miasto było całkiem pokaźne. Miało może ćwierć miliona mieszkańców.

Uznałem, że śniadanie, na którym będą zbierali fundusze, musi się odbyć w godnym miejscu.

Sponsorzy są bogaci i nie pójdą do Red Roof Inn, żeby wydać pięćset dolców za danie.

Zwłaszcza jeśli pracują w bankowości i ubezpieczeniach. Domyś-Wem się, że to będzie Hyatt albo Sheraton. W Greensboro znajdował się jeden i drugi. Szanse były wyrównane.

Odłożyłem

^zki telefoniczne i przejrzałem darmowe gazety, szukając

123

potwierdzenia. Informują w nich o wszystkich lokalnych wydarzeniach. Informację o śniadaniu znalazłem w drugiej gazecie, którą otworzyłem. Myliłem się co do miejsca. Nie w Hyacie i nie w Sheratonie. Zamiast nich Sansom wybrał hotel O. Henry, nazwany tak zapewne ku czci słynnego pisarza z Karoliny Północnej. W gazecie podano dokładny adres. Impreza miała się zacząć o siódmej rano. Oddarłem kawałek gazety, złożyłem go i schowałem do kieszeni. Facet zza lady zakończył przygotowania i przyniósł mi bez pytania kubek kawy. Wypiłem łyk. Nie ma nic lepszego od świeżego naparu w pierwszej sekundzie jego istnienia. Następnie zamówiłem największy zestaw, jaki mieli w menu, i patrzyłem, jak facet go przyrządza.

•••

Do hotelu O. Henry wybrałem się taksówką. Mógłbym tam podejść pieszo i szukanie taryfy trwało dłużej niż sama jazda, ale chciałem zajechać z klasą. Dotarłem tam kwadrans po szóstej. Hotel był kopią stylowego starego pałacu. Robił wrażenie nie-związanego z żadną siecią, ale nie była to chyba prawda. Mało jest teraz niezależnych hoteli. W eleganckim, pograżonym w półmroku holu stało dużo klubowych skórzanych foteli. Podeszedłem do recepcji, starając się zrobić maksymalnie dobre wrażenie, jakie można zrobić w pogniecionej koszuli za dziewiętnaście dolców. Młoda kobieta za biurkiem miała niepewną minę, jakby dopiero co przyszła i jeszcze się nie zdomowiała.

— Ja na śniadanie z Sansomem — oznajmiłem, gdy zmierzyła mnie wzrokiem. Recepcjonistka nie odpowiedziała, zupełnie jakby nie wiedziała, jak zareagować. Jakbym wprawił ją w zakłopotanie, dostarczając zbyt wielu informacji. — Mieli mi zostawić bilet — dodałem.

— Bilet?

— Zaproszenie.

— Kto miał je zostawić?

124

— Elspeth — odparłem. — To znaczy pani Sansom. Albo ten ich facet.

— Jaki facet?

— Ten ochroniarz.

— Pan Springfield?

Uśmiechnąłem się pod wąsem. Springfield podobnie jak Browning produkuje samopowtarzalne karabiny. Facet lubił słowne gierki, co było zabawne, ale głupie. Fałszywe nazwiska spełniają lepiej swoją funkcję, jeśli są kompletnie niezwiązane z rzeczywistością.

— Widziała ich już pani dziś rano? — zapytałem. Była to finezyjna zagrywka.

Domyślałem się, że Greensboro nie należy do dystryktu wyborczego Sansoma. Kampania do Senatu wymagała szukania funduszy i pokazywania się w całym stanie. Sansom wycisnął już pewnie wszystko, co się dało, z własnego terytorium i teraz zarzucał sieć dalej. Dlatego prawdopodobnie zatrzymał się w hotelu na noc, żeby wystartować z samego rana. Nie wiedziałem jednak tego na pewno. Gdyby mieszkał o pięć minut stąd, wyszedłbym na idiotę, pytając, czy już wyszedł z pokoju. Gdyby mieszkał w odległości dwustu mil, wyszedłbym na idiotę, pytając, czy już przyjechał. Wybrałem więc neutralne pytanie.

— Z tego, co wiem, nadal są na górze — odparła kobieta.

— Dziękuję — odparłem i wycofałem się do holu, daleko od wind, żeby nie musiała się mną kłopotać. Zaczekałem, aż zadzwonił telefon i wsadziła nos w komputer, po czym podeszedłem do wind i wcisnąłem przycisk.

Uznałem, że Sansom wynajął duży apartament mieszczący się na najwyższym piętrze, w związku z czym wcisnąłem najwyższą cyfrę, jaką miałem do wyboru w kabinie. Po dłuższej chwili wyszedłem na wyłożony dywanem korytarz i zobaczyłem umundurowanego glińiarza stojącego przed podwójnymi mahoniowymi jkzwiami. Stójkowy z miejscowej policji.

Niemłody. Weteran,



°ry chętnie bierze niewymagające wysiłku nadgodziny. Sym-!czna ochrona. Podeszedłem do niego ze smutnym uśmiechem

125

na ustach, jakbym chciał powiedzieć „ty masz swoją robotę, ja mam swoją, takie jest życie”. Podejrzywałem, że obsłużył już kilku gości. Personel hotelowy, sztabowców, którzy mieli prawo tu być, być może jakichś dziennikarzy.

— Jack Reacher do pana Sansoma — powiedziałem, pozdrawiając policjanta skinieniem głowy, po czym zapukałem do drzwi. Nie zareagował. Nie poskarżył się. Po prostu stał w miejscu niczym eksponat, którym w zasadzie był. Kimkolwiek Sansom miał się stać w przyszłości, w tym momencie był wyłącznie kongresmenem z prowincji i długo jeszcze nie mógł liczyć na porządną ochronę.

Drzwi apartamentu się otworzyły i zobaczyłem stojącą za nimi żonę Sansoma, ubraną, uczesaną i umalowaną, gotową stawić czoło wyzwaniom nowego dnia.

— Cześć, Elspeth — powiedziałem. — Mogę wejść?

25

Zobaczyłem w jej oczach zimne wyrachowanie żony polityka. Pierwsza myśl: wyrzucić intruza. Ale na korytarzu był gliniarz, w budynku najprawdopodobniej przedstawiciele mediów, w zasięgu głosu prawie na pewno ktoś z personelu. A miejscowi lubią plotkować.

— Major Reacher. Miło pana znowu widzieć — powiedziała, przetykając ślinę, po czym cofnęła się, żebym mógł wejść.

Apartament był duży. Zasłonięte okna i ciężkie meble w ciemnych stonowanych kolorach sprawiały, że panował w nim półmrok. Był tam salon z barem śniadaniowym i otwarte drzwi, które musiały prowadzić do sypialni. Elspeth zaprowadziła mnie na środek pokoju

1 Przystanęła, jakby nie wiedziała, co ze mną dalej zrobić. Po chwili

2 sypialni wyszedł John Sansom, żeby zobaczyć, co się dzieje. Był w spodniach, koszuli, krawacie i skarpetkach. Bez butów.

Wydawał się nieduży, jakby ktoś go zminiaturyzował. Drobnej budowy ciała, wąski w ramionach. Jego głowa była odrobinę za Uza w porównaniu z resztą ciała. Miał krótko ostrzyżone włosy, opaleniznę, która sugerowała zdrowy tryb życia na świeżym Kietrze, i ogorzałą, szorstką skórę. Ten facet nie odwiedzał arium. Emanowało z niego bogactwo, siła, energia i charyzma, o było się domyślić, dlaczego wygrał w wielu wyborach, dojrzał najpierw na mnie, a potem na żonę.

127

— Gdzie jest Springfield? — zapytał.

— Poszedł na dół sprawdzić sytuację. Musieli się minąć jadąc windami.

Sansom pokiwał głową, a w zasadzie uniósł tylko i opuścił powieki. Facet, który przywykł do podejmowania decyzji, a przy tym pragmatyk nie lubiący płakać nad rozlanym mlekiem.

— Nie poddaje się pan — stwierdził, patrząc na mnie.

— Nigdy — odparłem.

— Nie posłuchał pan tych federalnych w Waszyngtonie?

— Kim dokładnie byli?

— Ci faceci? Wie pan, jak to jest. Mógłbym panu powiedzieć, ale potem musiałbym pana zabić. Ale kimkolwiek są, mieli pana ostrzec.

— Nie udało im się.

— Zapoznali mnie z pańskimi aktami osobowymi i uprzedziłem ich, że nic z tego nie będzie.

— Rozmawiali ze mną, jakbym był idiotą. I powiedzieli, że jestem stary. Z czego wynika, że pan jest o wiele za stary.

— Jestem o wiele za stary. W każdym razie na całe to gównno.

— Ma pan dziesięć minut?

— Mogę panu poświęcić pięć.  
— Ma pan kawę?  
— Traci pan czas.  
— Mamy mnóstwo czasu. W każdym razie więcej niż pięć minut. Nawet więcej niż dziesięć. Musi pan zasznurować buty i włożyć marynarkę. Ile to może potrwać? Sansom wzruszył ramionami, podszedł do baru śniadaniowego, nalał filiżankę kawy i przyniósł mi.  
— Teraz przejdźmy do rzeczy. Wiem, kim pan jest i po co pan tu przyszedł — powiedział.  
— Znał pan Susan Mark? — zapytałem.  
Potrzęsnał głową.  
— Nigdy jej nie spotkałem i aż do wczorajszego wieczoru nigdy o niej nie słyszałem. Obserwowałem jego oczy i uwierzyłem mu.

128

— Dlaczego zmuszono urzędniczkę działu zasobów ludzkich, żeby pana sprawdziła?  
— Tak to wyglądało?  
— To najbardziej prawdopodobna hipoteza.  
— Nie mam pojęcia. Dział zasobów ludzkich nazywał się kiedyś działem kadr, prawda? Co pan kiedykolwiek od nich dostał? Co ktokolwiek od nich dostał? Co tam mają? Daty i nazwy jednostek. Moja biografia i tak jest teraz własnością publiczną. Ze sto razy wystąpiłem w CNN. Poszedłem do wojska, studiowałem w szkole oficerskiej, zostałem oficerem, trzy razy mnie awansowano, wyszedłem z wojska. Nie ma tu żadnych tajemnic.  
— Pańskie misje w Delcie są tajne.  
W pokoju zapadła cisza.  
— Skąd pan o nich wie? — zapytał Sansom.  
— Dostał pan cztery medale. Nie napisał pan za co.  
Sansom pokiwał głową.  
— Ta cholerna książka — mruknął. — Medale się odnotowuje. Nie da się ich ukryć. Nie mogę się ich wyrzec. Okazałbym w ten sposób brak szacunku. Polityka to pole minowe. Źle, jeśli pan coś zrobi, źle, jeśli pan nie zrobi. Tak czy owak, zawsze się do pana dobiorą. Nie odezwałem się.  
— Ile osób może połączyć te dwa fakty? To znaczy oprócz pana? — zapytał, patrząc na mnie.  
— Jakieś trzy miliony — odparłem. — Może więcej. Wszyscy wojskowi i wszyscy weterani, którzy umieją czytać między wierszami. Którzy wiedzą, jak to funkcjonuje.  
Sansom potrzęsnał głową.  
— Nie aż tylu. Większość ludzi nie ma aż tak docieklivego umysłu. A nawet jeśli mają, szanują wymóg zachowania tajemny. Nie sądzę, żeby to stanowiło problem. Gdzieś istnieje problem. W przeciwnym razie po co zadawano by pytania Susan Mark? Naprawdę wymieniła moje nazwisko? Potrzęsnałem głową.

129

— Chciałem w ten sposób zwrócić pańską uwagę. Usłyszałem pańskie nazwisko od facetów, których moim zdaniem zatrudniła osoba zadająca pytania.  
— Jaka jest pańska rola w tej sprawie?  
— Żadna. Ale Susan Mark wyglądała na miłą osobę, która znalazła się między młotem i kowadłem.  
— I przejmuję się pan jej losem?  
— Pan też, nawet jeśli nie aż tak bardzo. Nie zajął się pan polityką, żeby mieć z tego osobistą korzyść. W każdym razie taką mam szczerą nadzieję.  
— Naprawdę jest pan moim wyborcą?

— Stanę się nim dopiero wtedy, kiedy wybiorą pana na prezydenta.  
Sansom przez chwilę milczał.

— FBI zapoznało mnie ze sprawą—powiedział w końcu. — Mogą ode mnie coś uzyskać, więc celowo mnie wtajemniczyli. Powiedzieli, że zdaniem nowojorskiej policji ma pan w tej sprawie poczucie winy. Boi się pan, że doprowadził ją do ostateczności w tym metrze. A poczucie winy nigdy nie jest dobrą podstawą do podejmowania decyzji.

— To była opinia tylko jednej kobiety — stwierdziłem.

— Nie miała racji?

Nie odpowiedziałem.

— Nie mam zamiaru opowiadać panu o swoich misjach — oznajmił.

— Nie oczekuję tego — odparłem.

— Ale?

— Ile z tego może panu dzisiaj zaszkodzić?

— Nic w życiu nie jest wyłącznie czarne albo białe. Wie pan o tym. Ale nie popełniono żadnych zbrodni. Poza tym nikt nie zdoła dojść prawdy, sprawdzając akta zasobów ludzkich. To zarzucanie sieci w ciemno, co się złowi. Dziennikarska amatorszczyzna w najgorszym wydaniu.

— Nie wydaje mi się — powiedziałem. — Susan Mark był3 przerażona i zaginał jej syn.  
130

Sansom spojrział na żonę, a potem z powrotem na mnie.

— Nie wiedzieliśmy o tym — odparł.

— Nie pisano o tym. Jest futbolistą na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Pięć dni temu wyszedł z baru z jakąś dziewczyną. Od tego czasu już go nie widziano. Wszyscy uważają, że zrobił sobie wagary i bawi się jak nigdy w życiu.

— Skąd pan o tym wie?

— Od brata Susan Mark. Wujka chłopca.

— I nie kupuje pan tej historii?

— Za dużo zbiegów okoliczności.

— Niekoniecznie. Chłopcy stale podrywają dziewczyny w barach.

— Sam pan jest rodzicem — powiedziałem. — Co sprawiłoby, że pan by się zastrzelił?

W pokoju zrobiło się jeszcze ciszej.

— Cholera — mruknęła Elspeth Sansom.

John Sansom miał na twarzy to nieobecne spojrzenie, które widywałem u dobrych połowych oficerów reagujących na taktyczne komplikacje. Przemyśleć na nowo, zająć inne pozycje, zreorganizować — wszystko w ciągu sekundy albo dwóch. Widziałem, że analizuje całą historię i dochodzi do stanowczego wniosku.

— Przykro mi z powodu sytuacji, w jakiej znalazła się rodzina Marków — powiedział.

— Naprawdę. I pomógłbym im, gdybym mógł, ale nie mogę. W mojej służbie w Delcie nie ma nic, do czego można by dotrzeć poprzez dział zasobów ludzkich. Absolutnie nic. Więc albo chodzi o coś zupełnie innego, albo ktoś szuka w złym miejscu.

' Gdzie jeszcze może szukać?

— Wie pan gdzie. I wie pan, że nie zdołają się tam zbliżyć naWet na milę. Poza tym ktoś, kto wie dosyć, żeby chcieć zajrzeć do archiwów Delty, na pewno wiedziałby, gdzie ich szukać,

Sdzie nie. Więc tu nie chodzi o siły specjalne. W żadnym ^adku.

O co innego może chodzić?

131

— O nic. Jestem czysty jak łąza.

— Naprawdę?

— Absolutnie. Na sto procent. Nie jestem idiotą. Nie wchodziłbym w politykę, gdybym miał najmniejszą rzecz do ukrycia. Nie w dzisiejszym świecie. Nie mam nawet niezapłaconych mandatów za parkowanie.

— W porządku — mruknąłem.

— Przykro mi z powodu tej kobiety w metrze.

— W porządku — powtórzyłem.

— A teraz naprawdę musimy już iść. Musimy zebrać sporo forsy.

— Słyszał pan kiedyś o Lili Hoth? — zapytałem.

— Lila Hoth? — powtórzył Sansom. — Nie, nigdy o niej nie słyszałem.

Patrzyłem mu prosto w oczy i wyczułem, że mówi prawdę. I że w żywe oczy. Równocześnie.  
26

Wychodząc z hotelu, minąłem Springfielda. Zbliżałem się do zewnętrznych drzwi, a on akurat opuszczał jadalnię. Za jego plecami widziałem okrągłe stoły ze śnieżnobiałymi obrusami i dekoracjami z kwiatów. Springfield popatrzył na mnie bez większego zdziwienia. Tak jakby oceniał moje osiągi i uznał je za satysfakcjonujące. Jakbym dotarł do jego pryncypała w przewidywanym przez niego czasie. Nie za szybko, nie za wolno, dokładnie w środku okienka, jakie mi wyznaczył. Spojrzał na mnie z zawodowym uznaniem i bez słowa odszedł.

•••

Wróciłem do Nowego Jorku tą samą drogą, jaką tu przyjechałem, tyle że w odwrotnym kierunku. Taksówką na dworzec autobusowy w Greensboro, autobusem do Waszyngtonu i pociągiem do Nowego Jorku. Podróż zajęła mi cały dzień i część wieczoru. Rozkłady jazdy autobusów i pociągów nie zostały ze sobą zsynchronizowane, a bilety na dwa pierwsze pociągi z Waszyngtonu wyprzedano. Spędziłem ten czas, zastanawiając się P<sup>o</sup> pierwsze nad tym, co powiedział Sansom, po drugie nad tym, czego nie powiedział. Nic w życiu nie jest wyłącznie czarne albo Ale nie popełniono żadnych zbrodni. Poza tym nikt nie zdoła dojść prawdy, sprawdzając akta zasobów ludzkich. Nie

133

zaprzeczył, że prowadził kontrowersyjną działalność. Wprost przeciwnie. Prawie się do niej przyznał. Uważał jednak, że nie przekroczył granicy przyzwoitości. Żadnych zbrodni. I był absolutnie przekonany, że żadna z tych rzeczy nie ujrzy światła dziennego. Dość częsty pogląd wśród pełniących odpowiedzialne funkcje byłych wojskowych. Słowo „kontrowersyjne” było dla nas wszystkich bardzo ważne. Tylko czternaście liter i cały podręcznik implikacji. Gdyby dokładnie sprawdzić moją karierę, też nie okazałaby się bez skazy. Nie spędza mi to snu z oczu, ale cieszę się, że pewne szczegóły nie zostaną ujawnione. Sansom też się pewnie z tego cieszy. Znam szczegóły swojej kariery. Ale jakie są szczegóły kariery Sansoma? Z pewnością mogły mu zaszkodzić. Albo osobiście, albo w kontekście wyborów. Federalni nie pozostawili w tej kwestii cienia wątpliwości. Sansom nie jest panu w stanie nic powiedzieć. Te szczegóły mogły jednak zaszkodzić również w szerszym kontekście — w przeciwnym razie nie interesowałiby się całą sprawą.

I kim, do diabła, była Lila Hoth?

Zadawałem sobie te pytania, siedząc w telepiącym się na wybojach autobusie i czekając na pociąg na Union Station. A potem, kiedy pociąg, do którego wsiadłem, przejeżdżał przez Baltimore, przestałem je zadawać. Nie doprowadziły mnie do żadnych wniosków, a poza tym zaabsorbowało mnie coś innego. Zacząłem się zastanawiać, dokąd dokładnie w Nowym Jorku zmierzała Susan Mark. Przyjechała z południa i miała zamiar zostawić gdzieś samochód i dotrzeć do miejsca przeznaczenia metrem. Całkiem sprytne zagranie taktyczne, a poza tym nie miała prawdopodobnie innego wyboru. Nie siedziałyby w zimowej kurtce w samochodzie. Za gorąco. Miała ją prawdopodobnie na tylnym siedzeniu, albo raczej w bagażniku, razem z torbą i ukrytym przed wścibskimi oczyma rewolwerem. Wolą zaparkować, wysiąść i

przygotować się do starcia wcześniej, w pewnej odległości od celu, w warunkach względnej prywatności.

Ale też niezbyt daleko od celu. Niezbyt daleko od miejsca, do którego zmierzała. Ponieważ była spóźniona, grubo spóźniona.

134

Dlatego gdyby jej cel leżał dalej na północy, zaparkowałaby w połowie Manhattanu.

Tymczasem zaparkowała na południu, w SoHo. Prawdopodobnie wsiadła do metra przy

Spring Street, jeden przystanek przede mną. Na stacji przy Trzydziestej Trzeciej nadal siedziała nieruchomo. A potem sytuacja się skomplikowała. Gdyby się nie skomplikowała, podejrzewałem, że minęłaby Grand Central i wysiadła przy Pięćdziesiątej Pierwszej.

Względnie przy Pięćdziesiątej Dziewiątej. Jednak nie dalej. Stacja przy Sześćdziesiątej Ósmej była w zupełnie innej dzielnicy, w środku Upper East Side. Gdyby tam zmierzała, wybrałaby nie Holland Tunnel, lecz Lincoln Tunnel i zaparkowała dalej na północy. Ponieważ miała mało czasu. Więc co najwyżej zmierzała do stacji przy Pięćdziesiątej Dziewiątej. Ustaliwszy, dokąd zmierzała, czułem jednak, że nie miała zamiaru iść prosto do celu. Amatorska psychologia. Zbliżyć się do celu od południa, obejść go i wrócić od północy. Z nadzieją, że przeciwnicy będą jej wypatrywali ze złej strony.

Narysowałem więc w głowie prostokąt od Czterdziestej Drugiej do Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i od Piątej do Trzeciej Alei. Sześćdziesiąt osiem kwartałów. Co mogło się mieścić w ich obrębie?

Osiem milionów różnych rzeczy.

Przestałem je liczyć, zanim jeszcze zbliżyliśmy się do Filadelfii. Zdekoncentrowała mnie dziewczyna siedząca po drugiej stronie przejścia. Miała dwadzieścia kilka lat i była zjawiskowa. Może modelka, może aktorka, a może zwykła atrakcyjna prawniczka lub lobbyistka. Futbolista z Uniwersytetu Południowej Kalifornii mógłby ją określić mianem prawdziwej seksbomby. To sprawiło, że znowu zacząłem myśleć o Peterze Molinie i o widocznej sprzeczności pomiędzy determinacją kogoś, kto szantażował jego matkę, i bezwartościowością dostarczonych przez nią ewentualnie informacji.

Nasz klient sprowadził całą ekipę. Nowy Jork ma sześć głównych węzłów komunikacyjnych: lotniska Newark, LaGuardia i Kennedy'ego, plus dworce kolejowe Penn i Grand Central, plus

135

dworzec autobusowy przy Zarządzie Portu. Newark ma trzy terminale, La Guardia cztery, lotnisko Kennedy'ego osiem, dworzec Penn jest duży, Grand Central jest ogromny, dworzec autobusowy to istny labirynt. Żeby chcieć kontrolować te wszystkie punkty, trzeba by użyć około czterdziestu osób. Osiemdziesięciu, gdyby chciało się prowadzić obserwację przez dwadzieścia cztery godzinę na dobę. A osiemdziesiąt osób to nie ekipa, to cała armia.

Wysiadłem więc z pociągu, zachowując normalne środki ostrożności.

Które, na szczęście, okazały się wystarczające.

27

Natychmiast dostrzegłem obserwatora. Opierał się o kolumnę pośrodku hali dworcowej, pozostając w tym szczególnym fizycznym bezruchu, w który wpada się po dłuższym trwaniu na posterunku. Tkwił tam, a świat opływał go dookoła, tak jak rzeka opływa skałę. W rękę na wysokości uda trzymał komórkę z otwartą klapką. Był wysoki, ale chudy. Młody, około trzydziestki. Na pierwszy rzut oka nie robił groźnego wrażenia. Błada cera, ogolona głowa, rudawy zarost. Niezbyt przystojny. Być może nie tak sympatyczny jak łowca autografów, ale niewiele mniej. Miał na sobie koszulę w kwiatki, a na niej skórzaną kurtkę, która była chyba brązowa, ale w świetle jarzeniówek wydawała się pomarańczowa. Zmęczony lustrował tłum znudzonym wzrokiem.

•••

Na dworcu było pełno ludzi. Szedłem wraz z innymi, dając się powoli nieść prądowi. Obserwator stał trzydzieści stóp przede mną, po lewej stronie. Jego oczy się nie poruszały. Pozwalał, żeby ludzie przewijali się przez jego pole widzenia. Po chwili miałem do niego już tylko dziesięć stóp. To przypominało przejście przez bramkę wykrywacza metalu na lotnisku. Zwolniłem trochę i ktoś pchnął mnie w plecy. Obejrzałem się,

137

żeby sprawdzić, czy nie zostałem wzięty w dwa ognie. Nie zostałem. Popychająca mnie osoba była kobietą z wózkiem wielkości terenówki, w którym siedziały dwa niemowlaki, chyba bliźnięta. W Nowym Jorku jest masa bliźniaków. Dużo matek jest starszych i z tego względu często stosuje się sztuczne zapłodnienie. Oba siedzące za mną w wózku bliźniaki płakały, może dlatego, że zrobiło się późno i były zmęczone, a może dlatego że denerwował je las otaczających nóg. Ich płacz zlewał się z ogólnym hałasem. Halę dworca wyłożono płytkami, które z wielokrotniały echo.

Zacząłem skręcać w lewo, mając zamiar przesunąć się sześć stóp w bok w trakcie pokonywania następnych dziesięciu stóp do przodu. Po chwili znalazłem się na skraju strumienia ludzi, w zasięgu wzroku obserwatora. Jego jasnyniebieskie oczy były zasłane mgłą zmęczenia. Nie zareagował. Przynajmniej z początku. Następnie z sekundowym opóźnieniem otworzył szerzej oczy, podniósł telefon i podświetlił ekran. Zerknął na zdjęcie. Zerknął z powrotem na mnie. Miałem do niego cztery stopy.

I nagle zasłabł. Skoczyłem do przodu, złapałem go i położyłem delikatnie na ziemi. Miłosierny samarytanin pomagający przy nagłym omdleniu. Coś takiego w każdym razie zobaczyli ludzie. Bo ludzie widzą to, co chcą widzieć. Gdyby odtworzyli w pamięci całą krótką scenę i dokładnie ją przeanalizowali, zorientowaliby się być może, że skoczyłem w jego stronę nieco wcześniej, nim zaczął padać. I że podczas gdy moja prawa ręka rzeczywiście starała się go złapać za kołnierz, lewa zdzieliła go sekundę wcześniej w splot słoneczny — bardzo mocno, lecz z bliska, niepostrzeżenie i znienacka.

Jednak ludzie widzą to, co chcą zobaczyć. Zawsze tak było i zawsze będzie. Przykucnąłem przy facecie, tak jak zrobiłby to odpowiedzialny obywatel, za jakiego chciałem uchodzić. Kobieta z wózkiem przeszła dalej. Chwilę później zebrał się wokół nas zatroskany tłumek. Opinie o nagminnej wrogości nowojorczyków są niezasłużone. Ludzie na ogół są skłonni do pomocy. Obok mnie przykucnęła jakaś kobieta. Inni ludzie stali i patrzyli na

138

nas. Widziałem ich nogi i buty. Piersią faceta w skórzanej kurtce wstrząsały spazmy i starał się złapać kurczowo powietrze. Mocne uderzenie w splot słoneczny daje takie efekty. Ale podobnie wyglądają objawy ataku serca i wielu innych schorzeń.

— Co się stało? — zapytała klęcząca przy mnie kobieta.

— Nie wiem — odparłem. — Po prostu się przewrócił. Oczy stanęły mu w ślup.

— Powinniśmy wezwać karetkę.

— Upuściłem gdzieś swój telefon — powiedziałem.

Kobieta zaczęła grzebać w torebce.

— Niech pani zaczeka — zwróciłem się do niej. — Możemy mieć do czynienia z epizodem. Musimy sprawdzić, czy nie ma przy sobie karty.

— Z jakim epizodem?

— Z atakiem. Na przykład padaczki.

— O jakiej pan mówi karcie?

— Ludzie noszą je. Z instrukcjami. Może będziemy musieli przypilnować, żeby nie odgryzł sobie języka. Może ma przy sobie jakieś leki. Niech pani sprawdzi jego kieszenie.

Kobieta obmacała z zewnątrz kieszenie jego kurtki. Miała małe dłonie, długie palce z mnóstwem pierścionków. Zewnętrzne kieszenie były puste. Nic tam nie było. Kobieta odchyliła połę kurtki i zajrzała do środka. Baczenie ją obserwowałem. Koszula faceta była

niepodobna do niczego, co widziałem wcześniej. Z akrylu, w kwiatki w pastelowych kolorach. Kurtka tania i sztywna. Z nylonową podszewką. Metka była całkiem ozdobna, z napisem w cyrylicy.

Wewnętrzne kieszenie też były puste.

— Niech pani sprawdzi jego spodnie — powiedziałem. — Szybko.

— Nie mogę tego zrobić — stwierdziła.

Jakiś biznesmen przykląkł przy nas i wsunął palce w kieszenie spodni faceta. Nic tam nie było. Biznesmen złapał za klapki kieszeni i przekręcił faceta najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, żeby sprawdzić tylne kieszenie. Tam też nic nie było.

139

Mężczyzna nie miał przy sobie kompletnie nic. Żadnego portfela, żadnego dowodu tożsamości.

— Dobrze, wezwijmy lepiej karetkę — powiedziałem. — Widziała pani gdzie moją komórkę?

Kobieta rozejrzała się, po czym wsunęła dłoń pod ramię faceta i wyjęła spod niej komórkę. Kiedy mi ją podawała, klapka otworzyła się i zapalił się wyświetlacz. Było na nim moje zdjęcie, duże i wyraźne. Lepszej jakości, niż sądziłem. Lepszej, niż to, które pokazywał mi facet w sklepie Radio Shack. Kobieta zerknęła na nie. Wiem, że ludzie mają w swoich komórkach różne fotografie. Widziałem je. Zdjęcia swoich partnerów, psów, kotów, dzieci. Podobnie jak na stronie domowej albo na pulpicie. Może kobieta uznała, że jestem wyjątkowym egoistą, bo umieściłem na wyświetlaczu własne zdjęcie. Tak czy inaczej oddała mi komórkę. W tym momencie biznesmen dzwonił już pod numer awaryjny.

— Pójdę poszukać gliniarza — powiedziałem.

Przecisnąłem się przez tłum i pozwoliłem, by strumień ludzi poniósł mnie dalej, w stronę drzwi i na zewnątrz.

28

Teraz nie byłem już tym facetem. Nie byłem jedynym człowiekiem na ziemi, który nie ma komórki. Zatrzymałem się w ciemnym miejscu trzy przecznice od Siódmej Alei i obejrzałem swój łup. Telefon wyprodukowała Motorola. Był z szarego plastiku wypolerowanego tak, że wyglądał jak metal. Wszedłem w menu i nie znalazłem żadnych zdjęć poza własnym. Wyszło całkiem nieźle. Jasne poranne słońce, jedna z ulic na zachód od Ósmej Alei, ja uwieczniony, gdy oglądam się po usłyszeniu swojego nazwiska. Mnóstwo szczegółów, od stóp do głów. Użyto najwyraźniej wielu megapikseli. Widziałem dokładnie swoją twarz. I uznałem, że wyglądam całkiem nieźle, biorąc pod uwagę, że tamtej nocy prawie nie spałem. W pobliżu były samochody i kilkunastu przechodniów, co pozwalało wyrobić sobie zdanie o moich rozmiarach. Temu samemu służy namalowana na ścianie linijka na policyjnych zdjęciach. Moja postura była dokładnie taka sama jak w lustrze, kiedy się w nim przeglądam. Rzuciła się w oczy.

Przyskrzynili mnie i z fotograficznego punktu widzenia zrobili to dobrze.

To nie ulegało wątpliwości.

Wróciłem do rejestru połączeń i sprawdziłem połączenia wychodzące. Nie było ani jednego. Sprawdziłem połączenia przy-

141

chodzące i znalazłem tylko trzy, wszystkie w ciągu ostatnich godzin, wszystkie z tego samego numeru. Domyśliłem się, że obserwator miał kasować regularnie te zapisy, być może nawet po każdym telefonie, lecz mniej więcej przed trzema godzinami zlekceważył to polecenie, co było jakby zgodne z jego zachowaniem i opóźnionym czasem reakcji. Domyśliłem się, że dzwonił do niego ktoś w rodzaju dyspozytora. Albo nawet sam szef. Gdyby dzwonił do niego z komórki, numer do niczego by mi się nie przydał. Kompletnie. Komórki mogą być wszędzie. Tym się charakteryzują.

Ale to nie był numer komórki. To był numer z prefiksem 212.

Stacjonarny numer na Manhattanie.

A to znaczy, że znajdował się w określonym miejscu. Tym się charakteryzują stacjonarne numery.

Metoda ustalenia, do kogo należy dany numer, zależy od tego, jak wysoko jest się w łańcuchu pokarmowym. Gliniarze i prywatni detektywi mają odwrócone książki telefoniczne. Patrzą pod numer i odnajdują nazwisko i adres. FBI ma wszelkiego rodzaju skomplikowane bazy danych. Działające na tej samej zasadzie, ale droższe.

Nie mam nic takiego. W związku z tym użyłem metody niezaawansowanej technologicznie. Polegającej na tym, że wybiera się numer, i sprawdza, kto go odbiera.

Wcisnąłem zielony przycisk. Na wyświetlaczu ukazał się numer połączenia przychodzącego. Wcisnąłem przycisk ponownie i telefon zaczął go wybierać. W słuchawce rozległ się sygnał dzwonka, który szybko umilkł.

— Four Seasons — odezwał się głos kobiety. — Czym mogę panu służyć?

— To hotel? — zapytałem.

— Tak, z kim mam pana połączyć?

— Przepraszam, to pomyłka — odparłem i rozłączyłem się.

Hotel Four Seasons. Widziałem go. Nigdy w nim nie mieszkałem. Nie było mnie na to stać przy moich obecnych dochodach.

142

Mieścił się przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy między Madison i Park Avenue. Dokładnie w zakreślonym przeze mnie prostokącie zawierającym sześćdziesiąt osiem kwartałów, nieco na północny zachód od jego geograficznego środka. W odległości krótkiego spaceru dla kogoś, kto wysiada z metra linii sześć przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Setki pokoi i setki wewnętrznych połączeń telefonicznych przechodzących zawsze przez hotelową centralę, w związku z czym na wyświetlaczu pokazywał się wyłącznie jej numer. Niewiele mi to pomogło.

Przez chwilę się namyślałem, po czym zrobiłem w tył zwrot i udałem się na czternasty posterunek.

Nie miałem pojęcia, kiedy nowojorski detektyw przychodzi na nocny dyżur, ale oczekiwałem, że Theresa Lee pojawi się tam w ciągu godziny. Miałem zamiar poczekać na nią w holu wejściowym. Nie spodziewałem się jednak, że zastanę tam Jacoba Marka. Siedział na twardym krześle pod ścianą i bębnił palcami w kolana. Podniósł wzrok i spojrzał na mnie bez większego zaskoczenia.

— Peter nie przyszedł na trening — oświadczył.

29

Siedząc w holu posterunku, Jacob Mark mniej więcej przez pięć minut opowiadał, co się wydarzyło. Robił to rozwlekłe i chaotycznie, jak ludzie, którzy są autentycznie zaniepokojeni. Powiedział, że koledzy Petera z uniwersyteckiej drużyny futbolowej odczekali cztery godziny i zadzwonili do jego ojca, który z kolei zadzwonił do niego. Oświadczył, że jest nie do pomyślenia, by otrzymujący stypendium czołowy zawodnik nie stawił się na treningu. Uczestnictwo w treningu bez względu na to, co się działo, stanowiło w gruncie rzeczy najistotniejszy element ich kultury. Trzęsienie ziemi, zamieszki, wojny, śmierć w rodzinie, śmiertelna choroba — nic nie mogło stanąć na przeszkodzie zawodnikowi. Pokazywało się w ten sposób światu, jak ważny jest futbol, i w związku z tym, jak ważni są gracze dla uniwersytetu. Ponieważ futboliści cieszyli się szacunkiem wielu, ale byli i tacy, którzy nimi pogardzali. Chodziło o to, by sprostać oczekiwaniom większości i zmienić nastawienie mniejszości. W grę wchodziła również kwestia męskości. Zawodnik niestawiający się na trening był niczym strażak odmawiający wyjazdu do pożaru, niczym uderzony piłeczkąbaseballista, który masuje ramię, niczym rewolwerowiec niewychodzący z saloonu.



Rzecz nie do pomyślenia. Niestłuchana. Coś, co się nie zdarza. Nie miały znaczenia sińce, gigantyczny kac, złamana kość

144

i zerwany mięsień. Zawodnik przychodził na trening. Poza tym Peter wybierał się do NFL, zawodowej ligi futbolowej, a w profesjonalnych drużynach kładzie się nacisk na charakter. W związku z tym niestawienie się na treningu jest równoznaczne z rezygnacją z kariery. Jest czymś niewytłumaczalnym. Niepojętym.

Słuchałem, nie zwracając zbytnej uwagi na to, co mówił. Zamiast tego liczyłem godziny. Od ostatecznego terminu, który dano Susan Mark, minęło ich prawie czterdzieści osiem.

Dlaczego nie odnaleziono jeszcze zwłok Petera?

W tym momencie pojawiła się z nowymi informacjami Theresa Lee.

Najpierw jednak musiała zająć się Jacobem Markiem. Zabrała nas do sali odpraw na drugim piętrze i wysłuchała tego, co miał do powiedzenia.

— Czy zgłoszono oficjalnie zaginięcie Petera? — zapytała.

— Chcę to zrobić w tej chwili — oznajmił Jacob.

— Nie może pan — odparła Lee. — Nie może pan zgłosić tego mnie. Zaginął w Los Angeles, nie w Nowym Jorku.

— Tutaj zginęła Susan.

— Tutaj popełniła samobójstwo.

— Gliniarze z uniwerku nie przyjmują zawiadomień o zaginięciu — powiedział Jacob. —

A policja Los Angeles nie potraktuje tego poważnie. Nie rozumieją.

— Peter ma dwadzieścia dwa lata. Nie jest już dzieckiem.

— Nie ma go od ponad pięciu dni.

— To, jak długo go nie ma, nie jest ważne. Nie mieszka w domu. I kto może stwierdzić, że zaginął? Kto może powiedzieć, jak się prowadzi? Pewnie i wcześniej były okresy, że przez wiele dni nie kontaktował się z rodziną.

— To coś innego.

— Jak postępujecie w takich wypadkach w Jersey?

Jake nie odpowiedział.

145

— Jest dorosłym mężczyzną — powiedziała Lee. — To tak jakby wszedł do samolotu i wybrał się na wakacje. A jego znajomi odprowadzili go na lotnisko i pomachali mu na pożegnanie.

— Ale Peter nie przyszedł na trening. To się nie zdarza.

— Najwyraźniej teraz się zdarzyło.

— Susan była szantażowana — powiedział Jake.

— Przez kogo?

Jake spojrzał na mnie.

— Powiedz jej, Reacher.

— To ma coś wspólnego z jej pracą — oświadczyłem. — Była pod wielką presją.

Musiała być. Moim zdaniem grożono, że coś stanie się jej synowi.

— Okay. — Lee rozejrzała się po sali i spostrzegła swojego partnera, Docherty'ego, który pracował przy jednym ze zsuniętych ze sobą biurków w drugim końcu sali. — Niech pan mu zda pełny raport — powiedziała do Jake'a. — Niech pan mu przekaże wszystko, co pan wie, i wszystko, co się panu wydaje.

Jake pokiwał z wdzięcznością głową i pospieszył w stronę Docherty'ego.

— Otwiera pani na nowo tę sprawę? — zapytałem, kiedy się oddalił.

— Nie — odparła Lee. — Sprawa jest nadal zamknięta. Ponieważ nie ma się czym przejmować. Ale facet jest gliniarzem i musimy być wobec niego uprzejmi. Poza tym chcę go mieć przez godzinę z głowy.

— Dlaczego nie ma się czym przejmować? — zapytałem i wtedy przekazała mi nowe wiadomości.

— Wiemy, po co Susan Mark przyjechała do Nowego Jorku.

— Skąd?

— Zgłoszono jej zaginięcie — odparła Lee. — Wszystko wskazuje na to, że Susan pomagała pewnej osobie zbierać informacje i kiedy się nie zjawiała, ta osoba zaniepokoiła się i zawiadomiła policję.

— Co to były za informacje?

146

— Chyba natury osobistej. Nie było mnie tutaj. Facet z dziennej zmiany twierdzi, że sprawa wygląda dość niewinnie. I musi być niewinna, w przeciwnym razie ta osoba nie przychodziłaby z tym na policję.

— Lecz mimo to Jacob Mark nie powinien o tym wiedzieć?

— Chcemy poznać więcej szczegółów. A uzyskanie ich będzie łatwiejsze, jeśli go nie będzie. Za bardzo się w to angażuje. Jest członkiem rodziny. Będzie krzyczał i rozpacział. Widziałam już takie rzeczy.

— Kim jest ta zaniepokojona osoba?

— To ktoś, kto przybył na krótko do Nowego Jorku z zagranicy, żeby zebrać informacje, w których zdobyciu pomagała mu Susan.

— Chwileczkę — powiedziałem. — Przybył na krótko do Nowego Jorku? Zatrzymał się w hotelu?

— Owszem — odparła Lee.

— W Four Seasons?

— Owszem.

— Jak brzmi jego nazwisko?

— Jej nazwisko — poprawiła mnie Lee. — Nazywa się Lila Hoth.

30

Mimo późnej pory Lee zadzwoniła do Liii Hoth, która od razu, bez wahania, zgodziła się z nami spotkać w Four Seasons. Pojechaliśmy tam nieoznakowanym samochodem Lee i zaparkowaliśmy tuż przed wejściem do hotelu. Hol wejściowy był wspaniały. Dominował w nim biały piaskowiec, mosiądz, brązowa farba i złocisty marmur, co z jednej strony dawało wrażenie skąpanej w półmroku intymności, a z drugiej nawiązywało do jasnego modernizmu. Lee pokazała swoją odznakę, a recepcjonistka zadzwoniła na górę i skierowała nas do wind. Pojechaliśmy na kolejne wysokie piętro. Po sposobie, w jaki odzywała się recepcjonistka, domyśliłem się, że pokój Liii Hoth nie jest najmniejszy i najtańszy w całym hotelu.

•••

Tak naprawdę okazał się kolejnym apartamentem. Miał podwójne drzwi podobnie jak apartament Sansoma w Karolinie Północnej, ale nie stał przy nich gliniarz. Po wyjściu z windy zobaczyliśmy tylko cichy pusty korytarz. Na podłodze stały gdzieś tace po dostarczanych przez obsługę posiłkach, a na kilku klamkach wisiały zawieszki „Nie przeszkadzać” albo zamówienia na śniadanie. Theresa Lee przystanęła, sprawdziła dwa razy numer i zapukała. Przez minutę nic się nie działo.

148

A potem prawe skrzydło drzwi otworzyło się i zobaczyliśmy stojącą w progu kobietę, za której plecami paliło się miękkie żółte światło. Mniej więcej sześćdziesięcioletnia, niska i krępa, miała krótko obcięte stalowoszare włosy, podkrążone ciemne oczy z opadającymi powiekami i mięsistą, płaską twarz, nieruchomą i nieprzeniknioną. Ubrana była w brzydką brązową podomkę z grubego, ręcznie tkanego materiału.

— Pani Hoth? — zapytała Lee.

Kobieta wtuliła głowę w ramiona, zamrugła, pomachała dłońmi i zaczęła wydawać przepraszające odgłosy. Uniwersalna pantomima oznaczająca, że nic nie rozumie.

— Nie mówi po angielsku — powiedziałem.

— Piętnaście minut temu mówiła — stwierdziła Lee.

W głębi pokoju paliła się lampa stołowa. Na chwilę coś przyćmiło jej światło i podeszła do nas druga postać. Druga kobieta. Była o wiele młodsza. Mogła mieć dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Bardzo elegancka. I bardzo, bardzo piękna. O rzadkiej egzotycznej urodzie. Niczym modelka. Uśmiechnęła się do nas z pewną nieśmiałością.

— To ja mówiłam po angielsku piętnaście minut temu — oświadczyła. — Jestem Lila Hoth. To moja matka.

Nachyliła się do ucha starszej kobiety i szepnęła coś szybko w obcym, wschodnioeuropejskim języku. Wyjaśnienie, kontekst, zaproszenie do udziału. Starsza kobieta rozpromieniła się i uśmiechnęła. Przedstawiliśmy się. Lila Hoth mówiła w imieniu matki, która, jak się okazało, nazywała się Świetłana Hoth. Wszyscy podaliśmy sobie dość oficjalnie ręce, na wprost i na krzyż, dwie osoby z naszej strony, dwie osoby z ich. Lila Hoth była olśniewająca. I bardzo naturalna. Jej uroda sprawiła, że dziewczyna, którą widziałem w pociągu, wydała mi się sztuczna. Była wysoka, ale nie za wysoka, szczupła, ale nie za szczupła. Miała ciemną, idealnie opaloną skórę, długie ciemne włosy i wielkie, jakby oświetlone od środka hipnotyzujące oczy o najjaśniejszym odcieniu błękitu, jaki zdarzyło mi się widzieć. Zero makijażu. Poruszała się z kocią zwinnością. Chwilami wydawała

149

się młoda, długonoga i łobuzerska, a zaraz potem dorosła i opanowana. Chwilami kompletnie nieświadoma, jak pięknie wygląda, a zaraz potem lekko tym zażenowana. Miała na sobie prostą czarną koktajlową sukienkę, która pochodziła pewnie z Paryża i kosztowała więcej niż samochód. Choć wcale jej nie potrzebowała. Robiłaby takie samo wrażenie w ubraniu zszytym ze starych jutowych worków.

Weszliśmy za nią do środka, jej matka podążyła za nami. Apartament składał się z trzech pokoi: salonu i dwóch sypialni po obu stronach. Salon był kompletnie umeblowany, łącznie ze stołem, na którym były resztki podanej do pokoju kolacji. W kątach stały torby na zakupy. Dwie z Bergdorf Goodman i dwie od Tiffany'ego. Theresa Lee pokazała swoją odznakę, a Lila Hoth podeszła do kredensu pod lustrem i wróciła do nas z dwiema cienkimi książeczkami. Ich paszportami. Zapewne uważała, że przedstawiciele władz w Nowym Jorku muszą sprawdzić jej dokumenty. Paszporty były brązowo-czerwone i każdy miał pośrodku okładki złoty wizerunek orła, a nad nim oraz pod nim słowa cyrylicą, które gdyby je przeczytać w alfabecie łacińskim, brzmiałyby NACNOPT YKPAIHA. Lee przekar-tkowała je i odłożyła na kredens.

Następnie wszyscy usiedliśmy. Świetłana Hoth patrzyła prosto przed siebie, wyłączona z rozmowy wskutek nieznamomości języka. Lila Hoth przyjrzała się nam ostrożnie, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, kim jesteśmy. Policjantka z komisariatu, świadek z metra. W końcu spojrziała prosto na mnie, przypuszczalnie ponieważ uznała, iż wydarzenia bardziej mną wstrząsnęły. Nie skarżyłem się. Nie mogłem od niej oderwać oczu.

— Tak mi przykro z powodu tego, co się przytrafiło Susan Mark — oświadczyła.

Miała niski głos i precyzyjną dykcję. Mówiła po angielsku bardzo dobrze, chociaż trochę oficjalnie i z nieco obcym akcentem. Jakby nauczyła się tego języka, oglądając czarno-białe amerykańskie i brytyjskie filmy.

Theresa Lee milczała.

150

— Tak naprawdę nie wiemy, co się przytrafiło Susan Mark — powiedziałem. — To znaczy poza oczywistymi faktami.

Lila Hoth pokiwała głową, grzecznie, delikatnie i jakby ze skruchą.

- Chcecie się dowiedzieć, co mnie z nią wiązało — zagadnęła.
- Owszem, chcemy.
- To długa historia. Ale muszę stwierdzić, że w żaden sposób nie tłumaczy tego, co wydarzyło się w wagonie metra.
- Niech nam pani opowie — rzekła Theresa Lee.

I Lila Hoth opowiedziała nam tę historię. Pierwsza część miała charakter czysto biograficzny. Lila Hoth miała dwadzieścia sześć lat, była Ukrainką. W wieku osiemnastu lat wyszła za Rosjanina, który robił typowe dla Moskwy lat dziewięćdziesiątych interesy. Wykupił od upadającego państwa kontrakty naftowe oraz prawa do wydobywania węgla i uranu i stał się jednocyfrowym miliarderem. Następnym krokiem miał być awans do grona dwucyfrowych miliarderów. Nie awansował. To było wąskie gardło. Wszyscy chcieli się przez nie przecisnąć, nie każdemu mogło się udać. Rok temu rywal strzelił Rosjaninowi w głowę przed nocnym klubem. Ciało leżało na zaśnieżonym chodniku przez cały następny dzień. Ostrzeżenie w moskiewskim stylu. Świeżo owdowiała Lila Hoth zrozumiała aluzję, spieniężyła wszystko i przeniosła się wraz z matką do Londynu. Polubiła to miasto i zamierzała pozostać tam na zawsze, pławiąc się w luksusie, ale nie mając wiele do roboty.

— Przyjęło się, że młodzi ludzie, którzy się wzbogacili, robią różne rzeczy dla swoich rodziców — wyjaśniła. — Obserwuje się to u gwiazd popu, gwiazd filmowych i u sportowców. Coś takiego bardzo pasuje do ukraińskiego charakteru. Ojciec zmarł przed moim urodzeniem. Została mi tylko matka. Więc oczywiście powiedziałam jej, że może mieć wszystko, czego chce. Domy, samochody, wakacje, podróże. Ale ona chciała wyłącznie jednego. Żebym pomogła jej odszukać pewnego człowieka z przeszłości. Tak jakby po jej długim i burzliwym życiu opadł cały kurz

151

i mogła w końcu skoncentrować się na tym, co dla niej najważniejsze.

- Co to za mężczyzna? — zapytałem.
- Amerykański żołnierz o imieniu John. To wszystko, co o nim wiedzieliśmy. Z początku matka twierdziła, że był zwykłym znajomym. Potem okazało się, że był dla niej bardzo miły w pewnym konkretnym miejscu i czasie.
- Gdzie i kiedy?
- W Berlinie. Na początku lat osiemdziesiątych.
- To niezbyt precyzyjne.
- To było przed moim urodzeniem. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku. Uznałam, że próba odnalezienia tego człowieka jest z góry skazana na niepowodzenie. Uznałam, że moja matka zgłupiała na starość. Ale chętnie podjęłam wszelkie starania. I nie przejmujcie się, ona nie rozumie, co mówimy.

Swietłana Hoth uśmiechnęła się i pokiwała głową, nie odnosząc się do niczego w szczególności.

- Dlaczego pani matka przebywała w Berlinie? — zapytałem.
- Służyła w Armii Czerwonej — odparła jej córka.
- Co w niej robiła?
- Była komisarzem politycznym w pułku piechoty. W każdym pułku był ktoś taki. Właściwie w każdym pułku było ich kilku.
- Więc co pani robiła, żeby odszukać tego Amerykanina? — zapytałem.
- Matka dała wyraźnie do zrozumienia, że jej przyjaciel John służył w wojskach lądowych, nie w piechocie morskiej. Od tego zaczęłam. Zatelefonowałam z Londynu do waszego Departamentu Obrony i zapytałam, co mogę zrobić. Po wielu wyjaśnieniach skierowano mnie do działu zasobów ludzkich. Mają tam biuro prasowe. Mężczyzna, z którym rozmawiałam, bardzo się przejął. Powiedział, że to urocza historia. Być może uznał, że to

może mieć pozytywny aspekt propagandowy, sama nie wiem. Nareszcie jakaś dobra wiadomość zamiast tych wszystkich

152

złych. Powiedział, że spróbuje coś ustalić. Osobiście uważałam, że traci czas. John to bardzo pospolite imię. Z tego, co wiedziałam, większość amerykańskich żołnierzy służy w którymś momencie w Niemczech i prawie wszyscy odwiedzają Berlin. Więc możliwości jest mnóstwo. Kilka tygodni później zadzwoniła do mnie urzędniczka Susan Mark. Nie było mnie w domu. Zostawiła wiadomość. Powiedziała, że przydzielono jej tę sprawę i że czasami imię, które brzmi jak John, jest w rzeczywistości skrótem od Jonathana. Chciała wiedzieć, czy moja matka widziała kiedykolwiek imię tego żołnierza na piśmie. Skonsultowałam to z matką i poinformowałam Susan Mark, że to był na pewno John z literą „h” w środku. Bardzo miło nam się rozmawiało i potem odbyłyśmy jeszcze dużo rozmów. Połączyła nas niemal nić przyjaźni, tak jak to się czasami dzieje przez telefon. Podobnie jak przy przyjaźni listownej, tyle że tu się nie pisze, ale rozmawia. Wiele mi o sobie opowiedziała. Była bardzo samotną kobietą i myślę, że lubiła nasze rozmowy.

— A potem co? — zapytała Lee.

— W końcu dostałam od niej wiadomość. Oświadczyła, że doszła do pewnych wstępnych wniosków. zaproponowałam, żebyśmy spotkały się tu w Nowym Jorku. W gruncie rzeczy chodziło mi o to, żeby poznać się osobiście. Rozumiecie, zjeść kolację, pójść może na jakieś przedstawienie. Podziękowałabym jej w ten sposób za wszystkie starania. Ale się nie pojawiła.

— O której godzinie się pani jej spodziewała? — zapytałam.

— Około dziesiątej. Powiedziała, że wyjedzie po pracy.

— Za późno na kolację i przedstawienie.

— Miała zamiar przemocować. Zarezerwowałam dla niej pokój.

— Kiedy pani tu przyjechała?

— Trzy dni temu.

— Jak?

— Samolotem British Airways z Londynu.

— Wynajęła pani lokalną ekipę — powiedziałam.

Lila Hoth pokiwała głową.

153

— Tuż przed przyjazdem.

— Po co?

— To normalne. I czasami się przydaje.

— Gdzie pani ich znalazła?

— Ogłaszają się. W moskiewskich gazetach i w rosyjskich gazetach w Londynie. To dla nich dobry interes, a dla nas coś w rodzaju potwierdzenia statusu. Jeżeli jedzie się za ocean bez ochrony, daje się świadectwo słabości. A lepiej tego nie robić.

— Powiedzieli mi, że sprowadziła pani również własną ekipę.

Lila Hoth zrobiła zdziwioną minę.

— Nie mam własnej ekipy — odparła. — Dlaczego, u licha, opowiadają takie rzeczy? Nie rozumiem.

— Powiedzieli, że sprowadziła pani kilku groźnych typów.

Przez sekundę robiła wrażenie zaskoczonej i trochę poirytowanej. A potem na jej twarzy zaświtało zrozumienie. Miała szybki analityczny umysł.

— Może wymyślili to ze względów taktycznych — powiedziała. — Kiedy Susan nie przyjechała, wysłałam ich na poszukiwania. Pomyślałam, że skoro im płacę, mogą w końcu coś dla mnie zrobić. A moja matka wiązała z tą sprawą wielkie nadzieje. Poza tym przejechałam w końcu kawał drogi i nie chciałam, żeby wszystko zakończyło się klapą.

Zaproponowałam im premię. Dorastaliśmy w przekonaniu, że w Ameryce pieniądze są najważniejsze. Więc może ci ludzie wymyślili na pański użytek jakąś bajeczkę. O tym, co będzie, jak nie będzie pan z nimi współpracował. Zależało im na tej premii. I chcieli, by pan uznał, że lepiej rozmawiać z nimi niż z kimś innym.

Nie odpowiedziałem.

Po chwili coś jeszcze jej zaświtało.

— Nie mam żadnej, jak pan to nazwał, ekipy — powiedziała. — Wyłącznie jednego człowieka, Leonida, z dawnego zespołu mojego męża. Nie mógł dostać żadnej nowej pracy. Obawiam się, że nie jest zbyt rozgarnięty. Dlatego go nie zwolniłam. Jest w tej chwili na Penn Station. Czeką na pana. Policja powiedziała mi, że świadek pojechał do Waszyngtonu.

Założyłam, że udał

154

się pan tam pociągiem i wraca tym samym środkiem lokomocji. Miałam rację?

— Tak, wróciłem pociągiem — odparłem.

— W takim razie Leonid pewnie pana nie zauważył. Dałam mu pańskie zdjęcie. Miał poprosić, żeby pan do mnie zadzwonił. Biedak, na pewno jeszcze tam jest.

Wstała i podeszła do kredensu, na którym stał telefon. Co sprawiło, że znalazłem się w kłopotcie. Ponieważ miałem komórkę Leonida w kieszeni.

31

Zasadniczo wiem, jak się wyłącza komórki. Widziałem, jak to się robi, i sam niejednokrotnie to robiłem. W większości modeli wciska się po prostu czerwony przycisk na dwie długie sekundy. Ale telefon tkwił w mojej kieszeni. Było w niej za mało miejsca, żebym mógł otworzyć klapkę i po omacku znaleźć czerwony przycisk. Wyjęcie komórki i jej jawne wyłączenie byłoby za bardzo podejrzane.

Lila Hoth wcisnęła dzwonek i wybrała numer.

Włożyłem rękę do kieszeni, podważyłem paznokciem kciuka zatrzask pokrywki i otworzyłem ją, po czym wyłuskałem baterie z komórki i odsunąłem je na bok, żeby nie dopuścić do przypadkowego kontaktu.

Lila Hoth czekała przez moment ze słuchawką przy uchu, a potem się rozłączyła.

— Jest beznadziejny — mruknęła. — Ale bardzo lojalny.

Próbowałem wyobrazić sobie, co dzieje się z Leonidem. Gliniarze, ratownicy, prawdopodobnie obowiązkowa jazda na izbę przyjęć szpitala St Vincent's, brak dowodu tożsamości, być może niemożność porozumienia się po angielsku, zapewne problemy, pytania, zatrzymanie. W końcu podróż powrotna na północ.

Nie wiedziałem, na jak długo go zatrzymano i jak długo potrwa podróż powrotna.

156

— Lokalna ekipa wspomniała o Johnie Sansomie — powiedziałem.

Lila ponownie westchnęła i potrząsnęła głową, dając wyraz lekkiemu zniecierpliwieniu.

— Zapoznałam ich oczywiście z sytuacją, kiedy przyjechałyśmy. Opowiedziałam całą historię. I chyba się dobrze zrozumieliśmy. Wszyscy uważaliśmy, że marnujemy czas, starając się spełnić zachciankę mojej matki. Szczerze mówiąc, żartowaliśmy sobie z tego. Jeden z mężczyzn czytał gazetę o Sansomie. Oto amerykański żołnierz o imieniu John, powiedział, i to nawet w pasującym wieku. Może to Sansom, dodał, jest tym facetem, którego szukacie. I na dzień albo dwa stało się to czymś w rodzaju powiedzonka. Takim żartem sytuacyjnym. Zadzwonił po prostu do Johna Sansoma, powtarzaliśmy, i będziemy to mieli z głowy. Oczywiście tylko żartowałam, bo jakie były szanse? Jeden do miliona. Oni też żartowali, ale później zaczęli to traktować całkiem poważnie. Może z powodu propagandowego znaczenia, jakie by to miało, ponieważ jest znanym politykiem.

— Jakiego znaczenia? Co pani matka robiła z tym facetem o imieniu John?

Swietłana Hoth wpatrywała się w przestrzeń. Lila Hoth z powrotem usiadła.

— Matka nigdy o tym dokładnie nie mówiła — powiedziała. — Na pewno nie mogło chodzić o szpiegostwo. Matka nie była zdrajczynią. Nie mówię tego jako lojalna córka, ale jako realistka. Matka nadal żyje. Więc nigdy jej o nic nie podejrzewano. A jej amerykański przyjaciel też nie był zdrajcą. Kontaktami z zagranicznymi zdrajcami zajmowało się KGB, nie armia. Osobiście nie sądzę, żeby to była jakaś romantyczna historia. Chodziło najprawdopodobniej o osobistą pomoc, finansową albo polityczną. Być może sekretną. To były złe czasy dla Związku Radzieckiego. Ale nie można wykluczyć, że to coś romantycznego. Zawsze mówiła tylko jedno: że ten mężczyzna był dla niej bardzo miły. Jest bardzo skryta.

— Niech pani ją spyta teraz.

157

— Pytałam ją wiele razy, może pan to sobie wyobrazić. Nie chce powiedzieć.

— Jednak pani zdaniem Sansom nie był w to zaangażowany?

— Nie, w żadnym wypadku. To był po prostu żart, który wymknął się spod kontroli.

Chyba że rzeczywiście zdarzyło się coś, co zdarza się raz na milion. To byłoby coś niezwykłego, nie sądzi pan? Żartować z czegoś, co okazało się prawdą?

Nie odezwałem się.

— Mogę pana o coś zapytać? — powiedziała Lila Hoth. — Czy Susan Mark przekazała panu informację, którą miała dostać moja matka?

Swietłana Hoth uśmiechnęła się i ponownie pokiwała głową. Zacząłem podejrzewać, że rozpoznaje słowa „moja matka”. Tak jak pies, który macha ogonem na dźwięk swojego imienia.

— Dlaczego sądzi pani, że Susan Mark mogłaby mi ją przekazać? — zapytałem.

— Bo ludzie, których tu wynajęłam, powiedzieli, że pan ją ma. W formie cyfrowej, na nośniku pamięci. Zawiadomili mnie o tym, przesłali pańską fotografię i zrezygnowali ze swojego honorarium. Nie wiem dlaczego. Płaciłam im bardzo dobrze.

Poruszyłem się na krześle i wsadziłem rękę do kieszeni. Wymacałem najpierw rozmontowaną komórkę, a potem kupioną w Radio Shack pamięć USB z miękką różową nasadką z neoprenu. Wyjąłem ją, uważnie obserwując oczy Lili Hoth.

Patrzyła na pamięć USB tak, jak kot patrzy na ptaka.

— To naprawdę ten nośnik? — zapytała.

Theresa Lee poruszyła się na krześle i spojrzała na mnie, jakby chciała powiedzieć: Ty to powiesz czy ja mam to zrobić? Lila Hoth zauważyła to spojrzenie.

— O co chodzi? — zapytała.

— Obawiam się, że z mojego punktu widzenia cała sprawa wygląda zupełnie inaczej — powiedziałem. — W tym pociągu Susan Mark była bardzo przerażona. Miała olbrzymie problemy. Nie wyglądała na osobę, która przyjechała tu, żeby spotkać się z przyjaciółką, zjeść z nią kolację i pójść do teatru.

158

— Mówiłam już panu na początku, że nie potrafię tego wyjaśnić — odparła Lila Hoth. Schowałem pamięć USB z powrotem do kieszeni.

— Nie miała żadnego bagażu — powiedziałem.

— Nie potrafię tego wyjaśnić.

— Poza tym zostawiła samochód i jechała metrem. Co jest dziwne. Skoro zarezerwowała pani dla niej pokój, na pewno szarpnęłyby się pani i na miejsce parkingowe.

— Szarpnęłabym się?

— Zapłaciłaby pani.

— Oczywiście.

— I miała przy sobie załadowany rewolwer.

— Mieszkała w Wirginii. Słyszałam, że to tam przymusowe.

— Legalne. Nie przymusowe.  
— Nie potrafię tego wyjaśnić. Przykro mi.  
— Poza tym zaginął jej syn. Ostatnio widziano go w barze, z kobietą w pani wieku, odpowiadającą z grubsza pani rysopisowi.  
— Zaginął?  
— Zniknął.  
— Z podobną do mnie kobietą?  
— Z odlotową laską.  
— Co to znaczy?  
— Przystojną młodą kobietą.  
— W jakim barze?  
— Gdzieś w LA.  
— W Los Angeles?  
— W Kalifornii.  
— Nie pojechałam do Los Angeles. Nigdy w życiu tam nie byłam. Jestem od trzech dni w Nowym Jorku na wizie turystycznej i zajmuję trzy pokoje w tym hotelu. Nie mam żadnej, jak pan to nazwał, ekipy. Nigdy nie byłam w Kalifornii.  
Milczałem.

— Uroda to rzecz subiektywna. I nie jestem jedyną kobietą w tym wieku. Na świecie jest sześć miliardów ludzi. Coraz młodszych. Połowa ma poniżej piętnastu lat. Co oznacza, że są

159  
trzy miliardy ludzi powyżej piętnastu. Licząc dalej, pewnie ze dwanaście procent z tych trzech miliardów jest w połowie dwudziestki. Mniej więcej połowa z nich to kobiety. To trzysta sześćdziesiąt milionów. Nawet jeżeli tylko jedną na sto można uznać za przystojną, nadal jest bardziej prawdopodobne to, że John Sansom był przyjacielem mojej matki, niż to, że miałam coś wspólnego z synem Susan Mark.

Pokiwałem głową. Arytmetycznie Lila Hoth trafiła w dziesiątkę.

— I to pewnie prawda, że Peter zawieruszył się gdzieś z dziewczyną — dodała. — Tak, znam jego imię. Właściwie wiem o nim wszystko. Dowiedziałam się od Susan. Przez telefon. Rozmawialiśmy o naszych problemach. Nienawidziła swojego syna. Gardziła tym, co robi. Reprezentuje to wszystko, czego Susan nie znosi. To płytki chłopak, z zupełnie niepoważnym podejściem do życia. Wypiął się na nią i związał z ojcem. Wie pan dlaczego? Ponieważ miał fioła na punkcie swojego pochodzenia. A Susan była adoptowana. Wiedzieliście o tym? Jej syn potrafił o niej myśleć wyłącznie jako o dziecku z nieprawego łoża. Nienawidził jej za to. Wiem o Susan więcej niż ktokolwiek. Rozmawiałam z nią wiele razy. Słuchałam tego, co mówiła. Była samotną, opuszczoną kobietą. Byłam jej przyjaciółką. Cieszyła się na myśl, że tu przyjedzie i się ze mną spotka.

W tym momencie wyczułem, że Theresa Lee chce już iść, a ja też nie chciałem być w apartamencie, kiedy pojawi się młody Leonid. Pokiwałem więc głową i wzruszyłem ramionami, jakbym nie miał nic więcej do powiedzenia i żadnych problemów do rozwiązania. Lila Hoth zapytała, czy mógłbym dać jej pamięć USB, którą przekazała mi Susan Mark. Nie odpowiedziałem ani twierdząco, ani odmownie. W ogóle nic nie powiedziałem. Podaliśmy sobie po prostu znowu wszyscy dłonie i wyszliśmy. Zamknęły się za nami drzwi i ruszyliśmy korytarzem do windy, która zadzwoniła i otworzyła się. Weszliśmy do kabiny i spojrzeliśmy na siebie w lustrach znajdujących się w środku.

— I co pan myśli? — zapytała Lee.

160

— Moim zdaniem jest piękna — odparłem. — To jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widziałem.

— A poza tym?



- Niesamowite oczy.
- Poza oczyma.
- Moim zdaniem ona też jest samotna. Samotna i opuszczona. Mówiła o Susan, ale mogła też mówić o sobie samej.
- Co pan myśli o jej historii?
- Czy przystojni ludzie automatycznie wzbudzają większe zaufanie?
- Nie u mnie, kochany. I niech pan weźmie na wstrzymanie. Za trzydzieści lat będzie wyglądała dokładnie jak jej matka. Uwierzył jej pan?
- A pani?

Lee pokiwała głową.

— Uwierzyłam jej. Ponieważ tego rodzaju historię śmiesznie łatwo sprawdzić. Tylko idiota dałby nam tyle sposobności, żeby złapać go na kłamstwie. Armia ma przecież oficerów prasowych?

— Setki.

— Więc musimy tylko znaleźć tego, z którym rozmawiała, i go zapytać. Moglibyśmy nawet sprawdzić połączenia telefoniczne z Londynu. Mogłabym skontaktować się ze Scotland Yardem. Bardzo by mi to odpowiadało. Wyobraża pan sobie? Docherty zaczyna coś głądzić, a ja mówię, odwal się, chłopie, rozmawiam właśnie ze Scotland Yardem. To marzenie każdego detektywa.

— Agencja Bezpieczeństwa Narodowego będzie miała te połączenia — powiedziałem.

— Telefon z zagranicy do Departamentu Obrony? Ktoś już gdzieś je analizuje pod kątem wywiadowczym.

— I możemy sprawdzić połączenia Susan Mark z Pentagonu. Jeśli rzeczywiście rozmawiała ze sobą tak często, jak twierdzi Lila Hoth, będzie to widać jak na dłoni. Międzynarodowe połączenia z Wielką Brytanią są pewnie oddzielnie zaznaczone.

— Więc niech pani to sprawdzi.

— Pewnie to zrobię — odparła. — I Lila Hoth musi o tym

161

wiedzieć. Zrobiła na mnie wrażenie inteligentnej kobiety. Wie, że możemy skontaktować się z British Airways i strażą graniczną i sprawdzić, kiedy przyleciała do kraju. Wie, że możemy sprawdzić, czy poleciała do LA. Wie, że możemy pójść do Jacoba Marka i zapytać, czy jego siostra była adoptowana. Wszystko to łatwo zweryfikować. Byłoby szaleństwem kłamać w takich sprawach. Poza tym sama z własnej woli zgłosiła się do komisariatu. I pokazała mi przed chwilą paszport. Nie można tego uznać za podejrzaną zachowanie. To wszystko przemawia na jej korzyść.

Wyjąłem komórkę z kieszeni i włożyłem do niej z powrotem baterię. Wcisnąłem wyłącznik i ekran rozjaśnił się. Jedno nieodebrane połączenie. Najprawdopodobniej od Lili Hoth, z jej hotelowego pokoju, dziesięć minut temu. Zobaczyłem, że Lee przygląda się komórce.

— To telefon Leonida — powiedziałem. — Zabrałem mu go.

— Więc jednak pana znalazł?

— Ja go znalazłem. Dlatego wiedziałem o tym hotelu.

— Gdzie jest teraz?

— Wraca pewnie do domu ze szpitala St Vincent's.

— Czy nie chciałby pan o tym szerzej poinformować nowojorskiej policji?

— Zastąpił. Pomogłem mu. To wszystko. Niech pani porozmawia ze świadkami.

— Tak czy inaczej to z pewnością zaalarmuje Lilę.

— Jej zdaniem w Wirginii posiadanie broni jest przymusowe. Uważa pewnie, że w Nowym Jorku przymusowe jest napadanie na ludzi. Dorastała w oparach propagandy. Wyszliśmy z windy i wyszliśmy na ulicę.

— Ale skoro wszystko jest takie niewinne, dlaczego zaangażowali się w to federalni? — zapytała Lee.

— Jeżeli ta historia jest prawdziwa, amerykański żołnierz zaprzyjaźnił się w okresie zimnej wojny z polityczną komisarz Armii Czerwonej. Federalni chcą się upewnić, że to była niewinna historia. Dlatego trzeba było poczekać kilka tygodni na odpowiedź

162

z działu zasobów ludzkich. Podejmowali strategiczne decyzje i instalowali monitoring. Wsiadliśmy do samochodu Lee.

— Nie zgadza się pan ze mną do końca, prawda? — zapytała.

— Jeśli ta rodzinna historia Hothów jest niewinna, niech będzie. Ale coś tu nie jest niewinne, to nie ulega wątpliwości — odparłem. — Musielibyśmy uznać, że coś innego przywiódło Susan dokładnie w to samo miejsce w tym samym czasie. To byłby niesamowity zbieg okoliczności.

— I co?

— Ile razy widziała pani, że wygrywa ten, kto miał jedną szansę na milion?

— Nigdy.

— Ja też. Jednak moim zdaniem mamy tu do czynienia właśnie z taką sytuacją. John Sansom to szansa jedna na milion, ale podejrzewam, że jest w to zamieszany.

— Dlaczego?

— Rozmawiałem z nim.

— W Waszyngtonie?

— Dokładnie rzecz biorąc, musiałem pojechać za nim aż do Karoliny Północnej.

— Nie poddaje się pan, prawda?

— To samo mi powiedział. Zapytałem, czy słyszał kiedyś

0 Liii Hoth. Odparł, że nie. Obserwowałem jego twarz. Uwierzyłem mu, ale sądzę, że jednocześnie mówił prawdę i kłamał.

1 chyba się nie mylę.

— Jak to?

— Może słyszał nazwisko Hoth, ale nie chodziło o Lilę Hoth. Więc formalnie rzecz biorąc, nie słyszał o Liii Hoth. Może słyszał o Swietłanie Hoth. Może świetnie ją znał.

— Co by to znaczyło?

— Może więcej, niż nam się wydaje. Ponieważ jeśli Lila Hoth mówi prawdę, w tej sprawie jest jakaś dziwna logika. Dlaczego pani zdaniem Susan Mark wypruwała sobie żyły, żeby pomóc Liii?

163

— Bo jej współczuła.

— Dlaczego akurat jej? — zapytałem.

— Nie wiem.

— Bo ją adoptowano. Była dzieckiem z nieprawego łoża i zastanawiała się czasami, kim byli jej rodzice. Współczuła ludziom znajdującym się w podobnej sytuacji. Być może takim jak Lila Hoth. Jakiś facet był bardzo miły wobec Swietłany jeszcze przed narodzinami Liii? Można różnie interpretować to stwierdzenie.

— Na przykład jak?

— W najlepszym razie dał jej w zimie ciepłe palto.

— A w najgorszym?

— W najgorszym John Sansom może być ojcem Liii Hoth.

32

Lee i ja pojechaliśmy prosto na posterunek. Jacob Mark skończył to, co miał do załatwienia z Dochertym. To było jasne. I coś się zmieniło. Siedzieli naprzeciwko siebie przy biurku Docherty'ego. Skończyli rozmawiać. Jake miał weselszą minę. Docherty obserwował go

cierpliwie, jakby właśnie zmarnował godzinę czasu. Nie miał chyba do niego żalu z tego powodu. Gliniarze przywykli do marnowania czasu. Statystycznie rzecz biorąc, większość tropów prowadzi donikąd. Lee i ja podeszliśmy do nich.

— Peter zadzwonił do swojego trenera — powiedział Jake.

— Kiedy? — zapytałem.

— Dwie godziny temu. Trener zadzwonił do Moliny, a Molina do mnie.

— No i gdzie się podziewał?

— Nie powiedział. Zostawił wiadomość. Jego trener nigdy nie odbiera podczas kolacji.

To czas dla rodziny.

— Ale z Peterem wszystko w porządku?

— Powiedział, że w najbliższym czasie nie zamierza wrócić. Może nigdy. Zastanawia się, czy nie rzucić futbolu. W tle słychać było śmiejącą się dziewczynę.

— Musi być z niej niezła laska — stwierdził Docherty.

— Jesteś zadowolony? — zapytałem Jake'a.

165

— Nie, do diabła. Ale to jego życie. I na pewno zmieni zdanie. Pytanie tylko, jak szybko.

— Chodziło mi o to, czy twoim zdaniem wiadomość jest autentyczna?

— Trener zna jego głos. Pewne lepiej ode mnie.

— Czy ktoś próbował się do niego później dodzwonić?

— Wszyscy. Ale Peter ma znowu wyłączony telefon.

— To ci wystarcza? — zapytała Theresa Lee.

— Chyba tak — odparł Jake.

— Lepiej się czujesz?

— Ulżyło mi.

— Mogę cię zapytać o coś zupełnie innego?

— Wał śmiało.

— Czy twoja siostra była adoptowana?

Jake przez chwilę milczał. Musiał się przestawić.

— Oboje byliśmy — odparł w końcu, kiwając głową. — Jako dzieci. W odstępnie trzech lat. Susan pierwsza. Dlaczego pytasz? — zapytał.

— Potwierdzam pewne nowe informacje, które otrzymałam — wyjaśniła Lee.

— Jakie nowe informacje?

— Wygląda na to, że Susan przyjechała tutaj spotkać się z przyjaciółką.

— Jaką przyjaciółką?

— Ukrainką Lilą Hoth.

Jake zerknął na mnie.

— Już to przerabialiśmy — mruknął. — Nigdy nie słyszałem od Susan tego nazwiska.

— Uważasz, że by ci powiedziała? Jak bliskie były wasze stosunki? To chyba dość świeża znajomość.

— Nie byliśmy ze sobą zbyt blisko.

— Kiedy ostatnio rozmawialiście?

— Chyba przed kilkoma miesiącami.

— Więc nie wiesz dobrze, co się u niej ostatnio działo?

— Chyba nie — potwierdził Jake.

166

— Ile osób wiedziało, że Susan jest adoptowana? — zapytała Lee.

— Nie obnosiła się z tym. Ale nie robiła również tajemnicy.

— Jak szybko mogła się o tym dowiedzieć nowa przyjaciółka?

— Pewnie dość szybko. Przyjaciółki rozmawiają o takich rzeczach.

— Jak twoim zdaniem układały się stosunki Susan z jej synem?

— Co to za pytanie?

— To ważne.

Jake się zawahał. Zacisnął usta i odwrócił się, jakby chciał w dosłownym sensie uchylić się przed problemem. Jakby kulił się po uderzeniu. Być może nie chciał publicznie prac brudów. W tym wypadku to, co wyrażał język jego ciała, starczyło za całą odpowiedź. Ale Theresa Lee chciała znać szczegóły.

— Odpowiedz, Jake — powiedziała. — Pogadajmy jak gliniarz z gliniarzem. To coś, co muszę wiedzieć.

Jake znowu przez chwilę milczał.

— Myślę, że można by te stosunki określić mianem miłości--nienawiści — powiedział w końcu, wzruszając ramionami.

— W jakim sensie?

— Susan kochała Petera. On jej nienawidził.

— Dlaczego?

Kolejne wahanie. Kolejne wzruszenie ramion.

— To skomplikowane.

— To znaczy?

— Peter przechodził przez różne fazy jak większość dzieci. Dziewczynki chcą być zaginionymi od dawna księżniczkami, chłopcy chcą, żeby ich dziadkowie byli admirałami, generałami albo słynnymi odkrywcami. Peter chciał prowadzić życie jak z reklamy Ralpa Laurena. Chciał być Peterem Moliną Czwartym albo przynajmniej Trzecim. Chciał, żeby jego ojciec miał posiadłość w Kennebunkport, a matka resztki starej fortuny. Susan niezbyt dobrze to odbierała. Była córką uzależnionej od narkotyków młodocianej kurwy z Baltimore i nie robiła z tego

167

sekretu. Uważała, że najważniejsza jest szczerłość. Peterowi to się nie podobało. Nigdy tak naprawdę się z tym nie uporali, a potem nastąpił rozwód i Peter wziął stronę ojca.

— Co sam o tym sądzisz?

— Rozumiem oba punkty widzenia. Nigdy nie interesowałem się moją prawdziwą matką. Nie chciałem o niej nic wiedzieć. Ale był okres, kiedy żałowałem, że nie jest dostojną damą z brylantami. Ten okres minął. Peter nie uporał się z tego rodzaju marzeniami, które są oczywiście głupie, ale zrozumiałe.

— Czy Susan lubiła Petera jako osobę, niezależnie od tego, że kochała go jako syna?

Jake potrząsnął głową.

— Nie. To dodatkowo pogarszało sytuację. Susan nie znosiła futbolistów, kurtek z literami i całego tego sportowego blichtru. Domyślam się, że w szkole i w college'u miała negatywne doświadczenia z tego rodzaju ludźmi. Nie podobało jej się, że Peter staje się jednym z nich. A te rzeczy były dla niego bardzo ważne, najpierw same z siebie, a później jako broń przeciwko niej. To była dysfunkcyjna rodzina, nie ma co do tego wątpliwości.

— Kto zna tę historię?

— Chcesz zapytać, czy mogłaby ją znać przyjaciółka?

Lee pokiwała głową.

— Bliska przyjaciółka mogłaby ją znać.

— Bliska przyjaciółka, którą Susan niedawno poznała?

— W tym wypadku nie chodzi chyba o czas, ale o zaufanie?

— Powiedziałeś mi, że Susan nie była nieszczęśliwa — przypomniałem mu.

— Bo nie była — odparł Jake. — Wiem, że to dziwnie brzmi. Ale ludzie, których adoptowano, mają inne poglądy na temat rodziny. Mają inne oczekiwania. Wierz mi, znam się na tym. Susan pogodziła się z tym. Dla niej był to po prostu życiowy fakt.

— Czy była samotna?

- Z całą pewnością.
- Czy czuła się opuszczona?

168

- Z całą pewnością.
- Czy lubiła rozmawiać przez telefon?
- Jak większość kobiet.
- Masz dzieci? — zapytała go Lee.
- Nie — odparł Jake. — Nie jestem nawet żonaty. Staram się uczyć na błędach starszej siostry.

Lee przez chwilę milczała.

- Dzięki, Jake. Cieszę się, że Peterowi nic się nie stało. Przepraszam, że musiałam cię zapytać o te wszystkie przykre rzeczy — powiedziała. Zostawiła go z Dochertym, a ja ruszyłem w ślad za nią. — Sprawdzę również te inne informacje — powiedziała mi — ale to trochę potrwa, ponieważ te kanały działają dosyć wolno. Jednak w tym momencie uważam, że Lila Hoth jest w porządku. Na razie mamy dwa do dwóch: nie myliła się co do adopcji i co do stosunków łączących matkę z synem. Wie o rzeczach, które może znać tylko prawdziwa przyjaciółka.

Pokiwałem twierdząco głową.

- Będzie się pani interesowała tą drugą sprawą? — zapytałem. — Tym, co wpędziło Susan w taką desperację?

- Nie, jeżeli nie będę miała dowodów, że przestępstwo zostało popełnione gdzieś między Dziewiątą i Park Avenue i między Trzydziestą i Czterdziestą Piątą Ulicą.

- To rejon waszego posterunku?

Lee pokiwała głową.

- Wszystko ponadto byłoby pracą społeczną—powiedziała.
- Interesuje panią Sansom? — zapytałem.
- Ani trochę. A pana?
- Mam wrażenie, że powinienem go chyba ostrzec.
- O czym? O szansie jednej na milion?
- W rzeczywistości szansa jest o wiele większa. W Stanach jest pięć milionów mężczyzn o imieniu John. Pod względem popularności John ustępuje tylko Jamesowi. To jeden na trzydziestu facetów. Co oznacza, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim w amerykańskiej armii mogło być około trzydziestu trzech tysięcy Johnów. Jeśli obniży się tę liczbę

169

o jakieś dziesięć procent ze względu na specyficzną demografię armii, szanse wynoszą jak jeden do trzydziestu tysięcy.

- Nadal są bardzo małe.
- Uważam po prostu, że Sansom powinien wiedzieć.
- Dlaczego?
- Nazwijmy to oficerską solidarnością. Może wybiorę się z powrotem do Waszyngtonu.
- Nie ma potrzeby. Niech pan oszczędzi sobie jazdy. Sansom przyjeżdża tutaj. Jutro około południa ma lunch ze sponsorami w Sheratonie. Z wszystkimi zawodnikami wagi ciężkiej z Wall Street. Na rogu Siódmej Alei i Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Dostaliśmy informację — powiedziała.
- Po co? W Greensboro nie miał prawie żadnej ochrony.
- Teraz też nie dostanie zbyt dużej. Ściśle rzecz biorąc, żadnej. Ale o wszystkim nas informują. Tak to teraz wygląda. Tak pracuje obecnie nowojorska policja — powiedziała i odeszła, zostawiając mnie samego pośrodku pustej sali odpraw.

Czułem się trochę nieswojo. Lila Hoth może i była czysta jak lilia, ale nie mogłem pozbyć się wrażenia, że przyjeżdżając do tego miasta, Sansom wpada prosto w zastawioną na niego zasadzkę.

33

Czasy, kiedy człowiek mógł się przespaciać w Nowym Jorku za pięć dolarów, odeszły już dawno w przeszłość, ale nadal można to zrobić za pięćdziesiąt, pod warunkiem że człowiek wie, jak się do tego zabrać. Najważniejsza jest późna pora. Wszedłem do hotelu, który odwiedzałem już wcześniej, niedaleko Madison Square Garden. Mieścił się w dużym gmachu, niegdyś dostojnym, który teraz zmienił się w ruinę, stale przeznaczaną do renowacji albo do wyburzenia, ale niemogącą się doczekać ani jednego, ani drugiego. Po północy cały personel zastępuje nocny portier, który odpowiada za wszystko, łącznie z recepcją. Podszedłem do niego i zapytałem, czy mają wolny pokój. Facet odstawił całe przedstawienie, stukając w klawisze i zerkając na ekran monitora, po czym oznajmił, że owszem, mają. Podał cenę, która wynosiła sto osiemdziesiąt pięć dolarów. Zapytałem, czy mógłbym obejrzeć pokój, zanim się zdecyduję. W tego rodzaju hotelu moja prośba wydawała się rozsądna. I sensowna. Niemal konieczna. Facet obszedł biurko, zabrał mnie na górę windą i zaprowadził korytarzem. Otworzył drzwi kartą, którą miał doczepioną spiralnym przewodem do paska, i puścił mnie przodem.

Pokój był w porządku. Miał łóżko i łazienkę. Wszystko, czego Potrzebowałem, i niczego, czego nie potrzebowałem.

171

— Może darujemy sobie cały proces rejestracji? — powiedziałem, wyjmując z kieszeni dwa dwudziestodolarowe banknoty.

Facet nie odezwał się. W tym momencie nigdy tego nie robią.

— To dla pokojówki, jutro rano — dodałem, wyjmując jeszcze dziesięć.

Portier przestąpił z nogi na nogę, jakbym stawał go w trudnej sytuacji, ale potem wyciągnął rękę i wziął pieniądze.

— Niech pan wyjdzie przed ósmą — powiedział i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim. Gdyby centralny komputer pokazał, że otworzył drzwi swoją kartą, mógł zawsze powiedzieć, że pokazał mi pokój, a ja uznałem, że nie jest zbyt atrakcyjny i natychmiast opuściłem hotel. Opowiadał pewnie tę bajeczkę dość regularnie. Byłem prawdopodobnie czwartym facetem, któremu udzielił w tym tygodniu schronienia. A może piątym lub szóstym. Po wyjściu dziennej zmiany w hotelach dzieją się najróżniejsze rzeczy.

•••

Spałem dobrze, obudziłem się wypoczęty i za pięć ósma byłem już na zewnątrz. Przepisnąłem się przez tłum wychodzący i wchodzący na Penn Station i zjadłem śniadanie w barze przy Trzydziestej Trzeciej. Kawa, jajka, bekon, naleśniki i jeszcze raz kawa, wszystko za sześć dolców plus podatek i napiwek. Drożej niż w Karolinie Północnej, ale niedużo. Bateria w komórce Leonida była nadal do połowy naładowana. Na ikonce widniało kilka pustych i kilka świecących słupków. Uznałem, że powinno to wystarczyć na parę telefonów. Wystukałem 600 i zacząłem wybierać 82219, ale zanim dotarłem do połowy tej sekwencji, słuchawka wydała krótkie trele sytuujące się gdzieś między syreną i dźwiękiem ksylofonu i nagrany głos poinformował mnie, że połączenie nie może zostać zrealizowane. Radził mi sprawdzić i spróbować ponownie. Spróbowałem 1-600 i usłyszałem to samo. Spróbowałem 011, żeby uzyskać połączenie z zagranicą, następnie prefiks 1 Ameryki Północnej i ponownie 600. Okrężną drogą, ale z tym samym rezultatem. Spróbowałem 001 jako prefiksu do połączeń z zagranicą, na wypadek gdyby

172

telefonowi się wydawało, że nadal jest w Londynie. Bez skutku. Wstukałem 8\*\*101, czyli wschodnioeuropejski prefiks do połączeń z Ameryką, na wypadek gdyby telefon został

zabrany przed rokiem z Moskwy. Bez skutku. Przyjrzałem się klawiaturze i wpadłem na pomysł, żeby wcisnąć cyfrę 3 zamiast litery D, ale słuchawka zapiszczała, zanim tam dotarłem.

A więc 600-82219-D nie było numerem telefonu, kanadyjskiego ani żadnego innego. FBI musiało o tym wiedzieć. Może rozważali przez chwilę tę możliwość i szybko ją wykluczyli. O agentach FBI można powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że są głupi. Więc przy Trzydziestej Piątej Ulicy ukryli naprawdę ważne pytania za zasłoną dymną.

0 co mnie jeszcze pytali?

Uśpili moją czujność, po czym zapytali ponownie, czy Susan czegoś mi nie dała. Następnie uzyskali ode mnie zapewnienie, że wyjeżdżam z miasta. Chcieli, żebym przestał się interesować sprawą, niczego się nie dowiedział i zniknął.

Dlaczego?

Nie miałem pojęcia.

1 co mogło oznaczać 600-82219-D, skoro nie był to numer telefonu?

Sącząc powoli ostatnią filiżankę kawy i wpatrując się nieobecny wzrokiem w przestrzeń, przez dziesięć minut starałem się dojść po nitce do kłębka. Podobnie jak Susan Mark planowała dojść tam, dokąd wybierała się po wyjściu z metra. Wyobrażałem sobie cyfry razem i oddzielnie, w różnych kombinacjach, ze spacjami, kreseczkami, ukośnikami.

600 z czymś mi się kojarzyło.

Susan Mark.

600.

Ale nie mogłem sobie tego przypomnieć.

Dopiłem kawę, wsadziłem z powrotem do kieszeni komórkę Leonida i ruszyłem na północ w stronę Sheratona.

173

Hotel był wielką szklaną wieżą z zawieszonym w holu plazmowym ekranem, na którym można było przeczytać o organizowanych w ciągu dnia imprezach. Główną salę balową zarezerwowała w porze lunchu grupa nazywająca się FT. Fair Tax, Free Trade, a może nawet „Financial Times”. Zgrabna przykrywka dla szukających jeszcze większych wpływów starych kocurów z Wall Street. Ich impreza zaczynała się w samo południe. Uznałem, że Sansom spróbuje tu dotrzeć około jedenastej. Będzie potrzebował trochę czasu i miejsca, żeby się wyciszyć i przygotować. To spotkanie było dla niego ważne. Przyjdą ludzie jego pokroju, z głębokimi kieszeniami. W związku z tym potrzebował co najmniej sześćdziesięciu minut. To dawało mi kolejne dwie wolne godziny. Doszedłem do Broadwayu i dwie przecznice dalej na północ znalazłem sklep z ubraniami. Chciałem kupić nową koszulę. Ta, którą miałem na sobie, mi się nie podobała. Była symbolem kłęski. Niech pan nie przychodzi tak ubrany, bo pana nie wpuszczą. Jeśli miałem ponownie spotkać się z Elspeth Sansom, nie chciałem mieć na sobie czegoś, co kojarzyło się z moją kłęską i z jej sukcesem.

Wybrałem coś lekkiego z cienkiej popeliny khaki i zapłaciłem jedenaście dolarów. Koszula była tania, tak jak powinna. Nie miała kieszeni. Rękawy kończyły się w połowie moich przedramion, a kiedy podwinąłem mankiety, tuż pod łokciami. Ale podobała mi się.

Stanowiła satysfakcjonujący element garderoby. Kupiony dobrowolnie.

O wpół do jedenastej znalazłem się ponownie w holu wejściowym Sheratona. Usiadłem w fotelu otoczony ze wszystkich stron ludźmi. Mieli walizki. Połowa już się wymeldowała i czekała na samochód. Druga połowa jeszcze się nie zameldowała i czekała na pokój.

O dziesiątej czterdzieści wiedziałem już, co oznacza numer 600-82219-D.

34

Wstałem z fotela i idąc w kierunku oznaczonym mosiężnymi strzałkami, dotarłem do centrum biznesowego Sheratona. Okazało się jednak, że nie mogę wejść do środka. Trzeba było mieć klucz. Po trzech minutach pojawił się kolejny facet. Był w garniturze i robił wrażenie

niecierpliwego. Udałem, że szukam klucza w kieszeniach spodni, po czym przepuściłem go z przepaszającym uśmiechem. Facet wyprzedził mnie, otworzył drzwi swoim kluczem, a ja wślizgnąłem się w ślad za nim.

W pomieszczeniu znajdowały się cztery identyczne stacje robocze, każda wyposażona w biurko, krzesło, komputer i drukarkę. Siadłem możliwie najdalej od drugiego faceta i wyłączyłem wygaszacz ekranu, wciskając spację. Na razie szło mi dobrze. Przyjrzałem się ikonom na ekranie. Niewiele mi mówiły. Odkryłem jednak, że gdy zatrzymam na nich dłużej kursor myszki, zupełnie jakbym się wahał albo zastanawiał, wyskakuje nad nimi opis. Zidentyfikowałem w ten sposób ikonę Internet Explorer i dwa razy kliknąłem. Twardy dysk zaszumił i przeglądarka się otworzyła. O wiele szybciej, niż kiedy ostatnio korzystałem z komputera. Może technologia rzeczywiście poszła naprzód. Na głównej stronie był skrót do Google'a. Kliknąłem i pojawiła się jego główna strona. Ponownie bardzo szybko. Wpisałem w oknie

175

dialogowym „regulaminy wojskowe” i wcisnąłem enter. Na ekranie pojawiła się natychmiast cała strona trafień.

Przez następne pięć minut klikałem, przewijałem i czytałem. • • •

Za pięć jedenasta pojawiłem się z powrotem w holu wejściowym. Mój fotel był zajęty. Wyszedłem na ulicę i stanąłem w słońcu. Przewidywałem, że Sansom przyjedzie lincolnem town car i wejdzie przez drzwi frontowe. Nie był gwiazdą rocka. Nie był prezydentem. Nie musiał wchodzić od tyłu względnie przez kuchnię. Chodziło przecież głównie o to, żeby się pokazać. Konieczność potajemnego odwiedzania różnych miejsc była zaszczytem, na który jeszcze sobie nie zasłużył.

Dzień był gorący, ale ulica czysta. Niczym nie śmierdziała. Na rogu, na południe ode mnie zobaczyłem dwóch gliniarzy. Kolejni dwaj stali na północnym rogu. Standardowa taktyka nowojorskiej policji w śródmieściu. Aktywna, krzepiąca obecność, niekoniecznie użyteczna, jeśli wzięło się pod uwagę potencjalne zagrożenia. Goście opuszczający hotel wsiadali obok mnie do taksówek. Miasto żyło swoim rytmem, który ani na chwilę nie zwalniał. Samochody jechały Siódmą Aleją, zatrzymywały się na światłach i znowu ruszały. Samochody jechały poprzecznymi ulicami, stawały i jechały dalej. Przechodnie gromadzili się na rogach ulic i przechodzili na drugą stronę. Trąbiły klaksony, ryczały ciężarówki, słońce odbijało się od szklanych ścian i mocno grzało.

• • •

Sansom podjechał lincolnem town car pięć po jedenastej. Miejscowe tablice rejestracyjne oznaczały, że pokonał większą część drogi pociągiem. Mniejsza wygoda, ale niższa emisja dwutlenku węgla, niż gdyby jechał samochodem albo leciał samolotem. W kampanii liczył się każdy szczegół. Polityka to pole minowe. Springfield wysiadł z przodu, zanim jeszcze zatrzymał się samochód, a Sansom i jego żona chwilę później z tyłu. Przez sekundę stali na chodniku gotowi okazać wdzięcz-

176

ność, gdyby ktoś ich powitał, i nie okazać rozczarowania, gdyby nikt tego nie zrobił. Omietli wzrokiem twarze i zobaczyli moją. To chyba lekko zdziwiło Sansoma i zaniepokoiło jego żonę. Springfield ruszył w moją stronę, lecz Elspeth powstrzymała go gestem dłoni.

Domyśliłem się, że jeśli chodzi o moją osobę, mianowała się oficerem odpowiedzialnym za minimalizację strat. Uścisnęła mi rękę, jakbym był starym znajomym. Nie powiedziała nic na temat mojej nowej koszuli. Zamiast tego nachyliła się do mnie i spytała:

— Musi pan z nami porozmawiać?

Klasyczne zapytanie żony polityka. Obarczyła słówko „musi” wszelkiego rodzaju znaczeniami. Sposób, w jaki je wymówiła, uczynił ze mnie jednocześnie przeciwnika i współpracownika. Wiemy, że jest pan w posiadaniu informacji, które mogą nam zaszkodzić, i



utopilibyśmy pana za to w łyżce wody, ale bylibyśmy naprawdę wdzięczni, gdyby przed ich publicznym ujawnieniem zechciał pan je z nami omówić.

Praktycznie cały esej w jednym krótkim słowie.

— Tak, musimy porozmawiać — odparłem.

Springfield zrobił groźną minę, ale Elspeth uśmiechnęła się, zupełnie jakbym obiecał jej sto tysięcy głosów, po czym wzięła mnie pod ramię i wpuściła do środka. Pracownicy hotelu nie wiedzieli, kim jest Sansom, i raczej ich to nie obchodziło, ale miał być mówcą na zebraniu, które odbywało się w wynajętej za grubą forszę sali balowej, wykrzesali więc z siebie mnóstwo sztucznego entuzjazmu, zaprowadzili nas do prywatnego salonu i zaczęli donosić butelki wody gazowanej i dzbanki lurowatej kawy. Elspeth grała rolę gospodyni. Springfield w ogóle się nie odzywał. Sansom rozmawiał przez telefon z szefem swojego sztabu wyborczego w Waszyngtonie. Przez cztery minuty mówili o polityce ekonomicznej, przez kolejne dwie o popołudniowym programie zajęć. Z kontekstu wynikało, że zaraz po lunchu wraca do swojego biura i będzie tam do późna pracował. Impreza w Nowym Jorku była krótkim przerywnikiem, niczym więcej. Czymś w rodzaju napadu z bronią w rękę.

177

Pracownicy hotelu przestali się wokół nas krzątać i wyszli, a Sansom zakończył rozmowę i w pokoju zapadła cisza. Przez otwory wentylacyjne wpadało klimatyzowane powietrze i temperatura była niższa, niżbym sobie tego życzył. Przez moment popijaliśmy w milczeniu wodę i kawę. W końcu Elspeth Sansom otworzyła licytację.

— Czy są jakieś nowe wiadomości w sprawie tego zaginionego chłopca? — zapytała.

— Są. Opuścił trening futbolu, co jak się zdaje, bardzo rzadko się zdarza — powiedziałem.

— Na Uniwersytecie Południowej Kalifornii? — powiedział Sansom. Miał dobrą pamięć. Wymieniłem nazwę uczelni tylko raz. — Tak, to rzadkie.

— Ale zadzwonił do swojego trenera i zostawił wiadomość.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem. W porze kolacji na Zachodnim Wybrzeżu.

— I co?

— Podobno jest z kobietą.

— W takim razie wszystko w porządku — stwierdziła Elspeth.

— Wolałbym rozmowę na żywo. Albo spotkanie twarzą w twarz.

— Wiadomość panu nie wystarcza?

— Jestem człowiekiem podejrzliwym — odparłem.

— Więc o czym chciał pan z nami mówić?

— Gdzie pan był w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku? — zapytałem, zwracając się do jej męża.

Sansom przez chwilę milczał, a potem coś błysnęło w jego oczach. Chyba nie szok. I nie zaskoczenie. Prędkiej rezygnacja.

— W osiemdziesiątym trzecim byłem kapitanem — odrzekł po chwili.

— Nie o to pytałem. Pytałem, gdzie pan stacjonował.

— Nie mogę tego panu powiedzieć.

— W Berlinie?

178

— Nie mogą panu tego powiedzieć.

— Powiedział pan, że nic nie można panu zarzucić. Nadal pan to podtrzymuje?

— Jak najbardziej.

— Czy jest coś, o czym nie wie pańska żona?

— Dużo rzeczy. Ale nic osobistego.

— Na pewno?

- Absolutnie.
- Słyszał pan kiedykolwiek o Liii Hoth?
- Mówiłem już panu, że nie.
- Słyszał pan kiedykolwiek o Swietłanie Hoth?
- Nigdy — odparł Sansom. Obserwowałem jego twarz. Był bardzo opanowany. Wydawał się trochę spięty, ale poza tym z jego twarzy nie można było niczego odczytać.
- Słyszał pan wcześniej o Susan Mark? — zapytałem go.
- Mówiłem już panu, że nie.
- Czy dostał pan medal w osiemdziesiątym trzecim?

Sansom nie odpowiedział. W pokoju znowu zapadła cisza.

A potem w mojej kieszeni zadzwoniła komórka Leonida. Poczulem wibrację i usłyszałem głośną elektroniczną melodię. Wyjąłem telefon i zerknąłem na mały wyświetlacz z przodu. Numer z prefiksem 212. Ten sam, który figurował już wcześniej na liście połączeń. Hotel Four Seasons. Przypuszczalnie Lila Hoth. Zastanawiałem się, czy Leonid jest nadal zaginiony, czy może wrócił do hotelu, opowiedział swoją historię i teraz Lila dzwoni do mnie. Zacząłem naciskać różne przyciski i telefon przestał w końcu dzwonić. Włożyłem go z powrotem do kieszeni.

- Przepraszam — powiedziałem do Sansoma, który wzruszył ramionami, jakby przeprosiny były zbyteczne. — Czy dostał pan medal w osiemdziesiątym trzecim? — powtórzyłem.
- Dlaczego to takie ważne? — zapytał.
- Wie pan, co to jest sześćset łamane przez osiem łamane przez dwadzieścia dwa? — zapytałem.
- Pewnie jakiś regulamin wojskowy.

179

— Przez cały czas uważaliśmy, że tylko głupek może się spodziewać, iż w aktach zasobów ludzkich są jakieś istotne informacje o operacjach Deltę. I w zasadzie mieliśmy rację. Ale jednocześnie nieco się myliliśmy. Teraz myślę, że ktoś naprawdę sprytny może je odnaleźć. Pod warunkiem że zastosuje myślenie lateralne.

- W jaki sposób?
- Przypuśćmy, że ktoś wie na pewno, iż jakaś operacja Deltę została przeprowadzona. Przypuśćmy, że wie na pewno, iż zakończyła się sukcesem.
- W takim razie nie potrzebuje informacji, bo już ją ma.
- Przypuśćmy, że chce potwierdzić tożsamość oficera, który dowodził operacją.
- Nie znajdzie tego w dziale zasobów ludzkich. To po prostu niemożliwe. Rozkazy, dane osobowe i raporty z akcji są utajniane i zamykane na siedem spustów w Fort Bragg.
- Ale co się dzieje z oficerami, którzy dowodzili udanymi operacjami?
- Pan mi to powie.
- Dostają medale — odparłem. — Im ważniejsza misja, tym ważniejszy medal. A regulamin wojskowy sześćset przez osiem przez dwadzieścia dwa, w sekcji pierwszej, paragrafie dziewiątym, punkcie D wymaga, żeby w dziale zasobów ludzkich przechowywano dane na temat każdej rekomendacji i każdej decyzji o przyznaniu medalu.
- Może i tak, ale jeżeli to była misja Deltę, wszystkie szczegóły zostaną pominięte — powiedział Sansom. — Uzasadnienie zostanie ocenzone, miejsce zdarzenia zostanie ocenzone, a szczegóły zasług pominięte.

Pokiwałem głową.

- W aktach będzie tylko nazwisko, data i nazwa odznaczenia. Nic więcej — stwierdziłem.
- Zgadza się.

— Czyli wszystko, czego potrzebuje ktoś myślący lateralnie. Medal świadczy o tym, że misja zakończyła się sukcesem, brak

180

uzasadnienia, że była tajna. Weźmy jakikolwiek miesiąc, powiedzmy na początku osiemdziesiątego trzeciego. Niewiele się wtedy działo. Ile wręczono medali?

— Tysiące. Samych medali za wzorową służbę musiało być kilka setek.

— Ile Srebrnych Gwiazd?

— Nie aż tyle.

— Jeżeli w ogóle jakiegokolwiek — odparłem. — Na początku osiemdziesiątego trzeciego niewiele się działo. Ile przyznano medali zasługi? Ile krzyży? Założę się, że bardzo niewiele. Elspeth Sansom poruszyła się w fotelu i spojrzała na mnie.

— Nie rozumiem — mruknęła.

Odwróciłem się do niej, ale Sansom powstrzymał mnie gestem dłoni. Miał zamiar mnie wyręczyć. Nie było między nimi żadnych sekretów i żadnego wyrachowania.

— To rodzaj tylnych drzwi — powiedział. — Bezpośrednia informacja jest kompletnie niedostępna, ale można ją uzyskać okreśną drogą. Jeżeli ktoś wie o jakiejś zakończonej sukcesem misji Delty i wie, kiedy się odbyła, w takim razie jest bardzo prawdopodobne, że dowodził nią oficer, który dostał w tym miesiącu najwyższej rangi niewyjaśniony medal. W czasie wojny wyglądałoby to inaczej, ponieważ ważne medale są wtedy dość często przyznawane. Ale w czasach pokojowych, kiedy nic innego się nie dzieje, wysokiej rangi medal bardzo rzuca się w oczy.

— W osiemdziesiątym trzecim najechaliśmy Grenadę — powiedziała Elspeth. — Delta uczestniczyła w tej operacji.

— W październiku — odparł Sansom. — To rzeczywiście zakłóciło normalny bieg spraw pod koniec tamtego roku. Ale pierwszych dziewięć miesięcy było dość spokojnych. Elspeth Sansom uciekła w bok wzrokiem. Nie wiedziała, co jej mąż robił w trakcie pierwszych dziewięciu miesięcy osiemdziesiątego trzeciego roku. Być może nigdy nie miała się tego dowiedzieć.

— Więc kto szuka tych informacji? — zapytała Elspeth.

— Stara megiera, niejaka Swietłana Hoth, która twierdzi, że

181

była polityczną komisarz w Armii Czerwonej — odparłem. — To, co mówi, jest mało konkretne. Twierdzi, że w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim poznała w Berlinie amerykańskiego żołnierza o imieniu John. I że był dla niej bardzo miły.

Wypytywanie o to Susan Mark ma sens tylko wówczas, gdy rzecz dotyczy tajnej misji, gdy dowodził nią facet o imieniu John i gdy dostał za nią medal. FBI znalazło w samochodzie Susan notatkę. Ktoś podsunął jej stosowne przepisy regulaminu, żeby wiedziała dokładnie, gdzie szukać.

Elspeth spojrzała mimowolnie na Sansoma. Na jej twarzy malował się wielki znak zapytania. Czy dostałeś medal za coś, co zrobiłeś w Berlinie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim? Wiedziała, że nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie. Sansom nie zareagował, postanowiłem więc, że ja spróbuję.

— Czy brał pan udział w jakiejś misji w Berlinie w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim? — zapytałem go prosto z mostu.

— Wie pan, że nie mogę odpowiedzieć. — Najwyraźniej tracił już do mnie cierpliwość.

— Robi pan wrażenie niegłupiego faceta — mruknął. — Niech pan pomyśli. Jakiego rodzaju operacje, na litość boską, mogła prowadzić Delta w Berlinie w osiemdziesiątym trzecim?

— Nie wiem — odparłem. — Z tego, co pamiętam, bardzo się staraliście, żeby ludzie tacy jak ja nie mieli pojęcia, co robicie. I tak naprawdę wcale mnie to nie obchodzi. Staram się oddać panu przysługę. Jak oficer oficerowi. Ponieważ obawiam się, że jakieś upiory z

przeszłości wrócą i ugryzą pana w tyłek. Uznałem, że będzie mi pan wdzięczny za ostrzeżenie.

Sansom kilka razy głęboko odetchnął. Dość szybko się uspokoił.

— Dziękuję za ostrzeżenie — powiedział. — I rozumiem pan chyba, że nie wolno mi niczemu zaprzeczać. Ponieważ zaprzeczanie czemuś jest równoznaczne z potwierdzaniem czegoś innego. Jeżeli przyznam, że nie było mnie w Berlinie i w innych miejscach, gdzie rzeczywiście mnie nie było, to na zasadzie

182

eliminacji zdoła pan dojść, gdzie byłem. Ale naruszą teraz nieco tę zasadę, ponieważ wydaje mi się, że jesteśmy po tej samej stronie barykady. Więc słuchaj, żołnierzu. Nie byłem w Berlinie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim. Nie spotkałem w tamtym roku żadnej Rosjanki. I nie sądzę, żebym przez cały rok był dla kogokolwiek szczególnie miły. W armii jest masa ludzi o imieniu John. Berlin był popularnym celem turystycznym. Osoba, z którą pan rozmawiał, szuka czegoś innego. To proste jak drut.

•••

Po tym krótkim przemówieniu Sansoma zapadła cisza. Przez chwilę popijaliśmy w milczeniu kawę. A potem Elspeth spojrzała na zegarek i jej mąż to spostrzegł.

— Proszę nam teraz wybaczyć — powiedział. — Musimy dzisiaj zebrać naprawdę duże pieniądze. Springfield chętnie pana odprowadzi.

Ta ostatnia propozycja nieco mnie zdziwiła. Znajdowaliśmy się w publicznym hotelu, w którym byłem takim samym gościem jak Sansomowie. Mogłem sam znaleźć wyjście i miałem do tego prawo. Nie zamierzałem kraść srebrnych sztućców, a jeśli nawet, nie były to ich sztućce. Po chwili domyśliłem się jednak, że Sansom chce, bym zamienił kilka słów na osobności ze Springfieldem, który być może miał dla mnie jakąś wiadomość albo chciał jeszcze coś omówić. W związku z tym wstałem i ruszyłem do drzwi. Nie podałem im ręki ani nie powiedziałem do widzenia. To nie było tego rodzaju pożegnanie.

Springfield szedł za mną aż do holu wejściowego. Nie odzywał się. Najwyraźniej powtarzał w głowie swoją kwestię. Zatrzymałem się i czekałem na niego.

— Naprawdę musi pan odpuścić sobie tę sprawę — powiedział, zrównawszy się ze mną.

— Dlaczego, jeśli w ogóle go tam nie było?

— Ponieważ chcąc udowodnić, że go tam nie było, zacznie pan wypytywać, gdzie wtedy był. Lepiej, żeby pan się tego nigdy nie dowiedział.

183

Pokiwałem głową.

— Dla pana to też sprawa osobista, tak? Ponieważ był pan razem z nim. Jeździł pan wszędzie tam gdzie on.

Springfield skinął głową w odpowiedzi.

— Niech pan sobie po prostu odpuści. Nie wolno panu podnieść niewłaściwego kamienia.

— Dlaczego?

— Bo jeśli pan to zrobi, zostanie pan skasowany. Przestanie pan istnieć. Po prostu pan zniknie, fizycznie i biurokratycznie. Takie rzeczy się teraz zdarzają, chyba pan wie. Mamy zupełnie nowy świat. Chciałbym powiedzieć, że chętnie bym w tym pomógł, ale nie będę miał takiej szansy. Najmniejszej szansy. Ponieważ cała gromada innych ludzi dopadnie pana pierwsza. Będę tak daleko z tyłu, że zanim się do pana zbliżę, nie zostanie nawet ślad po pańskim świadectwie urodzenia.

— Co to za inni ludzie?

Springfield nie odpowiedział.

— Z rządu?

Milczał.

— To ci agenci federalni?

Nie odpowiedział. Po prostu kiwnął głową, odwrócił się i odszedł do windy.

Kiedy wyszedłem na Siódmą Aleję, w mojej kieszeni znowu zaczęła dzwonić komórka Leonida.

35

Odwróciłem się plecami do jezdni i odebrałem telefon.

— Reacher? — usłyszałem cichy głos Liii Hoth. Precyzyjna dykcja, staroświecka wymowa.

— Tak.

— Muszę się z panem pilnie zobaczyć.

— W jakiej sprawie?

— Obawiam się, że mojej matce grozi niebezpieczeństwo. Możliwe, że i mnie.

— Z czyjej strony?

— Trzej mężczyźni zadawali pytania w recepcji. Kiedy nas nie było. Przeszukano też chyba nasze pokoje.

— Jacy trzej mężczyźni?

— Nie wiem, kim są. Najwyraźniej się nie przedstawili.

— Dlaczego mi pani o tym mówi?

— Ponieważ pytali również o pana. Proszę do nas przyjść.

— Nie ma pani do mnie pretensji z powodu Leonida? — zapytałem.

— W tych okolicznościach nie. To było chyba zwykłe nieporozumienie — odparła. — Proszę, niech pan przyjdzie.

Nie odpowiedziałem.

— Byłabym panu bardzo wdzięczna za pomoc — dodała. Zwracała się do mnie grzecznie, z pewną pokorą, a nawet

185

nieśmiałością, niczym petent, ale coś w jej głosie uświadomiło mi, że jest tak piękna, iż ostatnim razem ktoś odmówił jej dziesięć lat temu. Była w nim jakaś władcza nuta, jakby wszystko było już ustalone, jakby prośba o jakąś rzecz była równoznaczna z jej otrzymaniem. Niech pan sobie odpuści, powiedział mi Springfield, i pewnie powinienem go posłuchać.

— Spotkamy się w holu hotelowym za piętnaście minut — powiedziałem do Liii Hoth.

Wydawało mi się, że wystarczy nie iść do jej apartamentu, by uniknąć wszelkich ewentualnych komplikacji. Następnie rozłączyłem się i stanąłem w kolejce do taksówek przy Shera-tonie.

Hol wejściowy w hotelu Four Seasons składał się z kilku oddzielnych części usytuowanych na dwóch kondygnacjach. Odnalazłem Lilę Hoth i jej matkę przy narożnym stoliku w odgrodzonym panelami, nieoświetlonym miejscu, które mogło być herbaciarnią w ciągu dnia i barem w godzinach wieczornych. Siedziały same. Leonida tam nie było. Rozejrzałem się dokoła i nie zobaczyłem nikogo, kogo powinienem się obawiać. Żadnych dziwnych facetów w garniturach w umiarkowanej cenie, nikogo, kto studiowałby poranną gazetę. Żadnych śladów inwigilacji. Usiadłem więc na krześle obok Liii, naprzeciwko jej matki. Lila miała na sobie czarną spódnicę i białą bluzkę. Zupełnie jak kelnerka, tyle że krój i materiały, z których zostały uszyte, wskazywały, że nie jest to coś, na co mogłaby sobie pozwolić kelnerka. Jej oczy, błękitne niczym tropikalne morze, były dwoma punkcikami światła w półmroku. Swietłana miała na sobie kolejną bezkształtną podomką, tym razem w kolorze brunatno-brązowym. Jej oczy były bez wyrazu. Skinęła mi obojętnie głową, kiedy siadałem. Lila wyciągnęła rękę i uściśnęła mi dłoń w dość oficjalny sposób. Kontrast między tymi dwiema kobietami był kolosalny, pod każdym względem. Różniły je, co oczywiste, wiek i uroda, ale również siły witalne, maniery, usposobienie.

186

- Przyniósł pan pamięć USB? — zapytała Lila, przechodząc od razu do rzeczy.
- Nie — odparłem, chociaż miałem ją w kieszeni razem ze szczoteczką do zębów i komórką Leonida.
- Gdzie ona jest?
- Gdzie indziej.
- W bezpiecznym miejscu?
- Zgadza się.
- Dlaczego przyszli tutaj ci ludzie? — zapytała.
- Bo grzebie pani w sprawach, które otoczone są tajemnicą.
- Ale oficer prasowy w dziale zasobów ludzkich odniósł się do sprawy z entuzjazmem.
- Bo go pani okłamała.
- Słucham?
- Powiedziała mu pani, że to było w Berlinie. A to nieprawda. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku w Berlinie nie działo się nic ciekawego. Sytuacja była stabilna. Miasto było zastygłym w czasie przeżytkiem zimnej wojny. Być może toczyły się tam jakieś gry między CLA i KGB, między Brytyjczykami i Stasi, ale armia amerykańska zasadniczo się w to nie angażowała. Dla naszych chłopaków była to po prostu atrakcja turystyczna. Wsiąść do pociągu, obejrzeć mur. Ekstrabary i ekstra-dziwki. Przez miasto przewinęło się prawdopodobnie dziesięć tysięcy Johnów, ale co najwyżej wydali trochę szmalu albo złapali trypra. Z całą pewnością żaden tu nie walczył i żaden nie zdobył medalu. Więc odnalezienie któregoś z nich jest praktycznie niemożliwe. Być może dział zasobów ludzkich miał ochotę stracić trochę czasu, licząc, że wyjdzie z tego coś dobrego. Ale cała sprawa była od samego początku śmieszna. Zatem nie mogła pani dowiedzieć się niczego ciekawego od Susan Mark. Susan nie mogła pani powiedzieć o Berlinie niczego, co uzasadniałoby wasz przyjazd. To po prostu niemożliwe.
- Więc po co tu przyjechałyśmy?
- Ponieważ w trakcie tych pierwszych rozmów urobiła ją Pani, zaprzyjaźniła się z nią, a potem, kiedy uznała pani, że
- 187
- nadeszła odpowiednia pora, powiedziała jej, czego tak naprawdę chce. I jak to dokładnie znaleźć. Wyłącznie do jej wiadomości. Nie chodziło o Berlin, lecz o coś zupełnie innego. Zaskoczona osoba, która nie miałaby nic do ukrycia, zareagowałaby natychmiast i szczerze. Dałaby prawdopodobnie wyraz oburzeniu i urazie. Oszustka udałaby je hałaśliwie i przesadnie. Lila Hoth siedziała po prostu przez chwilę w milczeniu. Jej oczy miały ten sam wyraz co oczy Johna Sansoma w hotelu O. Henry. Przemyśleć na nowo, zająć inne pozycje, zreorganizować — wszystko w ciągu kilku sekund.
- To bardzo skomplikowane — oświadczyła.
- Nie odpowiedziałem.
- Ale całkowicie niewinne — dodała.
- Niech pani to powie Susan Mark — odparłem.
- Lila Hoth pochyliła głowę. W ten sam sposób, jaki widziałem wcześniej. Grzecznie, delikatnie i ze skrucą.
- Poprosiłam Susan o pomoc — powiedziała. — Zgodziła się całkiem chętnie. Jej działania naraziły ją najwyraźniej na nieprzyjemności ze strony osób trzecich. Więc owszem, przypuszczam, że w pośredni sposób przyczyniłam się do jej kłopotów. Ale nie w bezpośredni. I bardzo, bardzo żałuję tego, co się stało. Niech mi pan wierzy. Gdybym to przewidziała, z pewnością odmówiłabym mojej matce.
- Swietłana Hoth pokiwała głową i uśmiechnęła się.
- Jakich osób trzecich? — zapytałem.
- Chyba jej rządu — odparła Lila Hoth. — Waszego rządu.

— Dlaczego? O co tak naprawdę chodzi pani matce?  
Lila oświadczyła, że najpierw musi mi przedstawić tło wydarzeń.

36

Miała siedem lat, kiedy upadł Związek Radziecki, dlatego opowiadała o wszystkim z pewnym historycznymi dystansem. Podobnym do tego, który ja miałem do epoki, kiedy w Ameryce obowiązywała segregacja rasowa. Powiedziała, że w Armii Czerwonej służyło bardzo wielu komisarzy politycznych. Miała go każda kompania piechoty. Powiedziała, że dowodzeniem i dyscypliną zajmowali się wspólnie komisarz i oficer liniowy. Często dochodziło między nimi do zacieklej rywalizacji, zwłaszcza gdy względy ideologiczne kłóciły się z taktycznym zdrowym rozsądkiem. Dopiero upewniwszy się, że zrozumiałem tło, przeszła do omówienia szczegółów.

Swietlanę Hoth odkomenderowano jako komisarza do kompanii piechoty. Jej oddział znalazł się w Afganistanie wkrótce po inwazji na ten kraj w 1979 roku. Pierwsze operacje bojowe były udane. Później szale wojny się odwróciły. Straty stawały się coraz dotkliwsze. Z początku nie przyjmowano tego do wiadomości. W końcu, o wiele za późno Moskwa zareagowała. Zmieniono zasady taktyczne. Połączono kompanie. Zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby wycofać się na umocnione pozycje. Z przyczyn ideologicznych domagano się jednak nowych operacji zaczepnych. Aby podtrzymać morale, dbano o etniczną i geograficzną jednorodność oddziałów. Do kompanii dokooptowano

189

drużyny snajperów, w których skład wchodził strzelcy wyborowi oraz ich obserwatorzy. Pojawiły się pary obdartusów przywykłych radzić sobie w najtrudniejszych warunkach. Snajperem Swietłany był jej mąż.

Jego obserwatorem jej młodszy brat.

Sytuacja poprawiła się zarówno w sensie wojskowym, jak też osobistym. Związana węzłami rodzinnymi grupa Swietłany i inne rodzinne oraz regionalne zgrupowania radziły sobie bardzo dobrze. Kompanie okopały się i funkcjonowały we względnie bezpiecznych warunkach. Regularne nocne akcje snajperów można było uznać za operacje zaczepne. Rezultaty były znakomite. Sowieccy snajperzy od dawna byli najlepsi na świecie. Afgańscy mudzahedini nie mogli dać sobie z nimi rady. Pod koniec 1981 roku Moskwa wzmocniła swoją pozycję, przysyłając nową broń. Snajperom wydano niedawno skonstruowany model karabinu. Jego konstrukcja otoczona była ścisłą tajemnicą. Nazywał się VAL, Cichy Snajper.

— Widziałem go raz — powiedziałem, kiwając głową.

Lila Hoth uśmiechnęła się z pewną nieśmiałością. I chyba z dumą z państwa, które przestało już istnieć. Taką samą dumę odczuwała prawdopodobnie ćwierć wieku wcześniej jej matka, ponieważ VAL okazał się wspaniałą bronią. Był to superdokładny karabin półautomatyczny z tłumikiem. Strzelał ciężkimi dziewięciomilimetroowymi pociskami z poddźwiękową szybkością i z odległości około czterystu jardów mógł przebić wszystkie ówczesne kamizelki kuloodporne, a także lekko opancerzone pojazdy wojskowe. Dołączano do niego cały arsenał potężnych lunet albo noktowizorów. Z punktu widzenia przeciwnika był to prawdziwy koszmar. Zabici z tej broni ludzie ginęli nagle, bez żadnego ostrzeżenia, po cichu, śpiąc na pryczy w namiocie, w latrynie, jedząc, ubierając się, chodząc po obozie, w świetle dnia i po ciemku.

— To była znakomita broń — powiedziałem.

Lila Hoth ponownie się uśmiechnęła. Ale już po chwili uśmiech zgasł na jej ustach. Zaczęły się problemy. Przez rok sytuacja

190

była stabilna, ale to się skończyło. W nagrodę za dobre wyniki sowiecka piechota dostała bardziej niebezpieczne zadania. Tak dzieje się na całym świecie, tak działo się zawsze na przestrzeni dziejów. Nikt nie klepie cię po ramieniu i nie odsyła do domu. Zamiast tego

dostajesz mapę. Kompania Swietłany jako jedna z wielu otrzymała rozkaz ataku na północny wschód i zdobycia doliny Korengal. Prowadziła ją jedyna przejezdna droga z Pakistanu. Po jednej stronie doliny wznosiły się góry Hindukuszu, niesamowicie wysokie i jałowe, po drugiej pasmo Abas Ghar. Biegnący tamtędy sześciomilowy szlak stanowił główną linię zaopatrzenia mudżahedinów z Północno-Zachodniego Pogranicza, linię, którą trzeba było przeciąć.

— Brytyjczycy napisali ponad sto lat temu książkę o swoich operacjach w Afganistanie — powiedziała Lila. — Napisali, że kiedy planuje się ofensywę, trzeba przede wszystkim zaplanować, dokąd będzie można się wycofać. I trzeba zachować ostatni pocisk dla siebie, bo nikt nie chce się dostać żywcem w ich ręce, zwłaszcza w ręce kobiet. Dowódcy kompanii przeczytali tę książkę. Komisarzom politycznym to odradzono. Powiedziano im, że Brytyjczycy ponieśli klęskę dlatego, że ich ideologia była politycznie niesłuszna. Sowiecka ideologia jest słuszna, w związku z czym muszą odnieść zwycięstwo. Od tego złudzenia zaczęli się nasz Wietnam.

W pierwszej części natarcia wpieranego przez siły powietrzne i artylerię przesunięto się o trzy mile w górę doliny Korengal. Czwartą milę zdobyto przy oporze, który wydawał się zajadły szeregowcom, lecz dziwnie niemrawy oficerom.

Oficerowie mieli rację.

To była pułapka.

Mudżahedini zaczęli, aż linie zaopatrzeniowe Rosjan wydłużyły się do czterech mil, i wtedy uderzyli. Dostarczające żywność i amunicję helikoptery zestrzelano otrzymanymi od Stanów Zjednoczonych pociskami ziemia—powietrze. Skoordynowane ataki zwięźzały podstawę klina. Pod koniec 1982 roku kilka tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej zostało praktycznie

191

pozostawionych samym sobie w długim wąskim łańcuchu prowizorycznych obozowisk. Zima była straszna. Mroźny wiatr bezustannie wiał z przełęczy między zboczami gór. I wszędzie rosły kolczaste ostrokrzewy. Z daleka piękne i malownicze, ale stanowiące przekleństwo dla żołnierzy, którzy musieli wśród nich żyć i pracować. Targane wiatrem głośno hałasowały, a poza tym ograniczały mobilność, kaleczyły skórę i darły mundury.

Zaczął się systematyczne nękanie.

Mudżahedini brali jeńców, jednego albo dwóch naraz.

Ich los był przerażający.

Lila zacytowała fragment fatalistycznego wiersza, w którym brytyjski pisarz Rudyard Kipling opowiadał o nieudanych ofensywach, jęczących na polu bitwy niedobitkach i okrutnych Afgankach z nożami: „Gdy zostawia cię rannego na afgańskiej równinie i kobiety przyjdą odciąć to, co pozostało, podczołgaj się po prostu do swojej strzelby i odstrzel sobie mózg, stań przed Stwórcą niczym żołnierz”. To, co było prawdą u szczytu potęgi imperium brytyjskiego, dodała, było prawdą i teraz. I było jeszcze gorsze. Sowieccy żołnierze znikali, powiedziała, i po kilku godzinach z pobliskich niewidocznych obozowisk wroga dobiegały ich niesione wiatrem krzyki. Zaczynały się od desperackiego wrzasku i powoli, nieubłaganie zmieniały się w obłąkane wycie, przechodzące w coraz wyższe rejestry. Czasami trwały nawet dziesięć albo dwanaście godzin. Większości zwłok nigdy nie udało się odzyskać. Czasami jednak zwracano ciała, bez dłoni, stóp albo całych kończyn, bez oczu, uszu, nosów albo głów.

Bez penisów albo bez skóry.

— Niektórzy byli obdzierani żywcem — powiedziała Lila. — Odcinano im powieki i umieszczano głowy w specjalnych ramach, żeby musieli patrzeć, jak ściągają się z nich skórę, najpierw z twarzy, a potem z reszty ciała. Zimno znieczulało do pewnego stopnia ich rany i nie pozwalało zbyt szybko umrzeć w wyniku szoku. Czasami trwało to bardzo długo.



Zdarzało się też, że przypiekano ich żywcem na ognisku. Niedaleko naszych obozów pojawiały się paczki z pieczonym mięsem. Z początku żołnierze

192  
myśleli, że to jedzenie ofiarowane przez sympatyzujących z nami wieśniaków. Dopiero potem domyślili się, co to jest.

Swietłana Hoth wpatrywała się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Wyglądała jeszcze mniej ciekawie niż przedtem. Może ton głosu jej córki przywoływał wspomnienia. Opowieść była na pewno wciągająca. Lila nie była świadkiem tych wydarzeń, ale mówiła o nich tak, jakby widziała wszystko na własne oczy. Jakby widziała to wczoraj. Zniknął gdzieś historyczny dystans. Uderzyło mnie, że potrafi znakomicie opowiadać. Miała dar narracji.

— Najbardziej zależało im na wzięciu do niewoli snajperów — powiedziała. — Nienawidzili naszych snajperów. Snajperzy budzą zawsze nienawiść, być może z powodu sposobu, w jaki zabijają. Matka martwiła się bardzo o mojego ojca. I o swojego młodszego brata. Prawie każdej nocy wychodzili na niskie wzgórza z noktowizorem. Niedaleko. Może na odległość tysiąca metrów, żeby znaleźć dobrą pozycję. Może trochę dalej. Dość daleko, żeby mieć wyniki, a jednocześnie dość blisko, by czuć się bezpiecznie. Choć tak naprawdę nigdzie nie mogli czuć się bezpiecznie. Wszędzie byli narażeni na niebezpieczeństwo. I musieli wychodzić na zwiad. Kazano im zabijać wrogów, ale oni zabijali przede wszystkim jeńców. Uważali, że wyświadczają im w ten sposób przysługę. To były straszne czasy. Moja matka była wówczas w ciąży. Ze mną. Poczęto mnie w wykopanym w skalistej ziemi okopie, pod płaszczem pamiętającym czasy drugiej wojny światowej, na dwóch innych, które były prawdopodobnie jeszcze starsze. Matka powiedziała, że były w nich dziury po pociskach, może nawet spod Stalingradu.

Nie odezwałem się. Swietłana gapiła się prosto przed siebie. Lila położyła dłonie na stole i splotła luźno palce.

— W pierwszym miesiącu mój ojciec i wuj wracali codziennie rano cali i zdrowi — powiedziała. — Tworzyli dobry zespół. Być może najlepszy.

Swietłana dalej gapiła się przed siebie. Lila zabrała dłonie ze stołu i przez chwilę milczała. A potem wyprostowała się w fotelu. Zmiana tematu.

193

— W Afganistanie przebywali w tym czasie Amerykanie — powiedziała.

— Naprawdę? — zapytałem.

Lila kiwnęła głową.

— Jacy Amerykanie?

— Żołnierze. Niezbyt wielu, ale byli. Nie stale, ale od czasu do czasu.

— Tak pani myśli?

Lila ponownie kiwnęła głową.

— Amerykańska armia na pewno była tam obecna. Związek Radziecki był ich wrogiem, a mudżahedini sojusznikami. Trwała zimna wojna. Prezydent Reagan chciał, żeby Armia Czerwona poszła w rozsypkę. Stanowiło to część jego antykomunistycznej strategii. I cieszył się, że będzie można przejąć dla celów wywiadowczych naszą najnowszą broń. Dlatego wysyłano tam żołnierzy. Siły specjalne. Regularnie pojawiali się i znikali. I którejś nocy w marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego jedna z tych grup znalazła mojego ojca i wuja i ukradła im karabin VAL.

Nie odezwałem się.

— Utrata karabinu była oczywiście klęską — rzekła Lila. — Najgorsze było jednak to, że Amerykanie wydali mojego ojca i wuja miejscowym kobietom. Nie było takiej potrzeby.

Oczywiście trzeba było im zamknąć usta, ponieważ amerykańska obecność była ściśle tajna i nie mogła wyjść na jaw. Ale Amerykanie mogli sami zabić mojego ojca i wuja, szybko, cicho i łatwo. Woleli tego nie robić. Matka słyszała krzyki swoich bliskich przez cały następny

dzień i większą część nocy. Krzyki swojego męża i brata. Przez szesnaście, osiemnaście godzin. Powiedziała, że chociaż krzyczeli tak strasznie, nadal potrafiła odróżnić ich głosy.

37

Poruszyłem się na krześle i rozejrzałem po herbaciarni hotelu Four Seasons.

— Przykro mi, ale nie wierzę pani — powiedziałem.

— Mówię prawdę — odparła Lila Hoth.

Potrząsnąłem głową.

— Służyłem w armii Stanów Zjednoczonych. Byłem żandarmem. Ogólnie rzecz biorąc, wiedziałem, dokąd ludzie jechali, a dokąd nie. I na terytorium Afganistanu nie było amerykańskich żołnierzy. Nie w tamtym czasie. Nie podczas tamtego konfliktu. To była ściśle lokalna sprawa.

— Ale walczył za was ktoś inny.

— Oczywiście. Podobnie jak ktoś inny walczył za was w Wietnamie. Z tego, co wiem, Armia Czerwona nie stacjonowała chyba w tamtym kraju? — zapytałem.

Było to pytanie retoryczne, które miało dowieść, że mam rację, lecz Lila Hoth potraktowała je poważnie. Nachyliła się nad stołem do matki i szepnęła jej coś do ucha cicho i szybko, w obcym języku, jak zgadywałem, ukraińskim. Swietłana otworzyła nieco szerzej oczy i przechyliła głowę na bok, tak jakby Przypominała sobie jakiś drobny szczegół zawiłej historii. Odpowiedziała jej cicho, szybko i wyczerpująco, a potem Lila milczała przez chwilę, dopracowując w myśli przekład.

195

— Nie, nie wysyłaliśmy tam wojsk — odpowiedziała — ponieważ wierzyliśmy, że nasi socjalistyczni bracia z Demokratycznej Republiki Wietnamu dadzą sobie radę sami. I jak mówi moja matka, rzeczywiście tak się stało, poradzili sobie świetnie. Mali ludzie w piżamach pokonali wielką zieloną maszynę.

Swietłana Hoth uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— A banda pasterzy kóz skopała wam tyłki — powiedziałem.

— Nie ma co do tego sporu. Ale udzielono im dużej pomocy.

— Nie było żadnej pomocy.

— Nie zaprzeczy pan jednak, że udzielaliście mudżahedinom pomocy materialnej.

Dawaliście pieniądze i broń. Zwłaszcza rakiety ziemia—powietrze i podobny sprzęt.

— Podobnie jak wy robiliście to w Wietnamie.

— Wietnam jest doskonałym przykładem. Czy słyszał pan kiedyś, żeby Stany Zjednoczone dostarczały komuś broń, nie wysyłając jednocześnie doradców wojskowych?

Nie odpowiedziałem.

— Na przykład pan. W ilu krajach pan służył? — zapytała. Nie odezwałem się.

— Kiedy wstąpił pan do wojska? — zapytała.

— W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym — odparłem.

— W takim razie to, co stało się w osiemdziesiątym drugim i trzecim, wydarzyło się wcześniej. Zanim zaczął pan służbę.

— Tylko trochę wcześniej — odparłem. — Poza tym istnieje coś takiego jak pamięć zbiorowa.

— Nieprawda — rzekła. — Sekrety są pilnie strzeżone, a pamięć zbiorową łatwo skasować. Nielegalne amerykańskie interwencje na całym świecie mają długą historię. Zwłaszcza w trakcie prezydentury Reagana.

— Uczono tego pani w szkole średniej?

— Owszem, uczono mnie. I niech pan pamięta, że komunizm upadł na długo przedtem, zanim trafiłam do szkoły średniej. W jakiejś mierze dzięki Reaganowi.

196

— Nawet jeśli ma pani rację, dlaczego uznajecie, że w tej konkretnej akcji brali udział Amerykanie? — zapytałem. — Podejrzewam, że pani matka nie widziała, co się dokładnie działo. Dlaczego nie uznać, że pani ojciec i wuj zostali ujęci bezpośrednio przez mudżahedinów?

— Bo nigdy nie odnaleziono ich karabinu. A w stronę obozu mojej matki nie strzelał później w nocy żaden snajper. Mój ojciec miał dwadzieścia naboju w magazynku i dwadzieścia zapasowych. Gdyby został złapany przez mudżahedinów, ci użyliby karabinu przeciwko nam. Zabiliby bądź też próbowaliby zabić czterdziestu naszych żołnierzy, a potem skończyłaby im się amunicja i porzuciliby broń. Kompania mojej matki w końcu by ją odnalazła. Bez przerwy dochodziło między nami do potyczek. Nasi zajmowali ich pozycje i vice versa. Przypominało to ganiecie się w kółko. Mudżahedini byli inteligentni. Mieli w zwyczaju wracać na pozycje, które uznaliśmy wcześniej za porzucone. Ale w końcu nasi ludzie odwiedzili wszystkie ich kryjówki. Odnależliby karabin VAL, pusty i zardzewiały, być może użyty w charakterze palika ogrodzenia. Odzyskali w ten sposób całą inną ukradzioną wcześniej broń. Z wyjątkiem tego jednego karabinu. Jedyny logiczny wniosek, jaki się narzuca, jest taki, że zabrali go Amerykanie. Prosto do Ameryki.

Nie odezwałem się.

— Mówię prawdę — powtórzyła Lila Hoth.

— Widziałem raz Cichego Snajpera VAL — powiedziałem.

— Już pan to mówił.

— Widziałem go w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym — wyjaśniłem. — Powiedziano nam, że właśnie go zdobyliśmy. Jedenaście lat po tym, gdy według pani to się stało. Jego możliwości spowodowały, że wszyscy wpadli w panikę. Armia nie czekałaby jedenastu lat, żeby wpaść w panikę.

— Owszem, czekałaby — odpowiedziała. — Ujawnienie karabinu i jego możliwości natychmiast po jego zdobyciu mogło doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej. Przyznałibyście w ten sposób, że wasi żołnierze starli się z naszymi bez

197

wypowiedzenia wojny. Byłoby to co najmniej czymś nielegalnym i stanowiło kompletną katastrofę w sensie geopolitycznym. Ameryka straciłaby swoją moralną wyższość. Wzrosłoby społeczne poparcie wewnątrz Związku Radzieckiego. Upadek komunizmu zostałby opóźniony być może o długie lata.

Nie odezwałem się.

— Niech pan mi powie — powiedziała — co działo się w waszej armii w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym, po tym wielkim wybuchu paniki?

Przez chwilę milczałem, tak jak trochę wcześniej milczała Swietłana Hoth. Przypominałem sobie historyczne szczegóły. Były zaskakujące. Jeszcze raz je sprawdziłem.

— Właściwie niewiele się zdarzyło — powiedziałem.

— Żadnych nowych kamizelek? Nowych wzorów kamuflaży? Żadnej reakcji w sensie taktycznym?

— Nie.

— Czy to logiczne, nawet w wojsku?

— Niespecjalnie.

— Kiedy wcześniej został udoskonalony sprzęt?

Znowu umilkłem. Poszperałem w pamięci. Przypominałem sobie PASGT, Personal Armor System, Ground Troops, Osobisty System Przeciwodłankowy Wojsk Lądowych, który wprowadzono z wielkimi fanfarami w pierwszych latach mojej służby. Zupełnie nowy hełm z kevlaru, który miał chronić przed wszelkiego rodzaju pociskami z broni małokalibrowej. Gruba kamizelka do noszenia pod kurtką mundurową albo na niej, oceniana jako skuteczna nawet przeciwko pociskom z broni długiej. Zwłaszcza, jak pamiętam, przeciwko pociskom

kalibru dziewięć milimetrów. Plus starannie zaprojektowane nowe wzory kamuflażu, w dwóch wariantach, leśnym i pustynnym. Piechota morska miała trzeci wariant, niebiesko-szary, do walk na terenie miejskim.

Nie odezwałem się.

— Kiedy udoskonalono sprzęt? — zapytała Lila Hoth.

— Pod koniec lat osiemdziesiątych — odparłem.

198

— Nawet kiedy wszyscy wpadają w panikę, ile lat trwa zaprojektowanie i wyprodukowanie czegoś takiego?

— Kilka lat.

— Więc uporządkujmy, co już wiemy. Pod koniec lat osiemdziesiątych dostaliście udoskonalone kamizelki zaprojektowane tak, by zapewnić wam lepszą ochronę. Nie sądzi pan, że bezpośrednim bodźcem było w tym wypadku nieujawnione odkrycie, którego dokonano w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku?

•••

Przez chwilę wszyscy siedzieliśmy w milczeniu. Do stolika podszedł dyskretny, cichy kelner i zaproponował nam herbatę. Wyrecytował długą listę egzotycznych mieszanek. Lila poprosiła o smak, o którym nigdy nie słyszałem, a potem zapytała matkę, która poprosiła o to samo. Ja zamówiłem zwykłą czarną kawę. Kelner skłonił lekko głowę, jakby personel hotelu Four Seasons był gotów spełnić wszelkie zachcianki gości, bez względu na to, jak bardzo byłyby plebejskie.

— Jak odkryliście, kogo powinniście szukać? — zapytałem, kiedy odszedł.

— Pokolenie mojej matki spodziewało się, że stoczy z wami wojnę lądową w Europie, i przypuszczało, że ją wygra. Ich ideologia była czysta, wasza nie. Po szybkim i pewnym zwycięstwie spodziewali się wziąć wielu jeńców. Ich liczba sięgałaby milionów. W tej fazie do obowiązków komisarzy politycznych miała należeć ich klasyfikacja, oddzielenie nieodwracalnie skażonych ideologicznie od stada. Żeby ułatwić im to zadanie, zapoznano ich ze strukturą waszych sił zbrojnych.

— Kto ich zapoznał?

— KGB. Robiono to na bieżąco. Dysponowali wieloma informacjami. Wiedzieli, co kto robi. W wypadku elitarnych jednostek znali nawet nazwiska. Nie tylko oficerów, ale i zwykłych żołnierzy. Tak jak prawdziwy kibic piłki nożnej zna skład, zalety i słabości wszystkich innych drużyn grających w lidze,

199

nie wyłączając graczy rezerwowych. Matka doszła do wniosku, że w zwiadzie w dolinie Korengal mogli wziąć udział ludzie z trzech różnych formacji. SEALS z marynarki wojennej, Recon Marines z korpusu piechoty morskiej bądź też Delta Force z sił lądowych. Dane wywiadowcze z tamtego okresu przemawiały przeciwko SEALS i Recon Marines. Nie było żadnych pośrednich dowodów na ich zaangażowanie. Żadnych informacji. KGB miało ludzi w waszych instytucjach i w ich raportach nie było nic na ten temat. Mieliśmy za to doniesienia o zwiększonej aktywności radiowej w bazach Delty w Turcji i na lotnisku tranzytowym w Omanie. Nasze radary wykryły niewyjaśnione loty. Wszystko wskazywało na to, że operację prowadziła Delta.

Kelner wrócił z tacą. Był wysokim śniadym facetem, dość starym, prawdopodobnie cudzoziemcem. Umiał stworzyć odpowiedni nastrój. Dlatego pewnie zatrudnili go w Four Seasons. Jego zachowanie sugerowało, że mógł być kiedyś herbacianym ekspertem w jakimś wyłożonym ciemną boazerią salonie w Wiedniu albo Salzburgu. W rzeczywistości klepał pewnie biedę jako bezrobotny w Estonii. Może powołano go do wojska razem z rówieśnikami Swietłany. Może przeżył razem z nią zimę w dolinie Korengal, gdzieś we własnym etnicznym ugmpowaniu. Podając nam herbatę i układając plasterki cytryny na talerzyku, robił z tego całe

przedstawienie. Kawę otrzymałem w eleganckiej filiżance. Postawił ją przede mną z taktownie skrywaną dezaprobatą.

— Matka uznała, że misją dowodził kapitan — powiedziała Lila, kiedy odszedł. — Ranga porucznika byłaby zbyt niska, ranga majora zbyt wysoka. KGB miało listy personelu. W Delcie było wówczas wielu kapitanów. Ale dysponowaliśmy również nasłuchami radiowymi. Ktoś usłyszał imię John. To zawęziło pole poszukiwań.

Pokiwałem głową. Wyobraziłem sobie zainstalowany gdzieś w Armenii lub Azerbejdżanie potężny dysk anteny, faceta w baraku, ze słuchawkami na głowie, z gumowymi nakładkami przylegającymi ściśle do uszu, przeczesującego częstotliwości,

200

słuchającego wycia i trzasków zaszyfrowanych kanałów, trafiającego na fragment żywej mowy, zapisującego słowo „John” na bloczku brązowego szorstkiego papieru. Dużo rzeczy przechwytuje się z eteru. Większość jest bezużyteczna. Słowo, które rozumiesz, jest jak samorodek złota, jak diament w skale. A słowo, które oni rozumieją, jest jak strzał w plecy.

— Matka знаła się na waszych wojskowych medalach — kontynuowała Lila. — Były ważne, ponieważ miały służyć jako kryterium przy klasyfikowaniu jeńców. Po wzięciu do niewoli honorowe odznaczenia miały się stać znakami hańby. Wiedziała, że zdobycie karabinu VAL powinno zostać nagrodzone wysokim odznaczeniem. Ale jakim? Jak pan pamięta, nie została wypowiedziana wojna. A większość waszych wysokich odznaczeń nadawana jest za odwagę i bohaterstwo okazane w walce zbrojnej z wrogami Stanów Zjednoczonych. Żołnierz, który ukradł VAL mojemu ojcu, nie spełniał tego warunku, bo Związek Radziecki nie był oficjalnie wrogiem Stanów Zjednoczonych. Nie w wojskowym sensie. Nie znajdowaliśmy się w stanie wojny.

Ponownie pokiwałem głową. Nigdy nie byliśmy w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim. Wprost przeciwnie, przez cztery długie lata byliśmy sojusznikami w desperackiej walce ze wspólnym wrogiem. Szeroko ze sobą współpracowaliśmy. Płaszcz z drugiej wojny światowej, pod którym poczęta została, jak sama twierdziła, Lila Hoth, został przypuszczalnie wyprodukowany w Ameryce w ramach programu Lend-Lease. Wysłaliśmy Rosjanom setki milionów ton wełnianej i bawełnianej odzieży. Plus piętnaście milionów par skórzanych butów, cztery miliony gumowych opon, dwa tysiące parowozów i jedenaście tysięcy wagonów kolejowych, jak również inny ciężki sprzęt w rodzaju piętnastu tysięcy samolotów, siedmiu tysięcy czołgów i trzystu siedemdziesięciu pięciu tysięcy ciężarówek. Wszystko za darmo, gratis, bez zapłaty. Winston Churchill nazwał ten Program najbardziej wielkodusznym programem pomocy w historii. Krążyły na jego temat legendy. Sowieci poprosili podobno o kondomy i chcąc zrobić wrażenie i onieśmielić sojuszników,

201

zażyczyli sobie, żeby miały osiemnaście cali długości. Stany wysłały je w kartonach z napisem „rozmiar: średni”.

Tak opowiadano.

— Słucha mnie pan? — zapytała Lila.

Pokiwałem głową.

— Pasowałby tu Medal za Wzorową Służbę. Albo Legion Zasługi. Względnie Medal Żołnierski — powiedziałem.

— Za niskie.

— Dzięki. Dostałem wszystkie trzy.

— Zdobycie tego karabinu było naprawdę wielkim wyczynem — stwierdziła Lila. —

Sensacją. To była zupełnie nieznana broń. Jej przejęcie zasługiwało na wysokie odznaczenie.

— Ale jakie?

— Moja matka doszła do wniosku, że to powinien być Medal za Wybitną Służbę.

Normalnie przyznawany jest za wybitne zasługi w służbie rządu amerykańskiego, oddane w

trakcie bardzo ważnej misji. Udział w działaniach zbrojnych nie jest wymagany. Na ogół przyznaje się go politycznie giętkim wyższym oficerom w stopniu co najmniej generała brygady. Matka miała rozkaz natychmiast likwidować wszystkich odznaczonych tym medalem. Bardzo rzadko przyznaje się go komuś poniżej rangi generała brygady. Ale to jedyne wysokie odznaczenie, które kapitan Delty mógł zdobyć tamtej nocy w dolinie Korengal.

Pokiwałem głową. Byłem tego samego zdania. Swietłana Hoth była całkiem zdolnym analitykiem. Dobrze wyszkolonym i dobrze poinformowanym. KGB wykonało porządną robotę.

— Zatem szukaliście faceta, który miał na imię John, był kapitanem Delty i w marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego został odznaczony Medalem za Wybitną Służbę — powiedziałem.

Lila pokiwała głową.

— Dla pewności, Medal za Wybitną Służbę musiał zostać przyznany bez uzasadnienia — uzupełniła.

— I zmusiłyście Susan Mark, żeby wam pomogła.

— Nie zmusiłam jej. Zrobiła to bardzo chętnie.

202

— Dlaczego?

— Bo wzruszyła ją historia mojej matki.

Swietłana Hoth uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— I wzruszyła ją trochę moja historia — dodała Lila. — Podobnie jak ona wychowywałam się bez ojca.

— Jak trafiłyście na Johna Sansoma, zanim jeszcze Susan udzieliła wam odpowiedzi? — zapytałem. — Nie wierzę, że dostarczyli je wam jacyś nowojorscy prywatni detektywi, którzy robią sobie jaja, czytając gazety.

— To bardzo rzadkie połączenie — stwierdziła Lila. — John, Delta i Medal za Wybitną Służbę przyznany oficerowi w stopniu znacznie niższym od generała. Przeczytaliśmy o tym w „Herald Tribune”, kiedy ogłoszono, że Sansom ma zamiar ubiegać się o miejsce w Senacie. Byliśmy w Londynie. Można kupić tę gazetę na całym świecie. John Sansom mógł być jedynym człowiekiem w całej historii waszej armii, który spełniał te wszystkie cztery kryteria. Ale chcieliśmy mieć absolutną pewność. Chcieliśmy uzyskać ostateczne potwierdzenie.

— Zanim co? Co chcecie zrobić temu facetowi?

Lila Hoth zrobiła zdziwioną minę.

— Zrobić? — zachnęła się. — Nie chcemy niczego robić. Chcemy z nim po prostu porozmawiać, to wszystko. Chcemy go zapytać dlaczego. Dlaczego zrobił to dwóm innym ludzkim istotom?

38

Lila Hoth dopiła herbatę i odstawiła filiżankę na spodeczek. Krucha porcelana zabrzęczała delikatnie w zetknięciu z kruchą porcelaną.

— Zdobędzie pan dla mnie informacje Susan? — zapytała.

Nie odpowiedziałem.

— Moja matka czekała na to bardzo długo — dodała.

— Dlaczego?

— To kwestia czasu, możliwości, środków. Przypuszczam, że głównie pieniędzy. Aż do niedawna niewiele mogła zrobić.

— Dlaczego zabito pani męża? — zapytałem.

— Mojego męża?

— Wtedy w Moskwie.

— Takie były czasy — odpowiedziała po chwili Lila.  
— To samo odnosi się do męża pani matki.  
— Nie. Mówiłam już panu. Gdyby Sansom strzelił mu w głowę, jak to się stało w przypadku mojego męża, gdyby go zadźgał lub skrzył mu kark, w czym szkolono żołnierzy Deltę, to byłoby co innego. Ale on tego nie zrobił. Był okrutny. Nieludzki. Mój ojciec nie mógł się nawet doczołgać do swojego karabinu, bo mu go ukradli.

Nie odezwałem się.

— Chce pan, żeby tacy ludzie jak Sansom znaleźli się w Senacie?

204

— Zamiast kogo?

— Przekaze mi pan potwierdzenie, które znalazła Susan?

— To nie ma sensu — odparłem.

— Dlaczego?

— Ponieważ nigdy nie zbliży się pani do Johna Sansoma. Jeśli cokolwiek z tego, o czym pani mówi, rzeczywiście się wydarzyło, jest to tajemnica i jeszcze bardzo długo nią pozostanie. A tajemnice są chronione, zwłaszcza dzisiaj. Już teraz pracują nad tym dwie agencje federalne. Przed chwilą zjawili się trzej faceci zadający pytania. W najlepszym razie zostanie pani deportowana. W drodze na lotnisko nie dotknie pani nawet stopą ziemi. Wsadzą panią do samolotu w kajdankach. Brytyjczycy odbiorą panią po drugiej stronie i przez resztę życia będzie pani pilnie obserwowana.

Swietłana Hoth wpatrywała się przed siebie.

— A w najgorszym razie po prostu pani zniknie — dodałem. — Tu, w tym miejscu. Będzie pani przechodziła ulicę i chwilę później już pani nie będzie. Zgnije pani w Guantanamo albo zostanie pani przewieziona do Syrii albo Egiptu, żeby można było panią tam bez przeszkód zabić.

Lila Hoth milczała.

— Mogę pani coś doradzić? — zapytałem. — Niech pani o wszystkim zapomni. Pani ojciec i wujek zginęli na wojnie. Nie byli pierwsi ani ostatni. Takie rzeczy się zdarzają.

— Chcemy go tylko zapytać dlaczego.

— Przecież pani wie dlaczego. Nie było deklaracji wojny, więc nie mógł zabić waszych ludzi. Takie obowiązywały zasady. Wbijają im to do głowy przed każdą misją.

— Więc pozwolił, żeby ktoś zrobił to zamiast niego.

— Takie były czasy. Sama pani powiedziała, że to mogło doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej. W interesie wszystkich leżało, żeby tego uniknąć.

— Widział pan te dane? Czy Susan udało się to rzeczywiście Potwierdzić? Niech pan tylko powie, tak albo nie. Nie mogę nic zrobić, jeśli nie będę tego wiedziała. Nie mogę.

205

— Niczego pani nie zrobi. Koniec i kropka.

— To nie było w porządku.

— Nie w porządku była przede wszystkim inwazja na Afganistan. Powinniście siedzieć w domu.

— Wy też powinniście siedzieć w domu, zamiast najeżdzać wszystkie kraje, które najechaliście.

— W tej kwestii nie będę się z panią spierał.

— Jak to się ma do wolności informacji?

— To znaczy?

— Ameryka jest krajem, w którym przestrzega się prawa.

— To prawda. Ale czy pani wie, jakie dzisiaj obowiązują prawa? Powinna pani uważniej czytać „Herald Tribune”.

— Pomoże nam pan?

- Poproszę recepcjonistę, żeby wezwał taksówkę, która odwiezie was na lotnisko.
- To wszystko?
- To najlepsza pomoc, jakiej można wam udzielić.
- Czy jest coś, co mogę zrobić, żeby zmienić pan zdanie?

Nie odpowiedziałem.

- Cokolwiek?
- Nie — odparłem i wszyscy umilkliśmy. Specjalista od herbaty przyniósł włożony do skórzanego etui rachunek. Lila Hoth podpisała go.
- Sansom powinien ponieść konsekwencje — powiedziała.
- Jeżeli to on zrobił — odparłem. — Jeżeli to w ogóle ktoś zrobił. — Wyjąłem telefon Leonida z kieszeni i położyłem go na stoliku. Odsunąłem krzesło i zacząłem szykować się do wyjścia.
- Niech pan zatrzyma telefon — rzekła Lila.
- Po co? — zapytałem.
- Bo matka i ja zostaniemy tu jeszcze przez kilka dni. I chciałabym móc do pana zadzwonić, jeśli zajdzie taka potrzeba. — Nie powiedziała tego z zażenowaniem. Ani z kokieterią. Nie zatrzepotała rękami, nie położyła dłoni na moim ramieniu, nie próbowała mnie uwieść, nakłonić do zmiany zdania. Było

206

to proste stwierdzenie faktu, wypowiedziane w całkowicie neutralny sposób. — Nawet jeśli nie jest pan przyjacielem — dodała i usłyszałem w jej głosie zawołaną groźbę. Ledwo słyszalną, prawie nie do wykrycia w słowach. W tych jej niesamowitych błękitnych oczach pojawił się wyraźny chłód. Tak jakby ciepłe letnie morze zmieniło się w oświetlony słońcem lód. Ten sam kolor, inna temperatura.

A może była po prostu zasmucona, zaniepokojona albo zdeterminowana.

Posłałem jej obojętne spojrzenie, włożyłem telefon z powrotem do kieszeni, wstałem i wyszedłem. Pięćdziesiątą Siódmą jechało dużo taksówek, lecz żadna nie była pusta.

Ruszyłem więc pieszo. Sheraton był trzy przecznice dalej na zachód i pięć na południe.

Najwyżej dwadzieścia minut. Miałem nadzieję, że uda mi się tam dotrzeć, zanim Sansom skończy lunch.

39

Nie zdążyłem dotrzeć do Sheratona, zanim Sansom skończył lunch, częściowo dlatego, że chodniki blokowali wlokący się w upale ludzie, a częściowo dlatego, że lunch był krótki. Co było logiczne. Ludzie z Wall Street poświęcają maksymalnie dużo czasu na zarabianie pieniędzy i maksymalnie mało na ich wydawanie. Nie zdążyłem również na ten sam pociąg co on. Spóźniłem się pięć minut, wskutek czego dojechałem do Waszyngtonu półtorej godziny po nim.

•••

Przy drzwiach Cannon Building dyżurował ten sam strażnik. Nie poznał mnie. Mimo to mnie wpuścił, ponieważ nakazywała mu to konstytucja. Ściśle rzecz biorąc, pierwsza poprawka. „Kongres nie będzie ograniczał prawa ludności do składania petycji do rządu”. Rzeczy, które miałem w kieszeni, zostały prześwietlone przez rentgen, a po przejściu przez wykrywacz metalu zostałem i tak obmacany, chociaż widziałem, że zapaliło się zielone światło. W holu był tłumek gońców. Jeden z nich zatelefonował na górę i zaprowadził mnie do biura Sansoma. Korytarze były szerokie, przestronne i dezorientujące. Mieszczące się przy nich biura eleganckie, lecz niewielkie. Może były kiedyś eleganckie i duże, teraz jednak z każdego wykrojono poczekalnie

208

i kilka oddzielnych pomieszczeń, częściowo do użytku wyższych urzędników, a częściowo, by dostęp do szefa wydawał się większym zaszczytem, niż był w rzeczywistości.



Biuro Sansoma nie różniło się od innych. Drzwi w głębi korytarza, dużo flag, dużo orłów, kilka portretów starych facetów w perukach, biurko z siedzącą za nim młodą kobietą. Może recepcjonistką, może stażystką. Springfield stał przy biurku, opierając się o jego róg. Na mój widok skinął bez uśmiechu głową, po czym podszedł do mnie i wskazał kciukiem korytarz. — Kafeteria — rzucił.

Zeszliśmy piętro niżej. W szerokiej niskiej sali stało pełno stolików. Sansom nie siedział przy żadnym z nich. Springfield chrząknął, jakby wcale go to nie zaskoczyło. Dawał mi do zrozumienia, że jego szef musiał wrócić do swojego biura, kiedy go szukaliśmy, najprawdopodobniej innym korytarzem, odprowadzając jakiegoś kolegę. Oświadczył, że to miejsce to prawdziwy labirynt i zawsze trzeba tu z kimś porozmawiać, prosić kogoś o przysługę, dobić z kimś targu i kupić czyjeś głosy. Wróciliśmy tą samą trasą. Springfield wsadził głowę do gabinetu, cofnął się i dał znak, że mogę wejść.

Gabinet Sansoma był prostokątnym pomieszczeniem większym od garderoby i mniejszym od motelowego pokoju za trzydzieści doliczając. Miał okno, półki zastawione pamiątkami i obite boazerią ściany, na których wisiały oprawione w ramki fotografie oraz wycinki z gazet. Sansom siedział w czerwonym skórzanym fotelu za biurkiem zarzuconym papierami, trzymając w ręku wieczne pióro. Nie miał na sobie marynarki. Wyglądał jak facet, który od dłuższego czasu sterczy nieruchomo w miejscu. W rzeczywistości nigdzie nie wychodził. Wycieczka do kafeterii była potrzebna, by ktoś mógł wyjść z gabinetu niezauważony przeze mnie. Nie wiedziałem, kto i dlaczego musiał wyjść. Usiadłem Jednak w fotelu dla gościa i odkryłem, że jest jeszcze ciepły. Za głową Sansoma wisiała na ścianie duża, oprawiona w ramki odbitka tego samego zdjęcia, które widziałem w jego książce. Donald Rumsfeld i Saddam Husajn w Bagdadzie. „Czasami nasi

209

przyjaciele stają się naszymi wrogami, a nasi wrogowie naszymi przyjaciółmi". Obok, na kilku mniejszych fotografiach, dostrzegłem Sansoma pozującego w większych grupkach albo uśmiechającego się i wymieniającego uścisk dłoni z innymi ludźmi. Część zdjęć grupowych była oficjalna, na innych widać było szerokie uśmiechy i konfetti po wygranych wyborach. Na większości znalazła się Elspeth. Na przestrzeni lat jej fryzura bardzo się zmieniała. Na kilku innych zobaczyłem Springfieldda — małego i czujnego, łatwo rozpoznawalnego, mimo że fotografie były nieduże. Zdjęcia wymieniających uścisk dłoni osób były tym, co fotoreporterzy nazywają przybijaniem piątki. Niektórych występujących na nich ludzi rozpoznawałem, innych nie. Niektórzy opatrzyli zdjęcia ekstrawaganckimi dedykacjami, inni nie.

— I co? — zapytał Sansom.

— Wiem, za co dostał pan Medal za Wybitną Służbę w marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku — powiedziałem.

— Tak?

— Za karabin VAL Cichy Snajper. Wspomniana przeze mnie wcześniej megiera była żoną faceta, któremu go pan odebrał. Dlatego zareagował pan na to nazwisko. Może nigdy nie słyszał pan o Liii Hoth i o Swietłanie Hoth, ale spotkał pan przed laty faceta, który nazywał się Hoth. Zabrał mu pan prawdopodobnie nieśmiertelnik i kazał go sobie przetłumaczyć. Pewnie nadal go pan ma. W charakterze pamiątki.

Na jego twarzy nie było zaskoczenia. Nie starał się zaprzeczać.

— Nie, nieśmiertelnik jest zamknięty razem z raportem z akcji i całą resztą — powiedział tylko.

Nie odezwałem się.

— Nazywał się Grigorij Hoth — wyjaśnił. — Był wtedy mniej więcej w moim wieku. Robił wrażenie kompetentnego. Jego obserwator mniej. Powinien usłyszeć, jak się zbliżamy.

Nie odpowiedziałem. Zapadło długie milczenie. W końcu Sansom uświadomił sobie chyba powagę sytuacji i przygarbił ramiona.

210

— Niesamowite, w jaki sposób to wyszło na jaw, prawda? — powiedział, wzdychając. — Medale mają być nagrodą, nie karą. Nie powinny zatruwać człowiekowi życia. Nie powinny wlec się za nim jak jakaś cholerna kula na łańcuchu.

Nie odpowiedziałem.

— Co pan zamierza zrobić? — zapytał.

— Nic — odparłem.

— Naprawdę?

— Nie obchodzi mnie, co się wydarzyło w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim. Poza tym te kobiety mnie okłamały. Okłamały mnie co do Berlina i nadal mnie okłamują. Przedstawiają się jako matka i córka. A ja im nie wierzę. Rzekoma córka to prawdziwa piękność. Rzekoma matka spadła z brzydkiego drzewa i po drodze poobijała się o wszystkie gałęzie. Kiedy z nimi po raz pierwszy rozmawiałem, towarzyszyła mi nowojorska policjantka. Powiedziała, że za trzydzieści lat córka będzie wyglądała tak jak matka. Ale to nieprawda. Młodsza nigdy nie będzie wyglądała tak jak starsza. Nawet za milion lat.

— Więc kim są?

— Jestem gotów przyjąć, że starsza jest rzeczywiście osobą, za którą się podaje. Była komisarzem politycznym Armii Czerwonej, która straciła w Afganistanie męża i brata.

— Kim był jej brat?

— Obserwatorem.

— Ale ta młodsza udaje kogoś innego?

— Mieszkającą w Londynie wdowę po rosyjskim miliarderze. Powiedziała, że jej mąż był przedsiębiorcą, któremu się nie udało.

— Lecz nie jest przekonująca?

— Ubiera się stosownie do roli. Gra ją całkiem dobrze. Może straciła męża w podobnych okolicznościach.

— Ale? Kim jest naprawdę?

— Moim zdaniem to dziennikarka.

— Dlaczego?

— Zna się na rzeczy. Ma odpowiednio dociekliwy, analityczny Umysł. Czyta „Herald Tribune”. I potrafi fantastycznie opowiadać.

211

Ale za dużo mówi. Jest zakochana w słowach i ubarwia szczegóły. Nie może się powstrzymać.

— Na przykład?

— Lubi dramatyzować akcję. Opowiadała mi, że komisarze polityczni walczyli na pierwszej linii. Twierdzi, że została poczęta na skalistej ziemi pod czerwonoarmijnym płaszczem. Co jest bzdurą. Komisarze chowali się na tyłach i nie brali bezpośredniego udziału w walce. Siedzieli w dowództwie i pisali broszury. Co jakiś czas odwiedzali okopy, ale nigdy wówczas, kiedy mogło im grozić jakieś niebezpieczeństwo.

— Skąd pan o tym wie?

— Wie pan skąd. Oczekiwaliśmy, że stoczymy z nimi wojnę lądową w Europie.

Oczekiwaliśmy, że ją wygramy. Przypuszczaliśmy, że weźmiemy miliony jeńców.

Żandarmeria była szkolona, żeby się tym wszystkim zająć. Jednostka sto dziesiąta miała kierować całą operacją. Może to były tylko pobożne życzenia, ale Pentagon traktował całą sprawę bardzo poważnie. O Armii Czerwonej wiedzieliśmy więcej niż o armii Stanów

Zjednoczonych. Z całą pewnością powiedziano nam, gdzie mamy szukać komisarzy. Mieliśmy wyraźny rozkaz natychmiast wszystkich zlikwidować.

- Jakiego typu dziennikarka?
  - Chyba telewizyjna. Lokalna ekipa, którą tu wynajęła, była związana z branżą telewizyjną. Oglądał pan kiedyś którąś ze wschodnioeuropejskich telewizji? Wszystkie prowadzące są kobietami i wszystkie wyglądają olśniewająco.
  - Z jakiego kraju?
  - Z Ukrainy.
  - W czym się specjalizuje?
  - W dziennikarstwie śledczym, historycznym, z naciskiem na ludzkie losy. Usłyszała pewnie historię tej starej i postanowiła zrobić na jej kanwie program.
  - Coś w rodzaju History Channel po rosyjsku.
  - Po ukraińsku — poprawiłem go.
  - Po co? Jakie ma być przesłanie? Chcą nas teraz upokorzyć? Po ponad ćwierćwieczu?
- 212
- Nie, moim zdaniem chcą upokorzyć Rosjan. Stosunki między Rosją i Ukrainą są ostatnio napięte. Moim zdaniem Ameryka jest dla nich zła z samej definicji. Chcą zasugerować, że wielka zła Moskwa nie powinna narażać na niebezpieczeństwo niewinnych Ukraińców.
- Więc dlaczego nie ujawnili jeszcze całej historii?
  - Bo są trochę niedzisiejsi. Czekają na potwierdzenie — odpowiedziałem. — Nadal mają chyba jakieś dziennikarskie skrupuły.
  - Zdobędą to potwierdzenie?
  - Od pana chyba nie. A nikt inny nie wie nic na pewno. Susan Mark nie dożyła chwili, w której mogłaby coś potwierdzić. Więc wieko się z powrotem zamknęło. Poradziłem im, żeby o wszystkim zapomniały i wracały do domu.
  - Dlaczego udają matkę i córkę?
  - Bo to się świetnie sprzedaje — odpowiedziałem. — Do wszystkich przemawia. Przypomina reality show. Albo historyjki publikowane w czasopiśmie, które sprzedają w supermarkecie. Najwyraźniej studiowali naszą kulturę.
  - Dlaczego tak długo z tym zwlekali?
  - Zbudowanie dojrzałego przemysłu telewizyjnego wymaga sporo czasu. Stracili go mnóstwo, walcząc poważne tematy.
- Sansom pokiwał bez przekonania głową.
- To nieprawda, że nikt nie wie nic na pewno — stwierdził. — Pan na przykład wie dość dużo.
  - Ale nie mam zamiaru nic mówić.
  - Mogę panu zaufać w tej kwestii?
  - Służyłem w wojsku trzynaście lat. Wiem o bardzo różnych rzeczach. Nie mówię o nich.
  - Nie podoba mi się łatwość, z jaką udało im się omotać Susan Mark. I nie podoba mi się, że nie wiedzieliśmy o niej od samego początku. Usłyszeliśmy o całej sprawie dopiero rankiem P° jej śmierci. To mi przypomina pułapkę. Zawsze byliśmy dwa kroki z tyłu.

Przyglądałem się fotografiom wiszącym za nim na ścianie.

213

Przedstawionym na nich ludziom. Ich sylwetkom, posturom, kształtom.

- Naprawdę? — zapytałem.
- Powinniśmy zostać poinformowani.
- Niech pan pogada z Pentagonem — poradziłem. — Iz tymi facetami z Watergate.

— Zrobię to — odparł Sansom, po czym umilkł, jakby oceniał na nowo sytuację, tym razem spokojniej i trochę wolniej, odchodząc od swojego stylu oficera liniowego. Wieko z powrotem się zamknęło. Przez chwilę analizował tę propozycję z wszelkich możliwych punktów widzenia, a potem wzruszył ramionami i spojrzął na mnie z zakłopotaniem.

— No i co pan teraz o mnie myśli? — zapytał.

— Czy to ważne?

— Jestem politykiem. To odruchowe pytanie.

— Myślę, że powinien pan ich zastrzelić.

— Nie mieliśmy broni z tłumikiem — odparł po chwili.

— Mieliście. Właśnie im ją odebraliście.

— Zasady prowadzenia walki.

— Mogliście je zignorować. Armia Czerwona nie miała tam na miejscu laboratorium kryminalistycznego. Nie mieliby pojęcia, kto ich załatwił.

— Więc co pan o mnie myśli?

— Myślę, że nie powinien pan ich przekazywać mudżahedi-nom. To było niepotrzebne. Taki miał być, swoją drogą, morał tej historii, w ukraińskiej telewizji. Chcieli posadzić pana obok tej staruchy i pozwolić, żeby zapytała pana dlaczego.

Sansom ponownie wzruszył ramionami.

— Żałuję, że mnie o to nie zapyta. Ponieważ tak naprawdę wcale ich nie przekazaliśmy. Puściliśmy ich wolno. To było wykalkulowane ryzyko. Stracili swój karabin. Wszyscy uznaliby, że zabrali im go mudżahedini. Co okryłoby ich hańbą. Nie ulegało wątpliwości, że panicznie bali się swoich dowódców i komisarzy politycznych. Staraliby się za wszelką cenę przekonać ich, że tak naprawdę to byli Amerykanie, nie Afgańczycy. To

214

byłby rodzaj usprawiedliwienia. Ale oficerowie i komisarze wiedzieli, jak wielki wzbudzają w nich lęk, więc prawda wyglądałaby na coś, co na oczekaniu zmyślili. Na żalosny wybieg. Nikt by im nie uwierzył. Dlatego uznałem, że można ich śmiało wypuścić. Prawda była na wyciągnięcie ręki, ale nikt by w nią nie uwierzył.

— Więc co się wydarzyło? — zapytałem.

— Zgaduję, że bali się chyba bardziej, niż sądziłem. Bali się wrócić do swoich.

Przypuszczalnie błakali się tak długo, aż znaleźli ich miejscowi. Grigorij Hoth ożenił się z komisarz polityczną. Bał się jej. To właśnie się wydarzyło. I to go zabiło.

Nie odezwałem się.

— Nie oczekuję jednak, że ktoś mi uwierzy — dodał Sansom.

Nic nie powiedziałem.

— Ma pan rację co do napięć między Rosją i Ukrainą — stwierdził. — Tyle że między nami i Rosją też są napięcia. W tym momencie całkiem spore. Jeżeli wyjdzie na jaw ta część historii, która wiąże się z Korengal, może się z tego zrobić duża afera. Coś w rodzaju ponownego wybuchu zimnej wojny. Z jedną małą różnicą. Sowieci byli na swój sposób przewidywalni.

Przeciwnie niż obecnie władcy Kremla.

•••

Siedzieliśmy potem przez dłuższy czas w milczeniu i w końcu zadzwonił telefon na biurku Sansoma. Telefonowała jego recepcjonistka. Słyszałem jej głos w słuchawce i zza drzwi. Wylizowała długą listę rzeczy, które wymagały pilnej uwagi.

— Muszę iść — powiedział Sansom, rozłączywszy się. — Wezwę gońca, żeby pana odprowadził — dodał, po czym wstał, okrążył biurko i wyszedł z gabinetu. Niczym niewinny człowiek, który nie ma nic do ukrycia. Zostawił mnie samego, siedzącego w fotelu przy otwartych drzwiach. Springfield też gdzieś wyszedł. W sekretariacie nie widziałem nikogo

poza siedzącą za biurkiem kobietą. Uśmiechnęła się do mnie. Ja uśmiechnąłem się do niej. Goniec się nie pojawiał.

215

Byliśmy zawsze dwa kroki z tyłu, powiedział Sansom. Odczekałem całą minutę i zacząłem się wiercić, jakbym nie mógł usiedzieć w miejscu. Po upływie odpowiednio długiej chwili wstałem z krzesła i splotłem dłonie za plecami niczym niewinny człowiek, który nie ma nic do ukrycia, czekający na kogoś w obcym miejscu. Podszedłem do ściany za biurkiem, jakby zaniósł mnie tam same nogi. Przyjrzałem się zdjęciom. Policzyłem twarze, które znałem. Było ich dwadzieścia cztery. Czterech prezydentów, dziewięciu innych polityków, pięciu sportowców, dwóch aktorów, Donald Rumsfeld, Saddam Husajn, Elspeth oraz Springfield. Plus ktoś jeszcze.

Znałem również dwudziestą piątą twarz.

Na wszystkich zdjęciach zrobionych z okazji wygranych wyborów Sansomowi towarzyszył facet, który uśmiechał się szeroko, jakby płał w blasku dobrze wykonanej pracy, jakby niezbyt skromnie wskazywał na swój udział w odniesionym sukcesie. Strateg. Taktyk. Szara eminencja. Facet, który pociąga za sznurki.

Najprawdopodobniej szef jego sztabu wyborczego.

Był mniej więcej w moim wieku. Na wszystkich zdjęciach był obsypany konfetti, oplątany girlandami, zanurzony po kolana w balonikach i uśmiechał się jak krety, ale miał zimne oczy. Widać w nich było spryt i wyrachowanie.

Przypominały mi oczy futbolisty.

Domyśliłem się, dlaczego Springfield zabrał mnie do kafeterii.

Domyśliłem się, kto siedział przede mną w fotelu w gabinecie Sansoma.

Byliśmy zawsze dwa kroki z tyłu.

Kłamca.

Znałem szefa sztabu wyborczego Sansoma.

Widziałem go już wcześniej.

Widziałem go w płóciennych spodniach i golfowej koszulce w nocnym metrze linii numer sześć w Nowym Jorku.

40

Przyjrzałem się jeszcze raz bardzo uważnie zdjęciom, na których świętowano zwycięstwo. Facet z metra był na wszystkich. W różnych miejscach, w różnym czasie, przy okazji różnych sukcesów, ale zawsze ten sam, zawsze po prawej stronie Sansoma. A potem do gabinetu wpadł goniec i dwie minuty później znalazłem się na Independence Avenue. Czternaście minut później byłem z powrotem na dworcu i czekałem na następny pociąg do Nowego Jorku. Pięćdziesiąt osiem minut później siedziałem w nim wygodnie i wyjeżdżałem z Waszyngtonu, patrząc przez okno na zaniebane tereny kolejowe. Daleko po lewej stronie grupa robotników w kaskach i pomarańczowych kamizelkach odblaskowych pracowała przy torach. Kamizelki lśniły w smogu. Do sztucznego włókna musiano dodać drobne okruchy odblaskowego szkła. Bezpieczeństwo dzięki zaawansowanej technologii. Kamizelki były nie tylko dobrze widoczne. Zwracały uwagę. Przyciągały wzrok. Obserwowałem robotników do chwili, kiedy zmienili się w małe pomarańczowe kropki, i później też, aż przestali być widoczni, co najmniej milę dalej. I w tym momencie miałem wszystko, co było mi potrzebne do szczęścia. Wiedziałem wszystko, co trzeba było wiedzieć. Nie wiedziałem tylko, że to wiem. Jeszcze nie.

217

Pociąg wjechał na Penn Station i zjadłem późną kolację w tym samym miejscu, w którym jadłem śniadanie. Następnie udałem się do czternastego posterunku przy Zachodniej Trzydziestej Piątej. Nocna zmiana dopiero się zaczęła. Theresa Lee i jej partner Docherty już tam byli. W sali odpraw panowała cisza, jakby wyssano z niej całe powietrze. Jakby stało się

coś złego. Ale nikt nie miotał się między biurkami. Dlatego wywnioskowałem, że coś złego stało się gdzieś indziej.

Recepcjonistka przy wejściu widziała mnie już wcześniej. Obróciła się na obrotowym krześle i spojrzała na Lee, która zrobiła minę sugerującą, że jest jej dokładnie obojętne, czy zamieni ze mną parę słów, czy też to sobie odpuści. W związku z czym recepcjonistka odwróciła się do mnie z miną sugerującą, że sam muszę zdecydować, czy odejść, czy zostać. Pchnąłem z piskiem zawiasów drzwiczki i omijając biurka, podszedłem do nich. Docherty rozmawiał przez telefon, głównie słuchając. Theresa Lee podniosła wzrok, kiedy się zbliżyłem.

— Nie jestem w nastroju — powiedziała.

— Na co?

— Na Susan Mark.

— Macie coś nowego?

— Kompletnie nic.

— Żadnych wiadomości na temat chłopaka?

— Strasznie się pan nim przejmuje.

— A pani nie?

— Ani trochę.

— Sprawa nadal jest zamknięta?

— Na siedem spustów.

— W porządku — mruknąłem.

Przez chwilę milczała, a potem westchnęła.

— Co pan ma?

— Wiem, kim był piąty pasażer.

— Było tylko czterech pasażerów.

— A ziemia jest płaska i księżyc to kawałek sera.

218

— Czy ten rzekomy piąty pasażer popełnił jakieś przestępstwo między Trzydziestą i Czterdziestą Piątą Ulicą?

— Nie — odparłem.

— W takim razie sprawa jest nadal zamknięta.

Docherty odłożył słuchawkę i spojrzał w wymowny sposób

na swoją partnerkę. Wiedziałem, co oznacza to spojrzenie. Byłem kimś w rodzaju gliniarza przez trzynaście lat i wiele razy je widywałem. Oznaczało, że ktoś inny będzie teraz prowadził ważne śledztwo, a Docherty w zasadzie się cieszy, że go to ominęło, jednocześnie jednak temu komuś zazdrości, ponieważ pozycja w samym oku cyklonu, choć przykra, jest prawdopodobnie o niebo lepsza niż oglądanie wszystkiego zza linii bocznej.

— Co się stało? — zapytałem.

— W siedemnastym posterunku mają wielokrotne morderstwo — powiedziała Lee. — Paskudne. Czterech facetów pobitych na śmierć pod estakadą FDR Drive.

— Młotkami — dodał Docherty. — Kupionymi dopiero co w sklepie Home Depot przy Dwudziestej Trzeciej. Sprawcy pozostawili je na miejscu zbrodni. Pod krwią nadal są na nich nalepki z cenami.

— Co to za czterej faceci? — zapytałem.

— Nikt nie wie — odparł Docherty. — Chyba w tym właśnie celu użyto młotków.

Twarze mają rozbite na miazgę, zęby powybijane, opuszki palców zgniecione.

— Starzy, młodzi, czarni, biali?

— Biali i niezbyt starzy. Ubrani w garnitury. Żadnych tropów oprócz tego, że w kieszeniach mieli fałszywe wizytówki z nazwą firmy, która nie jest zarejestrowana nigdzie w stanie Nowy Jork, i numerem telefonu, który jest na stałe odłączony, ponieważ należy do wytwórni filmowej.

W tym samym momencie zadzwonił telefon na biurku Do-cherty'ego. Policjant odebrał go i znowu zaczął słuchać. Dzwonił pewnie znajomy z siedemnastego posterunku z kolejnymi szczegółami.

- Teraz będzie pani musiała otworzyć tę sprawę — powiedziałem do Lee.
- A to dlaczego? — zapytała.
- Ponieważ ci faceci to miejscowi detektywi, których wynajęła Lila Hoth.
- Jest pan jasnowiedzem?
- Dwa razy się z nimi spotkałem.
- Spotkał się pan dwa razy z jakąś ekipą. Nic nie wskazuje na to, że to ci sami faceci.
- Dali mi jedną z tych fałszywych wizytówek.
- Wszyscy oni używają fałszywych wizytówek.
- Z takimi samymi numerami telefonów?
- Można je dostać tylko w branży filmowej i telewizyjnej.
- To byli eksgliniarze. To nic dla pani nie znaczy?
- Obchodzą mnie gliniarze, nie eksgliniarze.
- Wymienili nazwisko Hoth.
- Nie, jacyś detektywi wymienili jej nazwisko. To wcale nie znaczy, że zrobili to ci martwi faceci.

220

- Myśli pani, że to zbieg okoliczności?
- Mogli pracować dla kogokolwiek.
- Na przykład dla kogo?
- Dla kogokolwiek na całym wielkim świecie. Jesteśmy w Nowym Jorku. Roi się tutaj od prywatnych detektywów. Krążą całymi stadami. Wszyscy wyglądają tak samo i wszyscy robią to samo.
- Wymienili również nazwisko Sansom. Właściwie od nich pierwszych je usłyszałem.
- W takim razie może to on ich wynajął, nie Lila. Czy to było dla niego aż tak ważne, żeby przysyłać tu swoich ludzi?
- W tym wagonie metra miał szefa swojego sztabu wyborczego. To on był piątym pasażerem.
- No proszę.
- Nie zamierza pani nic z tym zrobić?
- Poinformuję o tym siedemnasty posterunek.
- Nie otwiera pani na nowo sprawy?
- Nie, dopóki nie dowiem się o przestępstwie popełnionym po mojej stronie Park Avenue.
- Jadę do hotelu Four Seasons — powiedziałem.

•••

Było późno i znalazłem taksówkę dopiero przy Szóstej Alei. Do hotelu dojechałem dość szybko. W holu panowała cisza. Wszedłem do środka, jakbym miał prawo tam przebywać, i wjechałem windą na piętro Lili Hoth. Przeszedłem kilkanaście kroków cichym korytarzem i zatrzymałem się przed jej apartamentem.

Drzwi nie były domknięte.

Wysunięta zasuwka opierała się dociśnięta sprężyną zamykacza. Odczekałem jeszcze sekundę i zapukałem.

Żadnej odpowiedzi.

Pchnąłem drzwi i poczułem, że mechanizm zamykacza stawia °Pór. Otworzyłem je pod kątem czterdziestu pięciu stopni i przytrzymując rozpostartą ręką, przez chwilę nasłuchiwałem.

Ze środka nie dobiegały żadne dźwięki.

Otworzyłem drzwi do końca i wszedłem do środka. Salon pogrążony był w półmroku. Nie paliły się żadne światła, ale zasłony były odsunięte i we wpadającym przez okna blasku ulicznych latarni mogłem stwierdzić, że pokój jest pusty. Pusty w znaczeniu, że nikogo w nim nie było. I pusty w znaczeniu, że goście się wymeldowali. W rogach nie stały torby z zakupami, nigdzie nie dostrzegłem starannie ułożonych albo porzuconych w nieładzie rzeczy osobistych, żadnych płaszczy na krzesłach, żadnych butów na podłodze. W ogóle żadnego śladu życia.

Sypialnie wyglądały tak samo. Łóżka były posłane, ale zostały na nich wgłębienia i zagniecenia odpowiadające kształtem walizkom. Szafy opróżniono. W łazienkach leżały zużyte ręczniki. Kabiny prysznicowe były suche. Poczuliem w powietrzu niewyraźny zapach perfum Liii Hoth, ale nic poza tym.

Sprawdziłem jeszcze raz wszystkie trzy pokoje i wyszedłem na korytarz. Drzwi zamknęły się za mną same. Usłyszałem, jak sprężyna w zamykaczu wykonuje swoje zadanie, a język zasuwki uderza o framugę, metal uderza o drewno. Podeszedłem do windy, wcisnąłem przycisk i drzwi natychmiast się otworzyły. Kabina na mnie czekała. Nocny tryb. Chodzi o to, żeby winda nie jeździła niepotrzebnie na pusto. Niepotrzebnie nie hałasowała. Zjechałem na parter i podeszedłem do recepcji. Nocny dyżur pełniła cała ekipa. Nie tyle osób co w ciągu dnia, ale o wiele za dużo, żeby mogła się udać sztuczka za pięćdziesiąt dolarów. Four Seasons nie należał do tego rodzaju hoteli. Facet podniósł wzrok znad monitora i zapytał, czym może służyć. Spytałem, kiedy dokładnie wymeldowały się panie Hoth.

— Kto, proszę pana? — zapytał. Mówił cicho i spokojnie, jakby bał się obudzić mieszkających nad nim gości.

— Lila i Swietłana Hoth — odparłem.

Facet zrobił taką minę, jakby nie wiedział, o czym mówię, po czym popatrzył z powrotem na ekran monitora. Postukał w klawiaturę, przewinął obraz w górę i w dół i ponownie postukał w klawiaturę.

222

— Przykro mi, proszę pana, ale nie mieliśmy żadnych gości

o tym nazwisku — powiedział.

Podaliśmy mu numer apartamentu. Facet ponownie nacisnął kilka klawiszy i na jego twarzy ukazało się zdziwienie.

— Ten apartament nie był w ogóle zajęty w tym tygodniu — oznajmił. — Jest bardzo drogi i niełatwo go wynająć.

Jeszcze raz sprawdziłem w pamięci numer apartamentu.

— Byłem tam wczoraj wieczorem — powiedziałem. — Był wtedy zajęty. Dzisiaj spotkałem się w herbaciarni z zajmującymi go paniami. Na rachunku jest podpis.

Facet spróbował ponownie. Sprawdził rachunki, którymi obciążono konta gości i przekreślił monitor tak, żebym ja też mógł spojrzeć na ekran, w geście, którego urzędnicy używają czasami, kiedy chcą cię o czymś przekonać. Zamówiliśmy dwie herbaty

1 jedną kawę. Nie było śladu po takim rachunku.

W tym momencie usłyszałem za sobą jakieś dźwięki. Skrzypienie obcasów na dywanie, wstrzymywane oddechy, szelest ubrania. I metaliczne kliknięcie. Odwróciłem się i zobaczyłem stojących za mną w idealnym półkolu siedmiu mężczyzn. Czterej byli umundurowanymi nowojorskimi policjantami. Trzej agentami federalnymi, z którymi się wcześniej spotkałem.

Gliniarze mieli samopowtarzalne strzelby.

Agenci mieli coś innego.



Siedmiu mężczyzn. Siedem sztuk broni. Śrutówki, które trzymali policjanci, były marki Franchi. Model SPAS-12, produkcji włoskiej. Nie należały chyba do standardowego wyposażenia nowojorskiej policji. SPAS-12 to futurystyczna, groźnie wyglądająca gładkolufowa broń kalibru 12 z pistoletowym uchwytem i składaną kolbą. Ma wiele zalet. I dwie wady. Pierwsza to wysoka cena, ale najwyraźniej jakaś wchodząca w skład nowojorskiej policji wyspecjalizowana jednostka z radością pokryła koszty. Drugą wadą jest półautomatyczny mechanizm. Uważa się, że w potężnych strzelbach nie można na nim do końca polegać. Ktoś, kto musi oddać strzał i samemu przy tym nie zginąć, może się tym niepokoić. Usterki mechaniczne się zdarzają. Nie zamierzałem jednak liczyć, że równocześnie dojdzie do czterech usterek mechanicznych. Z tego samego powodu nie kupuję losów na loterię. Optymizm jest w porządku. Ślepa wiara nie.

Dwaj federalni trzymali w dłoniach glocki 17. Dziewięć-milimetrowe automatyczne pistolety z Austrii, kanciaste i solidne, świetnie sprawdzone w ciągu ponad dwudziestu lat służby. Osobiście mam większą słabość do beretty produkowanej podobnie jak franchi we Włoszech, ale w dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na tysiąc glock powinien spełnić swoje zadanie równie dobrze jak beretta.

224

W tym momencie jego zadaniem było sprawienie, żebym stał bez ruchu, szykując się na główną atrakcję.

Szef federalnych stał w samym środku półokręgu. Miał trzech facetów po prawej i trzech facetów po lewej stronie. Trzymał broń, którą widziałem wcześniej wyłącznie w telewizji. Dobrze to zapamiętałem. Oglądałem kablówkę w motelowym pokoju we Florence w stanie Teksas. Nie Military Channel, ale National Geographic Channel. Program o Afryce. Nie o wojnach domowych, nieszczęściach, chorobach i głodzie. To był film o dzikiej przyrodzie. O gorylach, nie o guerilli. Kilku badaczy tropiło dorosłego srebrnogrzbietego samca. Chcieli umieścić mu w uchu mininadajnik radiowy. Zwierzę ważyło prawie pięćset funtów. Powalili je, strzelając do niego z pistoletu ze środkiem usypiającym.

Z takiej właśnie broni celował do mnie szef federalnych.

Z pistoletu ze środkiem usypiającym.

Ludziom z National Geographic szalenie zależało, by przekonać widzów, że ich postępowanie jest humanitarne. Pokazali szczegółowe diagramy i symulacje komputerowe. Pocisk miał kształt małego stożka z trzonkiem z chirurgicznej stali. Na samym czubku znajdowała się wypełniona środkiem usypiającym sterylna ceramiczna końcówka w formie plastra miodu. Odpalany z wysoką szybkością pocisk wbijał się na głębokość pół cala w ciało goryla. I zatrzymywał się. Czubek chciał lecieć dalej. Zasada zachowania pędu. Mechanika Newtona. Ceramiczna końcówka wybuchła pod wpływem wstrząsu i inercji i środek usypiający zawarty w plastrze miodu wydostawał się na zewnątrz, nie do końca w formie kropelek i nie do końca w formie aerozolu. Coś w rodzaju gęstej mgły rozprzestrzeniało się pod skórą, nawilżając tkanki w ten sam sposób, w jaki kropla kawy zwilża kuchenny Papier. Sam pistolet służył do oddania jednego strzału. Potem trzeba było załadować kolejną strzałkę i małą buteleczkę sprężonego gazu, który ją odpalał. Z tego, co pamiętałem, azotu. Ładowanie wymagało wiele zachodu. Lepiej było trafić za pierwszym razem.

225

Badacze na filmie trafili za pierwszym razem. Goryl był zamroczony po ośmiu sekundach, zasnął po dwudziestu. Po dziesięciu godzinach obudził się w doskonałym zdrowiu.

Ale ważył dwa razy tyle co ja.

Za sobą miałem stanowisko recepcji hotelowej. Czuję je za plecami. Miało szeroki na czternaście cali blat na wysokości mniej więcej czterdziestu dwóch cali nad podłogą. Takiej samej jak kontuar w barze. Gość mógł położyć na nim swoje dokumenty. Mógł na nim złożyć podpis. Niżej, na wysokości typowego biurka, był blat recepcjonisty. Szeroki na jakieś

trzydzieści cali. A może więcej. Nie wiedziałem. Tak czy owak całość stanowiła trudną do przeskoczenia przeszkodę. Zwłaszcza że nie mogłem wziąć rozbiegu i byłem do niej odwrócony tyłem. Zresztą nie miało to większego sensu. Po przeskoczeniu kontuaru nie znalazłbym się w innym pomieszczeniu. Znalazłbym się w tym samym miejscu, tyle że za zasłoną, a nie przed nią. Nic bym nie zyskał, a mógłbym wiele stracić, gdybym wylądował na obrotowym krześle albo zaplątał się w kabel telefonu.

Obejrzałem się do tyłu. Nikogo z mną nie było. Ludzie pracujący w recepcji przesunęli się na lewo i prawo. Zostali uprzedzeni. Może nawet to z nimi przećwiczono. Siedmiu mężczyzn przede mną miało czyste pole strzału.

Nie mogłem uciec do przodu, nie mogłem się cofnąć.

Stałem nieruchomo.

Szef federalnych obniżył lufę pistoletu i wycelował dokładnie w moje lewe udo, które stanowiło względnie duży cel. Żadnego tłuszczu pod skórą. Wyłącznie twarde mięśnie, pełne naczyń włoskowatych i innych elementów układu krwionośnego, które zapewniają szybkie i skuteczne krążenie. Zupełnie niechronione, z wyjątkiem nowych niebieskich spodni z cienkiej letniej bawełny. Niech pan nie przychodzi tak ubrany, bo pana nie wpuszczą. Napiąłem mięśnie, jakby dzięki temu ta cholerna strzałka mogła się ode mnie odbić. Po chwili je rozluźniłem. Napięcie mięśni nie pomogło gorylowi, nie pomoże i mnie. Za siedmioma mężczyznami zobaczyłem czekającą w półmroku ekipę pielęgniarzy.

226

Mieli na sobie mundury straży pożarnej. Trzej mężczyźni, jedna kobieta. Stali i czekali.

Trzymali w pogotowiu wózek z noszami.

Kiedy wszystko zawiodło, zacznij mówić.

— Jeśli macie panowie kolejne pytania, z miłą chęcią zasiądę do rozmowy — powiedziałem.

— Możemy zamówić kawę, zrobić to w cywilizowany sposób. Bezkofeinową, jeśli wolicie.

Bo jest późno. Na pewno mają tu świeżą. Jesteśmy w końcu w Four Seasons.

Szef federalnych nie odpowiedział. Zamiast tego strzelił. Z pistoletu ze środkiem usypiającym, z odległości jakichś ośmiu stóp, prosto w moje umięśnione udo. Usłyszałem huk sprężonego gazu i poczułem ból w nodze. Nie ukłucie. Tępy pulsujący ból jak po dźgnięciu nożem. Pomyślałem, że na miejscu goryla powiedziałbym tym cholernym badaczom, by zostali w domu i zostawili moje uszy w spokoju.

Szef federalnych opuścił pistolet.

Przez sekundę nic się nie działo. A potem poczułem, jak serce zaczyna mi bić szybciej, a ciśnienie krwi rośnie i opada. Usłyszałem szum w uszach, jak po chińskim żarciu przed dwudziestu laty. Spojrzałem w dół. Pierzasta końcówka strzałki tkwiła w moich spodniach. Wyciągnąłem ją. Trzonek był umazany krwią. Ale ceramiczny czubek zniknął. Rozpadł się w pył. Zawarta w nim substancja krążyła już w moich żyłach i spełniała swoje zadanie. Wielka kropla krwi wyciekła z rany i wsiąkła w materiał spodni, sunąc wzdłuż wątku i osnowy niczym mapa rozprzestrzeniającej się po mieście epidemii. Serce biło mi jak młot. Czułem płynącą tętnicami krew. Chciałem ją zatrzymać, co było praktycznie niewykonalne. Oparłem się o kontuar. Jak mi się wydawało, tylko na chwilę. Żeby się odprężyć. Miałem wrażenie, że siedmiu stojących przede mną mężczyzn przesunęło się lekko w bok. Tak jakby nie chcieli dopuścić do wyautowania pałkarza. Nie byłem pewien, czy to oni się poruszyli, czy ja poruszyłem głowę. A może poruszyła się cała sala. Z pewnością można było zaobserwować sporo szybkich rotacji. Krawędź blatu uderzyła mnie w ramię. Albo to ona się podnosiła, albo ja się

227

osuwalem. Cofnąłem ręce i oparłem je płasko o blat. Próbowałem go przytrzymać. Albo przytrzymać siebie. Bez skutku. Krawędź walnęła mnie w głowę. Zegar w mojej głowie nie funkcjonował prawidłowo. Próbowałem liczyć sekundy. Chciałem dotrzeć do dziewięciu.

Pokonać srebrnogrzbietego goryla. Ostatnie strzępy dumy. Nie byłem pewien, czy mi się to udało.

Uderzyłem tyłkiem o podłogę. Przestałem dobrze widzieć. Obraz przed moimi oczyma nie pociemniał ani się nie zatarł. Zamiast tego rozjaśnił się i zobaczyłem wirujące srebrne kształty, które przelatowały poziomo z prawej strony na lewą. Jakbym siedział na karuzeli kręcącej się tysiąc razy za szybko. A potem zaczęły mi się śnić zwariowane rzeczy, niesamowite, zapierające dech i jaskrawe. Pełne przygód i koloru. Później uświadomiłem sobie, że początek snów można uznać za moment, kiedy leżąc w holu hotelu Four Seasons, oficjalnie straciłem przytomność.

43

Nie wiem dokładnie, kiedy się obudziłem. Zegar w mojej głowie nie funkcjonował prawidłowo. W końcu jednak się ocknąłem. Leżałem na łóżku. Nadgarstki i nogi w kostkach miałem przymocowane plastikowymi kajdankami do jego ramy. Byłem nadal ubrany, zdjęto mi tylko buty. Lekko rozkojarzony usłyszałem w głowie głos mojego brata. Zdanie, które lubił powtarzać, kiedy był dzieckiem. „Zanim zaczniesz kogoś krytykować, powinieneś przejść milę w jego butach. Wtedy krytykując go, będziesz go wyprzedzał o milę, a on będzie musiał biec za tobą w samych skarpetkach”. Poruszyłem palcami stóp, a potem biodrami. Poczułem, że mam puste kieszenie. Zabrali mi moje rzeczy. Pewnie spisali je wszystkie i zapakowali do worka.

Zadarłem lekko głowę i przesunąłem podbródkiem po koszuli. Zarost był trochę większy, niż pamiętałam. Oceniałem go mniej więcej na osiem godzin. Goryl na kanale National Geographic kimał przez dziesięć. Jeden zero dla Reachera, tyle że dali mi pewnie mniejszą dawkę. Taką miałem przynajmniej nadzieję. Wielki przedstawiciel rządu naczelnych runął na ziemię jak kłoda.

Uniosłem ponownie głowę i rozejrzałem się dokoła. Byłem w celi, która znajdowała się w większym pomieszczeniu. Żadnych okien. Jaskrawe elektryczne światło. Nowa konstrukcja w starej

229

konstrukcji. W dużej starej sali z ceglаныmi ścianami stały w rządzie trzy klatki z nowej, lśniącej, zgrzewanej punktowo stali. Sześciennie cele miały bok długości mniej więcej ośmiu stóp. Na górze były takie same prąty jak po bokach. Na dole stalowa płyta, wygięta w górę przy krawędziach, tak że tworzyła coś w rodzaju głębokiej na cal tacy. Prawdopodobnie po to, żeby na zewnątrz nie wydostały się rozlane płyny. W celach mogą się rozlać najróżniejsze płyny. Brzeg tacy przyspawany był do poziomego drążka, który obiegał dokoła wszystkie pionowe pręty. W płycie nie było śrub. Cel nie przymocowano do podłogi. Po prostu tam stały, trzy struktury ustawione w wielkim starym pomieszczeniu.

Sala miała wysokie beczkowate sklepienie. Wszystkie cegły pomalowano niedawno na białe, ale sprawiały wrażenie skruszałych i sfatygowanych. Są ludzie, którzy po samych rozmiarach cegieł i po wzorze, w jakim je ułożono, potrafią poznać, gdzie dokładnie stoi wzniesiony z nich budynek i kiedy go zbudowano. Nie należę do nich, ale miałem wrażenie, że znajdujemy się na Wschodnim Wybrzeżu. Dziewiętnasty wiek, ręcznie kładziona cegła. Imigranci wykonujący szybko brudną robotę. Byłem prawdopodobnie nadal w Nowym Jorku. I prawdopodobnie pod ziemią. Miejsce przypominało piwnicę. Nie było wilgotne ani chłodne, ale miało stałą temperaturę i wilgotność ze względu na położenie poniżej poziomu ulicy. Zamknęli mnie w środkowej z trzech cel. Miałem pryczę, do której byłem przywiązany, oraz toaletę. To wszystko. Nic więcej. Toaleta było odgradzona wysokim murem na trzy stopy, trzyczęściowym parawanem w kształcie litery U. Na rezerwuarze było zagłębienie tworzące zlewozmywak. Widziałem kran. Tylko jeden. Wyłącznie z zimną wodą. Dwie pozostałe klatki wyglądały tak samo. Prycze, toalety, nic poza tym. Z każdej prowadziły na zewnątrz wąskie rowki wykute niedawno w posadzce i następnie zacementowane.

Domyśliłem się, że biegną nimi rury kanalizacyjne podłączone do toalet i rury doprowadzające wodę do kranów.

Dwie pozostałe klatki były puste. Nie miałem towarzystwa.

230

W drugim końcu pomieszczenia wisiała pod samym sufitem kamera. Paciorkowate szklane oko. Chyba z szerokokątnym obiektywem, żeby objąć całą salę. Zajrzeć do wszystkich trzech cel. Zgadywałem, że zamontowano również mikrofony. Na pewno kilka, niektóre całkiem blisko. Elektroniczny podsłuch nie jest rzeczą łatwą. Ważna jest czystość dźwięku. Pogłos może wszystko zepsuć.

Bolała mnie trochę lewa noga. Miałem ranę kłutą i siniak dokładnie tam, gdzie trafiła mnie strzałka. Krew na spodniach zaschła. Nie było jej wiele. Przetestowałem wytrzymałość kajdanek na nadgarstkach i kostkach. Nie do zerwania. Przez pół minuty szarpałem się i wierzyłem nogami. Nie próbowałem się uwolnić. Sprawdzałem tylko, czy nie zemdleję ponownie z wysiłku, i chciałem zwrócić na siebie uwagę osoby, która obserwowała mnie przez kamerę i podsłuchiwała za pośrednictwem mikrofonów.

Nie zemdlałem ponownie. Rozbolała mnie tylko trochę głowa. Wysilek nie uśmierzył też bolesnego pulsowania w nodze. Z wyjątkiem tych drobnych symptomów czułem się jednak całkiem dobrze. Reakcja na moje zachowanie nastąpiła po przeszło minucie i przybrała kształt faceta ze strzykawką, którego nie widziałem nigdy wcześniej. Jakiś laborant medyczny. W drugiej dłoni trzymał zwilżoną watkę, którą miał zamiar przetrzeć mi rękę w łokciu.

Zatrzymał się przed celą i spojrzał na mnie przez kraty.

— Czy to śmiertelna dawka? — zapytałem go.

— Nie.

— Czy ma pan prawo podać mi śmiertelną dawkę?

— Nie.

— W takim razie niech pan się cofnie. Ponieważ niezależnie od tego, ile razy mnie pan postrzeli, zawsze się potem obudzę. I za którymś razem mam zamiar pana dorwać. Albo każę panu zjeść to draństwo, albo wsadzę je panu w tyłek i zrobię zastrzyk od środka.

— To środek przeciwbólowy — powiedział facet. — Analgetyk. Na pańską nogę.

231

— Z moją nogą jest wszystko w porządku.

— Na pewno?

— Niech pan się po prostu cofnie — powiedziałem i zrobił to.

Wyszedł przez masywne drewniane drzwi w gotyckim stylu pomalowane na taki sam biały kolor jak ściany. Widziałem wcześniej takie drzwi w starych publicznych budynkach. W średniejskich szkołach i posterunkach policji.

Położyłem z powrotem głowę na łóżko. Nie miałem poduszki. Spojrzałem na kraty na górze i próbowałem się zaaklimatyzować. Niespełna minutę później przez drewniane drzwi weszli jednak dwaj ludzie, których znałem. Dwaj z trzech agentów federalnych. Dwaj boczni napastnicy, bez rozgrywającego. Jeden miał włoską śrutówkę, odbezpieczoną i gotową do strzału. Drugi jakieś narzędzie oraz kilka cienkich łańcuchów przewieszonych przez rękę. Facet ze strzelbą podszedł bliżej, wsunął lufę między pręty i wbił mi ją w szyję. Facet z łańcuchami otworzył drzwi celi. Nie kluczem, ale przekręcając w lewo i w prawo tarczę kombinacji szyfrowej. Narzędzie, które trzymał w ręku, było podobne do kombinerek, z ostrzami zamiast uchwytów. Coś w rodzaju nożyc. Zobaczył, że im się przyglądam, uśmiechnął się i pochylił nad moją pierś. Lufa śrutówki wbiła mi się mocniej w szyję. Dobry środek ostrożności. Nawet ze skrępowanymi rękoma mogłem unieść głowę i strzelić z byka faceta z nożycami. Nie byłoby to być może moje najmocniejsze uderzenie, ale wyginając mocno kark, zdołałbym go uśpić na dłużej, niż sam byłem uśpiony. Na dłużej, niż

naukowcom udało się uśpić srebrno-grzbietego goryla. I tak już bolała mnie głowa. Kolejne uderzenie chybaby jej nie zaszkodziło.

Jednak lufa franchi wbijała mi się mocno w kark i zostałem zredukowany do roli widza. Facet z łańcuchami rozplątał je i ułożył w odpowiednich miejscach, jakby robił przymiarę.

Pierwszym zamierzał mi przymocować nadgarstki do pasa, drugim skuć nogi w kostkach, a trzecim połączyć pierwszy i drugi. Standardowe więzienne zabezpieczenia. Skrepowany mogłem dreptać drobnymi kroczkami i unieść ręce najwyżej do

232

bioder. Facet zapiął wszystkie łańcuchy, sprawdził je, po czym przeciął swoim narzędziem plastikowe kajdanki. Następnie wyszedł z celi, zostawiając otwarte drzwi, a jego partner odsunął ode mnie lufę strzelby.

Domyśliłem się, że mam teraz wstać z łóżka i wyjść, w związku z czym nie ruszyłem się z miejsca. Nie można dawać przeciwnikowi zbyt wiele satysfakcji. Trzeba ją odmierzać powoli i skapo. Dzięki temu twoi przeciwnicy będą podświadomie wdzięczni za każde drobne ustępstwo. Dzięki temu w ciągu całego dnia możesz ponieść dziesięć małych klęsk zamiast dziesięciu dużych.

Dwaj federalni odebrali jednak to samo wyszkolenie co ja. To było jasne. Nie stanęli tam w miejscu, biedni i sfrustrowani. Po prostu odwrócili się i wyszli.

— Jeśli masz ochotę na kawę i bułki, są tam! — zawołał przez ramię ten, który założył mi łańcuchy, w wyniku czego piłka znalazła się ponownie po mojej stronie boiska, dokładnie tak, jak zaplanowali. Czekając całą godzinę, a potem wpadając do sąsiedniego pomieszczenia i opychając się desperacko, nie zachowałbym się z klasą. Okazałbym publicznie, że pokonało mnie własne pragnienie i głód. Zachowałbym się kompletnie bez klasy. Oczekałem więc dla przyzwoitości krótką chwilę, po czym powłócząc nogami, wyszedłem z klatki.

•••

Za drewnianymi drzwiami była sala mniej więcej tej samej wielkości i kształtu co ta, w której stały klatki. Ta sama cegła, tego samego koloru farba. Ani jednego okna. Pośrodku duży drewniany stół. Po jego drugiej stronie stały trzy krzesła, na których siedzieli trzej federalni. Po mojej stronie jedno puste krzesło. Czekające na mnie. Na stole leżały poukładane elegancko moje rzeczy. Mój zwitek banknotów rozłożony i przyciśnięty do blatu kilkoma monetami. Mój stary paszport. Moja karta ban-komatowa. Moja szczoteczka do zębów. Moja karta miejska. Wizytówka Theresy Lee z nowojorskiej policji, którą dała mi w wykładanym białymi kafelkami pomieszczeniu pod dworcem

233

Grand Central. Fałszywa wizytówka, którą zatrudnieni przez Lilę Hoth miejscowi detektywi dali mi na rogu Ósmej Alei i Trzydziestej Piątej Ulicy. Pendrive z różową nasadką, który kupiłem w sklepie Radio Shack, oraz otwierany na klapkę komórkowy telefon Leonida. Dziewięć oddzielnych przedmiotów, każdy z nich oświetlony jaskrawym blaskiem wiszących pod sufitem żarówek.

Na lewo od stołu znajdowały się kolejne drzwi. W tym samym gotyckim stylu, z podobnego drewna, pomalowane podobną świeżą farbą. Domyśliłem się, że prowadzą do kolejnego pomieszczenia, trzeciego z trzech w przypominającej literę L amfiladzie. Względnie pierwszego z trzech, w zależności od punktu widzenia. W zależności od tego, czy było się jeńcem czy strażnikiem. Na prawo stała niska komoda wyglądająca, jakby kupiono ją do sypialni. Na niej serwetki, styropianowe kubki, stalowy termos oraz tekturowy talerzyk z dwiema jagodziankami. Podreptałem tam w skarpetkach i nalałem sobie kawy z termosu. Poszło mi to lepiej, niż się spodziewałem, ponieważ komoda była niska. Trzymając kubek nisko w obu rękach, podszedłem do stołu i usiadłem na pustym krześle. Pochyliłem się i

wypiłem łyk. Zgodnie z tym co zaplanowano, wyglądało to, jakbym się poddawał. Albo nisko się kłaniał, zdawał się na ich łaskę. Kawa była paskudna i zaledwie letnia.

Starszy agent położył zwiniętą dłoń przy moich pieniądzach, jakby zastanawiał się, czy wziąć je do ręki. Po chwili potrząsnął głową, jakby pieniądze były dla niego zbyt prozaicznym tematem. Zbyt banalnym. Przesunął dłoń dalej i zatrzymał ją przy moim paszporcie.

— Dlaczego jego ważność wygasła? — zapytał.

— Bo nie da się zatrzymać czasu w miejscu — odparłem.

— Miałem na myśli, dlaczego pan go nie odnowił?

— Nie było pilnej potrzeby. Pan też pewnie nie nosi kondoma w portfelu.

Facet przez chwilę milczał.

— Kiedy pan ostatnio wyjeżdżał z kraju? — zapytał.

234

— Mogłem usiąść i z wami porozmawiać — powiedziałem. — Nie musieliście wbijać mi w nogę strzałki, jakbym uciekł z zoo.

— Wielokrotnie pana ostrzegano. I był pan wyjątkowo mało skłonny do współpracy.

— Mógł mi pan wybić oko.

— Ale nie zrobiłem tego. Nic się panu nie stało.

— Nadal nie zobaczyłem pańskiej legitymacji. Nie znam nawet pańskiego nazwiska.

Facet nie odpowiedział.

— Bez legitymacji, bez nazwisk, bez odczytania mi moich praw, bez zarzutów i bez adwokata — stwierdziłem. — Nowy wspaniały świat, prawda?

— Jak pan widzi.

— Powodzenia w jego budowaniu — rzekłem i zerknąłem na swój paszport, jakbym sobie nagle coś przypomniał. Podniosłem ręce tak wysoko, jak mogłem, i pochyliłem się do przodu. Odsunąłem na bok filiżankę z kawą, tak że znalazła się między moim paszportem i kartą miejską. Wziąłem do ręki paszport i zacząłem go kartkować od tyłu. Po chwili wzruszyłem ramionami, jakby pamięć płała mi figle, i odłożyłem paszport z powrotem. Ale moje ruchy nie były precyzyjne. Krępowały je łańcuchy. Sztynny grzbiet małej książeczki zaczepił o filiżankę z kawą i przewrócił ją. Kawa wylała się na stół i ściekając z blatu, zmoczyła kolana głównego agenta, który zrobił to, co zrobiłby każdy w jego sytuacji. Odskoczył do tyłu, zerwał się z krzesła i machnął rękoma, jakby chciał zatrzymać ciekący płyn.

— Przepraszam — powiedziałem.

Facet miał mokre spodnie. I teraz piłka była po jego stronie boiska. Miał dwie możliwości: zakłócić rytm przesłuchania, robiąc przerwę, by móc się przebrać, albo kontynuować je w mokrych spodniach. Widziałem, że się zastanawia. Nie był taki nieprzenikniony, jak mu się wydawało.

Postanowił kontynuować w mokrych spodniach. Podeszedł do komody i wytarł się serwetkami. Następnie przyniósł ich trochę

235

ze sobą i wytarł stół. Bardzo się starał powściągnąć gwałtowną reakcję, co samo w sobie było jakąś reakcją.

— Kiedy ostatnio wyjeżdżał pan z kraju? — powtórzył.

— Nie pamiętam — odparłem.

— Gdzie się pan urodził?

— Nie pamiętam.

— Wszyscy wiedzą, gdzie się urodzili.

— To było dawno temu.

— Możemy tu siedzieć cały dzień, jeśli będzie trzeba.

— Urodziłem się w Berlinie Zachodnim — powiedziałem.

- Pana matka jest Francuzką?
- Była Francuzką.
- Kim jest obecnie?
- Obecnie nie żyje.
- Przykro mi.
- To nie była pana wina.
- Na pewno jest pan obywatelem Stanów Zjednoczonych?
- Cóż to za pytanie?
- Proste.
- Paszport wydał mi Departament Stanu.
- Czy pana podanie było prawdziwe?
- A czy je podpisałem?
- Myślę, że pan to zrobił.
- Więc myślę, że było prawdziwe.
- Jakim cudem? Czy został pan naturalizowany? Urodził się pan za granicą i pana matka była cudzoziemką.
- Urodziłem się w bazie wojskowej, która jest uważana za suwerenne terytorium Stanów Zjednoczonych. Moi rodzice byli małżeństwem. Mój ojciec był obywatelem amerykańskim. Służył w piechocie morskiej.
- Może pan to wszystko udowodnić?
- A muszę?
- To ważne. To, czy pan jest, czy nie jest obywatelem Stanów Zjednoczonych, może mieć wpływ na to, co się z panem stanie.

236

- Wpływ na to, co się ze mną stanie, może mieć to, ile będę miał do was cierpliwości. Facet po lewej stronie wstał od stołu. To on wbijał mi w szyję lufę strzelby. Ruszył bezpośrednio w lewo i wyszedł do trzeciego pokoju. Zauważyłem tam biurka, komputery, szafki na akta i szafki na ubrania. Nie było ludzi. Drzwi zamknęły się za nim cicho i w pokoju, w którym byliśmy, zapadło milczenie.
- Czy pana matka była Algierką? — zapytał główny facet.
- Powiedziałem wam przed chwilą, że była Francuzką.
- Niektórzy Francuzi są Algierczykami.
- Nie, Francuzi są Francuzami, a Algierczycy są Algierczykami. To nie jest fizyka kwantowa.
- No dobrze, niektórzy Francuzi są imigrantami z Algierii. Względnie z Maroka lub Tunezji albo z jakiegoś innego kraju Afryki Północnej.
- Moja matka nie była imigrantką.
- Czy była muzułmanką?
- Dlaczego chcecie to wiedzieć?
- To ja zadaję pytania.
- Pewnie bezpieczniej jest zadawać pytania na temat mojej matki niż pańskiej.
- Co to ma znaczyć?
- Matka Susan Mark była młodocianą kurwą uzależnioną od cracku. Może pańska matka pracowała razem z nią. Może miały wspólnych klientów.
- Próbuje mnie pan zdenerwować?
- I świetnie mi się to udaje. Poczzerwieniał pan na twarzy i ma pan mokre spodnie. I kompletnie do niczego pan nie doszedł. Reasumując, nie sądzę, żeby ta konkretna sesja została opisana w podręcznikach.
- To nie są żarty.
- Ale w tę stronę wszystko to zmierza.

Facet umilkł i zmienił taktykę. Poprzestawiał palcem wskazującym leżące przed nim przedmioty. Ułożył je w równym rzędku, po czym pchnął palcem pamięć USB o cal w moją stronę.

237

— Ukrył pan to przed nami, kiedy pana przeszukiwaliśmy — powiedział. — Dała to panu Susan Mark w metrze.

— Naprawdę ukryłem? Naprawdę mi dała? — odparłem.

Facet pokiwał głową.

— Ale ten nośnik jest pusty, a poza tym i tak jest za mały. Gdzie jest ten drugi?

— Jaki drugi?

— Ten jest najwyraźniej rekwizytem. Gdzie jest ten prawdziwy?

— Susan Mark nic mi nie dała. Kupiłem tę rzecz w Radio Shack.

— Dlaczego?

— Spodobała mi się.

— Z różową nasadką? Bzdura.

Nie odpowiedziałem.

— Podoba się panu różowy kolor? — zapytał.

— W odpowiednim miejscu.

— Jakie miejsce byłoby odpowiednie?

— Takie, którego pan od dawna nie odwiedzał.

— Gdzie pan to schował?

Nie odpowiedziałem.

— W którymś z otworów ciała?

— Niech pan się modli, żeby tak nie było. Właśnie pan tego dotknął.

— Podobają się panu tego rodzaju rzeczy? Jest pan ciotą?

— Tego rodzaju pytanie mogłoby odnieść skutek w Guan-tanamo, ale nie ze mną.

Facet wzruszył ramionami, przysunął z powrotem do siebie pamięć USB i pchnął w moją stronę fałszywą wizytówkę oraz komórkę Leonida, tak jakby przesuwiał pionki na szachownicy.

— Pracował pan dla Liii Hoth — oznajmił. — Ta wizytówka świadczy o tym, że komunikował się pan z wynajętą przez nią ekipą, a ten telefon świadczy, że dzwoniła do pana co najmniej sześć razy. W jego pamięci jest numer hotelu Four Seasons.

— To nie jest mój telefon.

238

— Znaleźliśmy go w pańskiej kieszeni.

— Obsługa twierdziła, że Lila Hoth nie zatrzymała się w Four Seasons.

— Tylko dlatego, że poprosiliśmy ich o współpracę. Obaj wiemy, że tam mieszkała. Dwa razy się pan tam z nią spotkał, a potem nie stawiała się na trzecie spotkanie.

— Kim ona jest, dokładnie?

— To pytanie, które powinien pan zadać, zanim zgodził się pan dla niej pracować.

— Nie pracowałem dla niej.

— Pański telefon świadczy o czymś przeciwnym. To nie jest fizyka kwantowa.

Nie odpowiedziałem.

— Gdzie jest teraz Lila Hoth? — zapytał.

— Nie wie pan?

— A skąd mam wiedzieć?

— Myślałem, że zgarnęliście ją, kiedy opuszczała hotel. Zanim zaczęliście do mnie strzelać strzałkami.

Facet się nie odezwał.



— Byliście tam dzisiaj wcześniej. Przeszukaliście jej pokój — powiedziałem. — Myślałem, że ją obserwowaliście.

Facet wciąż milczał.

— Nie dorwaliście jej, tak? Wymknęła się wam. No to ślicznie. Powinni was stawiać za przykład. Cudzoziemka węszy w Pentagonie, a wy pozwalacie jej zwiać?

— Nastąpiły pewne komplikacje — stwierdził facet. Był wyraźnie zakłopotany, jednak prawdę mówiąc, nie powinien się tak bardzo obwiniać. Ponieważ ucieczka z hotelu, nawet będącego pod obserwacją, jest względnie łatwa. Robi się to, nie robiąc tego. Wezwany boy zwozi windą towarową twoje bagaże, agenci gromadzą się w holu, a ty wychodzisz z windy osobowej na innym piętrze i zaszywasz się gdzieś na dwie godziny, aż agenci dadzą za wygraną i pójdą sobie.

— Gdzie ona teraz jest? — powtórzył facet.

— Kim ona jest? — zapytałem.

239

— Najbardziej niebezpieczną osobą, jaką pan kiedykolwiek spotkał.

— Nie wyglądała na to.

— Właśnie dlatego jest niebezpieczna.

— Nie mam pojęcia, gdzie jest — odparłem.

Zapadło długie milczenie. Facet przesunął fałszywą wizytówkę i komórkę na stare miejsce i wysunął w moją stronę wizytówkę Theresy Lee.

— Jak dużo wie ta detektyw? — zapytał.

— Jakie to ma znaczenie?

— Mamy do wykonania kilka dość prostych zadań. Musimy odnaleźć panie Hoth, odzyskać prawdziwą pamięć USB, ale przede wszystkim nie możemy dopuścić do przecieku. W związku z tym musimy się dowiedzieć, ile wyciekło informacji. I dowiedzieć się, kto co wie.

— Nikt nic nie wie. A już najmniej ja.

— To nie są jakieś zawody. Nie dostaje pan punktów za stawianie oporu. Działamy w tej sprawie po tej samej stronie.

— Nie odniosłem takiego wrażenia.

— Musi pan to potraktować poważnie.

— Wierzcie mi, że tak to traktuję.

— Więc niech pan nam powie, kto co wie.

— Nie potrafię czytać w myślach. Nie wiem, kto co wie.

Usłyszałem, że drzwi po mojej lewej stronie znowu się otwierają. Szef spojrział w tamtą stronę i skinął głową, jakby udzielał na coś zgody. Odwróciłem się i zobaczyłem faceta, który siedział wcześniej po lewej stronie. Miał w ręku broń. To nie była śrutówka. To był pistolet na pociski usypiające. Podniósł go i strzelił. Odchyliłem się, ale o wiele za późno. Strzałka trafiła mnie wysoko w ramię.

44

Obudziwszy się ponownie, nie otworzyłem oczu. Czułem, że zegar w mojej głowie zaczyna znowu poprawnie chodzić, i nie chciałem, żeby coś zakłóciło jego działanie. W tym momencie wskazywał szóstą wieczorem. Co oznaczało, że przespałem kolejne osiem godzin. Byłem bardzo głodny i spragniony. Ramię bolało mnie tak samo jak noga. Na samej górze miałem rozpalony mały siniak. Czułem, że w dalszym ciągu nie mam butów. Ale moje ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach nie były przymocowane do ramy łóżka. To już coś. Przeciągnąłem się leniwie i przesunąłem wewnętrzną stronę dłoni po twarzy. Zarost był jeszcze większy. Niedługo będę miał brodę.

Otworzyłem oczy, rozejrzałem się dokoła i odkryłem dwie rzeczy. Po pierwsze: w klatce po mojej prawej stronie siedziała Theresa Lee. Po drugie: w klatce po lewej siedział Jacob Mark.

Oboje byli policjantami.

Żadne nie miało na nogach butów.

W tym momencie zacząłem się na serio niepokoić.

Jeżeli się nie myliłem i była rzeczywiście szósta po południu, Theresę Lee zgarnięto z domu. A Jacoba Marka z pracy. Oboje na mnie patrzyli. Lee stała za prętami, mniej więcej pięć stóp ode mnie. Miała na sobie niebieskie dzinsy i białą bluzkę i była boso. Jake siedział na swojej pryczy. Miał na sobie mundur

241

policyjny bez paska, pistoletu, krótkofalówki i butów. Usiadłem na łóżku, oparłem stopy o podłogę i przeczesalem dłońmi włosy. Następnie wstałem, podszedłem do zlewu i napiłem się wody z kranu. Z całą pewnością byliśmy w Nowym Jorku. Poznałem to po smaku wody.

— Wiesz, gdzie dokładnie jesteśmy? — zapytałem, zwracając się do Theresy Lee.

— A ty nie?

Potrząsnąłem głową.

— Musimy zakładać, że nas podsłuchują.

— Jestem o tym przekonany. Ale oni i tak wiedzą, gdzie jesteśmy. Więc i tak nie dowiedzą się od nas niczego nowego.

— Nie powinniśmy chyba nic mówić.

— Możemy podyskutować o geografii. Nie wydaje mi się, żeby Ustawa Patriotyczna zabraniała podawania adresów ulic. Przynajmniej na razie.

Lee nie odezwała się.

— Co jest? — zapytałem.

Była wyraźnie skrępowana.

— Myślisz, że cię podpuszczam?

Nie odpowiedziała.

— Myślisz, że siedzę tutaj, żeby sprowokować cię do powiedzenia czegoś, czego będziesz później żałowała?

— Nie wiem. Nic o tobie nie wiem.

— O czym myślisz? — zapytałem.

— Te kluby przy Bleecker Street są bliżej Szóstej Alei niż Broadwayu. Miałaś stamtąd metro linii A. Albo B, C lub D. Dlaczego w ogóle znalazłeś się w pociągu linii sześć?

— Prawo natury — odparłem. — Mamy zaprogramowane w ten sposób umysły. W środku nocy, kiedy jest ciemno, wszystkie ssaki kierują się instynktownie na wschód.

— Naprawdę?

— Nie, właśnie to wymyśliłem. Nie miałem żadnego konkretnego celu. Wyszedłem z baru i skręciłem w lewo. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć.

242

Lee nie odpowiedziała.

— Co jeszcze? — zapytałem.

— Nie masz żadnych bagaży — stwierdziła. — Nigdy nie widziałam bezdomnego, który nic nie ma. Większość ciągnie ze sobą więcej rzeczy, niż ja mam na własność. Używają wózków na zakupy.

— Ja jestem inny. I nie jestem bezdomny. Nie w takim sensie jak oni.

Lee się nie odezwała.

— Miałaś na oczach opaskę, kiedy cię tu przywieźli? — zapytałem.

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, a potem potrząsnęła głową i westchnęła.

— Jesteśmy w nieczynnej remizie strażackiej w Greenwich Village — powiedziała. —

Przy Trzeciej Zachodniej. Parter i góra są nieużywane. Zamknęli nas w piwnicy.

— Wiesz dokładnie, kim są ci faceci?

Nie odezwała się. Po prostu spojrzała na kamerę.

— Ta sama sytuacja — oświadczyłem. — Oni wiedzą, kim są. Przynajmniej taką mam nadzieję. Nie zaszkodzi im, jeśli się dowiedzą, że my też to wiemy.

— Tak myślisz?

— O to właśnie chodzi. Nie mogą nam zabronić myśleć. Wiesz, kim są?

— Nie okazują legitymacji. Nie zrobili tego dzisiaj i nie zrobili wcześniej, kiedy przyszli porozmawiać z tobą w komisariacie.

— Ale...?

— Nieokazywanie legitymacji jest równoznaczne z jej okazaniem, jeżeli służy się w jedynej agencji, która tego nie robi. Słyszeliśmy to i owo.

— Więc kim oni są?

— Pracują bezpośrednio dla sekretarza obrony.

— To by się zgadzało — odparłem. — Sekretarz obrony to na ogół najgłupszy facet w całym rządzie.

243

Lee zerknęła na kamerę, jakbym powiedział coś obraźliwego.

— Nie przejmuj się — uspokoiłem. — Ci faceci wyglądają na byłych wojskowych, a w tym wypadku wiedzą już, jak głupi jest sekretarz obrony. Tak czy inaczej jest członkiem gabinetu, a to oznacza, że w gruncie rzeczy ci faceci pracują dla Białego Domu.

— Wiesz, czego chcą? — zapytała po chwili Lee.

— Częściowo.

— Nie mów nam.

— Nie zamierzam.

— Czy to dość duża afera, żeby sięgnęła Białego Domu?

— Potencjalnie chyba tak.

— Cholera.

— Kiedy po ciebie przyszli?

— Dziś po południu. O drugiej. Spałam.

— Byli w asyście nowojorskich gliniarzy?

Lee pokiwała głową i zobaczyłem, że ją to zabolalo.

— Znasz tych stójkowych? — zapytałem.

Potrząsnęła głową.

— Są z brygady antyterrorystycznej. Mają swoje własne zasady i nie kolegują się z innymi. Przez cały dzień jeżdżą specjalnymi samochodami. Czasami to fałszywe taksówki. Jeden z przodu, dwóch z tyłu. Jeżdżą na północ Dziesiątą i wracają na dół Drugą. Patrolują teren, tak jak B-Pięćdziesiąt Dwa patrolowały kiedyś niebo.

— Która jest godzina? Sześć po szóstej?

Lee spojrzała na zegarek i zrobiła zdziwioną minę.

— Dokładnie.

— Jak to wyglądało z tobą, Jake? — zapytałem, odwracając się do Jacoba Marka.

— Po mnie przyszli wcześniej. Jestem tu od południa. Patrzyłem, jak śpisz.

— Była jakaś wiadomość od Petera?

— Nie.

244

— Przykro mi.

— Wiesz, że chrapiesz?

— Nafaszerowali mnie środkiem usypiającym dla goryli. Z cholernej strzałki.

— Żartujesz.

Pokazałem mu krwawą plamą na spodniach, a potem tę na ramieniu.

— To chore — mruknął.

— Byłeś w pracy?

Jake pokiwał głową.

- Dyspozytor wezwał mój radiowóz do bazy. Już na mnie czekali.
  - Czy ludzie z twojego komisariatu wiedzą, gdzie jesteś?
  - Niekoniecznie — odparł. — Ale wiedzą, kto mnie zabrał.
  - To już coś.
  - Nie za bardzo. Na posterunku nic dla mnie nie zrobią. Kiedy przychodzą po ciebie ci faceci, jesteś nagle napiętnowany. Jakbyś popełnił jakieś przestępstwo. Czuję, jak ludzie zaczęli się ode mnie odsuwać.
  - Zupełnie jak wtedy, kiedy składa ci wizytę wydział wewnętrzny — powiedziała Lee.
  - Dlaczego nie ma tutaj Docherty'ego? — zapytałem ją.
  - Wie mniej ode mnie. W gruncie rzeczy wychodził z siebie, żeby wiedzieć mniej ode mnie. Nie zauważyłeś tego? To stary wyga.
  - Jest twoim partnerem.
  - Dzisiaj jest. Ale w przyszłym tygodniu zapomni, że w ogóle miał jakiegoś partnera. Wiesz, jak to jest.
  - Mają tu tylko trzy cele — powiedział Jake. — Może Docherty jest gdzie indziej.
  - Czy ci faceci już z wami rozmawiali? — zapytałem.
- Oboje potrząsnęli głowami.
- Niepokoić się?
- Oboje pokiwali głowami.
- A ty? — zapytała Lee.

245

— Spałem dobrze — odparłem. — Ale to chyba głównie dzięki środkom usypiającym. O wpół do siódmej przynieśli nam jedzenie. Kanapki z delikatesów w plastikowych pojemnikach, które przesunęli między prętami. Plus butelki z wodą. Wypiłem od razu swoją i napełniłem ją wodą z kranu. Moja kanapka była z salami i z serem. Najwspanialszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadłem.

O siódmej zabrali Jacoba Marka na przesłuchanie. Bez kajdanek. Bez łańcuchów. Theresa Lee i ja siedzieliśmy na naszych pryczach, oddzieleni kratami, osiem stóp od siebie. Niewiele się odzywaliśmy. Lee sprawiała wrażenie przybitej.

— Straciłam kilku dobrych przyjaciół, kiedy runęły wieże — rzekła w pewnym momencie. — Nie tylko gliniarzy. Również strażaków. Ludzi, z którymi pracowałam. Których znałam od lat. — Powiedziała to tak, jakby ten fakt mógł ją oddzielić od całego szaleństwa, które wydarzyło się później. Nic na to nie odpowiedziałem. Przez większość czasu odtwarzałem w pamięci rozmowy. Rozmawiało ze mną sporo ludzi. Całymi godzinami. John Sansom, Lila Hoth, faceci z sąsiedniego pokoju. Sprawdziałem w myślach to, co wszyscy mówili, w ten sam sposób, w jaki stolarz przesuwa dłonią po desce, szukając szorstkich miejsc. Trochę ich było. Przypominałem sobie dziwne niedopowiedziane komentarze, zagadkowe niuanse, drobne odbiegające od normy implikacje. Nie wiedziałem, co mogły znaczyć. Wtedy jeszcze nie. Ale samo ich istnienie było znaczące.

•••

O wpół do ósmej przyprowadzili z powrotem Jacoba Marka i zabrali Theresę Lee. Bez kajdanek. Bez łańcuchów. Jake usiadł ze skrzyżowanymi nogami na swoim łóżku, plecami do kamery. Posłałem mu pytające spojrzenie. Wzruszył ledwo dostrzegalnie ramionami i przewrócił oczyma, a potem położył ręce na kolanach, poza zasięgiem kamery i wyprostował kciuk i palec

246

wskazujący tak, że przypominały pistolet. Poklepał się po udzie i spojrzał na moje. Pokiwałem głową. Pistolet ze środkiem usypiającym. Wsadził dwa palce między kolana i wystawił jeden z lewej strony. Znowu pokiwałem głową. Dwaj faceci za stołem i trzeci po

lewej z pistoletem. Prawdopodobnie w progu trzeciego pokoju. Na straży. Podniosłem dłoń do skroni i pomasaowałem je.

— Gdzie są nasze buty? — zapytałem bezgłośnie, trzymając nadal ręce przy twarzy.

— Nie wiem — odpowiedział w ten sam sposób Jake.

Potem siedzieliśmy w milczeniu. Nie wiem, o czym myślał

Jake. Pewnie o swojej siostrze. Albo o Peterze. Ja myślałem o stojącym przede mną wyborem. Są zawsze dwa sposoby, żeby z czymś walczyć. Od środka albo z zewnątrz. Ja jestem facetem, który działa z zewnątrz. Zawsze taki byłem.

O ósmej przyprowadzili z powrotem Theresę Lee i znowu zabrali mnie na przesłuchanie.

45

Bez kajdanek. Bez łańcuchów. Najwyraźniej uznali, że boję się pistoletu ze środkiem usypiającym. Co było do pewnego stopnia prawdą. Nie dlatego, że boję się małych kłutych ran. I nie dlatego, że mam coś przeciwko spaniu jako takiemu. Lubię pospać jak każdy. Nie chciałem po prostu tracić więcej czasu. Nie stać mnie było na zmarnotrawienie kolejnych ośmiu godzin.

Federalni byli rozlokowani dokładnie tak, jak to pokazał Jacob Mark. Główny facet siedział już na środkowym krześle. Facet, który założył mi rano łańcuchy, był tym, który mnie tam teraz wprowadził. Zostawił mnie pośrodku pokoju i zajął miejsce za stołem po prawicy głównego faceta. Facet, który trzymał wcześniej śrutówkę, stał teraz po lewej stronie z pistoletem na strzałki w rękę. Moje rzeczy nadal leżały na stole. A właściwie z powrotem zostały na nim położone. Nie sądziłem, żeby tam były, kiedy w pokoju przebywali Jake i Lee. Nie było sensu, żeby tam leżały. Ani powodu. Ułożono je ponownie po ich wyjściu, specjalnie dla mnie. Gotówka, paszport, karta bankomatowa, szczoteczka do zębów, karta miejska, wizytówka Lee, fałszywa wizytówka, nośnik pamięci i komórka. Dziewięć rzeczy. Wszystkie całe i nienaruszone. Co mnie ucieszyło, ponieważ miałem zamiar zabrać przynajmniej siedem z nich.

248

— Niech pan siada, panie Reacher — powiedział facet siedzący pośrodku.

Ruszyłem w stronę mojego krzesła i wyczułem, że wszyscy trzej się odprężają. Pracowali całą noc i cały dzień. Od dwóch godzin prowadzili przesłuchanie. A przesłuchiwanie to ciężka praca. Wymaga wyteżonej uwagi i mentalnej giętkości. Męczy przesłuchującego. Dlatego trzej faceci byli zmęczeni. W wystarczającym stopniu, żeby stracić czujność. Kiedy ruszyłem w stronę krzesła, ich uwaga przeniosła się z czasu teraźniejszego na przyszły. Uznali, że nie mają się czym martwić. Zaczęli myśleć, jak mnie podejść. Jakie zadać pierwsze pytanie. Zakładali, że usiądę na krześle i będę gotów go wysłuchać. Będę gotów na nie odpowiedzieć. Byli w błędzie.

Pół kroku przed krzesłem oparłem stopę o krawędź blatu, wyprostowałem nogę i pchnąłem stół na nich. Pchnąłem, a nie kopnąłem, ponieważ nie miałem butów. Stół poleciał do tyłu. Jego druga krawędź uderzyła w brzuchy dwóch siedzących facetów i przygwoździła ich do krzeseł. Ja w tym czasie przesuwalem się już w lewo. Wyprostowałem się z przysiadu, złapałem pistolet ze środkiem usypiającym trzymany przez trzeciego faceta i kopnąłem go mocno kolanem w krocze, kiedy był jeszcze wyprostowany i odsłonięty. Facet puścił pistolet i zgiał się w pół, a ja tupnąłem w podłogę jedną stopą, podniosłem drugą i kopnąłem go kolanem w twarz. Zupełnie jak w ludowym irlandzkim tańcu. Następnie odwróciłem się, wyprostowałem dłoń z pistoletem i strzeliłem głównemu agentowi w pierś. A potem obszedłem stół i walnąłem drugiego faceta w głowę kolbą raz, drugi i trzeci, mocno i gwałtownie, aż przestał się ruszać.

Cztery głośnie, naznaczone przemocą sekundy. Cztery oddzielne elementy akcji, każdy rozpoczęty i zakończony w czasie. Stół, pistolet ze środkiem usypiającym, główny agent, drugi agent. Raz, dwa, trzy cztery. Wszystko poszło gładko. Dwaj faceci, których uderzyłem,

stracili przytomność. Facet na podłodze, bo złamałem mu nos, facet przy stole, bo rozbiłem mu głowę.

249

Siedzący obok niego główny agent właśnie tracił przytomność, wspomagany w tym przez chemię, tak samo jak ja dwa razy wcześniej. Przyglądałem mu się z zaciekawieniem. Środek usypiający powodował jakiegoś rodzaju paraliż mięśni. Facet zsuwał się bezradnie z krzesła, ale jego oczy nadal się poruszały, jakby coś widział. Przypomniałem sobie wirujące kształty. Zastanawiałem się, czy też je widzi.

A potem odwróciłem się i przez chwilę obserwowałem drzwi do trzeciego pokoju. Nie wiedziałem, czy nie ma w nim laboranta. Albo innych osób. Być może wielu innych osób. Jednak drzwi dalej pozostawały zamknięte. W trzecim pokoju panowała cisza. Ukłakłem i zajrzałem pod marynarkę trzeciego faceta. Nie znalazłem glocka. Miał kaburę pod pachą, ale pustą. Prawdopodobnie zgodnie ze standardową procedurą. Nie wolno wchodzić z bronią palną do pomieszczenia, w którym przebywa więzień. Sprawdziłem dwóch pozostałych, z tym samym wynikiem. Regulaminowe kabury na nylonowych paskach, obie puste.

W trzecim pokoju nadal panowała cisza.

Sprawdziłem kieszenie. Były puste. Wszystkie wyczyszczone. Nie było w nich kompletnie nic z wyjątkiem neutralnych przedmiotów w rodzaju papierowych chusteczek i zaplątanych samotnych miedziaków. Żadnych kluczy do domu, żadnych kluczy do samochodu, żadnych telefonów. Z całą pewnością żadnych portfeli, żadnych odznak, żadnych legitymacji. Podniosłem z podłogi pistolet ze środkiem usypiającym i trzymając go w dłoni, podszedłem do drzwi prowadzących do trzeciego pokoju. Otworzyłem je, podniosłem pistolet i udałem, że z niego celuję. Pistolet to pistolet, nawet jeśli jest nienaładowany i na nietypowe pociski. Liczy się pierwsze wrażenie i reakcja podprogowa.

Trzeci pokój był pusty.

Nie było w nim laboranta, nie było innych agentów ani wsparcia. W ogóle nikogo. I nic oprócz szarych biurowych mebli i światła jarzeniówek. Pomieszczenie było takie samo jak pozostałe dwa; stary ceglany loch pomalowany na biało. Tej samej

250

wielkości, tego samego kształtu. Prowadziły z niego kolejne drzwi, jak się domyślałem do czwartego pomieszczenia albo na klatkę schodową. Podszedłem i uchyliłem je.

Klatka schodowa. Żadnej farby na ścianach poza łuszczącą się warstwą zielonej lamperii. Zamknąłem drzwi i sprawdziłem meble. Trzy biurka, pięć szafek na akta, cztery szafki na ubranie, wszystkie szare, proste i funkcjonalne, wszystkie stalowe i zamknięte. Na zamki szyfrowe podobnie jak cele, co było logiczne, ponieważ nie znalazłem żadnych kluczy w kieszeniach agentów. Na biurkach nie było żadnych papierów. Wyłącznie trzy uspione komputery i trzy konsole telefoniczne. Wcisnąłem spację na klawiaturach i jeden po drugim obudziłem wszystkie monitory. Każdy zapytał mnie o hasło. Podniosłem słuchawki, wcisnąłem przycisk oddzwonienia i za każdym razem usłyszałem sygnał centrali. Wyjątkowo sumiennie przestrzegane procedury bezpieczeństwa. Żmudne i konsekwentne. Zakończ rozmowę, wciśnij widełki, wykręć zero, rozłącz się. Ci trzej faceci nie byli orłami, ale nie byli też idiotami.

Przez dłuższą chwilę stałem nieruchomo w miejscu. Fakt, że zamki są szyfrowe, bardzo mnie zdeprymował. Miałem ochotę znaleźć strzałki ze środkiem usypiającym, załadować pistolet i postrzelić dwóch pozostałych agentów. I chciałem odzyskać swoje buty.

W obu tych sprawach spotkał mnie zawód.

Począpiałem z powrotem do cel. Jacob Mark i Theresa Lee zerknęli na mnie, uciekli w bok wzrokiem i ponownie spojrzeli. Klasyczna opóźniona reakcja, ponieważ byłem sam i trzymałem w ręku pistolet na strzałki. Domyślałem się, że usłyszeli hałas i doszli do wniosku,

że spuszczają mi manto. Domyślałem się, że nie spodziewali się mnie szybko zobaczyć. A może wcale.

- Co się stało? — zapytała Lee.
- Pospali się.
- Jak to?
- Znudziły ich chyba moje odpowiedzi.
- Dopiero teraz jesteś w prawdziwych opałach.

251

- A przedtem nie byłem?
- Przedtem byłeś niewinny.
- Dorośnij w końcu, Thereso — odparłem.

Nie odpowiedziała. Sprawdziłem kombinacje szyfrowe przy drzwiach celi. Były bardzo eleganckie. Robiły wrażenie precyzyjnych urządzeń wysokiej klasy. Miały rowkowane wystające gałki z elegancko wrytymi liczbami od jednego do trzydziestu sześciu. Gałki obracały się w obie strony. Kręcąc nimi, nie poczułem pod palcami niczego poza cichym i konsekwentnym mechanicznym oporem. Wyczułem solidną inżynierską robotę. Z całą pewnością nie usłyszałem, żeby otwierały się zapadki.

- Chcecie, żebym was stąd wy dostał? — zapytałem.
- Nie uda ci się — odpowiedziała Lee.
- Ale czy chciałabyś, gdyby mi się to udało?
- Dlaczego miałabym nie chcieć? — odparła Lee.
- Ponieważ wtedy ty też będziesz w prawdziwych opałach. Jeżeli tu zostaniesz, będziesz prowadziła grę na ich warunkach.

Lee nie odpowiedziała.

- A ty, Jake? — zapytałem.
- Znalazłeś nasze buty? — odparł.

Potrząsnąłem głową.

- Ale możecie pożyczyć buty od nich. Macie zbliżone rozmiary.
- A co z tobą?
- Na Ósmej Alei są sklepy z obuwem.
- Chcesz stąd wyjść na bosaka?
- Jesteśmy w Greenwich Village. Gdzie, jeśli nie tu, można chodzić na bosaka?
- Jak możesz nas uwolnić?
- Dzięki dziewiętnastowiecznym standardom skonfrontowanym z dwudziestopierwszowieczną oszczędnością. Ale to nie będzie łatwe. Więc muszę wiedzieć, czy mam się w ogóle do tego zabierać. A wy musicie się szybko zdecydować. Ponieważ nie mamy dużo czasu.
- Zanim się obudzą?

252

- Zanim zamkną sklepy Home Depot.
- Okay, chcę stąd wyjść — powiedział Jake.

Spojrzałem na Theresę Lee.

- No nie wiem — mruknęła. — Nie zrobiłam nic złego.
- Masz ochotę tu zostać i to udowodnić? To będzie trudne. Udowodnienie, że czegoś się nie zrobiło, zawsze jest trudne.

Nie odpowiedziała.

- Opowiadałem Sansomowi, jak studiowaliśmy historię Armii Czerwonej — powiedziałem. — Wiesz, czego najbardziej się bali ich żołnierze? Nie nas. Najbardziej bali się swoich. Najgorszą męką było udowadnianie przez całe życie, że jest się niewinnym, bez końca, raz za razem.

Lee pokiwała głową.

— Chcę stąd wyjść — oświadczyła.

— Dobrze — odparłem, po czym sprawdziłem to, co powinienem sprawdzić. Ocenilem na oko wymiary i ciężar. — Nie ruszajcie się z miejsca. Za niecałą godzinę będę z powrotem.

•••

Najpierw miałem do załatwienia sprawy w sąsiednim pokoju. Trzej agenci federalni byli nadal nieprzytomni. Ich szef powinien pozostać w tym stanie przez pełnych osiem godzin. A może nawet dłużej, ponieważ ważył niespełna dwie trzecie tego co ja. Nagle przyszło mi do głowy, że mogłem go zabić. Dawka przeznaczona dla mężczyzny moich rozmiarów mogła być niebezpieczna dla mniejszej osoby. Ale na razie facet regularnie oddychał. I on zaczął, więc wiedział, że ryzykuje.

Dwaj pozostali mogli się ocknąć wcześniej. Może już wkrótce. Trudno ocenić, ile może trwać utrata przytomności wskutek uderzenia. Zajrzałem więc do trzeciego pokoju, wyrwałem z gniazdek wszystkie kable komputerowe i skrępowalem nimi dwóch facetów. Związałem im mocno nadgarstki, łokcie, nogi w kostkach i szyje, łącząc kable ze sobą. Wielożyłowe miedziane przewody, twarda plastikowa osłona, nie do zerwania. Następnie ściągnąłem z nóg skarpetki, związałem je razem i zakneblowałem

253

nimi agenta z raną na głowie. Nie było to dla niego przyjemne, ale domyślałem się, że dostaje dodatek za niebezpieczną pracę i raz w życiu może na niego zasłużyć. Nie wsadziłem nic do ust drugiemu facetowi. Miał złamany nos i zakneblowanie go było równoznaczne z uduszeniem. Miałem nadzieję, że z czasem doceni moją wspaniałomyślność.

Sprawdziłem jakość więzów, schowałem do kieszeni swoje rzeczy i wyszedłem na klatkę schodową.

46

Schody prowadziły na parter, na tyły garażu, w którym stały niegdyś wozy straży pożarnej. Na szerokiej pustej posadzce pełno było szurczego gówna i innych zagadkowych śmieci, które gromadzą się w opuszczonych budynkach. Wielka brama była zamknięta na zardzewiałe żelazne sztaby i stare kłódki. W ścianie po lewej stronie znajdowały się jednak drzwi dla personelu. Dotarcie tam nie było łatwe. Do drzwi prowadziła tylko częściowo uprzątnięta ścieżka. Śmieci zostały przeważnie odsunięte na bok przez przechodzących, ale zostało ich dość sporo i trudno było przejść tamtędy na bosaka. Idąc, odsuwałem je krawędzią stóp, które stawiałem następnie w oczyszczonych miejscach, krok po kroku. Trwało to długo, ale w końcu dotarłem do celu.

Drzwi dla personelu zaopatrzone w nowy zamek, jednak ich głównym zadaniem było zamknięcie remizy przed ludźmi z zewnątrz, a nie zamykanie ludzi w środku. Wewnątrz była zwyczajna klamka. Na zewnątrz zamek szyfrowy. Znalazłem ciężką mosiężną mufę do węzów strażackich, zaklinowałem nią drzwi, żeby nie zamknęły się do mojego powrotu, i wyszedłem na zewnątrz. Po kilku krokach znalazłem się na chodniku Trzeciej Zachodniej.

Ruszyłem prosto w stronę Szóstej Alei. Nikt nie zwracał

255

uwagi na moje bose stopy. Wieczór był ciepły i wszędzie dokoła widziało się sporo znacznie atrakcyjniejszej golinizny. Sam również miałem się jej okazję przyjrzeć. Zatrzymałem taksówkę i kazałem się zawieźć dwadzieścia przecznic na północ i pół przecznic na wschód, do sklepu Home Depot przy Dwudziestej Trzeciej. Zapamiętałem ten adres z opowieści Docherty'ego. To tam kupiono młotki użyte później w akcji pod estakadą FDR Drive.

Szykowali się do zamknięcia, lecz jeszcze mnie wpuścili. Znalazłem pięciostopowy łom w dziale budowlanym. Z walcowanej na zimno stali, gruby i mocny. Mijając w drodze do kasy dział ogrodniczy, postanowiłem kupić parę gumowych chodaków. Były brzydkie, ale lepsze



niż nic. Zapłaciłem kartą, co, jak wiedziałem, zostawiło ślad w komputerze, nie miałem jednak powodu ukrywać, że kupuję narzędzia. Ich zakup miał się zresztą stać oczywisty w obliczu przyszłych wydarzeń.

Przed sklepem krążyły niczym sepy taksówki, szukając ludzi z rzeczami zbyt nieporęcznymi, żeby taskać je na piechotę do domu. Co czyniło cały zakup bezsensownym z ekonomicznego punktu widzenia. Zaoszczędzisz pięć dolców, kupując w hipermarkecie, wydasz osiem, wioząc to do domu. Ale w tym momencie mi to pasowało. Minutę później siedziałem w jadącej z powrotem na południe taksówce. Wysiadłem na Trzeciej, niedaleko remizy, ale nie tuż przy niej.

Trzy jardy przed sobą zobaczyłem skręcającego w alejkę laboranta.

Sprawił wrażenie umytego i wypoczętego. Miał na sobie płócienne spodnie, biały T-shirt i buty do gry w koszykówkę. Uznałem, że to zmiana warty. Agenci stacjonowali w remizie przez cały dzień, w nocy dyżur pełnił laborant. Dbając o to, żeby przesłuchiwani dożyli ranka. Chodziło bardziej o efektywność niż o względy humanitarne. Uzyskanie informacji było ważniejsze od praw jednostki i jej dobra.

Przełożyłem łom do lewej ręki, ruszyłem za nim szybko w moich luźnych chodakach i dogoniłem go, nim doszedł do drzwi dla personelu. Nie chciałem, żeby odsunął stopą mufę

256 i pozwolił, żeby się za nim zamknęły. To przysporzyłoby mi dodatkowych problemów, których chciałem uniknąć. Słyszac mnie, facet odwrócił się w progu i podniósł w obronnym geście ręce. Wepchnąłem go do środka. Poślizgnął się na śmieciach i przykleknął na jedno kolano. Podniosłem go za kołnierz, odsunąłem od siebie na długość wyciągniętej ręki i przesunąłem stopą mosiężną mufę, pozwalając, by drzwi same się zatrzasnęły. Następnie odwróciłem się do faceta, żeby wyjaśnić mu, jakie ma możliwości, lecz on najwyraźniej już je rozumiał. Bądź grzeczny albo dostaniesz łomot. Wybrał bycie grzecznym. Przykucnął i podniósł ręce w geście kapitulacji. Zaciskając łom w lewej ręce i trzymając faceta w wyciągniętej do przodu prawej, doprowadziłem go do schodów. Był potulny przez całą drogę do piwnicy. Nie sprawiał żadnych kłopotów, kiedy przechodziliśmy przez pierwszy pokój. A potem weszliśmy do drugiego, zobaczył trzech leżących na podłodze facetów i domyślił się, co go czeka. Naprężył mięśnie. Podniósł mu się poziom adrenaliny. Walcz albo uciekaj. Spojrzał na mnie ponownie, na wielkiego zdeterminowanego faceta w śmiesznych chodakach, z wielkim łomem w ręku, i ochłonął.

— Znasz szyfr otwierający cele? — zapytałem.

— Nie — odparł.

— Więc jak robisz zastrzyki przeciwbólowe?

— Przez kraty.

— Co się dzieje, kiedy ktoś ma atak, a ty nie możesz wejść do celi?

— Muszę zadzwonić.

— Gdzie jest twój sprzęt?

— W mojej szafce.

— Pokaż — powiedziałem. — Otwórz ją.

Wróciliśmy do pierwszego pokoju. Facet przekręcił tarczę i otworzył drzwiczki szafki.

— Możesz otworzyć inne szafki? — zapytałem.

— Nie, tylko tę.

W szafce było kilka pólek wypełnionych szczelnie różnymi

257

medykamentami. Zapakowane hermetycznie strzykawki, stetoskop, małe fiolki z bezbarwnym płynem, paczki wacików, tabletki, bandaże, gaza, taśma.

Plus płytkie pudełko z małymi kapsułkami z azotem.

Plus pudełko z zapakowanymi hermetycznie strzałkami.

Co z biurokratycznego punktu widzenia było całkiem logiczne. Wyobraziłem sobie konferencję szefostwa, kiedy ustalano procedury operacyjne. Pentagon. Sztabowcy w prezydium. Kilku młodszych oficerów. Porządek dnia. Jakiś doradca Departamentu Obrony nalegający, żeby amunicja do pistoletu ze strzałkami była przechowywana przez wykwalifikowany personel medyczny. Ponieważ anestetyk jest lekarstwem. I tak dalej, i tak dalej. A potem jakiś facet ze służby czynnej oznajmiający, że sprężony azot nie jest lekarstwem. Trzeci facet mówiący, że nie ma żadnego sensu trzymanie osobno substancji miotającej i osobno ładunku. I tak w kółko. Wyobraziłem sobie zniecierpliwionych agentów dających w końcu za wygraną i wyrażających zgodę. Dobra, niech będzie, kontynuujmy.

— Co dokładnie jest w tych strzałkach? — zapytałem.

— Miejscowy anestetyk, żeby znieczulić ranę, plus barbituran — odparł laborant.

— Ile tego barbituranu?

— Dosyć.

— Dosyć, żeby uśpić goryla?

Facet potrząsnął głową.

— Zredukowana dawka. Obliczona na normalnego człowieka.

— Kto ją obliczył?

— Producent.

— Wiedząc, do czego będzie używana?

— Oczywiście.

— Ze specyfikacją, oficjalnym zamówieniem i tak dalej?

— Tak.

— A testy?

— W Guantanamo.

— Żyjemy podobno we wspaniałym kraju?

258

Facet nie odezwał się.

— Są jakieś efekty uboczne? — zapytałem.

— Nie ma.

— Na pewno? Wiesz, dlaczego pytam.

Facet pokiwał głową. Wiedział, dlaczego pytam. Skończyły mi się kable komputerowe, więc mając go przez cały czas na oku, znalazłem pistolet i załadowałem. To ostatnie było czymś w rodzaju łamigłówek. Nie byłem za pan brat z technologią. Musiałem opierać się wyłącznie na zdrowym rozsądku i logice. Mechanizm spustowy uwalniał najwyraźniej gaz. Gaz nadawał prędkość strzałce. A pistolety są generalnie prostymi urządzeniami. Mają przód i tył. Przyczyna i skutek następują po sobie w racjonalnej kolejności. Opanowałem całą sztukę w ciągu czterdziestu sekund.

— Chcesz się położyć na podłodze? — zapytałem.

Facet nie odpowiedział.

— Wiesz, żeby nie rozbić sobie głowy — wyjaśniłem.

Facet położył się na podłodze.

— Masz jakieś specjalne życzenie co do miejsca? W rękę? W nogę?

— Najlepiej działa tam, gdzie jest duża masa mięśniowa — odparł.

— Więc obróć się — powiedziałem i kiedy to zrobił, strzeliłem mu w tyłek.

•••

Następnie załadowałem jeszcze dwukrotnie pistolet i naszpikowałem strzałkami dwóch agentów, którzy mogli się wkrótce obudzić. To dało mi co najmniej osiem godzin, chyba że wybierali się do nas jacyś niespodziewani goście. Albo agenci musieli dzwonić co godzina, żeby złożyć raport. Względnie był już w drodze samochód, który miał nas zabrać do

Waszyngtonu. Te obawy sprawiły, że byłem tylko w połowie zrelaksowany. Zabrałem łom do pomieszczenia z celami. Jacob Mark spojrzał na mnie i nic nie powiedział.

259

— Na Ósmej Ulicy sprzedają teraz takie buty? — zdziwiła się Theresa Lee.

Nie odpowiedziałem. Obszedłem po prostu jej celę, wsadziłem pod nią płaską końcówkę łomu, po czym oparłem się o niego z drugiej strony i poczułem, że cała konstrukcja trochę się rusza. Podniosła się na ułamek cala, niewiele więcej, niż wynosi naturalna sprężystość metalu.

— To głupota — stwierdziła Lee. — To jest wolno stojąca klatka. Możesz ją przewrócić, aleja nadal będę siedzieć w środku.

— Właściwie nie jest wolno stojąca — odparłem.

— Nie jest przyśrubowana do podłogi.

— Jest podłączona do kanalizacji. Pod sedesem.

— Czy to pomoże?

— Mam nadzieję. Jeśli ją przechylę, a przyłączy się utrzyma, wtedy podłoga się rozerwie i będziesz mogła się wyczołgać.

— Czy przyłączy się utrzyma?

— Nie wiadomo. To coś w rodzaju meczu.

— Między kim i kim?

— Między dziewiętnastowiecznymi przepisami i leniwymi spawaczami realizującymi rządowy kontrakt w dwudziestym pierwszym wieku. Widzisz, że płyta podłogowa nie jest przy-spawana na całej długości? Spawy są tylko w niektórych miejscach.

— Na tym polega spawanie punktowe.

— Uważasz, że jest mocne?

— Dosyć mocne. Mocniejsze od rury kanalizacyjnej.

— Niekoniecznie. W dziewiętnastym wieku w Nowym Jorku ludzie chorowali na cholera. To była duża epidemia, zabiła wiele osób. Ojcowie miasta odkryli w końcu, że powoduje ją picie wody skażonej przez przeciekające szamba. Zbudowali więc porządną kanalizację. I określili, jakie standardy powinny spełniać rury i łączniki. Te standardy nadal obowiązują, po wszystkich tych latach. Rura taka jak ta ma kryzę przy podłodze. Założę się, że jest mocniejsza niż te punktowe spawy. Ci dziewiętnastowieczni budowlańcy woleli dmuchać na zimne. W przeciwień-

260

stwie do współczesnych firm łąszących się na pieniądze Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Lee przez chwilę milczała, a potem uśmiechnęła się półgębkiem.

— Więc albo ucieknę z rządowego aresztu, albo wyrwiemy rurę z podłogi. Tak czy owak znajdę się po uszy w gównie.

— Zgadza się.

— Wspaniały wybór.

— Decyzja należy do ciebie — powiedziałem.

— Spróbujmy.

Dwa pokoje dalej zaczął dzwonić telefon.

Uklęknąłem i wsunąłem końcówkę łomu tam, gdzie powinienem ją wsunąć, czyli pod dolny horyzontalny pręt klatki, ale nie aż tak daleko, by znalazła się również pod płytą podłogową. Następnie kopnąłem łom nieco w bok, aż znalazł się bezpośrednio pod jednym ze spawów. Siła nacisku powinna być stąd przenoszona w górę za pośrednictwem pionowych prętów. Telefon dwa pokoje dalej przestał dzwonić.

— Stań na sedesie — powiedziałem do Lee. — Postaraj się go maksymalnie obciążyć.

Wdrapała się na toaletę i stanęła na niej na rozstawionych nogach. Ja skasowałem cały luz pod łomem, po czym oparłem się o niego mocno i trzy razy podskoczyłem. Dwieście pięćdziesiąt funtów wagi pomnożone przez sześćdziesiąt cali dźwigni. Wydarzyły się trzy rzeczy. Po pierwsze, łom wykuł wąską bruzdę w betonie pod klatką, co nie miało dla nas znaczenia. Po drugie, cała złożona z prętów konstrukcja zmieniła nieco kształt, co również nie miało dla nas znaczenia. Po trzecie jednak, jasna kropla metalu oderwała się od prętu i potoczyła w bok.

— To był spaw — zawołała Lee. — Taki, jaki robią przy spawaniu punktowym. Przesunąłem łom dwanaście cali w lewo i umieściłem go pod kolejnym pionowym prętem. Podważyłem go, skasowałem luz i podskoczyłem. Te same trzy rezultaty. Zgrzyt żłobionego betonu, skrzywienie wyginających się prętów i brzęk kolejnej oderwanej metalowej kropki.

261

Dwa pokoje dalej zaczął dzwonić drugi telefon. Miał inny ton. Bardziej naglący. Cofnąłem się i głęboko odetchnąłem. Wsunąłem łom w nowe miejsce, tym razem dwie stopy na prawo. Powtórzyłem całą procedurę i w nagrodę udało mi się zerwać kolejny spaw. Trzy zerwane, o wiele więcej do zerwania. Ale w miejscach, w których łom wygiął poziomy pręt w kształcie litery U, miałem teraz uchwyty dla rąk. Odłożyłem łom, przykucnąłem twarzą do celi i wsunąłem od dołu dłonie w uchwyty. Zacisnąłem je mocno na pręcie i przygotowałem się do dźwignięcia w górę. Kiedy przestałem oglądać olimpiady, ciężarowcy podnosili ponad pięćset funtów. Oceniałem, że sam jestem w stanie podnieść znacznie mniej. Ale chyba i znacznie mniej mogło wystarczyć.

Dwa pokoje dalej przestał dzwonić drugi telefon.

I zaczął dzwonić trzeci.

Dźwignąłem pręt w górę.

Bok klatki uniósł się mniej więcej jedną stopę nad posadzkę. Stalowa płyta zaskrzypiała i wygięła się niczym papier. Ale spawy trzymały. Trzeci telefon przestał dzwonić.

— Skacz! — powiedziałem bezgłośnie do Lee.

Natychmiast zorientowała się, o co chodzi. Była bystrą kobietą. Podskoczyła wysoko w górę i wylądowała bosymi stopami tam, gdzie były dwa spawy. Nie wyczułem nic przez dłonie. Żadnego uderzenia ani wstrząsu. Ponieważ spawy natychmiast odpadły i płyta podłogowa wygięła się, formując coś w rodzaju rynny szerokości i głębokości jednej stopy. Coś w rodzaju otwartych ust. Co było dobre, ale niewystarczające. Mógł się przez nią przecisnąć dzieciak, lecz nie Lee.

Wykazaliśmy jednak, że kierujemy się słuszną zasadą. Jeden zero dla dziewiętnastowiecznych ojców miasta.

Dwa pokoje dalej zaczęły jednocześnie dzwonić wszystkie trzy telefony, współzawodnicząc ze sobą.

Złapałem ponownie oddech. Teraz chodziło już tylko o powtórzenie kilka razy potrójnej procedury, po dwa spawy naraz. Łom, podnoszenie ciężarów, skok. Lee nie była dużą kobietą,

262

lecz musieliśmy oderwać spawy na długości prawie sześciu stóp, nim podłoga wygięła się w wystarczającym stopniu, by mogła wyjść. Wynikało to z prostej arytmetyki. Prosta krawędź podłogi zmieniła się we fragment okręgu, w stosunku jeden do trzech na naszą niekorzyść.

Cała czynność zajęła nam dużo czasu. Prawie osiem minut. Ale w końcu się udało. Lee położyła się na plecach i wysunęła z klatki nogami naprzód, niczym tancerka limbo. W trakcie tego manewru podwinęła jej się koszula, odsłaniając gładki opalony brzuch.

Wyczołgawszy się, stanęła na nogi i uściskała mnie mocno i dłużej, niż to było niezbędne. Kiedy się odsunęła, wytarłem dłonie w spodnie i przez minutę odpoczywałem.

Następnie powtórzyliśmy to samo z klatką Jacoba Marka.

Dwa pokoje dalej telefony dzwoniły i milkły, dzwoniły i milkły.

47

Szybko się stamtąd wynieśliśmy. Theresa Lee zabrała buty głównego agenta. Były na nią za duże, ale tylko trochę. Jacob Mark przebrał się w rzeczy laboranta. Obawiał się, że facet w niekompletnym mundurze policjanta będzie się rzucał w oczy, i chyba miał rację. Warto było zaczekać, aż się przebierze. Wyglądał o wiele lepiej w płóciennych spodniach, T-shircie i tenisówkach. Pasowały na niego prawie idealnie. Spodnie miały z tyłu krwawą plamkę wielkości jednocentówki, ale był to ich jedyny minus. Laboranta zostawiliśmy śpiącego w bieliźnie.

Następnie wyszliśmy na zewnątrz. Po schodach, po zaśmieconej podłodze i alejką do Trzeciej Ulicy. Było tłoczno i nadal ciepło. Skręciliśmy w lewo. Bez specjalnego powodu. Wybór był przypadkowy, ale szczęśliwy. Po przejściu mniej więcej pięciu kroków usłyszałem za sobą głośny dźwięk klaksonu i pisk opon i kiedy się obejrzałem, zobaczyłem czarny samochód zatrzymujący się po drugiej stronie remizy. Ford crown victoria, nowy i lśniący. Wyskoczyło z niego dwóch facetów. Widziałem ich już wcześniej i byłem pewien, że Theresa Lee też. Niebieskie garnitury, niebieskie krawaty. FBI. Rozmawiali z Lee w budynku komisariatu, a ze mną na Trzydziestej Piątej Ulicy. Pytali mnie o numery kanadyjskich telefonów. Teraz podbiegli do wylotu alejki dwadzieścia stóp za nami i skręcili w nią. W ogóle nas

264

nie zobaczyli. Ale gdybyśmy skręcili w prawo, wpadlibyśmy prosto na nich, kiedy wysiadali z samochodu. Więc mieliśmy szczęście. Uczciliśmy to, przyspieszając kroku i zmierając prosto w stronę Szóstej Alei. Jacob Mark dotarł tam pierwszy. Jako jedyny z nas miał porządne buty.

Przecieliśmy Szóstą Aleję, przez jakiś czas szliśmy Bleecker Street i w końcu znaleźliśmy schronienie na Comelia Street, ciemnej, względnie spokojnej i pustej, jeśli nie liczyć ludzi, którzy siedzieli w ogródkach kafeterii. Trzymaliśmy się od nich z daleka, a oni nie zwracali na nas uwagi. Byli bardziej zainteresowani swoim jedzeniem. Nie winiłem ich za to. Miało przyjemny zapach. Byłem nadal głodny, nawet po kanapkach z salami i serem. Dotarliśmy do cichego końca ulicy i zrobiliśmy tam inwentaryzację. Lee i Jake nie mieli nic. Wszystkie ich rzeczy zostały w remizie. Ja miałem to, co zabrałem ze stołu w drugim pokoju, przede wszystkim pieniądze, kartę bankomatową, kartę miejską oraz komórkę Leonida. Jeśli chodzi o gotówkę, miałem czterdzieści trzy dolary. Na karcie miejskiej zostały mi cztery przejazdy. Bateria w komórce Leonida była na wyczerpaniu. Zgodziliśmy się, że różne systemy komputerowe namierzają już numer mojej karty bankomatowej i numer komórki Leonida. Gdybyśmy ich użyli, ktoś wiedziałby o tym już po kilku sekundach. Specjalnie się tym nie przejąłem. Informacja, jeśli ma zaszkodzić, musi być użyteczna. Gdybyśmy uciekli z remizy przy Zachodniej Trzeciej i trzy dni później podjęli gotówkę w Oklahoma City albo w Nowym Orleanie, albo w San Francisco, ta informacja byłaby ważna. Fakt, że podejmujemy gotówkę w odległości kilku przecznic od remizy, zaraz po ucieczce, nie mówił im niczego, czego by wcześniej nie wiedzieli. A w Nowym Jorku jest tyle nadajników telefonii komórkowej, że triangulacja jest trudna. Zlokalizowanie terenu o wielkości stadionu jest użyteczne na odludziu. W mieście już nie tak bardzo. Kwadrat o boku dwóch przecznic może zamieszkiwać pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Jego przeszukanie może zająć dwa dni.

Ruszyliśmy więc dalej, znaleźliśmy bankomat w jaskrawo-

265

niebieskim przedsionku banku i podjąłem tam maksymalną ilość gotówki, jaką mogłem podjąć, to znaczy trzysta dolarów. Najwyraźniej miałem limit dzienny. I bankomat się nie śpieszył. Może robił to celowo. Banki współpracują z policją. Włączają alarm i spowalniają transakcję. Chodzi o to, żeby dać czas gliniarzom na dojazd. Być może w pewnych miejscach jest to możliwe. Ale nie w dużych miastach, gdzie jest spory ruch. Bankomat czekał i czekał,

ale w końcu wypłuł banknoty. Wziąłem je i uśmiechnąłem się do maszyny. Większość ma wbudowane kamery podłączone do cyfrowych nagrywarek.

Ruszyliśmy dalej i Lee wydała dziesięć moich nowych dolarów w delikatesach. Kupiła awaryjną ładowarkę do komórek zasilaną przez baterię paluszek. Podłączyła do niej telefon Leonida i zadzwoniła do swojego partnera Docherty'ego. Było dziesięć po dziesiątej i facet powinien właśnie wychodzić do pracy. Nie odebrał. Lee zostawiła wiadomość, po czym wyłączyła telefon. Powiedziała, że komórki mają wbudowane GPS-y. Nie wiedziałem o tym. Poinformowała mnie, że GPS-y wysyłają sygnał co piętnaście sekund i można je namierzyć z dokładnością do piętnastu stóp. I że dane z satelitów GPS są znacznie precyzyjniejsze niż to, co można uzyskać z triangulacji. W związku z tym kiedy korzysta się z komórek podczas ucieczki, trzeba je włączać na krótką chwilę przed opuszczeniem jednego miejsca i przeniesieniem się w inne. Dzięki temu ci, którzy namierzają ściganych za pomocą GPS-u, są zawsze jeden krok z tyłu.

Ruszyliśmy więc dalej. Zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę, że ulicami jeżdżą radiowozy. Widzieliśmy ich dość sporo. Nowojorska policja to duża firma. Największa policyjna organizacja w Ameryce. Może i na całym świecie. Przecieliśmy, idąc na północ, Washington Square Park, po czym skręciliśmy na wschód i znaleźliśmy hałaśliwe bistro w samym środku Uniwersytetu Nowego Jorku. W mrocznym wnętrzu roiło się od studentów. Część dań, które tu oferowano, dało się rozpoznać. Byłem głodny i nadal odwodniony. Domyślałem się, że mój organizm nadal zмага się z podwójną dawką barbituranów. Wypiłem kilka

266

szklanek kranowy i zamówiłem koktajl jogurtowo-owocowy. Plus hamburger i kawę. Jake i Lee nic nie zamówili. Stwierdzili, że są zbyt roztrzęsieni, by jeść.

— Lepiej powiedz nam, co tu jest dokładnie grane — powiedziała Lee.

— Wydawało mi się, że nie chcecie wiedzieć — odparłem.

— Przekroczyliśmy już tę granicę.

— Nie pokazali legitymacji. Mieliście prawo uznać, że zatrzymanie przeprowadzono nielegalnie. W takim wypadku wydostanie się stamtąd nie było przestępstwem.

Przypuszczalnie było nawet waszym obowiązkiem.

Lee potrząsnęła głową.

— Wiem, kim byli, bez względu na to, czy się wylegitymowali, czy nie — powiedziała.

— I nie martwi mnie to, że stamtąd uciekliśmy. Martwię się o buty. To mnie pogrąży. Stałam nad tym facetem i skradłam mu obuwie. Patrzyłam mu w twarz. To jest działanie z premedytacją. Powiedzą, że miałam czas, żeby się zastanowić i zareagować we właściwy sposób.

Spojrzałem na Jake'a, żeby zobaczyć, czy chce się w to włączyć, czy też nadal uważa, że jego uwolnienie to szczęśliwe zrządzenie losu. Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że skoro już w to wdepnął, musi ponieść konsekwencje. Zaczekałem więc, aż kelnerka postawi na stoliku wszystko, co zamówiłem, i opowiedziałem im wszystko, co wiedziałem. O Sansomie i o tym, co zdarzyło się w marcu 1983 roku w dolinie Korengal. Ze wszystkimi szczegółami i implikacjami.

— Amerykańskie oddziały są w dolinie Korengal w tej chwili — powiedziała Lee. — Czytałam o tym niedawno w jakimś czasopiśmie. To się chyba nigdy nie skończy. Mam nadzieję, że radzą sobie lepiej niż Rosjanie.

— To byli Ukraińcy — uściśliłem.

— Jaka to różnica?

— Zdaniem Ukraińców całkiem duża. Rosjanie rzucili swoje mniejszości na pierwszą linię frontu i mniejszościom wcale to się nie podoba.

267

— Rozumiem, że tamten incydent mógł doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej — powiedział Jake. — To znaczy w tamtym czasie. Ale minęło już ćwierć wieku. Związek Radziecki nie istnieje. Jak państwo może być z czegoś niezadowolone, skoro go w ogóle nie ma?

— Geopolityka — odparła Lee. — Chodzi o przyszłość, nie o przeszłość. Może chcemy robić teraz podobne rzeczy w Pakistanie, Iranie lub gdziekolwiek. Jeśli świat się dowie, że robiliśmy to wcześniej, to inaczej ustawią całą sprawę. Powoduje uprzedzenia. Wiesz o tym. Jesteś gliniarzem. Podoba ci się, kiedy nie możemy mówić w sądzie o poprzednich wyrokach?

— Więc jak duża jest waszym zdaniem ta afera? — zapytał Jake.

— Bardzo duża — odparła Lee. — Przynajmniej dla nas. Bo ogólnie rzecz biorąc, jest nadal mała. Paradoks, prawda? Rozumiecie, o co mi chodzi? Jeśli o czymś wiedzą trzy tysiące ludzi, nie można na to nic poradzić. Albo nawet trzystu. Czy trzydziestu. Informację trzeba ujawnić, koniec kropka. Ale w tym momencie wiemy o tym tylko my troje. To mało. Dość mało, żeby zdusić rzecz w zarodku. Mogą sprawić, że troje ludzi zniknie i nikt tego nie zauważy.

— Jak?

— To się zdarza, wierz mi. Kto się nami przejmie? Nie jesteś żonaty. Ja nie jestem mężatką. — Lee spojrzała na mnie. — Jesteś żonaty, Reacher?

Potrząsnąłem głową.

— Nie ma nikogo, kto by o nas pytał — powiedziała po chwili.

— A ludzie, z którymi pracujemy? — zapytał Jake.

— Na policji robią to, co im każą.

— To jest chore — stwierdził Jake.

— Taki jest nowy świat.

— Myślisz, że naprawdę by to zrobili?

— To wynika z analizy kosztów. Z jednej strony trzy niewinne osoby, z drugiej niebezpieczeństwo narażenia na szwank dużego geopolitycznego układu. Co byś zrobił?

268

— Mamy swoje prawa.

— Mieliśmy.

Jake nic na to nie odpowiedział. Wysączyłem do końca kawę i popiłem ją kolejną szklanką kranówki. Lee poprosiła o rachunek, zaczekała, aż zapłacę, po czym włączyła z powrotem komórkę Leonida, która odegrała na powitanie cichą wesołą melodyjkę i zalogowała się do sieci. Dziesięć sekund później sieć rozpoznała ją i zasygnalizowała, że w skrzynce czeka wiadomość tekstowa. Lee wcisnęła odpowiedni przycisk i zaczęła ją przewijać.

— Od Docherty'ego — rzekła. — Jeszcze mnie nie skreślił.

Następnie czytała i przewijała, czytała i przewijała. Liczyłem w pamięci piętnastosekundowe interwały, wyobrażając sobie GPS wysyłający po każdym z nich informację dla nich wszystkich, mówiącą: „Tu jesteśmy! Tu jesteśmy!”. Naliczyłem ich dziesięć. Sto pięćdziesiąt sekund. Dwie i pół minuty. To był długi SMS. I sądząc po minie Lee, dużo było w nim złych wiadomości. Jej usta zacisnęły się, oczy zwęziły. Sprawdziła ponownie kilka wcześniejszych fragmentów, po czym wyłączyła z powrotem telefon i oddała mi go. Włożyłem go do kieszeni.

— Miałaś rację — powiedziała, patrząc mi prosto w oczy. — Tych facetów znalezionych pod estakadą FDR Drive wynajęła Lila Hoth. Zgaduję, że policjanci z siedemnastego posterunku zadzwonili do wszystkich, którzy byli w książce telefonicznej, i sprawdzili tych, którzy nie odpowiedzieli. Włamali się do ich biura i znaleźli billingi rozmów z Lilą Hoth mieszkającą w hotelu Four Seasons.

Nie odezwałem się.

— Ale jest jeszcze coś innego — dodała. — Te rozmowy zaczęły się nie trzy dni, ale trzy miesiące temu. I są również inne dane. Służba graniczna nie odnotowała, żeby granicę Stanów kiedykolwiek przekroczyły dwie kobiety o nazwisku Hoth. Z całą pewnością nie na pokładzie British Airways trzy dni temu. A Susan Mark nigdy nie dzwoniła do Londynu. Ani z pracy, ani z domu.

48

Najważniejsze było, żeby po skorzystaniu z telefonu przemieszczać się dalej. Ruszyliśmy na północ Broadwayem. Przejeżdżające taksówki i radiowozy omiatały nas światłami reflektorów. Dotarliśmy do Astor Place, zeszliśmy do metra, skasowaliśmy trzy z czterech pozostałych na mojej karcie przejazdów i wsiedliśmy do pociągu linii sześć jadącego na północ. Tam, gdzie się to wszystko zaczęło. Kolejny lśniący nowością wagon R142A. Była jedenasta w nocy i oprócz nas podróżowało nim osiemnastu pasażerów. Siedliśmy razem na jednej z osmiomiejscowych ławek, Lee pośrodku. Siedzący po jej lewej stronie Jake odwrócił się do nas i pochylił głowę, gotów do cichej rozmowy. Ja zrobiłem to samo po jej prawej stronie.

— Więc co tu jest grane? — zapytał Jake. — Czy Lila i Swietłana Hoth nie są tymi, za kogo się podają? A może to władze zacierają ślady, kasując wszystkie dane?

— Możliwe jest jedno i drugie — odparła Lee.

— Hoth nie są tymi, za kogo się podają — powiedziałem.

— Jesteś tego pewien czy tylko ci się wydaje?

— Na Penn Station wszystko odbyło się zbyt gładko.

— To znaczy?

— Podpuścili mnie. Leonid pozwolił, żebym go zobaczył. Miał na sobie kurtkę, która w świetle jarzeniówek wydawała się

270

jasnopomarańczowa. Praktycznie w tym samym kolorze co kamizelki robotników kolejowych, których ostatnio widziałem. To przyciągnęło mój wzrok. A potem pozwolił, żebym go uderzył. Ponieważ miałem mu zabrać telefon i dowiedzieć się o hotelu Four Seasons. Manipulowali mną. Cała ta historia jest wielowarstwowa. Mieli zamiar ze mną porozmawiać, ale nie chcieli, żebym cokolwiek zobaczył. Nie chcieli się przede mną czymkolwiek zdradzić. Więc zaaranżowali na mój użytek całe przedstawienie. Zwabili mnie do hotelu i spróbowali miękkiego, miłego podejścia. Nieporadny facet na dworcu kolejowym, a potem sama słodycz. Mieli nawet plan awaryjny polegający na tym, że pójda na posterunek i zgłoszą zaginięcie. Tak czy inaczej miałem się w końcu zgłosić.

— Czego od ciebie chcieli?

— Informacji, którą miała im przekazać Susan.

— Informacji o czym?

— Nie wiem.

— Kim są?

— Nie są dziennikarzami — odparłem. — Tu się chyba pomyliłem. Lila gra różne role. Nie wiem, kim jest naprawdę.

— A ta stara? Kim jest naprawdę?

— Nie mam pojęcia.

— Gdzie są teraz? Wymeldowały się z hotelu.

— Od początku miały jakieś inne lokum. Grały na dwa fronty. Na publiczny i na prywatny użytek. Więc nie wiem, gdzie są teraz. Na pewno w tym drugim miejscu. A ono bez wątplenia jest bezpieczne i można w nim długo siedzieć. Zapewne gdzieś tu w mieście. Może w oddzielnym domu. Bo mają własną ekipę. Prawdziwych drani. Ci prywatni detektywi mieli rację. Przekonali się o tym na własnej skórze, okładani młotkami.

— Więc Hoth też zacierają za sobą ślady — powiedziała Lee.



— Czas przeszły, nie teraźniejszy — odparłem. — Już je zatarły. Zasyły się w jakimś miejscu i nie żyje nikt, kto wie, gdzie to jest.

271

Pociąg zatrzymał się przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Drzwi się otworzyły. Nikt nie wsiadł. Nikt nie wysiadł. Theresa Lee wpatrywała się w podłogę. Jacob Mark spojrział w moją stronę.

— Skoro straż graniczna nie ma pojęcia, kiedy Lila Hoth przekroczyła granicę Stanów — powiedział — nie mogą też wiedzieć, czy pojechała, czy nie pojechała do Kalifornii. To znaczy, że z Peterem to mogła być ona.

— Tak — odparłem. — To mogła być ona.

Drzwi się zamknęły. Pociąg ruszył dalej.

Theresa Lee podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

— To, co się przytrafiło tym czterem facetom, to była twoja wina — powiedziała. — Mówię o pobiciu młotkami. Konkretnie twój a wina. Powiedziałeś Liii, że o nich wiesz. Wystawiłeś ich na odstrzał.

— Dzięki, że zwróciłaś mi na to uwagę — odparłem.

Doprowadził ją pan do ostateczności.

To była twoja wina.

Pociąg wjechał na stację przy Dwudziestej Ósmej Ulicy. •••

Wysiedliśmy przy Trzydziestej Trzeciej Ulicy. Nie chcieliśmy dojeżdżać do Grand Central. Za dużo glin, a u Jacoba Marka dworzec mógłby wywołać za dużo negatywnych skojarzeń. Na poziomie ulicy Park Avenue była zatłoczona. W ciągu pierwszej minuty minęły nas dwa radiowozy. Na zachód od nas stał Empire State Building. Za dużo glin. Skręciliśmy z powrotem na południe i znaleźliśmy cichą uliczkę prowadzącą do Madison Avenue. Czułem się dość dobrze. Przespałem szesnaście z ostatnich siedemnastu godzin i nie chciało mi się jeść ani pić. Ale Lee i Jake byli podłamani. Nie mieli dokąd pójść i nie byli do tego przyzwyczajeni. Nie ulegało wątpliwości, że nie mogą wrócić do domu. Nie mogli też pójść do żadnych znajomych. Musieliśmy założyć, że wszyscy ludzie, których bliżej znali, są obserwowani.

— Potrzebny nam jakiś plan — oświadczyła Lee.

Podobała mi się okolica, w której się znaleźliśmy. W Nowym Jorku są setki małych zakątków o niepowtarzalnym klimacie.

272

Zapachy i szczegóły zmieniają się z ulicy na ulicę, często z budynku na budynek. Park i Madison Avenue powyżej Dwudziestej Ulicy są miejscami zaniedbane. Łączące je ulice zeszyły na psy. Może niegdyś były bardziej szacowne i może kiedyś znowu będą, ale w tym momencie można się tam poczuć całkiem swobodnie. Schowaliśmy się w przejściu pod rusztowaniami i obserwowaliśmy pijaków wracających chwiejnym krokiem do domu i ludzi z pobliskich kamienic wyprowadzających psy na wieczorny spacer. Zobaczyliśmy faceta z dogiem wielkości kucyka i dziewczynę z rat terierem wielkości głowy doga. Bardziej spodobał mi się terier. Mały pies, wielka osobowość. Liliput miał się za władcę świata. Zaczekaliśmy, aż zegar wybije północ, i wyruszyliśmy na poszukiwanie odpowiedniego hotelu. Ten, który znaleźliśmy, mieścił się w wąskim budynku i miał niemodny szyld oświetlony słabymi żarówkami. Robił wrażenie trochę obscurnego i brudnego. I był mniejszy od tych, które preferowałem. Większe hotele są lepsze. Jest tam większa szansa znalezienia pustego pokoju, większa anonimowość, słabszy nadzór. Ogólnie jednak miejsce wydawało się odpowiednie.

Uznałem, że powinna się w nim udać sztuczka za pięćdziesiąt dolarów.

Może nawet wystarczy czterdzieści.

•••

Ostatecznie musieliśmy zapłacić aż siedemdziesiąt pięć, pewnie dlatego, że nocny portier doszedł do wniosku, iż mamy chęć na trójkącik. Może z powodu tego, jak patrzyła na mnie Theresa Lee. Coś działo się w jej oczach. Nie byłem pewien, co dokładnie. Ale nocny portier wyczuł najwyraźniej, że może podnieść stawkę. Pokój, który nam dał, był mały, na tyłach budynku i miał dwa podwójne łóżka i wąskie okno wychodzące na szyb wentylacyjny. Nikt nie reklamowałby go w turystycznej broszurze, ale robił wrażenie bezpiecznego i zakamuflowanego i widziałem, że Lee i Jake chętnie spędzą w nim noc. Jednocześnie jednak zdawałem sobie sprawę, że żadne z nich nie ma ochoty spędzać tu dwóch, pięciu czy dziesięciu nocy.

273

- Potrzebujemy pomocy. Nie możemy tak żyć w nieskończoność — powiedziała Lee.
- Możemy, jeśli będziemy chcieli — odparłem. — Ja żyję tak od dziesięciu lat.
- No dobrze, normalna osoba nie może tak żyć w nieskończoność. Potrzebujemy pomocy. Ten problem sam się nie rozwiąże.
- Dlaczego nie? — zaproponował Jake. — Mówiłaś o tym wcześniej. Jeśli dowie się o tym trzy tysiące ludzi, rzecz przestanie być problemem. Więc musimy tylko powiedzieć trzem tysiącom ludzi.
- Jednemu po drugim?
- Nie. Powinniśmy zadzwonić do gazet.
- Myślisz, że nam uwierzą?
- Jeśli będziemy przekonujący.
- Myślisz, że o tym napiszą?
- Dlaczego mieliby tego nie zrobić?
- Kto wie, jak funkcjonują teraz gazety? Może w takich sytuacjach zwracają się do władz? Może władze powiedzą im, żeby niczego nie ujawniali.
- A jak to się ma do wolności prasy?
- Tak, pamiętam, było kiedyś coś takiego—powiedziała Lee.
- Więc kto nam, do diabła, pomoże? — zapytał Jake.
- Sansom — rzekłem zdecydowanym tonem. — Sansom nam pomoże. Dużo w to zainwestował.
- Sansom reprezentuje władzę. Miał swojego faceta, który śledził Susan.
- Bo ma sporo do stracenia. Możemy to wykorzystać. — Wyjąłem z kieszeni komórkę Leonida i rzuciłem ją na łóżko obok Theresy Lee. — Wyślij rano SMS-a Docherty'emu — powiedziałem. — Niech ci poda numer Cannon House w Waszyngtonie. Zadzwoni do biura Sansoma i powiedz, że chcesz z nim osobiście mówić. Powiedz, że pracujesz w nowojorskiej policji i jesteś razem ze mną, że wiemy, kim był ten facet w metrze. Powiedz, że Medal za Wybitną Służbę nie został mu przyznany za zdobycie karabinu YAL. Że chodziło o coś więcej.

49

Theresa Lee wzięła do ręki telefon i przez chwilę trzymała go tak, jakby to był drogocenny klejnot.

- Dlaczego sądzisz, że chodziło o coś więcej? — zapytała, kładąc go na nocnej szafce.
- Musi być coś więcej. Sansom dostał cztery medale, nie tylko jeden — odparłem. — Był facetem do specjalnych poruczeń. Musiał robić najróżniejsze rzeczy.
- Na przykład co?
- Wszystko, co trzeba było zrobić. Dla tego, kto chciał, żeby to zostało zrobione. Nie mówię tylko o wojsku. Żołnierze Deltę byli od czasu do czasu oddelegowywani gdzie indziej. Czasami do CIA.
- I co robili?
- Uczestniczyli w tajnych interwencjach. Zamachach. Zabójstwach.

— Marszałek Tito zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym w Jugosławii. Myślisz, że to sprawka Sansoma?

— Nie, myślę, że Tito zachorował. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby istniał plan awaryjny na wypadek, gdyby nie zmoęła go choroba.

— Breżniew zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim. W ZSRR. A potem Andropow, zaraz po nim. I Czer-nienko, naprawdę szybko. Prawdziwa epidemia.

275

— Jesteś historyczką?

— Historyczką amatorką. Ale tak czy inaczej wszystko to doprowadziło do Gorbaczowa i postępu. Myślisz, że to nasza sprawka? Że to Sansom?

— Może — odparłem. — Nie wiem.

— Tak czy inaczej żadna z tych spraw nie wiąże się z tym, co stało się w marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku w Afganistanie.

— Zastanów się. Trafienie po ciemku na sowieckiego snajpera to prawdziwy los na loterii. Myślisz, że wysyłaliby takiego asa jak Sansom, by błąkał się po górach w nadziei, że mu się uda? W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto wróciłby z pustymi rękoma. To zbyt wielkie ryzyko dla tak mizernego zysku. W ten sposób nie planuje się misji. Misja powinna mieć cel, który jest wykonalny.

— Wiele z nich kończy się klęską.

— Oczywiście. Ale wszystkie mają na początku realistyczny cel. Bardziej realistyczny niż błąkanie się po liczącym tysiąc mil kwadratowych górzystym terenie w nadziei, że dojdzie do przypadkowego spotkania twarzą w twarz. Musiało się tam wydarzyć coś innego.

— To, co mówisz, jest mało konkretne.

— Jest coś więcej — odparłem. — Coś bardziej konkretnego. Od kilku dni rozmawiam z ludźmi. I uważnie ich słucham. Część z tego, co usłyszałem, nie ma sensu. Ci agenci federalni naskoczyli na mnie w budynku Watergate w Waszyngtonie. Zapytałem ich, co się dzieje. Ich reakcja była dziwaczna. Tak jakby niebo miało się nam zawalić na głowy. To zupełnie niewspółmierne do jakiegoś technicznego przewinienia sprzed dwudziestu pięciu lat.

— Geopolityka nie jest prosta.

— Zgadza się. I nie będę udawał, że jestem w tej dziedzinie ekspertem. Mimo to wydawało mi się to grubą przesadą.

— To nadal nic konkretnego.

— Rozmawiałem z Sansomem w Waszyngtonie. W jego

276

biurze. Cała ta historia niedobrze mu się kojarzy. Wprawia go w smutek i w zakłopotanie.

— Mamy kampanię wyborczą.

— Ale zdobycie karabinu powinno stanowić powód do dumy, prawda? Nie ma się czego wstydzić. O to przecież chodzi w wojsku: o odwagę i refleks. Więc jego reakcja była niewłaściwa.

— To nadal żaden konkret.

— Znał nazwisko snajpera. Grigorij Hoth. Z jego nieśmiertelnika. Sądziłem, że zabrał go na pamiątkę. Odparł, że nie, że nieśmiertelniki są zamknięte razem z raportem i całą resztą. Zabrzmiało to tak, jakby niepotrzebnie się wygadał. „I całą resztą”? Co to miało znaczyć? Lee się nie odezwała.

— Mówiliśmy o tym, co spotkało snajpera i obserwatora — dodałem. — Sansom powiedział, że nie miał broni z tłumikiem. Tu po raz kolejny się sypnął. Delta nie wysyłałaby nikogo na nocną misję bez broni z tłumikiem. Bardzo pilnują takich rzeczy. To świadczy, że historia z karabinem VAL była tylko ubocznym epizodem czegoś innego. Myślałem, że chodzi o karabin. Ale ta historia jest niczym góra lodowa. Jej większa część nadal pozostaje ukryta.

Lee wciąż milczała.

— Potem rozmawialiśmy o geopolityce — kontynuowałem. — Oczywiście dostrzegali zagrożenia. Niepokoił się o Rosję, Federację Rosyjską czy jak tam się teraz nazywają. Uważa, że jest niestabilna. Powiedział, że jeśli wyjdzie na jaw ta część sprawy, która dotyczy Korengal, może być z tego grubsza afera. Rozumiesz? Część sprawy, która dotyczy Korengal? Tu po raz trzeci się wygadał. Przyznawał w ten sposób, że było coś więcej. Bez ogródek.

Lee się nie odezwała.

— Ale co dokładnie? — zapytał Jacob Mark.

— Nie wiem. Jednak cokolwiek to jest, ma kolosalne znaczenie. Lila Hoth od samego początku szukała pendrive'u.

277

A federalni są przekonani, że ten pendrive istnieje. Oświadczyli, że mają za zadanie odzyskać prawdziwy nośnik. Prawdziwy, ponieważ przyjrzeni się mojemu i uznali, że jest tylko rekwizytem. Jest pusty, powiedzieli, a poza tym i tak za mały. Rozumiesz? To znaczy, że chodzi o duże pliki. Dużo informacji.

— Ale Susan nie miała nic przy sobie.

— To prawda. Mimo to wszyscy zakładają, że coś miała.

— Czego może dotyczyć ta informacja?

— Nie mam pojęcia. Tyle że Springfield, ochroniarz Sansoma, rozmawiał ze mną tu w Nowym Jorku, w Sheratonie. W ustronnym miejscu, na korytarzu. Był bardzo spięty. Ostrzegał mnie. Wybrał specyficzną metaforę. Powiedział, że nie wolno nam podnieść niewłaściwego kamienia.

— I co z tego?

— Co się dzieje, kiedy podnosi się kamień?

— Wypelzają spod niego różne rzeczy.

— Otóż to. W czasie teraźniejszym. To nie są rzeczy, które tam po prostu leżą, martwe i zakopane przed dwudziestu pięciu laty. To rzeczy, które roją się i wiją w tym momencie.

Mówimy

o rzeczach, które są nadal aktualne.

•••

Widziałem, że Theresa Lee to wszystko analizuje. Zerknęła na leżącą na nocnej szafce komórkę. Zmrużyła oczy. Domyśliłem się, że układa w myślach treść porannej rozmowy z Sansomem.

— Sansom jest trochę nieostrożny, prawda? — powiedziała. — Często mówi więcej, niż powinien.

— Był przez siedemnaście lat oficerem Deltą — oznajmiłem.

— I co z tego?

— Nie przetrwałby siedemnastu dni, gdyby był nieostrożny.

— Tak?

— Zrobił na mnie wrażenie dobrze zorganizowanego. Panuje nad wszystkim, co ma związek z jego kampanią. Nad tym, jak wygląda, co mówi, jak podróżuje. Zdaje sobie sprawę z wszystkich następstw.

278

— Więc?

— Więc nie sądzę, żeby był nieostrożny.

— Trzy razy się niepotrzebnie wygadał.

— Czy aby na pewno? Nie jestem o tym przekonany — odparłem. — Zastanawiam się, czy raczej nie zastawia pułapki. Czytał moje akta. Byłem dobrym żandarmem, nie różnimy

się tak bardzo wiekiem. Moim zdaniem facet szuka pomocy w każdym miejscu, w którym może ją znaleźć.

— Uważasz, że próbuje cię zwerbować?

— Może — powiedziałem. — Niewykluczone, że rzuca mi te okruszki i obserwuje, czy pójdę ich tropem.

— Dlaczego?

— Ponieważ chce, żeby ta sprawa została z powrotem zamknięta, i nie bardzo widzi, kto mógłby to dla niego zrobić.

— Nie ufa tym facetom z Departamentu Obrony?

— A ty byś im zaufała?

— To nie jest mój świat. Ty byś im zaufała?

— Na długość splunięcia.

— Nie ufa Springfieldowi?

— Ufa mu bezgranicznie. Ale Springfield jest tylko jeden. A Sansom ma duży problem. Więc może uznał, że nie zaszkodzi, jeśli zajmie się tym ktoś jeszcze. Im więcej ludzi, tym weselej.

— A zatem musi nam pomóc.

— Nie musi — odparłem. — Jego możliwości są ograniczone. Ale może być skłonny do pomocy. Dlatego chcę, żebyś do niego zadzwoniła.

— Dlaczego sam do niego nie zadzwonisz?

— Ponieważ nie będzie mnie tu jutro w początkach godzin pracy.

— Nie będzie cię?

— Spotkam się z wami o dziesiątej w Madison Square Park. Kilka przecznic na południe stąd. Uważajcie, kiedy tam będziecie szli.

— Dokąd się wybierasz?

— Na miasto.

279

— Po co?

— Poszukać Liii Hoth.

— Nie znajdziesz jej.

— Pewnie nie. Ale Lila ma swoją ekipę. Może oni znajdą mnie. Jestem pewien, że mnie szukają. I mają moje zdjęcie.

— Chcesz się zabawić w przynętę?

— Jeżeli przyniesie to skutek...

— Szukają cię też na pewno gliniarze. Oraz Departament Obrony i FBI. A także ludzie, o których nigdy nie słyszeliśmy.

— Więc zapowiada się ciekawa noc.

— Uważaj na siebie, dobrze?

— Zawsze to robię.

— Kiedy wychodzisz?

— Teraz.

50

Nowy Jork. Pierwsza w nocy. Najlepsze i najgorsze miejsce na świecie dla ściganego. Nadal było ciepło. Ruch niewielki. Na Madison Avenue chwilami przez dziesięć sekund nie pojawiał się żaden samochód. Na chodnikach nadal widziałem ludzi. Niektórzy spali w bramach albo na ławkach. Inni przemieszczali się zdecydowanym krokiem albo bez celu. Ja przemieszczałem się bez celu. Wybrałem Trzydziątą Ulicę i przeciąłem Park, a następnie Lexington Avenue. Nigdy nie szkolono mnie w sztuce nierzucania się w oczy. Wybierają do tego mniejszych facetów. O typowych rozmiarach. Spojrzeli na mnie i dali sobie spokój. Doszli do wniosku, że faceta moich gabarytów zawsze łatwo będzie zauważyć. Ale jakoś daję

sobie radę. Opanowałem kilka technik. Niektóre z nich kłócą się z potocznym doświadczeniem. Noce są lepsze od dni, ponieważ jest wtedy bardziej pusto. Kiedy ulice są puste, mniej się rzucam w oczy. Dlaczego? Szukając mnie, ludzie szukają dużego faceta. A wielkość łatwiej ocenić, kiedy jest jakaś skala porównawcza. Kiedy ustawi się mnie w tłumie pięćdziesięciu facetów, wyróżniam się, przewyższając ich dosłownie o głowę. Kiedy jestem sam, ludzie nie są już tacy pewni. Nie ma mnie z kim porównać. Ludziom trudno jest wtedy ocenić wielkość. Wiemy to z eksperymentów z naocznymi świadkami. Aranżuje się incydent, pyta o pierwsze wrażenia i ten

281

sam facet ma według jednych pięć stóp i osiem cali, a według innych sześć stóp i cztery cale. Ludzie patrzą, ale nie widzą.

Z wyjątkiem tych, którzy nauczyli się patrzeć.

Zwracałem baczna uwagę na samochody. Jedynym sposobem, żeby znaleźć kogoś z Nowego Jorku, jest jeżdżenie ulicami. Miasto jest po prostu zbyt duże, żeby skuteczna była inna metoda. Niebiesko-białe radiowozy nowojorskiej policji łatwo zauważyć. Stelaże, na których zamocowane są migające światła, widać wyraźnie nawet z daleka. Za każdym razem, kiedy widziałem, że któryś się zbliża, zatrzymywałem się i kładłem w najbliższej bramie. Kolejny bezdomny. W zimie byłoby to mniej przekonujące, ponieważ nie leżałem okryty starymi kocami. Ale nadal było ciepło. Prawdziwi bezdomni wciąż nosili T-shirty.

Trudniej było poznać samochody nieoznakowane. Z przodu wyglądają tak samo jak wszystkie inne, i o to właśnie chodzi. Ale wymogi budżetowe ograniczają wybór policji do określonych marek i modeli. I większość tych pojazdów jest zaniedbanych. Są na ogół brudne i nisko zawieszane.

Z wyjątkiem nieoznakowanych samochodów, którymi jeżdżą federalni. Te same marki, te same modele, ale bardzo często nowe, czyste, wypolerowane i lśniące. Dość łatwo je spostrzec, ale trudniej odróżnić od pewnych innych pojazdów świadczących usługi przewozowe. Firmy wynajmujące limuzyny używają takich samych marek i modeli. Fordów crown vic albo mercury. A szoferzy w liberjach utrzymują swoje samochody w czystości. Spędziłem trochę czasu, leżąc w bramie, żeby chwilę później zobaczyć znaki rejestracyjne z literami T&LC. Taxi and Limou-sine Commision, wydział taksówek i limuzyn. Co trochę mnie frustrowało do momentu, gdy przypomniałem sobie wzmiankę Theresy Lee o jeżdżących fałszywymi taksówkami antyterrorystach z nowojorskiej policji. Od tej chwili wolałem dmuchać na zimne.

Uznałem, że ekipa Liii Hoth będzie korzystać z wynajętych aut, nowych i czystych. Hertz, Avis, Enterprise, czy jakie tam jeszcze nowe firmy się pojawiły. Ponownie miałem tu do

czy-

282

nienia z pewnymi typowymi markami i modelami, w większości krajowymi, ale nowymi, czystymi i w dobrym stanie. Widziałem mnóstwo pojazdów, które pasowały do tego opisu, i mnóstwo, które nie pasowały. Czyniłem wszystko, by nie zauważyli mnie stróże prawa, i wszystko, by dostrzegli mnie ludzie Liii Hoth. Istotna była tu późna pora. Upraszczała sytuację. Pomagała rozstrzygnąć, z kim mam do czynienia. Niewinni przechodnie leżeli w większości w łózkach.

Chodziłem tak przez pół godziny, ale nic się nie wydarzyło.

Aż do wpół do drugiej.

Do momentu, kiedy dotarłem na róg Dwudziestej Drugiej i Broadwayu.

51

Przypadkiem zobaczyłem ponownie dziewczynę z rat terierem. Szła na południe Broadwayem, zmierzając w kierunku Dwudziestej Drugiej Ulicy. Liliput obsikiwał pewne słupki i ignorował inne. Kiedy ich mijałem, zauważył mnie i zaszczekał. Obejrzałem się, żeby

sprawdzić, czy grozi mi z jego strony poważne niebezpieczeństwo i kątem oka zobaczyłem czarnego forda crown victoria przejeżdżającego przez światła na Dwudziestej Trzeciej. Czystego, lśniącego, z zamocowanymi na bagażniku cienkimi antenami, które widać było w świetle reflektorów jadącego trzydzieści jardów za nim samochodu.

Ford zwolnił do prędkości pieszego.

Broadway ma na tym odcinku podwójną szerokość. Wszystkimi sześcioma pasami jedzie się na południe. Za światłami jezdnia przedzielona jest krótką wysepką dla pieszych. Szedłem chodnikiem po lewej stronie. Obok miałem blok mieszkalny. Dalej sklepy. Po prawej stronie, sześć pasów dalej, Flatiron Building. Za nim sklepy.

Prosto przede mną znajdowało się wejście do metra.

Dziewczyna z psem skręciła za mną w lewo i weszła do bloku mieszkalnego. Zobaczyłem siedzącego za biurkiem portiera. Ford zatrzymał się na drugim z sześciu pasów. Samochód jadący za nim minął go i w świetle jego reflektorów zobaczyłem, że

284

w fordzie siedzi z przodu dwóch facetów. Nie poruszali się. Może studiowali moją fotografią, może dzwonili po instrukcje, a może po wsparcie.

Usiadłem na niskim murku okalającym trawnik przed blokiem mieszkalnym. Do wejścia do metra miałem dziesięć stóp.

Ford crown vic nie ruszał z miejsca.

Na południe ode mnie chodnik Broadwayu był szeroki. Blżej sklepów tworzyła go betonowa wylewka. Blżej krawężnika była długa krata wentylacyjna metra. Wąskie zejście do metra, od którego dzieliło mnie dziesięć stóp, prowadziło na południowy koniec stacji przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Linie N, R i W. Peron północny.

Założyłem się sam ze sobą, że bramka wejściowa będzie zaopatrzona w dodatkowe wysokie zapory. Nie założyłem się

0       pieniądze, lecz o coś znacznie ważniejszego. O życie, wolność

1       dążenie do szczęścia.

Czekałem.

Faceci w samochodzie siedzieli nieruchomo.

O wpół do drugiej pociągi chodziły już od dawna według nocnego rozkładu. Co dwadzieścia minut. Nie słyszałem dochodzącego z dołu łoskotu ani szumu powietrza. Śmieci na kracie się nie poruszały.

Przednie koła forda skręciły w bok. Usłyszałem syk jego wspomaganego kierownicy i mlaskanie opon po asfalcie. Chwilę później ford przeciął pod kątem prostym cztery pasy, wyrównał i zatrzymał się przy krawężniku na mojej wysokości.

Dwaj faceci siedzieli dalej w środku.

Czekałem.

Samochód z pewnością należał do jakiejś agencji federalnej. Wzięty z kolumny transportowej. Standardowy model LX, a nie podrasowany Police Interceptor. Czarna karoseria, plastikowe kołpaki. Chodniki nie były zatłoczone, ale nie były również zupełnie puste. Ludzie wracali szybko do domu albo szli wolniej parami. Przy poprzecznych ulicach na południe ode mnie znajdowało się kilka klubów. Domyśliłem się tego, ponieważ co

285

pewien czas na jezdni pojawiały się małe grupki wypatrujących taksówek lekko zamoczonych osobników.

Faceci w samochodzie poruszyli się. Jeden przechylił się w lewo, a drugi w prawo, tak jak to robią siedzący w aucie ludzie, którzy jednocześnie naciskają wewnętrzne klamki drzwi.

Obserwowałem kratę metra na chodniku, czterdzieści jardów na południe ode mnie.

Nic się nie działo. Nie wiało przez nią powietrze. Nie poruszały się śmieci.

Dwaj faceci wysiedli z samochodu. Obaj mieli na sobie ciemne garnitury. Marynarki pogniotły się z tyłu od długiego jeżdżenia. Pasażer obszedł dokoła samochód i stanął razem z kierowcą przy masce, na jezdni przy krawężniku. Byli na mojej wysokości, dzielił ich ode mnie szeroki na dwadzieścia stóp chodnik. Odznaki przypięli już wcześniej do zewnętrznych kieszonek na piersi. Domyśliłem się, że są z FBI, ale nie byłem tego pewien. Wszystkie te cywilne odznaki niewiele się od siebie różnią.

— Agenci federalni! — zawołał pasażer. Tak jakby to było potrzebne.

Nie odpowiedziałem.

Stali dalej przy krawężniku. Nie weszli na chodnik. Domyślałem się, że to podprogowa reakcja. Krawężnik przypominał niewielki szaniec. Nie dawał autentycznej ochrony, ale gdyby go zdobyli, musieliby się określić. Musieliby podjąć jakieś działania, a nie bardzo wiedzieli, czym się one zakończą.

Spod kraty wentylacyjnej nie dobiegał żaden odgłos.

— Jack Reacher? — zapytał pasażer.

Nie odpowiedziałem. Kiedy wszystko zawodzi, trzeba udawać głupka.

— Nie ruszaj się z miejsca — zawołał kierowca.

Moje gumowe buty były mniej ciasne i twarde, niż do tego przywykłem. Wyczułem jednak przez podeszwy pierwsze słabe wibracje spowodowane przez pociąg metra ruszający ze stacji przy Dwudziestej Ósmej albo przy Czternastej Ulicy. Miałem pięćdziesiąt procent szans.

Pociąg jadący na południe mnie nie

286

urządzał. Znajdowałem się po złej stronie Broadwayu. Potrzebny był mi pociąg jadący na północ.

Obserwowałem oddaloną ode mnie kratę wentylacyjną.

Śmieci leżały na niej zupełnie nieruchomo.

— Trzymaj ręce tak, żebyśmy mogli je widzieć — zawołał pasażer.

Wsadziłem jedną rękę do kieszeni. Częściowo po to, by zlokalizować moją kartę miejską, częściowo, by zobaczyć, co się stanie. Wiedziałem, że w trakcie szkolenia w Quantico kładzie się wielkie znaczenie na kwestie bezpieczeństwa. Agentom wolno wyciągać broń tylko w sytuacji bezpośredniego zagrożenia. Wielu w trakcie całej kariery, aż do przejścia na emeryturę, nie robi tego ani razu. Wszędzie dokoła byli niewinni ludzie. Bezpośrednio za moimi plecami znajdowała się sień domu mieszkalnego. Pole rażenia było szerokie, co mogło doprowadzić do wielu niewinnych ofiar. Przechodnie, pasażerowie przejeżdżających samochodów, dzieci śpiące na parterze i pierwszym piętrze.

Dwaj agenci wyciągnęli broń.

Dwa identyczne ruchy. Dwa identyczne glocki, wyciągnięte gładko, szybko i bez trudu z kabur pod pachą. Obaj faceci byli praworęczni.

— Nie ruszaj się! — zawołał pasażer.

Daleko po mojej lewej stronie poruszyły się leżące na kracie śmieci. Pociąg jechał na północ, w moją stronę. Popychana przezeń fala powietrza przesuwiała się szybko, szukając ujścia.

Wstałem i obszedłem poręcz schodów. Nie za szybko i nie za wolno. Zacząłem schodzić na dół, stopień po stopniu. Słyszałem, że agenci ruszają w ślad za mną. Twarde podeszwy zaszurały po betonie. Mieli ode mnie lepsze buty. Obróciłem kartę miejską w kieszeni i wyjąłem ją odpowiednią stroną do przodu.

Peron oddzielony był od wejścia wysokimi prętami sięgającymi od podłogi do sufitu niczym w więzieniu. Dwie bramki, jedna po prawej, druga po lewej stronie. Obie wąskie, na pełną wysokość. Niepotrzebny nadzór, niepotrzebna budka z kontrolerem. Wsunąłem kartę w otwór, na bramce zapaliło się zielone światełko

287



i mogłem pchnąć kołowrót do przodu. Ścigający mnie agenci zatrzymali się w miejscu. Przez zwykłą bramkę mogliby przeskoczyć i później się wytłumaczyć. Wysoka bramka im na to nie pozwalała. I żaden z nich nie miał karty miejskiej. Mieszkali prawdopodobnie poza Long Island i dojeżdżali do pracy własnymi autami. Spędzali całe dni za biurkami albo w samochodach. Stali bezradnie za kratami. Nie mogli mi niczym zagrozić albo negocjować. Wyliczyłem dobrze moment. Fala powietrza dotarła do stacji, wzniesając chmurę kurzu i tocząc przed sobą puste puszkę. Pierwsze trzy wagony wyłaniały się już zza zakrętu. Zazgrzytały i zajęczały hamulce, pociąg stanął i wsiadłem do niego, nie zwalniając kroku. Drzwi zamknęły się, pociąg ruszył z miejsca i kiedy po raz ostatni rzuciłem okiem w stronę dwóch agentów, stali po drugiej stronie bramki z opuszczonymi po bokach pistoletami.

52

To był pociąg linii R. Jej trasa biegnie wzdłuż Broadwayu do Times Square, następnie lekko się prostuje, na rogu Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i Siódmej Alei skręca ostro w prawo, przecina skrzyżowanie Pięćdziesiątej Dziewiątej i Piątej oraz Sześćdziesiątej i Lex Avenue, po czym biegnie na wschód pod rzeką w kierunku Queens. Nie wybierałem się do Queens. To bez wątpienia ładna dzielnica, jednak w nocy mało ciekawa, a intuicja podpowiadała mi, że cała akcja toczy się gdzie indziej. Z całą pewnością na Manhattanie. Prawdopodobnie w East Side, niedaleko Pięćdziesiątej Siódmej. Lila Hoth użyła hotelu Four Seasons jako przykrywkę. To oznaczało, że jej prawdziwa baza jest gdzieś blisko. Nie w bezpośrednim sąsiedztwie, ale w wygodnym pobliżu.

I jej prawdziwa baza nie mieściła się w mieszkaniu ani w innym hotelu, lecz w wolno stojącym budynku. Ponieważ miała ze sobą ekipę, której członkowie musieli niepostrzeżenie wchodzić i wychodzić.

Po wschodniej stronie Manhattanu jest wiele wolno stojących domów.

Nie wysiadłem z pociągu na Times Square. Wsiadło tutaj kilka osób. Przez minutę — tyle zajęło nam dotarcie do Czterdziestej Dziewiątej Ulicy — na pokładzie było dwadzieścia

289

siedem osób. A potem pięć osób wysiadło i populacja zaczęła się zmniejszać. Wsiadłem na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej i Piątej. Nie wyszedłem ze stacji. Zostałem po prostu na peronie i patrzyłem, jak pociąg odjeżdża beze mnie. Następnie usiadłem na ławce i czekałem. Domyślałem się, że agenci, którzy zostali przy Dwudziestej Drugiej Ulicy, poinformowali o mnie przez radio i że gliniarze podjeżdżają teraz kaskadowo do stacji linii R. Wyobraziłem sobie, jak siedzą w samochodach albo stoją na chodnikach, obliczając, kiedy pociąg zatrzyma się na ich stacji, sprzężają się w tym momencie, a potem dochodzą do wniosku, że pojechałem dalej. Wyobraziłem sobie, że pozostają jeszcze na posterunku jakieś pięć minut i dają za wygraną. Dlatego czekałem. Całe dziesięć minut. Dopiero po ich upływie wyszedłem na górę i przekonałem się, że nikt mnie nie szuka. Byłem sam na pustej ulicy. Prosto przed sobą miałem słynny stary hotel Plaża jasno oświetlony, a za plecami pogrążony w mroku park. Znajdowałem się dwie przecznice na północ i półtorej przecznicy na zachód od hotelu Four Seasons.

A także trzy przecznice na zachód od miejsca, w którym na samym początku Susan Mark wysiadłaby z metra linii sześć.

I w tym momencie zdałem sobie sprawę, że Susan Mark w ogóle nie zmierzała do hotelu Four Seasons. Nie robiłaby tego ubrana na czarno i gotowa do walki. W hotelowym holu, na korytarzu albo w apartamencie nie mogło być mowy o jakiegokolwiek walce. W jasno oświetlonym miejscu nic by jej nie dało ubieranie się na czarno. A więc Susan zmierzała gdzie indziej. Prosto do tajnego miejsca, które musiało znajdować się w jakiejś ciemnej poprzecznej ulicy, w granicach zakreślonego przeze mnie prostokąta między Czterdziestą Drugą i Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą oraz Piątą i Trzecią Aleją. Zważywszy na charakter tej

dzielnicy, najprawdopodobniej w jego górnej części. Po lewej albo po prawej stronie. W jednym z dwóch mniejszych górnych prostokątów.

Które zawierały co?

290

Około dwóch milionów różnych rzeczy.

Co było z pewnością lepsze od ośmiu milionów rzeczy, ale nie o tyle lepsze, żebym miał skakać z radości. Zamiast tego przeciąłem Piątą Aleję, kierując się na wschód, i zacząłem się ponownie włóczyć bez celu, obserwując samochody i chowając się w cieniu. W tym rejonie było o wiele mniej bezdomnych niż poniżej Dwudziestej i uznałem, że kładzenie się w bramie może wywołać skutek przeciwny do zamierzonego. Śledziłem więc uliczny ruch, gotów do ucieczki albo do walki, w zależności od tego, kto znajdzie mnie pierwszy.

•••

Po jakimś czasie przeciąłem Madison i ruszyłem w stronę Park Avenue. Byłem teraz dokładnie za hotelem Four Seasons, który znajdował się dwie przecznice dalej na południe. Przy cichej ulicy mieściły się głównie sklepy i butiki, wszystkie pozamykane. Skrzyłem na południe w Park Avenue, a potem na wschód w Pięćdziesiątą Ósmą. Nie zobaczyłem zbyt wiele. Stało tu kilka osobnych domów, ale każdy wyglądał tak samo jak inne. Bezbarwne cztero- albo pięciopiętrowe fasady z brązowego piaskowca, zamknięte okiennice w oknach na piętrach, żadnych świateł. W niektórych mieściły się konsulaty małych państw. W innych biura fundacji charytatywnych i niewielkich korporacji. Jeszcze inne służyły niegdyś jako prywatne rezydencje, a obecnie urządzono w nich oddzielne apartamenty. W niektórych z pewnością mieszkwały pojedyncze rodziny, ale wszystkie pograżone były w głębokim śnie za zamkniętymi drzwiami.

Przeciąłem Park Avenue i szedłem dalej w stronę Lexington. Przed sobą miałem Sutton Place. Spokojna dzielnica, głównie mieszkaniowa. W większości bloki mieszkalne, ale również kilka wolno stojących domów. W przeszłości jej centrum leżało bardziej na południowy wschód, ale optymistycznie nastawieni agenci nieruchomości przesunęli granice na północ i na zachód, aż do Trzeciej Alei. Nowe terytoria były na ogół anonimowe.

Idealne miejsce na kryjówkę.

291

Spacerowałem dalej, na wschód i na zachód, na północ i południe, Pięćdziesiątą Ósmą, Pięćdziesiątą Siódmą, Pięćdziesiątą Szóstą, Lexington, Trzecią i Drugą Aleję. Przemierzyłem wiele przecznic. Nic mnie nie zaskoczyło. I nikt mnie nie zaskoczył. Zobaczyłem sporo samochodów, ale wszystkie przemieszczały się z radością z punktu A do punktu B. Żaden nie poruszał się w specyficzny, nieregularny sposób wskazujący, że kierowca lustruje wzrokiem chodniki. Zobaczyłem sporo ludzi, ale większość szła w dużej odległości ode mnie i sprawiała całkowicie niewinne wrażenie. Niemogący spać właściciele psów wyprowadzający na spacer swoich podopiecznych, personel medyczny wracający do domów z pobliskich szpitali na East Endzie. Jedna z właścicielek psów podeszła dość blisko, by można było z nią zamienić dwa słowa. Pies był leciwym szarym kundlem, właścicielka — starszą białą kobietą około osiemdziesiątki. Elegancko uczesana i umalowana, miała na sobie staroświecką letnią suknię, do której pasowałyby długie białe rękawiczki. Pies zatrzymał się i zmierzył mnie smutnym wzrokiem, a kobieta uznała to za wystarczający pretekst, żeby zawrzeć ze mną znajomość.

— Dobry wieczór — powiedziała.

Zbliżała się trzecia w nocy i z tego względu mieliśmy bliżej do poranka niż do wieczoru. Nie chciałem jednak kruszyć o to kopii.

— Halo — odparłem.

— Wie pan, że to słowo powstało całkiem niedawno? — zapytała.

— Jakie słowo?

— Halo. Zaczęto go używać w charakterze pozdrowienia dopiero po wynalezieniu telefonu. Ludzie uznali, że powinni coś powiedzieć, podnosząc słuchawkę. To przekręcone stare słowo „halloo”, które wyrażało chwilowy szok lub zdumienie. Być może ludzie byli zaskoczeni jazgotliwym dźwiękiem dzwonka telefonu.

— Tak — zgodziłem się. — Pewnie byli zaskoczeni.

292

— Ma pan telefon?

— Kiedyś ich używałem — odpowiedziałem. — Z pewnością słyszałem, jak dzwonią.

— Czy ten dźwięk nie wprawia pana w niepokój?

— Zawsze zakładałem, że o to właśnie chodzi.

— No cóż, do widzenia — powiedziała. — Naprawdę miło się z panem gawędziło.

To może się zdarzyć tylko w Nowym Jorku, pomyślałem. Kobieta odeszła razem ze swoim starym psem. Patrzyłem, jak się oddalają. Poszli na wschód, a potem skręcili na południe w Drugą Aleję i zniknęli z pola widzenia. Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem na zachód. Nagle dwadzieścia stóp przede mną zatrzymał się złocisty chevrolet impala i z tyłu wysiadł Leonid.

53

Leonid stanął na krawężniku, a samochód ruszył z miejsca, zatrzymał się dwadzieścia stóp za mną i wysiadł z niego kierowca. Sprytnie pomyślane. Zostałem wzięty w dwa ognie na chodniku: jednego faceta miałem przed sobą, drugiego z tyłu. Leonid wyglądał tak samo jak wcześniej, a jednocześnie inaczej. Nadal był wysoki, chudy i łysy i miał rudawy zarost, ale teraz ubrał się całkiem sensownie i nie wydawał się zaspany. Miał czarne buty, czarne spodnie i czarną bluzę z kapturem. Sprawiał wrażenie czujnego i niebezpiecznego. Nie przypominał zwykłego łobuza czy chuligana, ale regularnego bandziora. Zawodowego gangstera. Wyszkolonego i doświadczonego.

Wyglądał na byłego żołnierza.

Oparłem się o ścianę stojącego za mną budynku, żeby móc jednocześnie widzieć ich obu.

Leonida po mojej lewej i drugiego faceta — krępego mężczyznę około trzydziestki — po prawej stronie. Miał ciemne włosy i pochodził raczej z Bliskiego Wschodu, a nie ze wschodniej Europy. Ciemne włosy, krótka szuja. Niewielki. Podobny do Leonida, ale niższy i bardziej rozrośnięty wszerek. Ubrany tak samo jak jego kumpel, w tani czarny dres.

Jednorazowego użytku, przemknęło mi przez myśl.

Facet dał krok w moją stronę.

294

Leonid zrobił to samo.

Jak zwykle miałem do wyboru dwie możliwości — walczyć bądź uciec. Staliśmy na południowym chodniku Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy. Mogłem przebiec prosto przez jezdnię i próbować zwać. Jednak Leonid i jego kumpel byli prawdopodobnie szybsi ode mnie. Prawo statystyki. Większość ludzi jest szybszych ode mnie. Szybsza ode mnie była prawdopodobnie starsza pani w letniej sukni. I jej stary kundel.

Już sama ucieczka była czymś sromotnym. Próba ucieczki zakończona natychmiastowym złapaniem byłaby szczytem żenady.

Nie ruszyłem się więc z miejsca.

Po lewej stronie Leonid zbliżył się do mnie o kolejny krok.

Po prawej krępy facet zrobił to samo.

Armia nie zdołała nauczyć mnie, jak nie rzucać się w oczy, ale zrekompensowała to z nawiązką, ucząc mnie walczyć. Spojrzeli na mnie i od razu wysłali do siłowni.

Przypominałem w tym innych synów pułku. Dorastaliśmy w dziwnych miejscach.

Mieszkaliśmy w bazach na całym świecie. Przyświecała nam zasada, żeby uczyć się od miejscowych. Nie uczyliśmy się od nich historii, języka ani polityki. Uczyliśmy się bić.

Poznawaliśmy ich ulubione techniki. Uczyliśmy się sztuki walki od mieszkańców Dalekiego Wschodu, ostrej nawalanki w cieszących się złą sławą rejonach Europy, posługiwania się nożem, kamieniami i butelką w cieszących się złą sławą rejonach Stanów. Kiedy mieliśmy około dwunastu lat, dało to łączny efekt w postaci pozbawionej wszelkich zahamowań brutalności. Z naciskiem na brak zahamowań. Naszą dewizą było: „Po prostu to zrób”, na długo przedtem, zanim Nike zaczął produkować buty. Ci z nas, którzy sami wybrali karierę wojskową, byli wyłuskiwani i poddawani dalszemu szkoleniu, w trakcie którego rozkładano nas na czynniki pierwsze i składano z powrotem. W wieku dwunastu lat uważaliśmy się za twardzieli. W wieku osiemnastu za niepokonanych. Nie byliśmy niepokonani. Ale w wieku dwudziestu pięciu lat bardzo mało nam do tego brakowało.

295

Leonid zbliżył się do mnie o kolejny krok.

Drugi facet zrobił to samo.

Zerknąłem na Leonida i zobaczyłem mosiężny kastet na jego palcach.

Miał go również krępy facet.

Włożyli je szybko i niepostrzeżenie. Leonid dał krok w bok. To samo zrobił drugi facet.

Optymalizowali swoje pozycje. Byłem oparty o ścianę budynku, co dawało mi sto osiemdziesiąt stopni wolnej przestrzeni. Każdy z nich chciał mieć czterdzieści pięć stopni tej przestrzeni z lewej i czterdzieści pięć ze swojej prawej strony. W ten sposób, gdybym chciał prysnąć, zabezpieczali w równym stopniu wszystkie drogi ucieczki. Jak grający w debła tenisiści. Efekt długiej praktyki, współdziałania i intuicyjnego zrozumienia.

Obaj byli praworęczni.

Pierwsza zasada walki, kiedy przeciwnicy mają na palcach kastety: nie daj się uderzyć.

Zwłaszcza w głowę. Ale nawet uderzenia w ręce i w żebra mogą doprowadzić do złamań i sparaliżować mięśnie.

Najlepszym sposobem, by nie dać się uderzyć, jest wyjąć pistolet i zastrzelić przeciwników z odległości dziesięciu stóp. Dość małej, żeby nie chybić, dość dużej, żeby nie dać się dosięgnąć. Gra wówczas jest skończona. Nie miałem jednak tej możliwości. Byłem nieuzbrojony. Następnym sposobem jest trzymać przeciwników na dystans bądź też zniwelować ten dystans do zera. Jeśli są daleko, mogą wymachiwać pięściami przez całą noc i nigdy cię nie trafią. W zwarcu nie mogą się w ogóle zamachnąć. Żeby trzymać przeciwników na dystans, trzeba wykorzystać większy zasięg rąk bądź też użyć nóg. Zasięg moich rąk jest niesamowity. W porównaniu ze mną srebrzysto-grzbiety goryl pokazywany w telewizji mógł się wydać krępy. Instruktorzy w wojsku stale żartowali z długości moich rąk, nawiązując przy tym do mojego nazwiska\*.

\* ang. to reach — sięgać, zatem reacher — ten, który sięga

296

z dwoma facetami i nie byłem pewien, czy mogę posłużyć się kopniakami. Po pierwsze, miałem na stopach fatalne obuwie: ogrodowe gumowe chodaki. Były luźne i zaraz bym je zgubił. A kopiąc bosymi stopami, można sobie coś w nich złamać. Stopy są bardziej kruche od rąk. Chyba że chodziło się do szkoły karate, gdzie obowiązują pewne zasady. Na ulicy nie ma żadnych zasad. Po drugie, człowiek, którego jedna stopa jest w powietrzu, może łatwo stracić równowagę i z tego względu jest narażony na większe niebezpieczeństwo. Zanim się spostrzeże, leży na ziemi, a chwilę później jest martwy. Byłem świadkiem takich sytuacji. Byłem ich sprawcą.

Oparłem się prawą piętą o ścianę za plecami.

Czekałem.

Przewidywałem, że rzucą się na mnie razem. Jednoczesny atak z dwóch stron. Plusem było to, że nie będą próbowali mnie zabić. Lila Hoth im tego zabroniła. Czegoś ode mnie chciała, a trupy nie mają nic do zaoferowania.

Minusem było to, że można zadać człowiekowi wiele poważnych urazów, które niekoniecznie muszą okazać się śmiertelne.

Czekałem.

— Możesz z tego wyjść cało. Jeśli chcesz, możesz po prostu z nami pojechać i porozmawiać z Lilą — powiedział Leonid. Jego angielski nie był tak wyszukany jak jej. Miał wyraźnie obcy akcent. Ale znał wszystkie potrzebne słowa.

— Gdzie mam z wami pojechać? — zapytałem.

— Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć. Będziesz musiał założyć opaskę na oczy.

— Raczej zrezygnuję z opaski — odparłem. — Ale wy też możecie z tego wyjść cało. Możecie po prostu odejść i powiedzieć Liii, że mnie nie znaleźliście.

— Ale to nie byłaby prawda.

— Nie bądź takim niewolnikiem prawdy. Prawda czasami jest bolesna. Czasami gryzie cię prosto w tyłek.

Plusem jednoczesnego ataku ze strony dwóch osób jest to, że muszą przekazać sobie sygnał, kiedy zacząć. Niekiedy jest to

297

zaledwie spojrzenie albo kiwnięcie głową, ale nie można się bez niego obejść. Na ułamek sekundy przed samym faktem otrzymuje się ostrzeżenie. Uznałem, że Leonid jest tu szefem. Jest nim na ogół ten, który mówi. On daje hasło do ataku. Obserwowałem bardzo uważnie jego oczy.

— Jesteś na mnie wściekły za to, co wydarzyło się na dworcu? — zapytałem.

Leonid potrząsnął głową.

— Pozwoliłem ci się uderzyć. To było konieczne. Lila mi kazała.

Obserwowałem jego oczy.

— Opowiedz mi o Liii — powiedziałem.

— Co chcesz wiedzieć?

— Chcę wiedzieć, kim jest.

— Jedź z nami, to ją zapytasz.

— Pytam ciebie.

— To kobieta, która ma do wykonania zadanie.

— Co to za zadanie?

— Jedź z nami, to ją zapytasz.

— Pytam ciebie.

— Ważne zadanie. Zadanie, które trzeba wykonać.

— Które polega na czym?

— Jedź z nami, to ją zapytasz.

— Pytam ciebie.

Bez odpowiedzi. Koniec rozmowy. Wyczułem, że sprężają się do skoku. Obserwowałem twarz Leonida. Zobaczyłem, że otwiera szerzej oczy i przechyla lekko głowę. Ruszyli na mnie razem. Odepchnąłem się piętą od ściany, po czym przycisnąłem pięści do piersi, wystawiłem na zewnątrz łokcie niczym skrzydła samolotu i natarłem na nich z takim samym impetem jak oni na mnie. Spotkaliśmy się w jednym punkcie, w środku pękającego trójkąta i moje łokcie trafiły prosto w ich twarze. Po prawej stronie poczułem, że wybijam górne zęby krępemu mężczyźnie, po lewej, że przemieszczam szczękę Leonidowi. Siła uderzenia jest równa masie pomnożonej przez przyśpieszenie. Mam sporą

298

masę, ale moje chodaki były chybotałe, a stopy śliskie, w związku z czym nie poruszałem się z takim przyśpieszeniem, z jakim mógłbym się poruszać.

To zredukowało nieco siłę uderzenia.

I sprawiło, że żaden z nich nie został znokautowany.

A ja musiałem jeszcze trochę popracować.

Wykonałem półobrót w prawo i trzasnąłem niskiego faceta lewym sierpowym prosto w ucho. Nie było w tym żadnego stylu. Żadnej finezji. Zwykły wredny cios. Jego ucho rozplaszczyło się na głowie i przyjęło część siły uderzenia, ale o wiele większą część przyjęła jego czaszka. Głowa poleciała mu w bok i uderzył drugim uchem o własne ramię. W tym momencie odwracałem się już ponownie w moim chybotliwym obuwiu i wbijałem łokieć w brzuch Leonida. W to samo miejsce, w które uderzyłem go na Penn Station, ale dziesięć razy mocniej. O mało nie wybiłem mu kręgosłupa z pleców. Odbiłem się piętą od ziemi i zająłem się ponownie niskim facetem, który kulił się, gotów do wyliczenia. Rąbnąłem go pięścią w nerkę, dzięki czemu wyprostował się i stanął twarzą do mnie. Ugiąłem kolana, pochyliłem się i strzeliłem go bykiem między oczy. Nokautujące uderzenie. Kości, których nie złamałem mu wcześniej łokciem, pękły teraz i runął na ziemię niczym worek. Leonid klepnął mnie po ramieniu swoim kastetem. Wyobrażał sobie pewnie, że to cios, ale w stanie, w jakim się znajdował, stać go było wyłącznie na klepnięcie. Nie spiesząc się, starannie wycelowałem i powaliłem go krótkim hakiem w szczękę. Była złamana już wcześniej, teraz złamałem ją jeszcze bardziej. Kawałki kości i jakiejś czerwonej tkanki zatoczyły krąg w powietrzu i przez chwilę zobaczyłem je całkiem wyraźnie w świetle ulicznych latarni. Domyśliłem się, że to zęby i chyba fragment języka.

•••

Byłem trochę roztrzęsiony. Jak zawsze. Spalałem nadmiar adrenaliny. Wytwarzający ją gruczoł to powolny sukinsyn. Później stara się nadrobić opóźnienie. Wydziela jej za dużo i za późno.

299

Dziesięć sekund zajęło mi uspokojenie oddechu. Po dziesięciu kolejnych ochłonałem. Podciągnąłem obu facetów pod ścianę i posadziłem ich w miejscu, w którym sam wcześniej stałem. Ich bluzy z kapturami wyciągały się na cały jard, kiedy ich wlokłem. Tanie ubranie. Jednorazowego użytku, na wypadek gdybym pochłapał je swoją krwią. Ustawiłem ich tak, żeby się nie wywrócili i nie zakrztusili własną krwią, i wywichnąłem prawe ręce w łokciu. Obaj byli praworęczni i nie można było wykluczyć, że ich znowu zobaczę. Na wszelki wypadek wolałem, żeby byli wyłączeni z akcji. Uszczerbek na zdrowiu nie był trwały. Po trzech spędzonych w gipsie tygodniach powinni być jak nowi.

W kieszeniach mieli komórki. Zabrałem je. W obu było moje zdjęcie i puste rejestry połączeń. Nie mieli nic więcej. Żadnych pieniędzy. Żadnych kluczy. Żadnych materialnych dowodów. Żadnych wskazówek, skąd przyjechali. Było również mało prawdopodobne, by w najbliższym czasie sami mogli mi to powiedzieć. Za mocno ich pobiłem. Nie słyszeli odliczania. A kiedy się ockną, nie było gwarancji, że będą cokolwiek pamiętać. Nawet jak się nazywają. Wstrząs mózgu ma nieprzewidywalne efekty. Sanitariusze nie żartują, kiedy pytają jego ofiary, jaki mamy dzień i kto jest aktualnie prezydentem.

Nie miałem żadnych wyrzutów sumienia. Lepiej dmuchać na zimne. Faceci, którzy myślą podczas bójki o jej następstwach, z reguły je przegrywają. Do tego się to sprowadza. Dlatego niczego nie żałowałem. Ale też nic nie zyskałem. Co było frustrujące. Nawet kastety w ogóle mi się nie przydały. Przymierzyłem je i oba były zdecydowanie za małe. Wyrzuciłem je do odległej o dwadzieścia stóp studzienki.

Ich samochód nadal stał z zapalonym silnikiem przy krawężniku. Miał nowojorską rejestrację. Nie był zaopatrzony w żaden system nawigacyjny i z tego względu nie miał w cyfrowej pamięci lokalizacji bazy. W kieszeni w drzwiach znalazłem umowę wynajmu sporządzoną na nazwisko, którego nigdy nie słyszałem, z londyńskim adresem, który był, jak przypuszczałem

300

fałszywy. W schowku na rękawiczki znalazłem instrukcję obsługi samochodu, mały kołonotatnik i długopis. W kołonotatniku nie było żadnych zapisków. Wziąłem długopis,

podszedłem z powrotem do dwóch facetów, przytrzymałem mocno głowę Leonida lewą ręką i napisałem na jego czole wiadomość, wbijając mocno końcówkę długopisu w skórę i pogrubiając litery, żeby były wyraźniejsze.

Wiadomość brzmiała: „Lila, zadzwoń do mnie”.

A potem ukradłem ich samochód i odjechałem.

54

Pojechałem na południe Drugą Aleją, skręciłem na wschód w Pięćdziesiątą Ulicę i porzuciłem samochód przy hydrancie w odległości pół przecznicy od FDR Drive. Miałem nadzieję, że gliniarze z siedemnastego posterunku znajdą go, nabiorą podejrzeń i dokładnie sprawdzą. Ubrań łatwo się pozbyć. Samochodów już trochę trudniej. Jeżeli ludzie Liii odjechali impalą z miejsca, w którym pobili młotkami prywatnych detektywów, musieli w niej zostawić jakieś ślady. Nie widziałem ich gołym okiem, ale policyjni technicy nie polegają tylko na tym, co zobaczą.

Wytarłem połą koszuli kierownicę, dźwignię zmiany biegów i klamki drzwi, a potem wrzuciłem kluczyki do studzienki, wróciłem pieszo do Drugiej Alei, stanąłem w cieniu i zacząłem się rozglądać za taksówką. Ruch na południe był dość spory i każdy samochód był oświetlony reflektorami jadącego za nim. Widziałem, ile w nich siedzi osób. Pamiętałem, co powiedziała mi Theresa Lee o jadących na północ Dziesiątą i wracających na południe Drugą Aleją fałszywych taksówkach z jednym facetem z przodu i dwoma z tyłu. Zaczekałem na taksówkę, w której nie było nikogo poza kierowcą, i zatrzymałem ją. Kierowcą był sikh w turbanie, z brodą i bardzo skromną znajomością angielskiego. Z pewnością nie gliniarz. Zawiózł mnie na południe, na Union Square. Usiadłem tam na ławce w ciemności

302

i obserwowałem szczury. Union Square to najlepsze miejsce w całym mieście, żeby to robić. W dzień wydział zieleni rozsypuje na grządkach nawóz z kości i krwi. W nocy przychodzą szczury i go zjadają.

O czwartej zasnąłem.

O piątej zaczęła wibrować jedna z zabranych przeze mnie komórek.

•••

Obudziłem się, przez sekundę rozglądałem dokoła, po czym wyłowilem telefon z kieszeni. Nie dzwonił. Po prostu mruczał do siebie. Tryb cichy. Na małym czarno-białym wyświetlaczu widniał napis: Numer zastrzeżony. Otworzyłem klapkę i na dużym kolorowym wyświetlaczu zobaczyłem to samo.

— Halo? — powiedziałem, przystawiając telefon do ucha. Niedawno wynalezione słowo.

— A zatem postanowiłeś wypowiedzieć mi wojnę — powiedziała Lila Hoth. — I najwyraźniej uważasz, że nie obowiązują cię w niej żadne reguły.

— Kim dokładnie jesteś? — zapytałem.

— Dowiesz się tego.

— Chcę wiedzieć teraz.

— Jestem twoim najgorszym koszmarem. Mniej więcej od dwóch godzin. I nadal masz coś, co do mnie należy.

— Więc przyjdź i to sobie weź. Albo lepiej znowu kogoś przyślij. Przyda mi się następny lekki sparing.

— Dziś w nocy miałeś po prostu szczęście.

— Zawsze mam szczęście.

— Gdzie jesteś? — zapytała.

— Przed twoim domem.

Przez chwilę się nie odzywała.

— Nie, to nieprawda — powiedziała w końcu.

— Zgadza się. Ale potwierdziłaś właśnie, że mieszkasz w osobnym domu. I że stoisz przy oknie. Dziękuję za tę informację.

— Powiedz, gdzie naprawdę jesteś.

303

— Przy Federal Plaza — odrzekłem. — W siedzibie FBI.

— Nie wierzę ci.

— To twój problem.

— Powiedz, gdzie jesteś.

— Blisko ciebie — odparłem. — Na rogu Trzeciej Alei i Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy.

Chciała odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Usłyszałem tylko cichą spółgłoskę zwartą „t”.

Początek zdania, które miało wyrażać zniecierpliwienie, irytację i lekką pogardę. Jakby chciała powiedzieć: „To nie jest blisko mnie”.

Nie miała bazy w pobliżu Trzeciej i Pięćdziesiątej Szóstej.

— Daję ci ostatnią szansę — oznajmiła. — Chcę odzyskać to, co do mnie należy.

Możemy zawrzeć układ — dodała łagodniejszym tonem. — Po prostu zostaw to w bezpiecznym miejscu i powiedz mi gdzie. Każę to odebrać. Nie musimy się spotykać. Mogę ci nawet zapłacić.

— Nie zależy mi na pracy.

— Nie zależy ci na tym, żeby przeżyć?

— Nie boję się ciebie, Lila.

— To samo mówił Peter Molina.

— Gdzie on jest?

— Tu z nami.

— Żywy?

— Przyjdź, to się przekonasz.

— Zostawił wiadomość trenerowi.

— A może puściłam taśmę, którą nagrał, zanim umarł? Może powiedział mi, że jego trener nigdy nie odbiera telefonu podczas kolacji? Może powiedział mi mnóstwo rzeczy? Może go do tego zmusiłam.

— Kim jesteś, Lila? — powtórzyłem.

— Nie mogę ci tego powiedzieć — odparła. — Ale mogłabym cię poderwać.

W odległości stu jardów zobaczyłem patrolujący Czternastą Ulicę radiowóz. Jechał powoli. Za szybą błyskała różowa twarz spoglądającego w lewą i prawą stronę kierowcy.

304

— Od jak dawna znasz Petera Molinę? — zapytałem.

— Od czasu, kiedy poderwałam go w barze.

— Czy jeszcze żyje?

— Przyjdź, to się przekonasz.

— Żyjesz na kredyt, Lila. Zabiłaś czterech Amerykanów w Nowym Jorku. Nikt ci tego nie daruje.

— Nikogo nie zabiłam.

— Zrobili to twoi ludzie.

— Ludzie, którzy opuścili już ten kraj. Jesteśmy w stu procentach kryci.

— Jesteśmy?

— Zadajesz za dużo pytań.

— Jeśli ci ludzie wykonywali twoje rozkazy, nie jesteś kryta. To się nazywa współudział.

— To praworządny kraj i winę trzeba udowodnić podczas procesu. Nie ma żadnych dowodów.

— A samochód?

— Już nie istnieje.



— Nigdy nie zabezpieczysz się przede mną. Odnajdę cię.

— Mam nadzieję — odparła.

Sto stóp ode mnie radiowóz zwolnił do prędkości pieszego.

— Wyjdź i spotkaj się ze mną, Lila — powiedziałem. — Albo wróć do siebie. Jedno albo drugie. Tak czy inaczej poniosłaś tutaj klęskę.

— My nigdy nie ponosimy klęski.

— My to znaczy kto? — zapytałem, ale nie doczekałem się odpowiedzi. Połączenie zostało przerwane. W słuchawce usłyszałem tylko głuchą ciszę.

Radiowóz zatrzymał się osiemdziesiąt stóp ode mnie.

Dwaj gliniarze wysiedli z niego i ruszyli w stronę placu.

Zamknąłem kłapkę telefonu i schowałem go do kieszeni.

Na razie nie ruszyłem się z miejsca. Byłoby zbyt podejrzane, gdybym wstał i rzucił się do ucieczki. Lepiej dalej siedzieć. Nie byłem w parku sam. Oprócz mnie było tu około czterdziestu osób. Niektórzy koczowali chyba na stałe. Inni znaleźli się

305

przypadkiem. Nowy Jork to duże miasto. Pięć dzielnic. Podróż do domu trwa długo. Czasami łatwiej jest odpocząć po drodze.

Gliniarze oświetlili latarką twarz jednego ze śpiących mężczyzn.

Ruszyli dalej. Zaświecili w oczy kolejnemu facetowi.

I kolejnemu.

Niedobrze.

Bardzo niedobrze.

Nie byłem jednak jedyną osobą, która doszła do takiego wniosku. Tu i tam widziałem postaci, które wstawały z ławek i powłócząc nogami, oddalały się w różnych kierunkach. Może byli to ludzie, na których wystawiono nakaz aresztowania, dealerzy z towarem w plecaku, opryskliwi samotnicy unikający kontaktów, paranoicy bojący się systemu.

Dwaj gliniarze, dwa akry terenu, może trzydzieści osób nadal siedzących na ławkach, dziesięć, które z nich wstały.

Obserwowałem sytuację.

Gliniarze byli coraz bliżej. Ich latarki migotały w nocnej mgiełce. Drzewa rzucały długie cienie. Sprawdzony został czwarty, piąty i szósty facet. Coraz więcej ludzi wstawało z miejsc. Część w ogóle sobie poszła, inni przesiadali się po prostu na inne ławki. Na placu pełno było nieruchomych i poruszających się postaci. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie.

Leniwy senny taniec.

Obserwowałem sytuację.

W języku ciała gliniarzy dało się zauważyć niezdecydowanie. Jakby zadanie przerastało ich możliwości. Podchodzili do ludzi siedzących na ławkach, a potem odwracali się i oświetlali latarkami wychodzących. Odwracali się, skręcali, wracali. Nie mieli żadnej metody. Zdawali się na przypadek. Ale byli coraz bliżej. Mieli do mnie jakieś dziesięć jardów.

I nagle poszli sobie.

Po raz ostami omietli latarkami teren wokół siebie i wrócili do samochodu. Patrzyłem, jak odjeżdżają. Nadal siedząc na ławce, wypuściłem z płuc powietrze i zacząłem rozmyślać

306

o GPS-ach w zabranych przeze mnie komórkach. Z jednej strony wydawało mi się niemożliwe, żeby Lila Hoth miała dostęp do namierzających je satelitów. Z drugiej zaś pamiętałem wypowiedziane przez nią słowa. „My nigdy nie ponosimy klęski”. A „my” to duże słowo. Tylko dwie litery, ale wielkie implikacje. Może dranie z dawnego bloku wschodniego przejęli nie tylko udziały w ropie i gazie. Może położyli rękę na innego rodzaju infrastrukturze. Stara machina sowieckiego wywiadu musiała czymś się zająć. Pomyślałem o

laptopach, połączeniach szerokopasmowych i różnego rodzaju technologiach, których nigdy do końca nie rozumiałem.

Trzymając nadal komórki w kieszeni, wstałem z ławki i ruszyłem do metra.

Co było z mojej strony dużym błędem.

55

Stacja metra Union Square jest dużym węzłem komunikacyjnym. Ma hol wejściowy wielkości sporego placu. Wiele wejść, wiele wyjść, wiele linii, wiele torów. Schody, budki, długie rzędy bramek. I długie rzędy automatów odnawiających stare karty miejskie i sprzedających nowe. Kupiłem nową kartę miejską: wsadziłem bokiem do szczeliny dwa dwudziestodolarowe banknoty i otrzymałem w zamian dwadzieścia przejazdów plus trzy w charakterze bonusu. Wziąłem kartę, odwróciłem się i odszedłem. Zbliżała się piąta rano. Stacja wypełniała się ludźmi. Zaczynał się dzień pracy. Minąłem kiosk z tysiącem różnych czasopism i kwadratowymi paczkami świeżych, gotowych do sprzedaży tabloidów. Grube gazety ułożone w wysokich stosach. Dwa różne tytuły. Oba olbrzymie. W pierwszym były cztery słowa, duże litery, dużo czarnego tuszu: FEDERALNI SZUKAJĄ TRZECH OSÓB. Drugi miał pięć słów: FEDERALNI POLUJĄ NA TRZY OSOBY. Praktycznie to samo. Z dwojga złego wolałem „szukają” od „polują”. Pierwsze słowo było bardziej pasywne, mniej zaangażowane. Prawie łagodne. Uznałem, że każdy wolałby, by go szukano, niż żeby na niego polowano.

Odwróciłem się.

I zobaczyłem obserwujących mnie uważnie dwóch gliniarzy.

Jeden błąd nałożył się na drugi. Pierwszy popełnili oni, drugi

308

ja. Ich błąd był konwencjonalny. Agenci federalni ze skrzyżowania Broadwayu i Dwudziestej Drugiej Ulicy poinformowali, że uciekłem metrem, i z tego względu wszystkie służby uznały, że spróbuję dokonać tego jeszcze raz. Jeśli siły ładu i porządku mają wybór, zawsze lubią rozegrać bitwę na tym samym polu co poprzednio.

Mój błąd polegał na tym, że wszedłem prosto w ich niedbale zastawioną pułapkę.

Ponieważ na stacji były budki, istniał również nadzór. Ponieważ istniał nadzór, nie było zapór pod sam sufit. Wyłącznie normalne, wysokie do ud kołowroty. Wsunąłem moją nową kartę w otwór i przeszedłem przez bramkę. Plac zwęził się do długiego szerokiego korytarza. Strzałki wskazywały na lewo i prawo, w górę i w dół, do różnych linii i różnych kierunków. Minąłem faceta grającego na skrzypcach. Znalazł sobie miejsce, gdzie pomagał mu pogłos. Był całkiem dobry. Jego instrument miał solidne, głębokie brzmienie. Grał smętny stary kawałek, który pamiętałem z filmu

0 wojnie w Wietnamie. Być może nie najlepszy wybór dla podążających rano do pracy podróżnych. Przy stopach miał otwarty futerał od skrzypiec, w którym nie było zbyt wiele datków. Odwróciłem się nieznacznie, jakbym chciał mu się przyjrzeć,

1 zauważyłem, że dwaj gliniarze przeszli za mną przez bramkę.

Skręciłem na chybił trafił w boczny węższy korytarz i znalazłem się na peronie, z którego pociągi odchodziły na północ. Był zatłoczony. I stanowił część symetrycznego układu. Przed sobą miałem krawędź peronu, potem tory, później rząd żelaznych filarów podtrzymujących sklepienie, potem tory prowadzące na południe i obsługujący je peron. Dwa zestawy wszystkiego, wliczając w to dwa zestawy podróżnych. Zmęczonych ludzi, wpatrujących się w siebie pozbawionym wyrazu wzrokiem, gotowych rozjechać się w przeciwną stronę. Trzecie szyny ułożone były po obu stronach żelaznych filarów. Osłonięto je, jak to się zawsze dzieje na stacjach. Osłony miały kształt pudełka o trzech bokach i były otwarte od strony wychodzącej na pociąg.

309

Daleko po mojej lewej stronie gliniarze przeciskali się przez stojący na peronie tłum. Spojrzałem w drugą stronę. W prawo. Przepychali się tam dwaj kolejni gliniarze. Szerocy i obwieszeni sprzętem usuwali grzecznie ludzi z drogi, kładąc im dłonie na ramionach i rozgarniając ich krótkimi, rytmicznymi, typowymi dla pływaków ruchami. Przeszedłem na środek peronu i dałem kilka kroków do przodu, aż moje stopy znalazły się na żółtej ostrzegawczej linii. Przesunąłem się bokiem, żeby mieć bezpośrednio za sobą filar. Spojrzałem w lewo. Spojrzałem w prawo. Nie jechały żadne pociągi. Gliniarze nadal się zbliżali. Za plecami pierwszych pojawili się czterej następni. Dwaj po jednej, dwaj po drugiej stronie, przeciskający się przez tłum powoli i zdecydowanie.

Pochyliłem się do przodu.

Żadnych świateł w tunelu.

Tłum przesunął się i piętrzył obok mnie, popychany przez nowo przybyłych, poruszany falami wywołanymi przez przeciskających się nieubłaganie gliniarzy, przyciągany do skraju peronu przez podświadomą pewność każdego pasażera metra, że pociąg wkrótce nadjedzie. Jeszcze raz zerknąłem przez ramię, najpierw w lewo, potem w prawo.

Na moim peronie było ośmiu gliniarzy.

Na peronie po drugiej stronie żadnego.

56

Ludzie boją się trzeciej szyny. Nie ma powodu jej się bać, jeśli ktoś nie zamierza jej dotknąć. Płyną nią setki woltów, ale przecież z niej nie wyskoczą. Żeby napytać sobie biedy, trzeba się o to prosić.

Szyne łatwo przestąpić, nawet w kiepskich butach. Uznałem, że niedostatki mojego gumowego obuwia w dziedzinie precyzyjnego stawiania kroków zostaną zrekompensowane przez lepszą izolację elektryczną. Mimo to zaplanowałem starannie każdy krok, zupełnie jakbym był choreografem. Zeskoczyć w dół, wylądować na dwóch stopach pośrodku torów prowadzących na północ, postawić prawą stopę na drugiej szynie, przestąpić lewą stopą trzecią szynę, precyzyjnie się między filarami, przestąpić prawą stopą następną trzecią szynę, stanąć pośrodku torów prowadzących na południe, wykonać dwa krótkie kroczki, wdrapać się na przeciwległy peron i w nogi.

Wyglądało to dość łatwo.

Wystarczająco łatwo, żeby gliniarze poszli w moje ślady.

Robili to prawdopodobnie już wcześniej.

Ja nie.

Czekałem. Zerknąłem za siebie, po lewej i prawej stronie. Gliniarze byli blisko.

Wystarczająco blisko, żeby zwolnili i zastanowili się, jak dokładnie zrobić to, co powinni. Nie wiedziałem,

311

jak to rozegrają. Tak czy inaczej nie powinni się spieszyć. Nie chcieli wywołać paniki. Peron był zatłoczony i jakakolwiek nagła akcja mogła wytrącić ludzi z równowagi. A to groziło pozwaniem policji.

Zerknąłem w lewo. Zerknąłem w prawo. Nie nadjeżdżał żaden pociąg. Zastanawiałem się, czy policja nie zatrzymała ruchu. Prawdopodobnie stosowali w takich wypadkach sprawdzoną procedurę. Dałem pół kroku do przodu. Ludzie wcisnęli się w wolną przestrzeń między moimi plecami i filarem i zaczęli popychać mnie do przodu. Zaparłem się mocniej na nogach. Na pomalowanym żółtą farbą ostrzegawczym pasie przy skraju peronu znajdowały się specjalne wypustki zapobiegające poślizgnięciu się albo zsunięciu.

Gliniarze ustawili się w płytkim półokręgu. Mieli do mnie mniej więcej osiem stóp. Powoli i ostrożnie przesuwali się do przodu, oddzielając mnie od innych i zamykając do mnie dostęp. Ludzie na przeciwległym peronie obserwowali to, trącając się łokciami, pokazując mnie i stając na palcach.

Czekałem.

Usłyszałem pociąg. Po mojej lewej stronie. Poruszające się światło w tunelu. Zbliżał się szybko. To był nasz pociąg. Jechał na północ. Usłyszałem szum powietrza i zgrzyt stalowych obręczy. Zobaczyłem kołyszący się i podskakujący na zakręcie czołowy wagon. Domyślałem się, że jedzie z szybkością mniej więcej trzydziestu mil na godzinę. Mniej więcej czterdziestu czterech stóp na sekundę. Potrzebowałem dwóch sekund. Uznałem, że tyle mi wystarczy.

Więc musiałem wystartować, kiedy pociąg będzie w odległości osiemdziesięciu ośmiu stóp. Gliniarze nie będą mnie wówczas ścigać. Zanim zdążą zareagować na to, co zrobiłem, nie będą mieli niezbędnego marginesu bezpieczeństwa. Poza tym stali osiem stóp od skraju peronu. I mieli inne od moich priorytety. Mieli żony, rodziny, ambicje i emerytury. Mieli domy i podwórka, trawniki do skoszenia i rośliny do zasadzenia.

Dałem kolejny krok do przodu. Światło pędziło prosto na mnie. Kołyszając się i podskakując. Trudno było ocenić dystans.

312

Nagle usłyszałem pociąg po prawej stronie.

Pociąg na południe, nadjeżdżający szybko z naprzeciwka. Symetrycznie, ale nie idealnie zsynchronizowany. Jak zasuwające się dwie zasłony, z których lewa wyprzedza nieco prawą. Ale o ile?

Na pokonanie przeciwległych torów potrzebowałem trzech sekund. Wdrapanie się na drugi peron musiało mi zająć znacznie więcej czasu niż zeskoczenie z tego.

Wahałem się całą sekundę, zgadując, oceniając, szacując.

Pociągi pędziły ku mnie z rykiem, jeden z lewej, drugi z prawej strony.

Pięćset ton i drugie pięćset ton.

Zsumowana szybkość może sześćdziesiąt mil na godzinę.

Gliniarze podeszli bliżej.

Czas na podjęcie decyzji.

Ruszyłem do przodu.

Zeskoczyłem z peronu, kiedy pociąg na północ był w odległości stu stóp ode mnie.

Wylądowałem pośrodku torów i wykonałem kroki, które wcześniej zaplanowałem. Niczym na diagramie tańca w jakimś podręczniku. Prawa stopa na drugiej szynie, lewa wysoko nad trzecią szyną, dłonie na filarach. Zatrzymałem się na ułamek sekundy i zerknąłem w prawo. Pociąg jadący na południe był bardzo blisko. Pociąg na północ już mnie mijał ze zgrzytem i jękiem hamulców. Fala powietrza szarpała mi koszulę. Widziałem kątem oka migające oświetlone okna.

Zerknąłem w prawo.

Pociąg jadący na południe wydawał się olbrzymi.

Czas na podjęcie decyzji.

Ruszyłem do przodu.

Prawa stopa wysoko nad trzecią szyną, lewa pośrodku torów. Pociąg był już prawie przy mnie. Zostało mu tylko kilka jardów. Kołysał się i podskakiwał. Szczęki hamulców zacisnęły się na kołach. Widziałem maszynistę. Miał szeroko otwarte usta. Czułem falę powietrza przed jego kabiną.

313

Zrezygnowałem z choreografii. Rzuciłem się po prostu w stronę drugiego peronu. Miałem do niego niespełna pięć stóp, ale wydawał się nieskończenie odległy. Niczym horyzont na równinie. Ale dotarłem tam. Zerknąłem w prawo i zobaczyłem każdą śrubę i każdy nit na przodzie pociągu. Jechał prosto na mnie. Oparłem dłonie płasko na peronie i podźwignąłem się w górę. Myślałem, że odbiję się od zwartej ciżby ludzi i spadnę z powrotem w dół, ale czyjeś ręce złapały mnie i podciągnęły. Pociąg przeleciał koło mojego ramienia i obrócił mnie podmuch powietrza. Mignęły okna. Nieświadomi niczego pasażerowie czytali książki i gazety

albo stali i kołysali się w rytm jazdy. Ręce pociągnęły mnie dalej w tłum. Ludzie wokół mnie krzyczeli. Widziałem, że mają otwarte usta, ale w ogóle ich nie słyszałem. Ich krzyki zagłuszał jazgot hamulców. Pochyliłem głowę i ruszyłem przez tłum. Ludzie rozstępowali się przede mną. Ktoś klepnął mnie po ramieniu, kiedy przechodziłem. Ścigały mnie urywane oklaski.

Coś takiego zdarza się tylko w Nowym Jorku.

Przecisnąłem się przez bramkę wyjściową i wyszedłem na ulicę.

57

Madison Square Park leżał siedem przecznic dalej na północ. Miałem prawie cztery wolne godziny. Spędziłem je, robiąc zakupy i jedząc przy Park Avenue South. Nie dlatego, żebym miał coś do kupienia, i nie dlatego, żebym był głodny, ale ponieważ dobrze jest zrobić coś, czego kompletnie nie spodziewają się ścigający. Ścigani powinni uciekać gdzie pieprz rośnie. Nie powinni kręcić się w bezpośrednim sąsiedztwie, zaglądając do kafejek i sklepów.

Minęła właśnie szósta rano. O tej porze otwarte były wyłącznie delikatesy, supermarkety, bary i kafejki. Zacząłem od Food Emporium, do którego wchodziło się z Czternastej i z którego wychodziło się na Piętnastą Ulicę. Spędziłem tam czterdzieści pięć minut. Wziąłem koszyk i włóczyłem się między półkami, udając, że wybieram, co mam kupić. Mniej podejrzane niż stanie w miejscu. Mniej podejrzane niż kręcenie się po sklepie bez koszyka. Nie chciałem, żeby zaniepokojony kierownik kogoś wezwał. Wyobraziłem sobie, że mam gdzieś w pobliżu mieszkanie i zacząłem wypełniać jego wyimaginowaną spiżarnię wystarczającą ilością produktów, żeby przetrwać całe dwa dni. Oczywiście kawa. Plus ciasto naleśnikowe, jajka, bekon, bochenek chleba, masło, trochę dżemu, paczka salami, ćwierć funta sera. Kiedy się znudziłem i koszyk zrobił się ciężki, zostawiłem go w nieuczyszczanym przejściu i wyszedłem przez zaplecze.

315

Następnym przystankiem był bar cztery przecznice dalej na północ. Szedłem chodnikiem po prawej stronie, odwrócony plecami do nadjeżdżających samochodów. Zjadłem tam naleśniki z boczkiem, które ktoś inny kupił i zrobił. Bardziej w moim stylu. Potem przeniósłem się pół przecznicy dalej do francuskiej brasserie: kolejna kawa i croissant. Na krześle obok mnie ktoś zostawił „New York Timesa”. Przeczytałem go od deski do deski. Nie było wzmianki o obławie. W wiadomościach krajowych nie było wzmianki o wyścigu Sansoma do Senatu. Następną półtorej godziny spędziłem w trzech różnych miejscach. Z supermarketu na rogu Park Avenue i Dwudziestej Drugiej przeszedłem do mieszczącego się naprzeciwko drugstore'u Duane Reade, a potem do apteki CVS na rogu Park Avenue i Dwudziestej Trzeciej. Wiele dowodów wskazywało, że ludzie wydają więcej na pielęgnację włosów niż najedzenie. A potem za dwadzieścia pięć dziesiąt skończyłem robić zakupy, wyszedłem na jasne poranne słońce, zatoczyłem krąg i przyjrzałem się dokładnie celowi mojej wędrówki od strony wylotu Dwudziestej Czwartej, która w tym miejscu była ocienionym anonimowym kanionem między dwoma wielkimi budynkami. Nie zobaczyłem nic, co by mnie zaniepokoiło. Żadnych zagadkowych samochodów i zaparkowanych furgonetek, żadnych chodzących parami albo trójkami niedbale ubranych ludzi z kabelkami w uszach. W związku z tym punkt dziesiąt wszedłem do Madison Square Parku.

•••

Znalazłem Theresę Lee i Jacoba Marka na ławce niedaleko wybiegu dla psów. Robili wrażenie wypoczętych, ale jednocześnie zdenerwowanych i zestresowanych, każde na swój własny sposób. Każde prawdopodobnie z odmiennych powodów. Oprócz nich w parku wygrzewało się spokojnie w słońcu około stu osób. Park był poprzecinany alejkami oazą drzew i zieleni, długą na trzy przecznice i szeroką na jedną przecznicę, ogrodzoną i otoczoną ruchliwymi ulicami. Parki są niezłym miejscem na tajne spot-

316

kanie. Wzrok myśliwych przyciągają na ogół poruszające się cele. Większość uważa, że ścigani są w ciągłym ruchu. Trzy osoby siedzące w miejscu, podczas gdy sto innych mija je, pędząc za swoimi sprawami, nie rzucają się w oczy tak bardzo jak trzy osoby przemierzające się szybko ulicą.

Ryzyko jest do zaakceptowania.

Po raz ostatni sprawdziłem otoczenie i usiadłem przy Lee. Podała mi gazetę. Jeden z tabloidów, które widziałem wcześniej. Ten ze słowem „polują” w tytule.

— Piszą tu, że zastrzeliliśmy trzech agentów federalnych — powiedziała.

— Zastrzeliliśmy czterech — odparłem. — Nie zapominaj o laborancie.

— Ale napisali to tak, jakbyśmy użyli prawdziwych pistoletów. Jakbyśmy ich zabili.

— Chcą sprzedać więcej egzemplarzy.

— Jesteśmy w poważnych tarapatach.

— Wiedzieliśmy o tym już wcześniej. Nie musieli nam o tym mówić dziennikarze.

— Docherty znowu się odezwał — powiedziała. — Przysyłał mi SMS-y przez całą noc, kiedy miałam wyłączony telefon.

Uniosła się lekko z ławki i wyjęła z tylnej kieszeni plik kartek. Trzy arkusiki złożonej podwójnie żółtawej hotelowej papeterii.

— Robiłaś notatki? — zdziwiłem się.

— To były długie wiadomości. Nie chciałam włączać telefonu, gdyby trzeba było coś sprawdzić.

— No więc co wiemy?

— Siedemnasty posterunek sprawdził dworce. Standardowa procedura po każdym poważnym przestępstwie. Trzy godziny po przybliżonym czasie zgonu kraj opuściło czterech mężczyzn. Odlecieli z lotniska Kennedy'ego. Na posterunku uważają ich za potencjalnych podejrzanych. To przekonujący scenariusz.

Pokiwałem głową.

— Mają rację — stwierdziłem. — Powiedziała mi o nich Lila Hoth.

317

— Spotkałeś się z nią?

— Zadzwoiła do mnie.

— Gdzie?

— Na kolejną komórkę, którą zabrałem Leonidowi. On i jego kumpel odnaleźli mnie.

Spotkanie nie przebiegło dokładnie tak, jak chciałem, ale nawiązałem pewien ograniczony kontakt.

— Przyznała się?

— Mniej więcej.

— Więc gdzie jest teraz?

— Nie wiem dokładnie. Moim zdaniem gdzieś na wschód od Piątej Alei i na południe od Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

— Dlaczego?

— Hotel Four Seasons był tylko przykrywką. Po co daleko podróżować?

— W Queens odnaleziono spalony wrak wynajętego samochodu — oznajmiła Lee. — Na siedemnastym posterunku uważają, że ci czterej faceci wyjechali nim z Manhattanu. A potem porzucili go i pojechali napowietrzną kolejką na lotnisko.

Pokiwałem ponownie głową.

— Lila powiedziała, że samochód, którego użyli, już nie istnieje — powiedziałem.

— Ale jedno jest ciekawe — odparła Lee. — Ci czterej faceci nie polecili do Londynu, na Ukrainę albo do Rosji. Ich punktem docelowym był Tadżykistan.

— Który gdzie leży?

— Nie wiesz?

- Te nowe kraje trochę mi się mylą.
- Tadżykistan leży obok Afganistanu. Mają wspólną granicę. I obok Pakistanu.
- Można przecież polecieć bezpośrednio do Pakistanu.
- Owszem. Dlatego ci faceci są albo z Tadżykistanu, albo z samego Afganistanu. Tadżykistan jest miejscem, z którego można się niepostrzeżenie dostać do Afganistanu. Przekraczasz granicę w pick-upie. Drogi są fatalne, ale Kabul jest dość blisko.
- Rozumiem.

318

- I jest coś jeszcze. Departament Bezpieczeństwa Krajowego ma coś w rodzaju komputerowego algorytmu, który pozwala śledzić ludzi na podstawie podobnych tras podróży i wspólnych rezerwacji. Okazało się, że ci czterej faceci przylecieli do Stanów przed trzema miesiącami z Tadżykistanu razem z innymi osobami, wśród których były dwie kobiety z paszportami z Turkmenistanu. Jedna miała sześćdziesiąt, druga dwadzieścia sześć lat. Przeszły razem przez kontrolą graniczną, twierdząc, że są matką i córką. Straż graniczna może przysiąc, że ich paszporty były autentyczne.
- Rozumiem.
- Więc panie Hoth nie są Ukrainkami. Wszystko, co nam powiedziały, to kłamstwo.

•••

Przez dwadzieścia długich sekund przyswajaliśmy to w milczeniu. Przypominałem sobie wszystkie historie, które usłyszałem od Liii Hoth, i kasowałem je, jedną po drugiej. Tak, jakbym wyjmował akta z szuflady, kartkował je, i wyrzucał do śmieci.

- Widzieliśmy ich paszporty w Four Seasons — powiedziałem. — Robiły wrażenie ukraińskich.
- Były fałszywe — odparła Lee. — W przeciwnym razie pokazałyby je podczas kontroli granicznej.
- Lila miała niebieskie oczy — mruknąłem.
- Zauważyłam.
- Gdzie dokładnie leży Turkmenistan?
- Również obok Afganistanu. Mają jeszcze dłuższą wspólną granicę. Patrząc od Zatoki Perskiej, Afganistan graniczy kolejno z Iranem, Turkmenistanem, Uzbekistanem, Tadżykistanem oraz Pakistanem.
- Czy Turkmenistan i Afganistan są etnicznie zbliżone?
- Chyba tak. Wszystkie te granice są zupełnie arbitralne. Wynikają z przypadkowych historycznych zaszczości. Liczą się wyłącznie podziały plemienne. Linie na mapie nie mają z nimi nic wspólnego.
- Jesteś w tej dziedzinie ekspertem?

319

- Nowojorska policja wie o tym regionie więcej niż CIA. Musimy wiedzieć. Mamy tam swoich ludzi. Mamy lepszy wywiad niż ktokolwiek inny.
  - Czy ktoś z Afganistanu może dostać paszport w Turkmenistanie?
  - Przenosząc się tam?
  - Prosząc o pomoc i uzyskując ją.
  - Od członka tego samego plemienia?
- Pokiwałem głową.
- Powiedzmy, że pod biurkiem — wyjaśniłem.
  - Dlaczego pytasz?
  - Niektórzy Afgańczycy mają jasnoniebieskie oczy. Zwłaszcza kobiety. Jakaś dziwna genetyczna skaza.
  - Uważasz, że Hoth są Afgankami?

— Wiedzą cholernie dużo o konflikcie z Sowiecami. Trochę to podkoloryzowały, ale mało myliły się w szczegółach.

— Może naczytały się książek?

— Nie, trafnie oddają emocje. I atmosferę. Na przykład co do tych płaszczy z drugiej wojny. Tego rodzaju szczegóły nie są szeroko znane. Mógł je znać tylko ktoś, kto tam był. Oficjalnie Armia Czerwona twierdziła, że była znakomicie wyposażona, z oczywistych przyczyn. Nasza propaganda mówiła o nich to samo, z równie oczywistych przyczyn. Ale to nie była prawda. Ich wojska były w rozsypce. Wiele z tego, co powiedziały Hoth, robiło na mnie wrażenie informacji z pierwszej ręki.

— I co z tego?

— Może Swietłana rzeczywiście tam walczyła. Tyle że po drugiej stronie.

Lee przez chwilę milczała.

— Uważasz, że Hoth pochodzą z jednego z tych afgańskich plemion?

— To oczywiste, jeżeli Swietłana tam walczyła. Tyle że nie w szeregach Sowieców — odparłem.

Lee znowu przez chwilę milczała.

— W takim razie opowiedziała całą historię z odwróconej

320

perspektywy. Wszystko było odwrotnie. Łącznie z okrucieństwami.

— Tak. Swietłana nie padła ich ofiarą. Była ich sprawczynią.

•••

Przez kolejne dwadzieścia sekund ponownie milczeliśmy. Omiatałem bez przerwy wzrokiem park. Miej szeroko otwarte oczy, ale nie patrz, nadstaw uszu, ale nie słuchaj. Im bardziej się angażujesz, tym dłużej pożyjesz. Ale nic mnie nie zaskoczyło. Na razie nic się nie działo. Ludzie wchodzili i wychodzili, wyprowadzali na spacer psy, przed kioskiem z hamburgerami ustawiała się kolejka. Wcześniej, ale każda godzina dnia i nocy jest dla kogoś porą lunchu. Wszystko zależy od tego, kiedy zaczyna się dzień. Lee przeglądała swoje notatki. Jacob Mark patrzył w ziemię, ale jego wzrok był utkwiony w czymś głęboko pod powierzchnią. W końcu pochylił się do przodu, podniósł głowę i spojrzał na mnie. Wiedziałem, o co mu chodzi, o co mnie zaraz zapyta. Co nie daje mi spokoju.

— Czy podczas tej rozmowy Lila Hoth wspominała o Peterze? — zapytał.

Pokiwałem głową.

— To ona poderwała go w barze.

— Dlaczego to trwało aż cztery godziny?

— Bo takie są zasady sztuki. Dla zabawy i finezji. Bo mogła sobie na to pozwolić.

— Gdzie jest teraz Peter?

— Powiedziała, że tutaj, w Nowym Jorku.

— Jest zdrow i cały?

— Tego nie powiedziała.

— Twoim zdaniem jest zdrow i cały?

Milczałem.

— Odpowiedz na moje pytanie, Reacher.

— Nie — odparłem.

— Nie chcesz odpowiedzieć na moje pytanie?

— Nie, moim zdaniem nie jest zdrow i cały.

321

— Ale nie masz pewności?

— Mogę się mylić.

— Co ci powiedziała?



— Oświadczyłem, że się jej nie boję, a ona odparła, że to samo mówił Peter Molina. Zapytałem, czy jest zdrow i cały, a ona odparła, że powinienem przyjść i sam się przekonać.

— Więc może nic mu się nie stało?

— Może nie. Ale moim zdaniem powinieneś być realistą.

— W jakiej kwestii? Czego te dwie Afganki chciały od Petera?

— Chciały za jego pośrednictwem zaszantażować Susan. To oczywiste.

— Po co? Przecież Pentagon pomaga Afganistanowi.

— Jeżeli Swietłana pochodzi z jednego z tych walczących plemion, należała do mudżahedinów — odpowiedziałem. — A kiedy Sowieci wycofali się z Afganistanu, mudżahedini nie wrócili do pasania kóz. Część z nich przeszła do talibów, a część do Al-Kaidy.

58

— Muszę pójść na policję w sprawie Petera — oświadczył Jacob Mark i zanim zdążyłem położyć mu rękę na ramieniu, podniósł się z ławki.

— Zastanów się nad tym — powiedziałem.

— Nad czym tu się zastanawiać? Mój siostrzeniec został porwany. Jest zakładnikiem. Ta facetka przyznała się do winy.

— Pomyśl, co zrobią gliniarze. Zadzwonią natychmiast do federalnych, a ci z powrotem cię zamkną i wcale nie zajmą się Peterem, bo mają ważniejsze sprawy na głowie.

— Muszę spróbować.

— Peter nie żyje, Jake. Przykro mi, ale musisz spojrzeć prawdzie w oczy.

— Nadal jest jakaś szansa.

— W takim razie najszybciej odnajdziemy go, odnajdując Lilę. I prędzej nam się to uda niż federalnym.

— Tak uważasz?

— Popatrz na ich dokonania. Już raz pozwolili jej wyfrunąć, a poza tym pozwolili nam uciec z aresztu. Nie posłałbym ich, żeby znaleźli książkę w bibliotece.

— Jak, u licha, mamy ją sami odnaleźć?

Spojrzałem na Theresę Lee.

— Skontaktowałaś się z Sansomem? — zapytałem.

323

Wzruszyła ramionami, jakby miała dobre i złe wiadomości.

— Rozmawialiśmy krótko — odparła. — Napomknął, że może tu przyjedzie. Dodał, że zadzwoni, żebyśmy skoordynowali miejsce i czas spotkania. Odpowiedziałam, że nie może tego zrobić, bo mam wyłączony telefon. Odparł na to, że zadzwoni do Docherty'ego na komórkę, a ja powinnam do niego telefonować i odebrać od niego wiadomość. Zrobiłam tak, ale Docherty nie odebrał. Kiedy zadzwoniłam na posterunek, dyspozytor powiedział, że Docherty jest nieosiągalny.

— Co to znaczy?

— Moim zdaniem to znaczy, że go aresztowali.

•••

I to zmieniło całą sytuację. Zrozumiałem to, zanim jeszcze Lee zebrała się na odwagę, żeby mi to oznajmić. Podała mi złożone notatki. Wziąłem je tak, jakbym odbierał pałeczkę w sztafecie. Miałem biec dalej, najszybciej jak potrafiłem. Ona schodziła z toru, jej bieg już się zakończył.

— Chyba mnie rozumiesz? — zapytała. — Teraz muszę się zgłosić. To mój partner. Nie mogę pozwolić, żeby sam stawiał czoło temu szaleństwu.

— Myślałaś, że postawi na tobie krzyżyk — powiedziałem.

— Ale nie zrobił tego. A poza tym mam własne zasady.

— To nic nie da.

— Może i nie. Ale nie wypnę się na swojego partnera.  
— Wycofujesz się po prostu ze sprawy. Nie pomożesz nikomu, siedząc w więziennej celi. Zawsze jest lepiej działać z zewnątrz niż od wewnątrz.  
— Ty jesteś w innej sytuacji. Jutro możesz zniknąć. Ja tak nie mogę. Ja tu mieszkam.  
— A co z Sansomem? Muszę znać czas i miejsce.  
— Nie mam tych informacji. Zresztą powinieneś się sam skontaktować z Sansomem. Sprawiał dziwne wrażenie, kiedy rozmawiałam z nim przez telefon. Nie mogłam wyczuć, czy jest

324

naprawdę wściekły, czy zmartwiony. Trudno powiedzieć, po której będzie stronie, jeżeli tu w ogóle przyjedzie — odparła.

Oddała mi pierwszą komórkę Leonida oraz awaryjną ładowarkę, po czym położyła mi rękę na ramieniu i szybko je uściśnęła. Uniwersalny substytut rzucenia się komuś na szyję. I zaraz potem nasze tymczasowe trójstronne partnerstwo całkowicie się rozsypało. Jacob Mark wstał z ławki jeszcze przed Lee.

— Jestem to winien Peterowi — oświadczył. — Dobrze, może wsadzą mnie z powrotem do celi, ale przynajmniej zaczną go szukać.

— My też moglibyśmy go poszukać — odparłem.

— Nie mamy środków.

— Jesteście pewni, że tego chcecie? — zapytałem, spoglądając na nich.

Byli pewni. Oddalili się ode mnie, wyszli z parku i stanęli na chodniku Piątej Alei, rozglądając się za radiowozem w taki sam sposób, w jaki ludzie rozglądają się za taksówką. Przez minutę siedziałem sam na ławce, a później wstałem i wyszedłem z parku z drugiej strony.

Następny przystanek: gdzieś na wschód od Piątej i na południe od Pięćdziesiątej Dziewiątej.  
59

Madison Square Park leży przy południowym końcu Madison Avenue, na wysokości Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Madison Avenue ma sto piętnaście przecznic i kończy się przy Madison Avenue Bridge, który prowadzi do Bronksu. Można tamtędy dojechać na stadion Jankesów, chociaż inne trasy są lepsze. Planowałem pokonanie mniej więcej jednej trzeciej jej długości, do Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, czyli do punktu leżącego trochę na północny zachód od miejsca, w którym według Liii Hoth jej nie było, czyli od skrzyżowania Trzeciej Alei i Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy.

Ten punkt był tak samo dobry jak inne, żeby zacząć poszukiwania.

Pojechałem tam autobusem, powolnym, ociążałym środkiem lokomocji, z którego nie korzystają raczej rozgorączkowni uciekinierzy, co zachęciło mnie do skorzystania z tej właśnie formy transportu. Ruch był duży i mijaliśmy wielu gliniarzy w samochodach i idących pieszo. Przyglądałem im się przez okno. Żaden nie odwzajemnił spojrzenia. Człowiek w autobusie jest prawie niewidzialny.

Przestałem być niewidzialny, kiedy wysiadłem na Pięćdziesiątej Dziewiątej. W tej okolicy mieści się najwięcej sklepów i w związku z tym kręci się najwięcej turystów. Z tego względu  
326

policjant stoi tu na każdym rogu. Przeszedłem na drugą stronę Piątej Alei i w straganach przy Central Parku kupiłem czarny T-shirt z napisem New York City, podróbkę firmowych ciemnych okularów oraz czarną baseballową czapkę z namalowanym na niej czerwonym jabłkiem. Przebrałem się w hotelowej toalecie i wróciłem na Madison Avenue. Wyglądałem trochę inaczej. Minęły cztery godziny od chwili, kiedy stójkowi wysłuchali swoich komendantów. A ludzie dużo zapominają w ciągu czterech godzin. Uznałem, że zapamiętali jedynie, że mam ubranie w kolorze khaki i jestem wysoki. Nie mogłem nic poradzić na swój wzrost, ale miałem nadzieję, że w czarnym ubraniu łatwiej mi będzie się jakoś prześlizgnąć.

Poza tym napisy na koszulce, ciemne szkła i czapeczka baseballowa upodabniały mnie do typowego przyjezdnego kretyna.

Którym w zasadzie byłem. Tak naprawdę nie miałem pojęcia, co robię. Odnalezienie każdej kryjówki jest trudne. Odnalezienie czyjejs kryjówki w wielkim mieście graniczy z niemożliwością. Przeczesałem po prostu przypadkowe przecznice, zdając się na geograficzną intuicję, która mogła przecież prowadzić mnie na manowce, starałem się znaleźć argumenty, które skłoniłyby mnie do zawężenia pola poszukiwań. Hotel Four Seasons. Nie w bezpośrednim sąsiedztwie, ale w wygodnym pobliżu. Co to mogło oznaczać? Dwie minuty autem? Pięć minut spacerem? W jakim kierunku? Nie na południe. Nie po drugiej stronie Pięćdziesiątej Siódmej, która jest szeroką, przecinającą miasto arterią. Dwukierunkową i sześciopasmową. Zawsze zatłoczoną. W mikrogeografii Manhattanu Pięćdziesiąta Siódma jest niczym Missisipi. Jest przeszkodą. Granicą. O wiele bardziej zachęcające wydawały się spokojniejsze północne przecznice.

Obserwując ruch na ulicy, uznałem, że nie chodzi o dwie minuty autem. Jazda samochodem oznacza brak kontroli i brak dyspozycyjności, oznacza opóźnienia, jednokierunkowe ulice, problemy z parkowaniem, ryzyko, że ktoś zapamięta parkujący samochód, tablice rejestracyjne, które można namierzyć i sprawdzić.

327

Kimkolwiek jesteś, chodzenie jest w mieście lepsze od jeżdżenia.

Idąc Pięćdziesiątą Ósmą, zbliżyłem się do tylnego wejścia do hotelu. Było tak samo wystawne jak frontowe. Mosiądz, kamień, powiewające flagi, portierzy w uniformach i odźwierni w cylindrach. Przy krawężniku czekał rząd limuzyn. Lincolny, mercedesy, maybachy, rolls-royce'y. Stłoczone na odcinku osiemdziesięciu stóp produkty przemysłu motoryzacyjnego warte grubo ponad milion dolarów. Obok znajdowała się rampa załadunkowa z zamkniętą, podnoszoną szarą bramą.

Stanąłem obok boya hotelowego obrócony plecami do wejścia. Dokąd bym poszedł? Po drugiej stronie ulicy zobaczyłem nieprzerwaną linię wysokich budynków. W większości apartamen-towców, z parterami, które wynajęto prestiżowym firmom. Dokładnie naprzeciwko mieściła się galeria sztuki. Przecisnąłem się między dwoma chromowanymi słupkami, przeszedłem przez jezdnię i zerknąłem na obrazy w oknie wystawowym. A potem obróciłem się i spojrzałem na hotel.

Po jego lewej stronie, bliżej Park Avenue, nie zobaczyłem nic ciekawego.

A potem spojrzałem w prawo, w stronę Madison Avenue, i przyszedł mi do głowy nowy pomysł.

Sam hotel zbudowano dość niedawno za astronomiczne pieniądze. Wszystkie sąsiadujące z nim budynki były porządne, solidne i bogate, niektóre stare, niektóre nowe. Ale przy zachodnim końcu przecznicy stały w rzędzie trzy rudery. Czteropiętrowe, wąskie, zapuszczone, z obłazującym tynkiem, w zasadzie w ruinie. Brudne okna, opadające nadproża, płaskie dachy, zarosnięte gzymsy, stare schody przeciwpożarowe biegnące zygzakiem wzdłuż górnych pięter. Trzy budynki wyglądały jak trzy zepsute zęby w promiennym uśmiechu. Na parterze pierwszego mieściła się nieczynna restauracja. W drugim sklep z artykułami żelaznymi. Lokalu na parterze trzeciego nie używano od tak dawna, że trudno było stwierdzić, co tam kiedyś było. W każdym z budynków tuż obok lokalu użytkowego znajdowały się wąskie

328

drzwi, przez które wchodziło się na górę. Przy dwóch było kilka dzwonek, co sugerowało, że na wyższych piętrach jest kilka mieszkań. Przy drzwiach sąsiadujących z nieczynną restauracją był tylko jeden dzwonek. A zatem cztery górne piętra zajmował pojedynczy najemca.

Lila Hoth nie była ukraińską miliarderką z Londynu. Okazało się to kłamstwem. Kimkolwiek naprawdę była, miała ograniczone środki. Dość znaczne, skoro w razie potrzeby stać ją było na apartament w Four Seasons, lecz jednak ograniczone. A za dom na Manhattanie można zapłacić nawet dwadzieścia milionów dolarów. Jego wynajęcie mogło kosztować kilkadziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie.

Prywatność można jednak kupić za znacznie mniejsze pieniądze w wielofunkcyjnych zaniedbanych budynkach, podobnych do tych, na które patrzyłem. Które miały również inne plusy. W zasięgu wzroku nie było ani jednego portiera — a to oznaczało mniej wścibskich oczu. Poza tym jest zrozumiałe, że lokal użytkowy taki jak restauracja czy sklep z artykułami żelaznymi może przyjmować dostawy o każdej porze dnia i nocy. Można tam wchodzić i stamtąd wychodzić bez przyciągania zbytnej uwagi.

Przeszedłem kilkadziesiąt kroków, stanąłem na krawężniku naprzeciwko trzech ruder i uważnie im się przyjrzałem. Ludzie bez przerwy przeciskali się obok mnie na chodniku. Zszedłem na jezdnię, żeby nie tamować ruchu. Na rogu Madison Avenue i Pięćdziesiątej Siódmej stało dwóch gliniarzy. Pięćdziesiąt jardów po przekątnej. Nie patrzyli w moją stronę. Spojrzałem ponownie na budynki i przypomniałem sobie swoje wstępne założenia. W pobliżu, na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej i Lexington Avenue, była stacja linii sześć. A także hotel Four Seasons. Skrzyżowanie Trzeciej Alei i Pięćdziesiątej Szóstej było trochę dalej. To nie jest blisko mnie. Zapewniona anonimowość. Ograniczone koszty. Pięć trafień na pięć. Bingo. Uznałem, że szukam domu podobnego do tych trzech ruder, zlokalizowanego w promieniu pięciu minut spacerkiem, na wschód albo na zachód od tylnego wejścia do 329

hotelu. Nie na północ, ponieważ wówczas Susan Mark zaparkowałyby w połowie Manhattanu i wysiadła z metra przy Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. Nie na południe z powodu psychologicznej bariery, jaką stanowiła Pięćdziesiąta Siódma Ulica. Nie zupełnie gdzie indziej, ponieważ Hoth użyły Four Seasons jako przykrywkę. Gdyby miały bazę zupełnie gdzie indziej, skorzystałyby z innego hotelu. W Nowym Jorku nie brakuje wytwornych hoteli. Nieskazitelna logika. Może zbyt nieskazitelna. Z całą pewnością zawężająca pole poszukiwań. Ponieważ jeśli upierałem się przy założeniu, że Susan Mark miała zamiar wysiąść z metra przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i nadejść od północy i że Pięćdziesiąta Siódma była barierą psychologiczną, pozostawała mi wyłącznie Pięćdziesiąta Ósma. A poprzeczne ulice na Manhattanie można przejść w ciągu pięciu minut. W promieniu pięciu minut spacerkiem od tylnego wejścia do hotelu znajdowały się albo rudery, naprzeciwko których aktualnie się znajdowałem, albo w kierunku wschodnim, domy między Park i Lexington Avenue. Poza tym w okolicy nie było zbyt wielu innych zaniedbanych nieruchomości. Już dawno wykurzyły je stąd duże pieniądze. Było całkiem możliwe, że patrzyłem na ostatnie trzy, które zostały się w tym rejonie.

Z tego względu niewykluczone, że patrzyłem na kryjówkę Lili Hoth.

Niewykluczone, lecz mało prawdopodobne. Wierzę jak każdy, że można mieć fart, ale nie jestem stuknięty.

Wierzę jednak również w logikę, chyba bardziej niż każdy, a to logika przywiodła mnie w to miejsce. Przemyślałem wszystko od początku i w końcu uwierzyłem sam sobie.

Przekonało mnie do tego jeszcze jedno.

Fakt, że ta sama logika przywiodła w to miejsce jeszcze jedną osobę.

— Myślisz? — zapytał Springfield, stając obok mnie na jezdni.

60

Springfield miał na sobie ten sam garnitur, w którym widziałem go poprzednio. Z letniej szarej wełny, z jedwabną nitką i lekkim połyskiem. Wymiętoszony i pognieciony, jakby w nim spał. Może tak rzeczywiście było.

— Myślisz, że to tu? — dodał.

Nie odpowiedziałem. Sprawdzałem otoczenie. Przyjrzałem się setkom ludzi i dziesiątkom samochodów. Nie zobaczyłem niczego, co wzbudziłoby mój niepokój. Springfield był sam. Odwróciłem się do niego.

— Myślisz, że to tu? — powtórzył.

— Gdzie jest Sansom? — zapytałem.

— Został w domu.

— Dlaczego?

— Ponieważ tego rodzaju rzeczy są trudne, a ja jestem lepszy od niego.

Pokiwałem głową. Podoficerowie święcie wierzą, że są lepsi od swoich oficerów i na ogół mają rację. Na pewno byłem zadowolony ze swoich. Wykonali dla mnie kawał solidnej roboty.

— Więc jaka jest umowa? — zapytałem.

— Jaka umowa?

— Między tobą i mną.

— Nie mamy żadnej umowy — odparł. — Na razie.

331

— A będziemy mieli?

— Powinniśmy chyba pogadać.

— Gdzie?

— Gdzie chcesz — odparł. Co było dobrym znakiem. Oznaczało, że jeśli w najbliższej przyszłości zastawią na mnie pułapkę, będzie zorganizowana ad hoc i z tego względu niezbyt skuteczna. Być może nawet uda mi się z niej wywinąć.

— Jak dobrze znasz to miasto? — zapytałem.

— W miarę dobrze.

— Skręć dwa razy w lewo i idź pod numer pięćdziesiąty siódmy przy Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej. Spotkamy się w środku — powiedziałem.

— Co to za miejsce?

— Możemy się tam napić kawy.

— W porządku — odpowiedział.

Popatrzył po raz ostatni na budynek z restauracją na parterze, przeszedł na ukos przez ulicę i skręcił w lewo w Madison Avenue. Ja ruszyłem w przeciwną stronę, do tylnego wejścia Four Seasons, które znajdowało się przy Pięćdziesiątej Ósmej. Budynek hotelu zajmował całą przecnicę. Co oznaczało, że jego front wychodził na Pięćdziesiątą Siódmą. Dokładnie rzecz biorąc, na Pięćdziesiątą Siódmą Wschodnią. Powinienem zjawić się na miejscu cztery minuty przed Springfieldem. Mogłem dzięki temu sprawdzić, czy nie sprowadził jakiejś ekipy, czy ktoś tam wszedł przed nim, razem z nim albo po nim. Wszedłem od tyłu do holu, zdjąłem czapkę i ciemne okulary, stanąłem w zacisznym miejscu i zacząłem.

•••

Springfield wszedł sam, dokładnie wtedy, kiedy powinien, czyli cztery minuty później. W tym czasie nie zdążyłby niczego zorganizować. Nie zdążyłby z nikim porozmawiać. Prawdopodobnie nie zdążyłby nawet do nikogo zadzwonić. Większość ludzi zwalnia kroku, wybierając numer i rozmawiając przez telefon.

332

Koło drzwi stał facet we fraku i srebrnym krawacie. Nie odzwierny i nie portier. Jakiś rodzaj męskiej hostessy, chociaż jego tytuł był z pewnością o wiele bardziej wyrafinowany. Ruszył w stronę Springfieldda, ale ten zmierzył go wzrokiem i facet skulił się, jakby został spoliczkowany. Springfield miał tego rodzaju spojrzenie.

Zatrzymał się na chwilę, rozejrzał i ruszył w stronę herbaciarni, w której spotkałem się wcześniej z paniami Hoth. Stojąc w moim rogu, obserwowałem drzwi na ulicę. Springfield nie miał żadnego wsparcia. Na zewnątrz nie zatrzymały się żadne nieoznakowane samochody.

Odczekałem dziesięć minut, a potem jeszcze dwie, na wszelki wypadek. Nic się nie wydarzyło. Normalny ruch w ekskluzywnym wielkowiejskim hotelu. Bogaci ludzie wchodzili, bogaci ludzie wychodzili. Biedni ludzie biegali dokoła i im usługiwali. Wszedłem do herbaciarni i znalazłem go przy tym samym stoliku, który wybrała Lila Hoth. Obsługiwał go ten sam dostojny stary kelner. Podeszedł do nas. Springfield poprosił o wodę mineralną, ja o kawę. Kelner skinął leciutko głową i odszedł.

- Spotkałeś się tutaj z paniami Hoth — rzekł Springfield. — Dwa razy.
- Raz dokładnie przy tym stoliku — odparłem.
- Co stwarza techniczny problem. Kontakty z nimi mogą zostać uznane za przestępstwo.
- Dlaczego?
- Na mocy Ustawy Patriotycznej.
- Kim są dokładnie panie Hoth?
- Przestępstwem jest również bieganie po torach metra. Formalnie rzecz biorąc, mógłbyś za to dostać pięć lat w stanowym więzieniu. Tak mi powiedzieli.
- Postrzeliłem również czterech agentów federalnych strzałkami.
- Nikt się nimi nie przejmuje.
- Kim są panie Hoth? — powtórzyłem.
- Nie mogę udzielać żadnych informacji.

333

- Więc po co tu przyszliśmy?
- Ty pomożesz nam, my pomożemy tobie.
- W czym możecie mi pomóc?
- Możemy sprawić, że popełnione przez ciebie przestępstwa zostaną uznane za niebyłe.
- A w czym ja mogę wam pomóc?
- Możesz nam pomóc odnaleźć to, co zgubiliśmy.
- Chodzi wam o pamięć USB?

Springfield pokiwał głową. Kelner wrócił z tacą. Woda mineralna i kawa. Postawił je ostrożnie na stoliku i wycofał się.

- Nie wiem, gdzie jest pamięć USB — powiedziałem.
- Wiem, że nie wiesz. Ale byłeś bliżej Susan Mark niż ktokolwiek inny. A ona wyszła z nią z Pentagonu. Nośnika nie ma w jej domu, w jej samochodzie i w żadnym innym miejscu, w którym przebywała. Więc mamy nadzieję, że coś widziałeś. Dla ciebie to nic nie znaczy, ale dla nas może być ważne.
- Widziałem, jak się zastrzeliła. To w zasadzie wszystko.
- Musi być coś jeszcze.
- Mieliście w tym pociągu szefa waszego sztabu wyborczego. Co zobaczył?
- Nic.
- Co było na tym nośniku?
- Nie mogę udzielać żadnych informacji.
- W takim razie nie mogę ci pomóc.
- Dlaczego tak cię to interesuje?
- Chciałbym wiedzieć choćby w ogólnym zarysie, na czym polegają kłopoty, w które się pakuję.
- W takim razie powinieneś sobie zadać inne pytanie.
- Jakie pytanie?
- Pytanie, którego jeszcze nie zadałeś, a które powinieneś zadać na samym początku.

Kluczowe pytanie, ty głupku.

- Co to ma być? Jakies zawody? Podoficerowie przeciwko oficerom?
- Ta bitwa skończyła się już dawno temu.

Przewinąłem więc taśmę do samego początku, szukając py-

tania, którego nie zadałem. Na początku był pociąg linii sześć i pasażerka numer cztery, po prawej stronie wagonu, sama na ośmioosobowej ławce, biała, koło czterdziestki, zwyczajna, czarne włosy, czarne ubranie, czarna torba. Susan Mark, obywatelka, była żona, matka, siostra, adoptowana w dzieciństwie mieszkanka Annandale w stanie Wirginia.

Susan Mark, cywilna pracowniczka Pentagonu.

— Na czym dokładnie polegała jej praca? — zapytałem.

61

Springfield pociągnął długi łyk wody i uśmiechnął się półgębkiem.

— Powoli, ale w końcu na to wpadłeś.

— Więc na czym polegała jej praca?

— Była administratorką systemu odpowiedzialną za pewien typ technologii informacyjnej.

— Nie wiem, co to znaczy.

— To znaczy, że znała wiele podstawowych haseł komputerowych.

— W jakich komputerach?

— Nie tych ważnych. Nie mogła wystrzelić rakiet ani nic w tym rodzaju. Miała jednak oczywiście dostęp do akt osobowych. I do niektórych archiwów.

— Ale chyba nie do archiwów Delty? Są w Karolinie Północnej. W Fort Bragg. Nie w Pentagonie.

— Komputery są ze sobą połączone. Wszystko jest dzisiaj wszędzie i nigdzie.

— A ona miała dostęp?

— Ludzki błąd.

— Co?

— Do pewnego stopnia wynika to z ludzkiego błędu.

— Do pewnego stopnia?

336

— Jest wielu administratorów systemów. Wszyscy mają podobnego typu kłopoty. Pomagają sobie wzajemnie. Mają własny chatroom i własną tablicę ogłoszeniową. Najwyraźniej któraś z linii kodu okazała się wadliwa i indywidualne hasła stały się przez to bardziej przejrzyste, niż powinny. Doszło do przecieku. Naszym zdaniem administratorzy o tym wiedzieli, ale nie chcieli tego zmieniać. Jedna osoba mogła wejść i niepostrzeżenie pomóc drugiej. Nawet gdyby kod był poprawny, prawdopodobnie by go skasowali. Przypomniałem sobie słowa Jacoba Marka. „Miała dryg do komputerów”.

— Więc udało jej się wejść do archiwum Delty? — zapytałem.

Springfield pokiwał głową.

— Ale ty i Sansom odeszliście ze służby pięć lat przede mną—powiedziałem. —Nic nie było wtedy skomputeryzowane. Z całą pewnością nie archiwa.

— Czasy się zmieniają — odparł Springfield. — Armia Stanów Zjednoczonych, taka, jaką znamy, istnieje mniej więcej od dziewięćdziesięciu lat. Przez dziewięćdziesiąt lat zebrała się góra śmieci. Zardzewiała broń, którą czyjś dziadek kupił jako pamiątkę, zdobyte flagi i mundury, które zżera pleśń. Co tylko chcesz. Plus dosłownie tysiące ton papieru. Może miliony ton. Stwarzają praktyczne problemy. Problem utrzymywania odpowiednio dużej powierzchni magazynowej, ryzyko pożaru, ryzyko zjedzenia przez myszy.

— I co z tego?

— Od dziesięciu lat robią z tym porządek. Ekspozyty są wysyłane do muzeum albo wyrzucane. Dokumenty są skanowane i zapisywane w pamięci komputerów.

Pokiwałem głową.

— A Susan Mark znalazła i skopiowała jeden z nich.

— Nie tylko go skopiowała — odparł Springfield. — Zabrała go. Skopiowała na zewnętrzny napęd, po czym skasowała oryginał.

— Zewnętrzny napęd to nośnik, o którym mówimy?

337

Springfield pokiwał głową.

— Nie wiemy, co się z nim stało.

— Dlaczego akurat ona?

— Bo spełniała określone warunki. Do dokumentu, o którym mówimy, można było trafić poprzez informację o przyznaniu medalu. W dziale zasobów ludzkich przechowuje się dane na temat medali. Tak jak mówiłeś. Susan Mark była administratorką systemu. I można ją było zaszachować poprzez syna.

— Dlaczego skasowała oryginał?

— Nie wiem.

— To zwiększało ryzyko całej operacji.

— W znaczącym stopniu.

— Co to był za dokument?

— Nie mogę udzielić tej informacji.

— Kiedy został wydobyty z archiwum i zeskanowany?

— Jakies trzy miesiące temu. Skanowanie to powolny proces. Po dziesięciu latach przenoszenia danych dotarli do wczesnych lat osiemdziesiątych.

— Kto to robi?

— Wspecjalizowani ludzie.

— Któryś z nich jest źródłem przecieku. Panie Hoth natychmiast się tu pojawiły.

— Na to wygląda.

— Wiecie, kto to jest?

— Podjęte zostały stosowne kroki.

— Co to za dokument?

— Nie mogę udzielić tej informacji.

— Ale to duży plik.

— Dostyc duży.

— I Hoth bardzo chcą go zdobyć.

— To chyba jasne.

— Dlaczego chcą go zdobyć?

— Nie mogę udzielić tej informacji.

— Często powtarzasz to zdanie.

338

— Bo jest bardzo ważne.

— Kim są Hoth?

Springfield uśmiechnął się i zatoczył dłonią krąg na znak, że odpowiedź jest taka sama jak przedtem. Nie mogę udzielić tej informacji. Wspaniała odpowiedź podoficera. Pięć słów, z których najważniejsze było zapewne to trzecie.

— Możesz mi zadawać pytania — powiedziałem. — Ja spróbuję na nie odpowiedzieć. A ty możesz to komentować.

— Kim są twoim zdaniem panie Hoth? — zapytał.

— Moim zdaniem to rodowite Afganki.

— Mów dalej.

— To żaden komentarz.

— Mów dalej.

— Sympatyzują pewnie z talibami albo Al-Kaidą. Względnie są bojowniczkami tych organizacji.



Żadnej reakcji.

— Al-Kaida — powiedziałem. — Talibowie siedzą na ogół w kraju.

— Mów dalej.

— To bojowniczkę — stwierdziłem.

Żadnej reakcji.

— Przywódczynię?

— Mów dalej.

— W Al-Kaidzie kobiety są przywódczyniami?

— Oczywiście, jeśli są przydatne.

— Wydaje mi się to mało prawdopodobne.

— Chcą, żebyśmy tak myśleli. Chcą, żebyśmy szukali mężczyzn, którzy nie istnieją.

Nie odpowiedziałem.

— Mów dalej — mruknął.

— No dobrze. Ta, która mówi, że nazywa się Swietłana, walczyła w szeregach mudżahedinów i wiedziała, że odebraliście karabin VAL Grigorijowi Hothowi. Posłużyły się jego historią i nazwiskiem, żeby wzbudzić współczucie.

— Dlaczego?

339

— Ponieważ Al-Kaida chce zdobyć dokumentację tego, co jeszcze robiliście tamtej nocy.

— Mów dalej.

— Za to właśnie Sansom dostał swój wielki medal. Dlatego dawno temu to musiało być coś chwalebne. Ale teraz martwiccie się, że zostanie ujawnione. Podejrzewam więc, że dziś już nie jest.

— Mów dalej.

— Sansom jest w opałach, ale rząd też przebiera nogami. Więc sprawa ma zarówno aspekt osobisty, jak i polityczny.

— Mów dalej.

— Ty też zdobyłeś tamtej nocy medal?

— Medal za Wzorową Służbę Pierwszej Klasy.

— Który przyznaje bezpośrednio sekretarz obrony.

Springfield pokiwał głową.

— Ładna blaszka dla niskiego stopniem sierżanta — mruknął.

— Więc ta eskapada miała w większym stopniu polityczny niż wojskowy charakter.

— Naturalnie. W tamtym okresie oficjalnie z nikim nie byliśmy w stanie wojny.

— Wiecie, że ludzie Liii Hoth zabili cztery osoby i prawdopodobnie również syna Susan

Mark?

— Nie wiemy tego na pewno, ale podejrzewamy.

— Więc dlaczego ich nie zgarnęliście?

— Kieruję ochroną kongresmena. Nie mogę nikogo zgarniać.

— Ci federalni mogli.

— Ci federalni pracują w zagadkowy sposób. Widocznie uznali ekipę Hoth za skrajnie niebezpieczną i ważną, ale w tym momencie niezdolną do działania.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że obecnie można więcej zyskać, zostawiając ich w spokoju.

— W praktyce oznacza to, że nie mogą ich teraz znaleźć.

— Oczywiście.

— Odpowiada ci to?

340

— Hoth nie mają pamięci USB. Nie szukałyby jej, gdyby ją miały. W związku z tym zbyt szybko się tym nie przejmuję.

- Moim zdaniem powinieneś się przejmować—powiedziałem.
- Myślisz, że tam mają swoją kryjówkę? Tam, gdzie stałeś?
- Przy tej albo przy sąsiedniej przecznicy.
- Moim zdaniem przy tej — odparł. — Kiedy wyszły, federalni przeszukali ich apartament w hotelu.
- Lila mówiła mi o tym.
- Były tam torby na zakupy. Coś w rodzaju rekwizytów. Żeby apartament sprawiał właściwe wrażenie.
- Widziałem je.
- Dwie z Bergdorf Goodman i dwie od Tiffany'ego. Oba sklepy są blisko siebie, w odległości jednej przecznicy od tych starych budynków. Gdyby miały bazę na wschód od Park Avenue, wybrałyby się do Bloomingdale'a. Ponieważ tak naprawdę wcale nie robiły zakupów. Chciały tylko mieć odpowiednie rekwizyty w hotelu, żeby nabierać ludzi.
- Trafna uwaga — zauważyłem.
- Nie próbuj ich odnaleźć — poradził mi Springfield.
- Teraz się o mnie martwisz?
- Możesz przegrać na dwa sposoby. One będą kombinowały podobnie do nas. Uznają, że nawet jeśli nie masz tego nośnika, możesz wiedzieć, co się z nim stało. I mogą się okazać jeszcze bardziej bezwzględne i przekonujące od nas.
- To znaczy?
- Mogą ci nawet powiedzieć, co na nim jest. A wtedy staniesz się z naszego punktu widzenia zbędnym ogniwem.
- Te dane są aż tak fatalne?
- Ja się ich nie wstydzę. Ale major Sansom znalazłby się w bardzo krępującej sytuacji.
- Stany Zjednoczone również.
- Zgadza się.

Kelner podszedł do nas i zapytał, czy życzymy sobie czegoś jeszcze. Springfield odparł, że tak. Zamówił dla nas obu to samo co wcześniej. Co oznaczało, że ma więcej spraw do omówienia.

341

- Opowiedz dokładnie, co wydarzyło się w tamtym pociągu — poprosił.
- Dlaczego sam nim nie jechałeś? Zamiast szefa waszego sztabu? Tego rodzaju rzeczy należą bardziej do twoich niż do jego obowiązków.
- To spadło na nas zupełnie niespodziewanie. Byłem w Teksasie z Sansomem. Zbieraliśmy pieniądze. Nie mieliśmy czasu się dobrze przygotować.
- Dlaczego federalni nie mieli kogoś w pociągu?
- Mieli. Mieli tam dwóch agentów. Dwie kobiety. Pod przykrywką, pożyczone z FBI. Agentki specjalne Mbele i Ro-driguez. Wsiadłeś do złego wagonu i jechałeś z nimi przez cały czas.
- Były dobre — przyznałem. I tak rzeczywiście było. Latynoska, nieduża, zgrzana, zmęczona, z torbą na zakupy zwiniętą na nadgarstku. Afrykanka w batikowej sukni. — Były bardzo dobre. Ale skąd wszyscy wiedzieliście, że Susan wsiądzie do tego pociągu?
- Nie wiedzieliśmy — odparł Springfield. — To była operacja na dużą skalę. Wiedzieliśmy, że jedzie samochodem. Mieliśmy ludzi rozstawionych w tunelach. Mogliśmy ją stamtąd śledzić, dokądkolwiek by się udała.
- Dlaczego nie aresztowano jej na schodach Pentagonu?
- To było przedmiotem krótkiej debaty. Federalni postawili na swoim. Chcieli zwinąć całą siatkę za jednym zamachem. I mogło im się udać.
- Gdybym tego nie schrzanił.
- Ty to powiedziałeś.

- Nie miała przy sobie nośnika USB. Więc i tak nic nie zostałoby ujawnione.
- Wyszła z nim z Pentagonu i nie ma go w jej domu ani w samochodzie.
- Jesteście co do tego pewni?
- Jej dom przewrócono do góry nogami i mógłbym połknąć największe kawałki, na które rozmontowano jej samochód.

342

- Jak dobrze przeszukali wagon metra?
- Wagon numer siedemdziesiąt sześć dwadzieścia dwa jest nadal w zajezdni przy Dwieście Drugiej Ulicy. Powiedzieli, że jego ponowne zmontowanie może zająć nawet miesiąc.
- Co, do diabła, było na tym nośniku pamięci?

Springfield nie odpowiedział.

W tym momencie w mojej kieszeni zaczęła wibrować jedna z zabranych komórek.

62

Wyjąłem z kieszeni wszystkie trzy telefony i położyłem na stoliku. Jeden z nich podskakiwał na wysokość jednej ósmej cala. Robił to całkiem energicznie. Na wyświetlaczu widniał napis Numer zastrzeżony. Otworzyłem klapkę i przystawiłem komórkę do ucha.

- Halo?
- Nadal jesteś w Nowym Jorku? — zapytała Lila Hoth.
- Tak — odparłem.
- Blisko Four Seasons?
- Niezbyt.
- Idź tam teraz. Zostawiłam ci przesyłkę w recepcji — oświadczyła Hoth.
- Kiedy? — zapytałem, ale ona już się rozłączyła.
- Poczekaj tutaj — powiedziałem do Springfieldda i wyszedłem szybkim krokiem z herbaciarni. Nie zobaczyłem nikogo, kto wycofywałby się w stronę drzwi. W holu panował spokój. Męska hostessa stała bezczynnie. Podszedłem do recepcji, podałem swoje nazwisko i zapytałem, czy coś dla mnie mają. Minutę później trzymałem w ręku kopertę z wypisanym grubymi czarnymi literami moim nazwiskiem. W górnym lewym rogu, tam gdzie podaje się adres zwrotny, widniało nazwisko Liii Hoth. Zapytałem, kiedy została dostarczona. Facet odparł, że przed godziną.

— Widział pan osobę, która to zostawiła?

— To był cudzoziemiec.

344

- Rozpoznał go pan?
- Nie, proszę pana.

Bąbelkowa koperta miała wymiary sześć na dziesięć cali. Była lekka. W środku znajdowało się coś sztywnego i okrągłego o średnicy mniej więcej pięciu cali. Wróciłem z przesyłką do herbaciarni i usiadłem naprzeciwko Springfieldda.

— Od Liii Hoth? — zapytał.

Pokiwałem głową.

- W środku mogą być laseczki węglika — ostrzegł.
- Bardziej mi to wygląda na płytę CD — odparłem.
- Z czym?
- Może z afgańską muzyką ludową.
- Mam nadzieję, że nie. Słuchałem afgańskiej muzyki ludowej. Bardzo długo i z bardzo bliska.
- Chcesz, żebym poczekał z otwarciem tej koperty?
- Na co?
- Aż znajdziesz się poza polem rażenia.

— Zaryzykuję.

Rozdarłem więc kopertę i potrząsałem nią. Wypadła z niej pojedyncza płyta. Plastik uderzył o drewniany blat stołu.

— CD — powiedziałem.

— Właściwie DVD — stwierdził Springfield.

To była wyprodukowana przez Memorex płyta z własnym nagraniem. W poprzek napisane były czarnym markerem słowa ZOBACZ TO. Tym samym charakterem pisma co moje nazwisko na kopercie. Tym samym markerem. Najprawdopodobniej charakterem pisma i markerem Liii Hoth.

— Nie mam odtwarzacza DVD — powiedziałem.

— Więc nie oglądaj tego.

— Chyba muszę.

— Co się zdarzyło w metrze?

— Nie wiem.

— Można obejrzeć DVD na komputerze. Podobnie jak ludzie oglądają filmy na swoich laptopach w samolocie.

— Nie mam komputera.

345

— W hotelach są komputery.

— Nie chcę tu dalej siedzieć.

— W mieście są inne hotele.

— Gdzie się zatrzymaliście?

— W Sheratonie. Tak jak poprzednio.

•••

Springfield zapłacił platynową kartą kredytową rachunek w herbaciarni i przeszliśmy z Four Seasons do Sheratona. Już po raz drugi pokonywałem tę trasę. Trwało to tak samo długo. Zatłoczone chodniki, ludzie wlokący się powoli w upale. Była pierwsza po południu, bardzo ciepło. Przez cały czas uważałem na gliniarzy, co też nas trochę spowolniło. W końcu jednak tam dotarliśmy. Na plazmowym ekranie widniała lista imprez. Sala balowa była zarezerwowana dla stowarzyszenia przemysłowców mających coś wspólnego z telewizją kablową. To sprawiło, że ponownie pomyślałem o National Geographic Channel i srebrnogrzbietym gorylu.

Springfield otworzył kluczem magnetycznym drzwi do centrum biznesowego, ale nie wszedł tam ze mną. Powiedział, że zaczeka w holu, i odszedł. Trzy z czterech stacji roboczych były zajęte. Dwie kobiety, jeden mężczyzna, wszyscy z otwartymi skórzanymi teczkami, z których wysypywały się papiery. Usiadłem na wolnym krześle i zacząłem się zastanawiać, jak puścić DVD na komputerze. W obudowie na dole znalazłem otwór, który wydawał się odpowiedni. Wsunąłem tam płytę. Przez chwilę stawiała opór, a potem zawarczał silniczek i napęd wciągnął ją do końca.

Przez pięć sekund prawie nic się nie działo. Coś się kręciło, zatrzymywało i ruszało. W końcu na ekranie pojawiło się duże okno. Puste. W dolnym rogu miało kilka ikon. Przypominały przyciski na odtwarzaczu DVD. Przycisk play, pauza, przewiń do przodu, przewiń do tyłu, przeskocz. Poruszyłem myszką i zauważyłem, że znalazłszy się na którymś z przycisków, strzałka zmienia się w pulchną rączkę.

W mojej kieszeni zaczął wibrować telefon.

63

Wyjąłem go i otworzyłem klapkę. Rozejrzałem się po sali. Trójka moich tymczasowych kolegów ciężko pracowała. Mężczyzna czytał e-mail. Jedna z kobiet miała na ekranie kolorowe słupki, jedne wysokie, drugie niskie. Druga szybko stukała w klawisze.

Przystawiłem telefon do ucha.

- Halo — powiedziałem.
- Już to masz? — zapytała Lila Hoth.
- Tak — odparłem.
- Już to obejrzałeś?
- Nie.
- Moim zdaniem powinieneś.
- Dlaczego?
- To bardzo pouczające.
- Jest tam dźwięk? — zapytałem, zerkając ponownie na osoby w centrum biznesowym.
- Nie, to niemy film. Niestety. Z dźwiękiem byłby lepszy.

Nie odpowiedziałem.

- Gdzie jesteś? — zapytała.
- W hotelowym centrum biznesowym.
- W hotelu Four Seasons?
- Nie.

347

- Czy są tam komputery?
- Tak.
- Wiesz, że możesz puścić DVD na komputerze.
- Tak mi powiedziano.
- Czy ktoś jeszcze może zobaczyć ekran?

Nie odpowiedziałem.

- Puść to — powiedziała. — Nie rozłączaj się. Będę komentować. Coś w rodzaju wydania specjalnego.

Nie odpowiedziałem.

- Wersja reżyserska — dodała i parsknęła śmiechem.
- Przesunąłem myszkę i dotknąłem pulchną rączką przycisku play. Czekała tam cierpliwie.  
Kliknąłem myszką.

Komputer ponownie zawarczał i rozjaśniło się puste okno na ekranie. Ukazały się na niej dwie horyzontalne linie. Błysnęły dwa razy, po czym zobaczyłem filmowany szerokokątnym obiektywem otwarty teren. Była noc. Kamera była nieruchoma. Domyśliłem się, że zamontowano ją na wysokim statywie. Scenę oświetlały stojące tuż za kadrem halogenowe reflektory. Kolory były surowe. Ubita ziemia brunatnego koloru. Małe kamyki i jedna duża płaska skała, większa od podwójnego łóżka. W czterech rogach zrobiono w niej otwory i przymocowano do nich cztery żelazne obręcze.

Do obręczy przywiązany był nagi mężczyzna. Niski i chudy, o oliwkowej skórze i czarnej brodzie, mógł mieć jakieś trzydzieści lat. Leżał na plecach, rozciągnięty w kształcie litery X. Kamera stała może jard od jego stóp. W górnej części ekranu widać było jego głowę, którą rzucał na boki. Miał zamknięte oczy i otwarte usta. Ściągną na jego szyi były napięte jak liny. Krzyczał, ale go nie słyszałem.

Niemy film.

- Co widzisz? — szepnęła mi do ucha Lila Hoth.
- Faceta na skalnej płycie — odparłem.
- Patrz dalej.
- Kto to jest?

348

- Kto to był. Taksówkarz, który pomagał zbierać materiały amerykańskiemu dziennikarzowi.

Domyślałem się, że kamera obejmuje obraz pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Dlatego stopy taksówkarza wydawały się duże, a głowa mała. Rzucił się i wierzgał przez całą minutę. Podnosił głowę i walił nią o skałę. Próbował pozbawić się przytomności. A może zabić. Bezskutecznie. Na górze ekranu pojawiła się szczupła postać i wsunęła pod głowę mężczyzny zwinięty kawałek materiału. Postacią była Lila Hoth. Nie było co do tego wątpliwości. Rozdzielczość obrazu nie należała do najlepszych, ale trudno się było pomylić. Poznałem ją po włosach, oczach, po tym, jak się poruszała.

Kawałek materiału był prawdopodobnie ręcznikiem.

— Właśnie cię zobaczyłem — powiedziałem.

— Z podkładką? To było konieczne. Żeby uniknąć samookaleczenia. Poza tym mają dzięki temu pochyloną w dół głowę. Kusi ich, żeby to oglądać.

— Co oglądać?

— Patrz dalej.

Rozejrzałem się po sali. Trójka moich tymczasowych kolegów nadal pilnie pracowała.

Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami.

Na moim ekranie prawie przez dwadzieścia sekund nic się nie działo. Taksówkarz bezgłośnie zawodził. A potem w kadr weszła z boku Swietłana Hoth. To była ona, co do tego też nie miałem wątpliwości. Sylwetka przeciwpożarowego hydrantu, stalowo-szare włosy.

W ręku trzymała nóż.

Weszła na skałę i przycupnęła przy mężczyźnie. Przez długą sekundę wpatrywała się w kamerę. Nie z powodu aktorskiej próżności. Oceniała kąt, pod którym filmowana była scena, żeby nie zasłaniać widoku. Zmieniła pozycję i w końcu przykucnęła między lewym ramieniem mężczyzny i bokiem jego piersi.

Facet wpatrywał się w nóż.

Swietłana pochylała się do przodu i przytknęła ostrze noża do Jego brzucha mniej więcej w połowie drogi między krocem

349

i pępkiem. Nacisnęła. Facet bezwiednie się szarpnął. Z nacięcia wypełził gruby robak krwi. W świetle lamp wydawała się czarna. Facet nie przestawał krzyczeć. Jego usta formowały słowa. „Nie!” i „proszę!” są zrozumiałe w każdym języku.

— Gdzie to było? — zapytałem.

— Niedaleko Kabulu — odparła Lila Hoth.

Swietłana przesunęła ostrze w górę, w stronę pępka. Krew szła za nim ślad w ślad. Swietłana nie zatrzymywała ręki. Niczym chirurg albo rzeźnik, swobodnym, wyćwiczonym, wprawnym ruchem. Wykonywała wcześniej takie nacięcia wiele razy. Ostrze noża sunęło dalej.

Zatrzymało się na wysokości mostka mężczyzny.

Swietłana odłożyła nóż i przejechała palcem wskazującym wzdłuż cięcia. Krew zwilżała opuszkę palca. Po chwili nacisnęła mocniej i wsadziła palec wprost w ranę, do pierwszego knykcia. Przesunęła nim w górę i w dół. W pewnych miejscach palec się zatrzymywał.

— Sprawdza, czy przecięła całą powłokę mięśniową — powiedziała Lila Hoth.

— Skąd wiesz? — zapytałem. — Nie oglądasz tego filmu.

Swietłana wzięła ponownie do ręki nóż i wróciła do miejsc, w których zatrzymał się jej palec. Używając delikatnie samego czubka ostrza, przecięła to, co wydawało się drobnymi przeszkodami.

I ponownie się cofnęła.

Brzuch taksówkarza otworzył się, jakby ktoś rozsunał suwak. Długie proste nacięcie trochę się rozchyliło. Powłoka mięśni została przecięta. Nie była już w stanie oprzeć się wewnętrznemu ciśnieniu.

Swietłana pochyliła się do przodu, wsadziła obie dłonie w ranę, ostrożnie rozsunęła jej brzegi i wsunęła ręce głębiej, aż po nadgarstki. Naprężyła mięśnie, podniosła ramiona i wyciągnęła facetowi wnętrzności z brzucha.

Były połyskującą, różową masą wielkości miękkiej futbolowej piłki. Pozwijaną, śliską, pulsującą, mokrą i parującą.

350

Położyła ją delikatnie na piersi faceta.

Następnie ześlizgnęła się ze skały i wyszła z kadru.

Bezlitosne oko kamery gapiło się dalej.

Taksówkarz zerknął przerażony w dół.

— Teraz to już tylko kwestia czasu — powiedziała Lila Hoth. — Nacięcie ich nie zabija.

Nie przecinamy żadnych ważnych naczyń krwionośnych. Krwawienie szybko ustaje.

Wykańcza ich ból, wstrząs i infekcja. Silni potrafią stawić czoło wszystkim tym trzem czynnikom. Naszym zdaniem umierają z wyziębienia. Dochodzi oczywiście do obniżenia się wewnętrznej temperatury. To zależy od pogody. Nasz rekord wynosił osiemnaście godzin.

Ludzie mówią, że widzieli kogoś, kto przetrwał całe dwa dni, ale ja im nie wierzę.

— Jesteś obłąkana, wiesz o tym?

— To samo powiedział mi Peter Molina.

— Oglądał ten film?

— Występuje w nim. Patrz dalej. Jeśli chcesz, przewiń szybko do przodu. Bez dźwięku i tak nie jest to zbyt zabawne.

Rozejrzałem się ponownie po sali. Trzy zapracowane osoby. Ustawiłem grubą rączkę na przycisku szybkiego przewijania i kliknąłem. Obraz przyspieszył biegu. Głowa i szyja taksówkarza wyginały się w niewielki łuk i z powrotem opadały.

— Normalnie nie robimy tego z jednym uczestnikiem — powiedziała Lila Hoth. —

Lepiej mieć ich co najmniej dwóch. Drugi facet czeka, aż pierwszy umrze, i tak dalej. To potęguje napięcie. Powinieneś zobaczyć, jak modlą się, żeby pierwszy facet pożył jeszcze minutkę dłużej. Ale on w końcu umiera, a przedstawienie trwa dalej. Właśnie wtedy dostają

ataków serca. Rozumiesz, jeśli mają słabe serce. Ale nie zawsze możemy zaaranżować pokaz na żywo. Dlatego używamy teraz wideo, w zastępstwie.

Chciałem jej ponownie powiedzieć, że jest obłąkana, ale nie zrobiłem tego, bo ponownie wspomniałaby Petera Molinę.

— Patrz dalej — powiedziała.

Ręce i nogi taksówkarza podrygiwały z podwójną prędkością. Obracał głowę w prawo i w lewo.

351

— Peter Molina wszystko to oglądał — podjęła. — Chciał, żeby facet wytrzymał jak najdłużej, co było dziwne, bo przecież i tak zginął już przed kilkoma miesiącami. Ale taki jest psychologiczny mechanizm. Mówiłam ci, wideo jest całkiem niezłym ekwiwalentem.

— Jesteś chora — powiedziałem. — I już nie żyjesz. Wiesz

0 tym? Tak jakbyś wyszła na jezdnię. Ciężarówka jeszcze cię nie rozjechała, ale już przed nią nie uciekniesz.

— To ty jesteś tą ciężarówką?

— Żebyś wiedziała.

— Cieszę się. Patrz dalej.

Kliknąłem kilka razy przycisk szybkiego przewijania. Obraz zaczął się przewijać cztery, a potem osiem, szesnaście i trzydzieści dwa razy szybciej. Czas przyspieszył biegu. Godzina. Dziewięćdziesiąt minut. W końcu obraz zastygł w bezruchu. Taksówkarz przestał się ruszać. Leżał tak bardzo długo i wreszcie w kadrze pojawiła się Lila Hoth. Kliknąłem przycisk play,

żeby wrócić do normalnej szybkości. Lila pochyliła się, zbadała puls mężczyzny, po czym podniosła głowę i radośnie się uśmiechnęła.

Prosto do kamery.

Prosto do mnie.

— Już po wszystkim? — zapytała przez telefon.

— Tak — odparłem.

— To było rozczarowanie. Nie pożył długo. Był chory. Miał pasożyty. Robaki.

Widziałyśmy przez cały czas, jak wiją się w jego flakach. Coś odrażającego. Zgaduję, że też zdechły. Pasożyty umierają razem ze swoim nosicielem.

— Ty też umrzesz.

— Wszyscy kiedyś umrzemy, Reacher. Pytanie tylko kiedy

1 jak.

Jeden z siedzących za mną biznesmenów wstał i ruszył w stronę drzwi. Obróciłem się na krześle, próbując zasłonić własnym ciałem ekran. Nie sądzę, żeby mi się to udało. Spojrzał na mnie dziwnie i wyszedł z sali.

A może usłyszał fragment mojej rozmowy telefonicznej.

352

— Patrz dalej — rzekła mi do ucha Lila.

Wcisnąłem ponownie szybkie przewijanie. Przez chwilę widziałem jeszcze leżącego niedaleko Kabulu martwego taksówkarza, a potem obraz zniknął i zastąpiła go biała mżawka. Po chwili na ekranie pojawiła się nowa scena. Wcisnąłem play. Jakieś wnętrze. Jaskrawe światło. Nie sposób było powiedzieć, czy to dzień, czy noc. Nie sposób powiedzieć gdzie. Chyba w piwnicy. Szeroki kamienny blat, podobny do stołu. Mniejszy od afgańskiej skały. Prostokątny, wyprodukowany w określonym celu. Być może stanowił wyposażenie starej kuchni.

Przywiązano do niego ogromnego młodego mężczyznę.

Był chyba o połowę młodszy ode mnie i o dwadzieścia procent większy.

„Trzysta funtów samych mięśni — powiedział Jacob Mark. — Wybiera się do NFL”.

— Już go widzisz? — zapytała Lila Hoth.

— Tak.

Był nagi. Bielusiutki w jaskrawym świetle. Pod każdym względem różnił się od kabulskiego taksówkarza. Błada skóra, zmierzwił blond włosy. Nie miał brody. Ale poruszał się w bardzo podobny sposób. Szarpał głową na boki i krzyczał. „Nie!” i „proszę” są zrozumiałe w każdym języku. A on krzyczał po angielsku. Mogłem bez trudu czytać z jego ust. I domyślałem się, jeśli ton pobrzmiwa w jego krzyku. Przede wszystkim niedowierzenie. Ton, którego używa się, kiedy coś, co miało być czczą groźbą albo okrutnym żartem, okazuje się czymś śmiertelnie poważnym.

— Nie mam zamiaru tego oglądać.

— Powinieneś. W przeciwnym razie nigdy nie będziesz miał pewności. Może go wypuścimy.

— Kiedy to było?

— Wyznaczyliśmy ostateczny termin i dotrzyaliśmy go.

Nie odpowiedziałem.

— Patrz.

— Nie.

353

— Ale ja chcę, żebyś to obejrzał — upierała się. — Potrzebuję tego. Chodzi o zachowanie kolejności. Ponieważ wydaje mi się, że ty będziesz następny.

— Grubo się mylisz.

— Patrz.



Patrzyłem. Może go wypuścimy. Nigdy nie będziesz miał pewności.  
Nie wypuścili go.

64

Kiedy film dobiegł końca, rozłączyłem się, włożyłem płytę DVD do kieszeni, poszedłem do hotelowej toalety i zwymiotowałem w kabinie. Tak naprawdę nie z powodu filmu. Widziałem gorsze rzeczy. Zrobiłem to z powodu furii i frustracji. Wszystkie te szkodliwe emocje buzowały we mnie i szukały ujścia. Wypłukałem usta, wymyłem twarz, napiłem się trochę wody z kranu i przez chwilę stałem przed lustrem.

Następnie opróżniłem kieszenie. Zatrzymałem pieniądze, paszport, kartę bankomatową, kartę miejską i wizytówkę Theresy Lee z nowojorskiej policji. Zatrzymałem szczoteczkę do zębów. Zatrzymałem komórkę, na którą dzwoniono. Dwie pozostałe wyrzuciłem do śmieci, razem z ładowarką, wizytówką czterech zabitych facetów i notatkami, które zrobiła Theresa Lee na podstawie SMS-ów swojego partnera.

Wyrzuciłem również DVD.

I pamięć USB kupioną w sklepie Radio Shack.

Nie potrzebowałem już rekwizytów.

Potem, oczyszczony, poszedłem zobaczyć, czy Springfield nadal na mnie czeka.

Czekał. Siedział w barze w holu wejściowym, w samym rogu. Na stoliku przed nim stała szklanka wody. Był odprężony, ale wszystko obserwował. Można łatwo rozpoznać człowieka, który

355

służył w siłach specjalnych. Zobaczył mnie z daleka. Usiadłem obok niego.

— To była muzyka ludowa? — zapytał.

— Tak — odparłem. — Muzyka ludowa.

— Na DVD?

— Było także trochę tańców.

— Nie wierzę ci. Cały zbladłeś — stwierdził. — Wiem, afgańska muzyka ludowa jest kiepska, ale nie aż tak bardzo.

— Było tam dwóch facetów — powiedziałem. — Mieli rozkrojone brzuchy i wyciągnięte na wierzch flaki.

— Na żywo przed kamerą?

— Najpierw na żywo, potem na martwo.

— Nagranie było z dźwiękiem?

— Nie.

— Kim byli ci faceci?

— Jeden był taksówkarzem z Kabulu, drugi synem Susan Mark.

— Nie jeżdżę taksówkami w Kabulu. Wolę własny transport. Fatalnie dla drużyny uniwersyteckiej. Stracili dobrego obrońcę. Trudno go będzie zastąpić. Sprawdziłem go.

Podobno miał silne nogi.

— Już ich nie ma.

— Czy Hoth są na filmie?

Pokiwałem głową.

— Tak jakby przyznały się do winy — mruknąłem.

— To bez znaczenia. Wiedzą, że i tak je zabijemy. Tak naprawdę nie ma znaczenia za co.

— Dla mnie ma.

— Postaraj się zmartwić, Reacher. Po to właśnie wysłały ci tę płytę. Chcą cię rozwścieczyć i sprowokować. Nie mogą cię znaleźć. Więc chcą, żebyś ty je odnalazł.

— I zrobię to.

— Twoje plany na przyszłość to twoja sprawa. Ale musisz na siebie uważać. I musisz zrozumieć, co jest grane. Tak wygląda ich taktyka od dwustu lat. Dlatego zawsze torturowali jeńców

356

blisko okopów. Żeby przeciwnik słyszał jęki. I wysłał misję ratowniczą. Albo zaatakował. Chcieli mieć przez cały czas dostawy świeżych jeńców. Zapytaj Brytyjczyków. Albo Rosjan.

— Postaram się bardzo uważać.

— Jestem pewien, że się postarasz. Ale nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie skończymy omawiać tego, co wydarzyło się w metrze.

— Wasz człowiek widział to samo co ja.

— W twoim interesie jest nam pomóc.

— Na razie nic z tego nie mam poza obietnicami.

— Kiedy odzyskamy pamięć USB, wszystkie zarzuty zostaną wycofane.

— To za mało.

— Chcesz to mieć na piśmie?

— Nie. Chcę, żebyście wycofali zarzuty już teraz. Chcę mieć pewną swobodę ruchu. Nie mogę przez cały czas wypatrywać gliniarzy.

— Swobodę ruchu w jakim celu?

— Wiesz jakim.

— Dobrze, zrobię, co mogę.

— To za mało.

— Nie mogę dać ci gwarancji. Mogę co najwyżej spróbować.

— Jakie są szanse, że ci się uda?

— Zerowe. Ale Sansomowi może się udać.

— Czy masz upoważnienie, żeby mówić w jego imieniu?

— Będę musiał do niego zadzwonić.

— Porozmawiaj z nim także o Therisie Lee i Jacobie Marku. I o Dochertym. Chcę, żeby wszyscy mieli czyste akta.

— W porządku.

— Jacob Mark będzie poza tym potrzebował pomocy psychologa. Zwłaszcza jeśli zobaczy kopię tego DVD.

— Nie zobaczy.

— Ale chcę, żeby się nim zaopiekowano. I tym byłym mężem. Moliną.

— Dobrze.

— I jeszcze dwie sprawy.

357

— Ostro się targujesz jak na faceta, który nie ma nic do zaoferowania.

— Departament Bezpieczeństwa Krajowego ustalił, że Hoth przyjechały tu przed trzema miesiącami ze swoją ekipą. Z Tadżykistanu. Mają jakiś algorytm komputerowy. Chcę wiedzieć, ile osób było w tej grupie.

— Żeby ustalić, jak duże są siły przeciwnika?

— Właśnie.

— A druga sprawa?

— Chcę jeszcze raz spotkać się z Sansomem.

— Po co?

— Chcę, żeby mi powiedział, co jest na tym nośniku pamięci.

— Nie powie ci.

— W takim razie go nie odzyska. Zatrzymam go i sam zobaczę.

— Co takiego?

— Słyszałeś, co powiedziałem.

- Więc jednak masz ten nośnik?  
— Nie — odparłem. — Ale wiem, gdzie jest.  
65  
— Gdzie on jest? — zapytał Springfield.  
— Nie mogę udzielać żadnych informacji — powiedziałem.  
— Chrzaniisz. Potrząsałem głową.  
— Nie tym razem.  
— Jesteś pewien? Możesz nas tam zabrać?  
— Z dokładnością do piętnastu stóp. Reszta zależy od was.  
— Jak to? Jest gdzieś zakopany? Jest w skrytce bankowej? W czyimś domu?  
— Zero trafień.  
— Więc gdzie?  
— Zadzwoń do Sansoma. Przygotuj spotkanie.

•••

Springfield dopił do końca swoją wodę i kiedy podszedł do nas kelner, zapłacił rachunek platynową kartą, tak samo jak to zrobił w hotelu Four Seasons. Uznałem to za dobry znak. Wskazywał na pozytywną dynamikę. Postanowiłem pójść za ciosem.

- Może wynajmiesz mi tu pokój? — zaproponowałem.  
— Dlaczego?  
— Bo zajmie ci trochę czasu skreślenie mnie z listy najbardziej

359

poszukiwanych. A ja jestem zmęczony. Byłem całą noc na nogach. Chcę się trochę zdrzemnąć.

Dziesięć minut później znaleźliśmy się w pokoju z podwójnym łóżkiem. Całkiem przyjemnym, choć z taktycznego punktu widzenia mało satysfakcjonującym. Jak we wszystkich pokojach położonych na wyższych piętrach okno było tu dla mnie bezużyteczne. W związku z tym miałem do dyspozycji tylko jedno wyjście. Widziałem, że Springfield też zdaje sobie z tego sprawę. Uznał chyba, że jestem stuknięty, godząc się na takie lokum.

- Czy mogę ci zaufać? — zapytałem.  
— Tak — odparł.  
— Udowodnij to.  
— Jak?  
— Daj mi swój pistolet.  
— Nie jestem uzbrojony.  
— Takie odpowiedzi nie budują zaufania.  
— Do czego ci potrzebny?  
— Wiesz, do czego. Żebym mógł się bronić, jeśli sprowadzisz tu nieodpowiednich ludzi.  
— Nie sprowadzę ich.  
— Uśmierz moje wątpliwości.

Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu. Widziałem, że wolałby sobie wbić igłę w oko, aniżeli oddać własną broń. Ale w końcu przeanalizował całą sytuację, sięgnął pod marynarkę na plecach i wyciągnął steyra GB kalibru dziewięć milimetrów. W latach osiemdziesiątych steyr GB był bronią preferowaną przez siły specjalne Stanów Zjednoczonych. Obrócił go w dłoni i podał mi rękojęcią do przodu. To była porządna spluwa, trochę zużyta, ale dobrze utrzymana. Miała osiemnaście nabożów w magazynku i jeden w komorze.

- Dziękuję — powiedziałem.

Nie odpowiedział, po prostu wyszedł z pokoju. Zamknąłem za nim drzwi na dwa zamki, założyłem łańcuch i podparłem krzesłem klamkę. Następnie opróżniłem kieszenie na szafkę

360

nocną, wsunąłem ubranie pod materac, żeby się wyprasowało, wziąłem długi gorący prysznic, położyłem się i zasnąłem z pistoletem Springfielda pod poduszką.

•••

Cztery godziny później obudziło mnie pukanie do drzwi. Nie lubię spoglądać przez wizjer w drzwiach hotelowych. Zbyt niebezpieczne. Napastnik musi tylko poczekać, aż wizjer pociemnieje, i strzela prosto w szkiełko. Nawet strzał z dwudziestki-dwójki z tłumikiem może się okazać śmiertelny. Między rogówką i pniem mózgu nie ma żadnej przeszkody. Ale na ścianie przy drzwiach było wysokie lustro. Aby gość, jak się domyślałem, mógł po raz ostatni przejrzeć się przed wyjściem. Zabrałem ręcznik z łazienki, owinąłem się nim wokół bioder, wziąłem do ręki pistolet, odsunąłem krzesło i nie zwalniając łańcucha, otworzyłem drzwi. Stałem z boku od strony zawiasów i spojrzałem w lustro.

Springfield i Sansom.

Szpara była wąska, obraz odwrócony przez lustro, a światło na korytarzu przyćmione, ale i tak rozpoznałem ich bez większego trudu. Wyglądało na to, że są sami. I powinni zostać sami, chyba że sprowadzili ze sobą ponad dziesięć ludzi. W steyrze nie było bezpiecznika. Po prostu masywny spust podwójnego działania do oddania pierwszego strzału i potem osiemnastu kolejnych. Zdjąłem palec ze spustu i łańcuch z drzwi.

Byli sami.

Weszli do środka, Sansom pierwszy, Springfield tuż za nim. Sansom wyglądał tak samo pierwszego ranka, kiedy go zobaczyłem. Opalony, bogaty, promieniujący energią i charyzmą. Był w granatowej marynarce, białej koszuli i czerwonym krawacie, świeży jak skowronek. Wziął krzesło, którym podparłem wcześniej klamkę, postawił je przy stole blisko okna i usiadł. Springfield zamknął drzwi i założył z powrotem łańcuch. Nie oddałem mu na razie pistoletu. Pchnąłem kolanem materac i wyciągnąłem spod niego ubranie.

361

— Dwie minuty. Pogadajcie ze sobą — powiedziałem, po czym poszedłem ubrać się w łazience.

— Naprawdę wie pan, gdzie jest nośnik pamięci? — zapytał Sansom, kiedy z niej wyszedłem.

— Tak — odparłem. — Naprawdę.

— Dlaczego chce pan wiedzieć, co na nim jest?

— Bo chcę wiedzieć, jak bardzo to jest kłopotliwe.

— Nie chce pan, żebym znalazł się w Senacie?

— Nie obchodzi mnie, jak spędza pan czas. Jestem po prostu ciekaw.

— Dlaczego nie powie mi pan teraz, gdzie jest nośnik?

— Bo muszę najpierw zrobić coś innego. A pan ma w tym czasie pilnować gliniarzy, żeby nie wchodzili mi w paradę. I chcę, żeby pan się na tym skupił.

— Może pan mnie nabierać.

— Mógłbym, ale nie robię tego.

Nic na to nie odpowiedział.

— Po co pan w ogóle chce zostać senatorem? — zapytałem.

— Dlaczego miałbym nie chcieć?

— Był pan dobrym żołnierzem, a teraz jest prawdziwym krezusem. Dlaczego nie chce pan pobyczyć się na plaży?

— Dzięki takim rzeczom zaliczam kolejne punkty. Jestem pewien, że pan też ma na to jakiś sposób.

Pokiwałem głową.

— Porównuję liczbę odpowiedzi, które otrzymałem, z liczbą zadanych przeze mnie pytań.

— I jaki ma pan wynik?

— Życiowa średnia zbliża się do stu procent.  
— Po co pan w ogóle pyta? Skoro pan wie, gdzie jest nośnik, dlaczego pan po niego nie pójdzie?

— Nie mogę.

— A to dlaczego?

— To wymaga więcej środków, niż mam do dyspozycji.

— Gdzie to jest?

Nie odpowiedziałem.

362

— Czy jest tu, w Nowym Jorku?

Nie odpowiedziałem.

— Czy jest w bezpiecznym miejscu?

— Tak, dosyć bezpiecznym — odparłem.

— Mogę panu zaufać?

— Zrobiło to wiele osób.

— I co?

— Myślę, że większość chętnie by za mnie poręczyła.

— A ci inni?

— Nie sposób zadowolić wszystkich.

— Widziałem pański zapis służby.

— Już mi pan mówił.

— Jest niejednoznaczny.

— Staralem się, jak mogłem. Ale mam własny rozum.

— Dlaczego pan odszedł z wojska?

— Nudziłem się. A pan?

— Zestarzałem się.

— Co jest na nośniku?

Nie odpowiedział. Springfield stał w milczeniu, obok szafki z telewizorem, bliżej drzwi niż okna. Domyśliłem się, że zajął taką pozycję zupełnie instynktownie, z przyzwyczajenia. Był niewidoczny dla snajpera z zewnątrz i stał dość blisko korytarza, by zaatakować intruza w momencie, gdy otworzą się drzwi. Wyuczone nawyki zostają w człowieku na zawsze. Zwłaszcza wyuczone w Delcie. Podszedłem i oddałem mu pistolet. Wziął go bez słowa i wsadził za pasek.

— Niech pan mi powie, czego się pan do tej pory dowiedział — poprosił Sansom.

— Wysłano pana prawdopodobnie z Fort Bragg przez Turcję do Omanu — powiedziałem. — Stamtąd pewnie do Indii. Następnie do Pakistanu i na Północno-Zachodnie Pogranicze.

Sansom pokiwał głową i nic nie powiedział. Miał trochę nieobecne spojrzenie. Domyślałem się, że odtwarza w pamięci tę podróż. Samoloty transportowe, helikoptery, ciężarówki, całe mile pokonywane pieszo.

363

Dawno, dawno temu.

— Potem do Afganistanu — dodałem.

— Niech pan mówi dalej.

— Dotarł pan pewnie do skraju Abas Ghar i ruszył na południowy zachód równoległe do doliny Korengal. Jakies tysiąc stóp powyżej jej poziomu.

— Niech pan mówi dalej.

— Natknął się pan na Grigorija Hotha, zabrał mu pan karabin i puścił wolno.

— Niech pan mówi dalej.

— A potem ruszył pan dalej pieszo tam, gdzie kazano panu dojść.

Sansom pokiwał głową.

— To wszystko, co na razie wiem — oświadczyłem.

— Gdzie pan był w marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku? — zapytał.

— W West Point.

— Jakimi wiadomościami się wtedy pasjonowaliście?

— Armia Czerwona wykrwawiała się w Afganistanie.

Sansom ponownie pokiwał głową.

— Wejście tam to było szaleństwo. Nikt nigdy nie pokonał górali z Północno-Zachodniego Pogranicza. Na całej przestrzeni dziejów. Mogli przestudiować nasze doświadczenia z Wietnamu. Pewnych rzeczy po prostu nie da się zrobić. To było niczym przesuwaną się powoli maszynką do mięsa. Jakby rozdziobywały ich ptaki. Nas oczywiście bardzo to cieszyło.

— Pomagaliśmy — powiedziałem.

— Jasne. Dawaliśmy mudżahedinom wszystko, czego chcieli. Za darmo.

— Coś w rodzaju Lend-Lease.

— Gorzej — odparł Sansom. — Lend-Lease to była pomoc udzielona przyjaciołom, którzy wpadli w biedę. Mudżahedini nie byli biedni. Wprost przeciwnie. Funkcjonowało wiele dziwnych plemiennych aliansów sięgających aż do Arabii Saudyjskiej.

364

Praktycznie rzecz biorąc, mudżahedini mieli więcej pieniędzy od nas.

— I...?

— Kiedy wejdzie panu w krew dawanie ludziom wszystkiego, czego chcą, bardzo trudno z tym skończyć.

— Czego jeszcze chcieli?

— Uznania — odpowiedział. — Hołdu. Akceptacji. Atencji. Trudno to precyzyjnie określić.

— Więc na czym polegała wasza misja?

— Możemy panu zaufać?

— Chcecie odzyskać nośnik?

— Tak.

— Więc na czym polegała wasza misja?

— Mieliśmy odwiedzić głównego szefa mudżahedinów. Wieźliśmy mu podarki od samego Ronalda Reagana. Byliśmy jego osobistymi emisariuszami. Mieliśmy instrukcje z samego Białego Domu. Kazano nam całować tyłki przy każdej nadarzającej się okazji.

— I całowaliście?

— Żeby pan wiedział.

— To było dwadzieścia pięć lat temu.

— I co z tego...?

— Kogo to dzisiaj obchodzi? To historyczne zaszłości, detale. W dodatku skuteczne. To był koniec komunizmu.

— Ale nie koniec mudżahedinów. Działają dalej.

— Wiem — odparłem. — Dzisiaj są w szeregach talibów i Al-Kaidy. Ale to również jest szczęście. Wyborcy w Karolinie Północnej nie będą pamiętać historycznych zaszłości.

Większość wyborców nie pamięta, co jadła na śniadanie.

— To zależy — mruknął Sansom.

— Od czego?

— Od tego, jak dobrze znane jest nazwisko.

— Czyje nazwisko?

— Dolina Korengal była miejscem, gdzie wszystko się rozstrzygało. Ten malutki klin był dla Armii Czerwonej początkiem

365

końca. Dlatego tamtejszy przywódca mudżahedinów stał się naprawdę bardzo ważny. Był wschodzącą gwiazdą. To do niego nas wysłano. I spotkaliśmy się z nim.

— Pocałowaliście go w tyłek.

— Z każdej możliwej strony.

— Kto to był?

— Z początku zrobił na nas dość dobre wrażenie. Młody, wysoki, przystojny, bardzo inteligentny, z wielką pasją. A poza tym bardzo bogaty. Bardzo ustosunkowany. Pochodził z saudyjskiej rodziny miliarderów. Jego ojciec był przyjacielem naszego ówczesnego wiceprezydenta. Ale nasz facet był rewolucjonistą. Zrezygnował z łatwego życia dla sprawy.

— Kto to był?

— Osama bin Laden.

66

W pokoju zapadła cisza. Słysząc było tylko dobiegające przez okno stłumione odgłosy miasta i szum wentylacji w łazience. Springfield porzucił swoje stanowisko przy szafkowym telewizorze i usiadł na łóżku.

— Dobrze znane nazwisko — powiedziałem.

— Kurewsko dobrze — mruknął Sansom.

— Trafnie pan to ujął.

— Nie musi pan mi mówić.

— Ale to duży plik — stwierdziłem.

— I co z tego?

— A to oznacza długi raport. Przecież wszyscy czytaliśmy wojskowe raporty.

— I...?

— Są bardzo suche — powiedziałem. I było to prawda. Weźmy choćby należącego do Springfieldda steyra GB. Wojsko go testowało. To był cud nowoczesnej techniki. Działał nie tylko dokładnie tak, jak powinien, ale również dokładnie tak, jak nie powinien. Miał skomplikowany system wstecznego przepływu gazów, co oznaczało, że można go było załadować substandardowymi albo źle złożonymi pociskami i mimo to oddać strzał. Większość pistoletów ma problemy ze zmiennym ciśnieniem gazów. Wybuchają, jeśli jest zbyt duże, albo nie wprowadzają

367

następnego pocisku do komory, jeśli jest zbyt niskie. Ale steyr radzi sobie z każdym. Dlatego uwielbiają go ludzie z sił specjalnych. Ładują często daleko od domu, bez logistyki, zmuszeni korzystać z tego, co zdobędą na miejscu. Steyr GB jest metalowym arcydziełem.

W wojskowym raporcie napisano, że jest „technicznie do zaakceptowania”.

— Może nie wymienili nawet pana z nazwiska. Może nie wymienili z nazwiska i jego. Może są tam tylko skróty, inicjały dowódcy oddziału Deltę i miejscowego komendanta, schowane pośród trzystu stron współrzędnych terenu.

Sansom się nie odezwał.

Springfield uciekł spojrzeniem w bok.

— Jaki był? — zapytałem.

— Widzi pan? — odparł Sansom. — To jest dokładnie to, o czym mówię. Moje całe życie nie ma teraz znaczenia. Liczy się tylko to, że całowałem Osamę bin Ladena w tyłek. To tylko wszyscy zapamiętają.

— Ale jaki był? '

— Był kanalią. Jego pasją było zabijanie Ruskich. Z początku bardzo nam się to spodobało, ale dość szybko zorientowaliśmy się, że w zasadzie uwielbia zabijać wszystkich,

którzy nie są tacy sami jak on. Dziwny facet. Psychopata. Brzydko pachniał. To był bardzo męczący weekend. Przez cały czas chodziły po mnie ciarki.

— Byliście tam przez cały weekend?

— Jako honorowi goście. Chociaż niezupełnie. Ponieważ facet był aroganckim skurwysynem. Przez cały czas się przed nami puszył. Pouczał nas na temat taktyki i strategii. Mówił, jak mogliśmy wygrać w Wietnamie. Musieliśmy udawać, że jesteśmy pod wrażeniem.

— Jakie mu daliście podarki?

— Nie wiem, co to było. Były zapakowane. Nie otworzył ich. Rzucił je po prostu w ką. Nie obchodziły go. Jak mówią na weselach, wystarczającym prezentem była nasza obecność.

368  
Uważał, że udowadnia coś światu. Wielki Szatan padł przed nim na kolana. Kilkanaście razy o mało się nie porzygałem. Nie tylko z powodu jedzenia.

— Jadł pan z nim?

— Mieszkaliśmy w jego namiocie.

— Który w raporcie będzie nazywany ich dowództwem. Język będzie bardzo neutralny. Ani słowa o całowaniu tyłka. Będzie tam trzysta nudnych stron o próbie nawiązania kontaktu i o nawiązanym kontakcie. Ludzie umrą z nudów, zanim znajdzie się pan w połowie drogi nad Atlantykiem. Dlaczego to tak pana niepokoi?

— Polityka jest okropna. Ta historia z Lend-Lease... Ponieważ Bin Laden nie za bardzo korzystał z osobistej fortuny, wygląda na to, że go finansowaliśmy. Niemal, że mu płaciliśmy.

— Nie wasza wina. To są sprawy Białego Domu. Czy jakiś kapitan statku dostał po łapach za dostawy dla Rosjan podczas drugiej wojny światowej? Potem też już nie byli naszymi przyjaciółmi.

Sansom się nie odezwał.

— To tylko słowa na papierze — przekonywałem. — Nie będzie żadnego oddźwięku. Ludzie nie czytają.

— To duży plik — powiedział Sansom.

— Tym lepiej. Im jest większy, tym trudniej będzie odszukać kompromitujące fragmenty. I będzie trącił myszką. Mam wrażenie, że inaczej pisaliśmy wtedy jego nazwisko. Z U. Usama bin Laden. Albo UBL. Może ludzie w ogóle tego nie zauważą. Może pan powiedzieć, że to był zupełnie kto inny.

— Na pewno pan wie, gdzie jest ten nośnik?

— Na pewno.

— Bo mówi pan tak, jakby pan nie wiedział. Mówi pan tak, jakby próbował pan mnie pocieszyć, bo wie pan, że i tak zostanie ujawniony.

— Wiem, gdzie on jest. Próbuję po prostu zgadnąć, dlaczego pan się tak przejmuje.

Ludzie przetrwali gorsze rzeczy.

— Korzystał pan kiedyś z komputera?

369

— Choćby dzisiaj.

— Jakie są największe pliki?

— Nie wiem.

— Niech pan zgadnie.

— Długie dokumenty?

— Nie. Największe pliki tworzy duża liczba pikseli.

— Pikseli? — zapytałem. Nie odpowiedział.

— No dobrze — powiedziałem. — Więc to nie jest raport. To fotografia.

67

W pokoju znowu zapadła cisza. Odgłosy miasta, szum powietrza. Sansom wstał i wszedł do łazienki. Springfield zajął ponownie swoją starą pozycję przy szafkowym telewizorze. Na



szafce stały butelki z wodą. Papierowe banderole na szybkach informowały, że jeśli wypije się wodę, zostanie się obciążonym kwotą ośmiu dolarów.

Sansom wyszedł z łazienki.

— Reagan chciał mieć fotografię — oświadczył. — Częściowo dlatego, że był sentymentalnym starym piernikiem, częściowo dlatego, że był podejrzliwym staruchem. Chciał mieć dowód, że wykonaliśmy co do joty jego rozkazy. Z tego, co pamiętam, stoję tam obok bin Ladena, uśmiechając się od ucha do ucha.

— A ja stoję z jego drugiej strony — wtrącił Springfield.

— Bin Laden rozwalił wieże World Trade Center — podjął Sansom. — Zaatakował Pentagon. Jest najgorszym terrorystą na całym świecie. Jest bardzo, bardzo znany. Nie sposób pomylić go z kimś innym. Ta fotografia wykończy mnie jako polityka. Raz na zawsze.

— Dlatego Hoth chcą ją zdobyć? — zapytałem.

Sansom pokiwał głową.

— Żeby Al-Kaida mogła upokorzyć mnie i tym samym Stany Zjednoczone. Albo odwrotnie.

371

Podszedłem do szafki z telewizorem i wziąłem butelkę z wodą. Odkręciłem nakrętkę i pociągnąłem długi łyk. Pokój wynajął Springfield, co oznaczało, że płaci za niego Sansom. A Sansom mógł wybulić osiem dolców za wodę.

— Dlatego umieścił pan w swojej książce tę fotografię — powiedziałem z uśmiechem. — I powiesił ją na ścianie w gabinecie. Fotografię Donalda Rumsfelda z Saddamem Husajnem w Bagdadzie.

— Tak — potwierdził Sansom.

— Na wszelki wypadek. Żeby pokazać, że ktoś inny postępował tak samo. To coś w rodzaju schowanej w rękawie karty atutowej. Tyle że nikt nie zdawał sobie z tego sprawy.

— To nie jest karta atutowa — odparł Sansom. — To najwyżej marna czwórka trefl. Ponieważ bin Laden jest o wiele gorszy od Saddama. Poza tym Rumsfeld nie liczył na to, że zostanie wybrany na jakiś urząd. Na wszystkie stanowiska, jakie objął później, został mianowany przez swoich przyjaciół. Musiał zostać mianowany. Nikt o zdrowych zmysłach by na niego nie głosował.

— A pan ma przyjaciół?

— Niewielu.

— Nikt nie rozwodził się zbyt na temat fotografii z Rum-sfeldem.

— Bo nie ubiegał się o żaden urząd. Gdyby kiedykolwiek wziął udział w kampanii wyborczej, to byłoby najstłynniejsze zdjęcie na świecie.

— Jest pan lepszym człowiekiem od Rumsfelda.

— Nie zna mnie pan.

— Mam podstawy, żeby tak twierdzić.

— No dobrze, możliwe. Ale bin Laden jest gorszy od Saddama. I ten obrazek jest jak trucizna. Nie potrzebuje nawet podpisu. Stoję tam, szczerząc zęby jak szczeniak z największym łajdakiem na tej planecie. Ludzie podrabiają podobne fotografie w reklamach agresywnych. A ta jest autentyczna.

— Dostanie pan ją z powrotem.

372

— Kiedy?

— Jak wam idzie wycofywanie zarzutów?

— Powoli.

— Ale skutecznie?

— Niezupełnie. W tej kwestii mamy złe i dobre wiadomości.

— Najpierw chcę usłyszeć złe.

— Jest bardzo mało prawdopodobne, że FBI zechce z nami współpracować. I jest pewne, że Departament Obrony nie zechce.

— Chodzi o tych trzech facetów?

— Zostali odsunięci od sprawy. Doznali urazów. Jeden ma złamany nos, drugi skaleczoną głowę. Ale zastąpiono ich innymi. Departament Obrony nadal chce brać udział w wyścigu.

— Powinni być wdzięczni. Potrzebna im każda pomoc, jaką mogą uzyskać.

— To nie działa w ten sposób. To są wojny kompetencyjne, które trzeba wygrać.

— Więc jakie są dobre wiadomości?

— Naszym zdaniem nowojorska policja gotowa jest odpuścić panu bieganie po torach.

— Cudownie — mruknąłem. — To jak darowanie Charlesowi Mansonowi mandatu za złe parkowanie.

Sansom nie odpowiedział.

— A co z Theresą Lee i Jacobem Markiem? — zapytałem. — I z Dochertym?

— Są z powrotem w pracy. Z oficjalnym podziękowaniem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego za pomoc w prowadzeniu ważnego śledztwa.

— Więc oni są oczyszczeni z zarzutów, a ja nie.

— Oni nikogo nie uderzyli. Nie nastąpili nikomu na odcisk.

— Co chce pan zrobić z nośnikiem pamięci, kiedy już go pan odzyska?

— Chcę sprawdzić, czy to na pewno ten, a potem rozbić go na kawałki, spalić je, wyrzucić do ośmiu różnych toalet i spuścić wodę.

373

— A gdybym poprosił, żeby pan tego nie robił?

— Dlaczego?

— Powiem panu później.

•••

W zależności od punktu widzenia było albo późne popołudnie, albo wczesny wieczór, ale ja dopiero co się obudziłem, uznałem więc, że pora na śniadanie. Zadzwoiłem do obsługi hotelowej i zamówiłem duży zestaw. W nowojorskim Sheratonie kosztował mniej więcej pięćdziesiąt dolców, z podatkiem, napiwkami i różnymi dodatkowymi opłatami. Sansom nawet nie mrugnął. Siedział pochylony do przodu na krześle, kipiąc z niecierpliwości i frustracji. Springfield był o wiele bardziej zrelaksowany. Ćwierć wieku wcześniej wziął udział w tej samej górskiej podróży i dzielił te same upokorzenia. „Czasami nasi przyjaciele stają się naszymi wrogami, a nasi wrogowie naszymi przyjaciółmi”. Ale Springfieldowi nie mogło to w żaden sposób zaszkodzić. Nie mogło zaszkodzić jego planom, celom i ambicjom, i to było widać. Był dokładnie takim samym człowiekiem jak wówczas, facetem, który robi to, co do niego należy.

— Mogliście go wtedy zabić? — zapytałem.

— Miał ochroniarzy — odparł Sansom. — Coś w rodzaju wewnętrznego kręgu.

Obowiązuje tam fanatyczna lojalność. Tak jak w piechocie morskiej albo wśród kierowców ciężarówek, tylko że podniesiona do trzeciej potęgi. Zostaliśmy rozbrojeni sto jardów przed obozem. Nigdy nie byliśmy z nim sami. Zawsze kręcili się jacyś ludzie. A także dzieciaki i zwierzęta. Żyli jak w epoce kamiennej.

— Był wysokim patykowatym gnojem — powiedział Springfield. — Mogłem złamać mu tę jego chudą szyję w każdym momencie, gdybym tylko chciał.

— A chciałeś?

— Jasne. Bo wiedziałem. Od samego początku wiedziałem. Może powinienem to zrobić od razu, kiedy zapaliło się światełko. Cała sprawa lepiej by wtedy wyglądała.

374

— Misja samobójcza — powiedziałem.

- Ale ocalałoby później życie wielu ludziom.
- To tak jakby Rumsfeld zasztyletował Saddama — mruknąłem, kiwając głową.

•••

Kiedy facet z obsługi hotelowej przyniósł mi posiłek, przegoniłem Sansoma z krzesła i zjadłem przy stole. Sansom odebrał od kogoś telefon i potwierdził, że nie jestem już poszukiwany przez nowojorską policję za bieganie po torach. Ale potem zadzwonił do kogoś innego i oznajmił, że z FBI sytuacja nie wygląda tak dobrze. Wykonał trzeci telefon i potwierdził, że Departament Obrony definitywnie nie zamierza mi odpuścić. Byli niczym pies, który dorwał się do kości. Na szczeblu federalnym miałem masę kłopotów. Utrudnianie śledztwa, napaść, pobicie i zranienie śmiertelnymi narzędziami.

— Koniec historii — powiedział Sansom. — Musiałbym się zwrócić bezpośrednio do sekretarza obrony.

— Albo do prezydenta.

— Nie mogę zrobić ani jednego, ani drugiego. Oficjalnie Departament Obrony ściga właśnie aktywną komórkę Al-Kaidy. W obecnej sytuacji nie mogę z tym polemizować. Polityka to pole minowe. Źle, jeśli pan coś zrobi, źle, jeśli pan nie zrobi.

— No dobrze — odparłem. — Najważniejsze, że znam kształt pola bitwy.

— Dokładnie mówiąc, to nie pana bitwa.

— Jacob Mark poczułby się lepiej, gdybyśmy zakończyli ją jakimś mocnym akcentem.

— Robi to pan dla Jacoba Marka? Federalni mogą dać mu dowolne zakończenie.

— Tak pan myśli? Federalni są w lesie. Jak długo chce pan to ciągnąć?

— Więc robi to pan dla Jacoba Marka czy dla mnie?

■— Robię to dla siebie.

375

— Nie jest pan w to zaangażowany.

— Lubię wyzwania.

— Świat obfituje w wiele różnych wyzwań.

— Zrobili z tego sprawę osobistą. Przysłali mi to DVD.

— To było zagranie taktyczne. Jeśli pan zareaguje, wygrają.

— Nie. Jeśli zareaguję, przegrają.

— Nie jesteśmy na Dzikim Zachodzie.

— Tu ma pan rację. Jesteśmy na Bojaźliwym Zachodzie. Musimy przesunąć do tyłu wskazówki zegara.

— Wie pan chociaż, gdzie oni są?

Springfield zerknął na mnie.

— Dopracowuję kilka pomysłów — odpowiedziałem.

— Nadal ma pan otwarty kanał komunikacyjny?

— Nie zadzwoniła do mnie, odkąd obejrzałem to DVD.

— To znaczy, odkąd pana sprowokowała

— Ale myślę, że chyba jeszcze do mnie zadzwoni.

— Dlaczego?

— Bo chce.

— Może wygrać. Jeden fałszywy krok i stanie się pan jej więźniem. I w rezultacie powie jej pan wszystko, co chciała wiedzieć.

— Ile razy leciał pan pasażerskim samolotem po jedenastym wrześniu? — zapytałem go.

— Setki — odparł.

— Założę się, że za każdym razem miał pan podświadomie nadzieję, że na pokładzie znajdują się porywacze. Że zobaczy pan, jak idą w stronę kabiny pilota, i wtedy pan na nich skoczy i da im popalić. Albo zginie, starając się to zrobić.

Sansom pochylił głowę i wykrzywił usta w smutnym uśmiechu. Pierwszym, jaki zobaczyłem u niego od długiego czasu.

— Ma pan rację — powiedział. — Za każdym razem.

— Dlaczego chciałby pan to zrobić?

— Żeby uratować samolot.

— I żeby rozładować frustrację. Frustrację i nienawiść. Wiem, że sam też bym to zrobił.

Podobały mi się wieże World Trade

376

Center. Podobał mi się świat taki, jaki był kiedyś. Jaki był przedtem. Nie mam talentów politycznych. Nie jestem dyplomatą ani strategiem. Znam swoje słabości oraz mocne strony. Więc dla kogoś takiego jak ja natknięcie się na komórkę Al-Kaidy to gratka, która nie powtórzy się już nigdy w życiu.

— Jest pan stuknięty. Takich rzeczy nie robi się samemu.

— A jaka jest inna możliwość?

— Odnajdzie ich w końcu Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Coś razem zmontują. Nowojorska policja, FBI, brygady antyterrorystyczne. Odpowiedni sprzęt, setki ludzi.

— Wielka operacja z wieloma niepasującymi do siebie elementami.

— Ale dokładnie zaplanowana.

— Uczestniczył pan wcześniej w takich operacjach? — zapytałem.

— Kilka razy.

— I jak się zakończyły?

Sansom nie odpowiedział.

— W pojedynkę jest zawsze lepiej — stwierdziłem.

— Chyba nie — odparł Springfield. — Sprawdziliśmy algorytm Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Lila Hoth sprowadziła tutaj dużą ekipę.

— Ile osób?

— Dziewiętnaście.

68

Skończyłem śniadanie. Dzbanek z kawą był pusty. Wypiłem więc do końca wodę z butelki za osiem dolców i cisnąłem ją do kosza na śmieci. Uderzyła z głuchym trzaskiem o jego krawędź, odbiła się i potoczyła po dywanie. Zły znak, gdybym był przesądny. Ale nie jestem.

— Łącznie dziewiętnaście osób — powiedziałem. — Cztery opuściły kraj, dwie mają złamane szczęki i zwichnięte ręce w łokciu. To daje trzynaście w czynnej służbie.

— Złamane szczęki i zwichnięte ręce w łokciu? — zdziwił się Sansom. — Jak to się stało?

— Szukali mnie na mieście. Mogą być skuteczni na wzgórzach z granatnikiem w ręku, ale uliczne nawałanki nie są najwyraźniej ich mocną stroną.

— Napisał pan coś na ich czołach?

— Na czole jednego. Dlaczego?

— Do FBI zadzwoniono z izby przyjęć szpitala Bellevue. Podrzuciono tam dwóch ciężko pobitych niezidentyfikowanych cudzoziemców. Jeden z nich miał coś napisane na czole.

— Zostali ukarani — powiedziałem. — Panie Hoth musiały być niezadowolone z tego, jak się spisali. Więc poświęciły ich, żeby zmobilizować innych.

— Są bezwzględne.

— Gdzie są teraz ci faceci?

378

— Pod strażą w szpitalu. Bo jeden z nich już tam wcześniej był. Po jakimś epizodzie na Penn Station. Nic nie mówi. FBI próbuje ustalić, co to za jeden.

— Dlaczego to im zajmuje tyle czasu? Napisałem mu na czole imię Lila. Lila, zadzwoni do mnie. Iloma osobami o imieniu Lila interesuje się aktualnie Biuro?

Sansom potrząsnął głową.

— Niech pan nie będzie taki surowy. Fragment skóry, na którym było imię, wykrojono mu nożem.

•••

Podszedłem do szafki i otworzyłem drugą butelkę wody za osiem dolarów. Pociągnąłem łyk. Była smaczna. Ale wcale nie lepsza od wody za dwa dolary. Albo od darmowej wody z kranu.

— Trzyście osób — powiedziałem.

— Plus obie Hoth — dodał Springfield.

— No dobrze, pięćście.

— Samobójcza misja.

— Wszyscy kiedyś umrzemy — mruknąłem. — Pytanie tylko kiedy i jak.

— Nie możemy panu aktywnie pomóc — powiedział Sansom. — Chyba pan rozumie dlaczego. To się skończy minimum jedną i maksimum piętnastoma ofiarami zabójstwa na terenie Nowego Jorku. Nie możemy brać w tym udziału. Nie możemy być w to w żaden sposób zamieszani.

— Z powodów politycznych?

— Z wielu różnych powodów.

— Nie proszę o pomoc.

■— Jest pan niespełna rozumu.

— Dojdą do tego samego wniosku.

— Kiedy pan to zamierza zrobić.

— Wkrótce. Nie ma sensu czekać.

— Minimum jedna ofiara to oczywiście pan. W tym wypadku nie będę wiedział, gdzie mam szukać mojej fotografii.

— Więc niech pan trzyma za mnie kciuki.

379

— Zachowałby się pan odpowiedzialnie, mówiąc mi teraz.

— Nie, zachowałbym się odpowiedzialnie, zostając kierowcą szkolnego autobusu.

— Czy mogę panu wierzyć?

— Że przeżyję?

— Że dotrzyma pan słowa?

— Czego nauczył się pan w szkole oficerskiej?

— Że należy ufać towarzyszom broni. Zwłaszcza oficerom równym stopniem.

— Więc w czym problem?

— Tak naprawdę nie byliśmy towarzyszami broni. Służyliśmy w bardzo różnych siłach zbrojnych.

— Dobrze pan to ujął. Ja ciężko harowałem, podczas gdy pan szwendał się po całym świecie, całując w dupę terrorystów. Nie dostał pan nawet Purpurowego Serca.

Sansom nie odpowiedział.

— Żartowałem — mruknąłem. — Ale niech pan się modli, żebym nie był pierwszą ofiarą, bo będzie pan bez przerwy słyszał takie rzeczy.

— Więc niech mi pan teraz powie.

— Chcę, żeby mnie pan ochraniał.

— Czytałem pańskie akta.

— Już mi pan o tym mówił.

— Dostał pan Purpurowe Serce po ataku na koszary piechoty morskiej w Bejrucie. Kiedy wjechała tam furgonetka wypełniona materiałami wybuchowymi.

— Dobrze to pamiętam.  
— Została panu po tym oszpecająca blizna.  
— Chce pan ją zobaczyć?  
— Nie. Niech pan po prostu pamięta, że tego nie zrobili Hoth.  
— Bawi się pan teraz w mojego psychoterapeutę?  
— Nie. Ale to nie znaczy, że to, co powiedziałem, nie jest prawdą.  
— Nie wiem, kto to był w Bejrucie. Nikt tego nie wie na pewno. Ale ktokolwiek to zrobił, był ich towarzyszem broni.

380

— Działa pan z chęci zemsty. I wciąż czuje się pan winny z powodu Susan Mark.  
— I co z tego?  
— Może pan nie być maksymalnie skuteczny.  
— Martwi się pan o mnie?  
— Głównie o siebie. Chcę odzyskać swoją fotografię.  
— Dostanie pan ją.  
— Niech mi pan da przynajmniej jakąś wskazówkę, gdzie jej szukać.  
— Wie pan to samo co ja. Ja to odkryłem. Więc pan też to kiedyś odkryje.  
— Był pan gliniarzem. To inny zestaw umiejętności.  
— Więc zajmie to panu więcej czasu. Ale to nie jest fizyka jądrowa.  
— Więc jaka to dyscyplina naukowa?  
— Niech pan raz pomyśli jak normalna osoba. Nie jak żołnierz albo polityk.  
Spróbował. Nie udało mu się.

— Niech pan przynajmniej powie, dlaczego nie powinienem jej zniszczyć — mruknął.  
— Wie pan to samo co ja.  
— Co to ma znaczyć?  
— A może nie wie pan tego co ja. Bo za bardzo się pan sobą przejmuje. Ja jestem zwykłym obywatelem.

— I co z tego?  
— Nie mam wątpliwości, że jest pan wspaniałym facetem, Sansom. Nie mam wątpliwości, że będzie z pana świetny senator. Ale ogólnie rzecz biorąc jest was aż stu. Każdego z senatorów łatwo wymienić na innego. Potrafi mi pan podać nazwisko? Jednego konkretnego senatora, który jest niezastąpiony?

Sansom nie odpowiedział.

— Niech mi pan powie, jak pan w pojedynkę zamierza załatwić Al-Kaidę?

Zaczął mówić o Komitecie Sił Zbrojnych, Komitecie Spraw

381

Zagranicznych i Komitecie Wywiadu, o budżetach i o nadzorze. Jak z płyty: Jakby stał na mównicy.

— Jaka część tego wszystkiego mogłaby zostać wykonana przez kogoś innego, gdyby pan nie zdobył mandatu? — przerwałem mu.

Nie odpowiedział.

— Niech pan sobie wyobrazi jaskinię gdzieś na północnym zachodzie Pakistanu — kontynuowałem. — Założmy, że siedzi tam teraz najwyższe kierownictwo Al-Kaidy. I wrywają sobie włosy z głów, mówiąc: do kroćset, nie pozwólmy, żeby John Sansom wszedł do amerykańskiego Senatu! Czy najważniejsze jest dla nich, żeby John Sansom nie został senatorem Stanów Zjednoczonych? — zapytałem.

— Raczej nie.

— Więc do czego im potrzebna ta fotografia?

— Małe zwycięstwa — odparł. — Lepsze to niż nic.

— Zadali sobie dużo trudu, żeby odnieść to małe zwycięstwo, nie sądzi pan? Dwie agentki, dziewiętnastu pomagierów, trzy miesiące pracy...

— Chcieli postawić w kłopotliwej sytuacji Stany Zjednoczone.

— Ale nie aż tak bardzo kłopotliwej. Niech pan spojrzy na fotografię Rumsfelda. Nikogo nie obchodzi. Zmieniają się czasy, zmienia sytuacja. Ludzie to rozumieją, jeżeli w ogóle zwracają na to uwagę. Amerykanie są albo bardzo dojrzały i rozsądni, albo bardzo zapominalscy. Nigdy nie wiem jacy. Ale tak czy inaczej ta fotografia to odgrzewany kotlet. Być może zniszczy pana osobiście, ale Al-Kaidzie nie zależy na niszczeniu poszczególnych Amerykanów.

— Ucierpi na tym pamięć Reagana.

— A kogo to obchodzi? Większość Amerykanów nawet go nie pamięta. Większość Amerykanów myśli, że Reagan to lotnisko w Waszyngtonie.

— Myślę, że nie docenia pan zagrożenia.

— A ja myślę, że pan je przecenia. Brak panu niezbędnego dystansu.

382

— Moim zdaniem ta fotografia zaszkodzi.

— Ale komu? Jakie jest w tej sprawie stanowisko rządu?

— Wie pan, że Departament Obrony robi wszystko, żeby odzyskać ten nośnik.

— Czyżby? Więc dlaczego zajęła się tym ich drużyna B?

— Pańskim zdaniem to była drużyna B?

— Mam szczerą nadzieję, że tak było. Jeżeli to była ich drużyna A, powinniśmy wszyscy dać nogę do Kanady.

Sansom nie odpowiedział.

— Ta fotografia mogłaby panu trochę zaszkodzić w Karolinie Północnej — oświadczyłem. — Ale to chyba wszystko. Nie widzimy jakichś szczególnych wysiłków ze strony Departamentu Obrony. Ponieważ tak naprawdę nie grozi nam narodowy kryzys.

— Nie odczytuje pan tego we właściwy sposób.

— W porządku, to nam zaszkodzi — powiedziałem. — To dowód, że popełniliśmy strategiczny błąd. Postawi nas to w kłopotliwej sytuacji, dostaniemy po twarzy. Ale na tym koniec. To nie będzie koniec świata. Kraj się nie rozsypie.

— Czyli Al-Kaida zbyt dużo się po tym spodziewa? Chce pan powiedzieć, że oni też się mylą? Nie rozumieją tak dobrze Amerykanów jak pan?

— Nie, chodzi mi o to, że cała ta historia jest lekko przekrzywiona. Trochę asymetryczna. Al-Kaida wysłała swoją najlepszą ekipę, a my rezerwową. Z tego względu ich pragnienie, żeby zdobyć tę fotografię, jest trochę większe od naszego pragnienia, by jej strzec.

Sansom się nie odezwał.

— I musimy zapytać, dlaczego Susan Mark nie kazano jej po prostu skopiować? Gdyby chcieli postawić nas w kłopotliwej sytuacji, skopiowanie zdjęcia byłoby lepsze. Ponieważ gdyby sprawa wyszła na światło dzienne i sceptycy twierdzili, że fotografia została zmontowana, oryginał nadal spoczywałby w aktach. I nie moglibyśmy się zapierać, że go nie ma.

— Rozumiem.

— Ale Susan Mark nie kazano jej skopiować. Kazano ją

383

skutecznie ukraść. Odebrać nam. Tak żeby nie pozostał po niej żaden ślad. To zwiększało ryzykowność całej operacji.

— I co to oznacza?

— Oznacza, że chcieli zdobyć tę fotografię, ale tak samo mocno chcieli, żebyśmy my ją stracili.

— Nie rozumiem.

— Musi pan cofnąć się myślami w przeszłość. Przypomnieć sobie dokładnie, co było w kadrze. Ponieważ Al-Kaida nie chce publikować tej fotografii. Ukradli ją, bo chcą ją zniszczyć.

— Dlaczego mieliby ją niszczyć?

— Ponieważ niezależnie od tego, jak bardzo mogłaby panu zaszkodzić, jest na niej coś, co jeszcze bardziej może zaszkodzić Osامية bin Ladenowi.

69

Sansom i Springfield umilkli, tak jak się spodziewałem. Obaj cofnęli się myślami o ćwierć wieku, do mrocznego namiotu rozbitego nad doliną Karengal. Lekko zeszywnieli i wyprostowali się, podświadomie powtarzając przyjęte wtedy pozy. Jeden po lewej, drugi po prawej stronie, z ich gospodarzem pośrodku. Wycelowany w nich obiektyw aparatu, przybliżenie, ustawienie ostrości. Lampa fleszu ładująca się, a potem błyskająca, spowijająca scenę światłem.

Co dokładnie zarejestrował aparat?

— Nie pamiętam — powiedział Sansom.

— Może chodzi o nas — powiedział Springfield. — Po prostu. Może spotkanie się z Amerykanami to teraz dla nich zła karma.

— Nie — odparłem. — To dobry PR. Spotkanie się z Amerykanami świadczy o tym, że bin Laden był potężny, a my mu się podlizywaliśmy. To musi być coś innego.

— Panował tam kompletny zamęt. Chaos i bezhołowie.

— To musi być coś w fatalny sposób niestosownego. Mali chłopcy, małe dziewczynki, zwierzęta.

— Nie wiem, co mogliby uznać za niestosowne — oświadczył Sansom. — Mają tam tysiące reguł. To mogło być nawet coś, co jadł.

— Albo palił.

385

— Albo pił.

— Nie było tam alkoholu — powiedział Springfield. — Zapamiętałem to.

— Kobiety?

— Kobiet też nie było.

— Musiało coś być. Byli tam jacyś inni goście?

— Tylko członkowie plemienia.

— Żadnych innych cudzoziemców?

— Tylko my.

— To musiało być coś, co może go skompromitować, pokazać jako zboczonego albo słabego. Był zdrowy?

— Wyglądał na zdrowego.

— Więc co jeszcze?

— Zboczony w rozumieniu ich praw czy tak jak my to rozumiemy?

— Dowództwo Al-Kaidy — powiedziałem. — Miejsce, gdzie mężczyźni są mężczyznami, a kozy trzęsą się ze strachu.

— Nie pamiętam. To było dawno temu. Byliśmy zmęczeni. Dopiero co przeszliśmy sto mil przez linię frontu — mruknął Sansom i umilkł. Tak jak się spodziewałem. — To jak kamień u szyi — rzekł w końcu.

— Wiem o tym — odparłem.

— Będę musiał podjąć ważną decyzję.

— Wiem.

— Jeżeli ta fotografia bardziej zaszkodzi jemu niż mnie, będę musiał ją ujawnić.

— Nie. Będzie pan musiał ją ujawnić, jeżeli okaże się, że może mu zaszkodzić w jakimkolwiek stopniu. I będzie pan musiał stawić czoło konsekwencjom.



— Gdzie mogę ją znaleźć?

Nie odpowiedziałem.

— No dobrze — powiedział. — Muszę pana kryć. Ale wiem to samo co pan. A pan to rozwikłał. To oznacza, że też potrafisz to rozwikłać. I Hoth też potrafią to rozwikłać. Czy będą wolniejsze od nas? Chyba nie. Może są na jej tropie właśnie w tej chwili.

386

— Tak — przyznałem. — To niewykluczone.

— Skoro zamierzają ją zniszczyć, może powinienem im na to pozwolić.

— Jeżeli zamierzają ją zniszczyć, to znaczy, że jest to wartościowa broń, której możemy użyć przeciwko nim.

Sansom się nie odezwał.

— Pamięta pan szkołę oficerską. To o wszystkich wrogach, zewnętrznych i wewnętrznych?

— Składamy taką samą przysięgę w Kongresie.

— Więc czy powinien pan pozwolić Hoth, żeby zniszczyły tę fotografię.

Sansom milczał przez dłuższą chwilę.

— Niech pan rusza — rzekł w końcu. — Dopadnie je, zanim zdobędą to zdjęcie.

•••

Nie wyruszyłem od razu. Nie natychmiast. Musiałem przemyśleć różne rzeczy i to i owo zaplanować. Uzupełnić braki. Nie byłem odpowiednio wyposażony. Miałem na nogach ogrodowe chodaki i niebieskie spodnie. Byłem nieuzbrojony. Żadna z tych rzeczy nie była dobra. Chciałem wyruszyć w środku nocy, ubrany na czarno. W odpowiednich butach. Z odpowiednią bronią. Im więcej bym jej miał, tym lepiej.

Znalezienie ubrania było łatwe.

Znalezienie broni mniej. Nowy Jork nie jest najlepszym miejscem na świecie, żeby skompletować szybko prywatny arsenał. Podejrzałem, że na peryferiach są miejsca, w których można dostać spod lady złom za wygórowaną cenę, ale były tam również miejsca sprzedające używane samochody, których raczej nie radzono kupować rozsądnym kierowcom.

To nastęczało pewien problem.

— Nie może mi pan pomóc, prawda? — zapytałem Sansoma.

— Nie.

Spojrzałem na Springfielda.

— Idę teraz do sklepu z ubraniami — powiedziałem. — Mam

387

zamiar kupić czarne spodnie, czarny T-shirt i czarne buty. Do tego czarną wiatrówkę, chyba w rozmiarze potrójnego XL, obszerną z przodu. Co wy na to?

— Mamy to w nosie — odparł Springfield. — Kiedy wrócisz, już nas tu nie będzie.

•••

Poszedłem do sklepu na Broadwayu, gdzie przed wydanym przez Sansoma lunchem kupiłem koszulę khaki. Ruch był tam niewielki i mieli dużo towaru na składzie. Znalazłem wszystko, czego potrzebowałem, z wyjątkiem butów i skarpetek. Czarne spodnie, prosty czarny T-shirt oraz zapinaną na zamek błyskawiczny czarną wiatrówkę pasującą na kogoś z o wiele większym brzuchem od mojego. Przymierzyłem ją i tak jak się spodziewałem, była dobra w ramionach i wybrzuszała się z przodu niczym bluza dla ciężarnej matki.

Była idealna, jeśli Springfield pojął aluzję.

Przebrałem się w przymierzalni, wyrzuciłem stare rzeczy i zapłaciłem sprzedawczyni pięćdziesiąt dziewięć dolarów. A potem skorzystałem z jej rekomendacji i odwiedziłem sklep obuwniczy trzy przecznice dalej. Kupiłem w nim solidne czarne sznurowane buty i czarne skarpetki. Prawie sto dolarów. Usłyszałem w głowie głos matki, z dawnych czasów. Za taką

cenę postaraj się je długo nosić. Nie zniszcz ich. Wyszedłem ze sklepu i tupnąłem kilka razy w chodnik, żeby lepiej się ułożyły. A potem wstąpiłem do drugstore'u i kupiłem zwykłe białe bokserki. Uznałem, że skoro cała reszta jest nowa, powinienem sprawić sobie również nową bieliznę.

Następnie ruszyłem z powrotem do hotelu.

Nie zdążyłem zrobić trzech kroków, kiedy zaczął wibrować telefon w mojej kieszeni.

70

Oparłem się o ścianę budynku na rogu Pięćdziesiątej Piątej Ulicy i wyciągnąłem telefon z kieszeni. Numer zastrzeżony. Otworzyłem klapy i przystawiłem komórkę do ucha.

— Reacher? — odezwała się Lila Hoth.

— Tak?

— Nadal stoję na drodze. Nadal czekam na tę ciężarówkę, która ma mnie przejechać.

— Już jedzie.

— Ale kiedy tu będzie?

— Nie grzej się. Wpadnę do ciebie w ciągu kilku dni.

— Nie mogę się doczekać.

— Wiem, gdzie cię szukać.

— To dobrze. Upraszcza sprawę.

— Wiem również, gdzie jest nośnik pamięci.

— To też dobrze. Zachowamy cię przy życiu, dopóki nam nie powiesz. A potem jeszcze przez parę godzin, wyłącznie dla zabawy.

— Jesteś dzieckiem we mgle, Lila. Powinnaś zostać w domu i nadal pasać kozy.

Umrzesz, a ta fotografia obiegnie cały świat.

— Mamy nową płytę DVD — odparła. — Kamera jest już ustawiona i czeka, aż zagrasz główną rolę.

— Za dużo mówisz, Lila.

389

Nie odpowiedziała.

Zamknąłem klapy telefonu i ruszyłem w zapadającym zmroku do hotelu. Wjechałem na górę windą, otworzyłem swój pokój, usiadłem na łóżku i zacząłem czekać. Czekałem bardzo długo. Prawie cztery godziny. Wydawało mi się, że czekam na Springfielda. Zamiast niego doczekałem się jednak Theresy Lee.

•••

Zapukała do drzwi osiem minut przed północą. Wykonałem tę samą co poprzednio akcję z łańcuchem i lustrem. Miała na sobie strój podobny do tego, w którym pierwszy raz ją zobaczyłem. Spodnie i jedwabną bluzkę z krótkimi rękawami. Nie-wsuniętą w spodnie. Nie jasno-, tylko ciemnoszarą. Mniej srebrzystą. Poważniejszą.

Przyniosła ze sobą czarną sportową torbę z balistycznego nylonu. Po tym, jak wisiła jej na ramieniu, domyśliłem się, że zawiera ciężkie rzeczy. Po tym, jak te ciężkie rzeczy poruszały się i brzęczały, domyśliłem się, że są z metalu.

— Wszystko u ciebie w porządku? — zapytała, kładąc torbę na podłodze przy drzwiach do łazienki.

— Au ciebie?

Theresa pokiwała głową.

— Tak jakby nic się nie zdarzyło. Wróciliśmy wszyscy do pracy.

— Co jest w tej torbie?

— Nie mam pojęcia. Przyniósł ją na posterunek mężczyzna, którego nie widziałam nigdy w życiu.

— Springfield?

— Nie, powiedział, że nazywa się Browning. Dał mi tę torbę i powiedział, że jeśli leży mi na sercu zapobieganie przestępczości, powinnam dopilnować, żeby jej zawartość nie wpadła ci nigdy w ręce.

— Jednak mimo to ją przyniosłaś?

— Osobiście jej pilnuję. Tak jest bezpieczniej, niż gdybym ją gdzieś zostawiła.

390

— Rozumiem.

— Musiałbyś mnie obezwładnić. A napaść na funkcjonariusza policji to przestępstwo.

— To prawda.

Theresa usiadła na łóżku. Ze cztery stopy ode mnie. Może bliżej.

— Przetrzęsaliśmy te trzy stare rudery przy Pięćdziesiątej Ósmej — powiedziała.

— Powiedział wam o nich Springfield?

— Twierdził, że nazywa się Browning. Nasza ekipa antyterrorystyczna weszła tam przed dwiema godzinami. Hoth już tam nie było.

— Wiem.

— Były wcześniej, ale już ich nie ma.

— Wiem.

— Skąd wiesz?

— Wydały Leonida i jego kumpla. Z tego względu przenieśli się w miejsce, którego Leonid i jego kumpel nie znają. Kolejna kryjówka.

— Dlaczego wydały Leonida i jego kumpla?

— Żeby odpowiednio zmotywować pozostałych trzynastu. I naoliwić tryby maszyny.

Kiedy trochę ich poturbujemy, arabskie media nazwą to torturami i zgłosi się dziesięciu nowych rekrutów. Zysk netto ośmiu bojowników. A Leonid i jego kumpel to niewielka strata. Byli beznadziejni.

— Tych pozostałych trzynastu będzie lepszych?

— Prawa statystyki mówią, że tak.

— Trzynastka to pechowa liczba.

— Z paniami Hoth będzie ich razem piętnascioro.

— Nie powinieneś tego robić.

— Zwłaszcza nieuzbrojony.

Zerknęła na torbę, a potem na mnie.

— Zdołasz je znaleźć? — zapytała.

— Skąd biorą pieniądze?

— Nie namierzemy ich w ten sposób. Przestały używać kart bankomatowych i kredytowych przed sześcioma dniami.

391

— Całkiem rozsądnie.

— Ale to bardzo utrudnia ich odnalezienie.

— Czy Jacob Mark wrócił bezpiecznie do Jersey?

— Uważasz, że nie powinien w tym uczestniczyć?

— Nie.

— Ale ja powinnam?

— Uczestniczysz w tym — odparłem. — Przyniosłaś mi torbę.

— Pilnuję jej.

— Co jeszcze robią wasi antyterrorysty?

— Szukają — odparła. — Razem z FBI i Departamentem Obrony. Na ulicach jest w tej chwili sześciuset ludzi.

— Czego szukają?

— Nieruchomości wynajętych lub kupionych w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Miasto udziela niezbędnej pomocy. Sprawdzają też rejestry hotelowe oraz wynajem apartamentów biznesowych i magazynów we wszystkich pięciu dzielnicach.

— Okay.

— Na mieście mówią, że chodzi podobno o nośnik pamięci z wykradzionym z Pentagonu plikiem.

— W przybliżeniu.

— Wiesz, gdzie on jest?

— W przybliżeniu.

— Gdzie on jest?

— Nigdzie pomiędzy Trzydziestą i Czterdziestą Piątą Ulicą oraz Dziewiątą Aleją i Park Avenue.

— Chyba sobie na to zasłużyłam.

— Rozwikłasz to.

— Naprawdę to wiesz? Docherty uważa, że nie. Uważa, że blefujesz, żeby wykaraskać się z kłopotów.

— Docherty jest najwyraźniej bardzo cynicznym facetem.

— Ale może ma rację?

— Wiem, gdzie jest ten nośnik.

— Więc idź po niego. Niech paniami Hoth zajmie się ktoś inny.

Nic na to nie odpowiedziałem.

392

— Spędzasz dużo czasu w siłowni? — zapytałem zamiast tego.

— Niezbyt dużo — odparła. — Dlaczego?

— Zastanawiam się, jak trudno byłoby cię obezwładnić.

— Niezbyt trudno.

Nie odpowiedziałem.

— Kiedy masz zamiar stąd wyjść? — zapytała.

— Za dwie godziny. Potem daję sobie dwie godziny na ich znalezienie. O czwartej rano zaatakuję. Moja ulubiona pora. To coś, czego się nauczyliśmy od Sowietów. Pracowali nad tym ich lekarze. O czwartej rano ludzie są najmniej sprawni. To uniwersalna prawda.

— Zmyślasz.

— Nie, nie zmyślam.

— Nie znajdziesz ich w dwie godziny.

— Chyba znajdę.

— Zaginiony plik dotyczy Sansoma?

— Częściowo.

— Czy on wie, że go masz?

— Nie mam go. Ale wiem, gdzie jest.

— Sansom wie o tym?

Pokiwałem głową.

— A zatem dobiłeś z nim targu — powiedziała Lee. — Sansom wyciągnie z kłopotów mnie, Docherty'ego i Jacoba Marka, a ty powiesz mu, gdzie szukać pliku.

— Umowa polegała głównie na tym, żeby wycofano zarzuty przeciwko mnie.

— To się nie udało. Federalni nadal nie chcą ci odpuścić.

— Udało się, jeśli chodzi o nowojorską policję.

— I udało się, jeśli chodzi o nas. Za co ci dziękuję.

— Nie ma za co.

— Jak Hoth planowały wydostać się z kraju? — zapytała.

— Chyba tego nie planowały. Ta możliwość odpadła już kilka dni temu. Moim zdaniem spodziewały się, że wszystko pójdzie gładko. Teraz chodzi po prostu o wykonanie zadania bez względu na koszty.

393

— Coś w rodzaju misji samobójczej?

— To coś, w czym są dobrzy.

— I to utrudnia ci zadanie.

— Jeżeli chcą popełnić samobójstwo, z chęcią im pomogę. Lee przesunęła się na łóżku i robiąc to, przysiadła na pole bluzki. Jedwabny materiał opiął ściśle pistolet na jej biodrze. Zgadywałem, że to glock 17, w lekkiej kaburze.

— Kto wie, że tutaj jesteś? — zapytałem.

— Docherty — odparła.

— Kiedy spodziewa się ciebie z powrotem?

— Jutro.

Nie odpowiedziałem.

— Co chcesz teraz zrobić?

— Szczerze?

— Tak jest.

— Chcę rozpiąć twoją bluzkę.

— Mówisz to wielu funkcjonariuszom policji?

— Chyba tak. Funkcjonariusze policji to jedyni ludzie, jakich znam.

— Niebezpieczeństwo cię podnieca?

— Kobiety mnie podniecają.

— Wszystkie kobiety?

— Nie — odrzekłem. — Nie wszystkie kobiety. Przez dłuższą chwilę milczała.

— To nie jest najlepszy pomysł — powiedziała w końcu.

— W porządku.

— Traktujesz to jako odmowę?

— A nie powinienem?

Ponownie przez dłuższą chwilę milczała.

— Zmieniłam zdanie — oznajmiła wreszcie.

— W jakiej sprawie?

— Że to nie jest najlepszy pomysł.

— To świetnie.

— Ale przez rok pracowałam w obyczajówce. Brałam udział w policyjnych prowokacjach. Potrzebowaliśmy dowodu, że facet

394

naprawdę spodziewa się uzyskać to, co chce uzyskać. Dlatego kazaliśmy mu najpierw zdjąć koszulę. Jako dowód zamiarów.

— Mógłbym to zrobić — powiedziałem.

— Chyba powinienes.

— Masz zamiar mnie aresztować?

— Nie.

Ściągnąłem przez głowę mój nowy T-shirt i cisnąłem go przez pokój. Wylądował na stole. Lee przyglądała się przez moment mojej bliźnie, w podobny sposób jak to robiła Susan Mark w metrze. Gruzłowe ślady szwów po szrapnelu z samochodowej bomby, która eksplodowała w bejruckich koszarach. Pozwoliłem jej się przyglądać przez minutę.

— Teraz twoja kolej — rzekłem. — Z bluzką.

— Jestem tradycyjną dziewczyną — oznajmiła.

— Co to znaczy?

— Że musisz mnie najpierw pocałować.

— Mógłbym to zrobić — odparłem. I zrobiłem to. Powoli, delikatnie i z początku trochę nieśmiało, w sposób, który miał w sobie coś z eksploracji i pozwalał delektować się nowymi ustami, nowym smakiem, nowymi zębami i nowym językiem. Wszystko to było bardzo dobre. A potem przestąpiliśmy jakiś próg i weszliśmy w to głębiej. Minutę później kompletnie straciliśmy nad sobą panowanie.

•••

Potem Theresa Lee wzięła prysznic. Ja wzięłem go po niej. Ubrała się i ja też się ubrałem. Pocałowała mnie raz jeszcze, powiedziała, żebym zadzwonił, gdybym jej potrzebował, życzyła mi powodzenia i wyszła z pokoju. Czarną torbę zostawiła na podłodze obok łazienki.  
71

Przeniosłem torbę na łóżko. Kiedy położyłem ją na zmiętej pościeli, w środku rozległ się satysfakcjonujący brzęk metalu. Rozpiąłem suwak, rozchyliłem klapy i zajrzałem do środka. Najpierw zobaczyłem tekturową teczkę.

Jasnobrązowa, formatu A4, zrobiona była z grubego papieru albo cienkiej tektury w zależności od punktu widzenia. W środku było dwadzieścia jeden zadrukowanych kartek. Akta straży granicznej dotyczące dwudziestu jeden różnych osób. Dwóch kobiet, dziewiętnastu mężczyzn. Obywateli Turkmenistanu. Przylecieli do Stanów Zjednoczonych z Tadżykistanu przed trzema miesiącami. Wszyscy tą samą trasą. Były tam cyfrowe fotografie i cyfrowe odciski palców pobrane przez straż graniczną na lotnisku Kennedy'ego. Fotografie były kolorowe, zrobione szerokokątnym obiektywem. Rozpoznałem bez trudu Lilę i Swietlanę. A także Leonida i jego kumpla. Nie znałem pozostałych siedemnastu. Przy czterech nazwiskach były już adnotacje o wyjeździe. Wyrzuciłem ich karty do śmieci i rozłożyłem na łóżku akta nieznaney mi trzynastki.

Wszystkie twarze wydawały się znudzone i zmęczone. Lokalne loty, przesiadka, długi transatlantyczny lot, zmiana czasu, długie oczekiwanie na kontrolę paszportową. Ponure spojrzenia, zadarte w górę głowy, oczy uniesione do obiektywu. Co powiedziało  
396

mi, że cała trzynastka jest dość niska. Przyjrzałem się zdjęciu Leonida. Był tak samo zmęczony i znudzony jak inni, ale nie zadzierał głowy. Był najwyższy z nich wszystkich. Zerknąłem na kartę Swietłany Hoth. Była najniższa. Inni sytuowali się gdzieś pomiędzy, nieduzi chudzi mężczyźni z Bliskiego Wschodu, zredukowani do samych kości, mięśni i ścięgien przez klimat, dietę i kulturę. Przyjrzałem im się uważnie, kilka razy, przekładając kartki jedną po drugiej, aż ich rysy wryły mi się w pamięć.

A potem ponownie zajrzałem do torby.

W najgorszym razie oczekiwałem porządnego pistoletu. W najlepszym krótkiego pistoletu maszynowego. Napomykając o luźnej, workowatej kurtce, dawałem Springfieldowi do zrozumienia, że będę chciał pod nią coś schować. Coś zawieszono wysoko na piersi na skróconym pasku, ukrytego pod fałdami materiału. Miałem nadzieję, że domyśli się, o co chodzi.

Domyślił się, o co chodzi. Spisał się całkiem elegancko.

Lepiej, niż spodziewałem się w najśmielszych marzeniach.

Dał mi krótki wytłumiony pistolet maszynowy. Heckler & Koch MP5SD. Wytłumiona wersja klasycznego MP5. Bez żadnej kolby ani osady. Wyłącznie rękojeść, spust, miejsce na łukowy magazynek na trzydzieści nabojów oraz sześciocalowa lufa poszerzona radykalnie przez podwójną obudowę tłumika. Dziewięciomilimetrowy, szybki, celny i cichy. Idealna broń. Z czarnym nylonowym paskiem skróconym do praktycznego minimum. Tak jakby Springfield mówił: wiem, o co ci chodzi, stary.

Położyłem pistolet na łóżku.

Springfield zaopatrzył mnie również w amunicję. Była tam, w torbie. Jeden łukowy magazynek. Trzydzieści naboju. Krótkich i grubych, z lśniącymi mosiężnymi łuskami migoczącymi w świetle lampy i niemal równie błyszczącymi ołowianymi czubkami. Dziewięćmilimetrowe parabellum. Od łacińskiego powiedzenia Si vis pacem para bellum. Jeśli pragniesz pokoju, szykuj się do wojny. Mądre zdanie. Chociaż trzydzieści naboju  
397

to niezbyt dużo, jeśli ma się piętnastu przeciwników. Ale Nowy Jork to trudne miasto. Dla mnie i dla Springfielda.

Położyłem magazynek koło pistoletu.

Przetraszałem torbę, mając nadzieję, że znajdę więcej naboju.

Nie znalazłem ich. Było tam jednak coś w rodzaju premii. Nóż.

Benchmade 3000. Z czarną, obrobioną maszynowo rękojeścią. Nielegalny we wszystkich pięćdziesięciu stanach, chyba że służy się w wojsku albo w policji, czego nie można było o mnie powiedzieć. Zwolniłem sprężynę i ze środka wyskoczyło długie na cztery cale obosieczne ostrze ze spiczastym czubkiem. Nie jestem jakimś zakochanym w nożach fetyszystą. Nie mam swojego ulubionego rodzaju. Tak naprawdę nie lubię żadnego. Ale gdybyście zapytali, jaki jest najbardziej odpowiedni do walki wręcz, wybrałbym coś podobnego do tego, w co zaopatrzył mnie Springfield. Mechanizm sprężynowy, obosieczne ostrze, szpic. Nadający się do prawej i do lewej ręki, dobry zarówno w dźganiu, jak i w cięciu, od siebie i do siebie.

Wsunąłem ostrze z powrotem i położyłem nóż na łóżku obok MP5.

W torbie były jeszcze dwa przedmioty. Pojedyncza duża czarna rękawiczka na lewą dłoń. I rolka czarnej taśmy. Położyłem je na łóżku obok pistoletu, magazynka i noża.

Trzydzieści minut później ubrany, wyposażony, zwarty i gotowy jechałem na południe linią R.

72

Linią R kursują pociągi ze starszymi wagonami. Część ławek jest tam ustawiona prostopadle do kierunku jazdy, naprzeciwko siebie. Ja jednak siedziałem na bocznej ławce, sam jeden.

Była druga w nocy. W wagonie poza mną znajdowało się jeszcze trzech pasażerów. Opierając łokcie na kolanach, wpatrywałem się w swoje odbicie w szybie naprzeciwko.

Sprawdzałem punkty z listy.

Niewłaściwy strój, zgadza się. Zapięta pod samą szyją kurtka była za ciepła i trochę na mnie za duża. Pasek od MP5 zawiesiłem pod nią na szyi. Sam pistolet spoczywał na ukos na mojej piersi, rękojeścią w górę i lufą w dół i był całkowicie niewidoczny.

Chód przypominający robota: nie odnosi się do osoby siedzącej w pojeździe komunikacji miejskiej.

Punkty od trzeciego do szóstego: drażliwość, pocenie się, tiki i nerwowe zachowanie. Na pewno się pocilem, trochę bardziej, niż mogło to wynikać z temperatury w metrze i faktu, że byłem w kurtce. Czułem się również rozdrażniony, może nawet bardziej niż zwykle. Ale przeglądając się uważnie w szybie, nie zobaczyłem żadnych tików. Miałem spokojny wzrok i opanowaną twarz. Nie dostrzegłem także nerwowego zachowania. Ale zachowanie to coś, co okazujemy na zewnątrz. W środku byłem trochę zdenerwowany.

399

Punkt siódmy: oddech. Nie dyszałem. Byłem jednak skłonny przyznać, że oddycham trochę głośniejsze i regularniejsze niż zwykle. Normalnie nie zdaję sobie w ogóle sprawy, że oddycham. To dzieje się po prostu samo, automatycznie. Mimowolny odruch, rodzący się głęboko w mózgu. Ale teraz wyczuwałem nieustający rytm, wdech przez nos, wydech przez usta. Wdech i wydech, wdech i wydech. Jak w maszynie. Tak jakbym używał sprzętu do nurkowania, głęboko pod wodą. Nie mogłem zwolnić tego rytmu. Nie czułem zbyt wiele tlenu w

powietrzu. Wdychałem go i wydychałem niczym gaz obojętny. Niczym argon albo ksenon. Nie miałem z niego żadnego pożytku.

Punkt ósmy: spojrzenie utkwione prosto przed siebie. Zgadzało się, ale wynikało z tego, że oceniałem właśnie wszystkie pozostałe punkty. Stąd skupienie. Skrajna koncentracja.

Normalnie rozglądałbym się wokoło, nie byłbym taki sztywny.

Punkt dziewiąty: mamrotane pod nosem modlitwy. Nie zgadzało się. Siedziałem nieruchomo i milczałem. Moje zamknięte usta w ogóle się nie poruszały. Zacisnąłem je tak mocno, że bolały mnie tylne zęby, a mięśnie szczęk wystawały niczym piłeczki golfowe.

Punkt dziesiąty: duża torba. Nie zgadzało się.

Punkt jedenasty: ręce w torbie. Nie dotyczy.

Punkt dwunasty: świeżo ogolone policzki. Nie zgadzało się. Nie goliłem się od kilku dni.

Zatem sześć punktów na dwanaście. Mogłem być i mogłem nie być zamachowcem-samobójcą.

I mogłem być, lecz równie dobrze mogłem nie być samobójcą. Wpatrując się w swoje odbicie w szybie, przypominałem sobie pierwszą myśl, która przysłała mi do głowy na widok Susan Mark. Wyglądała dokładnie jak kobieta, której życie dobiega końca, i było to tak samo pewne i oczywiste, jak to, że pociąg zmierzał do końcowej stacji.

Uniosłem łokcie z kolan i odchyliłem się do tyłu. Zerknąłem na swoich współpasażerów.

Dwaj mężczyźni, jedna kobieta. Nie wyróżniali się niczym specjalnym. Pociąg jechał na południe,

400

z wszystkimi towarzyszącymi temu odgłosami. Szumem powietrza, klekotem złącz kompensacyjnych pod kołami, chrobotem odbieraka prądu, zawodzeniem silników, skrzypieniem wagonów przechylających się na łagodnie nachylonych zakrętach. Przejrzałem się w ciemnym oknie naprzeciwko i uśmiechnąłem.

Ja przeciwko nim.

Nie po raz pierwszy.

I nie po raz ostatni.

•••

Wysiadłem na stacji przy Trzydziestej Czwartej Ulicy i zostałem na peronie. Usiadłem po prostu na drewnianej ławce i jeszcze raz przeanalizowałem swoje teorie. Przypominałem sobie to, czego według Liii Hoth nauczyli się w Afganistanie Brytyjczycy. Kiedy planuje się ofensywę, trzeba przede wszystkim zaplanować, dokąd będzie można się wycofać. Czyjej mocodawcy w kraju skorzystali z tej znakomitej rady? Mogłem się założyć, że nie. Z dwóch przyczyn. Po pierwsze, z powodu fanatyzmu. Ideologicznych organizacji nie stać na racjonalne myślenie. Kiedy zaczyna się myśleć racjonalnie, cała sprawa rozsypuje się w proch. I ideologiczne organizacje lubią stawiać swoich szeregowych żołnierzy w sytuacjach bez wyjścia. Żeby wzmocnić w nich upór. Z tego samego powodu pasy z materiałami wybuchowymi są zaszywane, a nie zapinane na suwak albo na zatrzask.

Po drugie, każdy plan ewakuacji krył w sobie ziarna własnej destrukcji. W nieunikniony sposób. Trzecia, czwarta i piąta kryjówka kupiona albo wynajęta przed trzema miesiącami musiałaby zostać ujawniona w miejskich archiwach. Podobnie wyszłyby na jaw zamówione na wszelki wypadek rezerwacje w hotelach. I rezerwacje zrobione w ostatniej chwili. Ulice Przeczesały sześciuset agentów. Domyślałem się, że niczego nie znajdą, bo planiści w afgańskich górach przewidzieli ich kroki. Wiedzieli, że jedyną bezpieczną kryjówką jest ta, której wcześniej nie zaplanowało.

Zatem obecnie Hoth przebywały w niewiadomym miejscu.

401

Razem z całą swoją ekipą. Dwie kobiety, trzynastu mężczyzn. Opuścili swoją kryjówkę przy Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy i schronili się w miejscu, gdzie nie zdoła ich wykryć żaden radar.



Czyli dokładnie w strefie, w której ja przebywałem. Były w moim świecie.  
Tylko ktoś taki jak ja mógł je znaleźć.

•••

Wyszedłem z metra na Herald Square, czyli w miejscu, gdzie przecinają się Broadway, Szósta Aleja i Trzydziesta Czwarta Ulica. Za dnia trudno tam wetknąć szpilkę. Obok mieści się supermarket Macy's. W nocy miejsce nie jest wyludnione, ale dość spokojne. Ruszyłem na południe Szóstą, a potem na zachód Trzydziestą Trzecią Ulicą i podszedłem z boku do zaniedbanego starego hotelu, w którym spędziłem jedyną spokojną noc w ciągu całego tygodnia. MP5 był twardy i ciężki i obijał się o moją pierś. Hoth miały dwie możliwości: spać na ulicy lub zapłacić nocnemu portierowi. Na Manhattanie są setki hoteli, ale można je łatwo podzielić na oddzielne kategorie. Większość jest średniej albo wyższej klasy — personel jest tam liczny i nie da się załatwić nic na lewo. Większość hoteli niskiej klasy jest mała. A Hoth musiały znaleźć nocleg dla piętnastu osób. Minimum pięć pokoi. Pięć wolnych, niezwracających uwagi pokoi można znaleźć jedynie w dużym hotelu. I musi tam pracować pojedynczy zblatowany nocny portier. Znam Nowy Jork względnie dobrze. Potrafię załatwić w tym mieście sprawy, z którymi normalni ludzie nie mają na ogół do czynienia. I znam zaledwie dwa stare duże manhattańskie hotele z pojedynczymi zblatowanymi nocnymi portierami. Drugi był kawał drogi na zachód, przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Daleko od miejsca akcji, co było korzystne, ale również niekorzystne. W zasadzie mniej korzystne niż niekorzystne.

Doszedłem do wniosku, że wybrałyby go w drugiej kolejności.

Stałem obok miejsca, które prawdopodobnie wybrały.

Zegar w mojej głowie wskazywał kilka minut po wpół do 402

trzeciej w nocy. Stałem w cieniu i czekałem. Nie chciałem się spóźnić ani przyjść za wcześnie. To musiał być właściwy moment. Po lewej i prawej widziałem pojazdy jadące na północ Szóstą i na południe Siódmą Aleją. Taksówki, ciężarówki, trochę cywilnych aut, parę radiowozów i kilka ciemnych sedanów. Poprzecznymi ulicami nie jechał nikt. Za kwadrans trzecia odsunąłem się od ściany, skręciłem na rogu i podszedłem do drzwi hotelu.

73

Dyżur miał ten sam nocny portier. Był sam. Siedział rozwalony na krześle za biurkiem, wpatrując się ponuro w przestrzeń. W holu wisały zamglone stare lustra. Moja kurtka wybrzuszała się z przodu. Wydawało mi się, że rozpoznają pod nią kształt rękojeści MP5, łukowego magazynku i końca lufy. Ale wiedziałem, na co patrzę. Zakładałem, że nocny portier tego nie wie.

— Pamiętasz mnie? — zapytałem, podchodząc do niego.

Nie powiedział tak. Nie powiedział nie. Wzruszył po prostu ramionami w sposób, który mógł być zaproszeniem do negocjacji.

— Nie potrzebuję pokoju — powiedziałem.

— Więc czego chcesz?

Wyjąłem z kieszeni pięć dwudziestodolarowych banknotów. Sto dolców. Większość tego, co mi zostało. Rozłożyłem je w wachlarzyk, żeby mógł zobaczyć wszystkie dwucyfrowe liczby, i położyłem na jego biurku.

— Chcę wiedzieć, w jakich pokojach zakwaterowałeś ludzi, którzy przyszli tu około północy.

— Jakich ludzi?

— Dwie kobiety, trzynastu mężczyzn.

— Nikt nie przyszedł tutaj koło północy.

404

- Jedna z kobiet to superlaska. Młoda. Jasnoniebieskie oczy. Niełatwo ją zapomnieć.
- Nikt nie przyszedł.
- Na pewno?
- Nikt nie przyszedł.

Przesunąłem pięć banknotów w jego stronę.

- Jesteś pewien na sto procent?

Portier odsunął od siebie pieniądze.

- Chętnie wziąłbym tę forszę, możesz mi wierzyć. Ale nikt dziś nie przyszedł.

•••

Nie pojechałem metrem. Zamiast tego poszedłem piechotą. Skalkulowane ryzyko. Robiąc to, narażałem się, że wpadnę w oko któremuś z sześciuset agentów mogących krążyć w pobliżu, ale chciałem mieć działającą komórkę. Już wcześniej wydedukowałem, że komórki nie działają w metrze. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś z nich tam korzystał. Prawdopodobnie nie z powodu wymogów etykiety, lecz ze względu na brak zasięgu. Dlatego szedłem pieszo.

Dotarłem Trzydziestą Drugą Ulicą do Broadwayu i skręciłem na południe, mijając sklepy z walizkami, stoiska z tandetną biżuterią i hurtownie z podrabianymi perfumami, wszystkie nieczynne i pozamykane. Wszędzie było ciemno i brudno. Kolejna mikrodzielnica, która równie dobrze mogła się znajdować w Lagos albo Sajgonie.

Zatrzymałem się na rogu Dwudziestej Ósmej Ulicy, żeby przepuścić taksówkę.

Telefon w mojej kieszeni zaczął wibrować.

•••

Cofnąłem się na Dwudziestą Ósmą, usiadłem na pograżonych w mroku schodkach i otworzyłem klapkę.

- No i co? — zapytała Lila Hoth.
- Nie mogę was znaleźć — powiedziałem.
- Wiem.

405

- Więc zawrzyjmy umowę.
- Naprawdę?
- Ile macie gotówki?
- A ile chcesz?
- Wszystko, co macie.
- Masz nośnik pamięci?
- Mogę wam powiedzieć, gdzie dokładnie jest.
- Ale tak naprawdę go nie macie?
- Nie.
- Więc co takiego pokazałeś nam w hotelu?
- Rekwizyt.
- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
- Sto tysięcy.
- Nie mam stu tysięcy dolarów.
- Nie możecie wsiąść do autobusu, pociągu albo samolotu — powiedziałem. — Nie możecie się stąd wydostać. Jesteście w domu, Lila. Zginiecie tutaj. Nie chcecie zginąć i wygrać? Nie chcecie wysłać do domu tej zaszyfrowanej wiadomości? Melduję wykonanie zadania?
- Siedemdziesiąt pięć tysięcy.
- Sto.
- Dobrze, ale tylko połowa dziś w nocy.
- Nie ufam ci.
- Będziesz musiał.

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy w całości dziś w nocy.
- Sześćdziesiąt.
- Zgoda.
- Gdzie jesteś?
- W północnej części miasta — skłamałem. — Ale przemieszczam się. Możemy się spotkać na Union Square za czterdzieści minut.
- Gdzie to jest?
- Przy Broadwayu, między Czternastą i Siedemnastą Ulicą.
- To bezpieczne miejsce?
- Dość bezpieczne.

406

- Będą tam — odparła.
- Tylko ty — powiedziałem. — Sama.

Rozłączyła się.

•••

Minąłem dwie przecznice, usiadłem na ławce w północnej części Madison Square Park obok bezdomnej kobiety, która miała wózek na zakupy załadowany tak wysoko, że wyglądał jak śmieciara. Wyjąłem z kieszeni wizytówkę Theresy Lee i przeczytałem ją w słabym świetle ulicznej latarni. Wystukałem numer jej komórki. Odebrała po piątym dzwonku.

— Tu Reacher — powiedziałem. — Mówiłaś, żebym zadzwonił, gdybym coś od ciebie potrzebował.

- Co mogę dla ciebie zrobić?
- Czy nadal nie jestem poszukiwany przez nowojorską policję?

U — Nie.

— Więc powiedz swoim antyterrorystom, że za czterdzieści minut będę na Union Square i podejdzie do mnie od dwóch do sześciu członków ekipy Liii Hoth. Powiedz, że mogą ich zgarnąć. Ale mnie mają zostawić w spokoju.

- Jak wyglądają?
- Zajrzałaś chyba do torby? Zanim mi ją dostarczyłaś?
- Oczywiście.
- Więc widziałas ich buźki.
- Gdzie będziesz na placu?
- W pobliżu południowo-zachodniego rogu.
- Więc ją znalazłeś?

— W pierwszym miejscu, które sprawdziłem. Jest w hotelu. Zapłaciła nocnemu portierowi. I napędziła mu potężnego stracha. Zaprzeczył wszystkiemu i zadzwonił do jej pokoju, kiedy tylko wyszedłem na ulicę.

— Skąd wiesz?

— Bo zatelefonowała do mnie po niecałej minucie. Lubię zbiegi okoliczności, ale taka zbieżność w czasie musi być podejrzana.

407

- Dlaczego spotykasz się z ludźmi z jej ekipy?
- Zawarłem z nią umowę. Powiedziałem, żeby przyszła sama. Ale ona ma zamiar mnie przechytrzyć. Nie przyjdzie sama, tylko wyśle swoich pomagierów. Pomogłoby mi, gdyby wasi ludzie ich zwinęli. Dzięki temu nie będę musiał zabijać ich wszystkich.
- Odezwało się w tobie sumienie?
- Nie, mam tylko trzydzieści sztuk amunicji. Szczerze mówiąc, to za mało. Muszę ich jakoś rozdzielić.

•••

Po przejściu dziewięciu przecznic dotarłem na Union Square. Obszedłem go raz dookoła, przeciąłem dwa razy na ukos i nie zobaczyłem nic, co mogłoby mnie zaniepokoić. Wyłącznie śpiących na ławkach ludzi. Jeden z nowojorskich darmowych hoteli. Usiadłem niedaleko posągu Gandhiego i czekałem, aż pojawią się szczury.

74

Po upływie dwudziestu z czterdziestu minut, które im dałem, zobaczyłem zajmujących pozycje antyterrorystów z nowojorskiej policji. Wyglądało to dość zgrabnie. Podjeżdżali poobijanymi, nieoznakowanymi sedanami i skonfiskowanymi furgonetkami, na których pełno było wgnieceń i zadrapań. Zobaczyłem, jak taksówka z wyłączonym kogutem parkuje przed kafejką na Szesnastej Ulicy. Zobaczyłem, jak dwaj faceci wysiadają z niej z tyłu i przechodzą przez jezdnię. Razem naliczyłem szesnastu mężczyzn i byłem gotów przyznać, że być może przegapiłem czterech lub pięciu innych. Gdybym nie wiedział lepiej, mógłbym dojść do wniosku, że umówili się na nocne ćwiczenia w sztuce walki. Wszyscy faceci byli młodzi i sprawni i poruszali się jak sportowcy. Wszyscy mieli ze sobą sportowe torby. Wszyscy byli nieodpowiednio ubrani. Mieli na sobie ciepłe bluzy Jankesów, ciemne wiatrówki jak moja albo cienkie polary, jakby to był listopad. Domyślałem się, że ukrywali pod nimi swoje kevlarowe kamizelki i być może odznaki zawieszane na łańcuszkach na szyi.

Żaden z nich nie spojrział prosto na mnie, ale widziałem, że mnie zauważyli i zidentyfikowali. Obeszli mnie pojedynczo, dwójkami i trójkami, a potem zniknęli w mroku. Wtopili się po prostu w otoczenie. Niektórzy usiedli na ławkach, inni położyli

409

się w pobliskich bramach, jeszcze inni poszli tam, gdzie ich nie widziałem.

Wyglądało to dość zgrabnie.

Po upływie trzydziestu z czterdziestu minut patrzyłem z optymizmem w przyszłość.

Pięć minut później już nie.

Ponieważ pojawili się federalni.

Przy Union Square West zatrzymały się dwa kolejne samochody. Czarne ford crown victoria, nawoskowane i lśniące. Wysiadło z nich ośmiu mężczyzn. Wyczułem poruszenie wśród nowojorskich antyterrorystów. Wyczułem, że wpatrują się w mrok, spoglądają na siebie wzajemnie, pytają: „Skąd się, u diabła, wzięli ci faceci?”.

Nie miałem na pieńku z nowojorską policją. Z FBI i Departamentem Obrony sytuacja wyglądała inaczej.

Spojrzałem na Gandhiego. Nie udzielił mi żadnej rady.

Wyciągnąłem ponownie telefon i wcisnąłem zielony przycisk, żeby przywołać numer Theresy Lee. Do niej ostatnio dzwoniłem. Wcisnąłem przycisk jeszcze raz, żeby się z nią połączyć.

Odebrała natychmiast.

— Są tutaj federalni — powiedziałem. — Jak to się stało?

— Niech to szlag — mruknęła. — Albo monitorują naszego dyspozytora, albo jeden z naszych szuka lepszej roboty.

— Kto jest dzisiaj ważniejszy?

— Oni. Zawsze. Musisz stamtąd spieprzać.

Zamknąłem kłapkę telefonu i schowałem go do kieszeni. Ośmiu facetów z fordów crown victorii schowało się w cieniu. Na placu było cicho. W neonie po mojej prawej stronie była jedna popsuta litera. Co jakiś czas zapalała się, a potem gasła. Słyszałem skradające się za mną w trawie szczury.

Czekałem.

Dwie minuty. Trzy.

Po upływie trzydziestu dziewięciu z czterdziestu minut wyczułem jakichś ludzi po mojej prawej stronie. Odgłosy kroków, poruszone powietrze, dziury w ciemności. Wyteżyłem wzrok

i zobaczyłem poruszające się w półmroku postaci. Siedmiu mężczyzn.

To był fakt, który mnie ucieszył. Im więcej teraz, tym mniej później.

I to był fakt, który mi pochlebiał. Lila angażowała ponad połowę swojej ekipy, ponieważ uważała, że niełatwo będzie mnie pokonać.

Wszyscy byli nieduży, szczupli i czujni. Wszyscy ubrani tak jak ja, w ciemne stroje wystarczająco obszerne, żeby ukryć broń. Nie mieli zamiaru mnie zastrzelić. Żądza wiedzy Liii Hoth chroniła mnie niczym zbroja. Zobaczyli mnie i zatrzymali się w odległości trzydziestu jardów.

Siedziałem bez ruchu.

Teoretycznie to powinno się odbyć całkiem łatwo. W momencie, kiedy do mnie podejżą, powinni ich zwinąć antyterrorysty z nowojorskiej policji. A ja powinienem pójść swoją drogą. Niestety, w sprawę wmieszali się federalni. W najlepszym razie mieli zamiar zwinąć nas wszystkich. W najgorszym zależało im bardziej na mnie niż na nich. To ja, a nie ludzie Liii, wiedziałem, gdzie jest nośnik pamięci.

Siedziałem bez ruchu.

Siedem jardów ode mnie siedmiu mężczyzn się rozdzieliło. Dwaj zostali po mojej prawej stronie. Dwaj inni odbili w lewo. Trzej pozostali ruszyli dalej, żeby zająć mnie od tyłu.

Wstałem z ławki. Dwaj mężczyźni z prawej zaczęli się do mnie zbliżać. Dwaj z lewej byli w połowie manewru oskrzydłającego. Trzej za mną pozostawali niewidoczni. Domyślałem się, że nowojorscy antyterrorysty wstali z ławek. Domyślałem się, że federalni też się przemieszczają.

Płynna sytuacja.

Puściłem się biegiem.

Prosto przed siebie, do odległego o dwadzieścia stóp zejścia do metra. Na dół po schodach. Za sobą słyszałem tupot licznych kroków. Cały tłum. Mniej więcej czterdzieści osób brało udział w zwariowanej gonitwie.

Wyłożonym kafelkami korytarzem dotarłem na podziemny placyk. Tym razem nie było skrzypka. Tylko stęchłe powietrze i stary facet popychający przed sobą szeroką łysą szczotkę. Minałem go, po czym zatrzymałem się z piskiem moich nowych podszew i skręciłem w stronę linii R. Przeskoczyłem przez bramkę, wpadłem na peron, z którego jechało się na północ, i dobiegłem do samego końca. Zatrzymałem się w miejscu i odwróciłem.

Trzy oddzielne grupy mężczyzn biegły jedna za drugą. Pierwsi zbliżyli się do mnie pomagierzy Liii Hoth. Zobaczyli, że nie mam dokąd uciec. Zatrzymali się. Widziałem na ich twarzach wilczą satysfakcję. A potem zobaczyłem, że uświadamiają sobie nieubłagany fakt: to było zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Niektóre myśli są zrozumiałe w każdym języku. Nagle odwrócili się i spostrzegli za sobą antyterrorystów z nowojorskiej policji.

Tuż za antyterrorystami biegło czterech z ośmiu agentów federalnych.

Na północnym peronie nie było poza tym nikogo. Żadnych cywilów. Na drugim peronie siedział na ławce samotny facet. Młody. Może pijany. Może odurzony czymś gorszym.

Siedział i gapił się na nagłe zamieszanie. Była za dwadzieścia czwarta rano. Facet sprawiał wrażenie oszołomionego. Jakby nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co widzi.

Wyglądało to na wojnę ulicznych gangów. W rzeczywistości jednak widział szybką i efektywną akcję nowojorskiej policji. Żaden z antyterrorystów nie zatrzymał się w biegu. Otoczyli z wyciągniętą bronią i widocznymi odznakami siedmiu mężczyzn i wykorzystując swoją przewagę fizyczną i potrójną przewagę liczebną, po prostu ich połknęli. Bez żadnego oporu. Najmniejszego. Powalili całą siódemkę na ziemię pałkami, przewrócili ich na brzuchy, zatrzasnęli im z tyłu kajdanki na nadgarstkach i wywlekli z peronu. Facet naprzeciwko nadal się gapił. Odbyło się to bez sekundy zwłoki. Bez odczytywania im formuły Mirandy. Z

maksymalną szybkością i brutalnością. Idealna taktyka. Dosłownie po paru sekundach już ich nie było. Echo ich kroków

412

umilkło w oddali. Facet naprzeciwko nadal się gapił, ale nagle zobaczył cichy peron, ze mną stojącym samotnie w jednym końcu i czterema federalnymi jakieś trzydzieści stóp ode mnie. Nic nas nie dzieliło. Absolutnie nic. Tylko jaskrawe białe światło i pusta przestrzeń.

Prawie przez całą minutę nic się nie działo. A potem po drugiej stronie torów zobaczyłem pozostałych czterech federalnych. Zajęli pozycje dokładnie naprzeciwko mnie i znieruchomieli. Wszyscy lekko się uśmiechali, jakby wykonali sprytny szachowy ruch. I mieli rację. Bieganie po torach nie miało już sensu. Czterej agenci na moim peronie blokowali mi wyjście. Za plecami miałem białą ścianę i wylot tunelu.

Szach mat.

Stałem nieruchomo. Wdychałem skażone podziemne powietrze i wsłuchiwałem się w odgłosy wentylacji i odległy rumor jadących innymi liniami pociągów.

Agent, który stał najbliżej mnie, wyjął pistolet spod marynarki.

Dał krok w moją stronę.

— Ręce do góry! — powiedział.

75

Nocny rozkład jazdy. Dwudziestominutowe przerwy między pociągami. Byliśmy na peronie może cztery minuty. Łatwo było obliczyć, że do przyjazdu następnego metra zostało najwyżej szesnaście. Ale pociąg mógł też pojawić się w każdej chwili.

Na razie się nie pojawiał. Wylot tunelu był ciemny i cichy.

— Ręce do góry! — zawołał ponownie facet. Białe, koło czterdziestki. Z całą pewnością były wojskowe. Służył w Departamencie Obrony, nie w FBI. Nie różnił się zbytnio od trzech, których miałem już okazję poznać. Ale był od nich chyba trochę starszy. Może trochę mądrzejszy. Może trochę lepszy. Może to była ich drużyna A, nie drużyna B.

— Będę strzelał! — krzyknął, ale nie uwierzyłem mu. Czcze pogrożki. Chcieli odzyskać nośnik pamięci. Ja wiedziałem, gdzie on jest. Oni nie.

Na następny pociąg powinniśmy jeszcze poczekać jakieś osiem minut. Może trochę więcej, może trochę mniej. Facet z pistoletem zrobił krok do przodu. Jego trzech koledzy ruszyli za nim. Czwórka po drugiej stronie torów stała bez ruchu. Młody facet na ławce patrzył na nas nieobecny wzrokiem.

Tunel nadal był ciemny i cichy.

— Możemy sobie darować całą awanturę. Powiedz nam tylko, gdzie to jest — zaproponował agent prowadzący.

414

— Co gdzie jest? — odparłem.

— Wiesz co.

— Jaką awanturę?

— Kończy nam się cierpliwość. I tracisz z oczu jeden ważny element.

— To znaczy?

— Bez względu na to, jak bardzo jesteś intelektualnie uzdolniony, nie są to zdolności wyjątkowe. W gruncie rzeczy są pewnie całkiem przeciętne. A to oznacza, że jeżeli tobie udało się zgadnąć, gdzie to jest, nam też się uda. To z kolei oznacza, że nie ma potrzeby, żebyś dalej istniał.

— Więc na co czekacie? Rozwiążcie zagadkę.

Facet podniósł wyżej swój pistolet i wyprostował rękę. To był glock 17, który w pełni załadowany ważył jakieś dwadzieścia pięć uncji. Najlepsza broń palna na wyposażeniu służb. Wykonana głównie z plastiku. Facet miał krótkie, grube ręce. Mógł ją prawdopodobnie tak trzymać w nieskończoność.

— To twoja ostatnia szansa! — zawołał.

Młody facet po drugiej stronie torów wstał i odmaszerował. Długimi chwiejnymi krokami, które stawiał niezupełnie w prostej linii. W zamian za spokojne życie gotów był stracić dwa dolary, które dał za bilet. Doszedł do wyjścia i zniknął z widoku.

Żadnych świadków.

Na następny pociąg powinniśmy poczekać około sześciu minut.

— Nie wiem, kim jesteście — powiedziałem.

— Agenci federalni — odparł facet.

— Udowodnij to.

Trzymając mnie nadal na muszce, facet skinął przez ramię do stojącego za nim agenta, który zrobił dwa kroki do przodu i stanął na rozciągającej się między nami ziemi niczyjej. Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągnął z niej złożone skórzane etui, podniósł je na wysokość moich oczu i otworzył. Były w nim dwa oddzielne dokumenty. Nie mogłem odczytać żadnego. Stałem zbyt daleko i oba były osłonięte porysowanym plastikiem.

415

Zrobiłem krok do przodu.

On też zrobił krok do przodu.

Z odległości półtora metra zobaczyłem w górnej części etui standardową legitymację Agencji Wywiadu Obronnego. Wyglądała na autentyczną i była aktualna. W dolnej części był dokument stwierdzający, że legitymującemu się nim agentowi należy udzielić wszelkiej możliwej pomocy, ponieważ działa bezpośrednio w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Bardzo ładnie — powiedziałem. — To lepsze niż zarabianie na życie.

Cofnąłem się o krok.

Facet też cofnął się o krok.

— Nie różni się specjalnie od tego, co sam robiłeś dawno temu — powiedział agent prowadzący.

— To prehistoria — odparłem.

— Chodzi o to, żebyś mógł coś sobie udowodnić?

Następny pociąg mógł się pojawić za pięć minut.

— Chodzi o kwestię praktyczną — odpowiedziałem. — Jeśli chcesz, żeby coś było zrobione porządnie, musisz zrobić to sam.

Agent prowadzący opuścił dłoń. Teraz celował w moje kolana.

— Będę strzelał — powiedział. — Nogi nie są ci potrzebne do myślenia, mówienia i pamiętania.

Żadnych świadków.

Jeśli wszystko zawiodło, zacznij mówić.

— Dlaczego wam tak na tym zależy? — zapytałem.

— Zależy na czym?

— Wiecie na czym.

— Względę bezpieczeństwa narodowego.

— Chodzi o obronę czy atak?

— Oczywiście, że o obronę. To zrujnowałoby naszą wiarygodność. Cofnęłoby nas o wiele lat.

— Tak uważacie?

— Wiemy to.

— Powinniście popracować nad waszymi zdolnościami intelektualnymi — powiedziałem.

416

Facet wycelował bardziej precyzyjnie. W mój lewy goleń.

— Liczę do trzech — zagroził.

— Życzę w tym powodzenia — odparłem. — Informujcie mnie, jeśli utkniecie gdzieś po drodze.

— Raz — powiedział.

Na podkładach obok mnie zagwizdały szyny. Dziwna metaliczna melodia wyprzedzająca jadący tunelem pociąg. Ścigała ją fala gorącego powietrza i głębszy łoskot. Zakręt w tunelu oświetliło przednie światło. Przez długą sekundę nic się nie działo. A potem w polu widzenia pojawił się pociąg, szybko jadący i przechylony lekko na zakręcie. Zakołysał się, wyprostował, wjechał na stację z pełną szybkością i nagle zajęczały i zazgrzytały hamulce i cały skład zwolnił i zatrzymał się tuż przy nas, cały z jasnej nierdzewnej stali, z sykiem, hurgotem i piskiem.

Linia R, kierunek północny.

Mniej więcej piętnaście wagonów. W każdym po kilku pasażerów.

Świadków.

Spojrzałem ponownie na agenta prowadzącego. Jego glock zniknął pod marynarką.

Staliśmy na północnym końcu peronu. Wagony jeżdżące linią R są starsze. Każdy z nich ma czworo drzwi. Pierwszy wagon zatrzymał się na naszej wysokości. Stałem mniej więcej naprzeciwko pierwszych drzwi. Agenci Agencji Wywiadu Obronnego mieli bliżej do trzecich i czwartych.

Drzwi otworzyły się na całej długości pociągu.

Daleko z tyłu wysiadły z niego dwie osoby. Oddaliły się od nas i zniknęły. Odwróciłem się twarzą do pociągu. Agenci zrobili to samo. Dałem krok do przodu. Agenci zrobili to samo.

Zatrzymałem się. Agenci zrobili to samo.

Miałem do wyboru: po pierwsze, wsiąść do pociągu pierw-

417

szymi drzwiami. W takim wypadku oni wsiedliby do niego trzecimi i czwartymi. Do tego samego wagonu. Mogliśmy tak jeździć razem przez całą noc. Po drugie, przepuścić pociąg i co najmniej przez dwadzieścia kolejnych minut stać z nimi na tym samym peronie.

Drzwi się nie zamykały.

Dałem krok do przodu.

Oni zrobili to samo.

Wsiadłem do wagonu.

Oni zrobili to samo.

Odczekałem chwilę i cofnąłem się. Wsiadłem na peron.

Oni też wysiedli.

Wszyscy staliśmy bez ruchu.

Drzwi zamknęły mi się przed nosem. Tak jakby opadła kurtyna. Gumowe odboje uderzyły o siebie.

Poczułem w powietrzu falę elektryczności. Wolty i ampery. Potężny pobór. Silniki zwiększyły obroty i zawyły. Pięćset ton stali zaczęło się toczyć.

Wagony jeżdżące linią R są starsze. Przy drzwiach mają progi i rynienki. Pochyliłem się do przodu, zaczepiłem palce rąk

0       rynienkę, postawiłem palce najpierw prawej, a potem lewej stopy na progu i przywarłem niczym rozgwiazda do metalu

1       szkła. Pistolet maszynowy wbił mi się w pierś. Zawisłem na palcach rąk i stóp. Pociąg ruszył z miejsca. Szarpnął mną podmuch powietrza. Zbliżała się do mnie twarda krawędź tunelu. Wstrzymałem oddech, rozpostarłem szerzej ręce i nogi, pochyliłem głowę i przycisnąłem policzek do szyby. Pociąg wjechał wraz ze mną do tunelu. Od jego ściany dzieliło mnie może sześć cali. Zerknąłem nad zgiętym łokciem i zobaczyłem agenta



prowadzącego, który stał nieruchomo na peronie, trzymając jedną rękę we włosach, a drugą podnosząc i opuszczając z powrotem glocka.

76

To była koszmarna jazda. Niesamowita szybkość, kompletna ciemność, ogłuszający hałas, czyhające na mnie niewidoczne przeszkody, ekstremalny wysiłek fizyczny. Cały pociąg kołysał się, przechylał, podskakiwał, szarpał i wierzgał. Na każdym złączu kompensacyjnym mogłem od niego odpaść. Wbijając osiem palców w płytką rynienkę, dociskałem ją od dołu kciukami. Tak samo desperacko wbijałem w próg palce stóp. Wiatr zdzierał ze mnie ubranie. Panele drzwiowe chwiały się i dygotały. Moja głowa waliła o nie niczym kowalski młot. Przejechałem w ten sposób dziewięć przecznic. W końcu dotarliśmy do stacji przy Dwudziestej Trzeciej i pociąg ostro zahamował. Walcząc z siłą bezwładności, z całej siły zapierałem się prawą stopą i trzymałem się rynienki palcami lewej ręki. Nie puszczając drzwi, wjechałem z szybkością trzydziestu mil na godzinę prosto na jaskrawo oświetloną stację, przyklejony do drzwi niczym maść. Wagon zatrzymał się przy północnym końcu peronu. Wygiąłem ciało w łuk i kiedy drzwi się otworzyły, wsiadłem do środka i osunąłem na najbliższą ławkę.

Dziewięć przecznic. Jedna minuta. Wystarczyło, żeby wyleczyć mnie z chęci surfowania w metrze na całe życie.

419

W wagonie było trzech innych pasażerów. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrział. Drzwi zamknęły się z sykiem. Pociąg ruszył dalej.

•••

Wysiadłem przy Herald Square. Tam, gdzie Trzydziesta Czwarta Ulica przecina Broadway i Szóstą Aleję. Była za dziesięć czwarta rano. Nadal trzymałem się rozkładu. Byłem dwadzieścia przecznic i około czterech minut jazdy na północ od Union Square, gdzie wsiadłem do metra. Odległość była zbyt duża i pokonałem ją zbyt szybko, by Agencja Wywiadu Obronnego zdołała zorganizować jakąś akcję.

Wyszedłem ze stacji i ruszyłem ulicą ze wschodu na zachód, wzdłuż imponującej fasady Macy's. A potem skręciłem na południe w Siódmą Aleję w stronę wybranego przez Lilę Hoth hotelu.

Nocny portier siedział za swoim biurkiem. Nie rozpiąłem kurtki, żeby go przestraszyć. Moim zdaniem nie było to konieczne. Podszedłem po prostu do niego, pochyliłem się i trzepnąłem go w ucho. Facet spadł ze stołka. Przeskoczyłem przez biurko, złapałem go za gardło i podniosłem.

— Podaj mi numery pokoi — powiedziałem i zrobił to. Pięć oddzielnych, nieprzylegających do siebie pokoi na ósmym piętrze. Powiedział mi, w którym są kobiety. Mężczyźni ulokowali się w pozostałych czterech. Trzynastu facetów na osiem łóżek. Pięciu wyciągnęło krótkie słomki.

Albo stanęło na warcie.

Wyjąłem z kieszeni rolkę czarnej taśmy i zużyłem mniej więcej osiem jardów, żeby skrepować ręce i nogi nocnego portiera. Taką taśmę można kupić w każdym sklepie z artykułami żelaznymi za półtora dolara, ale dla żołnierza sił specjalnych jest równie niezbędna jak kosztujący tysiąc dolarów karabin, satelitarne radio i system nawigacyjny. Ostatnim sześciodalowym kawałkiem zalepiłem mu usta. Zabrałem mu klucz magnetyczny. Oderwałem go po prostu od spiralnego przewodu. A potem

420

zostawiłem portiera na podłodze, zasłoniętego przez biurko, i ruszyłem w stronę wind.

Wsiadłem do kabiny i wcisnąłem najwyższy, czyli jedenasty przycisk. Drzwi zamknęły się i winda ruszyła w górę.

Dopiero w tym momencie rozpiąłem kurtkę.

Ustawiłem broń pod odpowiednim kątem, po czym wyjąłem z zewnętrznej kieszeni rękawiczkę i założyłem ją na lewą dłoń. W przeciwieństwie do krótkiej wersji K z grubą rączką pod lufą, MP5SD nie ma przedniego uchwytu. Strzelając z SD, trzyma się prawą ręką uchwyt pistoletowy, a lewą obudowę lufy. W wewnętrznej ścianie obudowy wywierconych jest trzydzieści dziur. Proch w pocisku się nie spala. Proch w pocisku nie eksploduje. On robi jedno i drugie. Wytwarza bąbel ultragorącego gazu. Część gazu wydostaje się przez trzydzieści dziur, co tłumi hałas i spowalnia pocisk do prędkości poddźwiękowej. Nie ma sensu tłumić lufy, jeśli sam pocisk wydaje grom dźwiękowy. Wolny pocisk to cichy pocisk. Tak jak w Cichym Snajperze VAL. Wydzielający się gaz przechodzi przez trzydzieści dziur, rozszerza się i kłębi w wewnętrznej komorze tłumika. Następnie przechodzi do drugiej komory i rozszerza się trochę bardziej i jeszcze bardziej kłębi. Rozszerzający się gaz ochładza się. To podstawowe prawo fizyki. Ale nie ochładza się radykalnie. Być może z ultragorącego robi się skrajnie gorący. A zewnętrzna obudowa lufy jest z metalu. Stąd rękawiczka. Nikt nie używa bez niej MP5SD. Springfield był facetem, który myśli o wszystkim.

Po lewej stronie pistoletu był zsynchronizowany przełącznik bezpieczeństwa i rodzaju ognia. W starszych wersjach SD, które pamiętałem, dźwignia miała trzy pozycje. S, E i F. S oznaczało broń zabezpieczoną, E pojedyncze strzały, F ogień ciągły. Skrótów były chyba niemieckie. E jak ein i tak dalej, mimo że Heckler i Koch od dawna należał do brytyjskiej korporacji. Domyślałem się, że chodzi o pielęgnowanie tradycji. Springfield dał mi jednak nowszy model, SD4. Przełącznik miał tu cztery pozycje. Bez żadnych skrótów, wyłącznie z piktogramami. Dla cudzoziemców albo analfabetów. Prosta biała kropka na zabezpieczenie, jeden

421

mały biały nabój na strzały pojedyncze, trzy naboje na potrójne serie oraz długi szereg nabojów na ogień ciągły.

Wybrałem potrójne serie, preferowany przeze mnie rodzaj ognia. Jedno naciśnięcie spustu i trzy dziewięćmilimetrowe pociski wystrzelone w ciągu jednej czwartej sekundy.

Nieuniknione uniesienie lufy, zminimalizowane w pewnym stopniu przez uważnego strzelca i ciężar tłumika, daje elegancki pionowy ścieg trzech śmiertelnych ran na odcinku może półtora cala.

To mi pasuje.

Trzydzieści nabojów. Dziesięć serii. Osiem celów. Jedna seria na każdy cel plus dwie serie na nieprzewidziane sytuacje.

Drzwi windy otworzyły się na jedenastym piętrze i usłyszałem w głowie głos Liii Hoth opowiadającej o dawnych kampaniach w dolinie Korengal: „Trzeba zachować ostatni pocisk dla siebie, bo nikt nie chce dostać się żywcem w ich ręce, zwłaszcza w ręce kobiet”.

Wyszedłem z kabiny i ruszyłem pogrążonym w ciszy korytarzem.

•••

Standardowa doktryna taktyczna każdego działania zaczepnego: atakuj z góry. Ósme piętro było trzy kondygnacje niżej. Dwie drogi na dół: schodami albo windą. Wolałem schody, zwłaszcza że miałem broń z tłumikiem. Mądrym posunięciem defensywnym byłoby postawienie wartownika na schodach. Mógłby ich wcześniej ostrzec. Nie stanowił dla mnie większej przeszkody. Można się nim było zająć po cichu i bez pośpiechu.

Na klatkę schodową wychodziło się przez poobijane drzwi nieopodal windy. Otworzyłem je i ruszyłem na dół. Każde piętro oznaczone było wielką liczbą wypacykowaną ręcznie zieloną farbą. Do dziewiątego piętra schodziłem cicho. Potem stałem się bezszelestny. Zatrzymałem się i zerknąłem przez poręcz.

Na klatce schodowej nie było wartownika.

Na podeście ósmego piętra nie było nikogo. Byłem zawiedziony. To sprawiało, że praca po drugiej stronie drzwi będzie

0 dwadzieścia pięć procent trudniejsza. Na korytarzu będzie pięciu, a nie czterech mężczyzn. A rozkład pokoi oznaczał, że część będzie po mojej lewej, a część po prawej stronie. Trzej

1 dwaj bądź też dwaj i trzej. Trwające długą sekundę spojrzenie w złą stronę i obrót, od którego wszystko zależało.

Niełatwe.

Ale była czwarta rano. Maksymalny spadek aktywności. Uniwersalna zasada. Badali to sowieccy lekarze.

Zatrzymałem się na podeście przed drzwiami na korytarz i wziąłem głęboki oddech. I jeszcze jeden. Położyłem na lufie dłoń w rękawiczce. Skasowałem luz na spuście. Otworzyłem drzwi. Pchnąłem je nogą tak, że uchyliły się na czterdzieści pięć stopni. Podtrzymałem lufę dłonią w rękawiczce. Wyteżyłem wzrok i nadstawiłem uszu. Nic nie usłyszałem. Nic nie zobaczyłem. Przesząpiłem próg. Odwróciłem się w jedną stronę. Odwróciłem się w drugą. Nie było nikogo. Żadnych wartowników, żadnych strażników. W ogóle nikogo. Tylko pusty korytarz wyłożony brudną sfilcowaną wykładziną, przyćmione żółte światło i dwa rzędy zamkniętych drzwi. Żadnych dźwięków z wyjątkiem ledwie słyszalnego szumu miasta i dobiegającego z daleka stłumionego wycia syren. Zamknąłem za sobą drzwi na klatkę schodową. Sprawdziłem numery i podszedłem szybko do drzwi Liii. Przyłożyłem ucho do szczeliny i zacząłem nasłuchiwać. Nic nie usłyszałem.

Odczekałem. Całe pięć minut. Żadnego dźwięku. Nikt nie potrafi pozostawać w bezruchu i kompletnej ciszy dłużej ode mnie.

Wsunąłem w otwór klucz magnetyczny portiera. Małe światełko zapaliło się najpierw na czerwono, potem na zielono. Rozległo się kliknięcie. Nacisnąłem klamkę i ułamek sekundy później znalazłem się w środku. Pokój był pusty.

Łazienka była pusta.

Zobaczyłem ślady niedawnej obecności. Papier toaletowy był wysunięty i postrzępiony.

Umywalka mokra. Ktoś używał ręcznika. Na łóżku było wgłębienie. Krzesła poprzesławiane. Sprawdziłem pozostałe cztery pokoje. Wszystkie puste. Wszystkie opuszczone. Nic w nic nie zostało. Nic nie świadczyło o zamiarze rychłego powrotu.

Lila Hoth, jeden krok przede mną.

Jack Reacher, jeden krok z tyłu.

•••

Zdjąłem rękawiczkę, zapiąłem z powrotem kurtkę i zjechałem na parter. Oparłem portiera plecami o jego biurko i zdarłem mu taśmę z ust.

— Już mnie nie bij — powiedział.

— Dlaczego miałbym cię nie bić? — zapytałem.

— Nie moja wina — odparł. — Powiedziałem prawdę. Pytałeś, w jakich pokojach ich zakwaterowałem. W czasie przeszłym.

— Kiedy się stąd wynieśli?

— Mniej więcej dziesięć minut po tym, jak przyszedłeś po raz pierwszy.

— Dokąd poszli?

— Nie mam pojęcia.

— Ile ci zapłacili?

— Tysiąc.

— Nieźle.

— Za pokój.

— To chore — stwierdziłem. I rzeczywiście było. Za te pieniądze mogli zamieszkać ponownie w Four Seasons. Tyle że nie mogli. W tym sęk.

•••

Zatrzymałem się w cieniu na chodniku Siódmej Alei. Dokąd się udali? Ale najpierw, jak dotarli do hotelu? Nie samochodami.

424

W drodze tutaj ekipa liczyła piętnaście osób. Potrzebowaliby minimum trzech samochodów. A stare podupadłe hotele z nocnymi portierami nie mają służby parkingowej. Taksówkami? Całkiem możliwe, w drodze do hotelu, późnym wieczorem ze środkowej części Manhattanu. A wychodząc stąd o trzeciej w nocy na Siódmą Aleję? Osiem osób potrzebowałoby co najmniej dwóch wolnych taksówek.

Mało prawdopodobne.

Metrem? Możliwe. O wiele bardziej prawdopodobne. W odległości jednej przecznicy biegły trzy linie. Nocny rozkład jazdy, maksymalnie dwudziestominutowe oczekiwanie na peronie, a potem ucieczka na północ albo na południe. Ale dokąd? Nie do miejsca, w którym musieliby iść długo na piechotę. Maszerująca chodnikiem ośmioosobowa grupa za bardzo rzucałaby się w oczy. Na ulicach było sześciuset agentów. Jedyne drugi hotel z nocnym portierem, jaki znałem, mieścił się daleko na zachód od Ósmej Alei. To oznaczało piętnastominutowy, może nawet dłuższy spacer. Za duże ryzyko.

Więc pojechali metrem, ale dokąd?

Nowy Jork. Trzysta dwadzieścia mil kwadratowych. Dwieście pięć tysięcy akrów. Osiem milionów oddzielnych adresów. Stałem tam i sortowałem możliwości niczym maszyna.

Wyciągnąłem pustą kartę. A potem się uśmiechnąłem.

Za dużo gadasz, Lila.

Usłyszałem ponownie w głowie jej głos. Przypomniałem sobie, co powiedziała w herbaciarni hotelu Four Seasons. Mówiła o dawnych afgańskich bojownikach. Pozornie się na nich skarżąc. W rzeczywistości była dumna z wyczynów swoich rodaków, z tego, że Armia Czerwona nie potrafiła ich pokonać. „Mudżahedini byli inteligentni — powiedziała. — Mieli w zwyczaju wracać na pozycje, które uznaliśmy wcześniej za porzucone”.

Wróciłem z powrotem na Herald Square i wsiałem do pociągu linii R. Mogłem wysiąść na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Miałem stamtąd tylko parę kroków do starych budynków przy Pięćdziesiątej Ósmej.

77

Stare rudery przy Pięćdziesiątej Ósmej stały ciemne i ciche. Wpół do piątej rano, w okolicy, w której niewiele dzieje się przed dziesiątą. Obserwowałem je z odległości pięćdziesięciu jardów. Z pogrążonej w ciemności bramy po drugiej stronie Madison Avenue. Policyjna taśma nalepiona była na drzwi z jednym dzwonkiem. Te w budynku po lewej stronie, z nieczynną restauracją na parterze.

Żadnych świateł w oknach.

Żadnych oznak aktywności.

Taśma wydawała się nienaruszona. Musiała jej towarzyszyć oficjalna pieczęć nowojorskiej policji. Mała prostokątna kartka przyklejona na drzwiach i framudze na wysokości dziurki od klucza. Ona też była prawdopodobnie nienaruszona. Oznaczało to, że są jakieś tylne drzwi. Było to całkiem logiczne, skoro w budynku znajdowała się restauracja. Restauracje wytwarzają wszelkiego rodzaju nieprzyjemne śmieci. Przez cały dzień. Śmieci śmierdzą i przyciągają szczury. Z tego względu nie mogą leżeć na chodniku. Lepiej wyrzucać je do zamkniętych pojemników na tyłach kuchni, które w nocy wytacza się na chodnik i wywozi. Przeszedłem dwadzieścia jardów na południe, żeby poszerzyć kąt widzenia. Nie zobaczyłem żadnych alejek prowadzących na

426

tyły. Wszystkie budynki przylegały do siebie. Przy drzwiach oklejonych taśmą było okno dawnej restauracji. Obok niego kolejne drzwi. Architektonicznie rzecz biorąc, należały do

sąsiedniego budynku. Czarne, trochę podrapane, bez żadnej tabliczki, znacznie szersze od typowych drzwi, na zewnątrz nie miały schodka ani klamki. Wyłącznie dziurkę od klucza. Bez klucza można je było otworzyć tylko od środka. Mogłem się założyć, że przechodziło się przez nie na tyły posesji. Sąsiadujący z restauracją budynek był węższy na parterze i szerszy na wyższych piętrach. Na parterze miał od frontu dwa pomieszczenia, na górze trzy. Na wysokości pierwszego piętra na całej długości przecznicy nie było żadnej przerwy. Ale niżej na parterze znajdowały się przejścia na tyły, wszystkie dyskretnie pozamykane i zabudowane. Własność warstwowa na Manhattanie jest warta fortunę. Miasto sprzedaje się nie tylko w poziomie, ale i w pionie.

Wróciłem do mojej pogrążonej w mroku bramy. Policzyłem, ile minęło czasu. Czterdzieści cztery minuty od momentu, kiedy chłopcy Liii mieli mnie zgarnąć. Być może trzydzieści cztery od momentu, kiedy miała dostać meldunek o wykonaniu zadania. Może dwadzieścia cztery od momentu, kiedy doszła do wniosku, że nie wszystko poszło dobrze. Może czternaście od momentu, kiedy po raz pierwszy przyszło jej do głowy, żeby do mnie zadzwonić.

Za dużo gadasz, Lila.

Cofnąłem się pod ścianę i czekałem. Ulica przede mną była kompletnie wyludniona. Co jakiś czas widziałem jadące Madison Avenue taksówki albo cywilne auta. Ani jednego pojazdu na Pięćdziesiątej Ósmej. Ani jednego przechodnia. Nikt nie wyprowadzał psa, nikt nie wracał, zataczając się, do domu. Wywóz śmieci już się zakończył. Dostawa bajgli jeszcze się nie zaczęła.

Środek nocy.

Miasto, które nigdy nie zasypia, może i nie spało, ale wygodnie odpoczywało.

427

Czekałem.

Trzy minuty później zaczął wibrować telefon w mojej kieszeni. •••

Otworzyłem klapkę i podniosłem komórkę do ucha, nie spuszczać z oczu budynku z restauracją.

— Tak?

— Co się stało? — zapytała.

— Nie pojawiłaś się.

— Spodziewałaś się mnie?

— Specjalnie się nad tym nie zastanawiałem.

— Co się stało z moimi ludźmi?

— Wpadli w tryby systemu.

— W dalszym ciągu możemy zawrzeć umowę.

— Jak? Nie możesz stracić kolejnych ludzi.

— Możemy coś wymyślić.

— Dobrze. Ale cena poszła w górę.

— Ile?

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy.

— Gdzie teraz jesteś?

— Tuż przed twoim domem. Lila nie odpowiedziała.

Coś poruszyło się w oknie na trzecim piętrze. Po lewej stronie. W ciemnym pokoju.

Niewyraźny, upiorny ruch, prawie niedostrzegalny z odległości pięćdziesięciu jardów. Może przesunęła się kotara. Może to była biała bluzka. Może moja wyobraźnia.

— Nie, nie jesteś przed moim domem — powiedziała, ale w jej głosie nie było pewności.

— Gdzie chcesz się spotkać? — zapytała.

— Jakie to ma znaczenie? I tak się nie pojawisz.

— Kogoś przyślę.

— Nie stać cię. Zostało ci już tylko sześciu ludzi. Chciała coś odpowiedzieć, ale ugryzła się w język.

428

— Na Times Square — oznajmiłem. f. — Dobrze.

— Jutro o dziesiątej rano.

— Dlaczego?

— Chcę, żeby dokoła byli ludzie.

— To za późno.

— Na co?

— Chcę to mieć teraz.

: — Jutro o dziesiątej. Możesz się zgodzić albo nie.

— Nie rozłączaj się — powiedziała. , — Dlaczego?

— Muszę przeliczyć pieniądze. Sprawdzić, czy mam siedemdziesiąt pięć tysięcy.

Rozpiąłem suwak kurtki.

Założyłem rękawiczkę.

Słyszałem oddech Liii Hoth.

Pięćdziesiąt jardów ode mnie otworzyły się czarne drzwi. Te prowadzące na tyły. Na zewnątrz wyszedł mężczyzna. Nieduży, ciemny, chudy. I czujny. Spojrzał w lewo, w prawo i na drugą stronę ulicy.

Schowałem telefon do kieszeni. Nadal otwarty. Nadal aktywny.

Podniosłem MP5.

Pistolety maszynowe są przeznaczone do walki na krótki dystans, ale wiele z nich dorównuje celnością karabinom, pod warunkiem że odległość nie jest zbyt duża. Heckler & Koch strzela celnie przynajmniej na odległość stu jardów. Mój zaopatrzony był w żelazną muszkę i szczerbinę. Ustawiłem selektor na ogień pojedynczy i wycelowałem w tułów faceta, który podszedł do krawężnika. Spojrzał w prawo, w lewo i przed siebie. Zobaczył tę samą pustkę co ja. Wyłącznie chłodne powietrze i rzadką nocną mgiełkę.

Zawrócił do drzwi.

Obok mnie przejechała taksówka.

Pięćdziesiąt jardów dalej facet pchnął drzwi.

Zaczekałem do chwili, gdy uznałem, że ma zamiar zrobić krok

429

do przodu. Wtedy pociągnąłem za spust i strzeliłem mu w plecy. W sam środek tarczy.

Wolnym pociskiem. Z dostrzegalnym opóźnieniem. Strzelasz, trafiasz. MP5 reklamują jako cichą broń. Nie jest cichy. Wydaje dźwięk. Głośniejszy od cichego kasznięcia, które słyszy się na filmie. Ale porównywalny z łupnięciem, które słychać, gdy zrzuci się książkę telefoniczną z wysokości jarda. Słyszalny w każdym otoczeniu, lecz niezwracający uwagi w wielkim mieście.

Pięćdziesiąt jardów ode mnie facet zachwiał się i runął do przodu. Jego tułów wylądował za drzwiami, nogi na chodniku. Wpakowałem w niego na wszelki wypadek drugą kulę i wyjąłem z kieszeni komórkę.

— Jesteś tam? — zapytałem.

— Nadal liczymy — odpowiedziała.

O jednego mniej, pomyślałem.

Zapiąłem kurtkę i ruszyłem przed siebie. Skręciłem na zachód w Pięćdziesiątą Ósmą, przeciąłem ją kilka jardów za skrzyżowaniem z Madison Avenue, po czym przeszedłem na drugą stronę alei i wróciłem drugą stroną Pięćdziesiątej Ósmej, trzymając się blisko budynków. Chciałem znaleźć się poniżej pola widzenia Liii. Minałem pierwszą rudere. Minałem drugą.

— Muszę już kończyć — powiedziałem, stojąc czterdzieści stóp pod Lilą. — Jestem zmęczony. Jutro o dziesiątej rano na Times Square. Dobrze?

— Dobrze, pošlę kogoś.

Rozłączyłem się, schowałem komórkę do kieszeni, wciągnąłem martwego faceta w głąb przejścia i zamknąłem za sobą drzwi, cicho i powoli.

78

W przejściu paliło się światło. Pojedyncza słaba żarówka, w brudnej oprawce. Martwy facet był jednym z tych, których fotografie dostałem od Springfieldda. Numer siódmy z początkowej dziewiętnastki. Nie pamiętałem jego nazwiska. Przeciągnąłem go na tyły domu. Pod nogami miałem stary wyszlizgany beton. Przeszukałem zabitego. Nie miał nic w kieszeniach. Żadnego dowodu tożsamości ani broni. Zostawiłem go przy małym wózku na śmieci oblepionym brudem tak starym, że już nawet nie śmierdział.

Następnie znalazłem drzwi prowadzące do środka budynku, rozpiąłem kurtkę i chwilę czekałem. Zastanawiałem się, po jakim czasie zaczną się niepokoić o swojego zwiadowcę. Chyba po niespełna pięciu minutach. Zastanawiałem się, ile osób przyjdzie go szukać. Pewnie jedna, ale miałem nadzieję, że więcej.

Czekali siedem minut i przysłali dwóch ludzi. Drzwi budynku otworzyły się i wyszedł przez nie pierwszy facet. Numer czternasty z listy Springfieldda. Dał krok w kierunku zewnętrznych drzwi i zaraz potem wyszedł za nim drugi facet. Numer ósmy.

W tym momencie wydarzyły się trzy rzeczy.

Po pierwsze, pierwszy facet się zatrzymał. Zobaczył, że drzwi na ulicę są zamknięte. Coś się nie zgadzało. Z zewnątrz nie można było ich otworzyć bez klucza. Z tego względu zwiadowca,

431

którego wysłali wcześniej, wychodząc na chodnik, powinien zostawić je otwarte. Ale były zamknięte. Z tego względu zwiadowca musiał znajdować się w środku.

Pierwszy facet się odwrócił.

Po drugie, drugi facet również się odwrócił. Żeby zamknąć cicho i dokładnie wewnętrzne drzwi. Pozwoliłem mu to zrobić. Zamknąwszy drzwi, drugi facet podniósł wzrok i zobaczył mnie.

Pierwszy facet też mnie zobaczył.

Po trzecie, zastrzeliłem ich obu. Dwie potrójne serie, dwa stłumione warknięcia trwające po ćwierć sekundy każde. Celowałem w ich szyje i pozwoliłem, by lufa podniosła się lekko do góry ku podbródkom. Byli małymi mężczyznami. Ich szyje były wąskie i wypełnione szczelnie naczyniami krwionośnymi i rdzeniem kręgowym. Idealne cele. W zadaszonej alejce huk wystrzałów był o wiele głośniejszy niż na otwartym terenie. Dość głośny, by mnie to zaniepokoiło. Ale wewnętrzne drzwi były zamknięte. I zrobiono je z grubego litego drewna. Kiedyś, dawno temu, dopóki wcześniejszy właściciel nie sprzedał własności warstwowej, były drzwiami zewnętrznymi.

Dwaj faceci się przewrócili.

Moje zużyte łuski zagrzechotały na betonie.

Czekałem.

Żadnej natychmiastowej reakcji.

Wystrzeliłem osiem pocisków. Zostało mi dwadzieścia dwa. Siedmiu mężczyzn

zatrzymanych, trzech wyeliminowanych, trzech nadal czynnych. Plus dwie Hoth.

Przeszukałem nowych nieboszczyków. Żadnych dowodów tożsamości, żadnej broni. Żadnych kluczy, co oznaczało, że wewnętrzne drzwi nie były na nie zamykane.

Zostawiłem kolejne zwłoki obok pierwszych, w cieniu pojemnika na śmieci.

Przez jakiś czas czekałem. Nie spodziewałem się, by ktoś jeszcze wyszedł przez drzwi. Brytyjczycy na północno-zachodnim pograniczu pewnie w końcu zmadrzeli i przestali wysyłać oddziały po swoich jeńców. Armia Czerwona chyba w końcu też.

432

Hoth prawdopodobnie znały historię. Powinny ją znać. Swietłana zapisała pewną jej kartę. Czekałem.

W kieszeni zawibrowała mi komórka.

Wyjąłem ją i zerknąłem na wyświetlacz. Numer zastrzeżony. Lila. Zignorowałem ją. Dosyć się z nią nagadałem. Schowałem telefon z powrotem do kieszeni. Po chwili przestał wibrować.

Położyłem dłoń w rękawiczce na klamce wewnętrznych drzwi. Nacisnąłem ją. Poczułem, jak zwalnia się zatrask. Byłem w miarę zrelaksowany. Z domu wyszli przed chwilą trzech mężczyźni. Było całkiem możliwe, że jeden z nich może wrócić. Jeden albo cała trójka. Jeśli ktoś czekał na nich w następnym pomieszczeniu, jego reakcję opóźniała konieczność rozpoznania, czy ma do czynienia z wrogiem, czy ze swoim. Podobnie jak reakcję batsmana w baseballu opóźnia konieczność rozpoznania, czy piłka jest szybka, czy kręcona. Trwa to jedną piątą sekundy, może dłużej.

Mojej reakcji nic nie opóźniało. Każdy, kogo zobaczyłem, był wrogiem.

Otworzyłem drzwi.

Nie zobaczyłem nikogo.

Miałem przed sobą puste pomieszczenie. Kuchnię nieczynnej restauracji. Była pograżona w mroku i częściowo zdemontowana. Zobaczyłem pozostałości starych szafek i luki w blatach tam, gdzie zabrano sprzęt kuchenny, żeby sprzedać go w sklepach z używanymi rzeczami na Bowery. Stare rury w miejscach, gdzie niegdyś były krany. Haki pod sufitem tam, gdzie niegdyś wisiały garnki. Pośrodku stał duży kamienny stół. Chłodny, gładki, lekko wgłębiony po wielu latach używania. Może dawno temu wyrabiano na nim ciasto.

Nie tak dawno zamordowano na nim Petera Molinę.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to jest stół, który oglądałem na DVD. Widziałem miejsce, gdzie musieli ustawić kamerę. Widziałem, gdzie ustawiono światła. Widziałem na nogach stołu postrzępione węzły sznurów, którymi związano ręce i nogi Petera.

433

W kieszeni zawibrowała mi komórka.

Zignorowałem ją.

Ruszyłem dalej.

Dwoje wahadłowych drzwi prowadziło do sali jadalnej. Jedne do wchodzenia, drugie do wychodzenia. Standardowa restauracyjna praktyka. Żeby uniknąć kolizji. W drzwiach były okrągłe okienka umieszczone na wysokości oczu przeciętnego mężczyzny sprzed pięćdziesięciu lat. Pochyliłem się i zajrzałem przez nie. Puste pomieszczenie, duże i prostokątne. Nie było w nim nic oprócz pojedynczego krzesła, kurzu i szcurzych bobków na podłodze. Przez duże brudne okno wpadało do środka żółte światło latami.

Pchnąłem drzwi stopą. Ich zawiasy zaskrzypiały cicho, ale nie stawiały oporu. Wszedłem do sali jadalnej. Skręciłem dwa razy w lewo i znalazłem się w korytarzu z toaletami. Dwoje drzwi oznaczonych napisami „Panie” i „Panowie”. Mosiężne tabliczki, opis słowny. Nie piktogramy. Nie ludziki w spódniczce i w spodniach.

Plus dwoje innych drzwi, jedno z lewej, drugie z prawej strony. Na obu mosiężnych tabliczkach widniał napis „Pomieszczenie prywatne”. Pierwsze drzwi prowadziły z powrotem do kuchni, drugie na klatkę schodową i wyższe piętra.

W kieszeni zawibrowała mi komórka.

Zignorowałem ją.



Standardowa doktryna taktyczna każdego z działań zaczepnych: atakować z góry. Nie mogłem tego zrobić. Ta możliwość była przede mną zamknięta. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy sporządzono izraelską listę, brytyjska SAS opracowała metody zjeżdżania na linach z dachów i wdzierania się przez okna do pomieszczeń na wyższych piętrach, a także włamywania się przez same dachy i wysadzania ścian między sąsiadującymi ze sobą strycharzami. Szybkie, dramatyczne i na ogół gwarantujące sukces. Fajna akcja, jeśli ma się wsparcie z powietrza. Ja nie miałem. Byłem skazany na podejście piechotą. Przynajmniej na razie.

434

Otworzyłem drzwi na klatkę schodową. Malutki podest miał może trzydzieści na trzydzieści cali. Bezpośrednio przede mną, dość blisko, by ich dotknąć, były drzwi prowadzące na ulicę, te z pojedynczym dzwonkiem, oklejone policyjną taśmą.

Schody były wysokie i wąskie. W połowie piętra skręcały o sto osiemdziesiąt stopni i od tego miejsca były niewidoczne.

W kieszeni zawibrowała mi komórka.

Wyciągnąłem ją i sprawdziłem, kto dzwoni. Numer zastrzeżony. Włożyłem ją do kieszeni i przestała wibrować.

Ruszyłem po schodach na górę.

79

Najbezpieczniejszym sposobem wejścia po zakręcających w połowie schodach jest wspinanie się tyłem, ze wzrokiem utkwionym w górę, na szeroko rozstawionych nogach. Tyłem i ze wzrokiem utkwionym w górę, ponieważ jeśli pojawi się jakiś przeciwnik, trzeba być do niego zwróconym twarzą. Na szeroko rozstawionych nogach, ponieważ schody częściej skrzypią pośrodku niż po bokach. Wspiąłem się w ten sposób do połowy piętra, po czym przesunąłem się i pokonałem drugą połowę, idąc przodem. Podest pierwszego piętra był dwa razy większy od tego na parterze, co nie oznacza jednak, że duży. Trzydzieści na sześćdziesiąt cali. Jedne drzwi po lewej, jedno po prawej i dwoje na wprost. Wszystkie pozamykane. Stałem bez ruchu. Gdybym był Lilą, umieściłbym po jednym facecie w każdym z pomieszczeń wychodzących na wprost. Kazałbym im nasłuchiwać z wyciągniętą bronią i kiedy usłyszą intruza, otworzyć drzwi i równolegle go ostrzelać. Mogli mnie załatwić, kiedy wchodziłem i kiedy schodziłem. Ale nie byłem Lilą, a ona nie była mną. Nie miałem pojęcia, jak rozlokowała swoje siły. Mogłem tylko przypuszczać, że w miarę ich topnienia zechce trzymać pozostałych bojowników blisko siebie. A to oznaczało, że będą na drugim piętrze, nie na pierwszym. Ponieważ wcześniej zaobserwowałem ruch w oknie na trzecim piętrze.

436

Ściśle biorąc, na trzecim piętrze po lewej stronie, patrząc z zewnątrz. To oznaczało, że pokój Liii jest po prawej stronie, patrząc od środka. Wątpiłem, by rozkład pomieszczeń na wyższych piętrach różnił się od tego na pierwszym. To był tani, utylitarny budynek. Nie było w nim miejsca na indywidualne fanaberie. A zatem po obejrzeniu pomieszczeń na pierwszym piętrze powinienem wiedzieć, co czeka mnie dwa piętra wyżej. Będę znał ich rozkład.

Wcisnąłem lekko spust MP5 i położyłem na klamce dłoń w rękawiczce. Nacisnąłem ją.

Poczułem, jak zwalnia się zatrask.

Otworzyłem drzwi.

Pusty pokój.

A właściwie pusta i częściowo wybebeszona kawalerka. Tak samo długa jak jadalnia restauracji na dole, ale tylko w połowie tak szeroka. Długie wąskie pomieszczenie. Szafa z tyłu, łazienka, aneks kuchenny i pokój dzienny. Żeby poznać rozkład, wystarczyło mi jedno spojrzenie, ponieważ wszystkie ścianki działowe zostały usunięte. Zostały po nich tylko słupki. W łazience były nadal urządzenia sanitarne, dziwnie odsłonięte za starymi dwucalowymi kantówkami podobnymi do żeber albo prętów klatki. Sprzęt kuchenny nie został

wymontowany. Podłoga wyłożona była sosnowymi klepkami w pokoju dziennym, staroświecką mozaiką w łazience i linoleum w kuchni. Całe pomieszczenie cuchnęło gryzoniami i zgniłym tynkiem. Okno wychodzące na ulicę było czarne od kopcia i częściowo zasłonięte ukośnymi schodami przeciwpożarowymi.

Podszedłem cicho do okna. Schody przeciwpożarowe były standardowe. Z wąskiej drabinki schodziło się na wąski żelazny podest zamontowany bezpośrednio pod oknem. Za podestem leżała przeciwwaga gotowa opaść ku chodnikowi pod ciężarem uciekającej osoby. Okno otwierało się do góry. Po całkowitym podniesieniu niższego panelu blokowało się go prostą mosiężną zasuwką. Niższy panel miał mosiężne uchwyty podobne do tych, które widuje się w starych szafkach na akta. Uchwyty, podobnie jak okienne ramy, były wielokrotnie malowane.

437

Odblokowałem zasuwkę, wsadziłem po trzy palce pod każdy z uchwytów i pchnąłem okno do góry. Rama podniosła się o cal i zacięła. Pchnąłem ją mocniej. Prawie tak samo mocno, jak pchałem w górę klatki w podziemiach remizy strażackiej. Rama, dygocząc, przesuwiała się cal po calu do góry, zacinając się z prawej i lewej strony, przez cały czas stawiając mi opór. Kiedy wsadziłem pod nią ramię i wyprostowałem nogi, przesunęła się o kolejne osiem cali do góry i na dobre zablokowała. Cofnąłem się o jeden krok. Owiąło mnie nocne powietrze. Otwór miał mniej więcej dwadzieścia cali wysokości.

Więcej niż trzeba.

Wystawiłem na zewnątrz jedną nogę, przecisnąłem się na zewnątrz i wystawiłem drugą. W kieszeni zawibrowała mi komórka.

Zignorowałem ją.

Powoli i cicho zacząłem się wspinać szczebel po szczeblu po żelaznej drabince. W połowie drogi moja głowa znalazła się na wysokości parapetów drugiego piętra i mogłem zobaczyć oba frontowe okna.

W obu zasunięto zasłony. Stary materiał koloru kopcia za pobrudzonymi kopciami szybami. W środku nie paliło się światło. Żadnych dźwięków. Żadnych śladów aktywności.

Odwróciłem się i spojrzałem na ulicę. Brak przechodniów. Brak samochodów.

Ruszyłem dalej na górę. Na trzecie piętro. Zobaczyłem to samo. Brudne szyby, zasunięte zasłony. Kucałem dość długo pod oknem, za którym wcześniej widziałem jakiś ruch. Albo wydawało mi się, że go widzę. Nic nie usłyszałem i nic nie wyczułem.

Wdrapałem się na czwarte piętro. Było inne. W oknach nie było zasłon. Puste pokoje. Podłogi były poplamione, sufity ugięły się i przechylały. Przeciekała przez nie deszczówka.

Okna na czwartym piętrze były zamknięte. Za pomocą takich samych mosiężnych zasuwek jak te, które widziałem niżej. Dostać się do środka mogłem, wyłączając szyby. Co wiązało się z hałasem. Byłem gotów narobić hałasu, ale jeszcze nie teraz. Chciałem go narobić w odpowiednim momencie.

438

Przesunąłem pasek karabinu tak, że MP5 zawisł mi na plecach, postawiłem stopę na parapecie okna, stanąłem na nim i złapałem za kruszący się gzyms wysoko nad głową. Następnie podciągnąłem się do góry. Nie wyglądało to zbyt elegancko. Nie jestem akrobatą ani gimnastykiem. Ciężko dysząc, wdrapałem się na dach i ległem na nim z twarzą zanurzoną w chwastach. Przez sekundę leżałem, łapiąc oddech, a potem uklęknałem i poszukałem wzrokiem wjazdu. Zobaczyłem go w odległości jakichś czterdziestu stóp, w miejscu, gdzie według mnie powinna znajdować się klatka schodowa. Miał kształt prostej, pokrytej ołowiem drewnianej skrzyni z zawiasami po jednej stronie. Prawdopodobnie zamkniętej od dołu na skobel i kłódkę. Kłódka powinna być mocna, ale skobel przyśrubowano do ramy, która z pewnością przegniła pod wpływem opadów i ze starości.

Nie powinna stanowić przeszkody.

Podstawowa zasada taktyczna wszystkich działań zaczepnych: atakuj z wyższej pozycji.

80

Ołowiana osłona wokół kłapy włazu została wyklepana młotkiem, tak żeby nie było na niej żadnych ostrych krawędzi. Wsunąłem palce w rękawiczce pod krawędź kłapy naprzeciwko zawiasów i pociągnąłem. Bez rezultatu. Zabrałem się więc do tego na serio. Dwie ręce, osiem palców, przygięte nogi, głęboki oddech. Zamknąłem oczy. Nie chciałem myśleć o Peterze Mo-linie. Zamiast tego przypomniałem sobie obłąkany uśmiech Liii Hoth zaraz po tym, jak sprawdziła puls kabulskiego taksówkarza i odkryła, że nie żyje.

Szarpnąłem klapę.

I wydarzenia przyspieszyły nagle biegu.

Miałem nadzieję, że śruby skobla wypadną po jednej albo drugiej stronie ramy. One jednak wypadły z obu stron. Kłódka z wciąż przymocowanym do niej skoblem spadła i walnęła głośno o drewnianą podłogę. Głośny, potężny, wyraźny dźwięk. Głęboki, czysty i odbijający się echem. A ułamek sekundy później brzęk samego skobla i sześciu oddzielnych śrub.

Niedobrze.

Bardzo niedobrze.

Otworzyłem klapę i przykucnąłem na dachu, obserwując i nasłuchując.

440

Przez sekundą nic się nie działo.

A potem usłyszałem, jak na trzecim piętrze otwierają się drzwi.

Wycelowałem w dół z MP5.

Nic nie działo się przez kolejną sekundę. W końcu na schodach pojawiła się czyjaś głowa.

Ciemne włosy. Mężczyzna. W rękę trzymał pistolet. Zobaczył leżącą na podłodze kłódkę.

Wyobraziłem sobie obracające się w jego głowie kółka. Kłódka, podłoga, śruby, spadły z góry. Podniósł wzrok. Zobaczyłem jego twarz. Numer jedenasty na liście Springfielda.

Zobaczył mnie. Chmurę nade mną oświetlała luna miasta. Domyśliłem się, że całkiem

wyraźnie widać mój kontur. Facet się zawahał. Ja nie. Strzeliłem mu mniej więcej pionowo w czubek głowy. Trzy kule. Krótkie stłumione warknięcia. Facet padł na podest ze stukotem

butów i kończyn i na koniec dwoma głośnymi łupnięciami, kiedy najpierw to, co zostało z

jego głowy, a potem jego pistolet walnęły o klepki. Przez kolejną długą sekundę

obserwowałem schody, a potem skoczyłem przez właz na dół i wylądowałem na zgiętych

nogach obok trupa.

Kolejny głośny hałas. Etap cichego skradania się miałem już za sobą.

Jedenaście pocisków wystrzelonych, dziewiętnaście w zapasie. Zostało dwóch facetów.

Plus dwie panie Hoth.

W kieszeni zawibrowała mi komórka.

Nie teraz, Lila.

Podniosłem z podłogi pistolet faceta, otworzyłem drzwi do pokoju z lewej strony i schowałem się w ciemności. Oparłem ramię o ścianę i spojrzałem w stronę schodów.

Nikt po nich nie wchodził.

Pat.

Pistoletem, który zabrałem martwemu facetowi, był SIG-Sauer P220 z założonym na lufę grubym tłumikiem. Szwajcarskiej produkcji. Na dziewięćmilimetrowe naboje Parabellum w odłączanym magazynku. Takie same jak te, których używałem. Wydłubałem pociski z magazynka, wrzuciłem je luzem do

441

kieszeni, położyłem pusty pistolet na podłodze, wyszedłem ponownie na podest i zajrzałem do kawalerki po prawej stronie. Była pozbawiona mebli i pusta. Obszedłem ją, przekonując się, że ma taki sam rozkład jak ta na pierwszym piętrze. Szafa, łazienka, kuchnia, pokój dzienny. Stałem w miejscu, gdzie powinien być środek pokoju dziennego i tupnąłem

mocno w podłogę. Domyślałem się, że Lila stoi dokładnie pode mną i nasłuchuje. Chciałem nią wstrząsnąć do głębi, podziałać na gadzią część jej mózgu. Wzbudzić najgorszy ze wszystkich lęk. Coś tam jest na górze.

Tupnąłem ponownie.

Otrzymałem odpowiedź.

Miała postać pocisku, który przeszedł przez podłogę trzy stopy na prawo od mnie, przedziurawił klepki, wbił się w sufit nade mną i zostawił obłoczek pyłu i dymu w powietrzu. Nie usłyszałem wystrzału. Wszyscy mieli tłumiki.

Posłałem potrójną serię w dół, prosto przez tę samą dziurę, i przeszedłem tam, gdzie, jak się domyślałem, była ich kuchnia.

Czternaście pocisków wystrzelonych. Szesnaście zostało w magazynku. Dziewięć miałem w kieszeni.

Kolejny pocisk przestrzelił podłogę. Siedem stóp ode mnie. Odpowiedziałem ogniem. One też. Strzeliłem jeszcze raz i ponieważ wyczułem, że zrozumiały zasady gry, wycofałem się ponownie na podest u szczytu schodów.

Gdzie odkryłem, że doszły do takiego samego wniosku: że zaczynam wpadać w rytm. Na górę skradał się kolejny facet. Numer drugi na liście Springfielda. Też miał w ręku SIG-a P220. Z tłumikiem. Zobaczył mnie pierwszy. Strzelił i chybił. Ja nie chybiłem. Przeszyłem pierwszym pociskiem grzbiet jego nosa, a następnymi czoło. Krew i mózg zachlapały ścianę za jego plecami i runął w dół tam, skąd przyszedł.

Jego pistolet poleciał razem z nim.

Łuski odbiły się z brzękiem od podłogi.

Dwadzieścia trzy pociski wystrzelone. Siedem w magazynku, dziewięć luzem.

442

Został jeden facet. Plus dwie panie Hoth.

W kieszeni zawibrowała mi komórka.

Za późno na targowanie się, Lila.

Zignorowałem ją. Wyobraziłem sobie, jak kuca piętro niżej. I Swietlanę przy jej boku. Dzielił mnie od nich jeden facet. Jak go wykorzystają? Nie były głupie. Były spadkobierczyniami długiej, walecznej tradycji. Od dwustu lat kluczyły, wycofywały się i pozorowały atak w górzystym terenie. Wiedziały, co robią. Nie wysłały kolejnego faceta na górę po schodach. To było bezowocne. Spróbują mnie zająć od tyłu. Wyślą go na górę po schodach przeciwpożarowych i zadzwonią do mnie, żeby odwrócić moją uwagę. Facet będzie mógł wtedy wycelować przez szybę i strzelić mi w plecy.

Kiedy?

Albo natychmiast, albo znacznie później. Żeby mnie zaskoczyć lub zmęczyć czekaniem.

Postanowiły zrobić to natychmiast.

Komórka zawibrowała w mojej kieszeni.

Wszedłem do kawalerki po lewej stronie i sprawdziłem widok przez okno. Z miejsca, gdzie stałem, żelazną drabinką wchodziło się z prawej na lewą stronę. Powinienem zobaczyć głowę faceta, kiedy będzie się wspinał. To dobrze. Ale kąt widzenia nie był najlepszy. Ulica była wąska. Dziewięćmilimetrowe parabellum są pociskami do broni krótkiej. Uważa się je za odpowiednie do walki w mieście. W przeciwieństwie do pocisków karabinowych powinny raczej utkwic w celu i nie polecieć dalej. W jeszcze większym stopniu dotyczyło to pocisków z prędkością pod-dźwiękową. Ale nie ma na to stuprocentowej gwarancji. A po drugiej stronie ulicy byli niewinni ludzie. Za oknami sypialni spały dzieci. Mógł je trafić pocisk, który przeleci na wylot przez napastnika. Albo zmieni w nieprzewidywalny sposób kierunek. Mógł je trafić rykoszet. I z całą pewnością mógł je trafić pocisk, który chybił.

tW każdej chwili mogło dojść do strat wśród ludności cywilnej.

443

Przeszedłem na palcach przez pokój i przywarłem do frontowej ściany. Wyjrzałem na zewnątrz. Nic. Wyciągnąłem rękę i przesunąłem zasuwkę przy oknie. Złapałem za uchwyty i spróbowałem je podnieść. Rama się zacięła. Ponownie wyjrzałem na zewnątrz. Nadal nic. Stałem twarzą do szyby, złapałem za uchwyty i pociągnąłem. Okno przesunęło się w górę, zacięło, a potem poszło w górę tak gwałtownie, że pękła w nim szyba.

Ponownie stanąłem przy ścianie.

Intensywnie nasłuchiwałem.

Usłyszałem stłumione szuranie gumowej podeszwy o metal. Regularny cichy rytm. Facet wspinał się szybko, ale nie biegł. Pozwoliłem mu wejść na czwarte piętro. Pozwoliłem pokonać całą drogę. Pozwoliłem wsadzić głowę i ramiona do środka. Ciemne włosy, ciemna skóra. Numer piętnasty z listy Springfielda. Wycelowałem równoległe do ściany budynku. Facet spojrział w lewo. Spojrział w prawo. Zobaczył mnie. Pociągnąłem za spust. Potrójna seria. Facet ruszył głową.

Chybiłem. Być może pierwszy albo ostatni z trzech pocisków oderwał mu ucho, ale facet był nadal żywy i nie stracił przytomności. Strzelił na oślep i wycofał się na zewnątrz. Usłyszałem, jak pada na wąski żelazny podest.

Teraz albo nigdy.

Ruszyłem za nim. Staczał się głową w dół po schodach. Dotarł w ten sposób z powrotem na trzecie piętro, obrócił się na plecy i podniósł broń z takim trudem, jakby ważyła sto funtów. Zszedłem za nim po drabinie, odchyliłem się od budynku i posłałem potrójną serię prosto w jego twarz. Jego pistolet spadł, obijając się o metalowe szczeble, i zaklinował się dziesięć stóp nad chodnikiem.

Nabrałem powietrza w płuca.

I wypuściłem je.

Sześciu mężczyzn zabitych. Siedmiu aresztowanych. Czterech wyjechało. Dwóch na zamkniętym oddziale. Dziewiętnastu z dziewiętnastu.

Okno na trzecim piętrze było otwarte. Zastony odsunięte. To

444

była kawalerka. Zapuszczona, ale niewybebeszona. Lila i Swietłana Hoth stały razem za kuchennym blatem.

Dwadzieścia dziewięć pocisków wystrzelonych. Jeden został.

Usłyszałem ponownie w głowie głos Liili. „Trzeba zachować ostatni pocisk dla siebie, bo nikt nie chce dostać się żywcem w ich ręce, zwłaszcza w ręce kobiet”.

Przebieżłem przez parapet i wskoczyłem do pokoju.

81

Kawalerka miała taki sam rozkład jak na pierwszym piętrze. Pokój dzienny z przodu, w głębi nisza kuchenna, łazienka oraz szafa. Ścianki działowe nie zostały usunięte. Paliły się dwie lampy. Przy ścianie w pokoju dziennym stało posłane łóżko. Plus dwa drewniane krzesła. Nic więcej. W malutkim aneksie kuchennym dostrzegłem dwa równoległe blaty i wiszącą szafkę. Lila i Swietłana stały za blatem, dotykając się biodrami, Swietłana po lewej, w brązowej podomce, Lila po prawej, w czarnych bojówkach i białym T-shircie. T-shirt był bawełniany, bojówki z nylonowego ripstopu. Domyśliłem się, że będą szeleściły przy każdym ruchu.

Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Długie ciemne włosy, jasnoniebieskie oczy, idealna skóra. Zagadkowy uśmiezek. W całej scenie było coś osobliwego. Tak jakby lubiący eksperymenty fotograf umieścił swoją najlepszą modelkę w szmatławym miejskim otoczeniu. Wycelowałem do nich z czarnego, wrednego MP5. Był cały gorący. Śmierdział prochem strzelniczym, smarem i dymem. Czuję ten zapach całkiem wyraźnie.

— Połóżcie ręce na blacie — powiedziałem.

Postępowały mnie. Zobaczyłem cztery dłonie. Dwie brązowe i sękaty, dwie jaśniejsze i szczuplejsze. Rozpostarły się niczym rozgwiazdy, dwie kanciaste i kwadratowe, dwie dłuższe i bardziej delikatne.

446

— Cofnijcie się, opierając się na rękach.

Postępowały mnie. Dzięki temu stały się mniej mobilne. Stanowiły mniejsze zagrożenie.

— Nie jesteście matką i córką — powiedziałem.

— Nie, nie jesteśmy — potwierdziła Lila.

— Więc kim jesteście?

— Nauczycielką i uczennicą.

— To dobrze. Nie chciałbym zastrzelić córki na oczach matki. Albo matki na oczach córki.

— Ale zastrzeliłbyś uczennicę na oczach nauczycielki?

— Może zająłbym się najpierw nauczycielką.

— Więc zrób to. Stałem nieruchomo.

— Jeśli mówisz serio, ty właśnie powinienesz to zrobić — powiedziała Lila.

Obserwowałem ich ręce. Wypatrywałem oznak napięcia albo wysiłku, poruszających się ścięgien, zwiększonego nacisku palców. Oznak, że gdzieś się wybierają. Nie było takich oznak. W kieszeni zawibrowała mi komórka. W panującej w pokoju ciszy słycać to było całkiem wyraźnie. Bzyczenie, szum, cichy chrzęst. Rytmiczny puls. Telefon podskakiwał i obijał się o moje udo.

Popatrzyłem na ręce Lili. Leżały płasko na blacie. Nieruchome. Puste. Bez telefonu.

— Może powinienesz odebrać — powiedziała. Przełożyłem pistolet do lewej ręki i wyciągnąłem komórkę.

Numer zastrzeżony. Otworzyłem klapkę i przystawiłem telefon do ucha.

— Reacher? — odezwała się Theresa Lee.

— Co jest?

— Gdzieś się, do diabła, podziewał? Próbuję się do ciebie dodzwonić od dwudziestu minut.

— Byłem zajęty.

— Gdzie jesteś?

447

— Skąd masz ten numer?

— Zadzwoń na moją komórkę, pamiętasz? Numer został w spisie połączeń.

— Dlaczego masz zastrzeżony numer?

— Bo dzwonię z komisariatu. Z telefonu stacjonarnego. Gdzie, do diabła, jesteś?

— O co chodzi?

— Słuchaj uważnie. Skontaktował się z nami Departament Bezpieczeństwa Krajowego.

Jeden z Tadżyków nie zdążył na samolot w Stambule. Poleciał zamiast tego przez Londyn do Waszyngtonu. Lila ma dwudziestu ludzi, nie dziewiętnastu.

Lila Hoth przesunęła się i dwudziesty facet wyszedł z łazienki.

82

Naukowcy mierzą czas z dokładnością do pikosekundy. Jednej bilionowej części sekundy.

Uważają, że w tak krótkim interwale mogą się zdarzyć najróżniejsze rzeczy. Mogą narodzić się wszechświaty, cząstki mogą przyspieszyć biegu, mogą rozpaść się atomy. Jeśli chodzi o mnie, w ciągu tych pierwszych kilku pikosekund wydarzyło się dużo rzeczy. Po pierwsze, upuściłem telefon, który miał nadal otwartą klapkę, nadal był aktywny. Kiedy znalazł się na wysokości mojego ramienia, przypomniałem sobie fragment rozmowy z Lilą. Którą odbyłem przez ten sam telefon, przed paru minutami, stojąc na Madison Avenue. „Zostało ci tylko sześciu ludzi”, powiedziałem. A ona chciała coś odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Nie,

zostało mi jeszcze siedmiu, miała zamiar sprostować. Tak jak wcześniej, kiedy chciała powiedzieć: To nie jest blisko mnie. Ale powstrzymała się. Czegoś się nauczyła.

Przynajmniej raz się nie wygadała.

A ja nie dość uważnie jej słuchałem.

Kiedy telefon znalazł się na wysokości mojego biodra, skupiłem się na dwudziestym facecie. Nie różnił się specjalnie od poprzednich czterech lub pięciu. Mógł być ich bratem albo kuzynem i pewnie nim był. Na pewno wyglądał znajomo. Mały, żylasty, z ciemnymi włosami i ogorzałą skórą, i ciałem, którego

449

język wyrażał czujność i agresję. Ubrany w ciemne spodnie i ciemną bluzę od dresu. Praworęczny. W rękę trzymał pistolet z tłumikiem. W tym momencie go podnosił, jego lufa zataczała długi łuk. Palec męczyzny zaciskał się na spuście. Miał zamiar strzelić mi w pierś. Trzymałem MP5 w lewej ręce. Magazynek był pusty. Ostatni pocisk tkwił już w komorze. Strzał musiał być celny. Wolałbym przełożyć broń do prawej ręki. Nie chciałem strzelać z gorszej ręki, celując gorszym okiem.

Nie miałem wyboru. Przełożenie broni z ręki do ręki trwałoby pół sekundy. Pięćset miliardów pikosekund. Zbyt długo. Pistolet faceta był już prawie w odpowiedniej pozycji. Kiedy telefon znalazł się na wysokości moich kolan, moja prawa dłoń dotknęła lufy od dołu. Obróciłem się, wyprostowałem i przyciągnąłem do piersi uchwyt pistoletu. Moja prawa dłoń objęła lufę, lewy palec wskazujący zacisnął się z wystudiowanym spokojem na spuście. Lila zaczęła się przesuwać w stronę pokoju. Mój palec wcisnął do końca spust, broń wystrzeliła i ostatni pocisk trafił dwudziestego faceta w twarz.

Telefon uderzył o podłogę. Hałas był tak samo głośny jak kiedy uderzyła o nią kłódka.

Ostatnia łuska wypadła z zamka i potoczyła się z brzękiem po pokoju.

Dwudziesty facet padł z przestrzelonym mózgiem, martwy, zanim jego głowa, kończyny i pistolet dotknęły podłogi.

Strzał w głowę. Celny. Całkiem niezłe jak na lewą rękę. Tyle że celowałem w tułów.

Lila przemieszczała się dalej. Sunąc w bok, pochylając się i po coś sięgając.

Po chwili wyprostowała się z pistoletem martwego faceta. Kolejny SIG P220, kolejny tłumik. Produkcji szwajcarskiej.

Z odłączanym magazynkiem na dziewięć pocisków.

Skoro skoczyła, żeby go podnieść, była to jedyna broń palna w tym pomieszczeniu. Wynikało z tego, że przynajmniej trzy razy strzelono z niej w sufit.

450

Zostało w niej maksimum sześć pocisków. Sześć przeciwko zeru. Lila wycelowała we mnie z pistoletu. Ja wycelowałem w nią z mojego.

— Jestem szybsza — powiedziała.

— Tak sądzisz? — odparłem.

— Twój pistolet jest pusty — powiedziała stojąca po mojej lewej stronie Swietłana.

— Mówisz po angielsku? — zapytałem, zerkając na nią.

— Dość dobrze.

fc — Załadowałem go na gorze.

— Gówno prawda. Widzę go stąd. Masz selektor ustawiony na potrójne serie, ale strzeliłeś tylko raz. Więc to był twój ostatni pocisk.

Staliśmy tak naprzeciwko siebie przez chwilę, która wydawała się bardzo długa. Trzymany przez Lilę P220 nawet nie zadrżał. Stała pięć jardów ode mnie. Z leżącego za nią faceta wyciekały na podłogę płyny fizjologiczne. Swietłana była w kuchni. W powietrzu unosiły się najróżniejsze zapachy. Od otwartego okna szedł przeciąg. Wiatr hulał po pokoju i wiał po schodach i przez otwarty właz na dachu.

— Odłóż broń — powiedziała Swietłana.

- Chciecie dostać nośnik pamięci — przypomniałem jej.
- Nie masz go.
- Ale wiem, gdzie jest.
- My też.

Nie odpowiedziałem.

— Nie masz go, ale wiesz, gdzie jest — powiedziała Swietłana. — A zatem doszedłeś do tego drogą dedukcji. Myślisz, że jesteś wyjątkowo utalentowany? Uważasz, że inni nie potrafią posłużyć się podobną dedukcją? Wszyscy znamy te same fakty. Możemy dojść do tych samych wniosków.

Nie odezwałem się.

451

— Kiedy tylko powiedziałeś nam, że wiesz, gdzie jest nośnik, zaczęliśmy się zastanawiać — rzekła Swietłana. — Zmobilizowałeś nas do tego. Za dużo gadasz, Reacher. Dzięki temu możemy się ciebie pozbyć.

— Odłóż broń — powiedziała Lila. — Miej choć trochę godności. Nie stój jak idiota, trzymając w ręku niezaladowany pistolet.

Nie poruszyłem się.

Lila obniżyła lufę pistoletu i strzeliła w podłogę między moimi stopami. Uplasowała pocisk dokładnie pośrodku między czubkami butów. To nie był łatwy strzał. Świetnie radziła sobie z bronią. Z klepek posypały się drzazgi. Skrzywiłem się lekko. Tłumik SIG-a był głośniejszy od tłumika MP5. Huk był taki, jakby ktoś nie upuścił, ale rzucił na podłogę książkę telefoniczną. Smuzka dymu uniosła się z miejsca, gdzie sośnina zatliła się pod wpływem tarcia. Mosięzna łuska naboju zatoczyła łuk i potoczyła się z brzękiem po podłodze.

Zostało jej pięć pocisków.

— Odłóż broń — powiedziała.

Przełożyłem pasek MP5 przez głowę i trzymając pistolet za uchwyt, opuściłem rękę. Nie mógł mi się dłużej przydać, chyba że w charakterze ważącej siedem funtów metalowej maczugi. Wątpiłem jednak, bym zdołał podejść do którejkolwiek z nich i jej użyć. A nawet gdybym zdołał, wolałem walkę gołymi rękoma. Siedmifuntowa metalowa maczuga jest dobra, ale nie tak dobra jak ważąca dwieście pięćdziesiąt funtów ludzka maczuga.

— Rzuć go tutaj — powiedziała Swietłana. — Ale ostrożnie. Jeśli trafisz którąś z nas, zginiesz.

Rozkołysałem lekko broń i rzuciłem ją. Przeleciała leniwie w powietrzu i odbiła się lufą od przeciwległej ściany.

— Teraz zdejmij kurtkę — poleciała Swietłana.

Lila wycelowała z pistoletu w moją głowę.

Wykonałem polecenie. Zdjąłem kurtkę i rzuciłem ją obok MP5. Swietłana wyszła zza kuchennego blatu i przetrząsnęła jej

452

kieszenie. Znalazła dziewięć nabojów i częściowo zużytą rolkę taśmy. Postawiła dziewięć nabojów na sztorc na blacie. Obok położyła taśmę.

— Rękawiczka — powiedziała.

Posłuchałem jej. Zdjąłem rękawiczkę i rzuciłem ją w ślad za kurtką.

— Buty i skarpetki — powiedziała.

Podskakując najpierw na jednej, a potem na drugiej nodze, i opierając się o ścianę, żeby nie stracić równowagi, rozwiązałem sznurowadła, zdjąłem buty i ściągnąłem skarpetki, po czym rzuciłem je po kolei na stertę.

— Teraz podkoszulek — poleciała Lila.

— Zdejmę go, jeśli ty też zdejmiesz — odparłem.



Lila opuściła rękę o dziesięć stopni i wpakowała kolejną kulę w podłogę między moimi nogami. Huk tłumika, drzazgi idące z podłogi, dym, brzęk zużytej łuski.

Zostały jej cztery pociski.

— Następnym razem strzelę ci w nogę — powiedziała.

— Podkoszulek — ponagliła mnie Swietłana.

Po raz drugi w ciągu ostatnich pięciu godzin zdjąłem T-shirt na żądanie kobiety. Oparłem się plecami o ścianę i rzuciłem podkoszulek na stertę. Lila i Swietłana przez chwilę przyglądały się moim bliznom. Chyba im się spodobały. Zwłaszcza ta po szrapnelu. Lila wysunęła z ust czubek języka, różowy, wilgotny i spiczasty.

— Teraz spodnie — powiedziała Swietłana.

— Twój pistolet jest chyba pusty — stwierdziłem, patrząc na Lilę.

— Nie jest — odparła. — Zostały mi cztery kule. Na dwie ręce i dwie nogi.

— Zdejmij spodnie — powtórzyła Swietłana.

Rozpiąłem guzik i suwak i ściągnąłem z nóg sztywny denim.

Wysunąłem nogi z nogawek. Opierając się plecami o ścianę, kopnąłem spodnie na stertę.

Swietłana je przeszukała. Sprawdziła kieszenie. Położyła moje rzeczy na kuchennym blacie obok

453

dziewięciu nabojów i rolki taśmy. Moje pieniądze, w tym kilka monet. Stary nieważny paszport. Kartę bankomatową. Kartę miejską. Wizytówkę Theresy Lee. I moją składaną szczoteczkę do zębów.

— Niewiele tego — stwierdziła.

— Wszystko, czego potrzebuję — odparłem. — Nic, co jest niepotrzebne.

— Jesteś biednym człowiekiem.

— Nieprawda, jestem bogaty. Posiadanie wszystkiego, czego się potrzebuje, to definicja zamożności.

— No to spełni się twoje amerykańskie marzenie. Umrzesz bogaty.

— Wszyscy mają taką możliwość.

— Tam, skąd pochodzimy, mamy więcej od ciebie.

— Nie lubię kóz.

W chłodnym wilgotnym pomieszczeniu zapadła cisza. Stałem bez ruchu, nie mając na sobie nic poza nowymi białymi bokserkami. P220 tkwił nieruchomo w dłoni Lili. Mięśnie jej ręki były napięte niczym cienkie liny. Z leżącego przy łazience martwego faceta nadal wyciekały różne płyny. Za oknem była piąta rano i miasto zaczynało się budzić.

Swietłana zwinęła w tobołek moje ubranie, buty i broń i cisnęła to wszystko za blat. Postawiła za nim dwa drewniane krzesła. Podniosła z podłogi mój telefon, zamknęła klapkę i odrzuciła go na bok. Robiła nam miejsce. Uprzątała je. Pokój dzienny miał mniej więcej dwadzieścia na dwanaście stóp. Stałem, opierając się plecami o jedną z dłuższych ścian, w połowie jej długości. Lila obeszła mnie, celując z pistoletu i stanęła w przeciwnym rogu przy oknie.

Miałem ją teraz trochę z boku.

Swietłana przeszła do kuchni. Usłyszałem, jak otwiera szufladę. Usłyszałem, jak ją zamyka, Zobaczyłem, że wraca.

Niosła dwa noże.

Długie rzeźnicze narzędzia. Do patroszenia, filetowania i oddzielania mięsa od kości. Miały czarne rączki i paskudne, stalowe, cienkie jak opłatek ostrza. Swietłana rzuciła jeden z nich Lili,

454

która złapała go wprawnym ruchem w locie. Swietłana stanęła w drugim rogu pokoju. Wzięły mnie w dwa ognie. Lila stała czterdzieści pięć stopni na lewo, jej nauczycielka czterdzieści pięć stopni na prawo ode mnie.

Lila obróciła się w bok i wbiła mocno lufę P220 w spojenie między boczną i frontową ścianą. Zwolniła kciukiem zatrask pod kolbą i magazynek wypadł z niej na podłogę w rogu pokoju. Widać w nim było trzy naboje. A zatem czwarty wciąż był w komorze. Lila rzuciła pistolet w drugi róg pokoju, za Swietlanę. Pistolet i magazynek leżały teraz w odległości dwudziestu stóp od siebie, jeden za jedną, drugi za drugą kobietą.

— To będzie coś w rodzaju poszukiwania skarbu — powiedziała Lila. — Pistolet nie wypali bez magazynka. Żeby nie dopuścić do przypadkowego strzału, gdyby nabój został przypadkowo w komorze. Szwajcarzy to bardzo ostrożni ludzie. Więc musisz podnieść z podłogi pistolet, a potem magazynek. Albo na odwrót. Ale najpierw oczywiście musisz nas ominąć.

Nie odezwałem się.

— Jeśli ci się to uda mimo odniesionych ran, radzę zachować pierwszy pocisk dla siebie — powiedziała, po czym uśmiechnęła się i dała krok do przodu. Swietłana zrobiła to samo. Trzymały noże nisko, ściskając je kciukami na górze i resztą palców na dole. Niczym członkinie ulicznego gangu. Niczym specjalistki.

Długie ostrza błysnęły w świetle.

Nie ruszałem się z miejsca.

— Sprawia nam to większą przyjemność, niż możesz sobie wyobrazić — powiedziała Lila. Nie zareagowałem.

— Zwłoka jest dobra — rzekła Lila. — Zaostrza apetyt.

Nie ruszałem się z miejsca.

— Ale jeśli nam się znudzi czekanie, to my przyjdziemy do ciebie.

Nie odpowiedziałem. Nie poruszyłem się.

A potem sięgnąłem za siebie i wyciągnąłem mój benchmade 3300, który przymocowałem wcześniej taśmą do pleców.

83

Zwolniłem kciukiem ostrze, które wyskoczyło z rękojeści z dźwiękiem będącym czymś pośrednim między kliknięciem i łupnięciem. Dźwiękiem, który odbił się głośnym echem w cichym pokoju. I był niezbyt przyjemny. Nie lubię noży. Nigdy nie lubiłem. Nie mam do nich drygu.

Ale mam taki sam instynkt samozachowawczy jak pierwszy lepszy facet.

Może nawet większy.

Poza tym brałem udział w różnych burdach od piątego roku życia i jeśli w nich obrywałem, były to wyłącznie drobne porażki. I jestem facetem, który patrzy i uczy się. Obserwowałem bójki na noże na całym świecie. Na Bliskim Wschodzie, w Europie, w buszu otaczającym bazy na południu Stanów Zjednoczonych, na ulicach, w alejkach, pod barami i klubami bilardowymi.

Pierwsza zasada: nie daj się wcześniej ciachnąć. Nic nie osłabia bardziej niż upływ krwi.

Swietłana była ode mnie o ponad stopę niższa, gruba i szeroka i miała proporcjonalne do tej postury ręce. Lila była wyższa, bardziej giętka i poruszała się z większą gracją. Uznałem jednak, że mam przewagę, nawet uwzględniając, że ostrza ich noży są o sześć cali dłuższe od mojego.

Poza tym zmieniłem zasady gry i obie nadal były zaskoczone.

456

I jeszcze jedno: one walczyły dla przyjemności, a ja o życie.

Chciałem się dostać do kuchni, podszedłem więc tanecznym krokiem w stronę Swietłany, która blokowała mi drogę. Stojąc na palcach i trzymając nóż na wysokości kolan, zamarkowała uderzenie z lewej, a potem z prawej. Ja również trzymałem nóż nisko, żeby się dostosować. Zamachnęła się, ja się cofnąłem. Jej nóż świsnął koło mojego uda. Cofnąłem

brzuch, wysunąłem do przodu ramiona i walnąłem ją lewym hakiem, który musnął jej łuk brwiowy i trafił prosto w bok nosa.

Bardzo ją to zdumiało. Jak większość nożowników myślała, że sprawę załatwi czysta stal. Zapomniała, że ludzie mają dwie ręce.

Zatoczyła się do tyłu. Z lewej podeszła do mnie Lila. Z nisko opuszczonym nożem, którym dźgała powietrze. Z ustami otwartymi w brzydkim grymasie. Mocno się koncentrując.

Zrozumiała, że to nie gra. Zabawa się skończyła. Nachylała się do mnie i odchyłała, markowała uderzenia i cofała, przez cały czas w ruchu. Przez kilka chwil tańczyliśmy tak wokół siebie. Gorączkowe, gwałtowne, skrócone ruchy, zapach potu, kurzu i strachu, ich oczy utkwione w trzymanym przeze mnie nożu, moje przeskakujące bez przerwy między nimi.

Swietłana doskakiwała do nas i odskakiwała. Lila zaatakowała mnie, balansując na palcach.

Miałem cofnięte biodra i wysunięte do przodu ramiona. Zamachnąłem się nożem, celując w jej twarz. Potężny, konwulsyjny cios, jakbym miał zamiar rzucić piłkę na odległość czterystu stóp. Lila odchyliła się. Wiedziała, że jej nie trafię, ponieważ nie zamierzała na to pozwolić.

Swietłana wiedziała, że nie trafię Lili, ponieważ wierzyła w jej umiejętności.

Ja wiedziałem, że jej nie trafię, ponieważ wcale nie miałem zamiaru jej trafić.

Zatrzymałem rękę w połowie gwałtownego manewru, odwróciłem jego kierunek i ciąłem na odlew starszą kobietę. Trafiłem ją w czoło. Zaskakujące, mocne uderzenie. Poczułem, jak ostrze chrobocze o kość. Kosmyk włosów opadł jej na piersi.

457

Benchmark zachował się dokładnie tak, jak powinien. Stał D2. Kiedy upuścisz nad nią dziesięciodolarowy banknot, rozmienia go na dwie piątki. Pozioma, otwarta aż do kości rana znajdowała się dokładnie między linią włosów Swietłany i jej brwiami.

Kobieta zachwiała się i znieruchomiała.

Nie poczuła bólu. Jeszcze nie.

Rany czoła nigdy nie są śmiertelne. Ale mocno krwawią. W ciągu kilku sekund krew zalała jej oczy. Oślepiła ją. Gdybym miał na stopach buty, mógłbym ją zabić już teraz. Podciąć jej nogi i kopniakiem rozbić głowę na miazgę. Ale nie chciałem narażać kości stóp, kopiąc nimi to kłocowate ciało. Brak mobilności oznaczałoby dla mnie wyrok śmierci.

Odskokczyłem do tyłu.

Lila ruszyła prosto na mnie.

Cofnąłem biodra i uchyliłem się przed jej ostrzem. W lewo, potem w prawo. Robiąc to, uderzyłem plecami o ścianę. Zaczekałem, aż jej ręka znajdzie się na wysokości tułowia, i wtedy odwróciłem się bokiem, pchnąłem ją ramieniem i doskokczyłem z powrotem do Swietłany, która stała, zataczając się i próbując otrzeć krew z oczu. Odsunąłem jej rękę z nożem, ciachnąłem ją w szyję nad obojczykiem i cofnąłem się.

I wtedy chlasnęła mnie nożem Lila.

Już wcześniej zdała sobie sprawę z zasięgu moich ramion. Trzymając nóż palcami przy samym końcu rękojeści, skoczyła w moją stronę. Włosy powiewały jej w powietrzu, ramiona wysunęły się maksymalnie do przodu. Zależało jej na każdym calu, który mogła zyskać.

Zatrzymała się na sztywno wyprostowanej nodze, pochyliła i machnęła ostrzem, celując w mój brzuch poniżej pępka.

I udało się jej mnie dosięgnąć.

Paskudne cięcie. Mocny zamach, ostry jak brzytwa nóż. Paskudna i długa rana. Biegła ukośnie od miejsca poniżej pępka aż do gumki moich bokserów. Nie poczułem bólu. Jeszcze nie. Tylko krótki dziwny sygnał od mojej skóry komunikujący, że została przerwana.

458

Na ułamek sekundy zamarłem. Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało. A potem zrobiłem to, co robią zawsze, gdy ktoś zada mi ból. Nie dałem kroku w tył, lecz w przód. Niesiony siłą rozpędu nóż Lili minął moje biodro. Swoją trzymałem nisko. Ciachnąłem ją na odlew w udo,

wbijając głęboko ostrze, a potem odepchnąłem się stopą i uderzyłem ją w twarz lewą pięścią. Potężny, celny, ogłuszający cios. Zatoczyła się do tyłu, a ja podszedłem do Swietłany. Jej twarz była krwawą maską. Machała nożem w prawo i w lewo. Kiedy się odsoniła, ciąłem ją w wewnętrzną stronę prawego przedramienia. Aż do kości. Żyły, ścięgna i więzadła. Zawyla. Nie z bólu. On miał pojawić się później. Albo i nie. Zawyla ze strachu, bo było już po niej. Nie mogła użyć ręki. Obróciłem ją, waląc w bark i dźgnąłem w nerkę, wbijając czterociałowe ostrze aż po rękojeść i przekręcając je w ranie. To odpowiednie miejsce. W pobliżu nie ma żadnych żeber. Nie ma ryzyka, że nóż natrafi na kość i się zaklinuje. A przez nerki płynie sporo krwi. Przebiegają tamtędy ważne naczynia krwionośne. Zapytajcie każdego pacjenta poddającego się dializie. Przez nerki człowieka przepływa kilka razy dziennie cała jego krew. Galony krwi. Ze Swietłany miały teraz całe wypłynąć.

Padła na kolana. Lila próbowała zebrać myśli. Miała złamany nos. Diabli wzięli jej nieskazitelną urodę. Zaatakowała mnie. Zamarkowałem, że chcę odsunąć się w lewo i odsunąłem się w prawo. Tańczyliśmy wokół klęczącej Swietłany. Zatoczyliśmy dokoła niej pełen krąg. Zatrzymałem się w miejscu, w którym byłem na początku, i dałem nurka do kuchni. Stałem między blatami. Złapałem jedno z krzesel, które wstawiła tu Swietłana, i cisnąłem je lewą ręką w Lilę. Uchyliła się i przykucnęła, lecz mimo to trafiło ją w plecy. Wyszedłem z kuchni, złapałem Swietlanę za włosy, odciągnąłem jej głowę do tyłu, po czym pochyliłem się i poderżnąłem jej gardło. Od ucha do ucha. Nie było to łatwe, nawet przy użyciu wspaniałego ostrza benchmade. Musiałem ciągnąć i szarpać, rżnąć i kroić. Mięśnie, tłuszcz, twardą tkankę, więzadła. Stał zachrobotać o kość. Z przeciętej tchawicy dobiegały dziwne

459

gruzlicze dźwięki. Rzęzenie i charkot. Z przeciętych arterii trysnęły fontanny krwi. Pulsując, zalewała całą podłogę i pryskała na przeciwległą ścianę. Zmoczyła mi rękę, która zrobiła się śliska. Puściłem jej włosy i Swietłana przechyliła się do przodu. Jej twarz uderzyła o klepki z głuchym łupnięciem.

Odstąpiłem od niej, ciężko dysząc.

Lila stała naprzeciwko mnie, ciężko dysząc.

W pokoju było gorąco jak po pożarze. Czuję w nozdrzach metaliczny zapach krwi.

— Jedna załatwiona — powiedziałem.

— Druga nadal żyje — odparła Lila.

Pokiwałem głową.

— Wygląda na to, że uczennica jest lepsza od nauczycielki.

— Kto powiedział, że byłam uczennicą? — odparła.

Obficie krwawiła z uda. Nogawka jej czarnych nylonowych spodni była przecięta i krew spływała po nodze. Jej but był już mokry. Moje bokserki też. Zmieniły kolor z białego na czerwony. Zerknąłem w dół i zobaczyłem, że wycieka ze mnie krew. Dużo krwi. Niedobrze. Ale ocalała mnie moja stara blizna. Rana od szrapnela, którym oberwałem w Bejrucie dawno temu. Nierówne białe zrosty po szwach, które założyli mi w wojskowym szpitalu, były twarde i gruzłowate i zatrzymały ostrze. Gdyby nie to, rana byłaby głębsza i dłuższa. Przez lata miałem pretensje do chirurgów, że tak mamie mnie załatali.

Teraz byłem im za to wdzięczny.

Złamany nos Liii zaczął krwawić. Krew spływała jej do ust. Odkaslnęła i splunęła. Spojrzała na podłogę. Zobaczyła nóż Swietłany. Leżał w poszerzającej się kałuży krwi, która zaczynała już gęstnieć, wypełniać szczeliny i wsiąkać w stare klepki. Lewa ręka Liii się poruszyła. A potem zastygła w bezruchu. Schylając się po nóż Swietłany, narażała się na atak. Ja też. Miałem pięć stóp do pistoletu. Ona miała pięć stóp do magazynku.

Zacząłem odczuwać ból. Kręciło mi się i huczało w głowie. Spadało mi ciśnienie krwi.

— Jeśli ładnie poprosisz, pozwolę ci odejść — powiedziała.

— Nie poproszę.

460

— Nie możesz wygrać.

— Łudź się dalej.

— Jestem gotowa walczyć aż do śmierci.

— Nie masz w tej kwestii wyboru. Ta decyzja została już podjęta.

— Zabiłbyś kobietę?

— Właśnie to zrobiłem.

— Taką jak ja?

— Zwłaszcza taką jak ty.

Ponownie splunęła i zaczerpnęła powietrza przez usta. Kaszlnęła. Spojrzała na swoją nogę i pokiwała głową.

— Okay — powiedziała i spojrzała na mnie tymi niesamowitymi oczyma.

Stałem bez ruchu.

— Jeśli mówisz serio, zrób to tutaj — dodała.

Pokiwałem głową. Mówiłem serio. I zrobiłem to. Byłem słaby, jednak przyszło mi to z łatwością. Zraniona noga spowalniała ruchy Liii. Miała trudności z oddychaniem. Miała zmiążdżone zatoki. Krew spływała jej do gardła. Była oszołomiona i zamroczona po moim uderzeniu. Wziąłem z kuchni drugie krzesło i nim ją zaatakowałem. Teraz byłem już kompletnie poza jej zasięgiem. Zapędziłem ją w róg pokoju i uderzyłem dwa razy krzesłem, aż wypuściła z ręki nóż i upadła. Wtedy usiadłem i ją zadusiłem. Powoli, bo szybko odpływałem. Ale nie chciałem używać ostrza. Nie lubię noży.

•••

Później doczołgałem się do kuchni i wymyłem benchmade pod kranem. Następnie czubkiem noża wyciąłem skrzydełka w czarnej taśmie. Ścisnąłem ranę palcami i połączyłem jej brzegi skrzydełkami. Półtora dolara. W każdym sklepie z artykułami żelaznymi. Podstawowe wyposażenie. Wbiłem się z trudem w ubranie. Schowałem do kieszeni moje rzeczy. Włożyłem buty.

A potem usiadłem na podłodze. Tylko na minutkę. Okazało się jednak, że trwało to dłużej. Pielęgniarz mógłby uznać, że zemdlałem. Ja wolę myśleć, że zasnąłem.

84

Obudziłem się w szpitalnym łóżku. Miałem na sobie papierową koszulę nocną. Zegar w głowie powiedział mi, że jest czwarta po południu. Dziesięć godzin. Smak w ustach powiedział mi, że nafaszerowano mnie środkami chemicznymi. Na palcu miałem klamrę z jakimś przewodem, który musiał być podłączony do stanowiska pielęgniarek. Klamra wykryła chyba zmianę w rytmie mojego serca, bo minutę później pojawiła się cała masa osób. Lekarka, pielęgniarz, Jacob Mark, Theresa Lee, Springfield i na koniec Sansom. Pani doktor krzątała się przy mnie jakąś minutę, sprawdzając wykresy i spoglądając na monitory, po czym zbadała mi puls, co wydawało się zbyteczne, jeśli się weźmie pod uwagę, jaką dysponowała technologią. Następnie odpowiadając na pytania, których nie zadałem, oznajmiła, że znajduję się w szpitalu Bellevue i mój stan jest zadowalający. Lekarze na izbie przyjęć oczyścili i zszyli ranę, naszpikowali mnie antybiotykami oraz zastrzykami przeciwtężcowymi i podali trzy jednostki krwi. Powiedziała, żebym przez miesiąc unikał podnoszenia ciężarów, po czym wyszła. Pielęgniarz wyszedł razem z nią.

— Co mi się przytrafiło? — zapytałem Theresę Lee.

— Nie pamiętasz?

462

— Oczywiście, że pamiętam. Jaka jest wersja oficjalna?

— Znaleźli cię na ulicy w East Village. Z niewyjaśnioną raną zadaną nożem. Takie rzeczy stale się zdarzają. Poddali cię badaniom toksykologicznym i odkryli ślady barbituranów. Nieudana transakcja narkotykowa.

— Powiedzieli glinom?

— Ja jestem gliną.

— Jak trafiłem do East Village?

— Nie trafiłeś. Przywieźliśmy cię prosto do szpitala.

— Przywieźliśmy?

— Ja i pan Springfield.

— Jak mnie znaleźliście?

— Namierzaliśmy komórkę. Co zawęziło poszukiwania do małego obszaru. Konkretny adres podsunął pan Springfield.

— Przed dwudziestu pięciu laty pewien przywódca mudżahedinów powiedział nam o powrocie na wcześniej opuszczone pozycje — wyjaśnił Springfield.

— Czy będą jakieś reperkusje? — zapytałem.

— Nie — odparł Sansom.

Krótko i węzłowato.

— Na pewno? — zapytałem. — W tym domu jest dziewięć trupów.

— Są tam teraz ludzie z Departamentu Obrony. Oświadczą z naciskiem, że nie będą niczego komentować. Z porozumiewawczym uśmiechem. Żeby wszyscy myśleli, że to ich dzieło.

— A jeśli wiatr powieje w inną stronę? Od czasu do czasu to się zdarza. Sam pan wie najlepiej.

— Na miejscu przestępstwa jest totalny bajzel.

— Jest tam moja krew.

— Jest tam mnóstwo krwi. To stary budynek. Jeśli ktoś przeprowadzi testy, otrzyma głównie szczurze DNA.

— Krew jest na moim ubraniu.

— Szpital spalił twoje ubranie — wyjaśniła Theresa Lee.

— Dlaczego?

463

— Zagrożenie biologiczne.

— Było całkiem nowe.

— Było przesiąknięte krwią. Dziś nikt nie będzie ryzykował zakażenia.

— Odciski palców prawej ręki — powiedziałem. — Na wewnętrznych uchwytach okna i włazu.

— To stary budynek — powtórzył Sansom. — Zanim wiatr powieje w inną stronę, zostanie zburzony i wybudują tam coś nowego.

— Łuski od nabojów.

— Standardowe wyposażenie Departamentu Obrony — stwierdził Springfield. — Na pewno będą zachwyceni. Postarają się prawdopodobnie o przeciek do mediów.

— Nadal mnie szukają?

— Nie mogą. To by im popsło całą historię.

— Wojny kompetencyjne?

— Najwyraźniej je wygrali.

Pokiwałem głową.

— Gdzie jest nośnik pamięci? — zapytał Sansom.

Spojrzałem na Jacoba Marka.

— U ciebie wszystko w porządku? — zapytałem.

— Niekoniecznie.

— Musisz dowiedzieć się pewnych rzeczy — powiedziałem.

— Rozumiem.

Zmieniłem pozycję na siedzącą. W ogóle mnie nie zabolalo. Domyśliłem się, że nafaszerowali mnie środkami przeciwbólowymi.

Podciągnąłem kolana, uniosłem prześcieradło i przesunąłem skraj papierowej koszuli, żeby przyjrzeć się ranie. Nie zobaczyłem jej. Od bioder aż po zębra byłem cały zabandażowany.

— Mówiłeś, że możesz nam wskazać jego lokalizację z dokładnością do piętnastu stóp — powiedział Sansom.

Potrząsnąłem głową.

464

— Już nie. Minęło sporo czasu. Będziemy musieli ustalić pozycję za pomocą obliczeń.

— Wspaniale. Przez cały czas robiłeś nas w konia. Nie masz pojęcia, gdzie jest.

— Znamy generalny zarys tego, co się stało — powiedziałem. — Planowali operację prawie od trzech miesięcy i zrealizowali ją w ostatnim tygodniu. Zaszantażowali Susan, porywając jej syna. Susan przyjechała z Annandale, utkwiała w czterogodzinym korku, powiedzmy między dziewiątą wieczorem i pierwszą w nocy, i pojawiła się na Manhattanie tuż po drugiej. Zakładam, że dokładnie wiemy, kiedy wyjechała z Holland Tunnel. Musimy więc cofnąć się w czasie i ustalić, gdzie jej samochód znajdował się o północy.

— Dlaczego miałoby to nam pomóc?

— Ponieważ o północy wyrzuciła przez okno nośnik pamięci.

— Skąd możesz o tym wiedzieć?

— Kiedy się pojawiła, nie miała przy sobie komórki.

Sansom zerknął na Lee, która pokiwała głową.

— Kluczyki i portfel — powiedziała. — To wszystko. Komórki nie było również w samochodzie. FBI spisało wszystko, co w nim znalezione.

— Nie wszyscy używają komórek — zauważył Sansom.

— To prawda — przytaknąłem. — Ja jestem takim facetem. Jedynym facetem na świecie, który nie ma komórki. Ale osoba taka jak Susan z pewnością powinna ją mieć.

— Susan miała komórkę — potwierdził Jacob Mark.

— I co z tego? — zapytał Sansom.

— Hoth wyznaczyły ostateczny termin. Prawie na pewno o północy. Susan się nie pojawiła, więc Hoth zabrały się do dzieła. Spełniły swoją groźbę. I przesłały jej dowód. Na komórkę. W postaci MMS-a. Być może nawet filmu na żywo. Peter na stole, długie pierwsze nacięcie. Życie Susan zmieniło się wraz z uderzeniem północy. Tkwiła bezradnie w korku. Telefon, który trzymała w ręku, stał się nagle czymś strasznym i odrażającym. Wyrzuciła go przez okno. W ślad za nim poleciał nośnik, który

465

był symbolem jej kłopotów. Oba nadal tam leżą, na poboczu autostrady międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć. Nie ma innego wytłumaczenia.

Nikt się nie odezwał.

— Na poboczu albo na środkowym pasie — dodałem. — Być może Susan zjechała na lewo, bo się spieszyła. Wcześniej moglibyśmy namierzyć komórkę, ale teraz jest już chyba za późno. Wyczerpała się bateria.

W pokoju zapadła cisza. Trwała całą minutę. Słysząc było tylko szum i popiskiwanie sprzętu medycznego.

— To jest chore — stwierdził Sansom. — Wysyłając jej te zdjęcia, Hoth musiały wiedzieć, że zamykają sobie dostęp do danych. Nie miały jej już czym szantażować. Susan mogła pojechać prosto na policję.

— Dwa wytłumaczenia — odparłem. — Hoth były na swój sposób chore. Były fundamentalistkami. Na zewnątrz mogły zachowywać się normalnie, ale pod spodem

wszystko było dla niech białe albo czarne. Żadnych niuansów. Groźba to groźba. Północ to północ. Poza tym niewiele ryzykowały. Ich człowiek przez cały czas śledził Susan. Powinien dopilnować, żeby nie pozbyła się nośnika.

— Kto to był?

— Dwudziesty facet. Moim zdaniem nie poleciał do Waszyngtonu przez pomyłkę. Nie spóźnił się wcale na samolot w Stambule. To była dokonana w ostatniej chwili zmiana planu. Hoth zdały sobie nagle sprawę, że realizując taką operację, muszą mieć kogoś na miejscu, w Waszyngtonie. Albo po drugiej stronie Potomacu, w jednym z osiedli wokół Pentagonu. W związku z czym dwudziesty facet od razu tam poleciał. A potem przez cały czas jechał za Susan. Pięć albo dziesięć samochodów za nią. Co mu wystarczało, dopóki nie wpadli w korek. Pięć albo dziesięć samochodów w korku to niczym cała mila. Wszyscy są zablokowani, widok z przodu może ci zasłaniać jakaś wielka terenówka. Facet nie widział tego, co się stało. Ale nadal ją śledził. Był w pociągu, miał na sobie koszulkę NBA. Kiedy go

466  
znowu zobaczyłem, wydał mi się znajomy. Nie mogłem jednak potwierdzić tych podejrzeń, bo ułamek sekundy później strzeliłem mu w twarz. Nic z niej nie zostało.

Znowu zapadła cisza.

— Więc gdzie była Susan o północy? — zapytał w końcu Sansom.

— Możecie to sobie wyliczyć. Czas, odległość, średnia szybkość. Weźcie mapę, linijkę, papier i ołówek.

Jacob Mark mieszkał w Jersey. Zaczął mówić o swoich znajomych z drogowki. O tym, jak mogliby pomóc. Patrolowali 1-95 w dzień i w nocy. Znali ją jak własną kieszeń. Mieli zamontowane kamery. Zarejestrowane przez nie obrazy mogły potwierdzić papierowe wyliczenia. Zarząd autostrady mógł im w tym pomóc. Wszyscy zaczęli z ożywieniem dyskutować. Nie zwracali już na mnie uwagi. Położyłem się z powrotem na wznak i po chwili zaczęli wymykać się z pokoju. Ostatnim wychodzącym był Springfield. Zatrzymał się w progu i spojrzął na mnie.

— Jak się czujesz w związku z Lilą Hoth? — zapytał.

— Świetnie — odparłem.

— Naprawdę? — zdziwił się. — Ja bym się nie czuł. O mało nie załatwiły cię dwie baby. Mamie ci poszło. W takich sytuacjach albo coś się robi porządnie, albo nie robi się nic.

— Nie miałem dużo amunicji.

— Miałeś trzydzieści nabojów. Mogłeś strzelać ogniem pojedynczym. Grzejąc w nich potrójnymi seriami, wyładowywałeś gniew. Pozwoliłeś, by emocje wzięły górę. Ostrzegałem cię przed tym.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. A potem wyszedł na korytarz i więcej go już nie zobaczyłem.

•••

Dwie godziny później przysłała Theresa Lee. Miała ze sobą torbę na zakupy. Powiedziała, że szpital chce mieć wolne łóżko, w związku z czym policja nowojorska przeniesie mnie do hotelu.

467

Przyniosła mi ubranie. Buty, skarpetki, dzinsy, bokserki i koszulę, wszystko dokładnie w takich samym rozmiarach jak rzeczy, które spalili na izbie przyjęć. Buty, skarpetki, dzinsy i bokserki były w porządku, koszula trochę dziwna. Uszyto ją z miękkiej, zużytej białej bawełny. Prawie kosmatej, z mikroskopijnego punktu widzenia. Była ciasna i miała długie rękawy i trzy guziki przy szyi. Przypominała staroświecki podkoszulek. Wyglądałbym w niej jak mój dziadek. Albo jak poszukiwacz złota w Kalifornii w 1849 roku.

— Dziękuję — powiedziałem.



Poinformowała mnie, że pozostali ślęczą nad zadaniem z matematyki. Powiedziała, że kłóca się, jaką trasą Susan przejechała z New Jersey Turnpike do Holland Tunnel. Miejscowi korzystają z bocznych uliczek, których nie ma na drogowskazach.

— Susan nie była miejscowa — powiedziałem.

Zgodziła się ze mną. Jej zdaniem Susan pojechała trasą, którą wskazywały drogowskazy.

— Wiesz, że nie znajdują tego zdjęcia — stwierdziła po chwili.

— Tak sądzisz?

— Znajdą oczywiście nośnik, ale powiedzą, że jest nieczytelny, że został przejechany albo zniszczony, względnie, że nie ma na nim nic strasznego.

Nie odpowiedziałem.

— To pewne jak w banku — dodała. — Znam polityków i znam władzę. Jak się czujesz w związku z Lilą Hoth? — zapytała.

— Ogólnie żałuję, że podszedłem w metrze do Susan — odparłem. — Żałuję, że nie poczekałem z tym jeszcze kilku stacji.

— Myliłam się. Susan raczej już by się nie pozbierała.

— Wprost przeciwnie. Czy w jej samochodzie znaleziono skarpetę?

Lee odtworzyła w pamięci sporządzony przez FBI spis i pokiwała głową.

468

— Czystą? — zapytałem.

— Tak — odparła.

— Więc wyobraź sobie, jak Susan szykuje się do wyjazdu. Jej życie zmieniło się w koszmar. Nie wie jednak dokładnie, jak bardzo zła jest sytuacja. Nie może uwierzyć, że jest aż tak zła, jak się wydaje. Może to wszystko jest tylko chorym żartem albo pustą groźbą. Może to bluff. Ale nie jest pewna. Ma na sobie to, w czym chodzi do pracy. Czame spodnie, białą bluzkę. Musi stawić czoło zupełnie nowej sytuacji w wielkim złym mieście. Jest samotną kobietą, mieszka w Wirginii, od lat była związana z wojskiem. Dlatego zabiera rewolwer. Prawdopodobnie nadal schowany w skarpetę, w której trzymała go w komodzie. Wkłada go do torby. Wyjeżdża. Utyka w korku. Dzwoni do Hoth. Być może Hoth dzwonią do niej. Nie chcanej słuhać. Są fanatyczkami i cudzoziemkami. Nie rozumieją. Ich zdaniem gadanie o korku to typowy wybieg.

— I o północy Susan dostaje MMS-a.

— W tym momencie coś się w niej zmienia. Rzecz w tym, że ma na to czas. Tkwi w korku. Nie może stamtąd odlecieć. Nie może zgłosić się na policję. Nie może wjechać na słup telefoniczny z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Jest w pułapce. Musi tam siedzieć i myśleć. I dojrzewa w niej decyzja. Pomści swojego syna. Układa plan. Wyjmuje rewolwer ze skarpety. Dostrzega pozostawioną na tylnym siedzeniu czarną kurtkę. Może leżała tam od zimy. Potrzebuje ciemnego ubrania. Wkłada kurtkę. W końcu samochody ruszają. Dojeżdża do Nowego Jorku.

— Jak się ma do tego izraelska lista?

— Była normalną osobą. Może szykowanie się do tego, by kogoś zabić, wywołuje takie same emocje jak mobilizowanie się do samobójstwa. To właśnie robiła. Wspinała się na plateau. Ale jeszcze tam nie dotarła. Przeszkodziłem jej zbyt wcześnie. Dlatego dała za wygraną. Wybrała inne wyjście. Może przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy byłaby gotowa do walki.

— Lepiej, że zostało jej to oszczędzone.

469

— Może by wygrała. Lila spodziewałaby się, że Susan wyjmie coś z kieszeni albo z torby. Istotny byłby element zaskoczenia.

— Miała sześciostrzałowy rewolwer. Przeciwko dwudziestu dwu osobom.

Pokiwałem głową.

— Zginęłaby, to jasne. Ale może zginęłaby usatysfakcjonowana.

Dzień później Theresa Lee odwiedziła mnie w hotelu. Powiedziała, że Sansom wybrał mierzący pół mili odcinek drogi i policjanci z drogówki zatarasowali ten fragment trasy pomarańczowymi beczkami. Po trzech godzinach poszukiwań znaleźli komórkę Susan. Sekundę później, cztery stopy dalej, nośnik pamięci.

Ktoś go przejechał. Był zmiażdżony. Nie dało się z niego nic odczytać.

•••

Nazajutrz wyjechałem z Nowego Jorku. Skierowałem się na południe. Przez następne dwa tygodnie nie dawała mi spokoju myśl, co było na tym zdjęciu. Przychodziły mi do głowy najróżniejsze spekulacje. Zastanawiałem się, czy nie chodzi może o złamanie praw szariatu albo o molestowanie zwierząt domowych. Wyobrażając sobie drastyczne scenariusze tego, co mogło dzieć się w namiocie w dolinie Korengal, przypominałem sobie jednocześnie ten moment, gdy uderzyłem Lilę Hoth w nos. Lewy prosty, chrząst łamanych przez moją pięść kości. Oszpecona twarz. Bez przerwy odtwarzałem w pamięci ten epizod. Nie wiem dlaczego. Chwilę wcześniej ciąłem ją nożem, chwilę później ją udusiłem, ale tego prawie wcale nie pamiętałem. Być może uderzenie w twarz kobiety sprzeciwia się wyznawanym przeze mnie instynktownie wartościom.

Jednak w końcu wspomnienia wyblakły i znudziły mi się wizje Osamy bin Ladena, który spółkuje z kozami. Mniej więcej

470

po miesiącu o wszystkim zapomniałem. Rana ładnie się zagoiła. Blizna była cienka i biała. Ślady po szwach równe i niewielkie. Moje podbrzusze przypominało podręcznikową ilustrację: tutaj widzimy, jak powinno się to robić, a tutaj, jak nie powinno. Nigdy jednak nie zapomniałem, że ocaliły mi życie te wcześniejsze, partackie szwy. Przeszłość wraca do człowieka w najmniej oczekiwanych chwilach. Mnie uratowało dziedzictwo bombowego zamachu w Bejrucie, zaplanowanego, opłaconego i wykonanego przez nieznane osoby.

Polecamy thrillery z Jackiem Reacherem

PODEJRZANY

Sierżant Amy Callan i porucznik Caroline Cook miały ze sobą wiele wspólnego. Obie służyły w armii, obie stały się ofiarami napastowania seksualnego, obie musiały zrezygnować ze służby. I obie nie żyją. Ich ciała znaleziono we własnych łazienkach, zanurzone w wojskowej farbie maskującej. Żadnych śladów przemocy, żadnych oznak walki. Jack Reacher znał każdą z kobiet. FBI zmusza go do współpracy z grupą dochodzeniową w skład której wchodzi Julia Lamarr, specjalistka od portretów psychologicznych. Reacher kwestionuje opracowany przez nią motyw zbrodni - zemstę - uważa, że jej przyczyn należy szukać zupełnie gdzie indziej. Jego teoria bierze w łeb, gdy w podobny sposób ginie następna dziewczyna...

POZIOM ŚMIERCI

W Margrave, sennym miasteczku w Georgii, wszystko wygląda idealnie. Tak idealnie, że aż budzi grozę. Trawniki są równo przystrzyżone, a miejscowy biznes znakomicie prosperuje pomimo braku klientów. Zero problemów, zero przemocy. Reacher ma zamiar spędzić tu leniwy weekend, ale gdy tylko przekracza granice miasta, zostaje aresztowany. W Margrave popełniono właśnie pierwsze od trzydziestu lat morderstwo. Jack jest jedynym obcym, a zatem automatycznie staje się głównym podejrzanym. Najbliższe kilkadziesiąt godzin będzie musiał spędzić w więzieniu, na piętrze przeznaczonym dla najbardziej niebezpiecznych kryminalistów. Reacher jeszcze nie wie, że niechcący wdepnął w aferę, której macki sięgają daleko. Bardzo daleko. W Margrave robi się naprawdę gorąco, a zabijanie przyjmie rozmiary epidemii...

NIEPRZYJACIEL

Sylwester, rok 1990, dwa miesiące po upadku muru berlińskiego. Jack Reacher jest majorem żandarmerii wojskowej, pełnym wiary w szczytne ideały amerykańskiej armii i żołnierski honor. W obskurnym motelu w Karolinie Północnej umiera na zawał serca dwugwiazdkowy generał. Reacher ma przeprowadzić formalne dochodzenie i zamknąć sprawę. Kiedy udaje się do domu zmarłego, by przekazać smutną wiadomość, znajduje trupa zamordowanej kobiety - żony generała. Diwe śmierci w odstępie kilku godzin? To nie wygląda na zbieg okoliczności. Gdzieś zaginęła teczka z tajnymi dokumentami. Wkrótce na pobliskim poligonie zostają znalezione zmasakrowane zwłoki sierżanta elitarniej jednostki Delta Force, a dwieście mil dalej - zwłoki innego oficera. Zwierzchnik Reachera nakazuje mu przerwać śledztwo. Ale Jack zignoruje ten rozkaz... i będzie musiał stawić czoła złowrogiemu spiskowi, który zrodził się w sercu amerykańskiej armii.

Lee Child (ur. 1954), pisarz brytyjski, od 1998 mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 wybrany prezesem stowarzyszenia Mystery Writers of America. Kształcił się na prawnika, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach z pracy w wyniku restrukturyzacji, zainwestował we własną karierę literacką. W 1997 ukazała się jego pierwsza powieść - Poziom śmierci. Książka zdobyła nagrodę Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, m.in.: Echo w płomieniach, Siła perswazji, Jednym strzałem, Elita zabójców, Nic do stracenia, Jutro możesz zniknąć, 61 Hours i Worth Dying For. Książki Childa publikowane są w 43 krajach. Wytwórnia Paramount Pictures przygotowuje ekranizację Jednym strzałem; premiera planowana jest na 2013.

Tego autora

**JEDNYM STRZAŁEM ECHO W PŁOMIENIACH BEZ LITOŚCI ELITA ZABÓJCÓW  
WRÓG BEZ TWARZY NIC DO STRACENIA PODEJRZANY NIEPRZYJACIEL  
POZIOM ŚMIERCI JUTRO MOŻESZ ZNIKNĄĆ**

Wkrótce

**SIŁA PERSWAZJI 61 GODZIN NIE WARTO UMIERAĆ UPROWADZONY W TAJNEJ  
SŁUŻBIE**

Oficjalne strony internetowe Lee Childa [www.jackreacher.co.uk](http://www.jackreacher.co.uk) / [www.leechild.com](http://www.leechild.com)